



ARTUR KAWKA  
MONIKA WYSOCKA

# NAWRÓCONY

*Oficynka*

ARTUR KAWKA  
MONIKA WYSOCKA

# NAWRÓCONY



**OFICYNKA**  
WYDAWNICTWO

---

Copyright © Oficynka & Artur Kawka & Monika Wysocka, Gdańsk 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2020

Opracowanie redakcyjne: zespół

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © Sergiy Tryapitsyn | Depositphotos.com,

© Victor Torresn | Depositphotos.com

ISBN 978-83-65891-93-8



[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek

## ROZDZIAŁ I

Było późne popołudnie 17 września 1991 roku. Wierni i ojcowie bernardyni schodzili się powoli na nabożeństwo do bazyliki pod wezwaniem Matki Boskiej Anielskiej w Kalwarii Zebrzydowskiej. Na pierwszej ławce w nawie głównej siedział skupiony, starszy ksiądz z różańcem. Powoli przesuwiał w dłoni niewielkie, szklane paciorki. Wnikliwy obserwator na jego twarzy mógł dostrzec głębokie zamyślenie. Ksiądz żarliwie się modlił, ale jego myśli wciąż uciekały ku sprawom doczesnym. Tak naprawdę od dwóch godzin rozmyślał na temat spotkania z osobą, która z jednej strony powinna być mu bliska, z drugiej budziła w nim strach i niepokój. Układał w głowie scenariusz rozmowy. Pierwszy raz może przyczynić się do uratowania życia komuś, kto dotąd sam był dla niego ocaleniem. Ale przede wszystkim pierwszy raz może uratować małe, niewinne istnienie. Momentalnie zganił się za te myśli. Pycha i pragnienie władzy były mu obce. Na jego smutnej, zamyślanej twarzy pojawił się grymas zmęczenia. Zamknął oczy i pogрузzył się w dalszej modlitwie. Przesuwając w palcach stary różaniec, natrafił na jego zdeformowaną cząstkę. Paciorki były nieforemne i nadtopione, jakby trawił je ogień. W jednej chwili oprzytomniał i zatrzymał gonitwę myśli przeplatającą się z modlitwą. Pocałował różaniec, przeżegnał się i spojrzał na zegarek. Nadszedł czas, pomyślał. Uklęknął na chwilę przed głównym ołtarzem i ruszył w kierunku jednej z bocznych kaplic. Stał w zamyśleniu przed słynącym z cudów obrazem Matki Boskiej Kalwaryjskiej. Księdzu zdawało się, iż ciemne, zamyślane oczy Madonny wpatrują się w niego intensywnie, jakby chciały dodać mu otuchy. To Ona przed wiekami zapłakała krwawymi łzami. Może nad ludzką niedolą. Kapłan uklęknął przed obrazem tulącej Dzieciątka Maryi i w krótkiej modlitwie jeszcze raz poprosił o wsparcie. Przeżegnał się i skierował się ku ostatnim ławom nawy głównej.

Tymczasem pięknie zdobione, barokowe wnętrza świątyni wypełniało się wiernymi. Mimowolnie przypomniał sobie, że już od dwóch lat można było oficjalnie wspominać rocznicę agresji Związku Sowieckiego na Polskę w 1939 roku. Rozejrzał się po ławach znajdujących się najbliżej wejścia. Dostrzegł go kątem oka. Dobrze zbudowany mężczyzna po sześćdziesiątce, ubrany w czarną, skórzaną kurtkę. To był on – człowiek, na którego czekał. Mijając ławę, przyjrzał mu się nieco lepiej. Widział go ostatnio blisko dwa lata temu. Dziś wydawał się dużo starszy, skurczony, ze zmęczoną, przeoraną bruzdami twarzą, jakby ostatnie wydarzenia wycisnęły na niej piętno, którego nie da się już zatrzeć. Ksiądz skrzył w lewo i małym wyjściem skierował się do bocznego korytarza prowadzącego do części zajmowanej przez ojców bernardynów. Mężczyzna podniósł się i ruszył w ślad za nim.

Ksiądz był częstym gościem w tej części klasztoru, dlatego jego obecność nie zwróciła specjalnej uwagi zakonników. Kiedy w końcu zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami, wiedział, że nie jest sam. Za jego plecami stał on. Ksiądz wyjął klucz i otworzył stary zamek. Przepuścił przybysza przodem, po czym starannie domknął ciężkie, liczące grubo ponad sto lat, kute drzwi. Ruszyli kamiennymi schodami na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się cele zakonników. Po przejściu korytarza weszli do jednej z cel, zamykając za sobą drzwi. Wystrój wnętrza stanowiły dwa wiekowe drewniane łóżka, niewielki stół z krzesłami, szafa oraz krucyfiks wiszący na ścianie.

Mężczyźni stali przez chwilę w milczeniu. Ksiądz wyciągnął dłoń na powitanie.

– Wyrazy współczucia Piotrze – powiedział cicho. Po chwili wskazał na krzesło, prosząc gościa, by usiadł.

Gość po krótkim namyśle usiadł naprzeciw księdza.

– Ile to minęło od naszego ostatniego spotkania? – zapytał.

– Siedem lat – odparł ksiądz.

– Kiedy się dowiedziałeś?

– Na drugi dzień po tej tragedii.

Przybysz zmarszczył czoło i spojrzał na księdza nieufnie. Wstał i rzucił, jakby prowadził przesłuchanie:

– Kto ci powiedział?

– Usiadź proszę – spokojnie odparł ksiądz. – Musimy szczerze porozmawiać.

Pomieszczenie było małe i duszne. Gość potarł spocone czoło. Zdjął kurtkę i rzucił ją na jedno z łóżek. Ksiądz patrzył z dezaprobatą na szelki z kaburą pistoletu, które kryły się do tej pory pod kurtką.

– Tutaj jest ci to niepotrzebne – zauważył chłodno.

– Tutaj nie, ale kiedy stąd wyjdę, może mi się przydać. Wiesz, że w przeszłości nie roznosiłem hostii, tak jak ty. Kto ci powiedział? – spytał przybysz, zmieniając szybko temat. Usiadł, przyglądając się badawczo kapłanowi. Ksiądz zwiesił głowę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Twoja córka – odparł po dłuższej chwili milczenia.

Przybysz wziął głęboki oddech, jakby chciał się uspokoić. Wstał z krzesła i podszedł do leżącej kurtki, z której wyjął opakowanie tabletek. Otworzył je i łyknął niewielką pigułkę.

– Masz problemy z sercem? Może przynieść ci coś? Bracia sporządzają różne lecznicze specyfiki. – Ksiądz patrzył z niepokojem na swojego gościa. Jednak ten machnął jedynie ręką, odetchnął kilka razy i usiadł na krześle.

– Skąd moja córka cię zna i skąd wiedziała, jak do ciebie dotrzeć? – spytał już całkowicie spokojnym tonem.

Ksiądz westchnął, przestawił krzesło bliżej mężczyzny i usiadł tak, aby patrzeć mu w oczy.

– Musimy, Piotrze, szczerze porozmawiać, także o twoich problemach – odparł. – Twoja córka zna mnie od ponad sześciu lat.

Przybysz spojrział na kapłana z niedowierzaniem.

– Od sześciu lat?

– Widzisz, Piotrze – ksiądz potarł skroń. Denerwował się, zaschło mu w ustach, od tej rozmowy tak wiele zależało. – Tak naprawdę to widzieliśmy się dwa lata temu, byłem na pogrzebie twojej żony i wnuczki. Byłem tam na wyraźne życzenie twojej córki. Wiem, że nie chciałeś się zgodzić na kościelny pogrzeb, ale kiedy się oddaliłeś, poprosiła mnie o właśnie taki i ja się zgodziłem.

Przybysz zmierzył księdza pytającym wzrokiem, milczał, jakby oczekiwał dalszych wyjaśnień.

– Piątego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku dostałem pierwszy list od twojej żony – kontynuował ksiądz. – Prosiła o spotkanie i rozmowę. Spotkaliśmy się tego samego roku w Wigilię w Warszawie, w mieszkaniu twojego zięcia. Prosiła, żebym nic ci nie mówił do czasu, aż sama ci o tym nie powie. –

Mężczyzna nie reagował, siedział nieruchomo niczym sparaliżowany. Nie zadawał pytań, ale ksiądz zdawał sobie doskonale sprawę, że musi wyjaśnić wszystko. – Dwa lata po pierwszym spotkaniu twoja żona i córka zostały przeze mnie ochrzczone i przyjęły pierwszą komunię świętą. Byłeś wtedy na szkoleniu, gdzieś za granicą. Ustaliliśmy, że twoja żona będzie podpisywać listy imieniem i nazwiskiem twojej teściowej. Ja z kolei używałem nazwiska jej brata mieszkającego w Gdańsku. W razie potrzeby spotykaliśmy się w mieszkaniu twojego zięcia.

– Czy Zuzanna zna całą prawdę? Wie, co nas łączy? – zapytał gość prawie szeptem. Ksiądz wziął głęboki oddech i pokręcił przecząco głową.

– Ustaliłem z twoją żoną, że dla bezpieczeństwa mojego i twoich bliskich pozostaję dla niej tylko dalekim krewnym. – Zawahał się i kontynuował dopiero po chwili: – Przecież powiedziałaś prawdę swojej żonie. Dlaczego nie zdecydowałaś się powiedzieć swojej córce? Ona wiedziała, że w potrzebie może się zwrócić do mnie po pomoc. I nie miej do niej o to żalu.

W celi zapanowała cisza, jakby Piotr musiał przetrwać to, co usłyszał.

– Nie mów jej na razie prawdy – poprosił wreszcie. – Dla twojego własnego bezpieczeństwa. Dlaczego Irena mi tego nie powiedziała?

– Widzisz, Piotrze, całe twoje życie to jedna wielka tajemnica. Twoi najbliżsi nie mogli sobie z tym poradzić. Domyślali się, że uczestniczysz w czymś bardzo złym, co pochłonęło cię bez reszty – starał się jak najspokojniej tłumaczyć ksiądz.

Przybysz wstał, podszedł do okna i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Zapomniałem, że jesteście urodzonymi konspiratorami – rzucił ze złością.

Ksiądz puścił przytyk mimo uszu i spojrział na zegarek. Pozostało niewiele czasu.

– Przejdźmy do rzeczy. Przybyłeś tu chyba w innej sprawie? – spytał.

Rozmówca przytaknęła skinieniem głowy.

– Rozmawiałeś z Zuzanną, więc wiesz o wszystkim – stwierdził przybysz.

– Wiem. Zgadzasz się na to, bym ci pomógł? – zapytał ksiądz, nie oczekując w istocie odpowiedzi. – Twoja córka i zięć są zdecydowani.

– Jeżeli możesz, to pomóż nam – odparł sucho mężczyzna.

– Zastanawiałem się, jak będzie przebiegać nasza rozmowa, tym bardziej że pierwszy raz poprosiłeś mnie o coś. Uratowałeś mi dwukrotnie życie, więc może to sam Bóg chce, abym ci się odwdzieczył – stwierdził ściszym głosem ksiądz.

– Jak zamierzasz mi pomóc? – spytał Piotr, chcąc szybko przejść do rzeczy.

– Zobaczysz – odparł ksiądz i spoglądając na zegarek, dodał: – Z łaski swojej schowaj broń, za kwadrans jeden z ojców przyniesie jedzenie. Myślę, że ojcowie nie zrozumieliby, co taki człowiek jak ja robi w zamkniętej celi z takim człowiekiem jak ty.

– Bez przesady. Znają twoją reputację. Pomyśleliby, że próbujesz nawrócić kolejnego gangstera – odparł uszczypliwie mężczyzna, kładąc odpięte szelki z kaburą na stole.

Ksiądz, zbyt pewnym jak na księdza ruchem, wyjął pistolet z kabury. Oglądał go przez chwilę.

– Co to za model? – spytał.

– Glock – odparł przybysz i rzucił z ciekawością: – Kiedy ostatni raz miałeś splot w rękach?

– Wtedy, w czterdziestym piątym, w Kielcach, w więzieniu – odparł ksiądz. Odłożył pistolet na stół i zamyślił się.

– Strzelałeś wtedy? – zapytał Piotr, przerywając niezręczną ciszę.

– Nie, wiedziałem, że mógłbym cię zabić przez przypadek.

Ksiądz westchnął, wstał i podszedł do szafy, z której wyjął skórzaną walizkę. Wydobył z niej starą, pożółkłą fotografię. Położył ją na stole przed mężczyzną, a następnie z kieszeni sutanny wyciągnął metalowe pudełko. Wyjął z niego częściowo zdeformowany różaniec. Piotr wziął do rąk zdjęcie i szklane paciorki.

– Skąd to masz? – spytał łamiącym się od wzruszenia głosem.

– Niebawem się dowiesz, Piotrze. Czas na mnie – odparł ksiądz i rzucił już w progu: – Natychmiast schowaj broń.

Kapłan wyszedł z celi, szybko przemierzając długi korytarz. Mimo grubych murów z bazyliki dochodziły dźwięki organów, które intonowały pieśń *Boże coś Polskę*. Ksiądz zszedł schodami na parter, skręcił w prawo, kierując się wprost do zakonnej kuchni. Po przekroczeniu progu uderzyła go feria niezwyklej zapachów. Uśmiechnął się. Lubił tu przychodzić i delektować się samym aromatem przygotowywanych potraw. Nic w tym dziwnego. Ojcowie bernardyni przecież od wieków słyną ze swych kulinarnych zdolności. Nawet dziś są one powodem częstych wizyt dostojników kościelnych i państwowych, którzy niejednokrotnie nieco nadużywali gościnności zakonu. Ksiądz podszedł do najbliższego zakonnika, w którym rozpoznał brata Romana, pełniącego funkcję kucharza. Pochylony nad jednym z wielkich garnków, mieszał coś pieczołowicie, trzymając w jednej ręce wielką drewnianą łyżkę, a w drugiej garść przypraw.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Przenajświętsza Pani i wspaniali ojcowie bernardyni, na czele z ich znakomitym bratem Romanem – z uśmiechem rzekł ksiądz.

– Pochwalony – odpowiedział brat Roman, odkładając łyżkę i ingredencje na blat stołu. – Coś ksiądz biskup źle wygląda. Znów ksiądz jegomość nawracał ludy Afryki, że taki wymizerowany? – zażartował sympatyczny zakonnik. Z racji swego dużego brzucha brat Roman wyglądał nie tylko na kucharza, ale także na pierwszorzędnego smakosza.

– Co wielbny ojciec szykuje na kolację? – zapytał kapłan. Zakonnik już miał odpowiedzieć, ale ksiądz go wyprzedził: – Zgadnę, bigos!

– Zgadza się – odparł brat Roman z uznaniem. – Bigos na dziku z buraczkami. Już nakładam czcigodnemu księdzu biskupowi.

– Dziękuję! Na razie wzywają mnie pilne obowiązki – westchnął ksiądz, rozkładając ręce. – Wpadnę później, a teraz proszę o małą przysługę. W celi na piętrze dla gości, z której zawsze korzystam, przebywa jeden głodny podróżny ze stolicy. To osoba świecka i niewierząca, krępuje się obecności braci, dlatego pozostaje w samotności i kontemplacji. Czy mógłby czcigodny brat wysłać mu podwójną porcję kolacji?

– Naturalnie, gość w dom, Bóg w dom – odparł brat Roman, rozkładając ramiona, jakby chciał kogoś serdecznie powitać. – Czy kroplę naszego wspaniałego wina zakonnego także zanieść?

– Nie, woda na razie temu grzesznikowi wystarczy – odparł ksiądz. Poklepał dobrotliwie po ramieniu brata Romana i wyszedł z kuchni.

Przemierzając kolejne korytarze, dotarł do piwnic, gdzie stanął przed skąpanymi w półmroku drzwiami. Zapukał trzykrotnie. Drzwi się uchyliły. Do wnętrza wpuścił go starszy już wiekiem zakonnik. Pomieszczenie było pełne monitorów, pulpitów, słuchawek, mikrofonów i różnego rodzaju elektroniki. Miejsce to całkowicie nie pasowało do otoczenia wiekowych zabudowań Sanktuarium.

– Na ten aparat będzie łączona rozmowa z Watykanem – sędziwy brat wskazał księdzu telefon i wygodny fotel. – Zostawiam księdza samego. Jeżeli po zakończeniu rozmowy ksiądz biskup zechce opuścić pomieszczenie, proszę zamknąć drzwi i zwrócić klucz przeorowi albo mnie. Z panem Bogiem.

Zakonnik wyszedł i ksiądz pozostał sam. Zaczął rozglądać się po tajemniczym pomieszczeniu. O jego istnieniu dowiedział się niedawno od kardynała Macharskiego, który odbywał tu rozmowy z ojcem świętym, gdyż dzięki temu mógł uniknąć swoich nieco zbyt wścibskich współpracowników. Przygotowane dzięki pomocy CIA pod koniec lat osiemdziesiątych miało zapewnić bezpieczeństwo nie tylko dostojnikom kościelnym i pielgrzymom Sanktuarium, ale też stać się centrum operacyjnym w razie następnej wizyty ojca świętego w Kalwarii Zebrzydowskiej. Obawiano się, że papież mógłby się stać celem zamachu ze strony służb specjalnych państw komunistycznych, które mogły użyć wynajętego zabójcy, terrorysty lub osoby niepoczytalnej, a następnie próbować zakłócić przepływ rzetelnych informacji z Polski. To miejsce miało temu zapobiec. Na szczęście nigdy nie zostało wykorzystane do celu, dla którego zostało stworzone.

Biskup usiadł na fotelu, który wcześniej wskazał mu zakonnik, i w napięciu czekał na dźwięk telefonu. Wczoraj ustalili z księdzem Dziwiszem, że rozmowa z ojcem



świętym odbędzie się dzisiaj o dziewiętnastej czasu polskiego. Wskazówki zegara wiszącego na ścianie oznajmiły nadejście wyznaczonej godziny. Ksiądz przeżegnał się. Był spokojny. Miał dziwne uczucie, jakby za chwilę rozmawiać miał ze starszym bratem – bratem, który nigdy nikogo nie zawiódł i każdemu spieszył z pomocą.

Nagle rozległ się oczekiwany dźwięk. Ksiądz wziął głęboki oddech, niczym pływak, który za chwilę skoczy do wody. Podniósł słuchawkę, w której usłyszał znajomy, łagodny głos. Głos, który swym ciepłem, miłością, a zarazem charyzmą elektryzował miliony.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Przenajświętsza Pani, wasza świątobliwość – odparł ksiądz i zapytał, nie kryjąc z troskania: – Jak zdrowie?

– Witaj, drogi przyjacielu. Na szczęście zdrowie mi dopisuje, poza nadmiarem obowiązków wszystko jest w jak najlepszym porządku. Narzekam tylko na Stanisława, który nie pozwala mi pracować. Często o północy gasi mi lampkę – ojciec święty westchnął, udając powagę. – Ale cóż, taki mój los, sam sobie wybrałem takiego sekretarza.

– Masz ci los – skomentował rozbawiony biskup.

Papież roześmiał się, by po chwili przejść do rzeczy:

– Ale powiedz mi drogi Michale, w czym mogę ci pomóc?

– Sprawa jest, jak zwykle, skomplikowana i poważna – odparł ksiądz.

– Jak wszystko, co warte naszej uwagi – stwierdził ojciec święty. – Opowiadaj, Michale.

– Trzy miesiące temu urodziła się dziewczynka, u której wykryto poważną wadę serca, zagrażającą jej życiu. Ochrzcilem to dziecko. Nie będę ukrywał, że jest spokrewnione ze mną. Jej siostra zginęła wraz ze swoją babcią w wypadku samochodowym w Piasecznie dwa lata temu. Matka dziewczynki straciła pierwszego dziecka i własnej matki bardzo przeżyła. A teraz to kolejne nieszczęście... – Ksiądz na chwilę przerwał. Zabrał siły i po chwili kontynuował opowieść: – Mała jest pod dobrą opieką w Centrum Zdrowia Dziecka, jednak nawet najlepsi lekarze, którzy się nią zajmują, nie dają jej szans na przeżycie. Od nich dowiedziałem się, że w klinice Gemelli w Rzymie jest profesor, który wdrożył nowatorski sposób leczenia dzięki zastosowaniu nowej aparatury operacyjnej. Nie wiem jednak, kiedy to cudo dotrze do Polski. Ten profesor nazywa się Pietro Farelli.

– Tak, miałem możliwość go poznać. To wspomniały człowiek i lekarz, słyszałem, że parę dni temu sam został dziadkiem, urodziła mu się wnuczka – powiedział papież.

– Czy... – zaczął ksiądz.

– Tak, Michale – uprzedził go ojciec święty. – Spróbuję jak najszybciej z nim porozmawiać. Zadzwoń jutro na ten telefon o dziewiętej rano naszego, polskiego czasu.

– Dziękuję. – Ksiądz już miał się pożegnać, gdy usłyszał:

– Wiesz? Trochę ci zazdroszczę, że jesteś w tym wspomniałym miejscu i na dodatek w porze kolacji... Chętnie zamieniłbym się z tobą miejscami – w głosie papieża czuło

się tęsknotę i to nie tylko za smakowitymi zapachami kuchni braci bernardynów. Biskup doskonale wiedział, jak bardzo brakuje ojcu świętemu wszystkiego, co polskie.

– Wcale ci się, Karolu, nie dziwię.

Obaj się roześmiali. Łączyła ich długa i szczerza przyjaźń.

– Co serwują dziś czcigodni braciszku? – zapytał, wzdychając, papież.

– Bigos na dziku z buraczkami.

– Niechże mi coś zostawią – zażartował papież, po czym spytał: – Jak ma na imię ta dziewczynka?

– Marysia.

– Z Bogiem, Michale! – Papież zakończył rozmowę, w jego głowie rodził się już plan pomocy, a wiedział, że każda minuta jest cenna.

Tymczasem w celi zakonnej na pierwszym piętrze Piotr pochylał się nad różańcem i podniszczonym zdjęciem. Wpatrując się w nie coraz dłużej, stopniowo zagłębiał się we wspomnieniach o dniach, jakże pięknych i jakże często przywoływanych w snach. Brakowało mu tamtych chwil szczęścia i bez troski, tak brutalnie przerwanych i odebranych na zawsze. Zaczął przekładać różaniec, usiłując sobie przypomnieć, którą część jako dziecko trzymał w ręce. Jego wzrok zatrzymał się na zniekształconej w ogniu części. Pomyślał, że tę nadtopioną cząstkę musiała trzymać w ręce matka, przytulając jego małą siostrę do piersi tamtego straszego dnia. Raz jeszcze przyjrzał się uważnie zdjęciu, na którym małżeństwo w odświętnych strojach – mama w ludowej spódnicy i chuście, ojciec w wyjściowym mundurze leśniczego – trzymało na białej, koronkowej poduszce maleńkie niemowlę wraz ze świecą od chrztu. Z boku stało dwóch chłopców, mniej więcej dziesięcioletnich. Jeden wyraźnie wyższy i dobrze zbudowany – na pierwszy rzut oka wykapany ojciec, drugi niższy i chudszy, z urody i sylwetki podobny do matki, jakby skazany na rolę „tego drugiego”. Piotr odwrócił fotografię. Z tyłu ktoś starannie napisał: „3 lipca 1938 roku”. Poglaskał fotografię i różaniec. Mimo iż wiele w życiu przeżył, mimo iż to on – niejednokrotnie z całą świadomością – zabijał i krzywdził, uważając się za twardziela, w jego oczach pojawiły się łzy. Skąd on to ma? – zastanawiał się.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Na progu stanął niski zakonnik z tacą, na której stał talerz z pachnącym bigosem i szklanka herbaty.

– Niech będzie pochwalony – pozdrowił Piotra braciszek, wniósł kolację, po czym szybko i w milczeniu opuścił celę.

Piotr uświadomił sobie, że od wczorajszej rozmowy z córką i zięciem nic nie jadł. Wieści o stanie zdrowia małej wnuczki odebrały mu apetyt. Przypomniał sobie także, że kiedy zadzwonił do księdza, ten nie był zaskoczony. Ani telefonem, ani wiadomościami. Musiał już wiedzieć.

Chwilę później przybysz zjadł ze smakiem dużą porcję bigosu, popijając herbatą, po czym położył się na łóżku. Było jednak zbyt gorąco – wstał i otworzył okno. Teraz mógł spokojnie odpocząć. Sen jednak nie przychodził, a gonitwa myśli nie ustawała. Nie wiedział, czy podejmując dwa tygodnie temu ryzyko, nie wydał wyroku śmierci

na siebie i swoich bliskich. Zdawał sobie sprawę, że każdy człowiek próbujący wyjaśnić tajemnicę zostanie natychmiast zlikwidowany, o czym przekonał się ostatnio jeden z inspektorów NIK.

## ROZDZIAŁ II

*Warszawa, 4 września 1991 roku*

John McDowell, trzydziestosiedmioletni etatowy oficer CIA w ambasadzie w Warszawie, oficjalnie attaché gospodarczy, przeglądał korespondencję ze Stanów. Właśnie zakończył czytanie listu od brata. John tryskał dobrym humorem. Urlop, który rozpoczął za dziesięć dni, miał trwać miesiąc. Pierwszy dłuższy odpoczynek od pięciu lat pracy w ukochanym, ale jakże dziwnym kraju swojej babci, Heleny. Miał jeszcze jeden powód do radości – już widział w myślach miny swoich braci, Jacka i Arniego, oraz rodziców, kiedy przedstawi im swoją polską narzeczoną, Joannę. Mimo iż John był przystojnym, wysokim mężczyzną, za którym zawsze oglądały się kobiety, a do tego absolwentem West Point, to wiedział, że Joanny zazdrozczą mu wszyscy. Była ponętą blondynką, po świetnych studiach, podczas których odnosiła sukcesy, grając w akademickiej drużynie siatkarskiej. Miała nawet oferty gry w zawodowych klubach, ale za namową rodziców postawiła na karierę w administracji.

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie trzy lata temu w polskim MSZ. Była sekretarką w jednym z działów gospodarczych, do którego John pod przykrywką attaché musiał chodzić na spotkania z przedstawicielami walącego się systemu komunistycznego. Towarzysze już wtedy tak naprawdę robili dobrą minę do złej gry. Zdawali sobie doskonale sprawę, że lada chwila system, którym obdarowała Polskę Jałta i funkcjonariusze NKWD w latach czterdziestych dwudziestego wieku, runie niczym domek z kart. Wszyscy domyślali się, że John jest agentem wywiadu, śledzili go i bezskutecznie szukali dowodów. Ta podejrzana niemoc polskich służb wiązała się zapewne z narastającą coraz bardziej świadomością, że już wkrótce o pomoc będzie trzeba zwracać się nie do starego sojusznika i okupanta w jednym ze Wschodu, lecz do Amerykanów.

John miał właśnie zabrać się do pisania cotygodniowego raportu do centrali, gdy zadzwonił telefon na biurku. Podniósł słuchawkę.

– John, dzwonił jakiś tajemniczy facet. Prosił, abyś wyszedł z ambasady i udał się do apteki po drugiej stronie ulicy. Za dziesięć minut zadzwoni do apteki i poprosi, by pracownica przywołała do telefonu klienta, który właśnie dzisiaj przyleciał z Hiszpanii – przekazała telefonistka z centrali, nie okazując cienia zdziwienia. –

Mówił, że chce rozmawiać tylko z tobą, nie chciał, aby cię z nim połączyć, i wyraźnie usiłował zmienić głos.

– Bezczelny dowcipniś albo agent obcego wywiadu, który chce zdradzić – zaśmiał

się John.

– Dodał, że jak z nim nie porozmawiasz, to może to być koniec twojej kariery w CIA, a jak z nim pogadasz, to dostaniesz awans i podwyżkę.

Naprawdę beczelny typ, pomyślał John, odkładając słuchawkę. Wiedział jednak, że musi sprawdzić, o co chodzi nieznanemu. Niepokoiło go to otwarte nawiązanie do pracy w CIA. Uporządkował papiery, schował poufne teczki do sejf, po czym założył marynarkę i ruszył do wyjścia. Po drodze zastanawiał się, dlaczego pomimo istnienia wielu możliwości nawiązania kontaktu, tajemniczy незнаjomy wybrał akurat taki, dość zabawnie staroświecki. Może zależy mu na czasie?

Wyszedł z terenu ambasady, przeszedł przez pasy na drugą stronę ulicy i skierował się do apteki. Miejsce to było mu dobrze znane, gdyż czasami kupował tu leki przeciwbólowe i przeciwzapalne. John wszedł do środka. Nie było tłoczno, przed okienkiem czekało raptem czterech klientów. McDowell spokojnie stanął na samym końcu kolejki. Kiedy pozostały już tylko dwie osoby, zadzwonił telefon. Obsługująca farmaceutka odebrała telefon, po czym nieco zdziwiona zapytała klientów:

– Czy ktoś z państwa wrócił właśnie z Hiszpanii?

John rzucił okiem na zegarek. Punktualny, stwierdził i po chwili wahania powiedział:

– Tak, ja.

– Proszę podejść do nieczynnego okienka. – Farmaceutka podała mu słuchawkę.

– Dziękuję – odparł John i pochylił się nad aparatem. – Tak, słucham. John McDowell przy telefonie.

– Dzień dobry – odpowiedział jakiś mężczyzna. – Może pan pomóc mnie i sobie. Za dwie godziny spotkajmy się w Łazienkach. Niech pan biega wokół Stawu Belwederskiego w stroju sportowym.

– Jak mogę panu pomóc? – spytał zdziwiony John. Musiał wiedzieć więcej.

– Zobacz pan, tylko niech pan nikomu nie mówi o naszej rozmowie. Nawet w ambasadzie. I proszę opuścić budynek tak, aby nie przykleił się do pana żaden ogon. Jasne? – zapytał rozmówca wyraźnie ostrzejszym tonem.

– Jasne – odparł John, zdając sobie sprawę, że niczego więcej w tej chwili się nie dowie. – Jak pana poznam?

– To ja pana poznam. Zapytam, czy ma pan rozmiąć dziesięć dolarów kanadyjskich – oznajmił mężczyzna i się rozłączył.

John podziękował zdziwionej farmaceutce i ruszył z powrotem do ambasady. Szybko wbiegł po schodach na pierwsze piętro, gdzie mieścił się gabinet jego zastępcy, Toma Briggsa. Opowiedział mu o całym zajściu. Po naradzie postanowili, że John opuści dyskretnie ambasadę, Tom zaś wyjedzie pierwszy i poczeka w Łazienkach, obserwując teren.

Po trzydziestu minutach z ambasady wyjechała czarna limuzyna ambasadora. Na tylnym siedzeniu siedziała jego żona, obok kierowcy agent ochrony, a z tyłu, między fotelami, leżał John, przebrany w sportowy dres. Jak co tydzień, pani ambasadorowa udawała się do fryzjera, więc jej wyjazd nikogo nie dziwił. Agent ochrony rozglądał

się uważnie. Nie zauważył, by ktokolwiek ich śledził.

– Możesz teraz wysiąść – rzucił, gdy samochód zatrzymał się na kolejnych światłach.

– Dziękuję. – John uśmiechnął się z wdzięcznością do starszej, eleganckiej kobiety.

– Mogę opowiedzieć mężowi o tej niecodziennej podróży? – zapytała żona ambasadora.

– Lepiej na razie nie. To wszystko może okazać się jedynie głupim żartem – wyjaśnił i wysiadł z samochodu.

Na chodniku wmieszał się w tłum. Założył wiatrówkę i sprawdził, czy magnetofon jest dobrze ukryty w kieszeni. Po przejściu około pięciuset metrów upewnił się, że nikt za nim nie idzie. Skierował się ku postojowi taksówek. Podszedł do pierwszej i poprosił o kurs do bram Łazienek od strony Alei Ujazdowskich.

Dotarcie do niewielkiej, białej Świątyni Sybilli zabrało Johnowi raptem kilka minut. Rozpoczął rozgrzewkę tuż obok rzeźby w kształcie stożka, która miała symbolizować mitologiczny kamień Omfalos, będący pępkiem świata, i pobiegł alejką na wschód, w kierunku Stawu Belwederskiego. Musiał wyglądać na zwykłego, dbającego o kondycję fizyczną mieszkańca Warszawy. Rozejrzał się wokół uważnie. Wydało mu się dziwne, że mimo pięknej pogody Łazienki były wyjątkowo puste. Szybko jednak uświadomił sobie, że właśnie rozpoczął się rok szkolny. Alejkami spacerowali głównie ludzie starsi lub młode matki z dziećmi w wózkach. Rozpoczął pierwsze okrążenie wokół malowniczego, otoczonego drzewami i krzewami jeziora, po którym leniwie pływały kaczki i łabędzie. W ciągu następnych trzydziestu minut zdążył powrócić już kilka razy na niewielki plac przed świątynią. Zmęczony i zrezygnowany usiadł na ławce z pięknym widokiem na sztuczną rzekę z mostkami i górujący na skarpie Belweder. Mijały kolejne minuty bezowocnego czekania. John mimowolnie zadumał się nad pięknem Łazienek Królewskich – mimo że często przychodził tu z Joanną, to za każdym razem robiły na nim wrażenie, wręcz zmuszając do refleksji po dniach spędzanych w ciągłym biegu i napięciu. Tym razem nie dane mu było jednak cieszyć się zbyt długo chwilą spokoju. Kątem oka dostrzegł żebraka, który chodząc od kosza do kosza, w końcu dotarł do jego ławki i bez wahania rozpoczął grzebanie w śmieciach. John odwrócił głowę, starając się nie zwracać uwagi na ubranego w potargany podkoszulek i brudne spodnie człowieka.

– Ma pan rozmiąć dziesięć dolarów kanadyjskich? – usłyszał jednak nagle tuż nad uchem.

– To pan? – wykrztusił John z niedowierzaniem, jednocześnie ganiąc się w myślach, że dał się zaskoczyć w tak niewiarygodnie głupi sposób. Żebrak, nic nie mówiąc, podał mu zwiniętą karteczkę. John szybko schował ją do kieszeni i sięgnął po portfel, by podarować nieznajomemu trochę drobnych. Tajemniczy człowiek odsunął jego rękę zdecydowanym gestem.

– Spotkamy się za trzy godziny – dodał. – Adres ma pan na kartce. Tylko niech pan nie bierze ze sobą tego pajaca z lornetką, który od godziny gapi się na pana z tamtych krzaków.

John nawet nie próbował zaprzeczać. Dali się podejść jak dzieci.

– Chyba nie muszę tłumaczyć, że musiałem się ubezpieczyć? – próbował się wytłumaczyć.

– Na kolejne spotkanie proszę przyjść bez obstawy. Ja również będę sam. I proszę nie informować nikogo o temacie naszej rozmowy. Ma pan w swoim otoczeniu kreta – rzucił żebrak i skierował się do następnego kosza.

John wstał i szybkim krokiem ruszył w kierunku wyjścia z parku, sprawdzając odruchowo, czy kartka otrzymana od nieznanego jest na swoim miejscu. Był poirytowany i zastanawiał się, kim jest ten człowiek, który z taką pewnością siebie, graniczącą wręcz z bezczelnością, wydaje mu polecenia. Przez głowę przelatywały mu kolejne pytania bez odpowiedzi. Czemu ten gość mówił o krecie? Nie wiedział, czy może powiedzieć Tomowi o tym, co usłyszał. Wtyką może być przecież każdy. Z drugiej strony mógł to być zwykły błąf. Idąc w kierunku samochodu Toma, kilka razy upewniał się, że nie jest śledzony. W końcu wyjął karteczkę i odczytał adres: „Anin, ul. Iglasta 124”. Zaczął bić się z myślami, czy na pewno ma tam jechać sam i czy w ogóle przystać na warunki tajemniczego mężczyzny. Mogła to być przecież zwykła pułapka, ale... Czy rzeczywiście, gdyby ktoś miał wobec niego złe zamiary, liczyłyby, że da się podejść w tak prosty sposób?

Zaryzykował – postanowił wziąć Toma. Nie zdradził mu jednak żadnych szczegółów. Dziesięć minut później obaj mężczyźni jechali formem Scorpio na dyplomatycznych tablicach. Prowadził Tom. John usiadł obok na miejscu pasażera. Na dociekania towarzysza odpowiadał zdawkowo:

– Jeszcze nic nie wiem. Natomiast wiem, że albo ten facet to jakiś agent, albo desperat.

– Może jedno i drugie – zastanawiał się Tom.

– Może. W każdym razie bez trudu cię namierzył, poczułem się jak amator – dodał z niesmakiem John.

– Widziałem go, ale z takim zapamiętaniem opróżniał kolejne kosze z resztek jedzenia, że do końca nie wierzyłem, że to może być on – tłumaczył się Tom. – Gdzie właściwie jedziemy? – zapytał po dłuższej chwili milczenia.

– Na drugi brzeg Wisły – odpowiedział John, nie chcąc na razie ujawnić celu podróży.

Anin. Znał tę miejscowość. Blisko rok temu był tam z Joanną u znajomych na imprezie połączonej z ogniskiem. Zapamiętał tę wizytę doskonale, zwłaszcza ze względu na zbyt dużą ilość wypitego alkoholu, którą odchorowywał przez następne dwa dni. W pamięci utkwiła mu także opowieść o zbrodni niemieckiej dokonanej na mieszkańcach w odwecie za śmierć dwóch podoficerów Wehrmachtu. Jak opowiadał znajomy Joanny – nauczyciel historii – mimo że obaj Niemcy zostali zabici przez pospolitych bandytów, których nazwiska władze doskonale znały, to w odwecie rozstrzelano ponad stu mężczyzn z Anina i pobliskiego Wawra. Wśród rozstrzelanych był też kuzyn samego Hermanna Göringa, jednego z największych niemieckich zbrodniarzy. Czterdziestoletni urzędnik, mimo iż mógł uniknąć śmierci, podpisując volkslistę, do końca upierał się, że jest Polakiem. Ot, jeden z wielu przykładów

bohaterstwa i patriotyzmu Polaków, jednak dość szczególny i mało znany.

Mijali właśnie most na Wiśle.

– Skręć w prawo, na Wawer – nakazał John.

Tom cały czas zerkał w lusterka, sprawdzając, czy nikt im nie siedzi na ogonie. Nie zadawał zbędnych pytań. Wiedział, że jeśli John milczy, to ma ku temu powód. Po pół godzinie minęli Wawer i wjechali do Anina. Poboczem drogi szedł starsuszek prowadzący rower.

– Zatrzymaj się, zapytam o adres – rzucił John.

Samochód stanął, a John opuścił szybę.

– Przepraszam pana, jak dojechać do ulicy Iglastej? – zapytał.

– To nowa dzielnica willowa, trzeba dojechać do głównego skrzyżowania i skręcić w prawo. Po ujechaniu kilometra zobaczycie panowie duży biały budynek szkoły i to będzie druga albo trzecia ulica za nią – wytłumaczył mężczyzna.

– Co my właściwie tu robimy? – zapytał Tom, gdy John zasunął szybę. Nie można było dłużej ukrywać powodu tej zaskakującej wycieczki.

– Kloszard z parku podał mi kartkę z tym adresem – wytłumaczył koledze John. – Jeżeli nie wsiadł od razu do samochodu albo to nie on ma czekać pod tym adresem, to teoretycznie powinniśmy być przed nim.

Po przejechaniu wskazanej trasy znaleźli się na ulicy Iglastej, wzdłuż której rzeczywiście stały okazałe wille, na oko w większości z lat siedemdziesiątych. Proste bryły z rozległymi tarasami, pokryte płaskimi dachami, dzisiaj wydawały się mało atrakcyjne, jednak przed dwudziestu laty był to ówczesny krzyk mody w architekturze. Bez trudu znaleźli posesję z numerem 124. Zwolnili nieco, uważnie obserwując duży budynek z zakratowanymi oknami, jednak postanowili minąć go i zatrzymać się w jednej z bocznych ulic. Najpierw zamierzali przejść się, by rozpoznać teren. Mijając kolejną willę, ujrzeni starszą kobietę wychodzącą przed dom.

– Zatrzymaj się – nakazał John, opuszczając szybę po raz wtóry. – Przepraszam panią najmocniej, wczoraj przyjechałem ze Stanów. Poszukuję rodziny swoich przodków, która ma mieszkać pod numerem sto dwadzieścia cztery. Nazywają się Kozłowscy – nie wiedzieć czemu, to nazwisko przyszło na myśl Johnowi jako pierwsze.

Starsza pani na widok przystojnego szatyna, który na dodatek pochodzić miał z Ameryki, bez wahania odpowiedziała:

– Ależ Kozłowscy mieszkają przy ulicy Alpejskiej, przed szkołą. Tutaj mieszka pani Zduńska, ale ona jest we Francji, u ojca.

Dziękując za informację, ruszyli i wjechali w boczną uliczkę. Poczekali tam, aż kobieta się oddali. Dyskretnie sprawdzili broń. John poprawił swoją berettę w kaburze na szelkach. Wysiedli i ruszyli pieszo w kierunku posesji numer 124. Dom z bliska wyglądał na niezamieszkały. Okna piwniczne, na parterze i pierwszym piętrze były zakratowane, a od wewnątrz zasłonięte żaluzjami, od których odbijało się teraz słońce. Sama, ogrodzona siatką, działka nie była duża, jakieś tysiąc metrów kwadratowych. Ogród był zaniedbany, a przed domem rosła trawa sięgająca powyżej kolan –



evidentna oznaka nieobecności gospodarzy. John zauważył, że prawie na każdej posesji rosną sosny – stąd pewnie nazwa ulicy. Postanowili stanąć nieco dalej, za rogiem jednej z uliczek, skąd mieli doskonały widok na dom i bramę, będąc jednocześnie niewidocznymi z głównej ulicy. Czekali na jakikolwiek ruch, czy to wewnątrz, czy na zewnątrz willi. Dłuższą chwilę milczenia przerwał Tom:

– Wejść na podwórze, zobaczę, czy jest ktoś na tyłach domu i zaczekam za tamtym żywopłotem.

– Nie – zaproponował John. – Poczekamy, zaraz zacznie się ściemniać, może ktoś zapali światło lub latarkę. Jeśli w ogóle ktokolwiek tu jest.

Minęła dobra godzina. Mieszkańcy pobliskich domów wracali z pracy, krzątali się po ogrodach i wychodzili na przedwieczorne spacerunki z psami. John i Tom, aby nie wzbudzać zbyt dużych podejrzeń, postanowili się przespacerować. Kiedy zaczęło zmierzchać, pod bramę obserwowanej willi podjechało stare, jasnozielone audi. Wysiadł z niego dobrze zbudowany mężczyzna po sześćdziesiątce. Po sylwetce i charakterystycznych ruchach John rozpoznał jednak żebraka, który teraz ubrany był w czarną skórzaną kurtkę i miał świeżo podcięte, krótkie włosy.

– Zostań tu. Wejść do środka, jeżeli będzie coś nie tak, spróbuję wybić szybę, wtedy wkroczysz – powiedział John, przeładowując broń i chowając ją z powrotem do kabury.

Nie zamierzał czekać. Jeżeli nieznajomy miał czyste intencje, to nie będzie zaskoczony jego wcześniejszym przybyciem. Wyszedł z bocznej uliczki i po pokonaniu dwudziestu metrów stanął przed otwartą bramą. Żebak odwrócił się. Nie wyglądał na zaskoczonego.

– Zapraszam do środka – powiedział, otwierając drzwi do ganku. W środku znajdowały się kolejne drzwi – metalowe, zamykane na dodatkową sztabę i zabezpieczone dwoma kłódkami. – Pójdę pierwszy – poinformował Johna mężczyzna, wchodząc do przedpokoju.

Wkrótce znaleźli się w przestronnym pokoju o ciemnozielonych ścianach. Stare, ale stylowe drewniane meble, ażurowe serwetki na okrągłym blacie stołu, niegdyś zapewne białe, a dziś już lekko poszarzałe, półki ciężkiego, mahoniowego regału, które ugięły się od książek w solidnych, skórzanych oprawkach, wreszcie cała masa bibelotów sprawiały wrażenie, jakby gospodarz domu chciał ocalić od zapomnienia dawno minioną epokę. Uwagę Johna przykuło jednak wiszące nad niewielkim sekretarzykiem czarno-białe zdjęcie około trzydziestoletniego mężczyzny w mundurze oficerskim. Znałca mógł się zorientować, że na rękawie munduru widniała naszywka z odznaką przedstawiającą szyszak husarski z charakterystycznymi skrzydłami. John chciał zapytać o zdjęcie, jednak został uprzedzony:

– To dziadek mojego zięcia, jest byłym żołnierzem Pierwszej Dywizji Pancерnej generała Maczka. Mieszka na stałe we Francji. Dzielny facet, ma osiemdziesiąt pięć lat.

– Virtuti Militari – stwierdził John.

– Tak, za bitwę pod Falaise – potwierdził nieznajomy. – Dowodził szwadronem

czołgów. Jego maszyna została trafiona, po kolei wynosił z płonącego czołgu kolegów, mimo że sam był ranny. Skończył szlak bojowy w Wilhelmshaven, do kraju nie wrócił. Tu czekała go śmierć lub, w najlepszym wypadku, życie na marginesie społeczeństwa. Poza tym zakochał się we francuskiej pielęgniarkę, która opiekowała się nim w szpitalu. W Polsce pozostawił żonę z dwuletnią córką, matką swojego zięcia. Po śmierci matki córka odnowiła z nim kontakt – wyjaśnił nieznajomy i zapytał: – Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję. Przejdźmy do rzeczy i powodu naszego spotkania – odparł stanowczo John.

– Proszę, niech pan siada. – Mężczyzna wskazał starą, skórzaną kanapę. John usiadł w milczeniu, oczekując na wyjaśnienia.

– Czy pana kolega cały czas jest na zewnątrz?

– Tak – odparł szczerze John.

– Dałem wam trzy godziny na swobodne sprawdzenie terenu. Ma pan do niego zaufanie?

– Mam.

– Mówił pan jeszcze komuś o naszym spotkaniu? – spytał z nutą niepokoju w głosie nieznajomy.

– Nie. Dlaczego to pana tak interesuje?

– Wkrótce się pan dowie – odparł gospodarz i ponowił propozycję: – Może jednak napije się pan kawy?

– Przekonał mnie pan, poproszę – odparł John.

Po kilku minutach przed Johnem stała filiżanka z aromatyczną kawą.

– Francuska?

– Nie, włoska, ale z Francji – odparł mężczyzna, siadając na jednym z wyściełanych zieloną tapicerką krzeseł.

– Kim pan jest? – zapytał spokojnie John, rozkoszując się smakiem wyborowej kawy.

– Nazywam się Piotr Mróz. Jestem emerytowanym oficerem wywiadu PRL – powiedział nieznajomy, czekając na reakcję McDowella.

– Dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać? – John nie okazywał zdziwienia. Takie sytuacje nie były mu przecież obce, choć sam sposób kontaktu, który wybrał jego rozmówca, nadal budził szereg pytań i wątpliwości. Należało brać pod uwagę każdą możliwość.

– Wiem, kim pan jest, panie McDowell – dobitnie podkreślił Piotr. – Chciałem zaferować panu pewną transakcję. Nie ukrywam, że zależy mi na czasie.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedział John chłodnym tonem.

Wiedział, że jeżeli to prowokacja, to nie powinien się rozgadywać. Zwłaszcza jeśli gospodarz rejestrował całą rozmowę.

– Mam pana szefom do zaferowania pewne archiwum, które każde liczące się mocarstwo chciałoby posiadać – kontynuował Piotr. – Na pewno ciekawi pana, co zawiera, dlatego, aby nie być gołosłownym, przekażę panu cztery mikrofilmy, każdy

dotyczący innej tematyki. Będzie je pan mógł spokojnie przejrzeć i skonsultować się ze swoim kierownictwem w Stanach. – Piotr wyciągnął z kieszeni kurtki małe metalowe pudełko, z którego wyjął cztery jeszcze mniejsze pojemniczki. Położył je na stole, na jednej z szarawych serwetek.

– Co zawierają? – spytał John.

– Są tu dane agentów gospodarczych działających na terenie Europy Zachodniej od początku lat siedemdziesiątych. Ich celem jest gromadzenie informacji gospodarczych i handlowych. Ludzie ci są forpocztą nowej organizacji, która powstała na gruzach komunizmu. Drugi mikrofilm zawiera nazwiska biznesmenów, którzy prowadzą interesy w Europie i na świecie za pieniądze wytransferowane przed tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym rokiem z naszego kraju i Związku Radzieckiego. Ludzie ci mają stanowić podwaliny międzynarodowej organizacji gospodarczej, której celem jest opanowanie strategicznych gałęzi gospodarki, umożliwiających oddziaływanie na sytuację międzynarodową i politykę światową.

– Konkretnie? – John domyślał się, jaka będzie odpowiedź.

– Gaz i ropa, panie McDowell – zaakcentował Piotr.

– A dwie pozostałe rolki? – spytał zaintrygowany John.

– To – Piotr wskazał jeden z pojemniczków – informacje o byłych wysokich funkcjonariuszach NSDAP, SS i Gestapo, którzy poprzez własne kontakty lub swoich bliskich, mają znaczny wpływ na osoby zajmujące wysokie stanowiska w Europie, zaś za ukrycie wiedzy o swojej przeszłości gotowi są zapłacić niemałe pieniądze. – John wziął do ręki czwarty z mikrofilmów, spoglądając pytająco na swojego rozmówcę, który pospieszył szybko z wyjaśnieniem: – To lista banków i firm, w których ulokowano pieniądze lub papiery wartościowe. Będą one powoli wchodzić do obiegu gospodarczego w Europie i nie tylko.

– No dobrze. A co w zamian? – zapytał John, nadal trzymając w dłoni jeden z małych pojemników.

– W zamian, jeżeli pańscy szefowie będą chcieli dostać całość tego zbioru, oczekuję jedynie spełnienia paru moich prośb.

– Więc? Czego pan żąda... chce, panie... jaki ma pan stopień? – dopytał John.

– Pułkownik – odparł Piotr.

– Pułkowniku, co w zamian? – ponowił pytanie John.

– Wartość wytransferowanych środków to dwa miliardy dolarów amerykańskich. Chcę pięć milionów – odparł Piotr.

John odłożył mikrofilm na stół i usiadł wygodniej na kanapie. Założył nogę na nogę. Sprawiał wrażenie opanowanego, ale od pewnego czasu zachowywał zdwojoną czujność. Jeśli jego rozmówca nie blefował, to na szarej, koronkowej serwetce leżały materiały warte zdecydowanie więcej niż pięć milionów dolarów.

– To wymaga przeanalizowania materiału przez naszych specjalistów – stwierdził jednak chłodno.

– Oczywiście, dlatego mam następującą propozycję. Sto tysięcy dolarów bezpośrednio dla mnie przy ewentualnym przekazaniu archiwum. Pozostałą część

przekażecie mojej córce, którą wywieziecie z Polski do Stanów wraz z mężem i dzieckiem. Zapewnicie im ochronę, nową tożsamość i obejmiecie ich programem ochrony świadków – zakończył wyliczanie Piotr.

– A co z panem?

– Potrzebuję papierów na niemieckie nazwisko i samochodu z dokumentami również na to nazwisko. To ułatwi mi przekazanie wam materiałów. Dalej sobie poradzę. Jeżeli sytuacja się uspokoi, będę chciał przenieść się do USA na stałe.

– Muszę to przeanalizować – powtórzył John.

– Jest jeszcze jeden mały problem. Musicie wywieźć z kraju moją trzymiesięczną wnuczkę, która ma poważną wadę serca. Załatwić jej najlepszą klinikę i zespół świetnych kardiochirurgów, najlepszych – ostatnie słowo Piotr wypowiedział ze szczególnym naciskiem.

John usiłował zebrać myśli.

– To wszystko? – zapytał.

– Tak – odparł Piotr.

– Wydaje mi się jednak, że zapomniał pan o czymś, panie pułkowniku. – John wpatrywał się z uwagą w siedzącego naprzeciw mężczyznę. – Co z tym kretem w moim otoczeniu?

– Owszem. – Piotr wstał i podszedł do sekretarzyka. Z jednej z szuflad wyciągnął kopertę, którą położył na stole przed Johnem. Amerykanin wyciągnął z niej kilka zdjęć i zbladł. Krople potu wstąpiły mu na czoło, a serce waliło niczym oszalałe. W pierwszej chwili miał zamiar uderzyć Piotra w twarz. W porę się jednak opanował. Zaciśnął jedynie pięści z bezsilnej wściekłości. Po chwili niepostrzeżenie wyłączył magnetofon, ukryty wciąż w kieszeni, i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– A co to, kurwa, jest?

– Zdjęcia pana narzeczonej – oznajmił lodowatym tonem Piotr. – Nasz kontrwywiad podesłał ją panu trzy lata temu.

– Sprawdzałem ją, znam jej rodziców, przyjaciół, mamy się pobrać – John był oszołomiony.

– Domyślam się, że to dla pana ciężka sytuacja. Widzi pan – Piotr spojrzał na swego kolegę po fachu z wyrozumiałością – wszystko się zgadza. To zdolna dziewczyna. Naprawdę skończyła administrację. Ale przy okazji została też zrekrutowana i kiedy otrzymała zadanie zajęcia się panem, nie miała pojęcia, że się w panu po prostu zakocha. Co piątek pana narzeczonej spotyka się z koleżankami ze studiów na mały sparing siatkarski na hali AWF. Potem idą do klubu na drinka poplotkować – zgadza się?

– Tak. Sam po nią często przyjeżdżam – odparł zdruzgotany John.

– Pomiędzy meczem siatkówki a rozrywką w klubie pana narzeczonej składa ustny raport temu człowiekowi – Piotr wskazał mężczyznę na zdjęciu. John przyjrzał się uważnie i rozpoznał twarz mężczyzny. Był to agent KGB, który pracował na analogicznym stanowisku co on, tyle że w ambasadzie Rosji.

– Jak to, kurwa, mogło się stać? – nie potrafił już ukryć wzburzenia.

– Wie pan, naszym służbom też czasami się coś udaje – z sarkazmem w głosie stwierdził pułkownik. – Zostawia koleżanki na pół godziny, wchodzi do tej kamienicy – pokazał zdjęcie Joanny znikającej w klatce schodowej – a po zdaniu relacji wraca do swoich koleżanek.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Pewien jegomość, którego spotkałem w osiemdziesiątym dziewiątym roku, pękał z dumy, gdy opowiadał, jak złapał pana na tę atrakcyjną blondynkę. Najgorsze jest to, że ona cały czas myśli, że pracuje dla naszego kontrwywiadu. Nie ma pojęcia, że przejęli ją Ruscy.

John zbladł. Wiedział, że jeżeli jego zwierzchnicy dowiedzą się o prawdziwej roli jego narzeczonej, jest skończony. Musiał zaryzykować.

– Mam do pana prośbę. Czy może to pozostać między nami? – poprosił wprost. Spojrzał raz jeszcze na plik zdjęć. – Spróbuję to ogarnąć. Potrzebuję też co najmniej tygodnia, aby móc dać panu konkretną odpowiedź.

– Dobrze – krótko rzucił Piotr.

John wstał, zabierając kopertę ze zdjęciami. Za dwa dni osobiście sprawdzi swoją narzeczoną, może przeberze się za kloszarda – jak widać to wcale niegłupie.

Wychodząc, uzgodnili, że równo za tydzień spotkają się o tej samej porze. Jeżeli coś się zmieni, John codziennie rano o godzinie dziewiątej będzie stał przed wejściem do ambasady, a pułkownik miał ewentualnie zadzwonić do niego i zapytać o pracę tłumacza, powołując się na dobrą znajomość angielskiego i greckiego.

## ROZDZIAŁ III

Na skrzyżowaniu Via Dora i Via Tagliamento wędrujący po Wiecznym Mieście turysta natrafi na niezwykłą bramę. Przechodząc pod monumentalnym łukiem, strzeżonym przez popiersie żołnierza o surowym spojrzeniu i ozdobionym wielkim żyrandolem z kutego żelaza, wkroczy do Quartiere Coppedé. Ten niewielki obszar to część dzielnicy Trieste położonej w północnej części Rzymu. Pod czujnym okiem włoskiego architekta Gino Coppedé powstało tu pomiędzy 1913 a 1927 rokiem raptem siedemnaście willi i dwadzieścia sześć mieszkalnych budynków, które są rzadko spotykanym architektonicznym połączeniem secesji, art déco, baroku, średniowiecza, starożytności, a nawet form bliskowschodnich. W teorii powinny one stanowić uosobienie kiczu, jednak Coppedé, projektując całą dzielnicę, uzyskał niezwykle wręcz hipnotyzujący efekt. Wszelkie asymetrie, łuki, balkony, kręte kolumnienki, zerkające ciekawie na przechodniów postacie z fresków, ornamenty zwierząt, kwiatów, mitycznych stworów i maszkar tworzą scenierię prawdziwie baśniową, ale i mroczną zarazem. Przy Piazza Mincio, niewielkim placu będącym sercem tego niezwykłego miejsca, znaleźć można bramę pięciokondygnacyjnego pałacu ozdobioną złotym wizerunkiem pająka, znad którego na wędrowca zerka rycerz o ostrych rysach. Tuż obok bajkowy Dom Wróżek zachwyca przepychem naściennych, wielobarwnych, malowideł poświęconych Wenecji, Rzymowi i Florencji. Uroku placykowi dodaje Fontanna Żab. Według legendy jeden z ośmiu zaklętych w kamień płazów to bajecznie bogaty książę. Każda z wycieczek zwiedzających Rzym chce odwiedzić to miejsce, ponieważ dotknięcie żaby i wypowiedzenie najbardziej skrytego marzenia ma zagwarantować jego spełnienie.

To właśnie tam, przy Via Dora, w jednej z ukrytych wśród zieleni ogrodu willi mieszkał profesor Pietro Farelli. W ostatnich tygodniach miał wiele powodów do radości. W jednym z salonów, ozdobionym jasnymi draperiami, olbrzymim oknem na ogród i meblami o miękkich liniach, rozsiadła się rodzina jego żony. Wszyscy podziwiali malutką wnuczkę profesora – Dominique. Pietro był dumny ze swojej córki Angelique, która dała mu tę małą perełkę, choć musiał przyznać, że wolałby wnuka. Profesor uśmiechnął się, przyglądając się drobnej istotce. Tak bardzo pragnął kiedyś ujrzeć swego własnego syna Gennaro z wnukiem w ramionach. To przecież on miał zapewnić przedłużenie linii rodu Farellich. Dziś jednak cieszył się, że wnuczka urodziła się zdrowa i silna. Profesor tak często w swoim życiu zawodowym spotykał się z chorobami małych pacjentów i nieszczęściami ich rodziców, że w głębi serca obawiał się o zdrowie malutkiej Dominique.

Po skończonej wizycie profesor odprowadził gości do drzwi, żegnając się z nimi

serdecznie, a następnie udał się do sali kominkowej. Była to jedyna część domu, którą zachowano w pierwotnej formie od czasów budowy willi przez dziadka Francesco w 1925 roku. Pokój urządzony w modnym wtedy stylu art déco zachwycał dbałością o detale. Skórzane, jasne fotele i kanapy o giętkich nogach kontrastowały tu z geometrycznymi wzorami sztukaterii i stolikiem z egzotycznego drewna. Całości dopełniał kominek obłożony marmurem i kwarcytem. Inne pomieszczenia wielokrotnie zmieniano i przebudowywano, pieczołowicie dbając jednak o ich elegancki, zgodny z duchem minionej epoki wystrój. Samo utrzymanie domu kosztowało krocie. Willa, położona w jednej z najbogatszych dzielnic przedwojennego Rzymu, była niezwykle obszerna i posiadała czternaście pokoi gościnnych, dwa salony, cztery łazienki, dwie kuchnie oraz inne pomieszczenia gospodarcze. Była to część miasta, w której osiedlali się finansowi krezusi lat dwudziestych. Należał do nich także dziadek Pietra – wspomniany Francesco – oficjalnie handlowiec i inwestor, tak naprawdę jednak spekulant, który bez skrupułów umiał wykorzystać każdą okazję, by zrobić dobry interes. Burzliwy i niespokojny czas pierwszej wojny światowej otworzył przed trzydziestoparoletnim handlowcem całkiem nowe możliwości. Francesco potrafił dotrzeć do wysoko postawionych osób w administracji państwowej i w armii, a następnie umiał zyskać ich przychyłność. Wykorzystywał przy tym swój wrodzony spryt oraz pazerność zarówno ministrów, jak i generałów. Podczas gdy na wielu frontach ginęli masowo młodzi mężczyźni, on w ciągu czterech lat dorobił się fortuny. Po wojnie, inwestując w nieruchomości w Rzymie i Turynie, a także w rozwój motoryzacji, pomnożył swoje dochody wielokrotnie, a część pieniędzy przeznaczył także na lokaty w złocie i diamentach.

Dziadek Francesco przejawiał za to wrodzoną nieufność w stosunku do obligacji i papierów wartościowych. Uważał, że należy inwestować tylko w trwałe i rzeczywiste dobra. Jego przeczucia sprawdziły się w pełni, kiedy w 1929 roku wybuchł wielki światowy kryzys finansowy. Osoby inwestujące w papiery wartościowe traciły z dnia na dzień całe majątki. Wielu popełniało samobójstwa, inni lądowali w zakładach dla obłąkanych. Rodzony brat Francesca – Antonio, który jako nastolatek wyemigrował do USA w 1905 roku i w czasie wojny również dorobił się pokaźnego majątku, był jedną z ofiar Wielkiego Kryzysu. Zainwestował wszystkie pieniądze na giełdzie i w krótkim czasie z bogatego przedsiębiorcy stał się bankrutem. Antonio, podobnie jak tysiące załamanych Amerykanów, nie wytrzymał presji i wyskoczył z okna jednego z drapaczy chmur. O całym nieszczęściu Francesco dowiedział się z listu od Lizy, ukochanej żony swojego brata. Zrozpaczony postanowił ściągnąć do Włoch bratową wraz z małoletnimi – Jamesem i Scottem – synami Antonia, aby zapewnić im godny byt i należyte wykształcenie. Ale Liza i chłopcy odmówili. Mimo to Francesco wysłał bratowej tysiąc dolarów na zakup mieszkania, a następnie co miesiąc przekazywał jej równowartość stu dolarów, dzięki czemu mogła godnie żyć.

Nigdy nie było mu jednak dane osobiście poznać żony swojego brata ani jego synów. Widywał ich jedynie na zdjęciach, które często otrzymywał w listach. Kiedy we wrześniu 1939 roku w Europie rozpętała się następną, straszliwą wojną, która

wkrótce miała ogarnąć również inne kontynenty, James po skończonych studiach inżynierskich został powołany do służby w marynarce wojennej. Po uzyskaniu stopnia podoficerskiego przydzielono go do służby na pancerniku USS Arizona. W grudniu 1941 roku jego okręt wraz z załogą został zatopiony przez japońskie lotnictwo. Poległ także James, idąc na dno wraz ze swoim okrętem w ciągu niespełna osiem minut. Wrak pancernika stał się jego grobem, a widoczne na powierzchni wycieki oleju z głębi okrętu, nazywane „Łzami Arizony”, oplakują śmierć poległych marynarzy po dziś dzień. Młodszy syn Lizy, Scott, na wieść o śmierci brata przerwał studia prawnicze i na ochotnika zaciągnął się do armii. Chcąc pomścić brata, marzył o służbie w lotnictwie, jednak ze względów zdrowotnych wylądował w piechocie. Miał pewne problemy z nadciśnieniem, ale za to doskonały wzrok i pewną rękę. Został snajperem. Przeszedł ze swoją dywizją szlak bojowy, poczynając od lądowania w Afryce Północnej, gdzie za odwagę został odznaczony Medalem Honoru oraz otrzymał awans podoficerski. Szczęście opuściło go jednak we wrześniu 1944 roku. Scott znajdował się w jednej z pierwszych barek desantowych, które podpłynęły do jednej z plaży Normandii. Mimo zrzućenia potężnej ilości bomb na niemieckie umocnienia nadbrzeżne na plaży, której nadano kryptonim „Omaha”, rozpętało się istne piekło. Milczące dotąd bunkry ożyły, a na młodych, brodzących jeszcze w wodzie żołnierzy, spadł grad kul. Scott przywarł do wilgotnego piasku, próbując czołgać się w głąb plaży. Widział, jak giną jego kolejni koledzy przeszywani ogniem niemieckich karabinów maszynowych i moździerzy. Przedzierał się wśród dymu, huk i martwych ciał. Zewsząd dochodziły jęki rannych. Scott wiedział, że jeżeli dalej pozostaną na odsłoniętej plaży, zginą wszyscy. Poderwał swój pluton do kolejnego skoku, jednak zaledwie po kilku metrach seria cekaemu niemal przecięła go na pół. Z całego plutonu, który wylądował na plaży, przeżyło trzech żołnierzy.

Francesco o losie bratanka dowiedział się dopiero po wojnie. Raz jeszcze próbował ściągnąć do Włoch Lizę, jednak ta po śmierci drugiego syna znalazła oparcie w innym mężczyźnie. Od tej pory kontakt listowny był już tylko okazjonalny.

Dziadek Pietra Farellego sam doczekał się dwójki potomstwa. Syn, Vincenzo – ojciec profesora – przyszedł na świat w 1915, a córka, Maria, w 1923 roku. Niestety na nic zdały się bogactwa Francesca wobec strasznej choroby, jaką była w owych czasach gruźlica. Maria zmarła w wieku zaledwie siedmiu lat. Vincenzo strasznie przeżył śmierć siostry i obiecał sobie, że zrobi wszystko, by zostać lekarzem i ratować chore dzieci. Dotrzymał słowa. Dzięki bogactwu ojca skończył studia medyczne i został chirurgiem. Już na studiach zaangażował się w pomoc ubogim i potrzebującym. Często za pieniądze ojca kupował potrzebne medykamenty dla najuboższych.

Dziadek Francesco miał też jedną wstydliwą kartę w swoim życiu. Były nią interesy z włoskimi faszystami. Rozwój motoryzacji i zbrojenia z lat trzydziestych przynosiły ogromne zyski firmom produkującym dla włoskiej armii samochody, motocykle i wszelkiego rodzaju uzbrojenie. Francesco Farelli posiadał znaczne udziały w wielu przedsiębiorstwach, systematycznie je zwiększając. Wszystko szło jak z płatka. Hitler i Mussolini podbijali Europę i Afrykę. Interes przynosił krociowe



zyski. Wszystko zaczęło się jednak sypać wraz z klęską pod Stalingradem. Kilkadziesiąt tysięcy Włochów zginęło w Rosji i Afryce, a w kraju nikt już nie ufał Mussoliniemu. Na dodatek syn Francesca – Vincenzo, jako lekarz został zmobilizowany i wysłany wraz z uzupełnieniem dla pułku alpejskiego walczącego w Rosji. Tylko cud i pomoc dobrych ludzi sprawiły, że mógł wrócić do ukochanej Italii i znów zobaczyć swoją żonę i syna Pietra, który przyszedł na świat w 1941 roku i miał zaledwie półtora roku, kiedy Vincenzo wyruszył na front.

\*\*\*

Profesor Pietro Farelli usiadł w fotelu, na którym często siedział na kolanach ojca i dziadka. Spojrzał na ścianę, na której wisiały portrety rodzinne. Nieco niżej, na zabytkowej, hebanowej komodzie stały zdjęcia córki i syna profesora. Podeszedł i wziął do ręki portret Gennara, zadając sobie w duchu pytanie, co poszło nie tak, jaki błąd popełnił. Chłopak miał 22 lata i od roku nie dawał znaku życia. Z informacji zebranych przez detektywa wynajętego przez profesora zamieszkał u swojej dziewczyny, którą poznał na studiach. Najgorsze było to, że ten zbuntowany, młody człowiek zaczął brać narkotyki. Profesor przypomniał sobie ostatnią rozmowę z synem, która zakończyła się awanturą, gdy wraz z żoną zażądali od niego rozpoczęcia terapii odwykowej. Zaraz potem Gennaro wyprowadził się z domu i zerwał wszelkie kontakty z rodziną. Wynajęty detektyw dostarczył zdjęcie i adres, pod którym przebywał syn. Były to pustostany na przedmieściach Rzymu. Smutne rozważania przerwało profesorowi delikatne pukanie do drzwi.

– Proszę.

Drzwi do salonu uchyliły się i ukazała się gospodyni państwa Farellich, Marianna.

– Przepraszam, don Pietro. Czy ma pan ochotę na kawę lub ciastko? – zapytała.

– Nie, dziękuję – odparł, uśmiechając się do kobiety. Podeszedł i ucałował pomarszczoną już wiekiem dłoń. – Dziękuję za ostatnie dni i za pomoc.

Kiedy chciała odruchowo odciągnąć dłoń, profesor delikatnie ją przytrzymał. Byli dla siebie jak rodzina. Profesor pomagał najstarszej córce Marianny, Ewie, zostać lekarzem. Dziewczyna była bardzo zdolna, ale nie wierzyła w siebie. Dzięki profesorowi nabrała wiary we własne siły. Pietro udzielał jej bezpłatnych korepetycji, załatwił jej też praktykę. Po obronie dyplomu włączył ją w skład swojego zespołu operacyjnego w klinice Gemelli. Młoda, skromna lekarka odpłaciła mu się pracowitością i wkrótce pod okiem Pietra miała przeprowadzić swoją pierwszą operację.

– Pan profesor ma wnuczkę, a ja maleńkiego, trzeciego wnuka – uśmiechnęła się dobrotnie Marianna.

– Ależ moja droga, płeć nie ma znaczenia, najważniejsze jest zdrowie – odpowiedział profesor.

– Po raz trzeci miałam nadzieję na wylosowanie wnuka na świąteczną uroczystość chrztu, ale znów nie miałam szczęścia – Marianna westchnęła. Była naprawdę zawiedziona.

– Może za czwartym razem się uda – odpowiedział, dodając otuchy kobiecie, Pietro. Wiedział, że gospośnia była bardzo wierząca i jej marzeniem był chrzest wnuka udzielany przez papieża w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Niestety kolejny raz w losowaniu, które odbywało się w jej parafii, nie miała szczęścia.

– Czy mogę już iść do domu? – zapytała Marianna. – Będziemy się przygotowywać do chrztu. To będzie nasz mały Pietro.

– To dla mnie wielki zaszczyt – zapewnił profesor, głęboko wzruszony wyborem imienia.

W drzwiach stanęła właśnie żona profesora. Pogłaskała czule gosponię po ramieniu niczym własną babcie, dziękując za pomoc. Marianna pożegnała się i przeszła do holu. Założyła już buty i płaszcz, gdy zaczął dzwonić telefon. Ponieważ była najbliżej, podniosła słuchawkę:

– Tak, to mieszkanie profesora Farellego – potwierdziła, po czym na jej twarzy pojawiły się gorące rumieńce, jakby właśnie doznała ekstazy. Odwróciła się do profesora, który podszedł do telefonu i wyszeptała z przejęciem, zakrywając dłonią słuchawkę: – Panie profesorze... albo... albo to jakiś żartowniś, albo... albo ojciec święty!

Profesor chwycił natychmiast słuchawkę.

– Dzień dobry, profesor Farelli przy telefonie – oznajmił, a po chwili szybko dodał: – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Nie, wasza świątobliwość, nie przeszkadza ojciec. Tak, naturalnie, że mogę się spotkać. Jeśli to pilna sprawa, mogę być w Watykanie w ciągu godziny. – Po chwili pożegnał się i odłożył słuchawkę. –

To nie był żart, moja droga Marianno – zwrócił się do gospośni podekscytowanej krótką rozmową. – To naprawdę był ojciec święty.

## ROZDZIAŁ IV

John był w duchu wdzięczny koledze. Powrotna droga do ambasady zabrała im nieco ponad godzinę, ale Tom nie zadawał zbyt wielu pytań, choć zapewne doskonale zdawał sobie sprawę, że jego kolega nie jest po rozmowie z tajemniczym człowiekiem w najlepszym nastroju. McDowell bił się z myślami. Fundament, na którym budował swą przyszłość, runął niczym domek z kart. Kochał Joannę, ale przecież związek oparty na kłamstwie nie miał najmniejszego sensu. Jeśli rzeczywiście go pokochała, to już dawno powinna powiedzieć mu prawdę. Wybaczyłby, zrozumiał. Ona jednak milczała, grała. Dostanie więc to, czego chciała. On też zagra. Będzie udawał głupio zakochanego durnia, który niczego się nie domyśla. W odpowiednim czasie i miejscu ten głupiec, ten omamiony idiota sam przejdzie do ataku. Trzeba tylko jeszcze pamiętać, by wyciąć część nagranej rozmowy, która dotyczyła Joanny. Ta gra była tylko jego sprawą.

Gdy wszedł do ambasady, natychmiast udał się do ambasadora.

– Przepraszam ambasadora i przekaz, że to naprawdę ważna sprawa – nalegał, gdy sekretarka oznajmiła, że musi poczekać, bo jej szef właśnie przyjmuje kogoś ważnego z ambasady Francji.

Dziewczyna zapukała i zniknęła za drzwiami. Po chwili wyszedł ambasador. Widząc Johna, uśmiechnął się, wyraźnie rozbawiony.

– Słyszałem, że zażywałeś joggingu pod nogami mojej żony. Tylko mam prośbę, John, nie rozpowszechniaj wiedzy, jakiego koloru bieliznę nosi moja szanowna małżonka. – Szef poklepał Johna po ramieniu, śmiejąc się dobrodusznie.

– Panie ambasadorze, proszę o pięć minut natychmiastowej rozmowy w klatce – poprosił John poważnym tonem, przerywając wesołkowate komentarze szefa. Wiedział, że każdy w życiu ma swoje pięć minut, chwilę, która decyduje o zwycięstwie lub klęsce. Jemu los zesłał owe pięć minut właśnie teraz. Albo je wykorzysta i wróci do centrali w glorii chwały, albo wyleją go na zbity pysk, a być może – po ujawnieniu informacji o Joannie – oskarżą o szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa.

Ambasador spoważniał i obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Wiesz, że nie lubię zostawiać gości samych. Pani Ania – kiwnął porozumiewawczo głową w stronę sekretarki – będzie musiała dokończyć partię szachów za mnie i rozweselać ambasadora kochanej Francji.

Kiedy znaleźli się w klatce, czyli pomieszczeniu zabezpieczonym przed podsłuchami, John zdał relację ze spotkania, poprosił o zezwolenie na powiadomienie

centrali CIA, a także pośrednictwo w kontakcie z sekretarzem stanu. Ambasador po krótkim zastanowieniu wyraził zgodę. Doskonale rozumiał powagę sytuacji. Ta sprawa – jeśli okazałaby się wiarygodna – zapewni temu młodemu oficerowi awans, a i na niego samego także spłynie część splendoru.

John po wyjściu z klatki, mimo iż w Stanach było już późno, wykonał telefon do centrali w Langley i poprosił o rozmowę ze swoim szefem, Kennethem Murphym, odpowiadającym za Europę Środkowo-Wschodnią. Szef był pracoholikiem i przesiadywał w biurze do późnych godzin wieczornych. I rzeczywiście, po minucie usłyszał w słuchawce znajomy głos.

– Mam niedobre wiadomości. Odnowiła mi się kontuzja z wojska, straciłem na chwilę przytomność. Obawiam się, że to coś poważnego. Badał mnie doktor Jones i twierdzi, że powinien zobaczyć mnie także doktor Hancock. Zwłaszcza ostatnie wyniki moich badań. Nalega, bo liczy się każdy dzień – powiedział John, starannie wypowiadając każde zdanie.

– Dobrze – odparł Kenneth. – Jeśli stan twojego zdrowia nie ulegnie poprawie, daj znać, a jutro wyślę doktora Hancocka do Bonn. To najlepszy neurolog, jakiego znam. Będzie w stanie ci pomóc.

– Dzięki, szefie – rzucił krótko John i odłożył słuchawkę.

Był to rodzaj umówionego kodu, który oznaczał, że w Polsce wydarzyło się coś bardzo ważnego, co wymaga interwencji i oceny centrali. Po godzinie Kenneth otrzymał następny telefon, tym razem od sekretarza stanu, z prośbą, by do Niemiec poleciał także szef CIA. Kenneth zrozumiał, że w Warszawie wydarzyło się coś naprawdę ważnego.

John, choć mógł liczyć na natychmiastową pomoc szefa, zdawał sobie sprawę, że czas goni. Musiał przejrzeć mikrofilmy w ciągu godziny i ocenić ich przydatność. Zbiegł po schodach do piwnic ambasady, w których mieściły się pomieszczenia gospodarcze i ciemnia. Tam pracował z technikiem ambasady posiadającym zezwolenie na dostęp do tajnych materiałów. Człowiek ten nie mógł opuścić terenu ambasady bez obstawy dwóch agentów. Starannie wywoływali i obrabiali zawartość każdej paczuski dostarczonej przez Piotra.

McDowell po upewnieniu się, że wszystko idzie zgodnie z planem, wrócił na górę do siebie i postanowił wykonać jeszcze jeden telefon.

– Cześć, kochanie, mam złe wiadomości – oznajmił spokojnie, gdy usłyszał znajomy głos narzeczonej. – Zemdlałem trzy godziny temu w pracy. Jeżeli doktor się uprze, będę musiał lecieć do Niemiec do naszej kliniki na badania.

– John, mogę ci załatwić wizytę w klinice MSZ – w jej głosie pobrzmiwała nuta prawdziwego niepokoju.

John już sam nie wiedział, czy jeszcze ufa czemukolwiek, co mówiła. Wszelkie rozważania jednak zepchnął gdzieś na dalszy plan. Trzeba było kontynuować grę pozorów.

– Znasz nasze procedury i wiesz, że jeśli ten cholerny doktor Jones każe mi jechać, to nie będę miał wyjścia – kłamał jak z nut. – Jutro rano zadzwonię. Kocham

cię – dodał czule i zakończył rozmowę.

Oparł łokcie na blacie biurka i przetaił dłońmi zmęczoną twarz. Wiedział jednak, że nie ma czasu rozczulać się nad własną sytuacją. Dochodziła północ, a noc zapowiadała się na pracowitą i nieprzespaną. Trzeba było wraz z Tomem przejrzeć wywołane mikrofilmy. Choć potrzebny był biegły tłumacz języka polskiego, to jednak wstępna ocena materiałów należała do niego. Powiększone zdjęcie „żebraka” – jak nazywał pułkownika w myślach John – mogło też pozwolić na zidentyfikowanie go w bazie CIA.

Zbiegł znowu na dół i zaopatrzony w materiały przygotowane przez technika wszedł do sali operacyjnej. Zdjęcia „żebraka” wrzucił do skanera i połączył się z komputerową bazą CIA. Specjalny program zaczął przeszukiwać bazę, porównując rysy twarzy i zarys sylwetki z fotografią. John wiedział, że jeżeli pułkownik wykonywał zadania na zachodzie Europy, na przykład pod przykrywką dyplomaty, to istnieje szansa, że został zarejestrowany w bazie. Kim pan jest, pułkowniku Mróz? – zastanawiał się John, wpatrując się w migające na monitorze obrazy. Po paru minutach komputer wyrzucił wyniki poszukiwań. Na ekranie pojawiły się dane osobowe i zdjęcia „żebraka”. A nawet całe serie zdjęć. Pierwsze pochodziły z 1973 roku i zostały wykonane w ambasadzie PRL w Bonn. Na zdjęciach pułkownik miał kruczoczarne włosy, sportową sylwetkę, która – co John musiał przyznać – mimo upływu lat się nie zmieniła. Druga seria pochodziła z 1985 roku i wykonano ją w Monachium, Hamburgu i Kolonii. Według informacji z bazy danych podczas pierwszej wizyty pułkownik podawał się za Henryka Piskulę, za drugim razem za Tomasza Gawrońskiego. Za każdym razem przedstawiany był jako attaché kulturalny przy ambasadzie PRL.

John postanowił sprawdzić również nazwisko, pod którym występował pułkownik obecnie. Wpisał Piotr Mróz i czekał na wynik wyszukiwania. Na ekranie pojawił się komunikat o braku danych. Ledwie oderwał wzrok od monitora, gdy wszedł Tom.

– Chodź! To niezła lektura. Jeżeli to jest autentyczne i dostaniemy całość archiwum, to w centrali będą mieli niezły orzech do zgryzienia – kolega Johna był bardzo podekscytowany.

Przeszli do sąsiedniego pomieszczenia. John zaczął przeglądać klatki mikrofilmu. Czytał kolejne nazwiska i dane. Powoli docierało do niego, że ma przed sobą tajne archiwum. Zastanawiał się, kto, jak i po co zebrał te informacje.

– Ta wiedza warta jest grube miliardy dolarów – zwrócił się do Toma, nie odrywając oczu od powiększalnika.

Na ekranie pojawiała się właśnie zdjęcie klepsydry z nazwiskiem oraz zdjęcia artykułów prasowych na temat tajemniczej śmierci w lipcu tego roku wysokiego rangą urzędnika NIK, który zajmował się aferą FOZZ. John zrozumiał, że pułkownik chciał dać mu do zrozumienia, że posiadanie tej wiedzy i próba przekazania jej innym to pewny wyrok śmierci.

– Idę zadzwonić do Kennetha, wdepnęliśmy w niezłe bagno. Oby nas tylko nie wciągnęło – stwierdził z niepokojem John. – Jutro spotkasz się z panem X i zapytasz go o Piotra Mroza. Dowiedz się, kim był i co robił. Zaproponuj mu tysiąc dolarów za

jego teczkę. Tylko nie możesz się zdradzić, że z nami rozmawiał. Ja muszę jak najszybciej lecieć do Niemiec. Trzeba działać szybko, tylko tak, aby z tamtej strony nikt się nie zorientował, że coś się dzieje.

## ROZDZIAŁ V

Szwajcarski gwardzista wprowadził profesora Farellego do prywatnych papieskich apartamentów. Oczom gościa ukazał się skromny gabinet, w którym centralne miejsce zajmowało sporych rozmiarów biurko zarzucone, podobnie jak wszystkie jasne szafki i regały przy ścianach, niezliczoną ilością książek, periodyków i gazet. Wewnątrz niektórych otwartych tomów profesor zauważył odręczne notatki i komentarze. Gospodarz tego miejsca musiał być niezwykle zapracowaną osobą, chłonącą wręcz wiedzę i ciekawą bieżących wydarzeń i opinii.

Profesor jeszcze dobrze nie przekroczył progu, gdy usłyszał ciepły, serdeczny głos:

– Witam szanownego profesora. – Jan Paweł II wyciągnął dłoń na powitanie.

Profesor widział się kilkakrotnie z ojcem świętym. Raz nawet udało mu się zamienić z nim kilka słów podczas papieskiej wizyty u chorych w jego klinice, jednak dzisiejsze spotkanie było dla niego dużym zaskoczeniem. Przyklęknął i ucałował pierścień papieski, oddając należyty hołd głowie Kościoła katolickiego. Papież nie zdążył cofnąć ręki, ale szybko ojcowskim gestem położył dłoń na ramieniu swego gościa, dając mu znak, by wstał.

– Nie trzeba, profesorze, jestem panu wdzięczny, że mimo późnej pory znalazł pan czas i chęć, by mnie wysłuchać – stwierdził wprost, wskazując jeden z foteli przy niewielkim, drewnianym stoliku z okrągłym blatem. – Czego pan raczy się napić? Może odrobinę chilijskiego wina? Jest wspaniałe, o wiele lepsze od wina mszalnego – w głosie papieża pobrzmiwało rozbawienie.

– Jak na spowiedzi przyznam się, że jako młodemu chłopakowi służącemu do mszy świętej przytrafiło mi się skosztować wina mszalnego i rzeczywiście nie było dobre – roześmiał się profesor.

– Poproś, Stasiu – papież zwrócił się do księdza Dziwisza, który właśnie próbował uprzątnąć nadmiar książek ze stolika – o podanie czcigodnemu profesorowi naszego wina.

Kiedy usiedli w fotelach, ojciec święty rozpoczął rozmowę.

– Drogą profesorze. Wiem, że jest pan człowiekiem niezwykle zajęтым i w dodatku został pan dziadkiem. Korzystając z okazji, gratuluję wnuczki. Jak mała ma na imię?

– Dziękuję, ojciec święty, na imię ma Dominique. To na cześć swojej nieżyjącej prababci, matki mojej żony – odparł profesor. – Dzięki Bogu, jest zdrowa.

– To najważniejsze, profesorze – papież pokiwał głową ze zrozumieniem. Jego

twarz spoważniała, a w oczach pojawił się cień smutku. – W swojej pracy spotyka się pan z cierpieniem i chorobą. Sława pańskich umiejętności i osiągnięć dotarła nawet do mej ukochanej ojczyzny.

– Ależ wasza świętobliwość, ja mam tylko zaszczyt kierować zespołem wspaniałych i oddanych sprawie lekarzy. Sam bym nic nie osiągnął – odparł z wrodzoną skromnością profesor, ale papież uniósł dłoń w charakterystycznym dla siebie geście i przerwał mu, uśmiechając się serdecznie.

– „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili”. Choć to wspaniała cnota, ale jest pan, profesorze, zbyt skromny. Żywię wielkie uznanie i szacunek dla pana niezwyklej pracy na rzecz życia. To właśnie w związku z tym poprosiłem o spotkanie z panem.

– Słucham, ojcze święty, jak mógłbym pomóc? – spytał skwapliwie profesor.

– Odebrałem dzisiaj telefon od mojego przyjaciela, którego znam trzydzieści lat i który jest mi bliski niczym brat. To postać nietuzinkowa, niosąca świadectwo prawdy, poświęcenia i miłości bliźniego. – Papież wstał i sięgnął po trzy książki, które leżały na biurku. Położył je na stoliku przed profesorem i objaśnił: – Pierwsza i druga opisują męczeńską drogę naszego polskiego duchowieństwa w czasach drugiej wojny światowej i stalinizmu. Trzecia jest niczym apel o wsparcie i pomoc dla mieszkańców Afryki. Zanim poproszę pana o pomoc dla tej osoby, pozwoli pan, że powiem o niej jeszcze kilka słów.

Dalszą rozmowę przerwało im ciche pukanie. Drzwi gabinetu uchyliły się i weszła siostra zakonna, która na tacy niosła kieliszki i karafkę. Za nią pojawił się ksiądz Dziwisz. Siostra postawiła tacę na stoliczku, a papieski sekretarz nalał wina do dwóch kieliszków. Oboje mieli już wychodzić, gdy papież wskazał na kanapę i poprosił:

– Stasiu, przysiądź się do nas i skosztuj niezwykle zdrowego trunku. –

Uśmiechnął się do zakonnicy, która w lot zrozumiała prośbę, niemal bezszelestnie opuściła gabinet, by po chwili wrócić z jeszcze jednym kieliszkiem. – Niech pan skosztuje, panie profesorze. Za zdrowie pańskiej wnuczki Dominique – rzekł uśmiechnięty papież, gdy siostra zostawiła ich samych, upewniwszy się wcześniej, że nikomu niczego nie brakuje.

– Dziękuję, ojcze – odparł rozpromieniony profesor. – Wspaniałe, dotychczas nie dane mi było pić tak pysznego wina. Jeśli mogę zapytać, jaki to rocznik?

– Rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy. Dostałem większą ilość na samym początku mojego pontyfikatu – wyjaśnił ojciec święty. – Dotychczas żaden z moich gości nie powiedział, że mu nie smakuje – dodał, unosząc palec do góry, jakby chciał podkreślić wagę tego stwierdzenia.

– To zapewne z grzeczności – zauważył, udając poważny ton ksiądz Dziwisz. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a profesor z ulgą stwierdził w duchu, że cudowny trunek i wspaniała atmosfera ukoiliły jego tremę.

– Ale przejdźmy do rzeczy, drogi profesorze – powiedział papież, znów wyraźnie posmutniawszy. – Ten ksiądz, a właściwie mój brat, bo tak go w życiu traktuję, do tej pory nigdy o nic mnie nie poprosił, a jest to, jak już wspomniałem, postać nietuzinkowa. Z jednej strony wybitny historyk, społecznik i działacz



solidarnościowy, a z drugiej skromny, cichy człowiek, które całe życie niesie pomoc bliźnim, dźwigając brzemień ogromnej tragedii z czasów wojny. – Profesor słuchał z coraz większym zaciekawieniem, a papież kontynuował: – W czasie wojny stracił całą rodzinę. Sam cudem ocalał i widocznie Najświętsza Pani, której zawierzył swoje życie, miała go w opiece. Niespełna dwa miesiące później zdarzył się następny cud, kiedy to zdrajca wydał Niemcom miejsce obozowania jego oddziału partyzanckiego. Zaskoczeni wczesnym rankiem, zginęli wszyscy. Później Matka Nasza Przenajświętsza również go nie opuszczała i dlatego, kiedy pierwszy raz poprosił mnie o pomoc, musiałem zwrócić się z tym do profesora.

– Ten ksiądz był w partyzantce? – zapytał zaskoczony profesor.

– Tak, walczył z Niemcami w szeregach podziemnej Armii Krajowej. Był członkiem oddziału partyzanckiego działającego w Górach Świętokrzyskich – wyjaśnił papież. – Niemcy panicznie się ich bali, nazywając oddziałem duchów. Takie to nasze trudne, polskie losy.

– Najmocniej przepraszam, ojcze święty, przerwałem ojcu, ale zaciekawiła mnie ta historia. Jak mogę pomóc?

– Drogi profesorze. W jedynej żyjącej rodzinie tego księdza pojawił się maleńki skarb, Maria. Dziewczynka, która ma obecnie trzy miesiące, urodziła się z poważną wadą serca, a mówiąc precyzyjnie, z dziurką w sercu. Nasi najlepsi lekarze nie dają jej dużych szans na przeżycie, nie mają odpowiedniego sprzętu i doświadczenia – wyjaśniał ze smutkiem papież.

– Gdzie teraz przebywa to dziecko? – zapytał z troską profesor.

– W Warszawie, w Centrum Zdrowia Dziecka. To jeden z naszych najlepszych szpitali.

Profesor zamyślił się głęboko i podniósł kieliszek, przez jakiś czas trzymając go w dłoniach. Po paru sekundach skosztował łyk wina i wyjaśnił:

– Osiągnięcia mojego zespołu są duże dzięki nowym metodom operacyjnym, ale sprzęt, którym dysponujemy, z przyczyn technicznych, możemy wykorzystać tylko w klinice Gemelli. Możemy przewieźć małą do nas, dokładnie zdiagnozować i zdecydować, co dalej. Być może uda nam się naprawić to małe serduszko. Mamy nowy specjalny ambulans, ale rodzina musi wyrazić zgodę. To poważne ryzyko – zawiesił głos i dopiero po chwili dodał: – Wie wasza świątobliwość, że oprócz sukcesów niekiedy zdarzają się i porażki. Nie wszystkie operacje się nam udają.

– Jak nam wszystkim – stwierdził papież, po czym poprosił księdza Dziwisza o dolanie wina profesorowi.

– Dziękuję. – Profesor skinął głową. – Co do mojego zespołu, ma go ojciec święty do swojej dyspozycji. Jeśli z medycznego punktu widzenia okaże się to możliwe, a rodzina podejmie taką decyzję, wykonamy operację w możliwie szybkim terminie. W takim przypadku potrzebna jest zgoda zarządu kliniki. Jeśli chodzi o transport, muszę prosić o pomoc, ponieważ właścicielem karetki jest firma Fiat, a że jest to egzemplarz testowy, muszę mieć zgodę koncernu na jego użycie poza granicami kraju.

– Czy nie obrazi się pan, jeżeli wykonam w tej sprawie telefon? – papież najwyraźniej był już przygotowany na taką sytuację. Poprosił księdza Dziwisza, by połączył go natychmiast z kardynałem Casarolli. Papież doskonale znał możliwości swego sekretarza stanu. Z wieloma możliwymi Włoch był po imieniu, z niektórymi łączyła go przyjaźń. Nawet w najdelikatniejszych sprawach potrafił być bardzo, ale to bardzo skuteczny. Zazdrośni kardynałowie i biskupi żartowali, że gdzie diabeł nie może, tam Agostino pośle. Ale kardynał Casarolli miał też słabość. Śmiano się, że dałby się spalić na stosie za dwie rzeczy. Kościół i piłkę nożną. Kochał futbol wzorem każdego prawdziwego Włocha i czasem nie mógł zrozumieć, jak można nie interesować się tym sportem.

Po chwili zadzwonił telefon. Papeż podniósł słuchawkę.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Maryja Panna.

– Niech będzie pochwalony. Co ojca zmusiło do telefonu o tej porze? – zapytał zdziwiony kardynał Casarolli.

– Jak zwykle ważna sprawa, mój drogi przyjacielu. Gratuluję zwycięstwa niezwykłej Romie – rzucił papież, wiedząc, że kardynał jest niemal fanatycznym kibicem tego klubu.

– Ojcie święty, to tylko zwycięstwo na otarcie łez. Tydzień temu przegraliśmy z Interem. I to u siebie – kardynał był wyraźnie niepokieszony i nieomal nie przeklął, ale w porę ugryzł się w język.

– Nic się nie martw, przyjacielu, jeszcze twoja Roma będzie wielka – odparł, pocieszając kardynała, papież.

– Niestety, ojcie, od kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym Boniek zakończył karierę, ciągle nie widać godnego następcy. Chyba musimy czekać na kolejnego rodaka ojca świętego – zażartował kardynał.

– Kto wie, kto wie – odparł z uśmiechem papież.

– Ale to zapewne nie zwycięstwo Romy jest powodem telefonu jego świątobliwości o tej porze. W czym mogę pomóc? – spytał Casarolli, odzyskując swoje zwykle bardzo pragmatyczne podejście do rzeczywistości.

– Mamy tu dwie pilne sprawy. Towarzyszy mi właśnie czcigodny profesor Farelli, który zgodził się przebadać i wykonać operację serca trzymiesięcznej dziewczynki – wyjaśnił papież. – Dziewczynka znajduje się w Warszawie i do jej przewiezienia potrzebna jest karetka, której właścicielem jest firma Fiat. Jest to egzemplarz prototypowy, więc potrzebna jest zgoda Fiata na jej bezpłatne użycie poza terytorium Włoch. A druga sprawa to zgoda zarządu kliniki na operację i użycie najnowszego sprzętu do jej przeprowadzenia.

– Rozumiem, że czas gra istotną rolę – upewnił się kardynał Casarolli.

– Tak, przyjacielu, jak to się mówi w mojej ojczyźnie, to jest sprawa na wczoraj – odrzekł papież.

– Rozumiem, dwadzieścia minut wasza świątobliwość i oddzwonię – kardynał szybko się rozłączył.

Papież wrócił do profesora i usiadł w fotelu.

– Niezłe tempo – stwierdził z podziwem lekarz.

– Staramy się, jak możemy. W tej sprawie nie ma na co czekać. – Papież zamyślił się na parę sekund, skosztował łyk wina i spytał wprost: – A czy moja osoba mogłaby się na coś przydać czcigodnemu profesorowi?

Po chwili ciszy Farelli odparł:

– To, że dzisiaj mogę robić to, co robię, to zasługa mego ojca, Vincenzo. Tylko dzięki temu, że przeżył wojnę i wrócił do domu, zostałem lekarzem. To on mnie ukształtował i pokazał mi, czym jest służba innym. Jestem mu za to niezmiernie wdzięczny. Było to możliwe, ojciec święty, dzięki pewnemu małemu chłopcu pasącemu bydło, który pomógł mojemu ojcu i polskim partyzantom spod Lwowa. Partyzanci ci należeli do wspomnianej przez ojca Armii Krajowej, dlatego opowieść o księdzu zainteresowała mnie szczególnie. – Papież i ksiądz Dziwisz słuchali coraz bardziej zdumieni, nie przerywając, a profesor ciągnął dalej swoją opowieść: – Otóż kiedy Włochy wycofały się z wojny, mój ojciec przebywał na froncie wschodnim. Jego pułk liczył już tylko około tysiąca ludzi. Wśród nich było wielu rannych i chorych. Niemcy nie wiedzieli, jak zachowają się byli już sojusznicy, i wycofali włoskie jednostki na tyły frontu w rejon Lwowa. Tam żołnierzom włoskim kazano złożyć broń, obiecując przetransportowanie wszystkich kolejną do rodzinnego kraju. Po rozbrojeniu żołnierze zamiast do ojczyzny trafili do obozów jenieckich, w których Niemcy w nieludzkich warunkach przetrzymywali jeńców rosyjskich. Po kilku dniach zaczęto wywozić z obozu po stu jeńców włoskich, rzekomo w kierunku stacji kolejowej. Nasi żołnierze szybko jednak zorientowali się, że grupy te są wywożone w ustronne miejsce, a następnie rozstrzeliwane. Na ucieczkę z obozu nie było szans, strażnicy niemieccy zachowywali wzmożoną czujność, dodatkowo patrolując teren przy pomocy psów. Ojciec jednak zauważył dziesięcioletniego chłopca, który pasł krowy na łące. Robił to codziennie, więc strażnicy nie zwracali na niego uwagi. W obozie pozostało ich raptem pięciuset. Ojciec wiedział, że wkrótce przyjdzie kolej i na niego. Miał przy sobie bandaż, rozciął lekko palec i krwią napisał „pomocy”. Zawinął bandaż w kamień i kiedy strażnicy byli odwróceny, rzucił w kierunku chłopca, modląc się, aby ten zauważył jego przesyłkę. Chłopiec po chwili namysłu ruszył w kierunku zawiniątka i nie zważając na strażników, podniósł je i schował do kieszeni, zabrał krowę i ruszył w stronę pobliskiego lasu. Zapewne sam nie rozumiał napisanego po włosku słowa, ale kamień trafił do polskiego oficera, dowódcy oddziału partyzanckiego, w którym znalazł się człowiek znający nieco włoski. Po wysłuchaniu chłopca postanowiono pomóc nieszczęsnym jeńcom. Oddział o północy zaatakował obóz, ostrzelał niemieckie wieże strażnicze i patrole chodzące z psami wzdłuż drutów. Wykorzystując zamieszanie, pozostała część oddziału przecięła w kilku miejscach druty w ogrodzeniu i zaczęła nawoływać jeńców włoskich do ucieczki. Ci rzucili się do dziur w płocie, jednak z drugiej strony obozu, gdzie nie udało się wyeliminować wszystkich esesmanów, Niemcy otworzyli do stłoczonych jeńców ogień z karabinów maszynowych. Była to istna rzeź. Z pięciuset jeńców zostało zaledwie około stu, reszta zginęła od razu lub została później wymordowana przez Niemców i pomagających im Ukraińców. Już po uwolnieniu ojciec dowiedział

się, że jeńców rozstrzelowano w odległym o blisko dziesięć kilometrów kamieniołomie, a ich zwłoki palono na stosach. Ojciec, jako chirurg, pomógł partyzantom, ponieważ mieli wielu rannych. Pozostali ocaleni jeńcy utworzyli tak zwaną kompanię włoską. Wielu z nich poległo, walcząc u boku Polaków przeciwko niedawnym sojusznikom. Ojciec miał szczęście. W czasie walki oddział Armii Krajowej połączył się we wspólnej akcji z partyzantką sowiecką i uratował jakiegoś wysokiego rangą oficera NKWD, który z wdzięczności umożliwił Włochom powrót do ojczyzny – zakończył długą opowieść profesor i dodał: – Może to właśnie ja będę teraz mógł spłacić dług ojca wobec Polaków.

Wszyscy obecni byli wyraźnie wzruszeni, chwilową ciszę jako pierwszy przerwał ksiądz Dziwisz:

– Pana ojciec wiele przeszedł...

Profesor przytaknął. Przerwał mu dzwonek telefonu. Ksiądz Dziwisz odebrał i zwrócił się do papieża:

– To kardynał Casarolli.

Ojciec święty przejął słuchawkę i spokojnym głosem zapytał:

– Mam nadzieję, przyjacielu, że masz dobre wieści.

– Tak, wasza świątobliwość, dla bezpieczeństwa małej pacjentki wyślemy dwie karetki, gdyż druga stoi już gotowa na terenie fabryki. Właściciele koncernu, moi przyjaciele, kiedy dowiedzieli się o prośbie ojca świętego, byli uradowani, że mogą w jakiś drobny sposób pomóc w tym zacnym przedsięwzięciu – w głosie kardynał pobrzmiwała nuta samozadowolenia. – Co do zgody zarządu na użycie sprzętu medycznego, to już jest, a jutro rano na biurku profesora będą czekały odpowiednie dokumenty.

– Świetnie, drogi kardynale – ucieszył się papież.

– To nie koniec – poinformował rozmówca. – Ponieważ zostało trochę czasu, pozwoliłem sobie zadzwonić do szefa naszej włoskiej policji, który będzie ubezpieczać transport do granicy i z powrotem. Obiecał, że stosowna eskorta będzie czekała w każdym państwie, przez które będzie przejeżdżał transport. Jak tylko profesor Farelli poda termin, to będzie w tej sprawie dzwonił do szefów policji poszczególnych państw.

– Jestem pod wrażeniem, kardynale – z niekłamanym podziwem powiedział papież. – Wiesz, mój przyjacielu, dlaczego twój ukochany klub przegrywa?

– Nie wiem – odparł nieco zdziwiony Agostino.

– Bo nie ma takiej taktyki i trenera jak ty – papież się roześmiał.

Po kilku uprzejmościach zakończyli rozmowę. Profesor już układał plan całej akcji.

– Będę musiał, wasza świątobliwość, skontaktować się jak najszybciej z lekarzem w klinice w Polsce i z rodziną dziewczynki. Potrzebuję także tłumacza, który poradzi sobie z fachowym tłumaczeniem. Lekarze, których zamierzam wysłać, nie znają języka polskiego, a szczegóły są bardzo ważne – podkreślił.

– To moje zadanie. Osoba, której zechciał profesor pomóc, to biskup Michał Żyła.

On doskonale zna język włoski, a poza tym poproszę, aby do Warszawy udała się z wami siostra Faustyna, która pomaga mi od początku pontyfikatu. To osoba, która studiowała medycynę we Włoszech, całe życie spędziła z chorymi i zna fachową terminologię – oznajmił papież.

Już mieli się żegnać, gdy profesor nieśmiało zapytał:

– Czy mogę mieć jedną prośbę do ojca świętego?

– Ależ przyjacielu, jestem twoim dłużnikiem.

– W najbliższe święta w bazylice Świętego Piotra będzie chrzczonych dwadzieścioro dzieci i czy mógłbym prosić... – Farelli się zawahał.

– Drogi profesorze, więc będziemy chrzcili w te święta także dwudzieste pierwsze, prawda, Stasiu? – zaśmiał się papież.

– Tak, oczywiście – odruchowo przytaknął nieco zbity z tropu ksiądz Dziwisz.

– Dwadzieścia jeden to szczęśliwa liczba, prawda, Stasiu? No co ty, nie grałeś nigdy w oczko? – dodał z przekąsem papież.

– Dziękuję, ojcie święty – powiedział z wdzięcznością profesor. – Tu chodzi o najmłodszego wnuczka mojej gosposi. Spełni się jej marzenie. Serdecznie dziękuję.

– Będzie więc nowy, ochrzczony skarb i uszczęśliwiona babcia. Czego chcesz więcej? – odparł z uśmiechem papież i odprowadził gościa do drzwi.

Ustalili, że do południa następnego dnia profesor przyjedzie do Watykanu na naradę i wspólnie ustalą dalsze działania. Już w drzwiach Farelli odwrócił się i poprosił jeszcze:

– Czy wasza świętobliwość mógłby jutro poświęcić mi chwilę czasu w osobistej sprawie?

– Ależ naturalnie, profesorze, od tego jestem – odparł łagodnie papież.

Po wyjściu gościa ksiądz Dziwisz zakłopotany zmianą panującego zwyczaju i etykiety w czasie chrztu zapytał:

– Wiesz, Karolu, co oznacza dwadzieścia jeden w grze w oczko?

Jan Paweł II spojrział na swego sekretarza pytająco.

– Forse – odparł ściszym głosem ksiądz Dziwisz. Roześmiali się szczerze.

Kiedy byli razem, ojciec święty prosił sekretarza, aby ten zwracał się do niego po imieniu – to przypominało mu czasy, kiedy był jeszcze tylko Karolem Wojtyłą.

## ROZDZIAŁ VI

Pułkownik Piotr Mróz po pożegnaniu z Johnem wrócił do zielonego pokoju i sięgnął po szklankę z resztkami zimnej już kawy. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu. Posprzątał drewniany stół i z pietyzmem ułożył wszystkie serwetki. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Znowu zdawało się opuszczone i pokryte patyną czasu, jakby już zapomniało o obecności dwóch dziwnych, nerwowych mężczyzn.

Pułkownik odczekał dobre pół godziny i upewniwszy się, że nie jest śledzony, pojechał do Warszawy. Na Starówce czekał na niego człowiek, którego znał od ponad trzydziestu lat. Był to jubiler i antykwariusz prowadzący na parterze jednej z kamienic Starego Miasta znany antykwariat. Nad pomieszczeniem wypełnionym książkami, pożółkłymi czasopismami i mniej lub bardziej cennymi bibelotami znajdowało się przestronne mieszkanie właściciela, postaci co najmniej nietuzinkowej. Za czasów komunizmu był on swego rodzaju łącznikiem między światem władzy i przestępczym półświatkiem. Na zapleczu antykwariatu załatwiano nielegalne interesy, handlowano walutami, kradzionymi dziełami sztuki, złotem i szlachetnymi kamieniami. Negocjowano z przedstawicielami wymiaru sprawiedliwości złagodzenie wyroków dla przestępców, oferując oczywiście najczęściej olbrzymie łapówki lub inne korzyści. Nie było chyba gangstera, prokuratora czy sędziego, który nie zetknąłby się z nazwiskiem Zenobiusza Piotrowskiego. Pułkownik Mróz, kiedyś, gdy zaledwie rozpoczynał swą karierę, pomógł słynnemu antykwariuszowi, choć początek ich znajomości nie wróżył nic dobrego. Chodziło oczywiście o paserstwo dzieł sztuki. I być może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt sprzedania jednemu z czołowych komunistycznych baronów lat sześćdziesiątych obrazu Wojciecha Kossaka po bardzo wygórowanej cenie. Warto dodać, że był to jeden z obrazów, który rzekomo miał zaginąć w czasie drugiej wojny światowej. Człowiek, który go kupił, towarzysz Józef, miał dwie pasje – piękne kobiety i szybkie samochody. Pewnego dnia postanowił poszerzyć swoje zainteresowania i rozpocząć kolekcjonowanie dzieł sztuki. W podwarszawskiej rezydencji, w której mieszkał na co dzień, chciał stworzyć prywatną galerię sztuki. Myśl o Kossaku, jako jednym z pierwszych dzieł w kolekcji, działała na niego wręcz hipnotyzująco. Oczami wyobraźni widział już tłumy dygnitarzy i dostojników przybywające do rezydencji i z zazdrością podziwiające płótno znanego polskiego malarza. Musiał go mieć. Zaczął obmyślać chytry plan, który umożliwiłby mu legalizację obrazu. Kiedy dowiedział się, że osoba przetrzymująca obraz chce go wywieźć potajemnie z kraju i sprzedać jakiemuś zachodniemu milionerowi, postanowił działać. Za pośrednictwem Zenobiusza, wówczas początkującego antykwariusza, towarzysz Józef zaproponował niebotyczną,

jak na polskie realia, sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów amerykańskich. Antykwaryusz był gwarantem transakcji i autentyczności obrazu, jednak aby upewnić się co do tego ostatniego, towarzysz Józef przez podstawioną osobę zlecił ekspertyzę znanemu krakowskiemu profesorowi Akademii Sztuk Pięknych. W środowisku uchodził on za znawcę Kossaka. Ostatecznie transakcji dokonano w jednej z warszawskich kancelarii notarialnych. Profesor obejrzał obraz, a po stwierdzeniu jego autentyczności, zgodnie z umową – notariusz przekazał Zenobiuszowi pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. W sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, na przebieg ekspertyzy i finalizację zakupu czekał z niecierpliwością sam towarzysz Józef. Gdy wreszcie obraz trafił w jego ręce, jego ekscytacja sięgnęła zenitu. Spełnił się jego sen. Miał Kossaka.

W szybkim tempie galerię zapełniały kolejne dzieła, oglądane z podziwem przez coraz większą rzeszę wpływowych osób. Zgodnie z przewidywaniami hasło „Kossak” działało niczym magnes. Do czasu. Pewnego dnia z wizytą w Polsce przebywał członek jednej ze znanych polskich rodzin hrabiowskich, która w czasie wojny została zmuszona do emigracji i osiadła w Londynie. Towarzysz Józef, który chciał uchodzić zarówno za wybitnego męża stanu, jak i mecenasa sztuki narodowej, postanowił skorzystać z okazji i zaprosił hrabiego na koniaczek do swojej rezydencji, wiedząc, że gość jest znanym kolekcjonerem dzieł sztuki. Jakież było jego zdziwienie, kiedy pan hrabia, po dokładnym zlustrowaniu płótna, stwierdził z prawdziwym uznaniem:

– Doskonała kopia!

Towarzysz Józef zbladł, a kieliszek niemal nie wypadł z jego dłoni. Położył rękę na kołatającym niespokojnie sercu, a był już po zawale, i wyjąkał:

– Jest... jest pan pewien... pewien, że to nie oryginał?

– Ależ drogi panie, oryginał jest w naszych zbiorach w Londynie – odparł z uprzejmym uśmiechem hrabia.

– Ale przecież ten obraz miał zaginąć podczas wojny... – Na czole towarzysza Józefa pojawiły się kropelki zimnego potu. Bał się, że za moment zemdleje.

– Nie, nie! – Hrabia pokręcił przecząco głową. – Ten obraz został zakupiony przez nas dosłownie na miesiąc przed wybuchem wojny, na początku sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Znana rodzina, która go nam sprzedała, nie życzyła sobie rozgłosu i zastrzegła, że dopiero po trzydziestu latach będziemy mogli oficjalnie ogłosić, że znajduje się w naszych zbiorach. Ten moment nadejdzie już niebawem. Sam obraz, wraz z innymi najcenniejszymi zbiorami, został we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku ewakuowany przez naszą rodzinę do Rumunii. Nie chcieliśmy, aby po tchórzliwym ataku sowieckim wpadł w bolszewickie ręce.

Towarzysz Józef nawet nie zwrócił uwagi na ostatnie zdanie. Przeprószył hrabiego, iż musi go natychmiast opuścić, jako że wzywają go pilne sprawy wagi państwowej, i szybko uciekł do swego przestronnego gabinetu. Zasiadł w olbrzymim, skórzanym fotelu, który być może nie był zbyt gustowny, ale za to idealnie podkreślał status swego właściciela, otarł pot z czoła i chwycił za telefon. Umówił się z towarzyszem Mieczysławem. Łączyły ich nie tylko wspólne kobiety, ale także różnorakie interesy.

Po godzinie był już w willi przyjaciela. Ledwie przekroczywszy próg, zaczął wrzeszczeć:

– Mietek, musisz mi pomóc! Wypierdolili mnie na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Co ja powiem towarzyszom? Że kupiłem sobie ładną kopię? – Józef rzucił obraz na stół tuż przed nos zbaraniałego gospodarza.

– Spokojnie, Józiu. – Towarzysz Mietek poklepał kolegę po ramieniu, zerkając z niesmakiem na płótno. – W tym kraju ani ciebie, ani mnie, no i może jeszcze towarzysza Wiesława, nie licząc jego żony, nikt nie wypierdoli nawet na złotówkę. – Gospodarz podszedł do barku i wyciągnął oryginalny, francuski koniak i kieliszki, by ze spokojem niemalże stoickim postawić te dobra na leżącym na stole obrazie. Po ukojeniu nerwów gościa kieliszeczką wykwintnego alkoholu przeprosił go na chwilę, by wykonać telefon do Piotra Mroza. Pozycja tego młodego wówczas kapitana w resorcie była już ugruntowana. Kiedy Piotr przybył do towarzysza Mietka, zastał tam pijanego i popłakującego towarzysza Józefa.

– Opowiedz mi wszystko, Józiu, i nic się nie martw, to konkretny gość. Jeżeli tych dolarów ci kretyni nie zjedli albo ich nie spalili, to odzyskasz swoje pieniądze. Przepraszam – towarzysz Mieczysław uniósł w górę palec, jakby chciał podkreślić ważną kwestię – nasze pieniądze.

Po wysłuchaniu nieco bełkotliwej i nieskładnej relacji Piotr Mróz poprosił o numer telefonu, pod który mógłby dzwonić w razie, gdyby jakiś nadgorliwy milicjant zamierzał mu przeszkadzać w jego zadaniu. Towarzysz Mieczysław wystawił mu także pisemny nakaz zobowiązujący wszystkie służby do pomocy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Swoje śledztwo kapitan Piotr Mróz zaczął od wizyty u antykwariusza, Zenobiusza Piotrowskiego, którego, po wylegitymowaniu, skuł kajdankami i wpakował do służbowej wołgi, kneblując usta oraz zakładając mu worek na głowę. Ruszył w kierunku Lasu Kabackiego. Gdy znaleźli się wśród drzew, w miejscu odpowiednio odludnym, kapitan wyciągnął biedaka z auta i uderzając łopatą po nogach, zmusił do klęczenia. Następnie zdjął mu worek, rozkuł i wręczwszy łopatę, kazał kopać. Sam stanął z założonymi rękami i z drwiącą miną przyglądał się antykwariuszowi, który próbował wbić szpadel w zmarznięty od pierwszych zimowych mrozów grunt. Zenobiusz, któremu wydawało się, że jego koniec jest bliski i pora żegnać się z ziemskim padołem, zapewniał ze łzami w oczach, że nic nie wiedział o oszustwie.

– Przysięgam na życie matki, że nie miałem zielonego pojęcia o tym szwindlu.

Padł raz jeszcze na kolana i z błagalną miną wskazał na profesora sztuki z Krakowa jako winnego wszelkiego zła. Piotr kazał nieszczęśnikowi przestać kopać.

– Jeżeli łżesz, będziesz żałował, że teraz cię nie rozwaliłem – warknął, machając biedakowi pistoletem przed oczyma. – Jeżeli maczałeś w tym palce, zakopię cię żywcem.

Zenobiusz w duchu dziękował Bogu, że żyje, i liczył, że pomyłka się wyjaśni, gdyż naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że obraz to falsyfikat. Trzęsąc się niczym osika, wszedł raz jeszcze do wołgi. Piotr zdjął mu kajdanki, ale za to podróżował teraz bez spodni i bielizny, która schła w bagażniku. W czasie przesłuchania w lesie młody



antykwariusz nie wytrzymał napięcia i stresu.

Ruszyli do Krakowa.

– Wiesz, na czyje polecenie tu jestem? – zapytał chłodno Piotr, kiedy ruszali.

– Domyślam się – odparł płaczący Zenobiusz.

Przez całą drogę do Krakowa nie padło już ani jedno słowo. Kiedy dotarli na miejsce, był wczesny świt. Ekspert od dzieł sztuki mieszkał obok Starego Rynku, w jednej z kamieniczek przy ulicy Szewskiej. Stróż, sprzątający podwórko, omal nie uciekł na widok rosłego mężczyzny, obok którego w brudnych pantoflach dreptał facet bez spodni. Kapitan zapytał uprzejmie, gdzie mieszka poszukiwany, a otrzymawszy dokładne wskazówki od przerażonego dozorca, ruszył w kierunku wskazanej klatki schodowej. Dla profesora o duszy artysty szósta rano była środkiem nocy. Chrapał więc w najlepsze, śpiąc snem sprawiedliwego, gdy Piotr kopniakiem potraktował drzwi, które otworzyły się z hukiem. Profesor, jeszcze na skraju jawy i snu, zaczął zastanawiać się, czy to burza, czy może bezczelni rabusie. Ale skąd burza na początku zimy? Te nieco abstrakcyjne rozważania błyskawicznie przerwał grad ciosów i kopniaków, jakie otrzymał od nieznanego mężczyzny. Profesor wylądował na podłodze, a Piotr wraz z Zenobiuszem usiedli na zabytkowej, skórzanej kanapie, wykończonych drewnianymi, pięknie rzeźbionymi oparciami. Pierwszy odezwał się Zenobiusz.

– Panie profesorze, poznaje mnie pan? Spotkaliśmy się u notariusza w Warszawie, kiedy stwierdził pan, że obraz Kossaka jest autentyczny – w głosie antykwariusza pobrzmiwała błagalna nuta. Tak bardzo pragnął, by profesor przyznał się do wszystkiego i pozwolił mu zapomnieć raz na zawsze o kopaniu dołu w Lesie Kabackim.

Profesor, przebudzony już zupełnie, postanowił podejść do sprawy pragmatycznie i wycedził przez obolałe wargi:

– Wiesz, kurwa, kogo znam? Dla kogo wyceniam dzieła sztuki w tym kraju, cymbale? Jestem profesorem Akademii Sztuk Pięknych i przewodniczącym Podstawowej Organizacji Partyjnej. Moim kolegą jest towarzysz Sztacheta! – wrzasnął, a powołał się nie na byle kogo, bo na samego szefa krakowskiej Służby Bezpieczeństwa.

– Wiem, dla kogo wyceniasz dzieła sztuki – głos Piotra był spokojny, wręcz lodowaty. – To właśnie ta osoba przysłała mnie tutaj, w podzięcie za dobrze wycenionego Kossaka, który okazał się kopią. A teraz – szepnął niemal czule kapitan, pochylając się w stronę profesora – obetnę ci jaja.

Wstał i wyciągnął nóż sprężynowy. Podszedł do siedzącego na podłodze, złapał za kołnierz od pizamy i rzucił na łóżko.

– To ten Kossak był dla towarzysza Józefa? – wykrztusił profesor i w akcie desperacji rzucił do Zenobiusza: – Dlaczego mi nie powiedziałaś, kretynie?

Antykwariusz przyglądał się całemu przedstawieniu w milczeniu. Dzisiejszy dzień i tak uznał już za najgorszy w swoim życiu. Nie miał najmniejszej ochoty sprawiać, by ktokolwiek miał lepszy dzień od niego.

– Wiesz, przyjacielu, bardzo się pomyliłeś. Ta pomyłka kosztowała nasz kraj pięćdziesiąt tysięcy dolarów, więc albo wszystko wyśpiewasz jak na spowiedzi, albo do końca życia będziesz gadał falsetem! – wrzasnął tymczasem Piotr i szarpnął za gumkę od spodni nieszczęśnika, odsłaniając genitalia.

– Wszystko powiem! Powiem, tylko przestań, bandyto! – krzyczał przerażony profesor.

– Tylko nie bandyto, przemądrzały skurwysynu – syknął Piotr, sadzając profesora brutalnie na łóżku.

Żaden z uczestników dramatycznego przesłuchania nie zdawał sobie sprawy, że tuż pod drzwiami ukrywa się świadek całego zajścia. Dozorca, zaintrygowany wizytą podejrzanych mężczyzn, w tym jednego bez gaci, zakradł się bowiem pod mieszkanie profesora. Gdy usłyszał rozpaczliwy krzyk właściciela mieszkania, zacisnął zęby i postanowił działać. Uzbrojony w metalową rurkę z hukiem wtargnął do środka i krzyknął:

– Profesorze! Wezwać milicję?!

– To ja jestem milicja! – wrzasnął Piotr, wyjmując pistolet i legitymację. – Ciebie też mam aresztować, jełopie? Chcesz jutro sprzątać na Montelupich? Wypierdalaj na korytarz i pilnuj drzwi, by nikt nam nie przeszkadzał!

– Przepraszam, przepraszam, panie władzo... – Dozorca aż trząśł się ze strachu. – Idę pilnować drzwi. – I jak wpadł, tak wypadł z mieszkania.

Profesor tymczasem postanowił iść po rozum do głowy i nie drażnić więcej rosnącego gościa. Zaczął opowiadać, jak dwa tygodnie wcześniej zjawilo się u niego dwóch nieznanymi mężczyzn, którzy zaproponowali mu intratny interes. Miał jedynie potwierdzić autentyczności obrazu Kossaka, który zaginął w czasie wojny. Płótno miało trafić za granicę, do prywatnej kolekcji pewnego milionera. Mężczyźni zaoferowali pięć tysięcy dolarów. Profesor oczywiście przystał na propozycję, bo któż nie dałby się skusić takiej sumie. Zresztą milioner chciał wywieźć obraz nielegalnie, więc jeśli zorientowałyby się, że został oszukany, odechciałoby mu się podobnych transakcji w przyszłości. Profesor nie miał pojęcia, że owym milionerem jest towarzysz Józef. Nigdy, za żadne pieniądze nie oszukałby przecież tak zasłużonej dla całego narodu osoby. Paskudny, zachodni burżuj to co innego. Profesor, by nie być gołosłownym, wyjął pięć tysięcy dolarów z książki na półce, żałując szczerze własnej pazerności.

– Może uda się jeszcze wszystko odkręcić – stwierdził Piotr po wysłuchaniu tej pełnej żalu spowiedzi – ale musicie mi pomóc w odnalezieniu tych dwóch gości. – Popatrzył z politowaniem na obu nieszczęśników. – Niech pan pożycz mi gacie, bo z gołą dupą zwraca na siebie uwagę, nawet tu, w stolicy Młodej Polski – rzucił, uśmiechając się, w stronę profesora.

\*\*\*

Jeszcze tego samego dnia obaj mężczyźni rozpoznali na zdjęciach dwóch trójmiejskich oszustów. Kapitan Mróz aresztował obu w chwili, gdy zamierzali

wyjechać na wycieczkę do Szwecji. Kajuty na promie musieli jednak zamienić na więzienne cele. Udało się też odzyskać czterdzieści siedem tysięcy dolarów. Towarzysz Józef był szczęśliwy. Teraz jedyną jego troską była owa nieszczęsna kopia. Pomógł mu Piotr, który podpowiedział banalnie proste rozwiązanie – wystarczyło zaaranżować włamanie i kradzież obrazu. Niebawem nieznanymi sprawcami włamali się do willi towarzysza Józefa i ukradli „cenne” płótno. Ślad po nim zaginął. Naciągaczy skazano za posiadanie fałszywych dolarów, które jakimś cudem odnaleziono po ich zatrzymaniu. Otrzymali po piętnaście lat więzienia. O roli profesora i antykwariusza nie wspomniano. Oni także, odpowiednio poinstruowani, woleli raz na zawsze zapomnieć o słynnym obrazie Kossaka.

\*\*\*

Pułkownik Mróz wszedł do bramy kamienicy na warszawskiej Starówce i schodami udał się na pierwsze piętro. Ostatni raz był tu jakieś pięć lat temu. Nacisnął przycisk dzwonnka przy starych, masywnych drzwiach. Po chwili ktoś wyjrzał przez judasza, a następnie uchylił lekko drzwi, nie zdejmując z nich jednak grubego łańcucha. Sześćdziesięcioletni szczupły mężczyzna, o kręconych siwych włosach, spiczastym nosie i w okrągłych okularach, ubrany w ciepły szlafrok, przyjrzał się uważnie Piotrowi.

– Jest pan sam? – zapytał, zdejmując łańcuch.

– Tak – potwierdził pułkownik.

Wszedł do mieszkania, a gospodarz zamknął drzwi na dwa zamki, łańcuch i masywną sztabę. Piotr nie był zdziwiony jego nadmierną ostrożnością. Wiedział, że w 1988 roku antykwariusz i jubiler w jednym przeżył w swoim mieszkaniu napad. Tylko przytomność starszej sąsiadki, która słysząc krzyki i jęki katowanych osób, wezwała milicję, bez wątpienia uratowała życie Zenobiusza Piotrowskiego i jego żony.

Tydzień temu Piotr odbył z nim rozmowę w swoim samochodzie. Wręczył mu wtedy brylant wraz ze spisem drogocennych kamieni. Dzisiaj jubiler miał zdać relację z odbytej podróży do Amsterdamu, gdzie spotkał się z handlarzem diamentów, słynącym na całym świecie z nielegalnego obrotu.

– Witam, witam, panie pułkowniku. Dobrze, że pan jest. Już wszystko wiem, wróciłem dzisiaj rano – oznajmił Zenobiusz, gestem zapraszając do swojego gabinetu.

Kiedy usiedli w wygodnych, skórzanych fotelach, przy starym dębowym biurku, do gabinetu weszła żona gospodarza, Viola – niedoszła aktorka teatralna.

– Może podać coś do picia? – zapytała uprzejmie.

– Nie, dziękuję, i tak nadużywam państwa gościnności – odparł Piotr.

– Violu, nie przeszkadzaj nam przez chwilę – poprosił Zenobiusz i zamknął za żoną drzwi.

– Mam wycenę tych cacuszek – szybko przeszedł do rzeczy antykwariusz, otwierając małą metalową kasetkę, z której wydobył spis drogocennych kamieni oraz brylant wielkości groszku konserwowego. – Jeżeli te rzeczy są faktycznie jak to cudo

– wskazał na brylant – to mój przyjaciel w Amsterdamie jest w stanie zapłacić za to milion dolarów. Cena rynkowa tych kamieni, z udokumentowanego źródła, to około pięć milionów dolarów. Problem w tym, że trzeba je będzie zalegalizować.

– Pana kolega na pewno sobie poradzi. Jest z tego znany – stwierdził Piotr.

– Panie pułkowniku, jestem tylko pośrednikiem – stwierdził jubiler spokojnie, a zarazem stanowczo. – Przekazuję panu cenę, która zawiera koszt legalizacji i wprowadzenia ich do obrotu rynkowego. W obecnym stanie prawnym, że użyję języka środowiskowego, te kamienie bardzo „parzą”.

– Drogi przyjacielu – odparł Piotr – obaj wiemy, że jeżeli te kamienie miałyby legalne źródło pochodzenia, to by mnie tu nie było. Ja i moi przyjaciele proponujemy panu dziesięć procent wartości sprzedaży, ale transakcja musi być przeprowadzona jeszcze przez jednego pośrednika dla zatarcia śladów prowadzących do nas.

– Zamieniam się w słuch – odparł z zaciekawieniem jubiler, zdejmując okulary.

– Te cacka to fundusz emerytalny, mój i czterech moich wysoko postawionych przyjaciół – wyjaśniał Piotr. – Z racji piastowanych wysokich stanowisk urzędowych nie możemy być obecni w czasie transakcji ani w żaden sposób być z nią kojarzeni, dlatego znaleźliśmy pewne rozwiązanie. Kamienie sprzedamy człowiekowi z półświatka, który, znając życie, zwróci się do pana z prośbą o wycenę, a pan mu pomoże sprzedać je za milion dolarów. – Jubiler słuchał uważnie, nie przerywając. Zdjął okulary i zaczął je dokładnie czyścić ściereczką wyciągniętą z szuflady. – Za kamienie chcemy otrzymać od pośrednika pół milion. Po transakcji otrzyma pan dziesięć procent tej kwoty. A ile pan dodatkowo wytarguje od tego człowieka, to już pana interes.

Jubiler przerwał nagle czyszczenie okularów i wypalił:

– To może ja odkupię te kamienie bez prowizji za sześćset tysięcy?

– Nie – stanowczo odpowiedział Piotr – bo jeżeli ktoś postanowi dowiedzieć się, kto był ich poprzednim posiadaczem, i ponownie przeprasuje żelazkiem pana i pańską żonę, wybuchnie skandal międzynarodowy i będziemy skończeni. Natomiast jeżeli sprzeda te kamienie osoba trzecia, to ich przeszłość będzie bardziej wiarygodna, na pewno doskonale pan to rozumie. – Piotr pytająco spojrzął na jubilera, oczekując potwierdzenia, że wszystko jest jasne i nie będzie kombinował.

– Kto będzie pośrednikiem? – spytał bez zbędnych ceregieli Zenobiusz.

– Marian Badyłarz – rzucił Piotr.

– Wie o tym? – Antykwariusz wskazał głową brylant.

– Jeszcze nie, ale jutro się dowie – odparł z wymownym uśmiechem pułkownik.

– Dlaczego on?

– Bo ma kasę i być może jako jedyny z tego towarzystwa nie będzie chciał nas wykiwać.

– A Wiesław? Nie dałby wam więcej? – dopytywał jubiler.

– Nie. Wiesław dla tych świecidełek wykopałby z grobu nawet własną matkę, a poza tym, znając jego głupotę i pazerność, za pół roku każda dziwka i każdy drobny cwaniaczek wiedziałby, kto puścił w obieg te kamienie – z niesmakiem stwierdził

Piotr.

– Rozumiem. Czyli miałem rację, że te kamienie bardzo „parzą”. – Zenobiusz westchnął.

– Bardzo, więc musi pan trzymać język za zębami. Chodzi nie tylko o moje życie, ale i o pana oraz naszych bliskich. Domyśla się pan, kto jest jeszcze udziałowcem tego zakładu ubezpieczeń? – spytał Piotr.

– Domyślałem się – odparł poważnie jubiler.

– Mój człowiek, który o pana roli nie ma pojęcia, zaproponuje Badylarzowi transakcję. Da mu trzy dni, tak aby nie szukał nikogo daleko, tylko wybrał pana. Pan uda, że widzi kamienie po raz pierwszy i po trzech dniach przedstawi mu pan warunki i wycenę na podobnych zasadach, o jakich dziś mówiliśmy. Oczywiście należy uważać, by nie domyślił się, że cała sprawa jest ukartowana. Marian Badylarz przemyci kamienie za granicę, a pan pomoże mu je sprzedać w Amsterdamie i skasuje prowizję od niego oraz od swojego przyjaciela, handlarza diamentów – instruował starego znajomego Piotr. Jubiler słuchał w milczeniu, potakując twierdząco głową na znak, że rozumie kolejne etapy planu. – Jeszcze jedno. Dowiedział się pan, ile w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku mogły być warte te kamienie?

– Johann, to znaczy mój przyjaciel z Amsterdamu, twierdzi, że około dwóch milionów dolarów, oczywiście przy założeniu ich legalności – odparł gospodarz.

– Podsumowując, czy warunki naszej umowy pana zadawalają?

– Tak – odparł Zenobiusz. – Ale czy jest pan zupełnie pewien, że Badylarz rzeczywiście przyjdzie do mnie?

– A do kogo ma iść? Do urzędu skarbowego? Ministra finansów? Nie ma lepszego i uczciwszego fachowca od pana – stwierdził Piotr, uśmiechając się porozumiewawczo. – No może w kwestii Kossaka można mieć wątpliwości – roześmiał się szczerze.

Zenobiusz machnął ręką, jakby chciał odgonić natrętną muchę, ale tak naprawdę nie było mu do śmiechu. Mimo upływu lat wspomnienie tamtej sprawy ciągle budziło w nim niepokój, a zarazem niesmak.

– Cwanie to pan wykombinował, panie pułkowniku – z uznaniem podsumował Zenobiusz. Sprawa drogocennego dzieła towarzysza Józefa przypominała mu jednak napad sprzed kilku lat, kiedy cudem uniknął śmierci. Postanowił zapytać wprost: – Czy to prawda, że ten skok na mnie zrobili ludzie z SB?

– Po co panu to wiedzieć? Słyszałem, że podobno oferuje pan solidną nagrodę za wskazanie sprawców?

– Tak. Moja żona została strasznie okaleczona. Do tej pory nie może sobie z tym poradzić – powiedział ze smutkiem w głosie Zenobiusz. Na myśl o tej niezasłużonej krzywdzie w jego oczach pojawiły się łzy wściekłości, a zarazem bezsilności.

– Nie miałem z tym nic wspólnego, ale wiem, kto to zrobił. I pańskie przypuszczenia są jak najbardziej słuszne...

– Czy mógłby pan... – wtrącił gwałtownie Zenobiusz.

– Wszystko w swoim czasie – uciął Piotr. – Czasem trzeba cierpliwości, bo ci, których chcemy ukarać, są zbyt ważni i nieosiągalni.

Antykwariusz pokiwał z rezygnacją głową. Żył już na tyle długo, że nie trzeba było mu przypominać o tym, jak funkcjonuje ten świat.

– I jeszcze jedno – rzucił ostro Piotr. – Nikt nie może dowiedzieć się o tym, co panu powiedziałem. Nawet jeśli do transakcji z jakichś przyczyn by nie doszło. Czy to jasne, panie Zenobiuszu?

– Jasne, jasne – odparł jubiler zmęczonym głosem i dodał raz jeszcze: – Nieźle pomyślane. Z pana nieźły cwaniak, pułkownik.

Kiedy Piotr wychodził z mieszkania jubilera i żegnał się z żoną Zenobiusza, zauważył na jej policzku ślad po oparzeniu. Bydlak, mam nadzieję, że jeszcze za życia znajdzie się w piekle – pomyślał o człowieku, który brał udział w napadzie na jubilera. Znał go od dwudziestu lat i wiedział, że za pieniądze zabiłby własną matkę.

## ROZDZIAŁ VII

John miał lecieć do Berlina z technikiem ambasady i jednym z agentów ochrony oraz z pocztą dyplomatyczną, w której znajdowały się dokumenty dostarczone przez pułkownika Piotra Mroza. Była dopiero siódma, a na lotnisku musiał być o dziewiątej trzydzieści, postanowił więc zajrzeć jeszcze do Joanny. Tom podwiózł go pod jedną z kamienic, nieopodal Marszałkowskiej, gdzie w mieszkaniu po zmarłej rok temu babci mieszkała narzeczona Johna. Wszedł na górę i nacisnął przycisk dzwonka. O tej porze powinna być już w drodze do pracy. Otworzył drzwi posiadany klucz, a ponieważ był tu stałym bywalcem, bez problemu odszukał sportową torbę, którą podarował Joannie jakiś czas temu. W bocznej, mało używanej kieszeni znalazł podwójne dno. Ukrył tam małe urządzenie podsłuchowe, które mogło nagrywać rozmowy przez tydzień bez ładowania. John był pewny, że do tego czasu będzie miał je z powrotem. Po zainstalowaniu podsłuchu odłożył torbę na miejsce, sprawdził, czy nie zostawił śladów swojej obecności, a następnie przez wizjer upewnił się, że na klatce nikogo nie ma. Wychodząc, zamknął drzwi na klucz i w ciągu dziesięciu minut siedział już w samochodzie Toma.

– Zostawiłeś notatki u ukochanej? – zakpił Tom.

– Nie – odparł John – musiałem włożyć swoją najlepszą koszulę i krawat na spotkanie z naszym szefem.

O jedenastej trzydzieści rejsowy samolot LOT-u wylądował w Berlinie Zachodnim. Po godzinie John wraz ze swoimi ludźmi jadł posiłek w kwaterze CIA, obmyślając treść raportu dla szefów, którzy mieli przylecieć do Berlina około osiemnastej. Miał parę godzin na sporządzenie pisemnej oceny pozyskanych dokumentów i przekonanie szefów do zakupu całości. Po dwóch godzinach raport był gotowy. John nastawił budzik na siedemnastą, postanowił bowiem nieco się zdrzemnąć w gabinecie. Położył się na wygodnej, szerokiej kanapie i błyskawicznie zasnął.

Natrzętny dźwięk budzika wyrwał go z drzemki. Zerwał się całkowicie przytomny, lekko poprawił swój wygląd i szybkim krokiem zszedł do sali, gdzie miało odbyć się spotkanie i prezentacja. Nad materiałami rozłożonymi na sporych rozmiarów stole śleczął technik. John przyniósł mu kawę.

– Jesteś gotowy, Sam? – spytał.

– Tak i właśnie coś wyciłem – oświadczył tryumfalnie technik.

– Pewnie masz jakieś dowody, że podłożyli nam główną – powiedział zaniepokojony John.

– Nie, nie – uspokoił go Sam. – Spójrz. Część dokumentów dotyczących agentów i ich wpływów ktoś fotografował w pośpiechu, jakby miał mało czasu. Zdjęcia z pozostałych trzech rolek są precyzyjnie wykonane.

– Jaki z tego wniosek?

– Ten gość albo to archiwum już w części okradł, albo je sam zakładał i miał możliwość spokojnego skopiowania.

– Czyli nie jest to zwykła podpucha?

– Nie, nie sądzę. Raczej to ktoś naprawdę ważny, a teraz życie zmusiło go do opchnięcia tego archiwum za niezłą kasę. Kto mógłby to kupić oprócz nas?

– Wszyscy ważni w Europie. To głównie jest na razie rozproszone, ale jak spłynie w jedno miejsce, to zrobi się szambo, w którym utopi się wielu ważniaków niedoceniających Rosji – stwierdził John.

Po dziewiętnastej do pomieszczenia wszedł Kenneth Murphy wraz z pełniącym obowiązki szefa CIA Robertem Roswellem. John nie znał osobiście nowego szefa, słyszał tylko, że robi porządki po blamażu, który przytrafił się w czasie najazdu Iraku na Kuwejt. Po krótkim powitaniu Roswell szybko przeszedł do rzeczy.

– Spiesz mi się, panowie – poinformował zebranych. – Właśnie zneutralizowałem w samym centrum agenta, który od sześciu lat pracował dla Rosjan. Liczba wpadek naszych ludzi w Związku Radzieckim jest ogromna. Musimy się upewnić, czy to aby na pewno jedyna wtyka działająca na tak wysokim szczeblu. Pokażcie, co macie, inaczej wyprawę do Europy będę traktował jako szesnastogodziną drzemkę.

John przedstawił raport i zaczął wyświetlać dokumenty na rzutniku. Kiedy zbliżał się do końca materiału, Roswell rzucił:

– Niech pan na chwilę przerwie.

John nie wiedział, czy to, co pokazał, nudzi szefa, czy może jest on zmęczony i odczuwa potrzebę odpoczynku. Roswell jednak poprosił, by technik, który wciąż im towarzyszył, wyszedł z pomieszczenia. Dopiero wtedy podsumował to, co zobaczył.

– To autentyk – stwierdził stanowczo Kenneth Murphy. – Trzy miesiące temu przeszedł na naszą stronę pewien wysoki oficer KGB i opowiadał nam o tym. Na szczęście ulokowaliśmy go w Szwecji i jest bezpieczny. On jedynie opowiadał nam o ośmiornicy, a te dokumenty przedstawiają nam jej strukturę i powiązania.

Roswell uważnie wpatrywał się w dane wyświetlone na ekranie.

– Jeżeli uda się panu przejąć to archiwum – zauważył – to będzie to wielki sukces. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że Rosja to wielkie mocarstwo i że jeśli nawet moskiewski niedźwiedź zdejmie czerwoną koszulkę i założy biało-czerwono-niebieską, to pozostanie tym samym niedźwiedziem. Pan, mam nadzieję, to rozumie? – spytał, lustrując podwładnego uważnym spojrzeniem. – John skwapliwie przytaknął, a Roswell kontynuował swoje rozważania: – Nie wiemy, jak wiele kapitału ulokowano na całym świecie w małych firmach, ale skoro Escobar ukrył gdzieś dziesięć miliardów dolarów, to może właśnie dał je do wyprania komunistom. Latał przecież często na Kubę. Panowie, cały problem polega na tym, że nie wiemy, o jakiej



skali gospodarczej rozmawiamy. Jeżeli to jest sto małych firm, w których ulokowano dwa miliardy dolarów, to nie jest to duży problem, ale jeśli ktoś zacznie te firmy scalać i skupować udziały w nich, to może powstać potężna światowa korporacja.

– Z dokumentów i rozmowy z pułkownikiem wywnioskowałem, że na razie jest to faza wstępna. Później ma nastąpić wykupywanie firm przesyłających gaz i ropę, aby opanować dystrybucję i podyktować ceny w całej Europie, a tym samym ją sobie powoli podporządkować – wyjaśnił John.

– Brawo, panie McDowell, daleko zajdziesz. – Roswell podszedł do podwładnego i poklepał go po ramieniu. – No chyba że cię Rosjanie kupią. Albo zabiją – dodał z sarkazmem.

– Niezbyt miła perspektywa – odparł John.

– Żartowałem – szef uśmiechnął się nieco na siłę. McDowell wiedział doskonale, jak wiele prawdy kryło się w tym pozornym żarcie.

– Musimy działać szybko, zanim przyjaciele z KGB, GRU, SB i WSW się zorientują i posprzątają ten ich bajzel. Proponuję kryptonim dla naszej operacji: „Przeprowadzka” – wtrącił się Kenneth.

– OK, niech będzie „Przeprowadzka” – zgodził się Roswell. – W ciągu trzech dni mają być spełnione życzenia tego gościa. Tylko nie wiem, co z operacją i kliniką.

– Sprawdziłem to – odparł John. – Najlepsze wyniki w operacjach na otwartym sercu u noworodków mają makaroniarze, a konkretnie klinika Gemelli.

– Gemelli... Rzym, powiadasz – zastanawiał się Roswell. Po chwili pstryknął palcami, jakby coś sobie przypomniał. – Mam tam znajomego biskupa, coś mu załatwiłem w zeszłym roku. Nazywa się w Casarolli. Idę zadzwonić do niego, a wy ustalcie szczegóły przerzutu Mroza i jego rodziny.

Pół godziny później szef CIA wrócił z niewesołą miną. Okazało się, że dziewczynkę mogą operować najwcześniej za miesiąc.

– Nie ma innych klinik? Każ chłopakom rozejrzeć się po Europie, może uda się coś znaleźć i przyspieszyć termin – polecił szef Kennethowi.

Kiedy wszystkie szczegóły były już dograne, Murphy wyjął zdjęcie człowieka wyglądającego na wysokiego urzędnika rządowego.

– Co to za gość? – spytał John.

– To jeden z szefów NBP w Warszawie. Usilnie pragnie spotkać się z papieżem w listopadzie. Ma mu do przekazania jakieś ważne dokumenty, ale najpierw chce zapoznać z tym rządem i parlamentem w Polsce. Musisz się z nim spotkać, John – podkreślił Kenneth. – To może mieć związek z tą sprawą.

– I chyba ma. – John włączył rzutnik, wyświetlając zdjęcie klepsydry i artykułów o tajemniczej śmierci urzędnika NIK.

– To dostałem od Mroza – wyjaśnił – z wyraźną sugestią, że kto się interesuje tą sprawą, ginie.

– To może być powiązane z tym całym bajzłem. Komuniści musieli gdzieś skubnąć tę kasę, więc może wyprowadzili ją właśnie ze swego kraju – stwierdził Roswell i dodał, kończąc spotkanie: – To do roboty, panowie, czas na małą

„przeprowadzkę”.

\*\*\*

Tymczasem na Starych Powązkach Tom spotkał się ze swoim wieloletnim informatorem, emerytowanym generałem SB. Ich współpraca trwała już około sześciu lat. Informacje przekazywane przez generała były zawsze pewne i niezwykle cenne.

Tom przechadzał się wąskimi alejkami wśród rozłożystych drzew, podziwiając piękne, zabytkowe nagrobki. Zatrzymał się przed jednym z nich, ozdobionym rzeźbą anioła o smutnym obliczu. Raptem po paru sekundach przed grobem stanął starszy pan o nienagannej prezencji. Gdy upewnili się, że nie są obserwowani, Tom zapytał:

– Czy mówi coś panu nazwisko Piotr Mróz, pułkownik Piotr Mróz?

Mężczyzna spojrzał wymownie na Toma.

– A co pana konkretnie interesuje? – spytał.

– Wszystko. Najchętniej kupiłbym jego teczkę. Tysiąc dolarów?

– Niestety, ale teczka tego gościa jest w Polsce nieosiągalna, nawet za dużo większe pieniądze.

– A cóż to za postać, że nawet teczki nie ma?

– A czy wy, w CIA, trzymacie w archiwum teczki własnych płatnych morderców?  
– zapytał retorycznie generał.

– Ile pan chce za informacje o tym człowieku? – nie poddawał się Tom.

– Za dwa dni, w tym samym miejscu, tylko o godzinie piętnastej. Niech pan przyniesie w gazecie dziesięć tysięcy dolarów, to być może przypomnę sobie, któż to taki.

– Drogo – rzucił Tom.

– Drogo. Bo takich typów jak ten gość nawet u nas było niewiele – odparł generał i odszedł szybkim krokiem.

Tom wiedział, że pan X, jak nazywali generała, musi wiedzieć coś więcej o pułkowniku i informacje te są niebagatelnej wagi, inaczej stawka za wiadomości nie byłaby tak wysoka. Musiał to jeszcze omówić z Johnem. Nie wiedział, że jego kolega w Berlinie Zachodnim dostał o wiele większą kasę w celu przejęcia archiwum.

## ROZDZIAŁ VIII

Piotr spędził noc w swoim mieszkaniu. Kolejną nieprzespaną noc. Myśli, które kołatały mu się po głowie, nie pozwalały zasnąć. Kilkukrotnie wstawał, popijał wodę, spoglądał na zdjęcia nieżyjącej żony i wnuczki. A może zapomnieć o tym wszystkim, sprzedać mieszkanie, wyjechać w Bieszczady? Wśród zielonych szczytów łatwiej znaleźć ukojenie, nikt na nikogo nie poluje. Nie zawsze tak było. Dawno temu trafił tam, gdy jako ochotnik wstąpił do pułku Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jego dowódcą był znany po wojnie dziennikarz, później tragicznie zamordowany przez niedoszłego zięcia. Po dziś dzień prześladowały Piotra obrazy walk z UPA, toczonych wśród starych, dzikich lasów, które wydawały się przyglądać ludziom z politowaniem. Zgłosił się, bo wołał walczyć przeciw Ukraińcom niż przeciwko własnym braciom. Wiedział, że znów może stanąć naprzeciw Michała. Brat przeciw bratu. Kiedy trafił w połowie stycznia 1946 roku do Baligrodu, miasto wyglądało na wymarłe. Z obawy przed okrucieństwem, a wręcz zwykłym zwyrodniałstwem Ukraińców, kto mógł, pakował rzeczy i wyjeżdżał w pośpiechu z tego zapomnianego przez Boga miejsca. Ich pułk miał nawiązać styczność bojową z UPA, uszczelnić granicę na tym odcinku, a także przygotować teren pod wielką operację, która miała na celu wysiedlenie z tego terenu ludności ukraińskiej, będącej naturalnym zapleczem UPA. To wtedy Piotr po raz pierwszy usłyszał o rzezi wołyńskiej. Opowiadali przypadkowo spotkani uciekinierzy, opowiadali też jego koledzy z kompanii, także ochotnicy, którzy chcieli pomścić swoich bliskich zamordowanych w nieludzki sposób przez Ukraińców. Był wśród nich podporucznik Siemaszko, były partyzant AK na Wołyniu, któremu UPA wymordowała całą rodzinę – rodziców, dwóch młodszych braci, dwie siostry, żonę i dwójkę małych dzieci. Piotr zastanawiał się wtedy, jak wiele jeszcze okrucieństwa zobaczy. Najpierw Niemcy, teraz to. Wojna zdawała się nie mieć końca. Obaj z podporucznikiem nie mieli nikogo. Może dlatego trzydziestoletni Siemaszko traktował Piotra jak syna. Obiecał, że jeśli przeżyją to wszystko, wyjedzie na Ziemię Odzyskane i spróbuje zacząć normalne życie. Tylko czy można normalnie żyć, kiedy pod powiekami czają się obrazy męczarni rodziny, mordowanej bestialsko przez najbliższych sąsiadów, z którymi żyło się w zgodzie od pokoleń, dzieląc dolę i niedolę chłopską. Siemaszko był głęboko wierzącym człowiekiem i oficer polityczny patrzył na niego spode łba, pisząc kolejne raporty na temat jego antyludowej postawy. Ale kiedy konwój ciężarówek, którymi jechali do Cisnej, wpadł w zasadzkę i młodzi żołnierze zaczęli ustępować pod ogniem upowców, podporucznik chwycił erkaem z rąk rannego chłopaka i niezauważony kilkoma skokami dobiegł do krzaków nieco oddalonych od stanowisk wroga, który był zajęty

ostrzeliwaniem pojazdów. Rzucił się na upowców i z bliskiej odległości wystrzelał wszystkich, pakując w nich cały „talerz”. Stąd dopiero dostrzegł zamaskowane stanowisko ukraińskiego erkaemu, który ostrzeliwał żołnierzy ukrywających się w rowie po drugiej stronie drogi, trzymając ich tym samym w szachu. Talerzowy magazynek jego diegtariewa był pusty, popularnej tetetki także, odbezpieczył więc ostatni granat. Nie bał się śmierci. Wiedział, że jeżeli zostanie ranny, Ukraińcy wypatroszą go żywcem. Nie czekał dłużej, chyłkiem podbiegł pod stary świerk, przymierzył i rzucił. Granat wylądował tuż za plecami celowniczego karabinu maszynowego. Krótka chwila i niczego niespodziewająca się obsługa została rozerwana na strzępy. Zginął także dowódca ukraińskiej bandy. Ogień osłabł, co wykorzystał podporucznik Siemaszko, rzucając się natychmiast do ataku z pustym pistoletem w dłoni i okrzykiem „huurraaa!”. Żołnierze leżący w rowie, widząc swego dowódcę samotnie ruszającego do natarcia na wroga, poderwali się do szturm. Ukraińcy, mimo przewagi liczebnej, zaczęli bezładny odwrót w kierunku masywu Chryszczatej, gdzie mieli swój obóz. Konwój został ocalony. Kiedy żołnierze zbierali poległych i rannych, spod samochodu wygramolił się oficer polityczny i zapytał nieco trzęsącym się głosem:

– Po wszystkim?

Rozejrzał się z niepokojem w oczach po okolicy. Paru żołnierzy potwierdziło, że już jest bezpiecznie.

Gdy dotarli do Cisnej, politruk podszedł do podporucznika.

– Dzielnie się towarzysz podporucznik spisał, osobiście zamelduję majorowi o odwadze towarzysza i uratowaniu oddziału – wycedził przez zaciśnięte zęby. Po chwili, jakby chciał się usprawiedliwić, wybełkotał: – To był mój chrzest bojowy, nigdy jeszcze nie strzelałem do ludzi.

– Ale za to dzięki raportom towarzysza lejtnanta wielu ludzi już rozstrzelano – rzucił podporucznik Siemaszko, nie kryjąc ironii w głosie. – A co by to było, gdybym w ferworze walki pomylił towarzysza z jakimś ukraińskim bandytą? Mogę też spróbować zapomnieć o odwadze pana porucznika, ale...

W oczach Siemaszki kryła się groźba. Politruk doskonale zrozumiał przesłanie i do końca działań nie napisał już żadnego donosu.

Piotr od momentu starcia w lesie rozumiał, że nie można się poddawać. To on poderwał kolegów do natarcia w ślad za podporucznikiem Siemaszką, który po walce, częstując go papierosem, stwierdził:

– Masz jaja. Zamelduję o tobie dowódcy, młody. Będą z ciebie ludzie.

Po kilku dniach Piotr został wezwany do dowódcy batalionu.

– Podporucznik Siemaszko mówił, że jesteście odważni. – Kapitan popatrzył uważnie na wyprostowanego żołnierza. – Poderwaliście pluton do natarcia na bandytów. Siadajcie – nakazał, wskazując krzesło.

Kiedy Piotr usiadł, dowódca wstał, oparł się o krawędź biurka, poczęstował go papierosem i spytał:

– Skąd jesteście?

– Z Gór Świętokrzyskich, z małej leśnej osady, Piotrowe Pole, towarzyszu kapitanie – odparł Piotr.

– A dlaczego zgłosiliście się do nas? Mogliście iść do szkoły, jak większość.

– Po wyzwoleniu byłem w Milicji Obywatelskiej w Kielcach, towarzyszu kapitanie, ale... – Piotr przerwał, jakby szukał odpowiednich słów.

– Ale pewnie nie chcieliście strzelać do swoich – dokończył za niego kapitan. Po chwili wahania dodał: – Ja też. Masz rodzinę?

– Nie, Niemcy wszystkich wymordowali w czasie pacyfikacji wsi, towarzyszu kapitanie. Mnie i bratu udało się przeżyć, ale brat gdzieś później przepadł.

– Może żyje? – rzucił kapitan. – Wychowaliście się w lesie. Podporucznik mówił, że czujecie się w nim jak ryba w wodzie, dlatego pomożecie mu wybrać spośród całej kompanii chłopaków z jajami, takich, którzy prędzej zginą w walce, niż narobią w gacie. Od pojutra zmieniamy taktykę walki.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie – odparł Piotr.

– Pewnie jesteście ciekawi, cóż to za taktyka. Otóż dotychczas to my byliśmy zwierzyną, na którą polowali upowcy. Teraz my będziemy polować na nich. Będziemy ich tropić i po kolei likwidować, banda po bandzie. Potrzebni będą ludzie, którzy staną się myśliwymi. Za postawę podczas ostatniej walki przedstawię was do awansu, na starszego szeregowego. – Dowódca batalionu pokiwał głową, jakby chciał sam wyrazić uznanie dla młodego żołnierza.

– Ku chwale ojczyzny, panie... to znaczy towarzyszu kapitanie! – Piotr aż przejęzyczył się z wrażenia. Zaklął w duchu. Kapitan jednak uśmiechnął się z lekkim pobłażaniem.

– No, uważajcie z tym „panie” przy tej kanalii, politruku. Gotów was jeszcze na Sybir wysłać.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie!

Piotr zasalutował, stukając przy tym obcasami. Postanowił jeszcze podziękować autorowi tego całego zamieszania. Gdy wszedł do pokoju zajmowanego przez podporucznika Siemaszkę, zastał go leżącego na pryczy z książką w rękę. Obok na małym stoliku paliła się świeca.

– Melduje się starszy szeregowy Mróz. Dziękuję, panie podporuczniku!

Siemaszko spojrział na Piotra, głową wskazując krzesło.

– Wiesz, co czytam? – spytał, ale nie czekał na odpowiedź. – *Ogniem i mieczem*. Znasz?

– Oczywiście, panie podporuczniku, to moja ulubiona powieść.

– To jak przeczytam, to ci pożyczę. Tylko uważaj, bo mieliśmy czytać wyłącznie dzieła Lenina. A wiesz, chłopie, co ja mogę zrobić z dziełami Lenina?

– Nie, panie podporuczniku.

– Podtrzeć sobie dupę. – Siemaszko uśmiechnął się krzywo. – W zeszłym tygodniu ktoś zwinął jedną z książek Lenina z naszej biblioteczki, podarł na małe kawałki i zaniósł do wychodka.

– Nie wiedziałem...

– No widzisz. I nasz politruk lejtnant, tfu, porucznik Juliusz Koziół usiadł na sraczu i kiedy zaczął podcierać dupę, o mało nie dostał zawału. – Obaj roześmieli się szczerze, czując, że wreszcie nie muszą niczego udawać.

Nagle ktoś z niezłym impetem otworzył drzwi do kwatery podporucznika. Na progu stanął kapitan z butelką wódki.

– Napijcie się? – spytał.

– Tak jest! – odparł Siemaszko. Wstał jak na komendę, wyciągnął z jednej z szafek przy ścianie trzy kubki, które ustawił na stoliku. Kapitan rozsiadł się na pryczy i rozlał alkohol.

– Za wasz awans, panowie! – oświadczył.

Podporucznik Siemaszko spojrzał pytająco na dowódcę batalionu.

– Tak, tak, wy też awansowaliście, podporuczniku. Mimo akowskiej przeszłości – zaśmiał się kapitan. Gdy zapytał, dlaczego im tak wesoło było przed chwilą, Siemaszko nie mógł się wykręcić i pociągnął opowieść o jedynym w swoim rodzaju losie dzieł Lenina.

– A więc... nie wiadomo, jak owo dzieło się tam znalazło – tłumaczył nieco pokrętnie obecnie już porucznik – ale przysłużyło się rozwojowi czytelnictwa do momentu, aż towarzysza politruka nie spięło. Kiedy zobaczył, że ktoś zbecześcił tak zacne dzieło, chciał wyskoczyć z wychodka, ale natychmiast pomyślał, że przecież sam podtarł dupę towarzyszem Leninem. Zaczął zbierać kartki, licząc, że nikt się nie zjawi, a tu nasz kucharz Rogala staje w drzwiach. Polityczny wyskoczył jak oszalały, a Rogala woła za nim: „Towarzyszu oficerze! Jakaś świnia podtarła sobie dupę towarzyszem Leninem!”. Polityczny rzucił gorączkowo: „Dajcie spokój, zamknijcie się i zachowajcie to dla siebie. Jak to trafi wyżej, to rozstrzelają nas wszystkich! Jasne?”. „Jasne, towarzyszu poruczniku!” – odparł kucharz, a kiedy politruk poszedł, podniósł kilka rozsypanych kartek i pomyślał, że nie odpuści sobie przyjemności podtarcia się tak wybitnym dziełem.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem. Po godzinie butelka była pusta. Poszli spać. Nazajutrz dla Piotra i porucznika zaczynał się nowy rozdział walki w Bieszczadach.

\*\*\*

Piotr obudził się zlany potem. Miał złe, wojenne sny. Spojrzał na zegarek. Była szósta. Wstał, zrobił pięćdziesiąt pompek i ruszył do kuchni. Po godzinie jechał audi w kierunku Piaseczna, rozmyślając, jak przeprowadzić rozmowę z Kulawym Marczykiem.

Po godzinie jazdy stanął przed osiedlem czteropiętrowych bloków przy ulicy 1 Maja. Skierował się do bloku oznaczonego numerem trzy. Drzwi od klatki były otwarte, więc od razu wbiegł po schodach na pierwsze piętro i zapukał. Otworzyła mu kobieta około trzydziestki.

– Słucham – powiedziała, ziewając. Wyglądała niechlujnie, a zaczerwieniony nos i podkrążone oczy świadczyły o tym, że alkohol nie był jej obcy.

– Kulawy Mareczek mnie oczekuje.

– Kim pan jest? – Kobieta spojrzała na Piotra wrogo.

– Świętym Mikołajem, tylko zegarek mi stanął – rzucił z irytacją Piotr, odsłaniając kaburę pistoletu.

– Marek, jakiś gość do ciebie! – zawołała wyraźnie zmieszana.

W drzwiach pojawił się chudy, kuśtykający blondyn i kiedy otworzył swe bezzębne usta, wycedził:

– O, witam pana generała!

– Ubieraj się i wyskakuj, czekam w samochodzie. Tylko załóż czystą bieliznę, bo ostatnio musiałem po tobie godzinę wietrzyć wóz. Nawet pies mojej córki nie chciał wleźć do środka. – Piotr zszedł na dół.

Kulawy Mareczek był zwykłym włamywaczem. Na początku lat osiemdziesiątych, jeszcze jako Szybki Mareczek, zasłynął z okradania mieszkań nowożeńców, którzy bawili się w tym czasie na weselnych poprawinach. Wiedział, że mieszkania są pełne prezentów i pieniędzy. Stał się postrachem bogatych miasteczek i podwarszawskich dzielnic. Na ofiary wybierał pary młode, które brały ślub kościelny, choć ich rodzice byli ważnymi oficjelami w partii. Dzięki temu części włamań w ogóle nie zgłaszano. Niestety, każda dobra passa ma swój kres. Młody właściciel warsztatu samochodowego, biorący ślub z córką komendanta jednego z warszawskich komisariatów, przezornie postarał się o ochronę domu, w którym para nowożeńców miała zamieszkać. Na miejscu pozostał też jego kolega z butelką weselnej wódki i solidną porcją wałówki. Kiedy zaczęło się ściemniać, milicjant usłyszał brzęk tłuczonej szyby w okienku piwnicznym. Przeładował więc służbową tetetkę i czekał przy drzwiach prowadzących do piwnicy. Tymczasem Mareczek wraz z kompanem za pomocą łomu usiłowali sforsować drzwi do holu. Jakież było ich zdziwienie, kiedy zobaczyli wycelowany w nich pistolet. Mareczek postanowił zaryzykować i rzucił się na schody prowadzące do piwnicy, podczas gdy milicjant zaczął strzelać. Mareczek nie miał szczęścia, jedna z dwóch kul zdruzgotała mu kolano. Od tej pory nazywano go Kulawym Mareczkiem. Jako kryminalista dostał dziesięć lat, jednak z powodów zdrowotnych warunkowo zawieszono mu wykonywanie reszty kary po sześciu latach. Zmienił profesję na paserstwo i cinkciarstwo. Ta druga specjalizacja stała się przyczyną znajomości z Piotrem. W 1988 roku ktoś zaczął rozprowadzać bardzo dobrze podrobione dwudziestodolarówki. Sfałszowane były tak znakomicie, że służby specjalne postanowiły je wykorzystać w działaniach za granicą. Trzeba było jednak znaleźć ich producenta. Wkrótce aresztowano Mareczka, który w zamian za zarejestrowanie go jako tajnego współpracownika i wskazanie wytwórcy podróbek, został zwolniony i objęty opieką Piotra. Dziś miał odegrać swoją życiową rolę. Piotr zastanawiał się tylko, czy Mareczek sobie poradzi.

– Jestem czysty i pachnący – zapewnił paser, wsiadając do auta.

– Nie stać cię na inną babę? Taką, która zadbałaby o ciebie? – rzucił Piotr.

– Wie pan, Helka może czasem i lubi dać w gaz, ale to równa babka – odparł Mareczek.

– Szczególnie wtedy, kiedy dwa lata temu o mało nie zadusiła własnej niepełnosprawnej matki, bo ta nie chciała oddać jej renty – zakpił Piotr i zmienił temat: – Jak twoje kontakty z Marianem Badylarzem?

– Porządny gość z niego, da człowiekowi zarobić, czasem każe pochodzić za tym albo za tamtym gościem.

– Dużo wyciągasz u niego?

– Na skromne życie i butelkę starczy.

– A może chcesz zarobić na znacznie więcej?

– Pewnie! – odparł ochoczo paser.

– Pojedziesz do Badylarza i dasz mu ten brylant wraz z kartką. Zapytasz, czy jest gotów zapłacić za całość pięćset tysięcy dolarów.

Na dźwięk wymienionej kwoty na wynędzniałej twarzy Marczecka pojawił się uśmiech, a oczy wyraźnie rozbliły.

– Pięćset tysięcy? – zapytał, jakby nie dowierzając.

– Pięćset – potwierdził Piotr.

– Co mam zrobić?

– Słuchaj uważnie, bo nie będę dwa razy powtarzał. Badylarz ma trzy dni na wycenę brylantu i diamentów wymienionych na kartce. Jeżeli ktoś się dowie o całej sprawie, zginiesz ty, Badylarz i cała jego rodzina. I Helka pewnie też. Nikt na mieście nie może wiedzieć o tej transakcji. Te diamenty trzeba sprzedać za granicę. Jeżeli Marian zapyta, kto ci dał ten kamień, powiedz, że generał Malczewski. Rozumiesz?

– Tak i nie – odparł Marczeck.

– Badylarz nie może wiedzieć, że to ja sprzedaję ten kamień. Ma myśleć, że to mój przełożony, bo to on je ma, ale część należy również do mnie, jasne?

– Jasne.

– Jeżeli po wycenie będzie zainteresowany zakupem za ustaloną kwotę, to za cztery dni dasz mi odpowiedź i spotkasz się ze mną w „Cosa Nostrze”. Tylko uważaj, żebyś nie miał żadnego ogona. Jeżeli sprzedasz kamień, dostaniesz pięć tysięcy dolarów.

– Rozumiem – zapewnił podekscytowany Marczeck.

– Powiedz też, że transakcję przeprowadzimy w domu Badylarza, ale ma być tylko on, jego syn i Józek. Od nas będzie jedna osoba. Marian niech wynajmie odpowiedniego jubilera, który potrafi profesjonalnie wycenić kamienie. Powiedz, że jeżeli będzie chciał nas wykiwać albo piśnie na mieście choćby słowo, jest już trupem i to wraz ze swoim synem, resztą rodziny i tobą. Zapamiętasz? – spytał Piotr i wyjął z kieszeni zawiniątko.

– Zapamiętam, panie generale – skwapliwie potwierdził Marczeck, biorąc zawiniątko i kartkę. – Widzimy się za cztery dni.

– Tylko nie przyprowadź ogona – rzucił na pożegnanie Piotr.



## ROZDZIAŁ IX

Była godzina jedenasta, kiedy profesor Pietro Farelli wszedł do gabinetu ojca świętego. Uklęknął, chcąc ucałować papieski pierścień, ale Jan Paweł II chwycił go za ramiona i podniósł.

– Proszę wstać, profesorze – zwrócił się do Pietra po ojcowsku. – To pan zasługuje na uznanie, pana rodacy powinni być z pana i pańskiego ojca dumni.

– Dziękuję, wasza świętobliwość – odparł profesor, nie kryjąc wzruszenia. – Ruszam za dwie godziny. Rozmawiałem z lekarzem prowadzącym małej Marii i jej rodzicami. Zdecydowałem, że do Polski pojedzie mój zastępca, profesor di Natale, oraz młoda lekarka, córka mojej gospodyni, Marianny. Muszę ojcu świętemu zdradzić – profesor uśmiechnął się ciepło – że nasza droga Marianna na wieść, jakie szczęście ją spotkało, koniecznie chce waszej świętobliwości przysłać swoje ciasto, którym zajada się cała rodzina i znajomi. Szczerze polecam!

– Chętnie skosztuję ciasta owej czcigodnej pani i w ustalonym terminie zaproszę obie państwa rodziny na prywatną audiencję – odrzekł szczerze uradowany papież. Profesor jednak spoważniał.

– Mam jeszcze jedną sprawę do ojca świętego. Mógłbym zająć małą chwilę? – poprosił.

– Proszę, profesorze, pamiętam, że prosił pan wczoraj o rozmowę, ale natłok spraw wczorajszego wieczoru kazał panu zostawić ten problem na osobną rozmowę w cztery oczy.

– Tak, ojcie święty, to poważny problem rodzinny, o którym mogę porozmawiać tylko z waszą świętobliwością.

– Mów śmiało, przyjacielu. Zrobię, co tylko w mej mocy – zapewnił papież i wskazał profesorowi znany mu już fotel przy stoliku.

– Ojcie święty, może i jestem dobrym lekarzem czy nawet człowiekiem. Ale chyba nie jestem dobrym ojcem – w głosie profesora czaił się smutek i zawód. – W którymś momencie popełniłem błąd wychowawczy wobec mojego syna, Gennaro.

– Profesorze, każdy z nas popełnia błędy wychowawcze, nie ma ludzi nieomylnych, tylko głupcy są przekonani o własnej nieomyślności – zauważył papież.

Profesor opowiedział o nałogu narkotykowym swojego syna, jego ucieczce z domu i zerwaniu wszelkich kontaktów z rodziną. Ojciec święty dotknął palcem skroni, jakby usilnie szukał czegoś w pamięci.

– Znam jednego księdza – stwierdził po dłuższej chwili – który może panu pomóc, profesorze. Jego metody są może dość niekonwencjonalne, ale bardzo skuteczne.

Mogę poprosić go o spotkanie z panem, jeśli oczywiście wyrazi pan taką chęć. Dodam jeszcze, że znam co najmniej dziesięć przypadków, kiedy ów ksiądz pomógł znanym osobom wyrwać swych bliskich ze szponów nałogu. To ojciec Salvatore Moreno. Jako ciekawostkę dodam, że w przeszłości był osobą niewierzącą, zwodzoną na manowce przez różne siły. Ten zacny obecnie ksiądz przeżył własną śmierć i postanowił się zmienić. I to mu się udało. A teraz pomaga innym.

– Czy ojciec Moreno będzie chciał spróbować nam pomóc? – spytał profesor z nadzieją w głosie.

– W ciągu dwóch dni skontaktuje się on z panem osobiście. Musi mu pan zaufać. I proszę się go w pierwszej chwili nie przestraszyć. Jego wygląd może pozornie przeczyć jego dobrym zamiarom.

– Rozumiem, ojczy święty – odparł profesor Farelli i spytał: – Czy szanowna siostra Faustyna jest już gotowa?

– Tak, oczekuje już na pana.

Kiedy profesor wyszedł, papież wykonał telefon do ośrodka koło Mediolanu, gdzie ojciec Salvatore, niegdyś jeden z najważniejszych mafiosów Neapolu, resocjalizował młodych ludzi poprzez naukę miłości bliźniego i Boga oraz umiejętności doceniania wartości życia.

## ROZDZIAŁ X

Samolot Lufthansy lądował na Okęciu. John był zadowolony. W Berlinie wszystko poszło sprawnie i dzięki temu udało mu się wrócić jeszcze przed spotkaniem Joanny z koleżankami. W Warszawie padał deszcz. Miasto było szare, ale pulsujące zatłoczonymi ulicami i pośpiechem. Gdziekolwiek tylko przebijały się barwy nadchodzącej jesieni. Wśród tłumu i ulewy łatwiej można się było ukryć. John włożył dres, wiatrówkę z kapturem i gruby polar, który zawsze zdawał się dodawać mu kilogramów. Nawet z bliska trudno było go rozpoznać. Wyruszył na polowanie. Wsiadł do jednego z zatłoczonych autobusów. Wsiadł przy wypożyczalni samochodów, w której już przed wyjazdem zamówił wóz. Zerknął na zegarek. Zdąży. Zostawił auto dwie przecznice od bramy. Podjechał niedaleko bramy kamienicy, którą widział na zdjęciu. To tu, na drugim piętrze, mieściło się mieszkanie kontaktowe agenta rosyjskiej ambasady. Zmierzchało, ale w oknach nie widać było zapalonego światła. Jeszcze go nie ma, pomyślał. W klatce sąsiedniej kamienicy znalazł zaułek na piętrze, skąd mógł obserwować wejście do kamienicy. Czekał. Minęła może godzina, kiedy zobaczył trzymającego czarny parasol faceta ubranego w prochowiec i kapelusz. To był on. John wiedział, że działał pod nazwiskiem Andriej Wigwizdoj i był attaché kulturalnym ambasady rosyjskiej. Po paru minutach zobaczył Joannę, która wyraźnie spieszyła się na spotkanie. John z ulgą jednak zauważył, że na ramieniu miała odpowiednią torbę.

Po chwili światło w mieszkaniu się zapaliło, jednak mężczyzna zasłonił okna grubymi zasłonami. John pomyślał, że następnym razem może spróbować zrobić jej zdjęcie na klatce schodowej, ale ostatecznie stwierdził, że podsłuch jest najlepszy. Spotkanie trwało około piętnastu minut. Pierwsza wyszła Joanna. Ruszyła w kierunku klubu studenckiego, gdzie spędzała czas po meczu z koleżankami. Po piętnastu minutach wyszedł agent i skierował się w przeciwnym kierunku. John zdjął polar i wrócił do samochodu.

Po około pół godzinie wszedł do klubu studenckiego, lekko kulejąc. Joanna siedziała przy jednym ze stolików, pochłonięta rozmową z koleżankami. Na widok narzeczonego uśmiechnęła się, szybko wstała i przytuliła go. Po chwili zatroszczyła się o krzesło dla niego, zapraszając do kobiecego grona.

– Witaj! Jak się czujesz? – spytała, z niepokojem zerkając na nogę Johna. – Szybko wróciłeś.

– Kotku, mam złe wieści. Musimy przełożyć nasz wyjazd o dwa tygodnie – odparł, siadając przy stoliku. – Mamy niedługo w Warszawie wizytę jakiejś szychy z góry, muszę tu zostać.

Joanna wyraźnie posmutniała.

– Nie wiem kochanie, czy będę mogła przełożyć urlop.

– Mój szef wszystko załatwi. Ten gość, który ma tu się zjawić, to ponoć naprawdę ktoś bardzo ważny, rozumiesz?

– Rozumiem – potwierdziła Joanna, choć w jej głosie czuł szczery zawód.

Kobiety przy stoliku zaczęły wypytywać o tajemniczego gościa z Ameryki. John jednak zbywał je, zasłaniając się tajemnicą państwową. Po paru minutach towarzystwo skupiło się na stanie zdrowia Johna. Kłamał jak z nut, myślał jedynie o tym, aby nie zapomnieć, na którą nogę kuleje. Po pół godzinie Joanna wyszła do toalety. John, niby od niechcienia, podniósł jej torbę.

– Podoba wam się? – spytał koleżanki Joanny, jakby chciał się pochwalić prezentem dla narzeczonej.

– No pewnie, nam też możesz takie sprezentować – rzuciła ze śmiechem śliczna blondynka.

– Tylko czy Joanna nie będzie zazdrosna? – ciągnął John. Gdy kobiety prześcigały się w żartach na temat zazdrości i toreb, John błyskawicznie i dyskretnie wyjął podsłuch z bocznej kieszeni torby, a następnie nogą przesunął ją na swoje miejsce, dosłownie na chwilę przed powrotem Joanny.

– Jestem już trochę zmęczony, a ty? – spytał cicho, pochylając się w stronę narzeczonej.

– Ja też – odparła i pocałowała go w czoło. – Pojedziemy do mnie?

– Chętnie, ale muszę jeszcze wpaść do ambasady. Czekać na mnie.

John pocałował czule narzeczoną, pożegnał się z rozświergotanym damskim towarzystwem i skierował się na parking przed klubem.

Kiedy dotarł do ambasady, wyjął urządzenie nagrywające, potem szpulkę i nałożył ją na odtwarzacz, przewijając nagranie do tyłu. Trafił na rozmowy z klubu, musiał więc cofnąć taśmę jeszcze bardziej. Kiedy usłyszał odgłos przypominający kroki na schodach, a potem dziwny dzwonek do drzwi – dwa razy długi i dwa razy krótki – wiedział, że to ten moment. Po wpuszczeniu Joanny do środka mężczyzna nieskazitelną polszczyzną powiedział:

– Witam, pani porucznik.

– Dzień dobry, panie majorze, nic więcej nie wiemy. John zasłabł, musiał jechać na dokładniejsze badania i konsultacje do kliniki w Niemczech.

– Niestety, a może stety, pani narzeczoney coś kombinuje. Udaje chorego. Musi pani ustalić, o co naprawdę chodzi i po co pojechał do Niemiec.

– Myślę, że nie ma na to szans – odparła Joanna. – Ostatnio jest bardzo ostrożny, jeśli chodzi o interesujące nas kwestie.

– Podejrzewa panią? – zapytał Rosjanin.

– Nie, ale kiedy zadałam mu pytanie, o które pan prosił, czy udało mu się ustalić, kto jest wtyką w ich strukturach, to odparł, abym zadała mu inny zestaw pytań, nie ten z rodzaju szpiegowskich, po czym zaczął się śmiać.

– Na pewno nie domyśla się czegoś? – nie dawał za wygraną Rosjanin.

– Nie, ale wyraźnie jest mniej rozmowny – odparła Joanna.

– To co? Przerwywamy nasze spotkania? Tu jest lista spraw, na które powinna pani zwrócić szczególną uwagę. Niech się pani z tym zapozna i zniszczy jak najszybciej. Jeśli coś się pani rzuci w oczy, proszę to sfotografować normalnym aparatem pod pozorem robienia zwykłych zdjęć.

– Jasne – odpowiedziała Joanna.

– Oto pani uposażenie, plus prezent – oznajmił mężczyzna, po czym pożegnali się.

Ona to coś miała w torbie – przypomniał sobie John. Wyczuł to, kiedy ręką wyjmował urządzenie nagrywające. Poczul jakby małą papierową teczkę. Ciekawe, czy zdąży to przeczytać. Schował podsłuch w swoim pokoju w ambasadzie, a sam ruszył do mieszkania Joanny. Kiedy tam dotarł, dziewczyna kończyła robić kolację. Gotowała świetnie. To jedna z jej wielu zalet – pomyślał przez chwilę z goryczą, zjadając się pysznymi szparagami. Skończyli kolację i dziewczyna zaczęła sprzątać. Gdy wyszła do kuchni, John zgarnął jej mały notes i poszedł do toalety. Nic nie znalazł. Wrócił szybko do pokoju i odłożył zeszytik na miejsce.

Po chwili dziewczyna przyniosła dwie filiżanki. Wróciła do kuchni, by przynieść cukier i ciastka. John wyjął z kieszeni niewielką fiolkę i wlał jej zawartość do jednej z filiżanek. Gdy Joanna wróciła, usiedli przy stoliku i delektowali się herbatą. Nie zdążyli jednak jeszcze dopić aromatycznego płynu, gdy dziewczyna usiadła na kolanach Johna i rzuciła, uśmiechając się kusząco:

– Chodź do łóżka, kochanie.

John pocałował narzeczoną namiętnie, zanurzając dłoń w jej pięknych blond włosach. Po chwili byli już w sypialni, ale Joanna nagle zaczęła ziewać.

– Jestem taka zmęczona, kochanie – wyszeptała, przytulając się do Johna. Po paru sekundach zasnęła jak kamień.

John wysunął się z jej ramion ostrożnie i poszedł do pokoju. Zaczął szukać w torbie papierowej koperty, ale nie mógł jej znaleźć. Coś kazało mu zajrzeć do kosza na śmieci, ale tam też było pusto. Przypomniał sobie wielką popielniczkę na balkonie, z której korzystali zwykle pałacy papierosy znajomi. Kiedy John wyjrzał na balkon, zobaczył na małym stoliku spopieloną kartkę papieru. A więc tym razem zdążyła... Ale to koniec, pani porucznik. Już on się o to postara.

## ROZDZIAŁ XI

Piotr się nie pomylił. Kulawy Mareczek, kiedy usłyszał o premii w wysokości pięciu tysięcy dolarów, natychmiast wsiadł do swojego wysłużonego fiata 125p i ruszył do rezydencji Badylarza. Kiedy tam dotarł, zastał Mariana w kuchni. Siedział na niskim taborecie i oporządzał dorodnego karpia.

– Wiesz, Marek, u nas w domu zawsze jemy ryby. Ta jest od pana Zenka. Takie sztuki ma w swoim stawie. I zaprasza mnie na Wigilię – opowiadał Badylarz.

– Musimy, szefie, pilnie pogadać – wyrzucił z siebie Mareczek.

– Nie musisz obawiać się mojej żony, Helena zna wszystkie moje tajemnice – zachęcił Marian, porozumiewawczo uśmiechając się do kobiety, która wyciągała z szafki dwie szklanki.

– Ale proszę o rozmowę w cztery oczy, to ważne – nalegał Mareczek.

– W porządku. – Marian odłożył nóż i wytarł rękę o leżącą na stole ścierkę.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Badylarz wyjął marlboro i poczęstował gościa.

– Słucham – rzucił ponaglająco i wziął papierosa do ust, mocno się zaciągając.

– Jest możliwość zrobienia grubego interesu. Ktoś chce opchnąć diamenty i brylanty. Chce za nie pół bańki zielonych, pięćset tysięcy znaczy się. – Mareczek wyjął zawiniątko i kartkę, po czym podał je Marianowi. Ten rozwinął kartkę i rzucił na nią okiem, a następnie wyciągnął brylant i powiedział jakby co najmniej zobaczył ducha:

– O kurwa, ktoś obrabował jakiś bank? Czyje to i skąd to masz?

– Właścicielem tego bogactwa jest generał Malczewski – odparł spokojnie Mareczek.

– Sam Malczewski?

– Nie, jeszcze kilku gości.

– Jak Malczewski, to i ten chuj Serwatka – stwierdził Badylarz. – Kto ci to dał?

– Taki jeden od walut. Zdaje się, że nazywa się Szczepanik – skłamał Mareczek.

– Szczepanik? Takiego drobnego siuska do tego wynajęli? Dziwne.

– Szefie, ma pan trzy dni na odpowiedź, czy wchodzi pan w to czy nie.

– Dlaczego nie poszli do Wiesława, przecież on miastowy i ich? – dopytywał się Marian.

– Wszyscy wiemy, że Wiesiek to chuj i oszust, a pan jest uczciwy – stwierdził Mareczek.

– Czego jeszcze żądają?

– Nikt, ale to nikt nie może wiedzieć, że te kamienie oni puszczają w obieg. Po drugie, kamienie muszą opuścić Polskę, w razie smrodu nikt nie może się dowiedzieć, że oni mają z tym coś wspólnego.

– Cwane czerwone skurwysyny. Sami komuś zajebali, a teraz kombinują jak dziewice orleańskie – stwierdził ze wstrętem Marian. Zaciągnął się papierosem, podrapał po łysawej głowie i zapytał: – Do kogo iść wycenić te cacka i kto później mógłby nam to pomóc wywieźć?

Marian wiedział, że musi to być człowiek zaufany, który nie sprzeda ich innym esbekom, i znał tylko jedną osobę, która miała powód, by nienawidzić esbeków. Tą osobą był Zenobiusz Piotrowski.

Jeszcze tego samego dnia udali się do jubilera i Badylarz pokazał mu spis kamieni oraz brylant. Zenobiusz, oczywiście niezwykle wręcz zdziwiony, stwierdził, że musi lecieć do Amsterdamu i wróci za dwa dni. Marian Badylarz przystał na te warunki, nie miał zresztą innego wyjścia. Miał za mało czasu.

– Ile to może być warte, panie Zenobiuszu?

– Nie wiem. Ten towar wygląda na bardzo parzący, tak jakby ktoś okradł niezły sejf. Musi się wypowiedzieć fachowiec światowej sławy – stwierdził stanowczo.

– Pana prowizja?

– Piętnaście procent tego, co będzie pan mógł za nie dostać.

– Ale goście chcą pięćset tysięcy dolarów.

– Uważam, że to może być warte znacznie więcej. Może nawet jeszcze raz tyle – odparł Zenobiusz.

– Dziesięć procent – zaproponował Marian.

– Piętnaście – odparł jubiler, wyciągając rękę. – Chyba że Wiesław załatwi to lepiej – dodał ironicznie.

– Dobrze, zgoda.

– Tylko jedna prośba – wtrącił się Mareczek, który do tej pory jedynie przysłuchiwał się tym targom. – Ten towar mają bardzo wpływowi i niebezpieczni ludzie. Nikt nie może dowiedzieć się o tej transakcji. Nie chcę skończyć z samobójczą pętlą na szyi lub zostać przez nich przeprasowany – ostatnie słowa zabrzmiało szczególnie ostro.

– To oczywiste – odrzekł dobitnie jubiler.

## ROZDZIAŁ XII

Ksiądz Michał modlił się całą noc w kaplicy. Lubił te chwile samotności i modlitewnego skupienia. Pozwalały odnaleźć spokój i pokorną, płynącą z powołania do służby Bogu i bliźnim, radość, o której niekiedy zdarzało mu się zapomnieć wśród natłoku bieżących spraw. To tu odnajdywał też często, dzięki nocnej modlitwie, odpowiedzi na nurtujące go pytania. Kiedy zaczęło świtać, ksiądz udał się do kuchni, gdzie brat Roman powitał go szerokim i jak zawsze serdecznym uśmiechem. Poczciwiec szybko zakrzętał się wokół kuchenki oraz szafek i wkrótce na stole postawił talerz z pachnącą jajecznicą na boczku z odrobiną szczypiorku.

Po śniadaniu ksiądz Michał wziął prysznic, a następnie udał się do pokoju przeora. Była ósma, gdy wszedł do pomieszczenia, w którym zastał swego wieloletniego przyjaciela. Ksiądz Witold Dunin-Zamoyski, człowiek słusznej postury o łagodnych, niebieskich oczach, siedział przy niewielkim stoliku zagłębiony w lekturze.

– Witaj, Witku – przywitał go Michał. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Przenajświętsza Panienka.

– Witaj, witaj, Michałku – odparł ksiądz Witold, jak zwykle zwracając się do przyjaciela zdrobnieniem. Szybko wstał i wskazał gościowi niewielkie, przylegające pomieszczenie spełniające funkcję gabinetu. Na skromnym drewnianym biurku leżały tu stopy papierów i teczek.

– Zjesz śniadanie albo napijesz się kawy? – zaproponował przyjacielowi ksiądz Michał.

– Nie, dziękuję, nie mogę nic przełknąć na myśl, że w każdej chwili nasza praca może pójść na marne – padła pełna przygnębienia odpowiedź. Ksiądz Michał doskonale znał przyczyny tego zamartwiania się. Wraz z jedną ze znanych krakowskich aktorek ksiądz Witold jakiś czas temu założył sierociniec dla dzieci chorych i upośledzonych. W prowadzeniu placówki pomagały mu siostry nazaretanki i ojcowie franciszkanie. Ośrodek w ciągu dwóch lat bardzo się rozrósł i potrzebował dotacji, w związku z czym ksiądz Witold pukał do kolejnych drzwi. Bezskutecznie. Zaległości w płatnościach za energię, wyżywienie i leki stale rosły, ośrodkowi groziło zamknięcie, a podopiecznym odesłanie do domów opieki społecznej.

– Pamiętaj, miej nadzieję, ona nie umiera nigdy – pocieszył przyjaciela Michał. – Wiesz, kto mnie tego nauczył?

– Ja – odparł, uśmiechając się, Witold.

– Ano właśnie. Rozmawiałem z panią Luizą Sedano, z tego włoskiego wydawnictwa, które planuje wydanie mojej książki w dziesięciu tysiącach



egzemplarzy. Z każdego otrzymam pięć dolarów, a dwadzieścia procent tej sumy trafi na konto Watykanu do końca roku, więc jeśli tylko kardynał Macharski zgodzi się, to spłacę ten dług. Na ile może starczyć taka kwota?

– Przyjacielu! Za te pieniądze możemy spokojnie funkcjonować parę lat – odparł z nadzieją w głosie ksiądz Witold.

– No a ja w tym czasie postaram się napisać kolejną książkę – dodał ze śmiechem ksiądz Michał i spod stosu pism urzędowych wygrzebał telefon.

Wykręcił numer do siedziby metropolity. Darzono go tam szczególną sympatią, więc miał nadzieję na szybką rozmowę z kardynałem. Rzeczywiście, błyskawicznie połączono go z gabinetem metropolity. Jak nakazywał dobry obyczaj, po wymianie powitań, ksiądz Michał zapytał o to, czy w czymś nie przeszkadza.

– Michale, nigdy nie przeszkadzasz. Twoja energia i kolejne pomysły niezmiennie mnie zaskakują – usłyszał szczere zapewnienie kardynała Macharskiego.

Michał dość szybko, by nie marnować cennego czasu swojego rozmówcy, przeszedł do rzeczy.

– Twoja prośba, przyjacielu – odpowiedział kardynał – dotyczy tak szczytnego celu, że nie mógłbym ci odmówić. Przyślij do mnie księdza Witolda, to załatwimy formalności i przelejemy pieniądze na konto jego fundacji. Zapewniam, że jego podopieczni mogą być spokojni, ale trzeba się zastanowić, jak w przyszłości zabezpieczyć ośrodek finansowo.

– Mam chyba pomysł – oznajmił ksiądz Michał. – Jeżeli ksiądz biskup pozwoli, to chciałbym przekazać całe honorarium z mojej książki na rzecz fundacji.

– Masz wielkie serce, przyjacielu, przypominasz mi świętego Franciszka i naszego kochanego ojca świętego, który dla mnie będzie zawsze wzorem miłosierdzia.

Gdy ksiądz Michał kończył rozmowę, po twarzy księdza Dunin-Zamoyskiego płynęły łzy. Jego dzieło było ocalone.

– Widzisz? Wszystko będzie dobrze! – zwrócił się z uśmiechem do przyjaciela ksiądz Michał, a żegnając się, dodał: – Wybacz, przyjacielu, ale muszę pilnie porozmawiać z ojcem świętym w bardzo ważnej dla mnie sprawie. Od tego zależy życie trzymiesięcznej dziewczynki.

Ksiądz Michał raz jeszcze znalazł się w znanej już sobie piwnicy. Usiadł przed aparatem telefonicznym i czekał. Po chwili, punktualnie o dziewiątej, zadzwonił telefon.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – zaczął Michał, wiedząc, że po drugiej stronie może być tylko jedna osoba.

– I Przenajświętsza Matka – dodał papież.

Więści były bardzo budujące i po zakończonej rozmowie Michał postanowił jak najszybciej przekazać je Piotrowi. Kiedy wszedł do celi, jego gość spał niczym zabity. Michał wiedział, że ostatnie dni musiały być dla niego koszmarne, dlatego wycofał się i najpierw skierował się do kuchni, po śniadanie i herbatę dla Piotra. Po drodze wziął z pralni czysty ręcznik i szlafrok, na wypadek gdyby jego gość zechciał się odświeżyć. Gdy wrócił do celi, delikatnie obudził śpiącego. Piotr nerwowo zaczął

szukać zegarka.

– Jest wpół do dziesiątej. Zjedz śniadanie i ruszaj do Warszawy. Dzisiaj koło południa z Rzymu wyruszą dwie karetki z zespołem lekarzy. Musisz być w tym czasie przy córce i zięciu – oznajmił łagodnie, ale stanowczo Michał.

– Ile to będzie kosztować? – zapytał odruchowo jeszcze nie do końca rozbudzony Piotr.

– Dzięki naszemu kochanemu ojcu świętemu i włoskiemu profesorowi, którego ojca w czasie wojny uratowali partyzanci z AK, nic.

– Ale...

– Wiara i przyjaźń – odpowiedział na jego nieme pytanie Michał. – Jeśli wiesz w ogóle, o co chodzi. Zjedz śniadanie i ruszaj do Warszawy.

– Miałeś mi opowiedzieć, skąd masz różaniec i zdjęcie... – rzucił Piotr, zerkając na stolik, gdzie leżały cenne pamiątki.

– To dzięki dowódcy mojego oddziału partyzanckiego. Przybył jako pierwszy na miejsce pacyfikacji. Ale to długa opowieść, na inną okazję. Mam coś jeszcze dla ciebie. – Michał wyjął z szafy grubą kopertę zaadresowaną po niemiecku.

– To przyszło dwa miesiące po śmierci twojej żony i wnuczki – wyjaśnił Michał. – Nie chciałem cię tym torturować.

– Co to jest? – zapytał z rosnącym niepokojem Piotr.

– To dowody, że Erwin Schultz żyje i jest szanowanym obywatelem Niemiec. Ma siedemdziesiąt sześć lat i jest mieszkańcem pewnego miasteczka w Bawarii – odparł Michał.

– Skąd to masz?

– Od tego Niemca, którego poznałem dzięki Instytutowi Jad Waszem. Nazywa się Peter Michanek i jest wnukiem szeregowca rozstrzelanego przez SS pod Tarnowem za odmowę rozstrzelania Polaka. Przejrzyj to w spokojniejszej chwili. Teraz najważniejsze jest życie i zdrowie twojej wnuczki.

Gdy Piotr zjadł, umył się i pożegnał z Michałem, ruszył do Warszawy, gdzie czekała na niego córka z małą wnuczką. Całą drogę myślał o tym, co wkrótce nastąpi. W jego dotychczasowych planach pojawiła się dość istotna zmiana. Zanim zniknie, musi jeszcze odszukać w Niemczech jedną osobę – SS-Standartenführera Erwina Schultza, zwanego na Kielecczyźnie „Synem Diabła”.

## ROZDZIAŁ XIII

Marian Badylarz nie był typowym bandytą. Był produktem systemu, swoistym tworem, który łączył w sobie przebiegłość, przedsiębiorczość i umiejętność przystosowania się do otaczającego go świata. Świata peerelowskich realiów, które zdawały się blokować wszelkie możliwości rozwoju prywatnej przedsiębiorczości i zaradności, ale w rzeczywistości tworzyły idealne warunki dla rozkwitu gospodarczego podziemia. Z jego istnienia zdawał sobie sprawę cały naród, który zmuszony brakami rynkowymi kupował wszystko spod lady albo na bazarze.

Marian zaczynał na początku lat siedemdziesiątych od paru małych foliówek, w których uprawiał pomidory, sałatę i rzodkiewkę. Handel warzywami pod Halą Mirowską w Warszawie przynosił nadspodziewanie pokaźne zyski. Rynek mógł wchłonąć każdą ilość towaru, więc Marian postanowił rozwinąć interes. Wkrótce był właścicielem nowych, olbrzymich szklarni, dzięki którym stał się istnym warzywnym potentatem. Wkrótce rodzina i znajomi zaczęli go nazywać Badylarzem, co nawet przypadło mu do gustu. Zarobione pieniądze zaczął inwestować w wykup sąsiednich gruntów i lokować w zachodnich walutach. Sielankę zmaćcił jednak jeden, drobny szczegół – uprzejmy i niezwykle życzliwy donos, który pojawił się pewnego dnia na biurku jednego z urzędników skarbowki. Kiedy nad Badylarzem zawisła groźba pokaźnego domiaru, do Mariana zawitał jego znajomy – Janek Złotówa, znany cinkciarz z Warszawy, u którego Marian kupował walutę. Usiedli nad wódeczką i król szklarni opowiedział przyjacielowi o swoich problemach. Janek Złotówa był wysokiej klasy warszawskim cwaniakiem. Jeżeli Badylarz u kogoś miał szukać ratunku, to lepiej trafić nie mógł. Po wysłuchaniu przyjaciela rzucił krótko:

– Bierz sto dolców i jedziemy do Warszawy. Tylko umyj się i ubierz, żebym się za ciebie nie wstydził.

Po godzinie siedzieli w mieszkaniu Janka, czekając na tajemniczego zbawcę, którego Złotówa telefonicznie poprosił o pomoc.

– Nie martw się – pocieszał kumpla Złotówa, klepiąc go po ramieniu. – Ten gość może ci pomóc. Oczywiście nie za darmo, ale wiesz, lepiej płacić mu haracz w wysokości dwudziestu pięciu procent dochodu, niż mają ci przypierdolić sto procent domiaru. No nie?

– No jasne! – potwierdził gorliwie Marian i czekał z utęsknieniem na zbawcę.

Tajemniczym zbawcą okazał się wysoki major SB z Wydziału do spraw Przestępstw Gospodarczych Komendy Stołecznej. Kiedy wszedł, Marian wyciągnął dłoń na powitanie, ale gość ominął go i usiadł w fotelu. Rozpiął marynarkę, wyjął

paczkę cameli, po czym poczęstował Janka i sam też zapalił. Po chwili strzepnął popiół do niewielkiej popielniczki na stoliku i spojrzął na Badylarza z niechęcią.

– I co, wiejski ćwoku? – rzucił z nieukrywaną pogardą. – Myślałeś, że możesz robić takie interesy bez naszej wiedzy? Myślałeś, że rozbudowa twoich szklarni ujdzie ci płazem, tak? – Marian zaniemówił, miał gulę w gardle. Był na straconej pozycji. Tymczasem major kontynuował: – W tym mieście i województwie nikt bez mojej wiedzy nie może się dorobić, jeśli nie podzieli się z nami. Rozumiesz? – Badylarz pokiwał przytakująco głową. Pomyślał, że jednak nie straci wszystkiego. – Dostaniesz karę w wysokości jednej dziesiątej tego, co miałbyś dostać. Rozumiesz? I od teraz zaczniesz płacić nam. Jasne?

– Jasne – odparł Marian bez zbędnych dyskusji.

– Ile wyciągasz w ciągu roku na czysto, w dolcach? – spytał major.

– Około pięciuset dolarów – zaryzykował Marian.

– Według mojej wiedzy tysiąc dolców rocznie! – major wyciągnął długi paluch w stronę Badylarza, jakby chciał mu pogrozić. – Nie pogrywaj ze mną. Spytaj swego przyjaciela, Jasia Złotówę, czy jest zadowolony ze współpracy z nami. – Janek pokiwał jedynie potakująco głową. Major umościł się wygodnie na fotelu, zaciągnął papierosem i założył nogę na nogę niczym biznesmen. – My nie tylko pomagamy rozwijać interes, ale wskazujemy nowe kierunki działalności, jaką możesz się zająć. Na przykład w sezonie zimowym mógłbyś handlować w Rembertowie na bazarze ciuchami z Turcji. Dostaniesz namiary na miejsca zakupu za granicą, a my pomożemy ci ściągnąć towar. Pasuje?

– Pasuje – przytaknął Marian. – Ile będę musiał odpalać miesięcznie?

– Z każdej zarobionej złotówki lub dolara odpalasz nam trzydzieści procent.

– Dobra. – Marian i wyciągnął z kieszeni sto dolarów.

– Ile tam jest? – spytał major, zerkając na pliczek.

– Stówa.

– No nie, przyjacielu! – Major pokręcił głową z niedowierzaniem. Skrzywił się, jakby kazano mu wypić ocet. – Za uniknięcie kary zapłacisz nam czterysta zielonych. Wiemy, że masz schowane około dwóch tysięcy. Jutro dasz kasę Jankowi, a kontrola wyjdzie od ciebie pojutrze. Jasne?

– Tak – odparł Marian. Drżącą ręką odłożył na stolik pliczek banknotów.

– Od dziś jesteś moim tajnym współpracownikiem o kryptonimie... – major zawahał się, ale już po chwili na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Badył, czyż nie pięknie?

Marian próbował się uśmiechnąć, ale grymas na jego twarzy był jedynie pokraczną imitacją uśmiechu. Major rzucił niedopalonego papierosa do popielniczki, wstał, podał rękę Złotówie i na odchodnym rzucił:

– Ja nazywam się major Kamiński i radzę ci dobrze zapamiętać to nazwisko.

Gdy major zamknął za sobą drzwi, trzaskając nimi z impetem, Marian odetchnął wreszcie z ulgą. Następnego dnia przywiózł pieniądze Jankowi. Przez całą noc, wierząc się z boku na bok, zastanawiał się, skąd major wiedział, że przez te wszystkie

lata ciężkiej harówki zebrał taką sumę. Nie domyślał się, że połowa sumy, którą właśnie kładł na stole kuchennym w mieszkaniu swego kumpla wylądowała za chwilę w niewielkim sejfie ukrytym za obrazkiem z kiczowatym widoczkiem, który wisiał na ścianie w salonie Złotowy.

Kontrolerzy skarbówki rzeczywiście wynieśli się po dwóch dniach. Domiar wyniósł raptem dziesięć procent kwoty, jakiej wcześniej bał się Badylarz. Po wszystkim Marian usiadł nad butelką wódki ze swoją żoną Heleną i synem Sebastianem, który miał wtedy dziesięć lat, i oznajmił:

– Człowiek ciężko zapierdala, a taka wsza przyjdzie, wyciągnie legitymację i zabierze kasę, i jeszcze chuj ci ręki nie poda! Co za swołocz! – splunął i jednym haustem wypił setkę wódki.

– Nie martw się, Marian – pocieszyła go żona – jeszcze się odkujemy. Może te ciuchy to będzie interes.

I był! Marian z pomocą Janka, który był mocno poukładany w Rembertowie, rozkręcił interes znakomicie. Na początku lat osiemdziesiątych cała Polska chodziła w tureckich spodniach i kurtkach. W ciągu miesiąca potrafił sprzedać tysiąc par spodni i niewiele mniej kurtek. Interes z majorem był opłacalny dla każdej ze stron. Mimo to major nigdy w czasie spotkania nie podał ręki Marianowi.

Wkrótce powstał kolejny intratny szlak handlowy – z Chin. Janek wyruszył tam wraz ze swoją rodziną, a Marian pilnował interesu w Polsce, jednocześnie rozkręcając go. Po około miesiącu zaczęły nadchodzić chińskie futra, które dawały możliwość uzyskania marży w wysokości pięciuset procent. Major coraz częściej pojawiał się w mieszkaniu Janka i notorycznie traktował Mariana niczym powietrze. Aż pewnego dnia...

– To pana dola, majorze – powiedział Janek, układając sto dolarów na stole tuż obok popielniczki.

– Wspaniale – odparł wyraźnie zadowolony major. – Możemy wypić po kielichu. Szkło i najlepszy koniak – rzucił do Janka.

Kiedy alkohol był rozlany, major wznosił toast za współpracę. Ale Marian nie wypił.

– Nie lubisz koniaku? – spytał ze zdziwieniem major.

– Nie piję z ludźmi, którzy nie podają mi ręki – odparł hardo Badylarz.

Major wstał, z kurtuazją się uklonił i wyciągnął rękę na zgodę.

– Przepraszam pana Mariana.

Marian uściśnął wyciągniętą dłoń, a major błyskawicznie chwycił ją i wykręcił, po czym kolaniem przygniół wątrobę Badylarza, wyciągnął służbową tetetkę, włożył lufę do ust przerażonego mężczyzny i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Wiesz, wiejski ćwoku, który ledwie skończyłeś podstawówkę, komu mogę podać rękę?

Marian poczuł, jak rękojeść pistoletu rozwała mu łuk brwiowy, a następnie nos. Zakrwawiony, nie mógł nawet pisać. Po chwili major puścił go, wyprostował się i krzyknął:

– Od dzisiaj, Jasiu, ty rozliczasz mi kasę i nie chcę tego śmiecia więcej tu widzieć.  
– Ostentacyjnie założył kurtkę i wyszedł, jak zawsze trzaskając drzwiami.

Janek podał przyjacielowi ręcznik i wateę. Marian przyłożył sobie okład z lodu w ręczniku.

– Skąd ty tego chuja wytrzasnąłeś? – jęknął.

– Nie, Marian – powiedział stanowczo Janek – to on nas wytrzasnął. Robimy z nim interes i musimy tańczyć tak, jak on zagra. Może kiedyś wyrównasz z nim porachunki, ale nie teraz.

– Teraz nie, ale może kiedyś zawieszę go w mojej komórce, gdzie oporządzamy świniaka, i osobiście opalę go lutlampą.

Koniec lat osiemdziesiątych był czasem prawdziwych żniw. Interes się wspaniale kręcił, szklarni przybywało, a syn Sebastian wyrósł na dorodnego mężczyznę. Na dwudzieste pierwsze urodziny Marian postanowił kupić mu wymarzone sportowe auto. Miał to być samochód, który by nadał prestiżu ich rodzinie. Młodzieniec zażyczył sobie porsche. Ojciec stanął na głowie i sprowadził przez niemieckiego dyplomatę pięcioletni samochód, co na owe czasy i tak było niezłym wyczynem. Dzięki koneksjom Janka udało się samochód zarejestrować. Marian Badylarz nie mógł się nadziwić, oglądając czarne cacko. Nie wiedział jednak, w jakie kłopoty się właśnie wpakował.

Pierworodny nie należał do grzecznych i poukładanych dzieci. Wyrósł na potężnego, prawie dwumetrowego mężczyznę. Robił interesy z ojcem, a w wolnych chwilach trenował na siłowni i w salce z matą bokserską. Młodzieniec marzył o tym, aby zostać pięściarzem wagi ciężkiej. Ojciec za namową syna woził go do Warszawy na treningi do znanego mistrza kraju w boksie, w wadze ciężkiej. Po dwóch latach, kiedy ojciec zapytał mistrza, czy jego syn robi karierę na ringu, ten odpowiedział szczerze:

– Panie Marianie, Sebastian to dobry chłopak, ale talentu nie ma za grosz. Coś panu pokażę... – Zawołał rówieśnika w wadze piórkowej i zaproponował sparring z Sebastianem. Wydawało się, że będzie to pojedynek Dawida z Goliatem i że Sebastian jednym ciosem zmiecie z nóg sparingpartnera. Tymczasem walka obnażyła wszystkie jego słabości i braki. Sebastian był za wolny, zadawał potężne ciosy, ale w powietrze, a mały pięściarz obijał go niemiłosiernie po wątrobie i żołądku. Po drugiej rundzie wkurzony Marian krzyknął:

– Dość tego cyrku! Ty się, kurwa, nadajesz do wyrzucania gnoju z obory, a nie do ringu. – Zdecydowanym gestem wskazał synowi szatnię.

I tak Sebastian przeniósł swą karierę z sali treningowej do wiejskich, podwarszawskich remiz i dyskotek, gdzie ubezpieczony przez ochroniarza rodziny – Silnego Staśka, byłego zapaśnika – lał niemiłosiernie rówieśników, którzy stanęli mu na drodze. Marian Badylarz stwierdził z żalem, że nie wie, po kim jego syn odziedziczył rozum – ale na pewno nie po ojcu i matce.

Sebastian uwielbiał także urządzać wyścigi z rówieśnikami, którzy chcieli go koniecznie pokonać w jego wspaniałym porsche. I tak pewnego deszczowego popołudnia doszło do tragedii. Prowadzone przez Sebastiana auto na jednej

z głównych ulic Piaseczna wpadło w poślizg na mokrej nawierzchni i zmiotło po drodze przystanek wraz z oczekującymi na nim ludźmi. Na miejscu zginęła pięćdziesięcioparoletnia kobieta, a jej wnuczka, mimo trzech operacji, zmarła po dwóch dniach. Pozostałe trzy ranne osoby na szczęście przeżyły. Sebastianowi groziło więzienie, ale tu z pomocą znowu pospieszył Janek Złotowa. Dzięki jego układom i znajomościom udało mu się uniknąć kary. Za Sebastiana poszedł do więzienia jego kolega, który za odpowiednią gratyfikację zgodził się przyjąć winę na siebie. Oczywiście cała akcja nie byłaby możliwa, gdyby nie pewien generał, niegdyś major, który miał silną i pewną pozycję w określonych kręgach. Mimo że był już rok 1989, to stary układ powiązany był bardzo mocno i mógł bardzo wiele. Cała sprawa kosztowała Badylarza dziesięć tysięcy dolarów. W najczarniejszych snach nie przypuszczał, że za parę lat będzie musiał z synem zapłacić znacznie wyższą cenę za to wydarzenie.

W 1990 roku zaczął się czas przemian ustrojowych, do których musiało dostosować się szybko podziemie gospodarcze. Pod Warszawą powstawały podwaliny polskiej mafii. Grupy i grupki łączyły się, by skuteczniej wymuszać haracze i handlować na masową skalę narkotykami. Wkrótce zmiany dotarły i do Piaseczna, gdzie urzędował Marian Badylarz. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że albo to on zjednoczy miejscowych opryszków wokół siebie, albo wkrótce ktoś zapuka do niego po haracz. Marian nie wiedział, że tym kimś miał ochotę zostać Chciwy Wiesław – człowiek pochodzący z okolic Rembertowa, a osiadły w Warszawie były współpracownik generała Kamińskiego.

I tak pewnego grudniowego dnia pod dom Mariana podjechała kawalkada zagranicznych samochodów na warszawskich numerach. Z pierwszego auta wysiadł wysoki łyсы młodzian, który zaczął walić w drzwi wejściowe domu Badylarza.

– Rusz dupę, szef na ciebie czeka – ostro rzucił młokos, gdy przerażony Marian uchylił drzwi. Badylarz posłusznie wyszedł, a młodzian zaprowadził go wprost do jednego z samochodów.

Na tylnym siedzeniu luksusowego bmw siedział Wiesław. Ubrany w jasny garnitur, z rozpiętą koszulą, złotym krzyżem na szyi i sygnetem na palcu palił nonszalancko wielkie cygaro, które zapewne miało wszystkim przypominać, kto tu rządzi.

– Zapraszam do domu – zaproponował Badylarz, który odzyskał już rezon. – Nie będziemy rozmawiać na podwórku.

Nagle młokos uderzył Mariana małą gumową pałką w tył głowy, tak że ten wywinął orła tuż przed otwartymi drzwiami samochodu.

– Najpierw musiałybyś wybudować dom, bo to, co tu widzę, to raczej chlew – pokiwał z politowaniem głową Wiesław.

Dwóch osiłków złapało Mariana za ramiona i ustawiło przed szefem w pozycji na klęczkach.

– Jutro zapłacisz mi pierwszą ratę tego, co dawałeś generałowi – rzucił Wiesław, wypuszczając kłąb dymu.

– Dobrze – pokornie odparł Marian. Opór był daremny. W domu nie było ani

syna, ani Silnego Staśka, więc wynik ewentualnego pojedynku byłby przesądzony.

– Masz przyjechać do mojego biura, do restauracji „Adria” na Mokotowie. O dziesiątej cię widzę – oświadczył Wiesław i wyrzucił pod nogi Mariana niedopalone cygaro.

Badylarz jednak nie zamierzał płacić. Kiedy dowiedział się, że Janek Złotowa też ma na karku ludzi Chciwego, postanowił działać. Wiedział, gdzie partyzanci w 1947 roku zamelinowali sporą ilość broni, którą uprzednio zakonserwowali. Gospodarz, na którego terenie ukryty był depozyt, dostał dwieście dolców, a w ręce Mariana trafiło dwadzieścia automatów, w większości niemieckich mp-40 i zrutowych stenów. Oprócz tego dwadzieścia pistoletów, dziesięć karabinów, cztery erkaemy i jeden cekaem. Do tego oczywiście spora liczba amunicji i granatów. Co najważniejsze, gospodarz dbał solidnie o swoje zbiory, gdyż wierzył, że jeszcze kiedyś mogą się przydać. I nie pomylił się.

Marian zorganizował dziesięciu doborowych osiłków, o których lojalność nie musiał się bać. Oświadczył im, że nie podda się bez walki i postanowił założyć własną grupę, która będzie trzęsła okolicą i nie tylko. Wokół domu Badylarza czuwały patrole, łącznie z policjantami, których Marian przekupił, aby na wypadek jakiejś strzelaniny interweniowali dopiero po godzinie. I tak trzeciego dnia po pierwszej wizycie miał nadejść dla niego sądny dzień.

Wiesław, wraz z dwudziestoma oprychami, ruszył do Mariana, aby obić mu głowę i wygzekwować haracz. Jechali mocno wstawieni i uzbrojeni w pistolety, noże, pałki i maczety. Kiedy Marian dostał informację telefoniczną od człowieka, który stał dwa kilometry od domu na czujce, o pięciu podejrzanych samochodach, miał już przygotowany plan należytego powitania gościa ze stolicy. Gdy kawalkada samochodów wjechała na podwórko, Marian stał, jak gdyby nigdy nic, oparty o drzwi wejściowe do domu. Z jednego z aut wyskoczyli młodzi bandyci, z których każdy chciał jako pierwszy obić i rzucić pod nogi Wiesława nieposłusznego biznesmena. Już mieli się rzucić na niego z pałkami, gdy Badylarz cofnął się, a w drzwiach ukazał się Silny Stasiek uzbrojony w automat, który puścił po serii pocisków w nogi najbardziej krewkich napastników. Dwaj z nich padli ścięci niczym kłosa zboża. Reszta stanęła jak wryta i sięgnęła po pistolety, ale w drugim, gospodarczym, budynku ukazał się Sebastian i dwóch nowych ludzi Mariana. Każdy z nich uzbrojony był w automat i po chwili większość z napastników leżała na podwórzu z przestrzelonymi nogami. W tym momencie ze strychu odezwał się poniemiecki erkaem, który za cel obrał sobie luksusowe bmw. Pierwsza jego seria zabiła kierowcę i rozwalila przednią oponę.

– Kto chce żyć, rzucić broń, na kolana i łapy na szyję! – wrzasnął Marian, wychylając się zza drzwi swego domu.

Wszyscy uklękli jak na komendę, a ludzie Badylarza zajęli się porzuconą bronią. Kiedy Marian podszedł do bmw, zobaczył skulonych między tylnymi siedzeniami Wiesława i jego prawą rękę – Pyszczatego Huberta.

– Wyjdiesz sam czy mam ci pomóc? – rzucił ostro Badylarz.

Wiesław nie dał się za długo prosić. Wyszedł, poprawił zmięty biały garnitur i trzęsącym się głosem oznajmił:



– Przyjechałem coś zaproponować.

– Widzę – warknął Marian. – Wszyscy twoi ludzie wypierdalają z podwórka. Zostajesz ty i ten twój pryszczaty cymbał. Jasne?

– Tak – odparł Wiesław, któremu pot lał się obficie po czole i wyżełowanych włosach.

Po chwili rozbrojeni bandyci wyjechali z podwórza pozostałymi samochodami, zabierając trupa kierowcy i rannych kolegów. Mimo iż nie mogli już go usłyszeć, Marian odwrócił się demonstracyjnie w stronę odjeżdżających aut, wskazał na komin centralnego ogrzewania jego szklarni i wrzasnął:

– Jeżeli ktoś bez mojej wiedzy przekroczy granice Piaseczna, to osobiście spalę go w moim piecu! Na początek spalę waszego szefa i tego pryszczatego tępaka! – Odwrócił się w stronę Huberta, który zdążył się w końcu wydostać spod tylnego siedzenia, i dał sygnał ręką.

Ludzie Badylarza zwiążali Wiesława i Huberta, po czym pozbiali łuski, zmienili koło w bmw i schowali wóz w szopie.

Marian zadzwonił na posterunek policji.

– Czesiu – rzekł do komendanta – nie przeszkadzaj mi przez godzinę. Odwdzięczę się.

Kiedy wrócił do kotłowni, Wiesław i jego prawa ręka byli już w samej bieliźnie.

– Popełniłeś duży błąd. I teraz za ten błąd zapłacisz – powiedział spokojnie, zerkając wymownie w stronę Silnego Staśka. Olbrzym bez słowa podszedł do sporych rozmiarów żeliwnych drzwi pieca, za którymi buchał żar. Dwóch innych osiłków złapało Wiesława i jego człowieka za ramiona. Następne pięć minut upłynęło wszystkim na słuchaniu skamlenia i błagania o litość oraz oglądaniu rzęsistych łez. Dwaj warszawscy bandyci wyglądali tragicznie. Klęczeli przed Marianem załamani i pewni rychłej śmierci.

– Wiesz, Hubert – rzekł Marian, przyglądając im się z pogardą – daruję ci życie, ale musisz coś dla mnie zrobić.

– Co pan każe, to zrobię – skamlał Hubert – wszystko...

– Zabijesz swojego szefa.

– Dobrze – Hubert nie zawahał się nawet przez chwilę. Ludzie Mariana puścili go, a ten zaczął rozglądać się za odpowiednim narzędziem. Wiesław zbladł i z nienawiścią patrzył na swojego niedawno zaufanego człowieka.

– Tam masz siekiere – wskazał Marian.

Pryszczaty Hubert ruszył rażno po siekiere i już miał szlachtować swojego szefa, gdy usłyszał:

– Stop! – Marian kiwnął palcem, zatrzymał cały spektakl i zwrócił się wprost do Wiesława: – Widzisz, głupi cymbale, już byś nie żył, ale ci daruję. Zakładaj gacie!

Po chwili Wiesław, któremu wciąż trzęsły się nogi, siedział w kuchni Mariana. Badylarz odesłał wszystkich ludzi i spytał wprost:

– I co, dalej chcesz wojny?

– Nie, nie! – krzyknął Wiesław, który chyba nie mógł uwierzyć, że wciąż żyje.

Podczas godzinnej rozmowy omówiono podział terenu. Obie grupy miały trzymać się granic, operować tylko u siebie i nie wchodzić sobie w drogę. Kiedy Wiesław wracał do Warszawy, poprosił ochroniarza, który po niego przyjechał, aby skrzył do lasu. Zatrzymali się przy leśnej, mało uczęszczanej drodze. Tam osiłek wyciągnął Huberta z samochodu i rzucił na kolana przed szefem.

– Przepraszam, szefie! Co miałem zrobić? – skamlał, łkając Hubert.

Wiesław wyjął pistolet i bez wahania strzelił mu prosto między przerażone oczy.

– Zakop to ścierwo – rzucił chłodno do ochroniarza. – Chciał mnie zabić siekierą. Ile lat można patrzeć na taką gębę...

Pokój między gangsterami obowiązywał, ale Marian nie przewidział, że po miesiącu odwiedzi go jeszcze jeden dobry znajomy. Był to generał Kamiński.

– Brawo! – zawołał, wchodząc do domu Mariana. Uprzejmie wyciągnął dłoń na powitanie. – Brawo! Wiesław tak się spietrał, że powiedział, iż w życiu jego noga nie postanie w Piasecznie. Chciałbym widzieć to przedstawienie.

Generał, na którego rozlanej, tłustej twarzy malowała się prawdziwa radość, stał w holu z wyciągniętą dłonią. Marian podszedł i dopiero po kilku sekundach uściśnił grube palce.

– Zaczynamy nowy wspólny interes – oznajmił Kamiński, gdy weszli do salonu. – Będziecie ściągać haracze, rozlewać lewą wodę i produkować narkotyki.

– Narkotyki? To ja zamiast pomidorów mam teraz kokę hodować? – spytał zdziwiony Marian.

– Nie, nie! Będziesz robił dla nas amfetaminę. Wszystko dostaniesz na patelni, tylko procent się zmieni.

– To znaczy?

– Z haraczu dwadzieścia pięć procent dla nas. Z rozlanej wody i narkotyków pięćdziesiąt.

– Dwadzieścia pięć z wody i narkotyków. – Marian musiał choć spróbować się potargować.

– Hardy jesteś – generał pokiwał mu palcem przed nosem niczym krnąbrnemu uczniakowi – ale to my ustalamy warunki. Moi ludzie potrafią strzelać lepiej od osiłków Wiesława.

– Dobra, niech będzie moja strata – zgodził się pokornie Marian.

– Człowieku! W ciągu roku będziesz wyciągał dziesięć milionów dolarów – tłumaczył generał. Marian aż usiadł z wrażenia.

– Dziesięć milionów...?

– Jedynka i siedem zer – odparł generał, klepnął Mariana po ramieniu, stwierdził, że musi lecieć, podał rękę na pożegnanie i wyszedł.

Od tego momentu życie Mariana Badylarza nabrało tempa. Musiał zatrudnić czterdziestu zaufanych ludzi, którzy zajęli się nowymi źródłami nielegalnego dochodu. W krótkim czasie płaciło mu haracz blisko dwa tysiące osób. Żądał dwudziestu procent dochodu, a oporni byli porywani i niemiłosiernie bici. Ci, którzy uwierzyli w moc sprawczą policji, tracili w tajemniczych pożarach samochody

i domy. Pełną parą działała też rozlewnia nielegalnego spirytusu. Na butelce podrobionego alkoholu można było zarobić nawet dwieście procent. Wkrótce sklepikarze i restauratorzy, oprócz płacenia haraczu, musieli wprowadzać do obrotu podrobiony alkohol kupiony od Mariana.

Trzecim rodzajem działalności stała się produkcja i dystrybucja amfetaminy. O ile w Polsce był to dobry interes, to już za Odrą, w Niemczech czy w Holandii, można było uzyskać nawet kilkaset procent marży. Marian pomnażał swój majątek w błyskawicznym tempie. Obliczył, że miesięcznie może zarobić nawet pięćset tysięcy dolarów. Niestety z poczciwego przedsiębiorcy, który wszelkimi sposobami próbował się dorobić własną pracą, stał się bezwzględny i zestresowany szefem niezwykle intratnego interesu. Przy tym zmienił się jako człowiek. Kiedyś uczynny, chętnie pomagający innym, dzisiaj stał się nerwowy, butny i nieczuły. Był dowodem na to, że duże pieniądze nie zawsze idą w parze ze spokojem i szczęściem, a poczucie władzy i bezkarność prowadzą do zguby, o czym wkrótce Marian miał się przekonać.

W momencie pojawienia się Kulawego Marcuszka z propozycją zakupu brylantów Marian miał już dość dużą sumę oszczędności ulokowaną w dolarach. Spoczywały sobie spokojnie zakopane w jednej ze szklarni. O miejscu tym wiedział tylko on i jego żona.

Badylarz miał w życiu jedno marzenie – wybudować fabrykę czekolady i słodczy. Marzył o tym od dziecka i nigdy nie przypuszczał, że dziecinne marzenia mogą naprawdę się ziścić.

Po kilku dniach pojawił się u Zenobiusza Piotrowskiego i kiedy zostali sami, Marian spytał z nadzieją w głosie:

– Czy udało się panu ustalić wartość tego towaru? – Wskazał na brylant i kartkę leżące na biurku.

– Tak, wróciłem dzisiaj rano z Amsterdamu – odparł Zenobiusz, udając zmęczonego. – Po przewiezieniu do Amsterdamu dostanie pan za nie milion dolarów.

– Nie można więcej wyciągnąć? – dopytywał Badylarz.

– Można, tylko trzeba to zalegalizować. Inaczej za posiadanie czegoś takiego można trafić za kratki na jakieś dwadzieścia pięć lat. – Nie czekając na dalsze pytania, jubiler dodał: – Jeżeli pan tego nie kupi, to, znając życie, generał Malczewski zaproponuje tę transakcję Chytremu Wiesławowi.

– A jak pan myśli, dlaczego zwrócił się do mnie? – zastanawiał się głośno Marian.

– To proste. Generał Malczewski posiada te kamyki w związku z wykonywaną przez siebie pracą za granicą. Mój przyjaciel w Amsterdamie domyśla się nawet z jaką, ale powiem panu tylko tyle, ile mogę. Chodzi o to, że zabójstwo z tym związane jeszcze się nie przedawniło.

Badylarz spoważniał i zamyślił się. Zastanawiał się, czy może negocjować cenę.

– Ale dlaczego zaproponował to mnie? – próbował dalej dociekać. Brylantowy interes zarazem kusił go i niepokoił.

– Dlatego, że jeśli zaproponuje to Wiesławowi, to może dowiedzieć się o tym wasz wspólny znajomy, generał Kamiński, którego ani pan, ani Malczewski chyba za

bardzo nie darzycie sympatią i który mógłby żądać od tej transakcji działki dla siebie. Nieprawdaż?

– Tak, ma pan rację. Malczewski to zagranica, a ten gnój Kamiński to niestety cały czas Polska – rzucił Marian, który mimo podawania ręki przez generała nie porzucił myśli o zawieszeniu go na haku i wyrównaniu porachunków za dawne zniewagi. Dopiero po chwili, mimo iż podjął już decyzję, spytał jeszcze raz: – Pan na moim miejscu wchodziłby w ten interes?

– Jeżeli pan nie chce, to niech pan przekaze, że ja kupię te kamienie – odparł jubiler, wiedząc, że Badylarz nie wypuści okazji z rąk.

– Dobra, wchodzę w to! – Marian klepnął oparcie fotela, na którym siedział, jakby chciał przypieczętować ten interes życia. – Niech pan powiadomi kolegę z Amsterdamu, że za dwa tygodnie będziemy z tymi kamieniami, a pan niech się szykuje do wyceny.

– Chce pan u mnie to zrobić? – spytał Zenobiusz.

– Nie, u mnie, w Piasecznie. Muszę mieć obstawę na zewnątrz, bo może pan generał postanowił mnie obrabować. – Badylarz uśmiechnął się krzywo i przeszedł do rzeczy: – Koszt przerzutu tego będzie dość duży. Proponuję pewną korektę piętnastoprocentowej prowizji.

– O ile?

– Wie pan, że nie jestem oszustem. Uczciwe pięć procent, zgoda? – Wyciągnął rękę do Zenobiusza.

– Dziesięć. Wie pan, że też nie jestem oszustem i na dodatek umiem trzymać język za zębami.

– No dobra – rzekł Marian, nie kryjąc zawodu.

Pozegnał się z Zenobiuszem i jeszcze tego samego dnia Mareczek otrzymał telefon od tajemniczego rozmówcy, który poinformował go: „Biorę te sadzonki. Umawiaj dzień”.

Nazajutrz Mareczek czekał w restauracji „Cosa Nostra” na Mokotowie. Knajpa była pełna ludzi, w większości ubijających różne interesy. Można by śmiało rzec, że każdy znał tu każdego, więc widok Mareczka pijącego piwo nie był czymś dziwnym. Nagle pochylił się nad nim barman i poinformował:

– Jakiś gość prosił, żebyś wyszedł przed lokal, bo boli go gardło i nie będzie zarażał innych.

Mareczek wiedział, że pułkownik czeka przed lokalem, bo widocznie obawia się ogonów. I rzeczywiście nie mylił się, bo w knajpie obserwowało smakosza trunków dwóch zaufanych ludzi Badylarza. Śledzili go od momentu telefonu szefa o podjęciu transakcji. Mareczek zostawił niedopite piwo i ruszył, kulejąc, do ubikacji. Ponieważ nie zapłacił rachunku, obserwujący go mężczyźni nie ruszyli się od stolika. Mareczek zamiast do ubikacji wszedł na zaplecze knajpy, wyjął parę banknotów i podszedł do pomocnika kucharza.

– Pół tego jest dla ciebie, a pół dla barmana za piwo. Wypuść mnie tyłem, a za piętnaście minut zapłać. OK?

– Spoko – rzucił chłopak, chyba przyzwyczajony do opuszczania knajpy przez gości tylnym wyjściem.

Po dziesięciu minutach Mareczek zauważył audi Piotra. Kiedy upewnił się, że nikt go nie śledzi, wsiadł z tyłu, kładąc się na siedzeniu.

– Mówiłem ci, żebyś patrzył za siebie! – wrzasnął na niego pułkownik.

– Szefie, no... przepraszam! Ale nie mam ogona, słowo – odpowiedział wystraszony Mareczek. – Badylarz jest gotów. Kupi diamenty, ale ma pewne warunki.

– Jakie? – spytał chłodnym tonem Piotr.

– Transakcja w jego biurze, w willi na ulicy Parkowej. Sprzedający sam, bez sploty. Daje najpierw kamienie, później forsa.

– Dobra, przekażesz, że rozmawiałeś z wysłannikiem generała Malczewskiego. Że ma być Badylarz, jego syn i ochroniarz Silny Stasiek. Sprzedający nie będzie uzbrojony, ale jeżeli w ciągu godziny nie opuści willi z kasą, to do środka wchodzi nasi ludzie uzbrojeni w uzi i granaty. Rozpierzdolimy biuro pana Badylarza, a druga grupa wejdzie i rozpierzdoli jego domek, razem z gospodynią. I powiedz, żeby nie próbował nas wykiwać, ma czekać pięćset tysięcy dolarów. Człowiek nie będzie uzbrojony, ale będzie miał krótkofalówkę. Jeśli coś będzie się działo, to będą trupy. Przekaż mu to i pamiętaj, że moje nazwisko nie może paść, bo będziesz pierwszy, który straci życie. Zrozumiałeś?

– Tak – odparł Mareczek, zerkając w przednie lustro. Oczy pułkownika były wręcz lodowate. – Ale pięć tysięcy dolarów dla mnie jest pewne?

– Czy kiedyś cię oszukałem?

– Nie, nigdy! Porządny z pana gość – oznajmił Mareczek, czując jednak dreszcz przerażenia na plecach.

– Wrócisz teraz do restauracji i odnajdziesz tego gościa – pułkownik podniósł do góry zdjęcie generała Malczewskiego, by Kulawy mógł się mu dokładnie przyjrzeć. –

Podejdziesz do niego i powiesz, że za godzinę będę czekał na niego w moim mieszkaniu na Ursynowie. Przekaż mu, że ktoś mnie śledził i dlatego nie mogłem przyjść osobiście. I powiedz, żeby uważał i również nie przyciągnął do mnie ogona. To on ma kamienie, ale nie wydaj się przed nim, że o nich wiesz, rozumiesz?

– A ludzie Mariana? – dopytywał niespokojnie Mareczek.

– Ludzie Mariana przekażą szefowi, że rozmawiałeś z generałem, i Badylarz będzie pewny, że ta transakcja to nie ściema.

Mareczek wrócił do restauracji głównym wejściem. Dwóch opryszków Mariana stało przed knajpą i dyskutowało nerwowo, zapewne obwiniając się wzajemnie za to, że go zgubili. Minął ich z triumfalną miną. Spojrzeli na siebie i weszli za nim. Mareczek bez trudu rozpoznał siwego mężczyznę z początkami łysiny nad czołem. Obok niego siedział rosły młody ochroniarz. Kulawy pochylił się nad stołem i szepnął:

– Mam pilną wiadomość od pana Piotra. Tylko w cztery oczy...

Generał skinął głową, dyskretnie nakazując ochroniarzowi, by się ulotnił. Mareczek przysiadł się i bez zbędnych wstępów przekazał cicho wiadomość:

– Pan Piotr nie mógł osobiście się pojawić, a ma do pana pilny interes. Prosi, aby za godzinę był pan u niego w mieszkaniu na Ursynowie. Tylko niech pan uważa na ogon. Nikt nie może wiedzieć, że się pan z nim spotka.

– Kim jesteś? – spytał generał, przyglądając się dziwnemu posłańcowi.

– Pracownikiem, wieloletnim pracownikiem pana Piotra – odpowiedział Mareczek, po czym wstał i wyszedł.

Krótką rozmowa wystarczyła, aby jeden z obserwujących ich mężczyzn pstryknął parę zdjęć z ukrycia. Nazajutrz wywołane zdjęcia trzymał w rękach Badylarz. Obaj jego ludzie doszli do wniosku, że nie powiedzą szefowi, iż na dziesięć minut stracili swój cel z oczu. Badylarz odczekał, aż wyjdą z pokoju, po czym oznajmił synowi:

– Ta transakcja jest pewna. Ten gość na zdjęciu to generał Malczewski, jeden z szefów wywiadu na Europę Zachodnią. Obecnie jest na emeryturze i otworzył firmę ochroniarską, ale diamenty musiał doprowadzić w czasie służby. Niezłe cwaniaki, ale dlaczego nie zarobić trochę grosza? W końcu pół miliona dolarów nie leży na ulicy.

– A co z dolą jubilera?

– Po transakcji trochę się potargujemy. Dostanie pięć procent ceny, to i tak będzie zadowolony. Przecież od wszystkich coś dostanie.

Generał Malczewski po godzinie był pod drzwiami mieszkania Piotra. Już miał pukać, gdy otworzyły się sąsiednie drzwi.

– Tutaj, zapraszam... – ktoś wyszeptał.

Kiedy generał wszedł do środka, Piotr zapalił niewielką lampkę na małym stoliku obok kanapy.

– Przepraszam za tę konspirację, to mieszkanie sąsiada. Pojechał do syna do Szwajcarii dorobić przy pracach polowych. Zostawił mi klucze. Mam podlewać kwiatki. U mnie może być podsłuch...

– Po co ściągnęłeś mnie do tej speluny? – spytał wprost generał.

– Chciałem pogadać, ale ktoś mnie śledził. Dlatego poprosiłem o zmianę miejsca spotkania – kłamał Piotr.

– Masz jakiś interes? – spytał generał, siadając w fotelu skrytym w półmroku.

– Mam – odparł Piotr, podając kopertę Malczewskiemu. – Wiem, jak dobrać się tym gnojom do dupy.

– Co to jest?

– To zdjęcia dokumentów założycielskich firmy Coltium, z kwotami przelewów na konta na Cyprze.

– I co z tego wynika?

– Wynika, że ktoś celowo założył spółkę, aby rąbnąć tę kasę.

– A skąd to wiesz?

– A stąd, że niejaki major Gumowski, który nadzorował sprzedaż broni przez Układ, przepadł bez śladu. Jego bliscy nie wiedzą, co się z nim stało, natomiast jego podwładny, kapitan Leszczyński, dostał z niewiadomego źródła te dokumenty.

– I dał tobie?

– Tak, z prośbą, abyś to przejrzał.

Generał otworzył powoli kopertę. Po paru chwilach zamknął i włożył do bocznej kieszeni marynarki.

– Nikomu ani słowa – nakazał. – To może być prowokacja, aby odwrócić uwagę od prawdziwych transakcji.

## ROZDZIAŁ XIV

John postanowił spotkać się osobiście z panem X. Wiedział, że stawka jest wysoka. Przeszłość Piotra Mroza mogła okazać się kluczem do rozwiązania zagadki pochodzenia i wiarygodności tajemniczego archiwum.

Kiedy w wyznaczonym terminie McDowell pojawił się przy grobie na Powązkach, zastał tam czekającego nań mężczyznę.

Pan X wyglądał na rasowego agenta. Ubrany w nienagannie leżący prochowiec i kapelusz nie wyróżniał się niczym szczególnym na tle odwiedzających zabytkowy cmentarz. Gdy zobaczył Johna, pochylił się nad płytą nagrobka i poprawiał zapalony widocznie wcześniej znicz.

– Musimy porozmawiać w mieszkaniu kontaktowym – powiedział cicho, gdy John stanął obok. – Najlepiej na Żoliborzu, tam gdzie zwykle. Za dwie godziny. – Przeżegnał się i odszedł spokojnym, miarowym krokiem, nie oglądając się za siebie.

John rzeczywiście był już dwukrotnie w mieszkaniu generała i wiedział, że rozmowa będzie dłuższa, niż się spodziewał. Również przeżegnał się, po czym ruszył w przeciwną stronę cmentarza. Przy wyjściu złapał taksówkę, która zawiozła go w okolice Kępy Potockiej. Upewnił się, że nie jest śledzony, i postanowił pokonać niespełna kilometrowy dystans pieszo. Minął okoliczne tereny parku i dotarł do małej kawiarni. Zdecydował się wstąpić tam na kawę i rzucić okiem na okolicę. Nie miał ogona, a zaledwie obok mieścił się blok z prywatnym mieszkaniem pana X. W bocznej kieszeni kurtki Johna tkwiła paczka dolarów. Popijając aromatyczny napój, zastanawiał się, czy dzisiaj zmieni ona właściciela.

Po niespełna dwóch godzinach wchodził do niewielkiego, schludnego mieszkania. Wiedział, że generał lubi porządek, dlatego zdjął buty i grzecznie czekał, aż pan X poda mu kaptcie.

– Mamy półtorej godziny. Wnuczka uczy się grać na skrzypcach – oznajmił generał, wskazując gościowi jeden z jasnych, skórzanych foteli.

– Czy ma pan informacje warte sumy, której pan zażądał? – zapytał John, rozsiadając się wygodnie.

– Wysłucha pan i sam zadecyduje – stwierdził pan X. W jego głosie nie brakowało jednak pewności siebie.

– Kim jest ten człowiek i dlaczego nie mam żadnych informacji na jego temat? – spytał McDowell.

– Mówiłem już... Teczki osobowe waszych agentów, którzy są zabójcami na zlecenie, też nie są dostępne dla zwykłych pracowników waszej firmy. Tylko wybrane



i wtajemniczone osoby mają dostęp do takich ludzi – wyjaśnił generał. – Pułkownik Piotr Mróz to egzekutor. Pojawiał się w chwilach, kiedy ktoś musiał zniknąć bez śladu lub zginąć w niewyjaśnionych okolicznościach. Działał na terenie kilku krajów Europy Zachodniej. Zna bardzo dobrze język niemiecki, dobrze angielski. Skończył Akademię Sztabu Generalnego. Był też cenionym pracownikiem wywiadu. Wie pan, na czym polegało jego szczęście? – zapytał zniecierpliwiony generał. John spojrzawszy pytająco na pana X. – Sprzątał w tym kraju dla kilku ekip. Śmietanka co jakiś czas się zmieniała w naszym kochanym PRL-u. Jedni towarzysze odchodzili, drudzy przychodzili, a on sprzątał dla jednych, potem następnych i jeszcze następnych.

– Czy może mi pan opowiedzieć coś na temat akcji, w jakich ten człowiek uczestniczył? – spytał John.

– Wie pan, zanim się z panem tu spotkałem, rozmawiałem z jego bezpośrednim przełożonym, ostatnim szefem, generałem Malczewskim. Obu wywalono, bo odkryli w osiemdziesiątym dziewiątym roku grubą aferę u nas. Jak się jednak okazało, to wszystko zaaranżowała nasza góra, a oni poszli do nich powiadomić o ich własnym przekręcie.

– To tak, jakby informować złodziei, że ktoś okradł bank, wiedząc, że to ci kolesie to zrobili – skonstatował z sarkazmem John.

– Tak, tylko to nie był bank i to nie byli gangsterzy – zauważył generał. – To byli najważniejsi ludzie w naszym byłym PRL-u, a może i obecnym ustroju. – Generał sięgnął do barku schowanego w jednej z szafek i nalał sobie do szklanki zwykłej gazowanej wody. Zerknął pytająco na Johna, ten jednak pokręcił przecząco głową. Pan X wypił łyk wody, usiadł w fotelu naprzeciw McDowella i kontynuował: – Ale skupmy się na panu Piotrze. Zaczynał karierę jako gość zajmujący się dywersją na terenie strategicznych zakładów pracy i jego kariera nie potoczyłaby się w takim kierunku, gdyby nie napad na bank „Pod Orłami”. Wie pan coś na ten temat?

– Coś słyszałem, ale to dość odległa przeszłość – stwierdził John, szukając w pamięci informacji na temat wspomnianego zdarzenia.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku dwóch gości dokonało gigantycznego skoku na konwojentów i kasjerki pod Narodowym Bankiem Polskim w kamienicy „Pod Orłami”. Zwinęli ponad milion złotych. Jak na tamte czasy suma zawrotna. Zabili jednego z konwojentów, a właściwie zamordowali z zimną krwią. Drugi cudem przeżył. Ruszyło śledztwo, ale mimo przesłuchania wielu świadków, portretów pamięciowych potwierdzonych przez kilkadziesiąt osób dochodzenie zdechło. Zresztą do tej pory oficjalnie nie wykryto sprawców. Niewiele osób w tym kraju wie, że do sprawy całkiem przypadkowo, na zasadzie pospolitego ruszenia, został ściągnięty trzydziestopięcioletni oficer. Zaczął pieczołowicie studiować akta i dokopał się do zadziwiającego zeznania pewnej sekretarki z SB. Otóż pannica ta chwilę przed napadem spotkała dwóch swoich kolegów podążających w kierunku banku. Było to pięć minut przed napadem. Oficer wezwał ową sekretarkę na przesłuchanie. Dziewczyna została przez niego dokładnie przepytana i kiedy pokazał jej rysopisy sprawców, stwierdziła, że są trochę podobni do oficerów SB. Cała tajemnica tkwiła w fakcie, że sekretarka była córką jednego z członków Komitetu

Centralnego i prowadzący śledztwo bali się przesłuchiwania jej. Piotr zaczął się na nią wydzierać, a kiedy zaczęła mu pyskować, dał jej w gębę i powiedział, że najbliższe czterdzieści osiem godzin spędzi w areszcie. Po całym zajściu ruszył do towarzysza Moczara. Moczar, który wnet zrozumiał powagę sytuacji, wybrał się z nim do samego Gomułki, który po wysłuchaniu ich obu zarządził utajnienie śledztwa. Nikt, szczególnie jakiś przedstawiciel prasy, nie mógł dowiedzieć się, co się naprawdę stało. Postawiliby to w bardzo złym świetle całą MO i SB. Dwóch oficerów SB poddano obserwacji. Ktoś potwierdził, że skupują na dużą skalę dolary u cinkciarzy i szykują się do ucieczki z Polski. Po ich aresztowaniu znaleziono pieniądze schowane w mieszkaniu jednego z nich. Samochody użyte do napadu przetopiono w hucie „Warszawa”. Piotr został wtedy wezwany do towarzysza Wiesława, który oświadczył mu, że chce, aby został tajnym ramieniem partii do wymierzania kar przestępcom, oczywiście bez powiadamiania o tym społeczeństwa. Piotr zapytał ponoć, czy ma ich wykończyć bez sądu, i usłyszał potwierdzenie. Oczywiście towarzysz Wiesław zapewnił go gorliwie, że wszystko dla dobra narodu, bo ten nie może się dowiedzieć, że ludzie powołani do jego obrony są przestępcami i go okradają. Piotr zastrzelił obu mężczyzn, a ich ciała spalił w hucie „Warszawa”, razem z ciałem mężczyzny, który przetapiał auto. Tak się zaczęła kariera Piotra.

– Nieźle – stwierdził John po chwili milczenia, gdy już przetrwał rewelacje pana X.

– Co ciekawe – dodał generał – kobietę, którą spoliczkował, Piotr poszedł przeprosić z kwiatami. Wkrótce została jego żoną. Niestety w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym zginęła wraz z wnuczką na przystanku. Jakiś kretyn urządził sobie wyścigi. Dostał chyba sześć lat więzienia.

– A co dalej z karierą?

– Powiem tylko tyle: wiem, że ten człowiek wykonywał w kraju i za granicą mokrą robotę, ale jaką konkretnie, mogę się tylko domyślać. Nie chcę dopytywać, bo to wiedza bardzo niebezpieczna.

– Czy ten człowiek miał dostęp do tajnych dokumentów dotyczących służb specjalnych? – spytał John. Szybko przemknęło mu jednak przez głowę, że to pytanie było błędem.

– Sądząc po tym, czyje zlecenia wykonywał, mógł mieć. Tylko musi pan wiedzieć, że już w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku popadł w niełaskę.

– A za co?

– Tego nie wiem, ale mówiło się, że nie chciał kropnąć kogoś ważnego z księży – odpowiedział, wyraźnie ważąc słowa generał.

– Kogo konkretnie?

– Nie wiem, ale gdybym wiedział, to i tak nie odpowiedziałbym na to pytanie.

– Nawet za duże pieniądze? – spróbował zarzucić haczyk John.

– Nawet! Nie ma pieniędzy, za które da się kupić życie swoje i bliskich, prawda?

– Jasne. – John nie chciał naciskać. Pan X był zbyt cennym źródłem informacji.

Nie należało go zrażać do współpracy.

McDowell wstał, wyciągnął z kieszeni pliczek banknotów, wręczył go generałowi wraz z pokwitowaniem, które ten ochoczo podpisał.

Kiedy John wychodził z mieszkania, generał zapytał:

– Co, w ramach zemsty chce wam coś sprzedać?

– Nie, ktoś w Niemczech twierdzi, że ten gość mógł w przeszłości zrobić coś brzydkiego. Kazano mi sprawdzić, czy to możliwe. Wie o tym w tym kraju tylko pan, więc nie radzę go informować.

– Ten gość nigdy nie był moim kumplem. Każdy trochę się go bał.

– A czego dotyczyła ta afera, za którą go wywalono? – dopytywał John, zakładając buty.

– Niech pan za tydzień przyniesie dziesięć tysięcy dolarów, to się pan dowie – rzucił generał i pożegnał Johna.

## ROZDZIAŁ XV

Było późne popołudnie 18 września. Piotr czekał na córkę, która wraz z zięciem znajdowała się w gabinecie lekarza prowadzącego małą Marię. Nerwowo krążył po korytarzu i zastanawiał się, czy pomoc zaoferowana przez Michała nie przysłała zbyt późno. Przystanął na chwilę, wpatrując się z goryczą w ścianę, która powyżej szerokiej, drewnianej listwy pomalowana była niebieską emulsją. Zastanawiał się, jak wiele osób każdego dnia musi przemierzać te korytarze z nadzieją na uzyskanie dobrych wieści o stanie zdrowia swoich bliskich. On jednak nie potrafił beczynn timer czekać. Postanowił przejść się po dostępnym dla odwiedzających oddziale, by choć na chwilę oderwać się od niespokojnych myśli. W salach nad małymi pacjentami pochylały się siostry i członkowie rodzin. Zza przymkniętych drzwi dochodził rozpaczliwy szloch dziecka i kojący głos kobiety, która starała się uspokoić maleństwo. W niektórych salach było aż zbyt cicho. Maluchy nie miały siły na dziecięce wybryki, a nawet płacz. Gdzieś tam, w części oddziału niedostępnej nawet dla rodzin, leżała podłączona do respiratora jego wnuczka. Choć Piotr widział ją parokrotnie, to nie mógł sobie przypomnieć jej maleńkiej twarzyczki. Zamiast małej Marii przed oczami pojawiała się tamta okrutna scena: przykryte folią zwłoki Ireny, krew i małe zabawki jego dwuletniej wnuczki Kasi, zmiażdżone przez samochód i pobrudzone krwią.

Idąc korytarzem, uświadomił sobie, że oddała się od gabinetu, przy którym powinien czekać na córkę i zięcia. Zamierzał właśnie zawrócić, gdy tuż obok, po prawej stronie uchyliły się drzwi. Na progu stanęła młoda zakonnica. Pozdrowiła go i szybko poszła w stronę sali z pacjentami. Piotr kątem oka spojrzał na pomieszczenie – była to szpitalna kaplica. Coś kazało mu zatrzymać się i wejść. W środku stał skromny ołtarzyk z krzyżem i obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Zakonnica, zdecydowanie starsza od tej, którą Piotr spotkał na korytarzu, przygotowywała świece. Piotr zrozumiał, że zaraz zacznie się msza. To było dla niego zbyt wiele. Gwałtownie odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia, na progu jednak zderzył się z kimś.

Naprzeciw stał ksiądz, około pięćdziesiątki, szczupły i z posiwiałymi na skroniach włosami.

– Przepraszam księdza, nie zauważyłem – rzucił Piotr i na chwilę zamarł. Spojrzał w szarawe oczy kapłana i rozpoznał w nim człowieka, którego kiedyś miał zabić.

– Nie szkodzi, nic się nie stało – odparł ksiądz i uważnie przyjrzał się Piotrowi. – Czy my kiedyś się nie spotkaliśmy?

– Nie, nie wydaje mi się – odpowiedział Piotr i szybko wyszedł z kaplicy.

Po chwili stał przed drzwiami w oczekiwaniu na córkę. Kątem oka zobaczył zbliżającego się księdza.

– Czy mogę panu zadać pytanie? – zwrócił się do niego kapłan, obserwując go uważnie.

– Słucham – odpowiedział zmieszany Piotr.

– Czy na pewno nie spotkaliśmy się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku na cmentarzu w Wólce Węglowej? – Ksiądz wpatrywał się w swojego rozmówcę przenikliwym wzrokiem. Piotr chciał za wszelką cenę uniknąć dalszej rozmowy.

– Może i faktycznie się wtedy spotkaliśmy, ale to nie miejsce na rozmowę. Moja wnuczka jest w ciężkim stanie – odparł.

– Jestem panu coś winien – stwierdził ksiądz.

– Nic mi ksiądz nie jest winny – rzucił chłodno Piotr.

W tej samej chwili drzwi od gabinetu uchyliły się i wyszła z nich zapłakana Zuzanna wraz z zięciem.

– Będę się modlił za pańską wnuczkę – oznajmił kapłan spokojnie. – Odprawię za nią mszę. Jak ma na imię?

– Maria – odparł Piotr i podszedł do córki. Ta, płacząc, przytuliła się do niego i wyszeptała:

– Doktor Kazanowski powiedział, że to będzie cud, jeżeli dojedzie do Rzymu.

– Odprawię mszę w intencji państwa córki i pana wnuczki. Wierzę, że dobra Matka Boska zlituje się nad małą i da jej zdrowie – powiedział łagodnie ksiądz, przyglądając się ze współczuciem załamanym rodzicom.

– Bóg zapłać – odpowiedziała Zuzanna. – Jutro rano powinna dotrzeć karetka. Oby tylko stan jej zdrowia się nie pogorszył. Pójdiesz tato z nami na mszę?

– Nie – Piotr przecząco pokręcił głową. – Mam ważne spotkanie. Muszę dzisiaj z wami porozmawiać. Będę u was w domu o wpół do dziesiątej.

Spojrzał w oczy księdza, tym razem z wdzięcznością. Wiedział, jak ważne dla Zuzanny było to duchowe pocieszenie.

– Dziękuję księdzu – powiedział już cieplejszym tonem. – Być może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Ksiądz przyjrzał mu się raz jeszcze uważnie.

– Z Panem Bogiem – pożegnał Piotra. – Obyśmy się jeszcze spotkali z panem i z pana zdrową wnuczką.

– Rozmawiałaś z księdzem Michałem? – zapytała Zuzanna. Piotr pokiwał potakująco głową i przytulił mocno córkę do piersi. Ta spojrzała mu prosto w oczy i zapytała:

– Nie masz pretensji, że za twoimi plecami...

– Nie, nie mam.

– Mama powiedziała mi, że łączy cię coś bliskiego z tym człowiekiem – wyszeptała.

– Tak, ale... – przerwał Piotr, jakby nie chcąc kontynuować tematu.

– Możesz powiedzieć, kim tak naprawdę jest dla ciebie ten człowiek?

Piotr pokręcił przecząco głową i odparł:

– Wkrótce się wszystkiego dowiesz. Ale nie teraz. Ze względu na bezpieczeństwo nas wszystkich.

Zuzanna chciała zadać następne pytanie, ale Piotr położył jej palec na ustach, jak wtedy, gdy była małą, rozgadaną dziewczynką.

– Nie teraz – powiedział stanowczo.

Pożegnał się z rodziną i wyszedł z kliniki, udając się na spotkanie z Johnem, które miało się odbyć w willi w Aninie.

## ROZDZIAŁ XVI

Była dziewiąta, gdy Piotr usłyszał pukanie do drzwi. Wyjrzał przez wizjer i zobaczył twarz Johna. Wpuścił go do środka.

– Witam – rzucił John, wyciągając rękę na powitanie. Piotr zaprosił go do zielonego salonu i kiedy już usiedli, zaproponował kawę. McDowell jednak odmówił, stwierdzając, że zależy mu na czasie. Piotr więc szybko przeszedł do konkretów.

– Czy pana przełożeni przyjęli moją ofertę? – zapytał.

– Tak – odparł John – ale muszę zadać panu kilka pytań.

– Proszę pytać.

– Czy kiedykolwiek zabił pan obywatela USA?

– Nie – odparł Piotr – może pan sprawdzić mnie na wariografie.

– A za co odesłali pana na emeryturę? – kontynuował krótkie przesłuchanie Amerykanin.

– Jedna ze spółek, której dokumenty znajdują się w archiwum, handluje bronią za pośrednictwem krajów nieobjętych embargiem. Ktoś zezwolił na sprzedaż sprzętu wojskowego do Syrii, Iraku i Egiptu za pięćset milionów dolarów. Do kraju dotarło dwieście pięćdziesiąt, a drugie dwieście pięćdziesiąt przepadło bez wieści. Przepadł też pułkownik Górecki – wyjaśniał Piotr – a niedawno zniknął kolejny pracownik tej firmy, major Klimas, który wiedział o całym przekręcie.

– A pan skąd się o tym dowiedział?

– Wie pan, jeżeli ktoś z tajnych służb szuka kontaktu do ulokowania lewej kasy, to musi pukać do pewnych osób. Na swoje nieszczęście zapukał do człowieka, który mnie znał i zapytał mnie o zdanie na temat owej osoby. Pokojarzyłem fakty i tyle.

– I postanowił pan poinformować swoich szefów...

– Tak. Nie wiedząc, że sami ową hecę wymyślili.

– Nieźle, ale do rzeczy. Moi szefowie są gotowi spełnić pana warunki – oznajmił John. – Jest tylko jeden problem z operacją pańskiej wnuczki. Mamy do wyboru klinikę w Monachium, gdzie może się ona odbyć w ciągu tygodnia, lub klinikę Gemelli w Rzymie. To lepszy wybór, zespół lekarzy jest tam zdecydowanie bardziej doświadczony, ale niestety czas oczekiwania to minimum miesiąc. Sam szef próbował przyspieszyć termin, ale mają tam po prostu zbyt długą kolejkę – w głosie McDowella pobrzmiwała troska. Miał nadzieję, że dziecku uda się pomóc.

Piotr doceniał ten ludzki odruch u obcego przecież kolegi po fachu. Pokiwał ze zrozumieniem głową i oznajmił spokojnie:

– Ktoś, do kogo zwróciłem się o pomoc, ma chyba większe możliwości

interwencji niż pana szef. Załatwił transport i operację od ręki.

– Jak to od ręki? – John był szczerze zdziwiony.

– Mała jutro wieczorem wyruszy specjalną karetką przyslaną z Rzymu. Jeśli nie będzie żadnych komplikacji, po serii badań operacja odbędzie się jak najszybciej. I przeprowadzi ją profesor Farelli.

– Kto to panu załatwił?

– Pewien skromny ksiądz – odparł Piotr. – Ale musicie objąć ochroną moją córkę, wnuczkę i zięcia podczas pobytu w Rzymie.

– Od kiedy?

Piotr, patrząc na zegarek, powiedział:

– Archiwum przekażę panu w piątek, około godziny dwudziestej. Będzie pan czekał na mnie w motelu „Złote Runo”, przy drodze wylotowej z Warszawy w kierunku na Poznań. Z chwilą przekazania archiwum nasza umowa wchodzi w życie. Jasne?

– Oczywiście – przytaknął John.

– Moja rodzina musi wtedy już mieć ochronę w Rzymie. Ja dostaję od pana paszport obywatela Niemiec, samochód z papierami na nowe nazwisko i schowkiem na sto tysięcy dolarów. Do tego moje rzeczy osobiste. Po zapoznaniu się z archiwum przyznacie mojej córce pięć milionów dolarów od rządu USA w ramach programu ochrony świadka i obywatelstwo dla całej rodziny.

– A pan? – McDowell przyglądał się z uwagą swemu rozmówcy. Wiedział doskonale, jak bardzo Piotr ryzykuje.

– Ja spróbuję zgubić trop – odparł chłodno Piotr.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jeżeli pańscy byli koledzy zorientują się, iż to pan sprzątnął im te dokumenty, będą chcieli dorwać pana za wszelką cenę – stwierdził John.

– Dlatego jeżeli mnie dorwą – odparł Piotr – to ostatnią kulę zostawię dla siebie. Niech pan w schowku w samochodzie uwzględni też jakąś spluwę dla mnie.

– A jakiej pan używa? – rzeczowo zapytał John.

– Może być taka jak u pana w kaburze – odparł Piotr, wskazując głową na kurtkę Johna.

– Beretta – wyjaśnił John. – Będzie pan zadowolony?

– Dotychczas używałem colta, ale o pana cacku słyszałem same superlatywy, więc chętnie zmienię broń.

– Czy tłumik też mam dołączyć?

– Jeżeli będzie pan tak uprzejmy...

– Broń dostanie pan po przekroczeniu granicy niemieckiej.

– Czy do granicy będziecie mnie eskortowali? – spytał Piotr.

– Tak. Może również później by się panu przydała ochrona? – zaproponował John.

– Dzięki, ale mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia w Niemczech. To bardzo



przyjemny obowiązek, więc nie potrzebuję obstawy.

– OK. – John wyjął notatnik. – Czy mógłbym pożyczyć od pana długopis?

Piotr wyjął z kieszeni pióro marki Mont Blanc i podał je agentowi.

– Ładne cacko – stwierdził John, przyglądając się misternym grawerunkom.

– Prezent od żony – wyjaśnił Piotr.

McDowell zapisał coś w notesie i oddał cenną pamiątkę.

– Gdyby coś się zmieniło lub pojawiły się kłopoty, proszę dzwonić pod ten numer – podał Piotrowi wyrwaną z notatnika kartkę. – Dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś będzie czuwał pod tym numerem. Jeśli pan powie, że chce kupić cadillaca z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku, to będzie znaczyło, że za dwie godziny spotkamy się tutaj, u pana w willi. Jeżeli nic się nie zmieni, widzimy się w piątek o dwudziestej.

Piotr pokiwał głową na znak, że rozumie. John wyciągnął do niego rękę.

– Powodzenia – powiedział. Naprawdę życzył temu człowiekowi jak najlepiej.

– Niech pan pamięta o mojej córce i wnuczce – odparł Piotr, ściskając dłoń Amerykanina na pożegnanie. – Gdyby coś poszło nie tak, proszę czekać przez cztery godziny w motelu. Jeśli mnie nie będzie, będę dzwonił na ten telefon. Jeśli się nie pokażę, to na pewno znajdzie pan moje nazwisko na nekrologu.

## ROZDZIAŁ XVII

Major Aleksander Zinowiew miał zamiar wyjść z ambasady na spotkanie ze znajomym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. Grywał z nim w szachy i tenisa już od dwóch lat. Przy okazji oczywiście dyskutowano na tematy bieżącej polityki i zmian zachodzących w Polsce. Spotkania te były o tyle cenne dla majora, iż profesor Mikoda uchodził za osobę światłą, niebojącą się formułować śmiałych tez, którymi chętnie dzielił się z rosyjskim kolegą, będącym przecież attaché kulturalnym.

Aleksander założył płaszcz i otworzył drzwi od gabinetu, gdy na progu stanął Michaił Szaposznikow. Był to porucznik KGB odpowiedzialny za nadzór nad podsłuchami.

– Towarzyszu majorze, powinien towarzyszyć czegoś posłuchać – zameldował.

– Czy to nie może poczekać do jutra? – spytał zniecierpliwiony major.

– Nie, uważam, że towarzyszu major powinien tego wysłuchać natychmiast – odparł z przekonaniem o swojej słuszności porucznik.

– Dobrze – zdecydował Zinowiew. Wiedział, że Szaposznikow nie naciskałby bez powodu. – Zadzwoń do profesora Mikody i przeproś go – rzucił w stronę sekretarki, która siedziała przy biurku przed jego gabinetem. – Dzisiaj nie mogę się z nim spotkać. Wymyśl jakąś historyjkę. Choćby o tym, że oczekujemy na ważną osobistość z Moskwy.

Zdjął jeszcze płaszcz i szybkim krokiem wraz z porucznikiem przeszli do pokoju zajmowanego przez techników.

Po chwili obaj założyli słuchawki i wsłuchiwali się w nagrania. Pierwsze zarejestrowało odgłos otwierania drzwi. Ktoś wszedł do pomieszczenia i zdawał się czegoś szukać. Słyszał było odgłos rozsuwania, jakby człowiek ów otwierał, a potem, po jakichś dziesięciu minutach, zamykał szufladę. Po chwili dźwięki ucichły. Zapewne bohater nagrania wyszedł z pokoju.

Następne nagranie zawierało już rozmowę kobiety i mężczyzny. Łączyła ich szczególna więź uczuciowa, a z kontekstu rozmowy wynikało, iż para wylądowała wkrótce w łóżku. Niespodziewanie jednak dziewczyna zaczęła ziewać i nagle zamilkła, po czym na nagraniu słyszał było znowu odgłos otwierania i przeszukiwania czegoś. Po chwili major usłyszał dźwięk przypominający uchylanie drzwi. To musiał być balkon, bo w pomieszczeniu rozległy się wyraźniejsze niż dotychczas odgłosy z zewnątrz. Parę sekund później ktoś zaklął po angielsku. Po blisko godzinie odgłosy ustały. Osoba najwyraźniej opuściła pomieszczenie.

Zinowiew zdjął słuchawki.

– Skąd to? – spytał porucznika.

– Pierwsze z mieszkania Joanny – odpowiedział Szaposznikow i dodał: – Uważam, że McDowell odwiedził mieszkanie rano, kiedy jej nie było. Wyraźnie czegoś szukał. Odsuwał jakieś zamki toreb, być może ubrań...

– A w drugim myślałem, że zaraz usłyszymy uniesienie naszej agentki, ale wszystko zdechło – wycedził major.

– Amerykanin znowu szukał, coś go wyraźnie wkurzyło – dedukował porucznik.

– Masz rację, tylko dlaczego nasza bohaterka tak nagle usnęła – zastanawiał się głośno Zinowiew.

– Może coś jej dosypał do drinka?

– Ta swołocz ją rozgryzła – nagle zrozumiał major. – Za pierwszym razem wyraźnie jej coś montował, może podsłuch... A za drugim wyraźnie tego szukał. Tylko dlaczego przeklinał?

Potał podbródek, myślał intensywnie.

– Czy towarzysz major uważa, że może być spalona? – dopytywał porucznik, wyrwijając Zinowiewa z zamyślenia.

– Przypuszczam, że na razie jej nie zwerbował, ale kiedy wyjedzie z nią do Stanów i da jej do zrozumienia, że jest spalona...

– Złamię ją?

– Jeżeli ten cwaniak coś jej przyczepił, to pewnie miała to coś podczas spotkania ze mną – stwierdził kategorycznie major. – To albo dres, albo torba sportowa. Dziewczyna przychodzi w różnych dresach, ale od pewnego czasu ma cały czas tę samą modną torbę sportową... Tak... tak! Ten cwaniak się zorientował! – ryknął major, zerwał się i z wściekłością kopnął krzesło, które zatrzymało się dopiero na ścianie.

– Co robimy? – spytał porucznik, lekko przerażony wybuchem szefa. Znał go jako człowieka opanowanego i zawsze panującego nad sytuacją. Pierwszy raz widział go tak wściekłego.

– Pełna obserwacja Joanny, ona nie może wyjechać do USA. Jeżeli wyjedzie, to ten cwaniak ją przewertuje i stracimy ją, rozumiesz?

Zinowiew wymachiwał palcem tuż przed nosem podwładnego.

– Rozumiem, towarzyszu majorze. Co zrobimy, kiedy upewnimy się, że on wie o niej?

– On wie o niej i jego wiedza nie może doprowadzić go do nas. Czy to jasne?

– Tak – odparł pokornie porucznik.

– I jeszcze jedno. Od dzisiaj nasz przyjaciel John, wychodząc z ambasady, ma mieć stały ogon. Umów mnie z generałem Kamińskim, niech jego ludzie ruszą tyłki do roboty, bo jak tak dalej pójdzie, to zjawi się tu armia amerykańska i nasi przyjaciele wstąpią do NATO – rzucił ostro major.

## ROZDZIAŁ XVIII

W drodze z Anina Piotr stale zerkał w lusterko. Sprawdzał, czy nie jest śledzony. Jechał do córki. Samochód zostawił dwa bloki dalej, aby nie rzucać się w oczy. Kiedy zapukał do drzwi, otworzyła mu Zuzanna. Na jej twarzy widać było przeżycia ostatnich tygodni, ale oczy nabrały blasku nadziei.

– Zjesz kolację? – spytała, przytulając ojca na powitanie.

– Chętnie – odparł Piotr. – Poproś Jarka, musimy porozmawiać.

Jedząc kanapki przy małym kuchennym stole, Piotr zastanawiał się intensywnie, jak powiedzieć córce i zięciowi o tym, co ich wszystkich czeka. Zuzanna krzątała się po kuchni, robiąc herbatę. Przyglądał jej się uważnie. Tak bardzo potrzebowała siły i wsparcia. Pocieszała go jedynie myśl, że zrobił, co mógł, by zapewnić najlepsze leczenie malutkiej Marysi, a jej rodzicom bezpieczeństwo. Kiedy zjadł, poprosił, aby usiedli przy stole. Nastąpiła cisza, która wydawała się nieskończonością.

– Musicie dzisiaj poznać prawdę – oznajmił Piotr.

Córka i zięć wpatrywali się w niego, nie rozumiejąc na razie znaczenia tych słów.

– O czym musimy się dowiedzieć? – spytał Jarek. W jego głosie słychać było nutę niepokoju.

– O tym, co czeka was, małą i mnie – powiedział poważnie Piotr. – Wyruszacie jutro do Rzymu. Musicie wziąć najbardziej potrzebne rzeczy, tylko te niezbędne, ponieważ nigdy już tutaj nie wrócimy.

Zuzannę i Jarka zamurowało. Dopiero po paru sekundach Zuzanna z niedowierzaniem w głosie, zapytała:

– Ale dlaczego nie wrócimy?

– Dlatego, że życie waszej córki zależy od powodzenia operacji i dalszej opieki nad nią. To, co powiem, musi zostać tajemnicą. Od tego zależy życie wasze i moje. Od piątku, od godziny dwudziestej, w klinice Gemelli przejmą waszą ochronę agencji CIA. Pomoże wam też ksiądz Michał. Agenci będą z wami przez cały czas. Później zostanieie przetransportowani do USA i objęci programem ochrony świadków. Dostaniecie pięć milionów dolarów i amerykańskie obywatelstwo. Nie możecie jednak nigdy tutaj wracać. Nie wolno wam, ponieważ ludzie, którzy mi pomagają, obiecali zapewnić wam bezpieczeństwo jedynie na terenie Stanów. – Zamilkł na chwilę, obserwując córkę i zięcia. Byli przerażeni. Piotr miał nadzieję, że jednak poradzą sobie z całą sytuacją. W końcu swoje już przeszli. Dodał z naciskiem: – To cena za operację i dalsze leczenie małej. Nie zadawajcie żadnych pytań. Tak będzie bezpieczniej.

– Nie było innego sposobu? – spytała Zuzanna zmęczonym, nieco podłamanym głosem.

– Jedną wnuczkę pochowałem już z twoją matką. Nie chcę robić tego drugi raz. Nie przeżyłbym tego – odparł Piotr. Starał się mówić spokojnie, choć na samo wspomnienie tragedii miał łzy w oczach. Jego rozpacz jednak nie była im teraz do niczego potrzebna.

– A ksiądz Michał? – zapytała córka, nie do końca rozumiejąc rolę kapłana w całym przedsięwzięciu.

– Ksiądz Michał pomoże wam w Rzymie. Zaopiekuje się wami i małą.

– Kim naprawdę jest dla ciebie ten człowiek? – drażzyła Zuzanna.

– Twoja matka wiedziała, ale nigdy nie przyznała mi się, że utrzymywałyście z nim kontakt.

– Bała się?

– Kiedyś wszystko ci opowiem. Wszystko. O sobie i o tym, kim dla mnie jest Michał. Tylko muszę jeszcze stoczyć jedną walkę – oparł Piotr. Przyjrzał się znów smutnej parze przy stoliku i zapytał: – Czy jesteście gotowi walczyć o życie waszej córki?

Oboje bez słowa skinęli głowami.

– Spakujcie najpotrzebniejsze rzeczy, niech mieszkanie wygląda, jakbyście za chwilę mieli tu wrócić – poinstruował ich Piotr.

Dopili herbatę w milczeniu i minorowych nastrojach. Piotr wcześniej poszedł spać. Wiedział, że następnego dnia musi być wypoczęty i skoncentrowany.

## ROZDZIAŁ XIX

Budzik zadzwonił o piątej. Piotr szybko oprzytomniał, wstał i wziął prysznic. Kiedy wszedł do kuchni, zobaczył córkę pochyloną nad stołem, na którym leżały porozrzucane w nieładzie zdjęcia z albumu rodzinnego.

– Które wziąć? – spytała Zuzanna głosem zasmuconego dziecka.

– Weź wszystkie, ja swoje spaliłem – rzucił Piotr.

– Kiedy się zobaczymy?

– Nie wiem, córeczko, ale przysięgam ci na twoją matkę i córkę, że zrobię wszystko, aby ocalić tę małą istotkę i was.

W oczach Zuzanny zamigotały łzy. Przypominała teraz małą dziewczynkę, która bardzo potrzebuje wsparcia swego ojca. Podszedł i przytulił ją mocno. W jego ramionach nie potrafiła już pohamować uczuć. Płakała długo i szczerze. Piotr miał nadzieję, że przyniesie jej to ulgę. Jej i jemu.

Po paru minutach wysunęła się z jego objęć i sięgnęła po chusteczkę. Uśmiechnęła się do ojca ciepło.

W drzwiach stanął zięć. Podszedł do Zuzanny i pogłaskał ją czule po policzku. Zerknął na zdjęcia na stole.

– A co z moją matką? – spytał, biorąc do ręki jedną z fotografii.

– Jest bezpieczna, we Francji. Spróbuję się z nią osobiście skontaktować, a później ściągnąć ją do Stanów – uspokoił go Piotr.

Zjedli jeszcze wspólne śniadanie i Piotr pożegnał się z nimi. Po dwóch godzinach był już w małej miejscowości skrytej wśród zielonych lasów. To tutaj znajdowały się wille i domki letniskowe warszawiaków. Jedna z nich należała do Piotra i jego żony. Drewniany domek i jego obejście robiły wrażenie opuszczonych i zaniedbanych. Po śmierci Ireny był tutaj zaledwie dwa razy. Zbyt wiele wspomnień łączyło się z tym miejscem. Kiedyś radosnych, a teraz tak bardzo bolesnych. Spojrzał na huśtawkę, na której tyle razy widział roześmianą wnuczkę, i na niewielką piaskownicę, gdzie budował dla małej zamki z piasku.

Otrząsnął się z tych myśli, otworzył furtkę, następnie drzwi i wszedł do środka budynku. Zapalił światło. Wszystko pokrywały pajęczyny i grube warstwy kurzu. Zamknął za sobą drzwi i ruszył do pokoju, którego ściany były wyłożone drewnem. Na krótszej ścianie znajdował się mały kominek myśliwski. Piotr wyjął nóż, pochylił się i zaczął wykręcać wkręty mocujące boazerię do ściany przy kominku. Za boazerią kryła się wnęka obłożona wełną izolującą. Po usunięciu izolacji Piotr dostał się do dwóch metalowych skrzyń. Jedna była długa, druga nieco mniejsza. Piotr wyjął obie

i postawił na ziemi. Otworzył kluczykiem mniejszą i z naoliwionych szmat wydobyl pistolet marki Colt, cztery magazynki i tłumik. Ostatni raz rozbierał i czyścił broń jakieś trzy lata temu. Zrobił to wtedy z czystego przyzwyczajenia. Sądził, że już nigdy nie będzie mu do niczego potrzebna. Przez myśl przemknęło mu nawet pozbycie się tego arsenału. Szkoda, że tak bardzo się mylił.

Wyciągnął pistolet z metalowej skrzynki, kciukiem nacisnął małą dźwignię zwalnającą magazynek, który wypadł mu do lewej ręki. Następnie odciągnął zamek do tyłu i sprawdził komorę nabożową. Była pusta. Po sprawdzeniu broni wcisnął tuleję oporową sprężyny powrotnej, obrócił łożysko lufy w prawo i wyjął tuleję oporową. Prawą ręką odciągnął zamek i wyciągnął dźwignię zatrzasku, co pozwoliło na zejście zamka ze szkieletu. Od zamka odłączył sprężynę powrotną oraz żerdź sprężyny powrotnej. Czyszczenie broni zaczął od lufy, po czym każdą część pieczołowicie przetykał szmatką nasączoną oliwą. Kiedy skończył, złożył ponownie pistolet, przeładował zamek i nacisnął spust, który wydał charakterystyczne szczęknięcie. Sięgnął do dłuższej skrzyni i wyjął amerykański karabin snajperski MP-1 oraz pudełko z lunetą optyczną. Położył to na podłodze tuż obok sprawdzonego colta. Podszedł do starego fotela, stojącego obok kominka, obrócił go do góry nogami i nożem rozciął delikatnie szwy znajdujące się pod siedziskiem. Pod warstwą gąbki kryła się szara koperta zabezpieczona folią. Piotr wyjął zawartość. Przejrzał pliczek zdjęć i przypomniał sobie zdarzenia sprzed siedmiu lat. Wyjął jedną z fotografii i schował do kieszeni kurtki. Na kartce papieru nakreślił kilka zdań, po czym wraz z resztą zdjęć umieścił w metalowej skrzyni, w której przechowywał pistolet. Zakrył wnękę wełną i przykręcił boazerię do ściany. Po paru minutach skrytka znowu była niewidoczna, a jedynym śladem obecności Piotra była nieco mniejsza warstwa kurzu na wykładzinie pokoju. Broń schował do torby podróżnej, którą zaniósł do bagażnika samochodu.

Wyruszył ponownie do Warszawy, a konkretnie na Pragę, do znajomego prowadzącego warsztat samochodowy. W starym, odrapanym budynku mieściły się raptem dwa stanowiska do obsługi naprawianych pojazdów. Klientów jednak nie brakowało, o czym świadczyło podwórze zastawione sporą liczbą aut. Piotr wysiadł z samochodu i skierował się w stronę pochylonego nad otwartą maską jednego z pojazdów niskiego mężczyzny w średnim wieku.

– Cześć, Heniu! – Piotr wyciągnął dłoń na powitanie.

– Witaj, Piotrze! – Mechanik wytarł ubrudzoną rękę o jakąś szmatę i uściśnął dłoń przybysza. – Samochód na ciebie czeka.

Henryk krzyknął na pracownika, który po chwili wyprowadził auto z jednego z dwóch stanowisk.

– Silnik przejrany i sprawdzony – poinformował mechanik. – Nie powinien cię zawieść.

Piotr wziął kluczyki, wyciągnął portfel i dał mechanikowi sto dolarów. Po chwili siedział w granatowym dostawczym mercedesie. Sprawdził, czy wszystko w porządku, wysiadł i kiwnął na mechanika.

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, Heniu – poinformował go ścisłym głosem –

masz samochód w piątek, około dwudziestej. Gdzie będzie na ciebie czekał, dam ci znać telefonicznie. Tylko jedna ważna sprawa. Nikt nie może wiedzieć, że pożyczałem go od ciebie. Posprzątaj go później porządnie w środku. I czekasz w piątek na mój telefon. Zrozumiałeś?

– Rozumiem – powiedział Henryk, który wiedział, że nie może zadawać zbędnych pytań. – Kierowca odprowadzi samochód, gdzie będziesz chciał.

– Niech jedzie za mną, odwiozę go za sześć godzin.

Piotr podał rękę koledze, wsiadł do swojego audi i czekał, aż pracownik Henryka wyjedzie z placu za nim.

Po około trzech godzinach jazdy dotarli do malowniczej miejscowości leżącej nad jeziorem. Piotr wjechał na mały parking strzeżony, tuż przy przystani jachtowej. Wsiadł, podszedł do stróża i zapytał, ile będzie kosztować pozostawienie samochodu do piątku. Po zapłaceniu opłaty przełożył podrózną torbę z audi do mercedesa.

– Mała zmiana planów, wracamy do Warszawy – rzucił do pracownika Henryka. – Przesiądź się, ja poprowadzę. Chcę sprawdzić samochód.

Po następnych trzech godzinach jazdy byli już na Pradze. Piotr wysadził kierowcę pod warsztatem i ruszył do mieszkania w Aninie, by przygotować się do akcji. Po drodze, z automatu telefonicznego znajdującego się na stacji, zadzwonił do Kulawego Marczecka.

– Transakcja jutro o czternastej. Przekaż Badylarzowi, że od nas będzie jeden nieuzbrojony człowiek z diamentami. W budynku ma być Marian, jego syn, jeden ochroniarz i osoba wyceniająca diamenty. Wokoło budynku, w promieniu stu metrów, nie może być ludzi Badylarza. Jeden fałszywy ruch lub próba wyrolowania nas i nasi ludzie wkraczają do domu. Tylko wtedy będzie już za późno na przeprosiny. I pamiętaj, moje nazwisko nie może tam paść.

– Rozumiem – powiedział Marczecek.

– Siedzisz w domu i grzecznie czekasz na mój telefon. Jeżeli transakcja dojdzie do skutku i Marian okaże się rozsądnym człowiekiem, to jutro po piętnastej dostaniesz ode mnie pięć patoli.

– OK – odparł Marczecek i zapewnił gorąco: – Marian nie wywinie żadnego numeru. Za bardzo się was boi. Wie, z kim gra.

– To do jutra – rzucił Piotr i się rozłączył.

Wsiadł do samochodu. Wiedział, że czasu pozostało niewiele, a plan, który opracowywał przez ostatnie miesiące, jest bardzo ryzykowny. Czas był ważny, niezwykle ważny. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że właśnie jego mała wnuczka rozpoczęła walkę o życie. Walkę, którą mógł tylko biernie obserwować.



## ROZDZIAŁ XX

John McDowell wszedł do budynku, w którym mieściło się Ministerstwo Finansów. Spory gmach był architektonicznym reliktem minionej epoki, gdy to partia decydowała o tym, co można nazwać jedynie słuszną i pożyteczną sztuką. Architekci, projektując budynek dla ówczesnego Ministerstwa Skarbu, stworzyli tu jednak udaną i elegancką mieszankę modernizmu, baroku i narzuconego przez władzę socrealizmu. John miał stylowo urządzone sale budynku, zmierzając na wcześniej ustalone z sekretarką spotkanie z prezesem Narodowego Banku Polskiego. Oficjalnie McDowell chciał mu wręczyć zaproszenie do ambasady na bankiet z okazji podpisania umowy gospodarczej między Stanami Zjednoczonymi a Polską. W istocie jednak John chciał przekazać prezesowi kartkę z prośbą o spotkanie sam na sam. Gdy znalazł się przed gabinetem prezesa, odwrócił się, aby poprawić krawat, i kątem oka zobaczył mężczyznę, którego już widział pod ambasadą, kiedy z niej wychodził. Śledzą mnie? – przemknęło mu przez głowę. Nie miał teraz jednak czasu, by zająć się tym nowym problemem. Ruszył do gabinetu. Siedząca za sporych rozmiarów drewnianym biurkiem sekretarka poprosiła go o chwilę cierpliwości, wskazała na wygodną skórzaną kanapę i stolik, na którym stała karafka z wodą i ciastka. Po paru minutach drzwi się uchyliły, z gabinetu wyszedł interesant i ukazał się prezes Morawski.

– Witam pana attaché i zapraszam do gabinetu – powiedział, wyciągając rękę na powitanie.

– To zaszczyt, że mogę pana poznać – odrzekł John, witając się z Morawskim. – Wiele o panu słyszałem.

– Dobrego czy złego? – zapytał nieco żartobliwym tonem prezes, prowadząc gościa do gabinetu.

Gdy usiedli w wygodnych fotelach, a sekretarka podała kawę, mogli swobodnie kontynuować rozmowę.

– To proszę przyznać. Dobre czy złe rzeczy pan o mnie słyszał? – nie dawał za wygraną prezes.

– Dobre, bardzo dobre – skwapliwie zapewnił John. – Według moich informacji jest pan człowiekiem, któremu dobro ojczyzny leży na sercu. Jak mówią w pana kraju, jest pan prawdziwym patriotą.

– Miło mi to słyszeć, aczkolwiek funkcja, do której zostałem powołany, niesie ze sobą wiele wyzwań. Przejście z systemu socjalistycznej ekonomii do wolnego rynku nie jest proste. Wymaga stałych korekt i zmian – podkreślił prezes. Szybko jednak

zmienił temat. – Pana polski jest bardzo dobry – stwierdził. – Świetnie pan sobie radzi. Myślałem, że będziemy rozmawiać po angielsku.

– Moja babcia była Polką – wyjaśnił John. – Z domu Zawada. Jej rodzice opuścili Polskę w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku. Pochodzili z Nowego Targu i to dzięki babci tak dobrze mówię po polsku.

– Ale nazwisko McDowell to chyba raczej Irlandia lub Szkocja – dywagował prezes Morawski.

– Mój dziadek, który postanowił się związać z Polką, był Irlandczykiem. Nie znałem go dobrze, bo zmarł, gdy miałem pięć lat. Ale z opowieści babci wynika, iż oba narody, polski i irlandzki, mają wiele wspólnego w swojej historii.

– Istotnie. Nasi sąsiedzi często próbowali nas zniewolić i nami rządzić. – Prezes pokiwał w zadumie głową.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwał John.

– Chciałem pana zaprosić do ambasady na podpisanie umowy handlowej między naszymi krajami – stwierdził, wstając i podając prezesowi kopertę oraz karteczkę. – Proszę na to rzucić okiem. – John wskazał na niewielką kartkę.

Prezes wstał, zerknął na biały świstek, spojrzał porozumiewawczo na Johna, podszedł do biurka i napisał coś wiecznym piórem. Oddał kartkę Johnowi i obrzucił go badawczym spojrzeniem, po czym zaczął opowiadać o swojej wizycie w Stanach dwa lata temu. Po wymianie uprzejmości prezes pożegnał Johna.

McDowell po wyjściu z gabinetu zerknął na kartkę. Po angielsku, eleganckim charakterem pisma, prezes napisał: „Proponuję spotkanie dzisiaj o 18 w moim mieszkaniu w Warszawie na Saskiej Kępie, numer 45. Tam będziemy mogli bezpiecznie porozmawiać”.

Gdy John wychodził z budynku ministerstwa, rozejrzał się uważnie. Mężczyzna, którego widział już dziś dwukrotnie, siedział w samochodzie na parkingu, cztery miejsca parkingowe za autem Johna. McDowell wiedział, co to znaczy. Ktoś chce znać każdy jego krok. I nie mylił się. Mężczyzna nie był jedyną śledzącą go osobą. John znowu potrzebował fortelu, by moc spokojnie udać się na spotkanie. Zadzwoił do Joanny i umówił się z nią na godzinę osiemnastą w jej mieszkaniu. Oczywiście tuż przed spotkaniem zatelefonuje raz jeszcze i przesunie je o dwie godziny.

## ROZDZIAŁ XXI

Była dziewiętnasta, gdy karetka z Włoch opuszczała Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Lekarze z Kliniki Gemelli mieli raptem trzy godziny na ocenę stanu zdrowia małej Marii. Profesor Kazanowski, który opiekował się dziewczynką, postanowił towarzyszyć swojej maleńkiej pacjentce. Czuł się odpowiedzialny za zdrowie dziecka i nie krył, że transport będzie dla jej kruchego organizmu dużym obciążeniem. Mogło się okazać, że w drodze trzeba będzie podawać Marysi leki stabilizujące w odpowiednich dawkach. Włoscy lekarze, nieznający tak dobrze stanu dziecka, mogli mieć z tym spory problem.

Włochom stale towarzyszyła siostra Faustyna, która z wielką rzetelnością tłumaczyła i wyjaśniała każde słowo polskich lekarzy. Gdy została sama z profesorem, zapytała:

– Jak pan, doktorze, ocenia szanse tej małej istotki?

Doktor zamyślił się.

– Będę z siostrą szczerzy – odpowiedział po chwili. – Obecny stan naszej wiedzy medycznej każe mi powątpiewać w szansę przeżycia operacji przez naszą pacjentkę. Z drugiej strony osiągnięcia zespołu profesora Farellego, opisywane w medycznych czasopismach, dają pewną nadzieję na powodzenie operacji. Na początek musimy zadbać, by mała bezpiecznie i w jak najlepszym stanie dotarła do Rzymu. Jestem też człowiekiem wierzącym i mam szczerą nadzieję, że o los tego dziecka troszczy się ktoś, dla kogo nic nie jest niemożliwe.

– Kiedy tylko dowiedziałam się o całej sprawie i poproszono mnie o towarzyszenie Marii w podróży – powiedziała głęboko poruszona siostra – zaczęłam się modlić do Przenajświętszej Pani o łaski dla tej małej istotki. Wiem, że sam ojciec święty modli się w jej intencji.

– Droga siostró – lekarz uśmiechnął się, jakby chciał dodać otuchy swojej rozmówczyni – widziałem w życiu wiele przypadków, które wydawały się beznadziejne, ale stawał się nagle cud i organizm, który gasł, zaczął odżywać i podejmować walkę. Być może w tym przypadku też tak będzie. Wiem, że duże znaczenie ma sprzęt, jakim dysponuje włoska klinika. To duże osiągnięcie w nauce i medycynie.

– Dzięki obecności pana doktora w drodze będzie mi zdecydowanie różniej – oznajmiła siostra Faustyna. Po chwili dodała, nieco zmieszana: – Wie, pan doktor, nie chodzi o mój brak zaufania do Włochów, wiele lat spędziłam wśród nich, ale będzie mi różniej z rodakiem u boku.

Profesor pokiwał ze zrozumieniem głową, uśmiechnął się i robiąc nieco zabawną minę konspiratora, poprosił:

– Niech mi siostra zdradzi jedną wielką tajemnicę. Nie ukrywam, że cała klinika po telefonie profesora Farellego zadaje sobie pytanie, kto za tym stoi.

– Uważam, że Bóg czuwał nad tym dzieckiem i postanowił wykorzystać każdą dostępną szansę – odpowiedziała wyraźnie zakłopotana siostra.

Profesor nie dał jednak za wygraną i postanowił dalej drążyć temat.

– Czy prawdą jest, że w całej tej sprawie dużą rolę odegrał nasz ojciec święty? – dopytywał. – Że ta mała istotka dzięki jego wstawiennictwu dostała tę szansę?

Siostra, coraz bardziej zakłopotana, starała się naprędce wymyślić jakąś dyplomatyczną odpowiedź.

– Ojciec święty, nasz rodak – stwierdziła po paru sekundach – zawsze niesie pomoc ludziom potrzebującym i chorym. Z tego, co wiem, to dostał z kraju telefon od księdza, który jest spokrewniony z tym dzieckiem, z prośbą o pomoc.

– Czyli ojciec święty naprawdę pomagał przy tym przedsięwzięciu? – upewnił się profesor.

– Myślę, że jego świątobliwość będzie cały czas prosić w modlitwie o zdrowie i życie dla tej małej dziewczynki – zapewniła siostra. – Dla naszego ojca świętego ważne jest życie każdego dziecka i zauważył pan, panie profesorze, jak Jan Paweł II walczy w obronie życia poczętego.

– Tak, droga siostrzo, wiem o tym, jak cenne jest zdrowie i życie, bo wielokrotnie spotykam się w mojej pracy ze śmiercią dzieci. I nie ma nic gorszego dla rodziców i bliskich od straty dziecka. Sam jestem ojcem trojga dzieci.

Dalszą rozmowę przerwała im sekretarka, która poinformowała, że żona profesora czeka na niego w poczekalni z torbą podróżną.

Siostra Faustyna udała się do włoskich lekarzy.

## ROZDZIAŁ XXII

Była osiemnasta, gdy John wchodził pod wskazany numer willi na Saskiej Kępie. Ambasadę opuścił oczywiście znowu leżąc na tylnym siedzeniu limuzyny. Wysiadł też, tak jak poprzednio, na światłach, by zgubić ewentualny ogon.

Ostrożność Johna nie na wiele się zdała. W oknie niedużego budynku tuż obok willi prezesa stał oficer KGB. Nie omieszkał uwiecznić stojącego przy furcie McDowella na serii zdjęć. Jego kolega ślęczał właśnie nad sprzętem do nagrywania. W willi prezesa Morawskiego już od ponad roku działał podsłuch. Agenci cierpliwie czekali na rozmowę w gabinecie.

John od razu zauważył, że dom był urządzony ze smakiem, wygodnie i bez epatowania luksusem. Gospodarz musiał mieć naprawdę świetny gust. Po przywitaniu się zaprosił McDowella do obszernego gabinetu i zaproponował drinka. John chętnie przystał na propozycję. Kiedy siedli w wygodnych fotelach, Morawski zapytał bez zbędnych wstępów:

– O czym chciał pan ze mną porozmawiać bez świadków?

– Przede wszystkim proszę o szczerą rozmowę. Mój rząd wie, że pochłania pana obecnie pewna trudna sprawa. Znamy ją i możemy pomóc.

– Jak na attaché kulturalnego ma pan niezwykle zasób informacji i bardzo ciekawe kompetencje – odpowiedział dyplomatycznie prezes.

– Zagram w otwarte karty – stwierdził John. – Nasze źródła, nazwijmy je dyplomatycznymi, dysponują wiedzą, że chce pan jak najszybciej spotkać się z ojcem świętym, aby przekazać mu wiedzę na temat wywozu pieniędzy z Polski pod koniec lat osiemdziesiątych.

Prezes podniósł szklankę i przez chwilę przyglądał się złocistej whisky. Upił odrobinę, po czym, wyraźnie ważąc słowa, stwierdził:

– Drogi panie McDowell, wydaje mi się, że attaché kulturalny to niezła przykrywka dla pana faktycznego zajęcia. Jest pan z CIA, prawda?

W pokoju nastała cisza. John zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu zaprzeczać. Stawka była zbyt duża.

– Nie będę pana okłamywał – powiedział po chwili. – Ma pan rację. Powiem więcej, by przekonać pana, iż nasze intencje są... jakby to ująć... czyste. Posiadamy wiedzę, że pana kolega, który pracował w NIK-u, nie zmarł w lipcu tego roku na zawał, lecz został zamordowany.

Prezes wstał z fotela i ze szklanką whisky w dłoni podszedł do okna. Wypił znowu jedynie niewielki łyk wytrawnego trunku.

– Drogi panie McDowell – powiedział, przyglądając się wielkim, starym drzewom w swoim ogrodzie – nie wszyscy w tym kraju są łotrami i złodziejami. Wierzę, że Polska idzie w dobrym kierunku i że dzięki mojej wiedzy zostanie wszczęte wnikliwe śledztwo, które wyjaśni całą sprawę. Jesteśmy krajem niezależnym, więc niech pan pozwoli mi działać w sposób niezależny. Wasza pomoc na tym etapie świadczyłaby, iż z jednych rąk przechodzimy w drugie.

– Wie pan, o jakich sumach rozmawiamy? – spytał John.

– Wiem. I wiem, że ta wiedza jest niebezpieczna. Grozi mi niebezpieczeństwo, ale spróbuję z całą sprawą zapoznać odpowiednich przedstawicieli Sejmu oraz prezydenta. Wierzę, że sami rozwiążemy swoje problemy

– Czy pan naprawdę nie obawia się o swoje życie? – John raz jeszcze spróbował nakłonić prezesa do współpracy. Podziwiał jego odwagę i niezależność, ale zdawał sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczny i nierozsądny był ten heroizm.

– Panie McDowell, niech pana rząd pozwoli nam rozwiązać nasze polskie problemy samodzielnie, dobrze?

Prezes wrócił na fotel i dopił whisky.

– Dobrze, ale niech pan pamięta: możemy całą sprawę nagłośnić i spróbować pana ochronić. Oczywiście proszę o dyskrecję.

– Oczywiście. Dziękuję, ale spróbuję sam rozegrać tę partię – odpowiedział profesor.

John pokiwał jedynie głową na znak, że rozumie. Skończyli whisky, rozmawiając już o luźnych i nieznaczących sprawach.

John wyszedł z budynku, bacznie lustrując okolicę. Nie był zadowolony z przeprowadzonej rozmowy. Zbyt wiele ujawnił, licząc na sukces i współpracę z prezesem. Nie był pewien, czy prośba o dyskrecję wystarczy. Nie przypuszczał, że za dwie godziny major Zinowiew pozna treść ich rozmowy i że będzie to miało dla prezesa tragiczne skutki.

John wszedł do zatrzymanej taksówki i podał adres Joanny. Ten dzień się jeszcze nie skończył. Miał jeszcze jedno ważne i trudne zadanie przed sobą. Zamierzał rozegrać prowokacyjną grę – grę, która miała wystraszyć dziewczynę i jej mocodawców. Zanim dotarł do mieszkania Joanny, po drodze kupił w sklepie nocnym francuskie wino. Wiedział, że dziewczyna lubi półsłodkie trunki.

John musiał przyznać, że Joanna wyglądała pięknie w powabnym szlafroku, czarnej bieliźnie i pończochach. Kiedy tylko znalazł się za progiem, zasypała go namiętными pocałunkami. Po chwili wylądowali w sypialni. Gdy godzinę później dziewczyna leżała wtulona w jego ramię, John pogłaskał czule jej jasne włosy i zaproponował wino.

– To wspaniale, bo mam naszykowaną kolację – ucieszyła się Joanna.

John wstał i poszedł do kuchni. Zerknął w stronę drzwi. Joanna była w łazience. Wyciągnął z torby niewielką fiolkę, w której znajdowała się pochodna narkotyku zwanego skopolaminą. Odrobina tego proszku każdemu rozwiązywała język.

Usiedli przy stole, delektując się smaczną kolacją.

– John – powiedziała w pewnym momencie dziewczyna, wpatrując się uważnie w narzeczonego – od jakichś dwóch tygodni zachowujesz się dziwnie. Tak jakbyś mnie unikał.

John nalał jej wina.

– Wypijmy za nasz wyjazd do USA – odparł, ignorując uwagę Joanny. – Może nigdy już tutaj nie wrócimy...

Joanna zastygła na moment, zaskoczona. Dopiero po paru sekundach wydusiła z siebie pytanie:

– Jak to nie wrócimy?

John nie odpowiedział od razu. Odłożył powoli sztućce, nalał do szklanki odrobinę wody i wypił. Musiał zaryzykować.

– Obok mnie działa agent obcego wywiadu i nie jest to agent polskiego wywiadu – oznajmił z naciskiem.

– Co ty mówisz? – Dziewczyna była wyraźnie zmieszana.

– Widzisz, w tym kraju nic nie jest takie oczywiste. Nie wiadomo, kto stoi po prawej, a kto po lewej stronie sceny politycznej. Wielu ludzi udających prawicowych polityków to agenci służb specjalnych PRL, wybrani i wyszkoleni specjalnie do tej roli...

– Skąd to wiesz? – spytała Joanna.

– Jakiś wysoko postawiony agent rosyjski przeszedł na naszą stronę. Stąd ostrzeżenie dla mnie.

Joanna wstała od stołu. John znał ją, mimo wszystko, na tyle dobrze, by dostrzec, jak bardzo jest zdenerwowana. Nie wiedziała, co powiedzieć. Z pomocą przyszedł jej John.

– Czy jeżeli dostanę polecenie pozostania w Stanach, zostaniesz ze mną? – zapytał wprost, stając tuż obok niej.

Joanna po chwili niezdecydowania wtuliła się w niego.

– Tak, zostanę z tobą – szepnęła.

– Mam tylko jedną prośbę – cicho powiedział John, przytulając ją i głaszcząc po włosach. – O tej rozmowie nikt nie może się dowiedzieć. Nie powiedzieli mi, kto zdradził, ale ta osoba musi mieć wiedzę o agencie, który działa na moją niekorzyść. Ufam ci, Joanno, rozumiesz? Za dwa tygodnie będę musiał być może wyjechać...

Godzinę później major Zinowiew przysłuchiwał się uważnie rozmowie Joanny i Johna. Miał następny, trudny orzech do zgryzienia.

– Jutro muszę się z nią pilnie spotkać – poinformował porucznika. – Zobaczymy, czy opowie mi o problemach narzeczonego. Sprawdzimy jej lojalność. Ale mamy teraz ważniejszy problem: kto jest zdrajcą?

## ROZDZIAŁ XXIII

Dochodziła jedenasta, kiedy Marian Badylarz z synem kończyli przeliczanie pieniędzy. Silny Stasiek przechadzał się z obrzynekami w rękę od okna do okna. Do transakcji miało dojść w willi kupionej przez Badylarza rok wcześniej, znajdującej się na obrzeżach Piaseczna przy ulicy Akacjowej. Badylarz kupił willę tylko w jednym celu. Chciał oszczędzić małżonce stresów, gdy do domu wpadali ludzie z półświatka. Wolał też uniknąć zadawania przez nią pytań. Na tyłach budynku, w lesie, znajdowały się dwa auta, a w nich dziesięciu ludzi Mariana uzbrojonych po zęby w automaty i granaty. Od frontu, w starym golfie, czekało dwóch najbardziej zaufanych ludzi Mariana, uzbrojonych w nowy nabytek, pistolety maszynowe uzi. Właśnie jeden z tych ludzi, Szybki Zenek, postanowił rozprostować nogi, gdy na ulicy pojawił się kominiarz, który wchodził kolejno do budynków. Kiedy zaczął zbliżać się do posesji Badylarza, Szybki Zenek wyjął krótkofalówkę i zaczął wywoływać szefostwo.

– Ja jedyńska, ja jedyńska do bazy.

– Tu baza – odezwał się Sebastian.

– Po ulicy łązi kominiarz z jakimś kwitem. Przegonić go?

Sebastian zapytał ojca, co robić.

– Kominiarz to dobry znak – stwierdził Marian, który był tego dnia w doskonałym nastroju. – Trzeba złapać się za guzik i pomyśleć życzenie. A ja mam dzisiaj życzenie zarobić pół bańki dolarów. Nie przeganiać.

Po chwili kominiarz wszedł na posesję Mariana. Przez otwartą bramę zerknął na dwóch bandytów siedzących w golfie, którzy uważnie mu się przyglądali. Kiedy był już na schodach, otworzyły się drzwi i stanął w nich Marian.

– Dzień dobry, okresowy przegląd i czyszczenie kominów – oznajmił kominiarz.

– Nie da się podbić papierów, a przegląd zrobić w innym terminie? – spytał Badylarz.

– Wie szanowny pan, że pieczątki zawsze można przybić, ale w tamtym roku na skutek zaniedbań zaczęło się w całym województwie pięćdziesiąt osób. To zajmie dziesięć minut, a panu szanownemu, rodzinie i dzieciom może uratować życie.

– No jeśli dziesięć minut, to zapraszam – zdecydował Badylarz.

Kominiarz wszedł i poprosił o wskazanie drogi. Kątem oka zauważył Sebastiana i Silnego Staśka siedzących w kuchni. Przyglądali się przybyszowi uważnie.

– Może po jednym? – nieoczekiwanie zaproponował Marian.

– Ale tylko po jednym, mam jeszcze dzisiaj trzy ulice do zrobienia.

Marian zaprosił kominiarza do kuchni, wyjął butelkę żytniej i cztery kieliszki.



Nalał wódkę.

– No to za kominiarzy i szczęście, które przynoszą – wzniosł toast Badylarz.

– Za nasze zdrowie – odparł kominiarz i wychylił kieliszek wódki.

Marian podsunął talerz z zagryzką i nalał drugi kieliszek, ale kominiarz pokręcił głową i oznajmił stanowczo:

– Najpierw obowiązki, później na drugą nóżkę. Niech szanowny pan poprowadzi.

Marian ruszył po schodach prowadzących na piętro. Kominiarz poszedł jego śladem. Kiedy byli już na piętrze, przeszli do pomieszczenia przypominającego strych. Na ścianie umocowane były szczeble drabiny na dach. Kominiarz udał się w górę. Zdjął metalową brechę blokującą wjazd na dach i chciał unieść klapę, ale ta nie ustępowała.

– Może szanowny pan spróbuje, nie chce puścić – powiedział zrezygnowany kominiarz i zszedł z drabiny.

– Spróbuję – odparł Marian – a jak ja nie dam rady, to zawołam syna lub mojego pracownika. To były zapaśnik, silny jak koń.

Kominiarz stanął przy drabinie, a Marian ruszył na górę. Kiedy był na drugim szczeblu, zauważył kątem oka, że kominiarz grzebie w torbie i wyciąga pistolet z tłumikiem. Prerażony Badylarz chciał jeszcze spytać, o co chodzi, ale nie zdążył. Kominiarz wycelował w jego głowę. Ciało króla szklarni i jednego z bossów podwarszawskiej mafii runęło na podłogę. Przybysz pochylił się nad Marianem, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno jest martwy. Po chwili był już przy drzwiach strychu.

– Panowie, starszy pan zasnął, chodźcie szybko na górę! – krzyknął.

Sebastian i Stasiek ruszyli biegiem. Kiedy byli na schodach, kominiarz wychylił się zza drzwi i wziął na muszkę Sebastiana. Syn Badylarza otrzymał postrzał w kolano i zwałił się na schody, jęcząc. Szybki Stasiek stanął jak wryty. Zdał sobie właśnie sprawę, że obrzyn zostawił w kuchni. Kominiarz wyskoczył na schody i wymierzył szybko w jego głowę. Klasnął cichy strzał i Stasiek upadł. Na środku czoła widniała niewielka krwawa dziura.

Kominiarz wziął raz jeszcze na celownik Sebastiana i warknął:

– Złaż powoli na dół, bo zaraz cię rozwalę.

– O co, gnoju, chodzi? – jęknął Sebastian, szukając gorączkowo za paskiem pistoletu.

– Łapy na widoku, bo za chwilę odstrzelę ci łeb – warknął przybysz.

Sebastian zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z profesjonalistą.

– I tak nie wyjdiesz z tego domu, cała okolica jest obstawiona – próbował zastraszyć napastnika.

– Twój stary dostał w bebechy, może jeszcze żyć. Dawaj forszę! – ryknął kominiarz.

– Przecież wiesz, że wam nie darujemy – wycedził przez zęby Sebastian.

– Módl się, żebyś nie wykończył ciebie i twojego starego. Na dół! – padł rozkaz.

Sebastian na czworakach zaczął cofać się na parter. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w celownik pistoletu.

Kiedy znaleźli się na dole, kominiarz rozkazał:

– Połóż się na brzuchu i wyciągnij ręce przed siebie!

Kiedy Sebastian wykonał polecenie, przybysz zbiegł na dół, wyjął mu pistolet zza paska i błyskawicznie skuł ręce z tyłu. Następnie zaciągnął go do kuchni. Zerknął w stronę okna. Doskonale było stąd widać bramę do posesji. Rzucił Sebastiana na krzesło, wyjął z torby szmatę i zakneblował mu nią usta. Na stole położył małą wiertarkę z przedłużaczem. Podłączył ją do prądu.

– Mamy dwie możliwości. Albo powiesz mi, gdzie znajduje się pięćset tysięcy dolarów, i sobie pójdę, albo umrzesz w strasznych męczarniach – powiedział kominiarz i wyciągnął dryblasowi knebel z ust.

Chłopak milczał. Przybysz wcisnął mu ponownie szmatę do ust, po czym uruchomił wiertarkę i przesunął ją tuż obok jego oczu. Po chwili przerwał, wyjął ponownie knebel i spytał:

– Gdzie kasa?!

– Pocałuj mnie w dupę! I tak jesteś już martwy – odparł hardo niedoszły bokser, więc napastnik ponownie go zakneblował. Wyciągnął z torby grubą taśmę i przykleił kostki rannego do nóg krzesła. Włączył raz jeszcze wiertarkę i zaczął przewiercać przestrelone kolano Sebastiana. Chłopak rzucał się niczym ranione zwierzę, ból był nie do zniesienia, ale oprawca nie przestawał wiercić. Po chwili skończył i nachylił się nad nim.

– Jesteś twardy. A teraz zajmę się twoimi zębami – oznajmił.

Oparł krzesło o ścianę, ścisnął jedną ręką szyję ofiary i zaczął przewiercać wargę, a następnie zęby nieszczęśnika. Chłopak zaczął przeraźliwe charczeć. Kominiarz odłożył wiertarkę, zdjął mu but, po czym wyjął mały młotek i zaczął miażdżyć palce u nóg. Po dwóch uderzeniach zauważył, że katowany się zmoczył. Wtedy przestał. Znowu zerknął w okno. Na zewnątrz nic się nie działo. Zmienił magazynek w pistolecie i wyjął knebel z ust Sebastiana.

– Skończę palce, jak już wyleczę ci wszystkie zęby. Gdzie jest kasa?!

Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, ponownie włączył wiertarkę i zbliżył ją do ust ofiary. Katowany zaczął kiwać głową, jakby chciał dać jakiś znak. Kominiarz wyrwał mu z ust szmatę i pochylił się nad nim.

– Tam, pod szafką, jest zabudowany sejf, a klucze u ojca w kieszeni.

Kominiarz zakneblował ledwo żywego Sebastiana i otworzył szafkę. Sejf był wmurowany w podłogę i zamknięty na zamek. Przybysz ruszył na górę. Rzeczywiście w kieszeni spodni Mariana były klucze. Wyjął je i ściągnął zwłoki na dół. Otworzył klapę sejfu. Leżały tu równo poukładane paczki banknotów. Oprócz dolarów było także trochę złotych. To jednak nie wystarczyło kominiarzowi. Ponownie nachylił się nad synem Badylarza, wyrwał knebel i warknął:

– Gdzie diament i specyfikacja?!

– Specyfikację ma jubiler, który miał wycenić diamenty, a diament jest u nas w domu – wycedził ranny chłopak.

– Kto jeszcze wiedział o transakcji?

– Ja, ojciec, matka i jubiler.

– Dobra, koniec przedstawienia – oznajmił kominiarz, przewracając krzesło z Sebastianem. – Tu nie chodzi tylko o te pieprzone pieniądze.

– A o co? – wybełkotał opuchnięty Sebastian.

– Poniesiesz karę za to, co zrobiłeś dwa lata temu.

– Wiedziałem, że już twoją gębę gdzieś widziałem, tylko nie mogłem sobie przypomnieć gdzie – wycodził przez obolałe usta młody gangster.

– Gdzie są kluczyki od waszego mercedesa? – zapytał jego kat.

– Tam – zrezygnowany chłopak wskazał na kredens.

– Trzeba było iść siedzieć, gnoju, ale wydawało ci się, że jesteś bezkarny. Pomyliłeś się i to bardzo. – Oczy przybysza były zimne. Sebastian zrozumiał, że to koniec. – Moja żona zginęła od razu, ale wnuczka umierała dwa dni. Dlatego ty masz szczęście. Miałem spalić cię żywcem, ale będę miał litość i zabiję cię od razu.

To mówiąc, Piotr wyjął pistolet i strzelił mu między oczy. Następnie zerwał taśmę, zdjął kajdanki i rzucił ciało obok stołu. Przełożył pieniądze z sejfu do swojej torby. Chwycił kawałek kiełbasy i ruszył do wyjścia. Na wierzchu otwartej torby ułożył odbezpieczony pistolet. Wyszedł na podwórze, kołyszając się lekko, jakby był po niejednym kieliszku. Zbliżył się do bramy, zagryzając kiełbasę. Ruszył w stronę golfa. Widząc podchmielonego kominiarza, Zenek uchylił szybę.

– Panowie, macie porządnego szefa. Kazał wam powiedzieć, żebyście teraz bardzo uważali – wybełkotał przybysz, wyciągając paczkę marlboro. – Zapalicie? – zaproponował.

Kiedy obaj mężczyźni ochoczco poczęstowali się i zaczęli odpalać papierosy, szybko sięgnął po pistolet. Najpierw strzelił bliżej siedzącemu kierowcy w głowę, po czym zabił strzałem w serce pasażera. Upewniwszy się, że nie ma świadków, ruszył ponownie do willi. Wziął klucze od mercedesa stojącego obok domu, wytaszczył zwłoki Badylarza i wpakował je na tylne siedzenie. Wrócił do budynku, zwinął wiertarkę, a z garażu przyniósł kanister z benzyną. Oblał wnętrze mieszkania i podpalił. Wybiegł z domu, wsiadł do samochodu i błyskawicznie wyjechał z podwórka.

Po około dziesięciu minutach ludzie Badylarza, siedzący na tyłach budynku, zorientowali się, że dom się pali. Próbowali wbiec do środka, ale ogień był za duży. Postanowili wezwać straż oraz zadzwonić do Czesia, komendanta z Piaseczna, a jednocześnie dobrego znajomego Mariana.

Tymczasem Piotr dotarł do pobliskiego zagajnika, gdzie znajdował się bagażowy mercedes. Przeładował pieniądze i zwłoki Mariana, a następnie oblał benzyną samochód Badylarza i podpalił go, aby zatrzeć ślady.

Pierwsza część jego planu powiodła się.

## ROZDZIAŁ XXIV

Joanna ukradkiem zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Wraz z wicepremierem do spraw gospodarki ślęczała właśnie nad harmonogramem wizyty w Polsce delegacji gospodarczej z Indii. Było jeszcze sporo pracy, konsultacji i dogadywania się z ambasadą. Gdy omawiali następny punkt programu, na biurku Joanny zadzwonił telefon. Dziewczyna po wysłuchaniu kilku zdań wyraźnie zbladła. Jej przełożony zrozumiał, że coś musiało się stać.

– Przepraszam, panie ministrze, właśnie się dowiedziałam, że moją mamę pogotowie zabrało do szpitala – kłamała jak z nut. – Czy może zastąpić mnie koleżanka? – spytała, wskazując na siedzącą obok sekretarkę.

– Oczywiście, pani Joanno. Proszę się zwolnić i jechać do mamy. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, mogę załatwić pani mamie pobyt w naszym szpitalu MSWiA – zaproponował wiceminister.

– Dziękuję, ale najpierw upewnię się, jaki jest jej stan zdrowia. Mama ostatnio skarżyła się na bóle w klatce piersiowej – dziewczyna starała się uwiarygodnić swoją wersję.

Pół godziny później dzwoniła do drzwi mieszkania kontaktowego, gdzie, nieświadoma prawdziwej roli Zinowiewa, odbywała z nim spotkania. Dla niej był majorem Zacharskim.

– Niech pani w przedpokoju zostawi torbę i płaszcz – rozkazał major, gdy otworzył drzwi.

Gdy weszła do pokoju, nagle pojawili się dwaj agenci. Przeszukali dokładnie torbkę i płaszcz dziewczyny. Skinęli głowami na znak, że wszystko wydaje się w porządku i wyszli do sąsiedniego pomieszczenia. Joanna patrzyła z niepokojem na drzwi, za którymi zniknęli. Za wszelką cenę zachować spokój – to jedno zdanie, niczym mantrę, powtarzała w myślach.

Major wyjął papierosa i zapalił. Przysiadł na brzegu podłokietnika fotela i zapytał ostro:

– Czy wie pani, co kombinuje narzeczony?

– Panie majorze, John nie mówi mi nic na temat swoich służbowych planów. Często odwołuje spotkania lub je przesuwa – usprawiedliwiała się. Chciała uniknąć za wszelką cenę dalszych pytań.

– Czy nie wyczuwa pani, że pracuje nad czymś ważnym? – kontynuował major.

– Nie, nic mi nie powiedział. Jest ostatnio bardzo zamyślony, ale nawet wczoraj próbowałam wyciągnąć z niego, czy coś go trapi. Zaprzeczył – znowu skłamała. Tę

sztukę miała opanowaną do perfekcji.

Major zamyślił się na chwilę. Wiedział, że Joanna kryje Johna i w czasie wyjazdu do Stanów, jeżeli zostanie przyciśnięta do muru, bez wahania i chętnie opowie Amerykanom o swojej zabawie w szpiega. A przy okazji wspomni o kontaktach. Major postanowił zagrać *va banque*.

– Nasz człowiek w ambasadzie USA twierdzi, że John McDowell ma informatora, który przeszedł na jego stronę. Osoba ta pracuje dla naszego kontrwywiadu – zablofował.

Po chwili ciszy Joanna zapytała wprost:

– Czy pan mnie podejrzewa?

Major zaciągnął się papierosem.

– Nie, ale nie chciałbym się mylić – stwierdził. – Kiedy pani wyjeżdża do Stanów?

– Termin wyjazdu przesunął się o dwa tygodnie z powodu wizyty jakiejś delegacji gospodarczo-kulturalnej z USA.

– Niech więc pani spróbuje przez najbliższy weekend dowiedzieć się, nad czym pracuje narzeczony. Spotkamy się tutaj w poniedziałek o siedemnastej, czy to jasne?

– Tak, panie majorze – odparła Joanna i ruszyła do wyjścia.

Z ulgą wyszła na klatkę schodową. Sięgnęła do lewej wewnętrznej kieszonki płaszcza, w której zwykle chowała apaszkę. Chustki jednak tam nie było. Ktoś przełożył ją do bocznej zewnętrznej kieszeni. Sama nigdy by jej tam nie włożyła. Kiedy znalazła się w domu, otworzyła torebkę. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Tyle tylko, że wszystkie cienie, tusze i pomadki były niechłujnie wrzucone do środka, a zazwyczaj znajdowały się w bocznej przegródce torebki.

Podejrzewają mnie – przemknęło jej przez głowę dość oczywiste rozwiązanie. Na chwilę schowała twarz w dłoniach. Wiedziała, co to znaczy. Wyciągnęła z jednej z szuflad paczkę papierosów, usiadła na kanapie i zapaliła. Od dwóch lat w sytuacjach stresowych w ten sposób samotnie starała się odreagować. Wiedziała, że sytuacja wymknęła się spod kontroli i z każdej ze stron można liczyć się z najgorszym.

Major Zinowiew jeszcze tego samego wieczora wyleciał do Moskwy. Musiał przedstawić swym przełożonym zaistniałe w Warszawie problemy i uzyskać aprobatę do dalszych działań. Zwlekanie w tej sytuacji nie wchodziło w rachubę.

## ROZDZIAŁ XXV

Karetki dojechały do kliniki Gemelli o świcie. Mała Maria dzielnie zniosła podróż. Przez cały czas czuwał nad nią doktor Kazanowski i jego włoscy koledzy. Siostra Faustyna, trzymając w ręku różaniec, siedziała na jednym z foteli przeznaczonych dla personelu medycznego tuż przy dziewczynce. Czuwała i modliła się jednocześnie. W drugiej karetce jechali rodzice dziecka i grupa ratowników medycznych, która gotowa była przystąpić do akcji ratunkowej w razie nieprzewidzianych komplikacji. Konwój po przekroczeniu granicy włoskiej został poprowadzony przez dwa motocykle karabinierów, co umożliwiło szybkie dotarcie na miejsce. W tym wypadku czas był na wagę złota, na wagę życia.

Kiedy bladziutka i osłabiona Maria znalazła się już w klinice, szybko umieszczono ją na oddziale intensywnej terapii.

Profesor Farelli dopiero po sprawdzeniu stanu dziecka i zleceniu szeregu wstępnych badań wyszedł na powitanie lekarzy, którzy przyjechali z małą pacjentką.

– Witam, panie profesorze – rzekł, wyciągając dłoń do Kazanowskiego.

– Witam, profesorze. Czy możemy rozmawiać po angielsku?

– Oczywiście. To dla mnie zaszczyt poznać pana – podkreślił Farelli.

Po powitaniu swoich włoskich kolegów z konwoju Pietro zadał szereg pytań o przebieg podróży. Zdawał sobie sprawę, że musi działać szybko.

– Czy jesteście w stanie po podróży odbyć konsylium? – zapytał. – Chciałbym tak szybko, jak to tylko możliwe, zrobić wszystkie badania i przystąpić do operacji.

– Oczywiście – zapewnił Kazanowski. – Obym tylko dostał kubek waszej wspaniałej kawy.

– Naturalnie, zaraz poproszę, aby panu i moim kolegom podano posiłek w naszej stołówce szpitalnej, a kawa będzie czekać na pana doktora w moim gabinecie, gdzie zaraz się spotkamy. – Farelli wskazał drogę.

Rodziców małej Marii również zaproszono na stołówkę. Czuli się tu zagubieni. Tuż po przyjeździe wokół ich dziecka krzątali się lekarze, z którymi nie mogli nawet swobodnie porozmawiać bez pośrednictwa siostry Faustyny. To ona, po krótkiej rozmowie z pielęgniarką, poprosiła, by usiedli w stołówce. Obok stolika położyli bagaże. Ktoś przyniósł im kawę i gorący posiłek, ale oboje nie mogli nic przełknąć.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Przenajświętsza Pani – usłyszeli nagle czystą polszczyznę. Zerwali się z krzesel. Przed nimi stanął ksiądz Michał.

– Skąd się tutaj ksiądz znalazł? – spytała zaskoczona Zuzanna.

– Przyjechałem, drogie dzieci, aby was wesprzeć i zająć się wami. Wiem, że czeka

was ciężki dzień, a raczej kilka dni, ale może dobry Bóg wysłucha naszych modlitw i za wstawiennictwem Najświętszej Marii Panny mała Maria będzie zdrowa.

Ojcowskim gestem ksiądz przytulił oboje zmęczonych i zagubionych rodziców.

– Czy ksiądz rozmawiał z tatą? – zapytała Zuzanna.

– Tak, poprosił, abym się tutaj wami zajął. Na pewno chcecie zobaczyć małą, więc chodźcie ze mną i przez szybę będziecie mogli na nią popatrzeć. Zrobiłem już tu rozeznanie i na czas pobytu zamieszkamy w Watykanie u polskich sióstr opiekujących się naszym ojcem świętym. Jedną z nich jest poznana już przez was siostra Faustyna.

Szli przez ciąg korytarzy, aż dotarli do oddziału intensywnej terapii. Zuzanna niemal przytuliła się do szyby oddzielającej ją od sali dla najmłodszych pacjentów w ciężkim stanie. Po chwili rozpoznała leżącą w inkubatorze swoją małą Marię.

## ROZDZIAŁ XXVI

Po dwóch godzinach Piotr dotarł do Anina. Wjechał dostawczym mercedesem na podwórko i zamknął bramę. Otworzył samochód i przebrał trupa Mariana w swoje rzeczy. Gdy zdejmował wygodną i elegancką skórzaną kurtkę, zawahał się na chwilę. Trudno było mu się z nią rozstać. Kupiła mu ją Irena na urodziny jakieś pięć lat temu. To jednak nie był czas na sentymenty. Z garażu wyniósł kanistry z klejem i benzyną oraz cztery butle gazowe. Wiedział, że potężny pożar zatrze ślady, a dokładne badania i ekspertyzy mogą zająć kilka tygodni. Jemu wystarczy raptem jeden dzień, aby opuścić kraj. Gdy skończył przygotowania, umył się, zjadł w kuchni kanapkę z jakąś mielonką i wyjechał citroenem należącym do matki zięcia, po czym zamknął bramę. Na siedzenie obok rzucił torbę, w której leżało pięć tysięcy dolarów. Banknotów było sporo, w nominałach pięćdziesięciodolarowych. Przeliczanie tej okazałej sterty zajęło sporo czasu. Do niewielkiej, podręcznej torby wrzucił jeszcze pistolet należący do syna Badylarza.

Podjechał na najbliższą stację benzynową, założył rękawiczki i odszukał automat telefoniczny. Wykręcił numer Kulawego Marcetka. Ten odebrał bardzo szybko, jakby ślęczał przy aparacie.

– Cześć, możesz rozmawiać? – upewnił się Piotr.

– Jasne! Jak poszło? – dopytywał Marcetek podnieconym głosem.

– OK. Za godzinę masz swoją działkę, tylko nic nie mów tej swojej lafiryndzie, bo ona i sąsiedzi zaszlachtują cię od ręki.

– Tak jak pan kazał – zapewnił skwapliwie Marcetek. – Zamierzam wynieść się stąd na Wybrzeże. Mam na oku razem z kuzynem pewien interes w Gdańsku.

– To dobrze, zasługujesz na coś lepszego niż wylewanie gnojówki u Badylarza. Będę pod twoim blokiem za godzinę. Jestem czerwonym citroenem. Tylko czekaj na mnie, bo bardzo zależy mi na czasie.

Piotr odłożył słuchawkę i poszperał w kieszeni. Znalazł kartkę z numerem telefonu do domu Badylarza. Obwinał chustką mikrofon słuchawki, a do ust włożył parę gum do żucia. Wykręcił numer i po chwili usłyszał w słuchawce męski głos. Telefon odebrał szwagier Badylarza, który od godzin popołudniowych przebywał u siostry wraz z rodziną.

– Dzień dobry, jest pani Helena? – spytał Piotr.

– Jest, a kto mówi? – zapytał mężczyzna.

– Dawaj ją, chuju, bo jak nie, to nie zobaczysz więcej Mariana.

Szwagier natychmiast pobiegł do sąsiedniego pokoju, gdzie Helena



przesłuchiwana była przez dwóch funkcjonariuszy policji.

– Heła, porwali Mariana, chcą gadać tylko z tobą – rzucił przerażony.

Kobieta zbladła i złapała się kurczowo oparcia fotela, na którym siedziała. Jeden z przesłuchujących położył dłoń na jej ramieniu, by ją nieco uspokoić.

– Niech pani na wszystko się zgadza i przedłuża rozmowę – polecił. – Spróbujemy namierzyć numer. A pan – zwrócił się do szwagra – niech powie, że już idzie, tylko musi wyjść z ubikacji.

Przerażony mężczyzna przytaknął tylko i ruszył do telefonu. Podniósł odłożoną słuchawkę i drżącym głosem poinformował:

– Już wyłazi z kibla.

Po chwili zapłakana Helena wzięła słuchawkę.

– Słucham, z kim mówię? – zapytała.

– Macie trzy dni na uzbieranie miliona zielonych! Jeśli tego nie zrobicie, to wyślemy wam Mariana w kawałkach – rzucił ostro Piotr. – Za trzy dni zadzwonię i powiem, gdzie macie przekazać okup. Inaczej możecie się pożegnać z Marianem. Tylko nie powiadamiacie policji.

Nie czekał na odpowiedź, odłożył słuchawkę. Wrócił do samochodu i przełożył pistolet do mniejszej torby.

\*\*\*

Gdy Piotr podjechał pod blok Marczecka, ten już czekał na niego.

– Wsiadaj, pojedziemy w ustronne miejsce przeliczyć kasę – uchylił wieko torby, by pokazać plik dolarów.

Marczkowi zaświeciły się ślepia. Praktycznie bez pracy zarobił pięć tysięcy dolarów, no i jeszcze od Badylarza miał dostać dwa tysiące.

– Wszystko poszło zgodnie z planem? – dopytywał.

– Prawie – odparł Piotr. – Badylarz koniecznie chciał wiedzieć, kto jeszcze za tym stoi, ale wyperswadowaliśmy mu to. Nikt nie może wiedzieć o tej transakcji. Rozumiesz?

– Tak – zapewnił Kulawy Marczek.

– Masz w ramach premii butelkę. Uczcij robotę – rzucił Piotr, podając mu półlitrowkę wyborowej.

Ruszyli. Po jakimś czasie dotarli do mało uczęszczanego leśnego parkingu, który od ruchliwej drogi oddzielony był kilkoma rzędami świerków. Piotr zaparkował i podał Marczkowi paczkę pieniędzy.

– Przelicz, a ja się odleję – powiedział. Wysiadł z samochodu, zabierając ze sobą jedynie podręczną torbę.

Wrócił dość szybko i stanął przed wozem. Czekał, aż Marczek skończy liczyć pieniądze i wyjdzie z auta. W torbie spokojnie leżał odbezpieczony i załadowany pistolet. Marczek przeliczył pieniądze, schował je do bocznej kieszeni kurtki, chwycił butelkę wódki i wysiadł z samochodu.

– To co, generale, po małym? – zaproponował radośnie i wyciągnął butelkę w stronę Piotra.

– Dzięki. Pociągnij za siebie i za mnie. Mam jeszcze dzisiaj trochę do zrobienia i przejechania – odmówił chłodnym tonem Piotr.

– To za pana zdrowie – rzucił Mareczek i przechylił butelkę, pociągając z gwinta, po czym skrzywił się, otarł usta i mruknął: – Dobra woda...

– No to na drugą nogę, bo nie lubię, jak ktoś pije w samochodzie – zachęcił Piotr i zlustrował okolicę. Gdy upewnił się, że nikt ich nie obserwuje, odwrócił się do Mareczka, który oparty plecami o drzwi samochodu kończył właśnie drugą kolejkę, i poczęstował go papierosem. Mareczek chętnie zapalił i zaciągnął się dymem.

– Teraz ja odcedzę kartofelki – poinformował lekko podchmielonym głosem i ruszył między drzewa.

Piotr odczekał, aż odejdzie na odległość trzech metrów, wyjął pistolet, wycelował i strzelił mu w plecy. Kulawy Mareczek zwałił się na ziemię. Piotr wyciągnął z podręcznej torby rękawiczki, podszedł do jeszcze dyszącego resztką sił nieszczęśnika i odwrócił go. Wyciągnął z poły kurtki Mareczka plik dolarów, z jego ręki wyjął kurczowo utrzymaną butelkę i rozlał jej zawartość obok. Butelkę i pieniądze schował do reklamówki, a ciało przeciągnął w głąb lasu. Raz jeszcze wycelował, tym razem w serce, i strzelił. Wrócił do auta, odpalił silnik i upewniwszy się jeszcze raz, że nikogo nie ma w pobliżu, odjechał w stronę Anina.

Po dwóch godzinach był w willi należącej do matki zięcia. Wstawił samochód do garażu i wytarł dokładnie miejsca, których mógł dotykać Kulawy Mareczek. Na zwłoki Badylarza w mercedesie załadował kupione parę dni wcześniej worki z ziemniakami i białą kapustą. Kabina oddzielona była płytą, a wory wydzielaly intensywną woń maskującą zapach zwłok. We wrześniu nikogo nie mogła zdziwić paka pełna kapusty i ziemniaków. Piotr założył rękawiczki i uzupełnił magazynek colta. Broń syna Badylarza mogła się jeszcze przydać do zacierania śladów. Postanowił, że wyruszy w drogę, kiedy się ściemni. Miał przed sobą trzy, może cztery godziny jazdy i chciał się jeszcze trochę przespać. Wiedział, że nazajutrz czeka go najważniejsza w życiu akcja, w jakiej brał udział, i od jej powodzenia zależy życie nie tylko jego, ale też jego bliskich.

## ROZDZIAŁ XXVII

Komisarz Adam Wolf był trzydziestotrzyletnim oficerem śledczym Komendy Stołecznej Policji w Warszawie. Chudego Wilka, jak nazywali go koledzy i koleżanki z pracy ze względu na nazwisko i wzrost, cechowała niezwykła umiejętność dedukcji. Miejsce zbrodni było dla niego niczym otwarta księga, wystarczyło jedynie powiązać fakty i sformułować wnioski, które zwykle okazywały się trafne. Każdą z dotychczas prowadzonych spraw rozwiązywał. Niekiedy śledztwa kończyły się aresztowaniem, czasem odnalezieniem cennych poszlak i śladów pozwalających na późniejsze wykrycia sprawców. Dzięki swoim talentom i wrodzonej inteligencji w krótkim czasie stał się jednym z najlepszych oficerów Komendy Stołecznej. Przełożeni wróżyli mu szybką karierę i powtarzali, że to gliniarz z krwi i kości. Adam twierdził, że to geny po wujku – przedwojennym policjancie, który został zamordowany przez Rosjan w 1940 roku. Po ojcu – byłym żołnierzu Armii Krajowej, powstańcu warszawskim i członku organizacji podziemnych po wojnie, który z wyrokiem kary śmierci spędził siedem lat w więzieniach stalinowskich, odziedziczył zaś umiejętności strzeleckie.

Adam kończył właśnie obiad u mamy. Pół roku temu rozstał się ze swoją wieloletnią dziewczyną – Renatą, a nie miał ni krztyny zapału do gotowania, skazany był więc na posiłki w miejskich barach lub obiady u mamusi. Dojazd do Wilanowa, do rodzinnej willi wybudowanej przez ojca w latach siedemdziesiątych, zajmował jednak około godziny, więc zaglądał tu tylko w dni wolne od służby. Dzisiaj był już po nocce, a pojawić się w pracy musiał dopiero następnego dnia o ósmej. Gdy usłyszał telefon, przez myśl mu przemknęło, że to może do niego. Nie byłby zadowolony. Chciał spokojnie posiedzieć przy matce i pogadać o codziennych problemach, choć wiedział, że nie obejdzie się bez kluczowego tematu, czyli kobiet, a raczej braku tychże w życiu Adama. Renata bardzo przypadła mamie do gustu, ale odeszła, jak zresztą kilka jego partnerek przed nią. Nie wytrzymały wezwań w środku nocy, jego milczenia i ucieczek we własny, im niedostępny świat, gdy rozwiązywał kolejną sprawę, ciągłego poczucia niepewności i lęku. Szybko odkrywały, że to praca jest sensem jego życia, one były jedynie dodatkiem, kucharkami, kochankami i niekiedy kimś, z kim rozmawiał o nieistotnych sprawach. Żył w rytmie ujawnianych zbrodni, od jednego śledztwa do drugiego, i nie miał pewności, czy kiedyś uda mu się to zmienić dla ukochanej kobiety.

Matka spojrzała na niego wymownie, trzymając w dłoni słuchawkę.

– Dajcie mu choć zjeść obiad w spokoju – powiedziała rozżalona i wyciągnęła rękę ze słuchawką w stronę syna. – Adasiu, to do ciebie... jakaś twoja koleżanka z pracy.

Wilk przejął słuchawkę.

– Będę w Piasecznie za czterdzieści minut – rzucił po wysłuchaniu wieści. Zerknął na zasmuconą mamę i szybko dodał ze śmiechem: – Tylko dokończę ciasto mamy, bo się obrazi i wtedy ty będziesz musiała mi gotować.

– Czy oni nie dadzą ci spokoju? – zagadnęła mama, gdy już odłożył słuchawkę. – Jaka normalna kobieta chciałaby związać się z mężczyzną, który na okrągło musi być w pracy.

– A co to za normalna kobieta związała się z facetem, który jeszcze w latach siedemdziesiątych przechowywał w domu cały arsenał? – uszczypliwie odpowiedział Adam.

– Wiesz, że twój ojciec kochał ojczyznę i był gotów dla niej umrzeć. Choć to były inne czasy. Ty tego nie zrozumiesz.

Adam zauważył w jej oczach łzy. Podszedł i przytulił mamę czule. Przeklął w duchu. Nie powinien dotykać starych ran. Wiedział przecież, jak bolesne to dla niej wspomnienia. Ucałował matkę w policzek.

– Jadę obejrzeć bajzel w Piasecznie – powiedział spokojnie, zakładając kaburę z pistoletem i kurtkę. – Jak skończę, będę wieczorem. Kocham cię, mammo.

Pół godziny później zaparkował przed willą otoczoną kordonem policji i straży pożarnej. Wokół czuć było jeszcze swąd spalenizny. W tłumie wokół domu zauważył rozmawiającego z jakimś strażakiem swego szefa, nadkomisarza Bukalskiego.

– Co się stało? – spytał Adam, podchodząc do tej dwójki.

– Niezły bajzel – nadkomisarz machnął ręką, odsyłając strażaka do jego ludzi, i wskazał na budynek. – To biuro Mariana Badylarza i jego syna Sebastiana. W środku trup młodego Badylarza i ich ochroniarza Silnego Staśka. Przed posesją w golfie dwa trupy, a dziesięć minut jazdy stąd mercedes Badylarza. Spalony, ale bez trupa w środku i ze śladami krwi kogoś mocno krwawiącego, a wyciąganego z samochodu.

– W domu jakieś ślady? – dopytywał Adam.

– Straż zalała wszystko i zdeptała. Każdy chętnie tu wlaził w nadziei, że coś stąd zwinie. O tej willi i interesach tu zawieranych w całej okolicy krążyły legendy.

– A miejscowi coś wiedzą?

– Miejscowy komendant, Czesiu Gałązka, je Badylarzowi z ręki. Razem chłają na umór, więc udaje, że nic nie wie.

– Porachunki między mafiosami?

– Też mi się tak wydaje. Ponad rok temu Badylarz przetrzepał skórę Chytremu Wiesławowi, więc ten może dozbroił się i wziął odwet.

– Co proponujesz? – spytał Adam, przyglądając się pobojowisku.

– Jedziemy przesłuchać żonę Badylarza. Może znajdziemy Mariana pod pierzyną albo schowanego w szklarni pod gnojem – zażartował nadkomisarz.

– Ona coś wie o synu?

– Przed chwilą się dowiedziała. Ma nadzieję, że to nie pierworodny.

– Biedna kobieta. Każdy ma nadzieję, że to nie jego bliscy – rzucił Adam. – Kiedy

ekipa zabezpieczy ślady?

– Tam jest taki bajzel, że możesz wejść. I tak nie wniesie to nic do sprawy – stwierdził Bukalski, doskonale wiedząc, co chodzi po głowie jego podwładnemu. – Rzuć okiem i jedziemy do żony Mariana.

Adam wszedł do spalonego budynku. Zniszczenia były naprawdę spore. Całą drewnianą boazerię musiały w jednym momencie objąć płomienie. Teraz drewno było czarne, a ściany wszędzie okopcone. Na podłodze było około pięciu centymetrów wody. Adam wszedł dalej i brnąc w wodzie, przeszedł do pomieszczenia, które dawniej było kuchnią połączoną z pokojem gościnnym. Na podłodze znajdowały się zwęglone zwłoki dwóch ludzi. Technicy robili zdjęcia, a patolog oglądał dokładnie ciała.

– I co, jakieś wnioski? – spytał ich Adam.

– To robota zawodowca – odparł technik. – Ten tu – wskazał na spalone zwłoki – to ochroniarz o ksywie Silny Stasiek. Zginął najprawdopodobniej od strzału w głowę. A ten drugi to według strażaków syn Badylarza, Sebastian. Rozpoznali go po grubym złotym łańcuchu z krzyżem. Ale muszą to potwierdzić dokładne badania.

Adam przyglądał się uważnie zwłokom młodego Badylarza.

– Dostał strzał prosto między oczy? – chciał się upewnić.

– Tak, ale ktoś postrzelił go jeszcze w kolano i majstrował przy jego prawej nodze. I przy zębach – patolog wskazał na otwarte usta i dziwne rany, które raczej nie miały wiele wspólnego z pożarem.

– Co to może być? – spytał Adam, przyglądając się uważnie zwłokom.

– Coś ostrego, wygląda na pilnik, a może wiertło. Sam jeszcze nie wiem – odpowiedział technik i dodał: – Chodź na górę, coś ci pokażę...

Kiedy weszli na piętro i przeszli przez boczne drzwi, znaleźli się na strychu. Nie było tam żadnych drewnianych sprzętów, dlatego pomieszczenie było tylko okopcone i zalane wodą.

– Zwróć uwagę na krew na ścianie, tutaj przy drabinie prowadzącej na dach – technik wskazał odpowiednie miejsce. – Jeżeli była też na podłodze, to woda ją rozmyła.

Adam przyjrzał się ścianie.

– Weź próbki – poprosił. – Może to krew któregoś z tych na dole albo Badylarza.

– Już to zrobiłem – poinformował technik. Gdy schodzili na dół, kontynuował: – Przed bramą było dwóch gości, ale szef, ze względu na gapiów, kazał ich obfotografować i zabrać w pierwszej kolejności. To wyglądało jak egzekucja. Musieli znać egzekutora albo dać mu się podejść.

– Kiedy będziesz miał zdjęcia? – spytał Adam.

– Jutro rano. Na dziesiątą wszystko będzie gotowe.

Adam wyszedł z budynku i ruszył w kierunku Bukalskiego, który stał przy samochodzie Wilka.

– Faktycznie niezły bajzel. Co o tym sądzisz?

– Widziałeś sejf? – spytał nadkomisarz.

– Nie, technik mi tego nie pokazał.

– Bo był pusty i może według niego to mało istotne, ale jak dla mnie to ktoś obrobił Badylarza.

– Albo wyrównał z nim rachunki – stwierdził Adam, wsiadając do auta.

Po około piętnastu minutach znaleźli się pod domem Badylarza. Helenę, małżonkę Mariana, zastali w pokoju gościnnym, otoczoną przez najbliższą, mieszkającą po sąsiedzku rodzinę. Wszyscy wiedzieli już o tym, że jedno ze spalonych ciał to Sebastian. Kobieta miała opuchniętą od płaczu twarz i załzawione oczy. Gdy zobaczyła policjantów, wstała i niemal rzuciła się na nich.

– Znaleźliście Mariana czy przyjechaliście powiedzieć, że on też nie żyje?! – krzyczała rozpaczliwie. – Marian prawdę mówił. Człowiek sam się musi bronić. Wy jesteście gównem warci!

– Spokój! – wrzasnął Adam, by szybko przejąć kontrolę nad sytuacją. – Albo się zaraz zamkniesz i będziesz współpracować, albo cię skuję i wylądujesz u nas w komendzie, a twój mąż skończy jak twój syn. Musimy poważnie porozmawiać. Cała reszta wypierdalać z pokoju!

Kobieta opadła bezsilnie na fotel, a pokój szybko opustoszał.

Gdy zostali sami z żoną Badylarza, Bukalski oznajmił:

– Szczera rozmowa albo rozbiórę ten dom po kawałku. Nie masz przed sobą miejscowego szeryfa, Czesia, z którym twój stary chla wódę i któremu odpala działkę za nietykalność i informacje. Albo nam pomożesz, albo twój stary zostanie jutro odnaleziony gdzieś w Kampinosie. Załatwiał pozwolenie na przeszukanie – rzucił jeszcze w stronę Adama.

– Panowie, poczekajcie, porozmawiajmy – niemal załkała Helena. Rewizja była już ponad jej siły.

– Proszę więc z nami współpracować, pani Heleno. Tylko bez ściemy, chyba że chce pani pochować i syna, i męża.

W pokoju zapanowała cisza. Adam wziął krzeselko, odwrócił je oparciem do przodu i usiadł naprzeciwko kobiety. Ta otarła oczy chusteczką, wzięła głęboki oddech, przyjrzała się raz jeszcze policjantom i zaczęła opowiadać:

– To wszystko przez te cholerne kamienie – mówiąc to, wskazała na popielniczkę leżącą na stole.

Adam podniósł się z krzesła i ruszył do stolika. W popielniczce, jakby nigdy nic, leżał brylant wielkości małej fasolki.

– Skąd pani to ma? – spytał Adam, przyglądając się niepozornemu, a jakże cennemu znalezisku. Badylarz musiał czuć się cholernie pewnie, jeśli coś takiego trzymał na widoku.

– Marian miał dzisiaj przeprowadzić transakcję z jakimś wysoko postawionym byłym esbekiem. Miał kupić diamenty za pięćset tysięcy dolarów.

– Za ile? Nie pomyliła się pani? – Adam spojrzał wymownie na nadkomisarza.

– Za pięćset tysięcy dolarów – potwierdziła żona Badylarza.

– A więc ktoś, kto nagrał transakcję albo o niej wiedział, postanowił obrabować

pani męża i zabił pani syna – wyjaśnił Bukalski.

Helena zaczęła ponownie szlochać.

– Weźmiemy to cacko do ekspertyzy – poinformował ją Adam, siadając znowu na krześle. – Musi nam pani pomóc, bo teraz najważniejszy jest czas. Sąsiedzi mówią, że nic nie widzieli... Albo kłamią, albo się boją, rozumie pani? Niech nam pani opowie wszystko o tej transakcji.

Żona Badylarza otarła raz jeszcze twarz chustką i zamyśliła się. Nie wiedziała, co może powiedzieć, a czego nie. Nie chciała narazić się Marianowi, który wiecznie ją przestrzegał przed nadmiernym gadulstwem. Zawsze powtarzał starą maksymę recydywistów: „Usta należy otwierać tylko przy jedzeniu”. Teraz jednak jej ukochany syn nie żył, a los męża był nieznanym.

– Może pani podejrzewa, kto mógł to zrobić? – spytał już łagodniej nadkomisarz.

– Jediną osobą, jaka przychodzi mi na myśl, jest ten Chytry Wiesiek – wyszczała Helena.

– A kto nagrał transakcję? – spytał Adam.

Kobieta chwilę się zastanowiła i odpowiedziała:

– Nasz pracownik, Kulawy Mareczek. To do niego zgłosił się jakiś gość. Mówił o nim „generał”. Czekajcie... – Kobieta zmarszczyła brwi, jakby chciała usilnie coś sobie przypomnieć. Po chwili wskazała w stronę mebli. – Tam, w szufladzie, są zdjęcia zrobione w knajpie przez naszych chłopaków.

Wstała i wyciągnęła z kredensu kopertę ze zdjęciami. Podała je Adamowi.

– Kto to jest – spytał Wolf, rzuciwszy okiem na fotografie. – Tych dwóch gości...

– Ten to Kulawy Mareczek – oznajmiła Helena, wskazując jedną z postaci. – A ten łysy to ten „generał”.

Miał już zadać następną serię pytań, gdy Bukalski, trzymając w ręku zdjęcia, złapał go za łokieć i pokręcił przecząco głową. Adam doskonale zrozumiał, o co chodzi koledze.

– Adres Mareczka – powiedział jedynie nadkomisarz.

– Zygmunt! – zawołała Helena, podchodząc do drzwi salonu. W drzwiach stanął jej brat. – Znasz adres Kulawego?

– Wiem, gdzie mieszka u konkubiny, mogę zaprowadzić.

– Pojedzie pan z nami, a potem radiowóz pana odwiezie – stwierdził Bukalski.

Mieli już wychodzić, gdy odezwał się telefon w sąsiednim pokoju. Brat Heleny podszedł do aparatu i po chwili trzęsącym się głosem oznajmił:

– Heła, porwali Mariana, chcą gadać tylko z tobą.

– Niech pani na wszystko się zgadza i przedłuża rozmowę – polecił nadkomisarz, kładąc jej dłoń na ramieniu, by ją uspokoić. – Spróbujemy namierzyć numer. A pan – zwrócił się do szwagra – niech powie, że już idzie, tylko musi wyjść z ubikacji.

Szwagier pospiesznie wykonał polecenie, a po chwili przerażona Helena sama chwyciła za telefon.

– Słucham, z kim mówię? – spytała. Rozmowa trwała z pół minuty, zbyt krótko, by mogli przygotować sprzęt i namierzyć rozmówcę. Na twarzy Heleny pojawiła się

jednak nadzieja.

– Marian żyje – oznajmiła rozpromieniona. – Jest lekko ranny, ale żyje. Chcą za niego milion dolarów... – Urwała w połowie zdania, rozglądając się niepewnie. Po chwili dopiero dodała: – Mam z wami nie gadać...

– Oni wyciągną od pani tę kasę, a męża i tak może pani już nie zobaczyć – rzucił Adam.

– Nie gadam z wami – stwierdziła nagle Helena. – Róbcie, co chcecie, ale z wami nie gadam.

Adam spojrział pytająco na brata Heleny, ale ten szybko się zreflektował i stwierdził:

– Zapomniałem, gdzie mieszka Mareczek.

– Jesteś takim samym jełopem jak twoja siostra. Albo pokażesz nam, gdzie ten cwaniak mieszka, albo trafisz do pierdła na trzy miesiące, jasne? – Adam chwycił mężczyznę za kark i popchnął go do wyjścia.

Pół godziny później stali pod klatką schodową bloku, w którym mieszkał Mareczek.

– Drugie piętro, środkowe drzwi – wyrecytował ponuro brat Heleny.

– Jeżeli nas okłamałeś, to pakuj szczoteczkę do zębów, bo najbliższe trzy miesiące spędzisz w pierdłu – ostrzegł nadkomisarz i obaj policjanci ruszyli na górę.

Gdy zostali sami, Adam zapytał wprost:

– Dlaczego ostrzegałeś mnie, żebym nie zadawał Badylarzowej więcej pytań?

– Bo ten drugi łysy gość to były generał WSW. Nazywa się Malczewski i ponoć zajmował się wywiadem gospodarczym – wyjaśnił Bukalski.

– Czyli jest prawdopodobne, że pan generał chciał upłynnić lewy towar – dedukował Adam.

– Jutro rano odwiedzimy go w jego nowej firmie ochroniarskiej, agencji „Cobra”.

Po chwili pukali do mieszkania na drugim piętrze. Drzwi otworzyła niechlujnie ubrana kobieta o czerwonej twarzy i przetłuszczonych włosach. Na oko wyglądała na około czterdzieści lat.

– Policja – poinformował Adam i wszedł do przedpokoju.

– Macie nakaz? – warknęła kobieta.

– Poszukujemy Kulawego Mareczka. Jest duże prawdopodobieństwo, że ktoś postanowił go skremować bez jego zgody – oznajmił chłodno Bukalski.

Kobiecie przez chwilę brakło tchu.

– Jak to skremować? Że co? – wycedziła.

– Znaleźliśmy zwłoki. Spalone zwłoki. Część świadków twierdzi, że to pani konkubent, Kulawy Mareczek – oznajmił Adam beznamiętnym, wręcz urzędowym tonem.

– Ale on dwie godziny temu wyszedł z domu – wyjaśniła gorączkowo kobieta.

– A z kim wyszedł? – dopytywał nadkomisarz.

– Z takim jakimś ważniakiem, generałem czy takim jakimś.



– A zna pani tego generała?  
– Raz tu był, ale to taki cham, waśniak – skrzywiła się kobieta.  
– To ten mężczyzna? – Adam pokazał fotografię Marczyka z łysym jegomościem.  
– Nie, nie! Tamten miał takie krótkie, czarno-siwe włosy. Na pewno miał włosy, to nie ten – pokręciła przecząco głową.  
– Czy wie pani, co Marczyk miał zrobić z tym mężczyzną? – spytał Adam.  
– Od rana nerwowo czekał na telefon od niego. Miał dostać działkę za coś tam. Marczyk nie chciał mi powiedzieć za co – postanowiła uprzedzić dalsze pytania. – Mówił tylko, że po tym będzie mógł sam otworzyć biznes.  
– Czy od rana opuszczał mieszkanie? Dzwonił gdzieś? – dopytywał nadkomisarz.  
– Nie, nigdzie nie wychodził i nie pamiętam, aby dzwonił – odpowiedziała.  
Adam obserwował ją uważnie. Nie sądził, by kłamała.  
– Niech się pani ubiera, jedziemy do komendy stołecznej spisać zeznanie – polecił nadkomisarz. – Następnie okazemy zwłoki.

Kobieta zbladła, poszła do pokoju i zaczęła się w pośpiechu ubierać.

– Wezwij dwa radiowozy – wydał następne polecenie Adamowi Bukalski. – Jeden z nią do komendy i niech Andrzej, ten twój partner, ją przesłucha. Wyjaśnij mu przez telefon, o co chodzi. Drugi, nieoznakowany radiowóz, niech czeka tu na Marczyka. Jak się pojawi, to niech go zwiłają. My wracamy do biura Mariana. Może miejscowi coś wyniuchali.

Gdy dotarli do spalonej willi Badylarza, nikogo już nie zastali. Miejscowi policjanci byli już w tamtejszej komendzie. Kiedy z kolei tam dojechali, spotkali podenerwowanego komendanta Czesia Gałązkę.

– Coś mamy! – krzyknął nieco wystraszonym głosem, gdy ich zobaczył w korytarzu.

– Co macie, komendancie? – spytał uprzejmie Bukalski.

– Kominiarza – oznajmił Gałązka.

– Kominiarza? – Nadkomisarz był wyraźnie zaskoczony. Rzucił rozbawionym tonem: – Fiku miku, fiku miku, znalazłem Mariana Badylarza w piecyku.

Czesio Gałązka stanął jak wryty, nie mając pojęcia, jak zareagować. Bukalski klepnął go po ramieniu i kazał zaprowadzić siebie i Adama do gabinetu.

– Słuchaj, Czesiu – powiedział z powagą, opierając się o biurko komendanta – całe miasto huczy, że jesteś na liście płac u Mariana, więc nie ściemniaj, bo jak się wkurwię, to jutro zostanie ci tylko emerytura i jedyne, co będziesz mógł dorobić u Mariana, to porozrzucić gnój w jego szklarniach.

– Ale my naprawdę mamy ślady kominiarza. – Czesiu zaczął się trząść niczym osika i wyrzucał z siebie słowa niczym mały cekaem. – Był w dwóch sąsiednich domach. Zbierał podpisy na jakiejś liście. Sprawdziliśmy w spółdzielni kominiarskiej i okazało się, że nie wysyłali tego dnia żadnego kominiarza.

– Po kolei – postanowił go nieco uspokoić Adam. Zaczął się obawiać, że starszy już Gałązka dostanie zaraz zawału.

– Sąsiedzi z dwóch domów obok zeznali, że między dziesiątą a jedenastą

odwiedził ich kominiarz. Zbierał podpisy i informował o kontroli, która będzie przeprowadzona w przyszłym tygodniu. Sęk w tym, że po willi należącej do Badylarza już nigdzie nie był – tłumaczył nieco wolniej komendant. – Prawdopodobnie miało to wyglądać na rutynową kontrolę dla ludzi Badylarza. Może by wziąć portrety rysunkowe i w Komendzie Stołecznej pokazać zdjęcia kryminalistów sąsiadom?

Ostatnie zdania Czesio wypowiedział tak niepewnym tonem, jakby ktoś miał go za chwilę pobić.

– Dobra myśl – pochwalił go jednak nadkomisarz. – Bierzcie konkubinę Mareczka. Niech nam opisz tajemniczego generała. Zróbcie portret pamięciowy. Niech sąsiedzi też opiszą kominiarza.

Bukalski wykręcił numer do Komendy Stołecznej z poleceniem natychmiastowego ściągnięcia rysownika i przesłuchania świadków.

Kiedy wyszli na zewnątrz budynku komendy w Piasecznie, Bukalski zapalił papierosa, częstując również Adama.

– Coś ci powiem – poinformował kolegę. – Ten dupek, Czesio, wiedział, że w willi dojdzie do transakcji. Dowiedziałem się od chłopaków, że na trzynastą kazał w pogotowiu czekać ośmiu ludziom. Obstawiamy dziś w nocy willę naszymi czterema ludźmi. Ktoś może chcieć sprawdzić, czy nie zostało tam jeszcze coś ciekawego.

– Szefie, nie wydaje ci się, że to może być powiązane ze starymi układami SB i WSW?

– Ależ na pewno, chłopie! Badylarz to tajny współpracownik SB. W zamian za dzielenie się kasą z lewych interesów z kolegami esbekami dorobił się majątku.

– Niezłe szambo – stwierdził Adam i zaciągnął się papierosem. – Myślisz, że będą nas blokować, jak przy księdzu Niedzielaku? – zapytał po chwili.

– Jeżeli w tej transakcji uczestniczył jakiś generał SB, to na pewno. Nikt za komuny nie mógł sam dysponować diamentami wartymi pół bańki dolarów. To musiała być grupa osób, dlatego zanim jutro udamy się do Malczewskiego, musimy mieć już podsłuch w biurze.

– Nie dostanie od kogoś z naszych cynku? – z powątpiewaniem w głosie spytał Adam.

– Jak znam życie, dostanie – odpowiedział nadkomisarz i pokiwał głową. – Kazałem wystąpić do prokuratury o zgodę na natychmiastowe założenie podsłuchu w willi Badylarza i u konkubiny Mareczka.

– Dobrze byłoby sprawdzić ten diament w rejestrze zaginionych kamieni szlachetnych w Interpolu – zaproponował Adam.

– Dobry pomysł – zgodził się nadkomisarz. – Ja spróbuję załatwić kilka zdjęć wysoko postawionych esbeków i jutro pokażę je tej pijaczce. Może któregoś z nich rozpozna. No chyba że do tego czasu wróci jej narzeczony.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Piotr wstał o piątej. Umył się, zjadł szybkie śniadanie, wypił dwie kawy i spakował torbę z rzeczami osobistymi. Wrzucił ją do mercedesa, na fotel obok kierowcy, pozamykał dokładnie willę i ruszył w drogę.

Trzy godziny później dojechał do celu. Dotarł nad jezioro. Samochód zostawił na parkingu, na którym, mimo iż był już wrzesień i deszczowa, pochmurna aura, stało kilkadziesiąt aut należących do żeglarzy i wędkarzy. Złapał podręczną torbę i szybkim krokiem przeszedł na parking strzeżony, gdzie czekało na niego audi. Miał do przejechania jeszcze jedynie kilometr.

W końcu dotarł do położonego wśród gęstego, mieszanego lasu domu letniskowego, który bardziej przypominał komfortową willę niż zwykłe drewniane chatki stawiane na podmiejskich lub letniskowych działkach. Posesję otoczono solidnym ogrodzeniem z bramą. Dom powstał w 1988 roku za pieniądze MSW, a akt własności należał do Remigiusza Wątroby, byłego oficera IV wydziału SB. Miejsce miało w istocie charakter operacyjny, a specjalna ekipa MSW ze szczególną troską przygotowała piwnice domu. W magazynie przechowywano tu dokumenty oraz mikrofilmy z aktami najbardziej tajnych akcji, o których nowa władza nie mogła się dowiedzieć. Do piwnicy prowadziło tylko jedno wejście, specjalny właz ukryty w głębi domu. Aby go podnieść, należało jednocześnie dwoma kluczami otworzyć zamki. Jeżeli jakiś niepożądany gość lub złodziej chciałby się dostać do kłapy bez owych tajemniczych kluczy, czekała go nieprzyjemna niespodzianka w postaci pewnej śmierci. Kłapa była tak skonstruowana, że próba jej otwarcia poprzez wyważenie lub majstrowanie przy zamkach powodowała uwolnienie z zamontowanego pojemnika gazu, który mógł spokojnie wytruć wszystkich znajdujących się w budynku, działając przez około pół godziny. Otwierając zamki oryginalnymi kluczami na wszelki wypadek należało mieć nałożoną maskę przeciwgazową. Sama piwnica posiadała niezależny system wentylacji i ogrzewania. Dokumentom należało zapewnić odpowiednie warunki.

Piotr znał doskonale zabezpieczenia tajnego magazynu, ponieważ sam brał udział w jego przygotowaniu i zapewnianiu go tajnymi dokumentami. Wiedział, że drugi taki magazyn znajduje się w Warszawie, lecz ze względów bezpieczeństwa nie znał jego dokładnego położenia. O jego umiejscowieniu wiedziało tylko wąskie grono wtajemniczonych.

Remigiusz Wątroba nieprzypadkowo został wybrany na strażnika największych tajemnic służb specjalnych PRL-u. Był ulubieńcem jednego z najważniejszych ówczesnych oficjeli – generała Kwaśniaka. Przypadł mu do gustu swym

bezgranicznym oddaniem. Jako karateka i bokser, posiadający odpowiednie warunki fizyczne, stał się od początku lat osiemdziesiątych człowiekiem od mokrej roboty.

Piotra oczywiście nie wtajemniczano w akta jego kolegów, ale nie uszedł jego uwagi błyskawiczny awans Remigiusza oraz samochodu, które jego kolega zmieniał niczym rękawiczki. Wątroba pochodził z rodziny o silnie ubeckich tradycjach. Jego ojciec był partyzantem w oddziale Moczara i kiedy w 1945 roku władza ludowa rozpoczęła rozprawę z podziemiem, tatuś Remigiusza awansował na szefa UB w Lublinie. Ponieważ poakowskie podziemie było bardzo silne, nie była to łatwa służba. Hieronim Wątroba kilkakrotnie otarł się o śmierć. Raz w zastawionej na niego zasadzce został ciężko ranny. Wykaraskał się jednak i z jeszcze większą zaciekłością, bez cienia litości, tropił, torturował i mordował żołnierzy wyklętych. Przez swoich podwładnych nazywany był „strażakiem”, gdyż uwielbiał podpalać swoim ofiarom włosy i przypiekać różne części ich ciał. Dzięki znajomości z Moczarem Hieronim Wątroba szybko awansował w ubeckiej hierarchii. Pomimo że słabo czytał i pisał, w 1950 roku został już majorem. Pewnego razu na integracyjnej potańcówce poznał oddziałową więzienia w Lublinie. Marianna była kobietą prostą, oddaną bezgranicznie nowej władzy. Na oddziale kobiecym znana była z sadyzmu okazywanego więźniarkom, a w sposób szczególnie znęcała się nad kobietami skazanymi za działalność niepodległościową.

Z tego wspaniałego związku narodził się w 1955 roku Remigiusz, który od początku skazany był na zostanie komunistą. Jego ojciec i matka w czasie częstych popijaw w domu przechwalali się przy kolegach z resortu swoimi wyczynami. Opowieści z libacji zawsze kończyły się licytacją, kto zabił więcej „zapłutych karłów reakcji” lub kto w bardziej spektakularny sposób wykończył wroga klasy robotniczo-chłopskiej. Sadyzm i okrucieństwo, które przewijały się w opowiadanych historyjkach, zamiast odrazy budziły w słuchaczach niemalże ekstazę.

Remigiusz od najmłodszych lat wychowywany był w duchu podziwu dla potęgi i wszechwładzy aparatu UB. Jego ojciec wpajał mu, iż tylko wierna służba da mu możliwość zrobienia kariery.

Młody Wątroba nie miał zbyt lotnego umysłu. Skończył podstawówkę, szkołę średnią i szkołę SB, męcząc się niemiłosiernie. Po namowach rodziców zaczął też studiować zaocznie historię. Jego prawdziwą pasją były za to sztuki walki. Gdy rodzina w związku z awansem ojca w latach sześćdziesiątych przeniosła się do Warszawy, Remigiusz zaczął uczęszczać na treningi bokserskie. Tam wypatrzył go jeden z trenerów młodzieżówki. Dostrzegł prawdziwy talent i zaprosił Wątrobę do grupy młodzieżowej. I niechybnie Remigiusz zrobiłby karierę w boksie, gdyby nie zawody w karate, na które wybrał się wraz z ojcem jako siedemnastoletni chłopak. Gdy doszedł do tego seans kultowego *Wejścia smoka*, nie było już odwrotu. Remigiusz marzył tylko o tym, by stać się drugim Bruce'em Lee. I tak z dobrze zapowiadającego się boksera wyrósł karateka. Treningom poświęcał masę czasu, dlatego na naukę już go nie starczało. Studia były tylko uciążliwym dodatkiem do obiecującej kariery. W karate dorobił się czarnego pasa i za każdym razem wracał z zawodów z pucharem. W czasie jednego z turniejów, w 1980 roku, w walce

finałowej po twardym i zaciętym pojedynku pokonał studenta KGB z ZSRR. Turniej ten odbywał się pod patronatem ministra MSWiA – generała Kwaśniaka, który osobiście wręczał medale i puchary. I tak Remigiusz poznał swojego późniejszego szefa, promotora i opiekuna. Generał pogratulował młodzieńcowi, a kiedy dowiedział się, że pochodzi z odpowiedniej rodziny, postanowił go ściągnąć pod swoje skrzydła do ministerstwa. Tak to Remigiusz w niespokojnym 1981 roku rozpoczął służbę w departamencie IV, który zajmował się sprawami Kościoła i opozycji. Wtedy nie wiedział jeszcze, że zwiąże się z resortem na śmierć i życie.

## ROZDZIAŁ XXIX

Profesor Farelli właśnie skończył przeglądać wyniki ostatnich badań małej Marii. W pokoju odpraw, przy sporym białym stole zasiadł cały zespół operacyjny wraz z profesorem Kazanowskim. Pietro był dumny ze swoich chirurgów. Udało się w klinice zgromadzić prawdziwych profesjonalistów, oddanych małym pacjentom.

– Drodzy koledzy – zwrócił się do zgromadzonych profesor, odrywając ich od uważnego studiowania teczek z dokumentacją choroby dziecka. – Zapoznałem się właśnie z wynikiem badań naszych polskich kolegów i powiem jedno: operacja jest nieodzowna i im prędzej ją przeprowadzimy, tym lepiej. Dziecko może umrzeć w każdej chwili. Już mamy sinicę obwodową, wzrasta niewydolność krążenia. Gdy dojdzie do zatoru skrzyżowanego, nie uratujemy pacjentki. Proponuję, abyśmy operowali dzisiaj, gdy tylko będziemy gotowi. Rozmawiałem z profesorem Kazanowskim i zgodził się asystować przy operacji oraz wspierać nas swoją wiedzą. Co o tym sądzicie?

Nikt nie oponował, wszyscy zgodzili się z profesorem i wyrazili gotowość przystąpienia do trudnego zabiegu. Szybko też ustalono szczegóły przygotowań do operacji.

– Cała nadzieja w naszych umiejętnościach i Bogu – stwierdził na koniec narady profesor. – Obiecałem ojcu świętemu, że go powiadomię, kiedy zaczynamy. Jestem pewien, że wesprze nas modlitwą. Powodzenia, panowie.

Pożegnał się z zespołem i poprosił jednego z asystentów, by mu towarzyszył. Po wyjściu spadł na Farellego grad pytań. Na korytarzu na decyzję zespołu lekarzy oczekiwali z niecierpliwością rodzice Marysi. Pary nie odstępował nawet na chwilę ksiądz Michał, który starał się uspokoić zdenerwowaną Zuzannę. Po krótkim wyjaśnieniu rodzicom dalszego toku leczenia profesor wskazał na asystenta.

– Doktor Calvali wyjaśni państwu szczegóły zabiegu – powiedział. – Ja do państwa dołączę za jakieś pół godziny i odpowiem na wszystkie pytania oraz wątpliwości. Czy zechce ksiądz udać się ze mną do gabinetu? – poprosił Farelli Michała. – Chciałem zadzwonić do ojca świętego i powiadomić go, że zaczynamy za trzy godziny.

Kiedy weszli do gabinetu i usiedli przy biurku, profesor zwrócił się do gościa:

- Poprosiłem księdza o rozmowę w cztery oczy, ponieważ mam pewną sprawę.
- Słucham, profesorze.
- Czy ksiądz należy do rodziny małej Marii?
- Tak, jestem bliską rodziną.

– Stan dziecka jest bardzo poważny. Musimy natychmiast operować. Ale nie ukrywam, że mała i jej serce mogą nie podołać. Dlatego proszę przygotować rodziców na najgorsze – poprosił profesor.

– Oni o tym wiedzą, profesorze – odparł stanowczo ksiądz Michał. – Dlatego będziemy się modlić w kaplicy kliniki o pomoc i łaskę Świętej Trójcy i Matki Bożej. Będę też prosił o pomoc ojca Pio i mojego tragicznie zmarłego rodaka, księdza Jerzego Popiełuszkę.

Profesor przyjrzał się księdzu uważnie i pokiwał w zadumie głową. Mimo tylu lat pracy i różnorodnych doświadczeń, nadal gdy rozmawiał z rodzicami czy pochylał się nad małym pacjentem, czuł ciężar dramatu, którym była choroba ukochanego dziecka. Sam mógł jedynie zrobić wszystko, co w jego mocy, by uratować małego pacjenta. Ksiądz Michał dawał tej młodej parze z Polski bezcenną nadzieję. W każdej sytuacji. On się nie podda, nawet jeśli umiejętności profesora i cała wiedza medyczna zawiodą, nawet jeśli dojdzie do najgorszego. Znajdzie tę odrobinę, iskrę, która pozwoli przetrwać. Tego Pietro był pewien.

Farelli otrząsnął się z chwilowej zadumy i wykręcił numer bezpośredni do gabinetów papieskich, po czym poprosił o rozmowę z ojcem świętym.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, szanowny panie profesorze – usłyszał po blisko minucie. – Jakże wieści?

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odpowiedział profesor. – Stan dziecka jest bardzo ciężki, wasza świątobliwość, dlatego już za około trzy godziny przystępujemy do operacji. Proszę ojca świętego o modlitwę i wsparcie.

– Natychmiast przyłączam się do różańca, który moje siostry odmawiają w kaplicy nieprzerwanie od momentu rozpoczęcia akcji ratunkowej – poinformował Jan Paweł II.

– Dziękuję, ojcze święty. Jest tu ksiądz Michał – profesor dał znak księdzu, by podszedł do telefonu. – Prosił o rozmowę...

Profesor pożegnał się ze swoim szacownym rozmówcą, przekazał słuchawkę księdzu, a sam wyszedł z gabinetu. Czekająca na niego jeszcze rozmowa z rodzicami Marysi.

– Jak się czujecie? Ty, Michałku, i rodzice małej Marii – wypytywał tymczasem księdza Michała papież.

– Jest, ojcze święty, ciężko – szczerze odpowiedział ksiądz – ale udajemy się do kaplicy i będziemy również odmawiać różaniec.

– Przekaż im słowa otuchy – poprosił papież.

## ROZDZIAŁ XXX

W związku z wypadkami w willi Badylarza na ósmą rano zwołano odprawę w Komendzie Stołecznej w Warszawie. W pokoju narad oprócz naczelnika Bukalskiego i Adama brali w niej udział wszyscy funkcjonariusze pionu śledczego. Rozsiedli się przy stole zawalonym aktami i notatkami ze sprawy.

– Panie i panowie – zaczął Bukalski – miałem nosa. Dziś w nocy miejscowi współpracownicy Mariana chcieli przetrząsnąć willę. Na szczęście policjanci złapali ich na gorącym uczynku i okazało się, że Badylarz miał jeszcze jeden schowek, który niestety był pusty. – Nadkomisarz podszedł do tablicy na ścianie, na której przypięto trzy naszkicowane wizerunki. – Mamy trzy rysopisy. Dwa kominiarza i jeden tajemniczego generała. O ile rysopisy kominiarza są podobne, to niestety wygląd generała, a raczej to, co wyciągnął rysownik od konkubiny Kulawego Marczyka, nie za bardzo trzyma się kupy. To pijaczka i nie pamięta nawet, jak wygląda Jaruzelski. Musimy więc cierpliwie czekać, aż wróci do domu jej wielka miłość. Mieszkanie mamy pod obserwacją. Istnieje jednak ewentualność, że delikwent współpracował z kominiarzem, dostał działę i nawiął. Za godzinę z Adamem jedziemy do biura generała Malczewskiego. Czy jego telefony są już na podsłuchu?

– Tak – odpowiedział jeden z policjantów. – W domu Badylarza również. Na razie cisza. Nikt nie dzwonił w sprawie okupu. Tylko żona Mariana coś odkopywała w szklarni.

– Jak to coś? Forse na okup za męża – wtrącił nieco kpiącym tonem Adam.

– Panowie, bierzemy pod lupę Malczewskiego. On nas doprowadzi do gościa, którego szukamy. Musi być śledzony dzień i noc. Jasne?

Wszyscy potwierdzili, że zrozumieli polecenia, a Adam przystąpił do rozdzielania ludzi.

Kiedy skończył, wraz z Bukalskim ruszyli do siedziby firmy „Cobra”, mieszczącej się przy Nowym Świecie. Biuro miało zachęcać klientów do skorzystania z usług firmy, choć pewnie i tak trafiali tu ci, którzy dokładnie widzieli, czego, a przede wszystkim kogo szukają. Przy biurku siedziała młoda, ładna blondynka. Grzecznie, z wyćwiczonym uśmiechem, zapytała, w czym może pomóc. Okazali swoje legitymacje i po chwili siedzieli w gabinecie generała Malczewskiego.

– O co chodzi, panowie? – generał był równie uprzejmy, co jego sekretarka.

– Panie generale, zna pan tego człowieka? – zapytał Bukalski, pokazując wyciągnięte wcześniej z kartoteki zdjęcie Kulawego Marczyka.

– Nie, nie przypominam go sobie – oznajmił stanowczym tonem generał i oddał



zdjęcie.

– Panie generale, nie jest pan z nami szczery – stwierdził Bukalski i podał Malczewskiemu zdjęcie zrobione przez ludzi Badylarza w knajpie.

– A tak! – generała nagle olśniło. – Parę dni temu zadzwonił jakiś jegomość z prośbą o spotkanie w „Tawernie”. Kiedy się tam zjawiłem, ten pajac chciał rozmawiać w cztery oczy. Gdy zostaliśmy sami, zaproponował mi organizację ochrony jakiejś ważnej transakcji. Potrzebował dwudziestu uzbrojonych ludzi. W grę wchodziła też broń maszynowa.

– I co, przyjął pan to zlecenie? – spytał Adam.

– Nie, drogi panie – generał pokręcił przecząco głową. – Nie biorę zleceń, jeśli nie wiem, czego dotyczy transakcja.

– Czy później widział pan go jeszcze? – dopytywał Wolf.

– Nie, nawet nie znam jego nazwiska – odparł generał.

– A co pan robił wczoraj o godzinie jedenastej przed południem?

– Wczoraj od ósmej do czternastej omawiałem szczegóły kontraktu z firmą ze Szwajcarii. Będę sprzedawał ich systemy alarmowe. Możecie przesłuchać trzech pracowników tej firmy i moją tłumaczkę. Na to spotkanie wynająłem apartament w „Victorii” – oznajmił generał z uśmiechem i wręczył policjantom trzy wizytówki Szwajcarów.

Po wyjściu funkcjonariuszy uśmiech z twarzy Malczewskiego jednak zniknął. Generał zamyślił się i po chwili sięgnął po słuchawkę telefonu. Szybko zrezygnował. Włożył płaszcz i wyszedł z firmy. Po sąsiedzku znajdowało się biuro jego kolegi, który miał firmę zajmującą się sprzątniem. Poprosił znajomego o możliwość skorzystania z telefonu. Stąd zadzwonił do mieszkania Piotra, nikt jednak nie podnosił słuchawki. Malczewski wrócił do siebie jeszcze bardziej zaniepokojony. Nie wiedział, co się dzieje, ale jedno było pewne. Musiał zrezygnować z prób kontaktu z Piotrem. Jedyne, co mógł zrobić obecnie, to czekać.

Adam z nadkomisarzem nie mieli pojęcia o krótkiej wycieczce Malczewskiego. Na parking przystanęli na chwilę przy samochodzie, by zapalić.

– Wierzy mu pan? – spytał Adam.

– Nie, ale ten gość ma straszne układy i nie można go zamknąć z tym, co mamy. Musimy go przypilnować i jeżeli coś wie, to na pewno zacznie działać.

– A co, jeśli za napadem na Badylarza i porwaniem stoi Chytry Wiesław? – głośno zastanawiał się Adam.

– Jeżeli tak jest, to wkrótce będę o tym wiedział – stwierdził Bukalski. Adam spojrzał na szefa pytająco. Ten roześmiał się i rzucił od niechcienia: – A tak zwyczajnie, od wróżki.

– Szef ma wtykę u Wiesława?

– Mam i wiem, że to nie Wiesław. Bardziej obstawiałbym jakieś układy SB i wynajętego człowieka, który dostał cynk od kogoś z otoczenia Badylarza. Albo od tego generała. Musimy dorwać Mareczka. On wie, kto to taki.

## ROZDZIAŁ XXXI

Major Zinowiew zapukał do gabinetu pułkownika Fiodorowa, swojego bezpośredniego przełożonego.

– Jestem, towarzyszu pułkowniku – wyrecytował i stanął na baczność.

Fiodorow, człowiek o potężnej posturze i nalanej twarzy z wieloma podbródkami, siedział za swym biurkiem i wyraźnie coś studiował. Po chwili rzucił jakby od niechcienia:

– Siadajcie, towarzyszu majorze, i opowiadajcie. Przeczytałem wasz raport i widzę, że u naszych przyjaciół z Polski nie dzieje się dobrze.

Major posłusznie wykonał polecenie. Usiadł sztywno na brzegu krzesła. W pokoju nastała chwila ciszy. Pułkownik skinął głową zachęcająco i major zaczął rzeczowo referować:

– Towarzyszu pułkowniku, niestety nasi polscy towarzysze nie panują całkowicie nad tym, co się u nich dzieje. Pewne kluczowe stanowiska objęli ludzie, na których nie mają już wpływu.

– A wy, towarzyszu majorze, macie wpływ na swoich agentów? – zapytał, nie kryjąc ironii, pułkownik. Major już chciał odpowiedzieć, ale szef uciszył go gestem. Westchnął i wyciągnął z szuflady pięknie zdobioną fajkę. Nie spieszył się, nabił ją powoli i starannie, zapalił i wciągnął dym do ust, nie zaciągając się, a jedynie delektując smakiem tytoniu. Dopiero po paru minutach podjął przerwany wątek: –

Słuchajcie, musicie zabezpieczyć nasze interesy i uporządkować ten cały bajzel. Natychmiast wyeliminować zagrożenia, które mogą doprowadzić przeciwnika do naszych planów. Zrozumiano?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – skwapliwie zapewnił major. – Mam kilka pomysłów i potrzebuję waszej zgody na ich realizację.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedział pułkownik, wypuszczając kłąb dymu.

Major odprężył się nieco i już swobodniej zreferował zagrożenia, które mogły zniweczyć wysiłki podejmowane w celu utworzenia sieci firm na zachodzie Europy. Te większe lub mniejsze przedsiębiorstwa miały w krótkim czasie opanować kluczowe obszary, szczególnie te zajmujące się przesyłem oraz dystrybucją gazu i ropy naftowej. Zinowiew nie szczędził szczegółów i nie omieszkiał zaproponować konkretnych rozwiązań tej trudnej sytuacji.

Pułkownik słuchał uważnie, paląc powoli fajkę i przyglądając się swemu podwładnemu.

– Zgadzam się z wami w stu procentach – skonstatował, gdy major skończył. –

Zaczniecie robić w Polsce porządek. I albo nasi polscy towarzysze zrozumieją powagę sytuacji i przeistoczą się w kapitalistów gwarantujących pełną i bezpieczną współpracę, albo trzeba będzie ich wymienić.

– Mogę więc przystąpić do działania? – spytał major, by upewnić się, że dobrze zrozumiał pułkownika.

– Spotka się pan z generałami Kwaśniakiem i Kamińskim. Każe im pan rozpocząć sprzątanie. – Pułkownik wyciągnął z jednej z teczek leżących na biurku fotografię i postukał w nią palcem. – Niech zaczną od niego. On nie może nikomu przekazać zgromadzonych informacji. Inaczej operacja „Koń trojański” będzie bardzo zagrożona.

– Rozumiem. A co z naszą agentką od McDowella?

– Myślę, że pana wnioski zawarte w raporcie są trafne. To nie jest już nasz agent. Ta kobieta się zakochała i przy pierwszej lepszej okazji da dyla z Polski. I opowie wszystko, co wie, również na pana temat. Może być jednak ostrzeżeniem dla Amerykanów, by się tu nam nie wtrącali aż tak mocno.

– Nieszczęśliwy wypadek?

– Tak, ale dość jednoznacznie wyglądający i dający im jasny przekaz, że Polska jest w orbicie naszych zainteresowań i nie będziemy się cackać, jeżeli będą tutaj nadal wściubiać swój nos. Jasne? – Pułkownik machnął ręką, dając znać majorowi, że omówili już wszystko.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! – Major stanął na baczność, stukając obcasami, i wyszedł z gabinetu. Jeszcze przez parę godzin snuł się za nim zapach świetnej jakości tytoniu.

## ROZDZIAŁ XXXII

Piotr podjechał na bazar obok przystani rybackiej. Wyjął z bagażnika dwie wędkę, podbierak i buty rybackie. Ominął stoły i budki pachnące rybami i skierował się na brzeg jeziora. Zanurzył wędkę, podbierak i buty w wodzie obok rzęsy wodnej, tak aby wyglądały, jakby przed chwilą skończył wędkowanie. Chwilę później, przechodząc przez bazar, kupił kilka dorodnych ryb i włożył je do podbieraka, po czym wrócił do samochodu i wszystko załadował do bagażnika. Zatrzymał się jeszcze przy miejscowym sklepiku, gdzie kupił cztery butelki wódki, napoje na popitkę i kilogram kiełbasy. Zakupy rzucił na tylne siedzenie i ruszył w kierunku willi. Zerknął na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści. Miał jeszcze około trzech godzin do przyjazdu agenta WSI. Podjechał pod bramę willi, teren na około był czysty. Na szczęście w sąsiednich domach także nie zauważył oznak życia. Nacisnął kilkakrotnie klakson. W jednym z okien dostrzegł jakiś ruch, podniosła się firanka, a po chwili w drzwiach ukazała się krępa sylwetka Remigiusza Wątroby.

– Cześć! – krzyknął Piotr, wysiadając z samochodu. – Przyjechałem na ryby.

Remigiusz otworzył mu zamkniętą na klucz furtkę.

– Cześć, coś ostatnio niezbyt często wpadasz na ryby.

– Oprócz ryb chciałem się trochę z tobą napić i złożyć ci propozycję – powiedział Piotr, wyciągając z jednej z reklamówek butelkę wyborowej.

– Napić się możemy, ale po południu, jak kontrola odjedzie – oznajmił cicho Remigiusz. – Nie chcę, żeby mnie podpierdolili do szefa. Wiesz, że on nie lubi, jak się wali.

Piotr schował butelki i reklamówkę z resztą zakupów do podręcznej torby i ruszył śladem Wątroby do budynku. Weszli do saloniku, na którego ścianach porozwieszano trofea myśliwskie. Piotr od razu zauważył nieład panujący w pokoju. Na fotelach porozrzucone były ubrania, a na niewielkim kawowym stoliku leżały gazety i inne papiery. Remigiusz, mimo iż miał duże powodzenie u płci przeciwnej, do tej pory nie trafił na kobietę swojego życia.

– Znalazłbyś sobie wreszcie babę, może zrobiłaby ci tu gruntowne sprzątnie – powiedział, udając nieco zdegustowanego, Piotr.

– Bab to ja mam kilka, tyle tylko, że do łóżka to się pchają, a jakoś do ściery i sprzątnia żadna – odparł z dwuznacznym uśmiechem Remigiusz.

– Co u ciebie słychać? – zapytał Piotr, siadając na kanapie naprzeciw kominka.

– Po staremu. Siedzę tu, poluję, łowię ryby, od czasu do czasu przywiozę jakąś koleżankę i czas leci.

– A nie chcesz przyrobić trochę kasy?

– Napijesz się kawy? – zaproponował nagle Wątroba, jakby chciał uniknąć odpowiedzi na pytanie. – Mamy jakieś dwie godziny do przyjazdu tych ważniaków z Warszawy. Dzisiaj piątek, sam rozumiesz.

– Tak, wiem. Jak co tydzień.

– No właśnie, będziesz musiał na jakąś godzinę się zmyć – oznajmił przeprasząco Wątroba.

– Rozumiem, nie chcesz, aby cię pytali, czy mimo emerytury ciągle interesuję się archiwum. Bo może przyjechałem podwędzić jakąś teczkę i opierdolić ją na Stadionie Dziesięciolecia jakiemuś ważnemu politykowi, który udaje świętego, a tak naprawdę od zawsze był kapusiem – Piotr uśmiechnął się z goryczą.

– Nie – zaprzeczył Wątroba – ale wiesz, że po tym jak cię spuścili, to kazali mi zerwać kumpelstwo z tobą.

– Szkoda tylko, że gdy byłem posłusznym pieskiem, to mnie głaskali, skurwysyny! – rzucił przez zaciśnięte zęby Piotr.

– Nie złość się, znasz zasadę. I wiem, że gdy to gówno, które jest pod nami, przestanie być potrzebne, to mnie też to czeka.

– Mylisz się. – Piotr pokręcił przecząco głową. – Przez następne trzydzieści lat to oni będą trzymać wszystkich za mordy. Po nich spadek odziedziczą ich dzieci, wnuki i tak dalej. Widzisz, te firmy, które się rodzą lub wkrótce narodzą, nie wzięły się z niczego. Ktoś tych biznesmenów stworzył i musi mieć na nich haki, więc do emerytury na pewno doczekasz.

Remigiusz skrzywił się jedynie, nie chcąc kontynuować tematu. Obaj doskonale znali świat układów i układzików w tym kraju. I już od dawna nie czuli się w tym bagienku komfortowo.

– Kawy? – zaproponował Wątroba, by uciec od niewygodnych dywagacji gościa.

Piotr kiwnął głową przytakująco i poszedł za Remigiuszem w stronę kuchni. Gdy kolega zajmował się sypaniem kawy do kubków, gość przystanął przy schodach prowadzących na piętro, gdzie znajdowały się sypialnia i mała łazienka. Wejście do piwnicy ukryte było pod schodami i zabezpieczone drewnianą ścianką. Aby ją otworzyć, należało obrócić pierwszą i piątą nogę podtrzymującą balustradę na schodach. Piotr oparł się o poręcz i zapytał:

– Jak tam zabezpieczenie gazowe? Nikt się do tej pory nie wykończył?

– Na szczęście nie, ale jak to gówno otwieram, to zakładam maskę i sprawdzam wskazanie specjalnego czujnika w środku – odpowiedział Wątroba, wracając do saloniku z kubkami z aromatycznym napojem. – A jak twoja wnuczka? Kiedy byłś ostatnio u mnie, mówiłeś, że mała miała jakieś problemy z sercem.

– Ma bardzo poważne problemy – odparł Piotr i dopiero po chwili dodał drżącym głosem: – Właśnie przechodzi poważną operację na sercu. Ma bardzo małe szanse, dlatego musiałem się wyrwać, połowić i z kimś się napić. Inaczej bym oszalał.

Piotr otarł zmęczoną twarz. Wyglądał na bardzo przybitego całą sytuacją.

– Napijemy się, napijemy – zapewnił Wątroba, przyglądając się ze współczuciem

koledze. – Może wszystko będzie dobrze i operacja się uda.

– Ciężko mi będzie, jeżeli będę musiał pochować drugą wnuczkę. Chyba palnę sobie w łeb.

Remigiusz przyjrzał się uważnie kumplowi, poklepał go po ramieniu na pocieszenie i chcąc zmienić temat rozmowy, zapytał:

– Jaką robotę miałbyś dla mnie?

– Będziesz robił to, co najlepiej umiesz.

– Czyli co? – spytał zniecierpliwiony Wątroba.

– Będiesz odpalał za kasę niewygodnych ludzi. Generał Malczewski uruchomił agencję ochrony.

– Popierdoliło cię?

– Nie, nie popierdoliło mnie. Wiemy, co robiłeś w resorcie.

– Jak jesteś taki cwaniak, to czemu sam tego nie będziesz robił? Przecież ty też rozwalasz ludzi – wycedził zdenerwowany Remigiusz, wstając od stołu.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów od głowy – oznajmił spokojnie Piotr.

Wątroba znieruchomiał, wpatrując się w kolegę. Piotr powtórzył dobitnie:

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dla ciebie.

– Kto w tym kraju daje taką kasę?

– Zlecenie kosztuje sto tysięcy i jest już pięciu chętnych. – Piotr wyjął papierosa i zapalił.

Remigiusz usiadł w fotelu. Na jego twarzy odmalowało się napięcie. Nietrudno było zgadnąć, że zastanawia się intensywnie nad propozycją.

– Skąd wiesz, co robiłem w resorcie? – spytał po chwili.

– Dwa lata temu oferowałeś złote świnki pewnemu jubilerowi.

– I co z tego?

– A to, kurwa – rzucił ostro Piotr – że te świnki należały do pewnego księdza zabitego w parafii na Powązkach. Wiem, że nie chciałeś tu utknąć. Ale wiem też, dlaczego Kwaśniak wybrał akurat ciebie. Ma cię w garści.

– Ty też nie jesteś święty – odgryzł się Wątroba. – Słyszałem, że wykańczałeś ludzi w Polsce i na Zachodzie, ale odmówiłeś zabicia jakiegoś księdza i podpadłeś.

– To prawda – Piotr nie miał zamiaru zaprzeczać – i nie żałuję tego.

Zapadła cisza.

– Jak miałyby wyglądać realizacja zlecenia? – rzucił Wątroba, chcąc zmienić drażliwy temat rozmowy. Zdawał sobie sprawę, że żaden z nich nie wyzna przecież drugiemu, co ma na sumieniu.

– Proste. Malczewski dostaje zlecenie, ja obserwuję człowieka, poznaję jego przyzwyczajenia, wybieram najlepsze miejsce, a ty odpalasz gościa. Zleceniodawca cię nie zna i nigdy nie pozna. W razie draki Malczewski wypiera się wszystkiego i powołuje się na przygotowaną wcześniej umowę na ochronę zleceniodawcy. Nawet sprawa poszlakowa jest nie do udowodnienia. Jeden pistolet na jedną robotę, po robocie wyrzucasz go do bagna albo rzeki.

– Skąd masz pewność, że będzie kasa?

– Chłopie, nie widzisz, ile wyrasta fortun? Ilu nowobogackich chce pozbyć się żony, męża, współnika? – tłumaczył Piotr, wyjmując długi klucz.

– A to od czego?

– Od szafki z bronią. Szafki z nowymi berettami i fińskimi karabinami snajperskimi sako. Trochę podobny do klucza od klapy.

– Faktycznie, podobny – przyznał Remigiusz.

– Gdzie go masz? – spytał Piotr. – Porównamy.

– Tam – Wątroba wskazał na szafę w przedpokoju – w kurtce dżinsowej.

Piotr podszedł do szafy, wyjął kurtkę i wymacał klucz. Miał to, czego chciał. Spojrzał ukradkiem na zegarek. Miał jeszcze jakieś półtorej godziny. Wszedł do pokoju i podał Wątrobie dwa klucze. Ten przyjrzał im się uważnie.

– Mój jest chyba bardziej skomplikowany – stwierdził.

– Rozumiem, że drugi ma któryś z tych waśniaków? – zapytał od niechcienia Piotr.

– Ten łysawy Zdzisio Marczak, kawał mendi – odpalił Wątroba i oddał przyjacielowi klucz. Piotr wrzucił go do bocznej kieszeni podręcznej torby. Wątroba rozsiadł się wygodniej na fotelu. Nadal zastanawiał się nad propozycją pracy u Malczewskiego. Decyzja nie była łatwa. Forsa kusila, ale robota w charakterze płatnego zabójcy na zlecenie nie była szczytem jego marzeń. Gdy Remigiusz analizował za i przeciw, Piotr podniósł swoją torbę lewą ręką, a prawą błyskawicznie wyjął colta z tłumikiem i wymierzył w jego serce. Były karateka z wrażenia otworzył usta, ale zdążył jedynie wyrzucić z siebie:

– No, co ty...

Padł strzał i Remigiusz Wątroba osunął się martwy na fotelu.

Piotr wziął klucz od wjazdu skrytki i schował go do kieszeni. Zamknął starannie willę na klucz, wyszedł na podwórze i zlustrował okolicę. Nigdzie nie zauważył oznak życia, otworzył więc szeroko bramę, aby można było wjechać na podwórko, i wsiadł do audi. Po chwili zaparkował za willą. Następnie, z torbą w rękę, ruszył biegiem w kierunku parkingu, gdzie czekał na niego bagażowy mercedes. Po piętnastu minutach dotarł na miejsce, odpalił samochód i podjechał pod willę za domem Wątroby. Zatrzymał się na podjeździe. Wyciągnął skórzany futerał z karabinem snajperskim i skierował się do budynku znajdującego się naprzeciwko siedziby Remigiusza. Przeskoczył ogrodzenie, uprzednio przekładając przez nie metalową skrzynię, i poszedł na tyły budynku. Znajdował się tu niewielki balkon, na który bez wahania wskoczył. Obejrzał okna, na których na szczęście nie było krat, założył rękawicę i łokciem stłukł jedną z szyb. Chwilę później był już w środku. Domek wyposażony był w najprostsze meble. Prawdopodobnie po wakacjach gospodarze zabrali ze sobą co cenniejsze rzeczy, stąd brak zabezpieczeń. Piotr wszedł na piętro, poszukując okna z widokiem na willę po drugiej stronie drogi. Oceniał, że odległość do oddania strzału wynosiła jakieś pięćdziesiąt metrów. Pozostawiwszy w pokoju karabin, zszedł na dół. W kuchni znalazł drewniany stół. Wtaszczył go na górę i przystawił do otwartego okna. Z futerału wyjął karabin z lunetą, po czym ustawił go

na stole na składanym dwójnogu. Zaczął lustrować przedpole przez lunetę. Szczególnie dokładnie obejrzał teren, gdzie czeka go najtrudniejsza część zadania. Nie może ani chybić, ani zdradzić się przed oddaniem pierwszego strzału. Kiedy wybrał dogodną pozycję, załadował karabin i cofnął się do środka pomieszczenia, by nikt go nie zauważył. Delikatnie przytknął okno, aby nie tracić czasu na jego ponowne otwarcie, które mogłoby zresztą zdradzić jego obecność. Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, z którego mógł obserwować drogę dojazdową. Spojrzał na zegar. Była pierwsza trzydzieści. Wkrótce pojawią się oficerowie WSI dokonujący cotygodniowej inspekcji. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, że wybrał karabin snajperski. Zawsze pewniej czuł się z pistoletem w ręku, ale zdawał też sobie sprawę, że lata robią swoje i w bezpośrednim starciu z zawodowymi oficerami trenującymi na co dzień może być już zbyt wolny. Szybko jednak zrezygnował z tych dywagacji. Wyrównał oddech, by się skupić i uspokoić.

Minęło około pół godziny, gdy między drzewami na drodze zobaczył czarną lancję zbliżającą się w kierunku Willi Remigiusza. Otworzył okno i kucnął za parapetem. Miał przewagę, widział drogę i samochód, sam będąc niewidocznym. Auto jechało dość szybko, wzbijając za sobą kurz. Gwałtownie skręciło w prawo, na posesję Wątroby. Kiedy samochód zatrzymał się na podwórzu, Piotr lekko uniół się na kolanach i dostrzegł dwóch mężczyzn wewnątrz pojazdu. Po chwili wysiedli, niczym niezaniepokojeni. Piotr postanowił odczekać chwilę, obserwując wciąż przybyłych przez lunetę. Ruszyli w kierunku drzwi. Starszy, łysawy, szedł pierwszy. To on był kierowcą. Drugi, młodszy, szedł kilka kroków za nim. Piotr wiedział, że musi wyeliminować idącego z tyłu, aby pierwszy mężczyzna nie zorientował się od razu, co się stało. Wymierzył w plecy młodszego mężczyzny i gdy ten znalazł się około pięciu metrów od drzwi, wystrzelił. Błyskawicznie przeładował broń. W pierwszej chwili starszy gość, który kątem oka zobaczył padającego do przodu kolegę, pomyślał, że ten się potknął. Kiedy zauważył ranę postrzałową i krew, było już za późno na ukrycie się. Piotr wycelował w klatkę piersiową i strzelił. Agent, trafiony w prawe płuco, zwalił się na ziemię i odruchowo próbował się schronić, ale do najbliższej zasłony było około trzech metrów. Piotr błyskawicznie przeładował karabin i kiedy w celowniku uchwycił okolicę serca mężczyzny, nacisnął spust. W ułamku sekundy było po wszystkim. Drugi z agentów nie dawał oznak życia.



## ROZDZIAŁ XXXIII

W rzymskiej klinice Gemelli dochodziła siedemnasta – operacja małej Marii trwała już pięć godzin. W kaplicy szpitalnej, pochylony przed obrazem Matki Boskiej z Dzieciątkiem, klęczał Michał. Modlił się, odmawiając różaniec. Przesuwał powoli w dłoni drewniane paciorki, jakby były dla niego jedyną, prawdziwą ostoją. Obok, na ławkach, usadowiły się siostry zakonne, na co dzień opiekujące się chorymi, a tuż za księdzem miejscowy ksiądz Bernard – zakonnik pochodzący z Piemontu. Michał prosił żarliwie o życie dla swej małej bratanicy. Wiedział, że wszystko leży w ręku Boga i najlepszego w Europie, a może i na świecie specjalisty od operacji na otwartym dziecięcym sercu. Z modlitewnego transu wyrwała go dłoń, którą ktoś nagle położył na jego ramieniu. Odwrócił głowę i spostrzegł przyklękającego obok księdza Witolda.

– Kiedy na audiencji u ojca świętego dowiedziałem się, co cię spotkało, musiałem tu przyjechać – wyszeptał, pochylając się nad Michałem, który uścisnął dłoń przyjaciela w geście wdzięczności. Zdawał sobie sprawę, że Witold, obecnie mieszkający w Paryżu i występujący w roli przywódcy duchowego Polonii francuskiej, odłożył na bok wiele obowiązków i spraw, by tylko móc się tutaj pojawić. Wspólnie kontynuowali modlitwę.

Zuzanna i jej mąż niedawno wyszli z kaplicy, nie mogąc dłużej spokojnie czekać na wieści. Krążyli w poczekalni przed blokiem operacyjnym, zdenerwowani i rozedrgani. Strach narastał z każdą godziną. Zuzanna była już bardzo zmęczona oczekiwaniem. Łzy same napływały do oczu, a obecność męża, który mimo własnego niepokoju starał się ją uspokoić, na niewiele się zdawała. Każda sekunda oczekiwania wydawała się wiecznością, a czas biegł zbyt wolno. Wreszcie, po ponad pięciu godzinach, w drzwiach bloku operacyjnego stanął profesor Farelli. Wyglądał, jakby przed chwilą wrócił z trasy maratonu. Rodzice wpatrywali się z lękiem, ale i nadzieją w jego zmęczone oczy. Profesor skinął ręką, prosząc, by jeszcze poczekali. Potrzebował tłumacza. Po chwili pojawiła się siostra Faustyna, która cały czas była obecna podczas operacji, by w razie konieczności konsultacji z doktorem Kazanowskim wyjaśniać ewentualne wątpliwości. Profesor mówił spokojnie i cicho, tak aby siostra mogła dobrać odpowiednie słowa w czasie tłumaczenia.

– Już po, a mała zostanie zaraz przeniesiona na specjalny blok pooperacyjny. Tam, z bocznej sali, będziecie państwo mogli na nią popatrzeć przez szybę – uspokoił na wstępie rodziców. Widząc ulgę na ich twarzach, relacjonował dalej: – To jednak dopiero początek. Pierwszy raz w mojej karierze zawodowej zetknąłem się z tak trudnym przypadkiem. Operacja była jedyną szansą na uratowanie państwa dziecka.

Teraz możemy już tylko czekać.

– Jakie szanse na przeżycie ma nasze dziecko? – spytała Zuzanna, zdając sobie nagle sprawę, że Marysia najtrudniejsze zadanie ma dopiero przed sobą.

Gdy siostra Faustyna przetłumaczyła profesorowi pytanie, ten spojrzał przenikliwie na rodziców i odpowiedział:

– Drodzy państwo, nie będę was okłamywał, to ciężki przypadek. Każda minuta i godzina życia państwa dziecka będzie dawała nadzieję na to, że małe serduszko podejmie pracę i z czasem będzie mogło funkcjonować samodzielnie. – Lekarz przerwał na moment, jakby zastanawiał się nad tym, co ma powiedzieć. Dopiero po chwili kontynuował: – Wiecie państwo, w swoim życiu widziałem różne przypadki, często wydawało się, że szanse na przeżycie są żadne, a mimo to serca pacjentów podejmowały pracę i dzisiaj często są oni już dorosłymi ludźmi cieszącymi się zdrowiem. Jestem osobą wierzącą i wiem, że każda istota może liczyć na Bożą opatrzność. Wierzę, że mała Maria dzięki naszej wiedzy i Boskiej pomocy przeżyje. Po każdej operacji mam jeden zwyczaj, który przekazał mi mój ojciec. Udaję się do naszej kaplicy na modlitwę za życie i zdrowie mojego pacjenta. Teraz też tam idę. Państwo nie traćcie wiary.

Profesor pożegnał rodziców i udał się w kierunku kaplicy szpitalnej.

Siostra Faustyna prosiła ich właśnie, by chwilę jeszcze poczekali na przeniesienie córki, gdy z bloku wyszedł doktor Kazanowski.

– Moi drodzy – powiedział, widząc zmęczenie i lęk obojga rodziców – jestem zdumiony tym, co dzisiaj zobaczyłem. Profesor Farelli to prawdziwy artysta wśród kardiologów. Nie dziwię się, że uważa się go za najlepszego specjalistę na świecie. Do tego ten sprzęt, laser... – Pokiwał głową z podziwem. – Chciałbym mieć ten cud u nas w Warszawie, ale znając nasze realia, to może doczekamy się tego za pięć, dziesięć lat. To kosztuje fortunę.

Zuzanna, w której głowie wciąż kołatało tylko to jedno pytanie, raz jeszcze zapytała:

– Marysia ma szansę, panie doktorze?

Kazanowski chwycił ją za rękę i odparł:

– Droga pani, nie ma obecnie na świecie miejsca, gdzie przeprowadzono by tę operację lepiej. Wszystko, co można było zrobić, zostało zrobione perfekcyjnie. Teraz wszystko w ręku Boga.

Przytaknęli mu dwaj księża, którzy właśnie pojawili się w poczekalni. Michał objął Zuzannę i jej męża ojcowskim gestem.

– Musimy być dzielni – stwierdził. – Wierzę, że Bóg wysłucha naszych modlitw.

Stres i napięcie, które towarzyszyło Zuzannie od tyłu dni, nagle, w tych bezpiecznych ramionach, znalazło swe ujście. Nie potrafiła już powstrzymać łez i pytań.

– Za jakie grzechy spotyka mnie to po raz drugi? Jeżeli ją stracę, to chyba sobie coś zrobić – wyszeptwała. – Gdzie jest Bóg w takich sytuacjach?

Ksiądz Witold, który towarzyszył Michałowi, położył jej dłoń na ramieniu.

– Droga pani, możemy przejść do pokoju obok kaplicy, by porozmawiać? – zaproponował.

Kiedy znaleźli się na miejscu, ksiądz poprosił, by usiedli na niewielkiej kanapie, na której mogli odpoczywać odwiedzający szpital, po czym usiadł przed nimi na krześle i zaczął opowiadać:

– Jako dwudziestosiedmioletni mężczyzna znalazłem się na froncie. Byłem wojskowym kapelanem. Pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku o godzinie piątej rano dowiedziałem się, że rozpoczęła się wojna. Kwaterowałem w małej wsi w korytarzu pomorskim. Kiedy obudziłem się rano i wyszedłem, aby umyć się przy studni, obok chaty, w której spałem, zauważyłem syna gospodarzy, szesnastoletniego chłopaka. Wybierał się właśnie do pracy na pole. Po chwili usłyszałem warkot samolotu. Wskoczyłem ze stodoły i pobiegłem w kierunku wozu i chłopca. Potem zobaczyłem scenę, której nie zapomnę do końca życia. Samolot z czarnymi krzyżami, z braku innych celów, zaatakował orzącego chłopca. Pierwsza seria chybiła, chłopak zostawił pług i począł uciekać w kierunku samotnego krzyża stojącego tuż obok stodoły. Kiedy był już tuż przed krzyżem, niemiecki lotnik zaatakował go ponownie, tym razem seria z karabinu przeszła to dziecko na pół. Gdy dobiegłem do niego, był już martwy, a samolot odleciał. Wkrótce pojawili się rodzice. Matka na widok martwego syna poczęła rwać włosy, szlochać i przeklinać los. W pewnej chwili zaczęła wymachiwać pięściami w kierunku krzyża i krzyczeć: „Gdzie byłeś, Boże, kiedy mi dziecko mordowano?!”. Przyznam się, że jako młody ksiądz stałem bezradnie, nie wiedząc, jak mam ją pocieszyć i podnieść na duchu. I wtedy stało się coś, co zrobiło na mnie niesamowite wrażenie. Usłyszałem słowa, które powtarzam zawsze, aby pocieszyć bliskich zmarłego, szczególnie rodziców chowających swoje dzieci. Ojciec zabitego chłopca, człek poczciwy i prosty, swą wypowiedzią ukształtował całe moje życie, wiodące mnie przez katownię gestapo na Szucha, Majdanek, Oświęcim i inne obozy koncentracyjne. Zawsze gdy miałem chwile zwątpienia i zaczynałem myśleć nad samobójczą śmiercią, słyszałem te słowa, które dodawały mi nadziei. Inaczej na pewno nie byłoby mnie tutaj. – Ksiądz Witold zrobił wymowną pauzę i chyba się zamyślił, bo kontynuował opowieść dopiero, gdy zapłakana Zuzanna zapytała, co właściwie powiedział ów człowiek: – Prostymi słowami odpowiedział na pytanie żony, gdzie był Bóg. „Matka, nie bluźnij, był tam, gdzie wtedy, gdy umierał jego syn na krzyżu za nasze grzechy”. W tych kilku prostych słowach ten człowiek wyjaśnił istotę ludzkiego cierpienia i sensu chrześcijaństwa – podsumował ksiądz Witold. – Ale państwa dziecko przecież nie zmarło! Ono wciąż walczy o życie i musicie wierzyć, że tę walkę wygra! Ja w to wierzę i będę się o to modlił – zapewnił.

Nastąpiła przejmująca cisza, którą przerwał raz jeszcze Witold, zwracając się do przyjaciela:

– Michale, ojciec święty prosił, abyś zadzwonił i poinformował go o wyniku operacji i stanie małej Marii.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Komisarz Adam Wolf wszedł do budynku komendy stołecznej. O godzinie ósmej rozpoczynał służbę. Jego partner, komisarz Marek Suchecki, właśnie wychodził z gabinetu nadkomisarza Bukalskiego. Gdy zobaczył Adama, wyciągnął dłoń na powitanie i oznajmił zmartwionym głosem:

– No to nie przesłuchasz Kulawego Marczyka.

– Jak to nie przesłucham? – zapytał zdziwiony Wolf.

– Ano tak to. Ktoś wpakował mu dwie kulki. Jedną w plecy, drugą w serce. Na parkingu leśnym między Piasecznem a Warszawą. Idź do szefa, czeka na ciebie.

Adam zapukał do drzwi gabinetu Bukalskiego. Zastał go siedzącego za swym biurkiem i oglądającego jakieś zdjęcia.

– Witam, szefie. Złe wieści? – zagaił Adam, widząc zatroskaną minę nadkomisarza.

– Siadaj – rzucił Bukalski, wskazując krzesło. – Niestety bardzo złe wieści. Nie przesłuchamy Kulawego Marczyka. Nasz przyjaciel generał Malczewski wieczorem dzwonił do kogoś z budki na mieście. Niestety nie zastał go w domu, ale będzie pewnie próbował ponownie. Nie spuszcza go z oka.

Adam rzucił okiem na zdjęcia zwłok Kulawego Marczyka.

– Kto go znalazł?

– Dzieci jechały na wycieczkę do stolicy. Kiedy autokar zatrzymał się na leśnym parkingu, ruszyły do lasu za potrzebą. I znalazły go pięćdziesiąt metrów od parkingu.

– Załatwiłeś zdjęcia tych wysoko postawionych esbeków?

– Zaczynam je kompletować, ale wiesz, że część z tych skurwieli zwała do policji i innych instytucji państwowych. Trochę to może potrwać – wyjaśnił Bukalski.

– Myślisz, że ten tajemniczy generał, który był w mieszkaniu Kulawego, to emeryt czy czynna służba? – spytał Adam.

– Szczerze? Tak między nami. Tylko jeden gość przychodzi mi do głowy.

– Kto?

Nadkomisarz wyjął papierosy i poczęstował Adama. Zaciągnął się głęboko i po chwili zastanowienia powiedział:

– Pamiętaj, to, co powiem, musi zostać między nami.

– Rozumiem – potwierdził Adam.

– Widzisz, tych gnoi, takich jak Marian Badylarz czy Chytry Wiesław, stworzyło SB i WSW. W latach osiemdziesiątych potrzebowali ich do lewych interesów

w handlu walutami, do rozlewania lewej wody, handlu narkotykami i zbierania haraczy. Jest jeden gość, który wiąże tych dwóch gangsterów. To generał Kamiński.

– Słyszałem o nim – stwierdził Adam. – Ten gościu przeszedł weryfikację.

– Przeszedł, przeszedł – Bukalski skrzywił się z niesmakiem. – I trzyma w garści wielu ludzi, wiedzą o nich i teczkami ich tajnych współpracowników. Marian Badylarz i Chytry Wiesiek z jego polecenia robili lewe interesy i dzięki łapówkom byli bezkarni.

– Czyli uważasz, że Kamiński mógł w porozumieniu z tajemniczym generałem zorganizować napad na Badylarza.

– Mógł. I któryś z nich to zrobił. A może zrobili to razem, w porozumieniu. Pięćset tysięcy dolarów, jest się czym dzielić.

– Czy ktoś odezwał się w sprawie okupu? – spytał jeszcze Adam.

– Na razie, oprócz tamtego telefonu, nie. Ale Helena zbiera pieniądze na okup za męża.

– Może przycisnąć kobietę Mareczka?

– To dobry pomysł, jedźcie po nią z Markiem. Zaprowadźcie ją do prosektorium. Może po zobaczeniu zwłok ukochanego wymięknie albo coś sobie przypomni.

– Pod warunkiem że będzie trzeźwa – rzucił na odchodne Wolf.

## ROZDZIAŁ XXXV

Generał Kamiński wraz z czterema agentami podjechał pod główne wejście restauracji „Czarny Kot” na warszawskiej Starówce. Natychmiast przy wejściu do lokalu, który pełnił funkcję biura Chytręgo Wiesława, ukazało się dwóch rosyjskich ochroniarzy. Gdy dwóch agentów wyciągnęło legitymacje UOP, w oczach osiłków pojawiło się zakłopotanie. Nie wiedzieli, jak mają zareagować. Z tego stanu wyrwał ich głos generała.

– Na głębę, łapy do przodu, nogi szeroko i jak mi któryś ruszy dupę, to rozwalę – rozkazał.

Ochroniarze potulnie wykonali polecenie, a agenci wydobyli broń. Generał z trzema pozostałymi swoimi ludźmi ruszył w kierunku sali restauracyjnej, która o tej godzinie była prawie pusta. Gdy pojawił się kelner i zapytał, o co chodzi, w odpowiedzi usłyszał krótkie polecenie:

– Prowadź do szefa.

– Ale... szefa nie ma... – zaczął kręcić pracownik lokalu.

Generał wyjął pistolet, przeładował i przystawił go osłupiałemu kelnerowi do skroni.

– Drugi raz nie zapytam. Gdzie jest Wiesław? – wycedził wściekle.

Kelner drżącą ręką wskazał zaplecze. Generał odsunął pistolet i pchnął kelnera, aby ten ruszył pierwszy. Przed zamkniętymi drzwiami siedział tam kolejny ochroniarz Wiesława z obrzynem na kolanach. Zobaczywszy kelnera, generała i trzech agentów, poderwał się z krzesła i wycełował w nich swoją broń. Generał zasłonił się kelnerem i, podobnie jak jego ludzie, wymierzył pistolet w ochroniarza.

– Powiedz Wiesławowi – krzyknął – że generał Kamiński chce z nim porozmawiać.

– Ale szef jest zajęty i nie lubi jak mu się przeszkadza – warknął opryszek, nie opuszczając obrzyna.

– Drugi raz cię nie poproszę. Mój człowiek ma cię z drugiej strony na muszce – ostrzegł Kamiński.

Gangster na chwilę odwrócił w prawo głowę, a to wystarczyło, by generał pchnął w jego kierunku kelnera, który wpadł przerażony prosto na obrzyn. Kamiński błyskawicznie doskoczył do ochroniarza i wprawnym uderzeniem pistoletem w twarz powalił go na ziemię. Osilek próbował wyciągnąć swoją broń spod leżącego tuż obok niego kelnera, ale jeden z agentów chwycił ochroniarza za rękę i gwałtownie ją wykręcił. Generał złapał za krzesło i rzucił je z wściekłością w bandytę podnoszącego

się z podłogi. Solidny skądinąd mebel rozpadł się na kawałki. Kamiński chwycił za ułamaną nogę od krzesła i zaczął nią okładać ochroniarza po głowie. Po chwili mężczyzna leżał na ziemi zalany krwią. Nagle uchyliły się drzwi biura i na progu stanął Chytry Wiesław.

– Witam, panie generale – wykrztusił drżącym głosem. – Co pana do mnie sprowadza?

Generał kopnął drzwi z całej siły, tak że Wiesław musiał odskoczyć do tyłu. Kiedy Kamiński wszedł do gabinetu, odwrócił się i rzucił do swoich ludzi:

– Zostawcie nas samych.

Drzwi się zamknęły, a generał przyjrzał się uważnie Wiesławowi, który ubrany był jedynie w szlafrok.

– Jesteś sam? – spytał Kamiński.

– Nie, w pokoju obok jest dziewczyna – przerażony Wiesław wskazał na drzwi w głębi.

Generał podszedł, otworzył drzwi i niemal parsknął śmiechem. W pokoju, na łóżku siedziała młoda kobieta o czarnych długich włosach. Ubrana w skórzaną, seksowną sukienkę, czarne, połyskujące, wysokie kozaki, w rękę trzymała bat używany do jazdy konnej. Na ścianie przykręcono kajdanki, a poniżej grzecznie leżały w rzędzie różnorodne pejcze, knebel i nabijana ćwiekami obroża. Kobieta spojrzała zalotnie na generała i, niespieszona pistoletem w jego dłoni, spytała:

– Pan też chce skorzystać?

– Nie, kurwa, nie chcę skorzystać – odburknął Kamiński. – Raczej, droga pani, podnieca mnie, jak to ja komuś obijam gębę, a nie jak ktoś mi to robi.

W gabinecie obok stał przerażony Wiesław, nie wiedząc, co ma zrobić i powiedzieć. On, gangster, który trzęsie całym miastem, którego boją się wszyscy, lubi, jak wynajęta dziwka leje go po dupie batem... Kompromitacja na całej linii.

– Wiesz, mam niezły pomysł – stwierdził nagle generał, odwracając się do Wiesława. – Właściwie dlaczego mam sobie na to nie popatrzeć. Niech łaskawa pani kontynuuje, pośmiejemy się razem.

Generał był wyraźnie w bardzo dobrym nastroju i nie krył rozbawienia.

– Nie, może jednak porozmawiajmy – wydukał nieśmiało Wiesław.

– Nie, nie! Zapłaciłeś pani? Musisz doznać należytej rozkoszy. Zapraszam – warknął generał i pistoletem wskazał gangsterowi ścianę.

Gdy Wiesław począł skamlać i prosić o zrozumienie, Kamiński chwycił go za kark i przystawił twarzą do ściany. Następnie nakazał dziewczynie zakuć go w kajdanki i założyć knebel.

– Ile pani dostała za sesję? – spytał generał prostytutkę.

– Pięćdziesiąt dolarów.

– Często to robi?

Dziewczyna chwilę się wahała, po czym odpowiedziała:

– Raz w tygodniu, czasem dwa.

– No to, droga pani, od dzisiaj Wiesław, o ile przeżyje naszą pogawędkę, będzie

pani płacił sto dolarów. Jasne, Wiesiu? – Generał stuknął lufą od pistoletu w bok Wiesława. Zakneblowany zaczął kiwać głową potakująco. – Droga pani, co najbardziej perwersyjnego lubi nasz znajomy?

– Najbardziej lubi, jak chłostam go tym batem – oznajmiła dziewczyna i już miała zamiar wymierzyć cios, gdy Kamiński powstrzymał ją gestem ręki.

– Proszę zostawić nas na chwilę samych.

Gdy kobieta wyszła do sąsiedniego pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi, generał wyjął knebel z ust Wiesława i zapytał:

– Kto pozwolił ci napadać na Mariana?

– To nie ja! – krzyczał Wiesław niczym oszalały. – Cała Warszawa huczy, że ja to zrobiłem, a ja z tym nie mam nic wspólnego! Przysięgam na życie mamusi.

– No to kto, kurwa, napadł na Badylarza? – warknął generał. – Święty Mikołaj?

– Niech pan mnie zamknie, niech pan zamknie moich ludzi, to naprawdę nie ja – skamlał Wiesław.

– Kto, kurwa? – ponowił pytanie Kamiński, przystawiając Wiesławowi pistolet do skroni.

– Panie generale, nie odważyłbym się napadać na Mariana. Raz darował mi życie i przysięgłem, że bez jego zgody moja noga nigdy nie postanie w Piasecznie. Na mieście mówi się, że Marian miał coś kupić za dużą kasę i że to był trefny towar, a sprzedającym miał być ktoś wysoko postawiony od was.

Kamiński po usłyszeniu tych rewelacji wyraźnie się wściekł. Uderzył Wiesława pięścią w nerki. Ten, przykuty do ściany, zgiął się z bólu, a generał wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Co ty pierdolisz? Od nas? I ja bym nic o tym nie wiedział?

– Przysięgam, że tak mówią! Niech pan mnie zamknie, to przekona się pan, kto zażąda okupu za Badylarza!

– Jeżeli robisz mnie w chuja, to przysięgam, że osobiście zastąpię tę panią, tylko zamiast bić cię po dupie batem, wsadzę ci tam rozżarzony pogrzebacz, żebyś przeniósł się na tamten świat w niezapomnianej ekstazie – warknął Kamiński.

Z restauracji wychodził w podłym nastroju.

Pół godziny później znalazł się na komendzie stołecznej policji. Ruszył do gabinetu nadkomisarza, zapukał energicznie do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Bukalski czytał właśnie akta z przesłuchania sąsiadów, którzy widzieli tajemniczego kominiarza, i na widok Kamińskiego o mało z wrażenia nie spadł z krzesła.

– Co pana generała sprowadza w nasze skromne progi? – zapytał, wstając za biurka i wyciągając rękę na powitanie.

– Poświęci mi pan pięć minut? Na szczerą rozmowę? – Kamiński uścisnął dłoń nadkomisarza.

– Ależ oczywiście. Proszę, niech pan siada. Może kawa albo koniak?

– Nie, nie, muszę z panem natychmiast porozmawiać – oświadczył Kamiński.

– W czym mogę panu pomóc, generale?



- Pracuje pan nad sprawą porwania Badylarza i zabójstwa jego syna oraz goryli...
- Owszem, co konkretnie pana interesuje?

Generał wyjął paczkę marlboro i poczęstował Bukalskiego, który zrewanżował się ogniem z zapalniczki.

– Widzi pan, na mieście słyszy się dwie wersje wydarzeń. Według jednej za wszystko odpowiedzialny jest Chytry Wiesław. Druga... – Generał przerwał, by zaciągnąć się papierosem. – A druga mówi, że jakiś funkcjonariusz lub funkcjonariusze dawnych służb mieli coś sprzedać Marianowi.

Bukalski wysłuchał informacji, przyglądając się bacznie generałowi. Dopiero po chwili odparł:

– Wiem, że może pan w każdej chwili mieć wgląd do akt, więc nie będę ściemniał. Jeden ze świadków faktycznie przyznał, że miało dojść do transakcji, za którą stał jakiś generał, ale niestety osoba, która mogła nas do tego jegomościa doprowadzić, nie żyje.

– Kto to był?

– Szybki, a obecnie Kulawy, a raczej martwy, Mareczek. Mamy dwa rysopisy. Owego tajemniczego generała i kominiarza, którego podejrzewamy o napad. – Nadkomisarz sięgnął do jednej z teczek na biurku i wyciągnął dwa rysunki. Podał je Kamińskiemu.

Generał przyglądał się portretom pamięciowym. Nagle zmarszczył brwi i stwierdził:

– Te szkice są podobne.

– Podobne, więc muszę mieć zdjęcia pana kolegów z poprzednich lat, abym mógł okazać je świadkowi.

Generał zamyślił się, po czym stwierdził stanowczo:

– Nazwiska świadków, sam im pokażę zdjęcia.

– Tego się obawiałem – westchnął Bukalski. – Po waszej wizycie świadkowie mogą wszystko zapomnieć.

– Co pan, kurwa, sugeruje? – warknął generał. – To mógł zrobić Chytry, trzeba go objąć obserwacją.

– Wiesław jest pilnowany. Z tego, co wiem, przed przyjazdem do mnie osobiście złożył mu pan wizytę. Nieprawdaż? – spokojnie, uważnie obserwując swego gościa, zapytał Bukalski.

Generał nie był tak spokojny. Spojrzał wrogo na nadkomisarza.

– Nie podskakuj, kolego! Na razie mogę odsunąć pana od sprawy, więc albo będzie pan ze mną współpracował, albo... – Kamiński nie dokończył. Ostrzeżenie i tak było aż nazbyt oczywiste.

– Panie generale, wie pan i wiem ja, że dalej może pan w tym kraju dużo i że jestem od pana uzależniony, ale proszę nie żartować ze wspólnymi działaniami. Obawiam się, że wspólnie nie zabilibyśmy muchy w naszym kiblu. Kiedyś w komendzie poznałem pana metody.

– A kiedy panu utrudniałem śledztwo?

– Sprawa pewnego zabójstwa na Powązkach...

– Co pan insynuuje? Że ja za tym stałem? – warknął Kamiński.

– Nie pan, ale to pan robi wszystko, aby nam przeszkadzać w tej sprawie i wciska kit, że był to nieszczęśliwy wypadek.

Generał nie wytrzymał, wstał i wycedził przez zęby:

– Jeśli wydaje ci się, że możesz mi podskoczyć, to się mylisz. Na poniedziałek chcę raport i cały materiał. Jak się odezwą w sprawie okupu, chcę wiedzieć o tym w ciągu minuty. Jasne?

– Jasne – odparł krótko Bukalski. Miał dość tej rozmowy.

Wychodząc, Kamiński minął się w drzwiach z Adamem Wolfem. Obaj obrzucili się wrogimi spojrzeniami.

– Co ten kretyn chciał? – spytał Adam.

– Od dzisiaj nadzoruje sprawę Badylarza – oznajmił ponuro Bukalski.

– To kutas – rzucił, krzywiąc się, Adam. – Znowu doprowadzi mnie do obłędu.

– Spokojnie, poradzimy sobie z tą mendą – stwierdził nadkomisarz i szybko zmienił temat. – Masz coś?

– Tak, konkubina Kulawego Mareczka podała rysopis tego gościa. Zobacz – podał naszkicowany portret mężczyzny. Bukalski położył go na biurku obok rysopisu kominiarza.

– To ten gość – oznajmił.

Adam przyjrzał się uważnie i pokiwał głową.

– Wygląda na to, że to ta sama gęba. – Wolf przysiadł na krawędzi krzesła i rzucił, wpatrując się w oba portrety: – Kim pan jest, panie generale...?

– Wydaje mi się, a nawet mam pewność, że dawni esbecy maczali w tym palce. Wysłałeś do Interpolu zdjęcie i opis diamentu?

– Tak, dzisiaj za godzinę mam dzwonić do Londynu. Zobaczymy, czy go do czegoś dopasują.

– Widzisz – powiedział Bukalski, wpatrując się uważnie w szkice – kiedyś słyszałem, że SB wysyłało w latach siedemdziesiątych bandytów, którzy na Zachodzie okradali banki, jubilerów i bogatych ludzi, a następnie przesyłali te rzeczy do nas i dzielili się nimi z partyjniakami. Być może Kamiński wie o tym, dlatego tak go to interesuje. Na razie nie będziemy pokazywać tego portretu generałowi Kamińskiemu, bo jeżeli ten przyjemniaczek to jego koleś, to oprócz Kulawego Mareczka w krótkim czasie trzeba będzie zorganizować pogrzeb jego konkubiny.

– Myślisz, że byłby do tego zdolny? – spytał Adam z nutą niedowierzania w głosie.

– Myślę, że nasz przyjaciel wręcz musiałby to zrobić, bez skrupułów i natychmiast. Pamiętaj, że oni uważali się za nadludzi i dalej tak pozostało, mimo że wszyscy sądzą, że komuny już nie ma. Ale ona jest. Zmieniły się tylko nazwy instytucji, w których przecież nadal pracują.

– Czyli dalej musimy na nich uważać – podsumował Adam.

– Tak. Zwłaszcza teraz, gdy nie wiadomo, kto jest prawdziwym wrogiem.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Piotr wybiegł z domu, z którego strzelał do agentów WSI, rozglądając się uważnie dookoła, by upewnić się, że nikt nie widział całego zajścia. Szybko otworzył drzwi willi Remigiusza Wątroby, a następnie wciągnął ciała obu mężczyzn do środka. Przekręcił zamek w drzwiach i przeszukał zwłoki łysawego agenta. W bocznej kieszeni jego marynarki odnalazł klucz od wejścia do skrytki. Obrócił jeden ze słupków drewnianej balustrady, odblokowując zawiasy do wejścia pod schodami. Podważył drzwiczki i zobaczył klapę. Na ścianie niewielkiego pomieszczenia wisiały dwie maski przeciwgazowe. Założył jedną z nich, wsadził oba klucze i przekręcił jednocześnie. Gdy zamek puścił, uniósł ciężką pokrywę, odsłaniając wejście do piwnicy, do której prowadziła przytwierdzona do ściany żelazna drabina. Piotr powoli zdjął maskę. Czujnik wykrywający gaz co prawda milczał, ale wolał zachować ostrożność. Złapał oddech, wszystko było w porządku, system zabezpieczeń był sprawny. Piotr zszedł na dół i zapalił światło. W niewielkiej piwnicy, na drewnianych półkach znajdowały się pudełka opisane flamastrami oraz teczki zawierające dokumenty. Piotr chwycił pierwsze z brzegu pudło i wspiął się na górę. Po około godzinie piwnica była pusta.

Piotr wrócił do domku naprzeciwko willi. Spakował karabin, zamknął okno i zniósł stół na dół. Znalazoną w kuchni szczotką wytarł podłogę, a na dole porozrzucił to, co pozostawili w domku gospodarze, by zamarkować włamanie. Wyszedł przez balkon i zaniósł karabin do mercedesa, którym następnie wjechał na posesję Remigiusza. Wyładował z auta ziemniaki i kapustę, które zrzucił do piwnicy. Wyjął ciało Badylarza i zataszczył je do willi. Posadził zwłoki na kanapie. Obok ułożył ciała agentów WSI. Wyjął pistolet należący do syna Badylarza i oddał z bliska strzały w miejsca poprzednich postrzałów. Wyjął z bagażnika kanistry z benzyną i łatwopalnymi klejami, oblał nimi ciała nieżyjących mężczyzn, a następnie cały dom. Otworzył na górze okna, aby ogień miał łatwiejszy dostęp powietrza, po czym przyniósł cztery butle gazowe i postawił je obok zwłok. Do mercedesa zapakował pudła z aktami z piwnicy i wyjechał poza bramę, stając w pewnej odległości od posesji. Chwilę potem zaparkował audi dokładnie w miejscu, gdzie leżeli wcześniej zabici agenci WSI. Samochód zostawił otwarty. Wszedł do willi, zamknął od środka drzwi, odkręcił zawory w butlach z gazem i wyskoczył przez okno z tyłu budynku. Na zewnątrz zapalił zapałkę i rzucił ją w kierunku oblanej benzyną podłogi. W krótkiej chwili w ogniu stał już cały parter willi.

Piotr wsiadł do mercedesa. Jechał leśną drogą w kierunku przystani, skąd prowadziła droga do Warszawy. Kiedy był jakieś pięćset metrów od willi Remigiusza,

zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Pomiędzy drzewami zobaczył dym wydobywający się z górnych okien budynku. Pożar wyraźnie się rozprzestrzenił. Nagle powietrzem wstrząsnął wybuch, po chwili nastąpiły kolejne eksplozje. Wsiadł uspokojony do auta. Wszystko szło zgodnie z planem. Ruszył do Warszawy.

Po godzinie jazdy stanął na poboczu w pobliżu stacji benzynowej. Odszukał budkę telefoniczną i gdy już upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, założył rękawiczki i wykręcił numer domowy Mariana Badylarza.

– Słucham? – usłyszał zrezygnowany i zmęczony kobiecy głos.

– Chciałem rozmawiać z Heleną – oznajmił Piotr, wcześniej zasłaniając słuchawkę chusteczką.

– Przy telefonie.

– Zebrałaś kasę? – spytał.

– Tak, mam już większość kwoty – oznajmiła łamiącym się głosem po paru sekundach kobieta. Nagle zaszlochała i krzyknęła zdesperowana: – Daj, bandyto, Mariana do słuchawki, bo inaczej niczego nie dostaniesz!

– Chyba nie jesteś taka głupia, żeby myśleć, że dzwonię z meliny, gdzie leży twój chłop! – ryknął Piotr. – Miałem go tu z łóżkiem i kroplówką przywlec?! Jest ranny. Albo dasz nam kasę, albo szykuj drugą trumnę, będzie taniej. – Po drugiej stronie usłyszał jedynie płacz. – Słuchaj, kobieto – ciągnął, wiedząc, że trzyma Helenę w garści. – Powiem to tylko raz i więcej nie powtórzę. W niedzielę o szesnastej masz być z kasą w Garwolinie. Będziemy czekać pod restauracją „Sasanka”. Zobaczysz Mariana w samochodzie, nasz człowiek wyjdzie po torbę z kasą, dasz mu ją. Po sprawdzeniu kasy wypuścimy męża. Tylko bez numerów. Jak nas będziesz chciała wyrolować, to przekazemy Mariana cięższego o dziewięć gram ołowiu we łbie, jasne?

– Tak – prawie szepnęła zrozpaczona Helena.

– Jeszcze jedno. Pojedziesz przez Górę Kalwarię. Masz być pewna, że psy za tobą nie węszą. Nadasz na nas, to Marian zdechnie, rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

– Jest ranny w nogi, ale żyje, więc zbieraj kasę, bo drugi raz nie zadzwonię. W samochodzie, oprócz ciebie, może być tylko jeden człowiek, kierowca.

– Dobrze – potwierdziła po raz kolejny kobieta.

Piotr rozłączył się i ruszył do mercedesa. Do spotkania z McDowellem pozostały trzy godziny. Zerknął na mapę.

Kolejny raz zatrzymał się na małym leśnym parkingu. Stały na nim raptem dwa samochody. Ich pasażerowie i kierowcy kręcili się w pobliżu. Piotr ustawił mercedesa przy samym skraju parkingu, tak aby mógł otworzyć tył samochodu. Kiedy upewnił się, że nikt z drogi ani z parkingu mu się nie przygląda, otworzył tylne drzwi, wyjął futerał z karabinem snajperskim, włożył pistolet za pasek od spodni i ruszył do lasu. Po przejściu około trzystu metrów, dotarł do niewielkiego, ukrytego wśród krzaków i drzew stawu. Sprawdził, czy nikogo nie ma w pobliżu i nikt go nie obserwuje. Wziął szeroki zamach i po chwili skrzynia z karabinem wylądowała pięć metrów od brzegu. W ślad za karabinem poszedł pistolet. To tego miejsca szukał wcześniej na mapie.

Wrócił na parking, spojrzął na zegarek. Do pokonania zostało mu jeszcze sporo kilometrów. Do spotkania z McDowellem były dwie godziny.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Po burzliwym dniu generał Kamiński wreszcie dojeżdżał do domu. Jego sporych rozmiarów willa, otoczona wypielegnowanym ogrodem, znajdowała się na przedmieściach stolicy. Zamierzał w spokoju napić się koniaku i zrelaksować w salonie. Ledwie jednak dotarł na posesję, podjechała służbowa lancia na sygnale. Wsiadł z niej młody oficer.

– Panie generale, coś się stało – oznajmił zakłopotanym, drżącym głosem.

– Nie dukajcie mi tu! – Generał był wściekły i zmęczony. Miał dość rewelacji jak na jeden dzień. – Co się stało?

– Jeszcze nie wiem dokładnie, ale mamy informację, że koło Pizsa w willi z magazynem wybuchł pożar i coś eksplodowało. Ponoć cała się zawaliła.

Kamiński syknął, jakby go ktoś przypiekał.

– Jeszcze, kurwa, dzisiaj tego brakowało! Jakby było mało tego bajzlu w Piasecznie – rzucił z wściekłością i wsiadł do lancii.

Jego żona, dostrzegając zamieszanie na podwórzu, wyszła na ganek willi, ale nawet nie zdążyła dowiedzieć się, co się stało.

– Podwieźcie mnie natychmiast do domu generała Kwaśniaka – rozkazał jej mąż.

Pół godziny później lancia zatrzymała się na Sadybie. Kamiński stanął przy zdobionej furtce, nie zdążył jednak nacisnąć przycisku domofonu. Kwaśniak podszedł do ogrodzenia. U jego boku posłusznie przywarował wielki, biało-brązowy, wyglądający na rasowego, bulterier. Generał zapewne spacerował ze swym pupilkiem po ogrodzie. Widząc zdenerwowanego podwładnego, sam nacisnął przycisk głośnika domofonu i poprosił żonę:

– Gertrudo, zajmij się Reksem, mam gościa.

Wpuścił Kamińskiego do ogrodu i kiwnął głową, dając mu znak, że oczekuje na wieści. Domyślał się, że nie będą dobre.

– Towarzyszu generale! Złe, bardzo złe wieści! – wydukał Kamiński.

– Co się stało?

– Wejźmy do willi – poprosił podwładny, rozglądając się na boki.

Generał bez słowa zaprowadził Kamińskiego do drzwi, w których stała już żona gospodarza. Odebrała smycz z rąk męża i poszła w głąb ogrodu, o nic nie pytając. Kiedy znaleźli się wewnątrz, generał Kwaśniak powiedział stanowczym głosem człowieka nawykłego do wydawania rozkazów:

– Czesław, przestań się trząść i powiedz, co się stało!

– Panie generale, chodzi o nasz tajny magazyn. Moi ludzie dostali telefon

z policji, że domek Remigiusza spłonął. Słysząc było eksplozję.

Kwaśniak poczerwieniał i wałnął pięścią w blat etażerki, która stała w przedpokoju.

– Natychmiast weź swoich ludzi, zabezpieczcie cały teren! – warknął wściekle przez zaciśnięte zęby. – Nikt oprócz ciebie nie może wejść do środka. Melduj, co z dokumentami. Zrozumiano?!

– Tak jest! – Kamiński się wyprostował i szybko ruszył do drzwi.

Gdy był już na progu, generał Kwaśniak krzyknął:

– Nikt nie może wejść do piwnicy!

Kamiński wszedł do auta i połączył się z siedzibą WSI. Po niecałym kwadransie na miejsce zdarzenia jechało już pięć samochodów z agentami. Lancia miała do nich dołączyć. W międzyczasie Kamiński wydał polecenie policji, by żaden z funkcjonariuszy i strażaków nie wchodził na posesję. Po trzech godzinach jazdy konwój UOP dotarł na miejsce. Oczom generała ukazało się istne pobojowisko. Z okazałej drewnianej willi nie zostało dosłownie nic. Wybuch butli gazowych dopełnił ogromu zniszczeń. Ich eksplozja była tak silna, że z sąsiednich budynków powypadały szyby. Kamiński wysiadł z auta i rzucił:

– Kto tu dowodzi?

Po chwili podszedł do niego starszy, przypominający pocziwego, nieco zbyt pulchnego misia policjant i oznajmił zaskakująco stanowczym głosem:

– Ja, komendant posterunku.

Kamiński wyjął legitymację służbową.

– Niech pan rozkaże swoim ludziom i strażakom, by nie zbliżali się do budynku. Czy ktoś znalazł jakieś dokumenty?

– Panie generale – misio rozłożył ręce w bezradnym geście – jakie dokumenty? Ta willa rozsypała się jak domek z kart. Resztki dachu zawaliły się do środka. Trzeba go ściągnąć, pomału podnieść do góry...

– Dobra, niech pan oświetli teren i ściągnie pomoc, ale moi ludzie muszą wszystko nadzorować. Ma pan rannych czy zabitych? – spytał Kamiński.

– Strażacy mówią, że w środku są spalone zwłoki – odparł komendant. – Prawdopodobnie cztery osoby, ale są w takim stanie, że nic nie można rozpoznać. Ani płci, ani wieku. Dom runął na to zielone audi – wskazał przygniecione gruzami resztki auta – ale tam w środku nikogo nie było. Za domem w garażu stoi polonez. Właściciel to niejaki – komendant wyjął policyjny kajet – Remigiusz Wątroba, a ta lancia jeszcze nie wiemy, do kogo należała. Sprawdzamy to.

– Wiem, komendancie, kto tu mieszkał – stwierdził generał. – To, co panu powiem, musi pozostać między nami.

– Rozumiem. – Komendant pokiwał głową.

– To był oficer naszego kontrwywiadu i być może była to akcja obcego wywiadu. Dlatego muszę to sprawdzić, rozumie pan? – zapytał Kamiński.

– Rozumiem – odparł raz jeszcze pocziwy misio.

– Moi ludzie z Warszawy otoczyli teren. Chciałbym, aby zrobił pan zbórkę

wszystkich policjantów i strażaków. Muszą oddać wszystko, co znaleźli, lub wskazać, jeżeli cokolwiek ocalało z tego budynku. Nawet kartkę papieru. Czy to jasne?

– Oczywiście! Już zbieram ludzi przy lampie koło agregatu prądotwórczego.

– To, co pan dzisiaj robi, będzie bardzo, ale to bardzo rzutowało na pana dalszą karierę. Rozumie pan? – zapytał Kamiński, patrząc prosto w oczy komendanta.

– Tak jest, panie generale! – odparł słuźbiście komendant i ruszył zbierać policjantów oraz strażaków.

Podczas odprawy okazało się, że nikt nie znalazł żadnych dokumentów. Wejście do piwnicy zawałone było zgłiszczami spalonego dachu i ścian.

Kamiński nie wiedział, czy się cieszyć, czy niepokoić, że nikt nic nie znalazł. Jeżeli był to zamach, to wszystko wyglądało na cholernie profesjonalną robotę. Wsiadł do swojej lancierki Z i korzystając z radiostacji, zdał raport generałowi Kwaśniakowi. Ten wysłuchał i oznajmił:

– Wszyscy, którzy wiedzieli o tym miejscu, jutro mają być przez ciebie przesłuchani. Ale nie ruszysz się z miejsca, dopóki nie sprawdzicie magazynu.

– Oczywiście, towarzyszu generale! – odparł Kamiński. – Uważam, że ktoś odwalił kawał dobrej roboty. Przypadkowy wybuch nie rozwaliłby tego budynku. No chyba że Wątroba trzymał jakieś materiały wybuchowe, o czym nikt nie miał pojęcia. W środku są prawdopodobnie cztery trupy. Jeden należy do Wątroby, drugi może do Mroza, którego samochód, a raczej jego resztki, stoją pod budynkiem. Pozostałych dwóch to nasi ludzie. Niestety, ogień i eksplozja rozwaliły wszystko w drobny mak.

– Czyli istnieje szansa, że to wypadek? – spytał generał Kwaśniak. W jego głosie pojawiło się jednak powątpiewanie.

– Istnieje. Tylko czego tu w czasie kontroli szukał ten Mróz, tego nie wiemy.

– Z tego co wiem, to lubili się razem napić. Po akcji z Malczewskim, kiedy wysłałem ich na emeryturę, nakazałem temu kretynowi Wątrobie zerwać kontakty z Mrozem – oznajmił Kwaśniak.

– Chyba pana nie posłuchał. W resztkach audi strażacy znaleźli dwie butelki wódki, zagrychę i ryby.

– Ustal, gdzie jest teraz rodzina Mroza. Trzeba ich szybko przesłuchać i pokazać zwłoki – rozkazał Kwaśniak.

– Jest jeden problem. Te zwłoki są zwęglone, a dodatkowo runął na nie dach z drewnianych bali. Niezły pasztet. Widok jak z filmów grozy. Ale wysłałem ludzi do rodziny Mroza, ma córkę i zięcia.

– Dobra, przesłuchaj ich, ale najpierw sprawa piwnicy. Sprawdź, czy jej zawartość jest na miejscu, czy wyparowała.

– Tak jest!

Niestety, jak na złość, dźwig przyjechał dopiero nad ranem. Przemarznięci funkcjonariusze UOP cały czas czujnie obserwowali teren i przeganiali intruzów, chcących obejrzeć pozostałości wili. Kiedy udało się znaleźć odpowiednie miejsce dla ustawienia dźwigu, przybyła ekipa śledcza wraz z przedstawicielami prokuratury krajowej z Warszawy. Generał Kamiński poprosił ich o rozmowę na osobności.



– Panowie, to, co ustalicie, to tajemnica państwowa – stwierdził już na wstępie. – Prawdopodobnie mamy do czynienia z ingerencją obcego wywiadu, dlatego po podniesieniu dachu i ścian najpierw sam obejrzą to miejsce. Dopiero potem będziecie mogli wykonywać swoje czynności. Do tego czasu żadnych zdjęć. Czy to jasne? – Dwaj prokuratorzy i technicy przybyli z Warszawy pokiwali przytakująco głowami. – Jeszcze jedno. – Kamiński kiwnął ręką na stojącego z boku komendanta miejscowego komisariatu. Gdy podszedł, generał stanowczym tonem poinformował wszystkich: – Oficjalna wersja to nieszczęśliwy wypadek, wybuch butli gazowej. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Wszyscy bez zbędnej dyskusji potwierdzili, a Kamiński podszedł bliżej do poczciwego komendanta i rzucił, przyglądając mu się uważnie:

– Jeżeli któryś z pana podkomendnych zrobi zdjęcie albo palnie coś do prasy, to jutro wypierdolę go z roboty.

– Zbiorę ludzi i uprzedzę ich o tym – odpowiedział misio.

– No to świetnie, że się rozumiemy – stwierdził Kamiński i ruszył w kierunku gruzowiska.

Właśnie strażacy podnieśli zwalony dach i ściany, odsłaniając fragment domu, gdzie znajdowało się zejście do piwnicy.

– Panowie, proszę się odsunąć – rozkazał Kamiński strażakom, po czym podszedł do miejsca, w którym znajdował się wąż. Osmalona stalowa kłapa sterczała otwarta. Generał zerknął w dół. Drabina była cała. Ostrożnie zszedł do piwnicy, przyświecając sobie podręczną latarką pożyczoną od jednego ze strażaków. Zatrzymał się w połowie drogi. Na samym dole dostrzegł warstwę wody, która sięgała do jakiejś jednej trzeciej wysokości ścian i regałów. Pustych regałów. Tam gdzie powinny znajdować się dokumenty, były jedynie osmolone, opróżnione półki. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył, nigdzie nie było śladu choćby nadpalonych lub zwęglonych papierów czy teczek. Aby się upewnić, wskoczył do wody i zaczął brnąć w głąb piwnicy, oświetlając sobie drogę latarką. Cała dokumentacja wyparowała. Pożar nie był przypadkowy, to było aż nazbyt oczywiste. Ktoś zabił strażnika archiwum, dwóch oficerów oraz przypadkowego świadka – Piotra Mroza, a następnie, po wyniesieniu dokumentacji, podpalił willę dla zatarcia śladów.

Generał otarł czoło z potu. Dyszał ciężko. Nie wiedział, czy to z braku tlenu, czy z powodu tego, co właśnie do niego dotarło. Ktoś miał w ręku dokumenty, które mogły zniszczyć ludzi rządzących tym krajem przez ostatnie czterdzieści pięć lat. Ten ktoś mógł je sprzedać zachodnim agenturom, prasie lub którejkolwiek z nowo powstałych mafii. A wówczas cała bajeczka o oddaniu władzy w Polsce rozsypie się niczym domek z kart. Jeżeli ktoś ujawni źródła świeżych fortun, to operacja „Koł trójanski”, jeszcze przed jej rozpoczęciem, legnie w gruzach.

Uspokoił oddech i wyszedł na zewnątrz.

– Piwnica jest czysta – oznajmił swoim podwładnym, ucinając tym samym ich wszelkie dywagacje i pytania.

Postanowił sprawdzić jeszcze zwęglone resztki zwłok.

– W tym burdelu nie wiadomo, który jest który – oznajmił zrezygnowanym głosem, oświetlając latarką szerniałe szczątki. – Możecie zacząć pracę, tylko pamiętajcie o oficjalnej wersji – rzucił, podchodząc do jednego z prokuratorów. – Ona nie może się zmienić.

Mężczyzna pokiwał głową i potwierdził:

– Tak, panie generale, rozumiem.

Kamiński wszedł do samochodu. Przez chwilę zastanawiał się, jak ma przekazać nowe wieści generałowi Kwaśniakowi. Wiedział, że czeka go niemiła rozmowa. Sięgnął do radiostacji. Poprosił, by go połączono z mieszkaniem generała. Po chwili w słuchawce usłyszał zaspány głos przełożonego.

– Dobre wieści?

– Niestety, panie generale, fatalne. To nie był wypadek. Zawartość piwnicy wyparowała – powiedział Kamiński, pocąc się, mimo iż było zimno.

Na jakieś pół minuty zapanowała cisza.

– Kurwa! – ryknął nagle Kwaśniak. – To był najgłupszy pomysł, na jaki się zgodziłem! Natychmiast wezwij do siebie wszystkich ludzi, którzy wiedzieli o tym miejscu! Wszystkich trzeba przesłuchać i ustalić, czy mają alibi. Sprawdzić, czy ostatnio nie popadli w długi albo nie kupili czegoś drogiego. Co z ciałami zabitych? Kiedy będzie potwierdzona tożsamość?

– Panie generale, na miejscu są prokuratorzy i prowadzą oględziny. Ciała są zwęglone, a dodatkowo runęły na nie dach i eksplodowały butle gazowe – wyjaśnił Kamiński.

– To wezwijcie naszego patologa z Warszawy i niech porównają ich uzębienie. Przecież to nasi ludzie! Na kiedy możecie mieć potwierdzenie tożsamości?

– Myślę, że w poniedziałek rano będzie już wszystko wiadomo.

– Powiadomię naszych przyjaciół – stwierdził już nieco spokojniejszym, ale dość ponurym tonem Kwaśniak. – Nie będą zadowoleni z tego bajzlu. Narada o jedenastej w pana gabinecie.

– Tak jest! – odparł Kamiński i ruszył wydać odpowiednie polecenia prokuratorom nadzorującym sprawę.

Zaraz po skończonej rozmowie generał Kwaśniak zadzwonił do szefa Straży Granicznej i wydał polecenie sprawdzania wszystkich ciężarówek na granicy. Było piętnaście po szóstej.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

John McDowell dojechał właśnie do motelu położonego przy trasie wylotowej z Warszawy w kierunku Poznania. Dzień wcześniej, oficjalnie, wyleciał do Berlina z całą świtą. Chodziło o to, aby jego wyprawa była przez wszystkich zauważona. Dziś rano przekroczył granicę w kolumnie samochodowej składającej się z dwóch ciężarówek wiozących meble do ambasady amerykańskiej w Warszawie. Nikogo by to nie zdziwiło, gdyby nie fakt, że mniejszy pojazd był prawie pusty. Obok kierowcy siedział John przebrany za jednego z pracowników technicznych ambasady w Berlinie. Za nimi, w samochodzie osobowym, jechał Tom z trzema agentami udającymi monterów.

Gdy dojechali do motelu, cała kawalkada zatrzymała się na rzekomy postój. John wszedł do restauracji i zamówił stół. Do spotkania była jeszcze godzina, więc miał czas, by rozejrzeć się uważnie. Nic nie wzbudzało jego podejrzeń. Poszedł do recepcji, udając zmarzniętego, i zapytał, czy można wynająć pokój. Recepcjonistka zerknęła do książki meldunkowej i poprosiła o dowód. John wyciągnął z kieszeni przygotowany na taką okoliczność polski dokument tożsamości, po czym zapłacił z góry i pobrał klucze. Zanim poszedł do wynajętego pokoju, wrócił jednak na chwilę do stolika, gdzie agenci udający pracowników technicznych oczekiwali na zamówiony posiłek.

Kiedy zjedli, John dał im znać, że pora zająć pozycje na parkingu. Uregulował rachunek, wszedł na piętro i odszukał pokój numer dziewięć, w którym zastał jednego ze swoich agentów.

- Zamknij się od środka i pamiętaj, zapukam pięć razy.
- Dobra – odparł agent i zamknął drzwi.

John zszedł na dół. Przy jednym z okien w głębi holu zauważył Toma, który wpatrywał się w drogę przez lornetkę z noktowizorem.

– Słuchaj, nawet kretyn się kapnie, że coś jest nie tak. Od kiedy monterzy mebli używają takich rzeczy – rzucił, szybko podchodząc do kolegi.

– Spokojnie. – Tom wzruszył ramionami. – W motelu jest kilka parok, które albo zajmują się sobą, albo romantycznie trzymają się za ręce przy stolikach.

Rzeczywiście, za przeszklonymi drzwiami restauracji siedziało raptem kilka par wpatrzonych w siebie. Hol był praktycznie pusty.

- Ostrożności nigdy nie za wiele – odparł jednak John. – Sprawdziłeś wszystko?
- Tak. Wszystko w porządku. Nasi ludzie czekają pod kliniką Gemelli w Rzymie na rozpoczęcie procedury ochronnej.

– Wiadomo, jak poszła operacja?

– Nasz człowiek w Watykanie twierdzi, że mała przeżyła operację, ale jej stan jest bardzo ciężki – odparł Tom. – Myślisz, że gość przywiezie te papiery?

– Nie wiem, ale na jego miejscu bardzo bym się postarał – stwierdził John, wpatrując się w zadumie w okno.

– Coś jedzie. Jakaś granatowa furgonetka – Tom wskazał ręką samochód. Po chwili dostawczy mercedes faktycznie wrzucił kierunkowskaz i zjechał na parking przed motelem. Kierowca wysiadł i rozejrzał się. John rozpoznał w nim oczekiwanego niecierpliwie znajomego. Kiwnął na Toma i wyszli mu na spotkanie. John wyciągnął rękę na powitanie.

– Udało się panu? – spytał.

– Tak, mam wszystko, ale nie było łatwo – odpowiedział Piotr, ściskając dłoń McDowella. Rzeczywiście wyglądał na potwornie zmęczonego. – Czy nasza umowa wchodzi w życie?

– Tak. Co więcej, mam dla pana wieści z kliniki Gemelli.

– Tak? – Piotr patrzył z niepokojem na Johna.

– Mogę pana zaraz połączyć z córką, aby sama je panu przekazała – oznajmił John. – Pana wnuczka przeżyła operację, ale jej stan jest bardzo ciężki.

Piotr pobladł, otworzył drzwi szoferki i usiadł na brzegu siedzenia, jakby brakło mu tchu.

– Panie Piotrze, nie mamy czasu – powiedział cicho i spokojnie John. – Wie pan, że każda sekunda tutaj to ryzyko dla pana i dla nas.

– Jaki ma pan plan? – spytał Piotr, łapiąc głęboki oddech, jakby chciał się uspokoić.

– Proszę podjechać pod tę ciężarówkę – polecił John.

Piotr ustawił auto paką na wprost tylnych drzwi małej ciężarówki i otworzył klapę. John gwizdnął z podziwu. W środku leżały ponumerowane i opisane pudełka. Były też stopy teczek oznaczonych napisem „ściśle tajne”.

– Bierzemy się do roboty – rzucił John.

Po piętnastu minutach zawartość mercedesa znalazła się na oznakowanej jako pojazd dyplomatyczny bagażówce. Tom zamknął ją na kłódkę i założył plombę.

– Teraz nikt bez zgody ambasady nie może zajrzeć do środka – oznajmił John. – Panowie, idę na chwilę z panem Piotrem do samochodu.

Gdy usiedli na tylnym siedzeniu mercedesa na niemieckich tablicach, John wyjął ze skózanego futerału telefon w kształcie skrzynki, zerknął na kartkę i wybrał numer. Po chwili oczekiwania usłyszał głos w słuchawce:

– Tu Nathan. Z kim rozmawiam?

– Z psem Pluto – zdawał się żartować John. Było to jednak umówione hasło wywoławcze, które jednocześnie oznaczało, że wszystko do tej pory poszło zgodnie z planem.

– Pozdrawiam psa Pluto – odparł Nathan. – Mała księżniczka żyje. Jest dzielna. Czy mam oficjalnie przystąpić do roztoczenia opieki nad jej rodzicami?

– Tak, tylko miej oczy i uszy szeroko otwarte. Czy mógłbyś zlokalizować mamę księżniczki? Ktoś koniecznie musi z nią porozmawiać – poprosił John.

– Jasne, połączymy się za piętnaście minut. Przed chwilą widziałem ją pod kliniką.

– Dobrze – odparł John i zakończył rozmowę.

W tej samej chwili na parking pod motelem podjechał następny mercedes. Uważny obserwator mógłby dostrzec, że ma te same numery rejestracyjne, co auto, w którym siedzieli John z Piotrem. Z samochodu wysiadł elegancko ubrany starszy mężczyzna. Podszedł do wozu Johna i zapukał. Kiedy McDowell uchylił szybę, przybysz podał mu mały neseser.

– Dzięki, Frank – powiedział John. – Idź do naszego samochodu.

McDowell otworzył walizeczkę i wyjął z niej paszport, dowód osobisty, prawo jazdy i kartę łowiecką.

– Teraz nazywa się pan Arnold Schmidt, jest pan sześćdziesięcioletnim mieszkańcem Niemiec, a konkretnie Hamburga. Wszystko jest oryginalne. Z małym wyjątkiem: otóż prawowity właściciel o niczym nie wie i dlatego musi pan uważać, aby nie spotkać w Hamburgu swojego sobowtóra – zaśmiał się John.

– Spokojnie, postaram się długo tam nie zabawić – odparł Piotr.

– W bagażniku mam dla pana sto tysięcy dolarów, tak jak pan chciał. Z tego dziesięć tysięcy jest w markach niemieckich. Poza tym mamy dla pana garnitur, koszulę oraz torbę podróżną. Będzie pan wyglądał, jak ktoś, kto wraca z delegacji.

Piotr pokiwał głową na znak, że wszystko rozumie.

– A co ze skrytką? – spytał.

– Niech pan wysiądzie – poprosił John.

Gdy stanęli z tyłu mercedesa, John wydobył z neseseru małego pilota i po upewnieniu się, że nikogo nie ma na parkingu, nacisnął jeden z przycisków. Po chwili z miejsca, gdzie znajdowała się rejestracja samochodu, zaczęła wysuwać się ukryta szuflada.

– Majstersztyk – stwierdził pełen podziwu Piotr.

– Owszem, coś jak z Jamesa Bonda – uśmiechnął się John.

Po otwarciu skrytki ponownie użył niewielkiego urządzenia i szuflada zaczęła się zamykać. Piotr pokiwał raz jeszcze głową. Wszystko było jasne.

– Chodźmy do samochodu – zaproponował John. – Może Nathan odnalazł pana córkę. Tylko mam jedną prośbę. Rozmowa nie może trwać dłużej niż minutę. Mogą nas namierzyć i podsłuchiwać.

– Rozumiem – odparł Piotr.

Kiedy wsiedli do samochodu, John ponownie wybrał numer. Po chwili usłyszał znajomy głos.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tu pies Pluto. Wszystko OK! Masz mamę małej księżniczki?

– Mam – odparł Nathan.

Po chwili McDowell usłyszał kobiecy głos i oddał słuchawkę Piotrowi.

– Halo! To ty, córeczko? – rzucił niespokojnie Piotr. – Nie mamy dużo czasu. Jak mała czuje się po operacji?

– Tato, najważniejsze, że przeżyła operację. Teraz każda kolejna minuta życia daje coraz większą szansę na zdrowie. Ten profesor to najlepszy na świecie kardiochirurg. Profesor Kazanowski powiedział nam, że lepiej nie mogliśmy trafić. Nikt by tego lepiej nie zrobił.

– Kochana, musisz zaufać tym ludziom, oni mają was chronić. Ja muszę na jakiś czas zniknąć. Będę co jakiś czas kontaktował się z wami za pośrednictwem tych ludzi. O nic nie pytaj – poprosił Piotr.

– Dobrze. A co z mamą Jarka? – spytała Zuzanna o teściową przebywającą we Francji.

– Jutro do niej zadzwonię – odparł Piotr. – Czy Michał się wami opiekuje?

– Tak, to wspaniały człowiek, nie odstępuje nas na krok.

John wskazał palcem na zegarek i spojrzał wymownie na Piotra.

– Pozdrów go ode mnie i podziękuj mu za wszystko. Poproś, aby na razie nie wracał do kraju. Jak tylko będę mógł, to się z wami spotkam. Córeczko, jestem myślami przy was. Kocham was i wierzę, że mała będzie zdrowa.

Piotr podał telefon Johnowi. Miał łzy w oczach. McDowell zdawał sobie sprawę, że nie mają jednak czasu na emocje.

– Jest godzina wpół do dziesiątej – stwierdził. – Niech pan idzie do motelu się przebrać. Musimy jak najszybciej opuścić Polskę. Wkrótce na granicy może być nieciekawie.

Piotr wyciągnął ze swojego mercedesa torbę zabraną z jednego z pokoi Badylarza i wyjął z niej dwa tysiące dolarów. Potem wyjął nóż i naciął siedzenie kierowcy, wsadził tam pieniądze i dowód rejestracyjny samochodu. Następnie zamknął wóz i ruszył w kierunku trawnika okalającego motel, odliczając dokładnie dwadzieścia pięć kroków. Po chwili stał wśród krzaków porastających okolicę hoteliku, podniósł kamień, wykopał w ziemi dołek na dwadzieścia centymetrów i włożył tam woreczek z kluczykiem od bagażowego mercedesa. Przysypał dołek i starannie ułożył na nim kamień. Zdjął rękawiczki, wyrzucił je w krzaki i w towarzystwie Johna udał się do motelu.

Gdy przechodzili obok recepcji, Piotr zauważył telefon.

– Mogę zadzwonić? – zapytał recepcjonistkę.

– Tak, proszę – odparła grzecznie dziewczyna i wyszła na zaplecze, by nie przeszkadzać gościowi w rozmowie.

John spojrzał na Piotra pytająco, ale ten uspokoił go gestem dłoni. McDowell rzucił więc jedynie, że poczeka u siebie, i poszedł do pokoju.

Piotr wyjął kartkę z numerem telefonu do mechanika, od którego pożyczył mercedesa.

– Cześć, wszystko w porządku? – zapytał mechanik, gdy usłyszał w słuchawce znajomy głos.

– Tak – odpowiedział Piotr i rozejrzał się po holu, by mieć pewność, że nikt nie słyszy ich rozmowy. – Posłuchaj uważnie. Samochód stoi przed motelem na parkingu. Staniesz przy masce silnika i odejdiesz na dwadzieścia pięć kroków od wozu. Zobaczysz na ziemi kamień. Pod nim, w woreczku foliowym, zakopałem kluczyki. W nacięciu siedzenia kierowcy ukryłem dwa tysiące dolarów i dowód rejestracyjny.

– No co ty, zwariowałaś? – zapytał z niedowierzaniem mechanik.

– Nie wiem, kiedy się zobaczymy. Daj pracownikowi, który był ze mną, dwieście dolarów i morda w kubek. Nikt nie może wiedzieć, że pożyczyłem od ciebie samochód.

– Dobra, ale w co ty się, kurwa, wpakowałaś?

– W szmugłowanie ruskiej głowicy nuklearnej – uśmiechnął się nieco kpiąco Piotr. – Nieważne. Im mniej wiesz, tym będziesz spokojniej spał. I posprzątaj samochód.

– Dobra, zrozumiałem.

– Tylko powtarzam jeszcze raz: nikt nie może wiedzieć, że brałem ten samochód od ciebie.

– Nie musisz powtarzać, już zapamiętałem. Ten chłopak też. To pewny człowiek, moja rodzina. Jutro samochód będzie wysprzątnięty jak nowy.

– No to cześć, nie wiem, kiedy cię odwiedzę.

– Bywaj!

Piotr prawie pobiegł do ustalonego wcześniej pokoju hotelowego. John w międzyczasie przygotował walizkę z ubraniami.

– Ma pan piętnaście minut – rzucił, widząc wchodzącego Mroza. – Czekam na dole.

– Jasne – odparł Piotr i zamknął drzwi od środka.

John wiedział, że podróż przez Polskę zajmie mu około ośmiu godzin. Postanowił zatem wyruszyć jak najszybciej. Należało się spieszyć. Rano mogły być postawione w stan pogotowia wszystkie służby, w tym także rosyjskie. McDowell stał na parkingu, co chwila spoglądając na zegarek.

Piotr zjawiał się jednak na szczęście punktualnie, po kwadransie. Po założeniu drogiego garnituru i koszuli wyglądał teraz na rasowego biznesmena.

– No i jak? Wszystko pasuje? – zapytał John.

– Garnitur jest trochę za mały, buty trochę za duże, ale myślę, że do granicy dam radę. Najwyżej nie zapnę wszystkich guzików – zażartował Piotr.

– Chce pan pistolet tutaj czy za granicą?

– Niech pan włoży pistolet i pieniądze do schowka.

Raz jeszcze się rozejrzeli. Na parkingu było pusto. John schował wszystko do wysuwanej szufladki, zauważając przy tym, że pieniędzy jest nieco więcej niż podał uprzednio Piotrowi. Na koniec starannie ułożył berettę.

– Nowa, nieużywana. Ma spiłowane numery fabryczne – oznajmił. – Magazynek jest w środku. – Podał Piotrowi pilota od skrytki. – Tylko na granicy niech go pan ma przy sobie, aby celnik nie znalazł go gdzieś w samochodzie. Jak zacznie się bawić

i naciskać, to może się nieźle zdziwić.

– Rozumiem – odparł Piotr. – Jak będziemy się kontaktować?

John wyjął kartkę papieru i podał ją Piotrowi. Ten rzucił okiem i uśmiechnął się pod nosem.

– Widzę, że dobrze pan zapamiętał nasze pierwsze spotkanie.

– Tak, tak. Jeżeli zadzwoni pan do którejkolwiek naszej ambasady, poprosi o rozmowę z oficerem CIA i powie mu pan, że sprzątał wczoraj kosz i znalazł dużo banknotów dolarów kanadyjskich, to ten oficer skontaktuje się ze mną. Na drugi dzień zadzwoni pan o tej samej godzinie i oficer poda panu numer telefonu do mnie. Tu ma pan numer telefonu człowieka odpowiedzialnego za ochronę pana rodziny w Rzymie. Jeden warunek: rozmowa z nimi nie może trwać dłużej niż minutę!

– Rozumiem.

– Na pewno nie chce pan od razu skorzystać z naszej ochrony? – spytał John.

– Nie, mam jeszcze trochę spraw do załatwienia – odparł Piotr.

McDowell zaczęła szukać czegoś po kieszeniach.

– Ma pan może długopis? – Piotr sięgnął do kieszeni i wyjął pióro. John zanotował coś na kartce i podał ją Piotrowi, wyjaśniając: – To jest numer ambasady w Berlinie, tam najczęściej bywam oprócz Warszawy – oznajmił John, chowając pióro do kieszeni.

– Zapomniał pan o czymś – stwierdził dobitnie Piotr.

John spojrział na niego pytająco, jakby próbując przypomnieć sobie, czy czasem się jeszcze na coś nie umawiali.

– O piórze – odrzekł nieco łagodniej Piotr, wyciągając rękę. – To szczególna pamiątka. Prezent od zmarłej żony.

– No tak, przepraszam – odparł John, szybko oddając pióro. – Mam nieładny zwyczaj odruchowego przywłaszczania sobie wszelkich długopisów i piór.

– Czy mogę liczyć na to, że ochroni pan moją córkę, wnuczkę i zięcia? – spytał Piotr.

– Podejmując pańską grę, nie wierzyłem do końca w pana czyste intencje, ale dzisiaj uważam, że jeżeli w tych dokumentach jest to, co pokazał nam pan wcześniej, to ma pan moje słowo, że nic nie grozi pana rodzinie. Będzie pod naszą ochroną zarówno w Rzymie, jak i później w USA. Czekam na kontakt od pana. – John podał rękę Piotrowi. – Do zobaczenia. Niech pan szczęśliwie wyjedzie z Polski. Tylko jak najszybciej. Rano może być już za późno.



## ROZDZIAŁ XXXIX

Była godzina szósta rano czasu moskiewskiego. Poprzedniego dnia major do późna dyskutował z żoną na temat wychowania dwóch dorastających synów i dziś odsypiał trudną rozmowę. Tamara, choć zdawała sobie sprawę z charakteru pracy męża, niekiedy miała do niego żal, iż musi radzić sobie samotnie z wszelkimi problemami. Nie widzieli się przez blisko dwa miesiące, dlatego wezwanie do centrali było z jednej strony stresujące, a z drugiej – dawało majorowi możliwość spotkania z rodziną.

Ze snu wyrwał go dzwonek telefonu. Major zaczął szukać ręką aparatu na nocnej szafce. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież telefon w rodzinnym mieszkaniu znajduje się w przedpokoju, a nie, jak w jego mieszkaniu w Warszawie, przy łóżku. Poderwał się i niemal biegiem ruszył do przedpokoju.

– Tak, słucham.

– Towarzyszu majorze, tu dyżurny, porucznik Kurocznik. Dostałem z naszej ambasady w Warszawie polecenie, aby pana natychmiast odszukać i przekazać panu wiadomość. Niebezpieczna awaria zasilania stopnia pierwszego. Musi pan natychmiast stawić się w centrali i przygotować zespół elektryków z Moskwy do pomocy.

– Zrozumiałem – oznajmił major. – Proszę przekazać, że za pół godziny będę w centrali.

Odłożył słuchawkę i wrócił do sypialni. Wyciągnął z szafy ubranie i torbę, po czym zaczął się pakować.

– Co się stało? – spytała zaspana Tamara, podnosząc się na łóżku.

– Kochanie, muszę wracać do Warszawy – odparł, siadając przy niej i głaszcząc po policzku. – To bardzo poważna sprawa.

Małżonka była świadoma tego, że choćby Sasza wiedział, co się wydarzyło, to i tak by jej nie powiedział.

Czterdzieści minut później major stał przed gabinetem generała Raszkina. Zapukał i wszedł, stając na baczność.

– Melduję przybycie... – chciał mówić dalej, ale generał mu przerwał.

– Niech pan skończy i słucha! – ryknął poczerwieniały ze złości Raszkin. –

Otrzymaliśmy z naszej ambasady wiadomość, że polskim towarzyszom przepadły tajne dokumenty dotyczących naszych wspólnych przedsięwzięć w ramach operacji „Koń trojański”.

Nastąpiła chwila ciszy. Dopiero po paru sekundach przerwał ją major.

– Jak do tego mogło dojść?

– Nie wiem. Ale wiem – warknął generał, wskazując palcem na swego podkomendnego – że to wy jesteście odpowiedzialni za nadzór nad Polakami i wcielanie w życie kolejnych etapów tej operacji. Wiedzieliście o tym tajnym magazynie?

– Towarzyszu generale – major był przerażony. – Polacy nie informowali mnie, gdzie znajdują się te magazyny. Chcieli być niezależni w tej kwestii.

– Niezależni, niezależni i jak zwykle wszystko spieprzyli! – wrzasnął generał. Walnął pięścią w biurko, wstał z fotela i zapalił papierosa. Zaciągnął się i podszedł do okna, wpatrując się w coś na ulicy.

– Panie generale, czy wiadomo, co zginęło? – spytał major niepewnie.

– Ponoć cały jeden z dwu kompletów dokumentów.

– Wiadomo, kto to zrobił?

– Nie, nie wiadomo, kto to zrobił, ale wiem jedno: musicie znaleźć tego drania.

Major stuknął obcasami i już miał wygłosić formułkę o gotowości do natychmiastowego działania, gdy generał podniósł rękę.

– To nie koniec. Zaraz kogoś poznacie.

Nacisnął mały przycisk na biurku i ponownie usiadł, zapalając kolejnego papierosa.

Po chwili do gabinetu wszedł wysoki, chudy, obcięty na jeża oficer w stopniu kapitana. Na jego prawym policzku widoczna była sporych rozmiarów blizna. Miał chłodne, błękitne oczy. Major przyjrzał się przybyszowi. Wyglądał na człowieka od brudnej i bardzo niebezpiecznej roboty.

– Poznajcie się panowie. Oto kapitan Aleksander Kuzniecowa – przedstawił gościa generał. Kapitan zasalutował majorowi, ten odpowiedział i wyciągnął rękę na powitanie. – Dowódca naszego pionu X, który od zaraz wyrusza ze swymi najlepszymi ludźmi do Warszawy. Musicie się panowie jak najszybciej spotkać z naszymi polskimi towarzyszami i wspólnie ustalić, kto ukradł te dokumenty i co z nimi zrobił. Kapitan został przeze mnie już wprowadzony w problematykę.

Major zrozumiał, że generał nie ma już do niego zaufania i nowo przydzielony kapitan może w każdej chwili zastąpić go na zajmowanym stanowisku. Jeśli całe dowództwo uznało, że sprawa zaginionego archiwum to wynik nieudolności majora, jego kariera już legła w gruzach. Pion X zajmował się bezpośrednią eliminacją zagrożeń, więc być może przełożeni doszli do wniosku, że czas od dyplomacji przejść do konkretnych działań.

– Musicie panowie jeszcze o czymś wiedzieć – wyrwał majora z zamyślenia generał. – Pewne koła prawicowych polityków w Polsce dogadują się z Amerykanami na temat wprowadzenia Polski do NATO. Siadajcie panowie – wskazał na krzesła obok biurka. Gdy jego podwładni usiedli, generał założył ręce pod brodę, jakby chciał zastanowić się nad słowami, które ma wypowiedzieć: – To, co powiem, nie może wyjść poza ten gabinet, rozumiecie? – Obaj przytaknęli, a generał kontynuował: –

Musimy naszym polskim przyjacielom trochę pomóc, a jednocześnie dać im do zrozumienia, że Rosja była, jest i będzie potężnym krajem, który nie da grać sobie na

nosie. Pojedziecie do Warszawy i zrobicie trochę porządku. Dacie sygnał Amerykanom i środowiskom prawicowym, którym marzy się NATO, że zabawa się skończyła. Mam pewien plan, który być może nie wszyscy nasi towarzysze zrozumieliby, ale zamierzam się z nimi podzielić tą wiedzą. Być może wkrótce stosunek sił zmieni się na naszą korzyść i zejdziemy z kursu ustępstw i poniżeń, jakie fundują nam USA i CIA. Dlatego to, co zrobicie w Warszawie, musi być ściśle tajne. Nawet nasi polscy koledzy nie mogą o tym wiedzieć. Mają się domyślać, ale nie wiedzieć. Czy to jest jasne?

– Tak jest – padła zgodna odpowiedź.

Generał wyjął kolejnego papierosa i zaczął objaśniać im planowane posunięcia. Kapitan Kuzniecowa miał w tej rozgrywce pozostać postacią anonimową. Nawet dla polskich przyjaciół.

## ROZDZIAŁ XL

Generał Kamiński wszedł do swojego gabinetu w siedzibie WSI w Warszawie. Był przemoczony, brudny i zmęczony. Na szczęście w szafie znajdował się zapasowy garnitur na wypadek konieczności przyjęcia wyjątkowych gości. Generał przeszedł do łazienki, gdzie znajdował się prysznic. Po półgodzinnej toalecie wyszedł i połączył się z sekretariatem.

– Proszę o kawę, cztery łyżeczki, jak zwykle. I połącz mnie z generałem Kwaśniakiem.

Sekretarka po wysłuchaniu poleceń poinformowała szefa, że oczekuje na rozmowę z nim dwóch policjantów.

– Za dziesięć minut. Najpierw generał.

Po chwili w słuchawce usłyszał znajomy, ochryply głos Kwaśniaka:

– Po południu, o osiemnastej, mamy w ambasadzie rosyjskiej rozmowę z przybyłą delegacją. Mają nam pomóc w sprawie. Przygotuj się dobrze do rozmowy. Może być trudna.

– Tak jest, towarzyszu generale – służbiście rzucił Kamiński. – Zaraz zacznę ściągać wszystkich odpowiedzialnych za magazyn. Po południu patolodzy mają przeglądać uzębienie czterech denatów. Mamy teczki z ich aktualnym uzębieniem, tylko okazuje się, że ten Remigiusz nie leczył wcale zębów. Ostatni raz był u lekarza resortowego pięć lat temu.

– Przystępujcie do działania – rozkazał Kwaśniak. – Musimy odnaleźć te dokumenty, zanim wpadną w niepowołane ręce.

– Tak jest! – przyjął rozkaz Kamiński i odłożył słuchawkę.

Przeszedł do sąsiedniego gabinetu. Tam na stole leżały równo poukładane teczki osób, które wiedziały o magazynie. Było ich łącznie dwanaście. Czterech bohaterów tych akt najprawdopodobniej nie żyło. Pozostałych ośmiu od godziny szóstej rano było przesłuchiwanym przez oficera WSI.

Generał otworzył cztery teczki, szybko przejrzał i zabrał je do swojego biura. Usiadł we własnym fotelu i zaczął studiować materiały. Już miał zacząć czytać pierwsze akta dotyczące Piotra Mroza, gdy usłyszał pukanie.

– Wejść – rozkazał.

W drzwiach ukazała się sekretarka, która przyniosła mu kawę.

– Dziękuję.

– Panie generale, pan kapitan Malec prosi o pilną rozmowę.

– Niech natychmiast wejdzie. Dopiero kiedy skończę z nim rozmowę, poproś tych

z kryminalnej.

Po chwili do gabinetu wszedł szpakowaty mężczyzna, który wyglądał na czterdziestolatka. Stał na baczność, meldując się generałowi.

– Jakie wnioski po przesłuchaniu naszych kolegów? – spytał Kamiński.

– Na razie wszyscy mają alibi na wczorajsze popołudnie. Żaden z nich nie wyjeżdżał poza Warszawę. Wszyscy mają co najmniej dwóch członków rodziny lub znajomych mogących to potwierdzić – zameldował kapitan.

– A co z naszymi umarlakami?

– Wątroba nie miał rodziny poza matką, z którą nie utrzymywał kontaktów. Mróz ma córkę, ale ta wyjechała na operację z dzieckiem do kliniki w Rzymie.

Generał zmarszczył brwi i spojrzał badawczo na kapitana.

– Do Rzymu na operację dziecka...? A kto mu załatwił tę operację? Wiadomo, ile ona kosztowała?

– Jeszcze nie wiemy, towarzyszu generale.

– No to niech Malec się dowie. Macie dwie godziny na odwiedzenie lekarzy, którzy ją leczyli w Polsce, i dowiedzenie się, skąd emerytowanego pułkownika WSW stać było na taką wycieczkę wnuczki – wycedził przez zęby generał i ruchem ręki dał znać, aby kapitan się odmeldował.

Kamiński potarł skroń i sięgnął po odłożoną parę chwil wcześniej teczkę Piotra, gdy znowu przerwało mu pukanie.

– Wejść! – krzyknął zniecierpliwiony.

W drzwiach stanął nadkomisarz Bukalski. Towarzyszył mu Adam Wolf, którego Kamiński już zdążył poznać przy okazji jednej ze spraw. Nie lubił ani jego, ani jego policyjnego wścibstwa. Generał zerwał się z fotela.

– Dzień dobry, generale, przyśpieszamy zdanie raportu – oznajmił nadkomisarz, wyjmując mały magnetofon ze słuchawkami.

– Co to jest? – zapytał szorstko Kamiński.

– Powinien pan tego posłuchać – oznajmił Bukalski, podając generałowi słuchawki. Ten bez słowa założył je i nacisnął przycisk uruchamiający magnetofon.

Kamiński podszedł do okna, cały czas przesłuchując nagranie. Bukalski wraz z Adamem stali, czekając na reakcję generała. Uwagę Wolfa przyciągnęło jednak biurko ze stosem akt. Podszedł bliżej i korzystając z nieuwagi generała, ostrożnie otworzył leżącą teczkę Piotra Mroza. Zauważył zdjęcia i życiorys. Bez trudu mógł odczytać nazwisko. Jedna z fotografii przedstawiała pogrzeb. Adam upewnił się, że Kamiński nadal zajęty jest odsłuchiowaniem taśmy, i błyskawicznie schował do środkowej kieszeni kurtki zdjęcie, czym o mało nie przyprawił o zawał Bukalskiego, który patrzył na podwładnego z niedowierzaniem. Adam zamknął teczkę i błyskawicznie cofnął się na swoje miejsce, dosłownie sekundę przed tym, gdy Kamiński odwrócił się od okna, zdejmując słuchawki. Generał był wyraźnie zmieszany, dopiero po chwili odezwał się do stojących:

– Przepraszam, siadajcie panowie. Może kawa? – zapytał.

– Nie, dziękujemy, mamy kupę roboty. I co pan na to, panie generale? – spytał

wprost Bukalski.

Kamiński usiadł w fotelu, wyjął paczkę papierosów i poczęstował policjantów. Adam wyciągnął zapalniczkę i odpalił papierosy przełożonym. Kiedy zapalał papierosa Kamińskiemu, ich wzrok się na moment skrzyżował. Nie znosił gościa i był pewien, że generał podziela jego antypatię. Pozory należało jednak zachować. Wymagała tego sytuacja i zdjęcie w kieszeni kurtki Adama.

– Kto według was porwał i obrobił Badylarza?

– Nie wiemy – odparł zgodnie z prawdą nadkomisarz.

– Ale kogoś podejrzewacie?

– Przykro mi, ale wszystkie hipotezy i poszlaki wzięły w łeb – oznajmił Adam. – No chyba że pan generał pozwoli zobaczyć parę zdjęć pana kolegów z SB i WSW wdowie po Kulawym Marcetku.

– Wdowa dzisiaj zostanie przesłuchana przez moich ludzi – wycodził Kamiński, dając do zrozumienia, że najlepsze, co mogą zrobić, to nie wtrącać się.

– Możemy być przy tym? – spytał mimo to Bukalski.

– Zastanówmy się lepiej przez chwilę nad tym – odparł Kamiński, ignorując pytanie – co z jutrzejszym przekazaniem okupu i obserwacją. Jaki macie plan?

– Po wysłuchaniu tego nagrania uważamy, że albo porywacze to kretyni, albo to gra, która ma na celu wyciągnięcie z domu Heleny wraz pieniędzmi i pozbycie się obserwacji. Przecież nawet dziecko wiedziałoby, że telefon jest na podsłuchu – wyjaśnił Bukalski.

– Jakież wnioski? Plan? – naciskał Kamiński.

– Uważam, że ten telefon to tylko test porywaczy. Na pewno będą obserwować żonę Badylarza. Sprawdzać, czy jest obstawiona. Do wymiany nie dojdzie, chyba że... – Nadkomisarz zamyślił się i dopiero po paru sekundach kontynuował: – Chyba że po drodze albo pod restauracją Helena dostanie polecenie udania się w inne miejsce.

Generał stukał nerwowo palcami po biurku.

– Plan jest taki – oznajmił po chwili namysłu. – Pana ludzie obstawiają restaurację, cztery nieoznakowane radiowozy w pogotowiu, plus ludzie zabezpieczający restaurację. Telefony w knajpie na podsłuchu. Moi ludzie eskortują żonę Badylarza z domu do Garwolina. Dwa samochody z przodu, w zasięgu wzroku, i dwa z tyłu. Żadnych oznakowanych radiowozów.

– Panie generale – wtrącił Adam – wolałbym, aby jeden nieoznakowany pojazd jechał z tyłu razem z pana dwoma samochodami.

– Panie kolego, wydaje mi się, że to ja jestem starszy stopniem, nieprawdaż? – rzucił wściekle Kamiński i po chwili z nieukrywaną niechęcią dodał: – Jeżeli pan nam aż tak nie ufa, to pojedzie pan razem ze mną w naszym samochodzie.

– Dobrze – wyprzedził kolegę Bukalski. – Cały czas obserwujemy dom Mariana. Jeżeli zajdą jakieś nieprzewidziane okoliczności, poinformujemy pana.

– Liczę na to. A teraz muszę panów przeprosić.

– A co z przesłuchaniem konkubiny świętej pamięci Marcetka? – jeszcze raz

zapytał nadkomisarz, nie dając za wygraną.

Generał spojrzął na zegarek.

– Proponuję przesunąć to na poniedziałek, na godzinę dziesiątą – rzucił i wstał, dając do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

Bukalski i Adam bez ociągania wyszli z gabinetu. Obaj doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że do poniedziałku konkubina Mareczka będzie już przesłuchana przez generała i jego ludzi. I nie mylili się. Zaraz po wyjściu obu mężczyzn generał chwycił za słuchawkę i kazał połączyć się z patologami, którzy porównywali uzębienie ofiar eksplozji w willi Remigiusza Wątroby.

– No co, o której będę miał jakieś wstępne potwierdzenie tożsamości? – rzucił Kamiński.

– Panie generale, ci ludzie zginęli na skutek ran postrzałowych – oznajmił patolog. – Jedna z ofiar ma przestrzeloną czaszkę, pozostali zginęli od ran postrzałowych w klatkę piersiową. Ktoś strzelał dwa razy w to samo miejsce z dwóch różnych jednostek broni.

– Czyli fachowa robota zawodowca? Ktoś chce zmylić trop?

– Na to wygląda.

– Kiedy potwierdzicie ich tożsamość za pomocą zgodności uzębienia?

– Myślę, że wieczorem będą wyniki.

– Jaki wieczór?! – oburzył się generał. – Potrzebuję wyników na szesnastą! Zrozumiano?

– Tak. Postaramy się, aby były gotowe na szesnastą – odparł patolog pokornie.

Generał rozłączył się i ponownie wybrał numer sekretariatu.

– Połącz mnie z Krzezińskim – rozkazał sekretarce. Po chwili usłyszał głos oficera śledczego. – Za ile będziecie przesłuchiwać konkubinę?

– Panie generale, melduję, że jest właśnie w trakcie.

– Pokazał jej pan zdjęcia?

– Za parę minut je zobaczy.

– Jeżeli kogoś rozpozna, to natychmiast z tym do mnie!

– Tak jest! – odparł oficer.

Kamiński odłożył słuchawkę i zamyślił się.

\*\*\*

Bukalski i Adam wychodzili właśnie z budynku WSI, gdy tuż przed wejściem niemal wpadli na ładną brunetkę. Kobieta uśmiechnęła się serdecznie do młodszego z policjantów.

– Kopę lat, księżniczko – Adam odwzajemnił uśmiech. Alinka była jego dawną, szkolną miłością. Obecnie pracowała jako sekretarka u jakiegoś ważniaka z WSI.

– Cześć! Co u ciebie? Przeniosłeś się do nas z kryminalnej? – zapytała, wyraźnie uradowana ze spotkania.

– Alina, znajoma z dawnych lat. Jak zwykle atrakcyjna i powabna – rzucił do

nadkomisarza Adam, przedstawiając koleżankę. – Dlaczego u nas nie ma takich ładnych dziewczyn?

Kobieta roześmiała się szczerze i zapytała bez skrępowania:

– Dalej wolny?

– Dalej, a ty?

Alinka wyciągnęła rękę z obrączką.

– Od dwóch lat już nie.

– Kto jest tym szczęściarzem? – spytał Adam.

– Kapitan Rogala.

– Niech zgadnę, pracownik tego budynku?

– Niezupełnie. Szef ochrony ambasady w Paryżu.

– Czyli na małą wódkę możemy się umówić i wspominać stare czasy?

– Jasne! Z tobą zawsze – odpowiedziała bez chwili wahania. Łączyły ich dobre wspomnienia.

Bukalski uśmiechnął się, ale wskazał wymownie na zegarek. Nie spieszyło mu się aż tak bardzo, ale chciał jak najszybciej opuścić budynek z powodu zawartości kieszeni Adama. Wiedział, że Kamiński to nie dureń i może w każdej chwili zorientować się, że zdjęcie zniknęło. Wolf jednak przeprosił na chwilę szefa i odciągnął koleżankę nieco na bok.

– Nie wiesz, co tak wkurwiło Kamińskiego? – zapytał dziewczynę na ucho.

Alinka rzuciła wzrokiem na lewo i prawo. Orientując się, że nikt nie podsłuchuje rozmowy, odpowiedziała:

– Coś się wczoraj stało poważnego na Mazurach. Wszystkich ściągnęli do pracy.

– Nie wiesz co?

Dziewczyna jeszcze raz rozejrzała się czujnie wokół.

– Nie wiem. Słyszałam, że są cztery trupy i coś wyleciało w powietrze w pobliżu Pizsa.

Adam pocałował ją w policzek i poprosił:

– Spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej. Zadzwoń po niedzieli, to pójdziemy na kielicha. OK?

– OK, tylko bez głupich tekstów. Nie chcę plotek. Mój mąż jest bardzo zazdrosny.

– Alinka pogroziła palcem znajomemu.

– Dobra, dobra, na wódkę z tobą włożę kamizelkę kuloodporną – rzucił żartobliwie na odchodne Adam.

Po chwili obaj mężczyźni byli na parkingu przed budynkiem.

– Popierdoliło cię? Kraść zdjęcie z biurka tej gnidy? – wybuchnął poirytowany Bukalski.

– Jeszcze dziękujesz mi za to – odparł Adam.

Gdy siedzieli w samochodzie, Bukalski rzucił obcesowo:

– Oświeć mnie.

Adam, nic nie odpowiadając, wydobyl z kurtki zdjęcie i podał je nadkomisarzowi.



Bukalski chwilę przypatrywał się fotografiom i nagle syknął:

– Kurwa! Przecież to kominiarz i ten generał, który był u Mareczka w mieszkaniu.

– Teraz wiesz dlaczego.

– Teraz wiem.

– Zapytaj przez radio, co stało się wczoraj w okolicach Pizsa i dlaczego ten kretyn postawił całe WSI na nogi.

Bukalski połączył się z oficerem dyżurnym Komendy Głównej i wkrótce usłyszał w słuchawce jego głos.

– Jakiś pożar, do tego wybuch gazu. Cztery ofiary śmiertelne. Sprawę przejęło WSI i prokuratura krajowa z Warszawy.

– Dzięki – odparł nadkomisarz.

– Zanim zaczniesz dopytywać o dane gościa ze zdjęcia – uprzedził pomysł szefa Adam – to powiem ci, że zdołałem zapamiętać jego nazwisko.

– Jesteś nieoceniony – odparł Bukalski. – Adres też?

– Nie, adresu nie znam, ale nazywa się Piotr Mróz.

– Mrozów może być w samej Warszawie cała masa. Chyba że... – nadkomisarz zamyślił się.

– Chyba że co? – ponaglił go Adam.

– Chyba że odwiedzę mojego emerytowanego wujka.

– A co ma do tego twój emerytowany wuj? – spytał, nie kryjąc zdumienia, Wolf.

– A wujcio – odrzekł z uśmiechem Bukalski – wujcio, przyjacielu, jest generałem SB. Emerytowanym generałem.

– O kurwa! A jak się nazywa ten twój wuj? – Adam roześmiał się.

– Nie kpij. To ubek, ale na pewno nikogo nie zabił.

– Jasne! Jasne, że nie zabił – zaczął drwić Adam. – Donosił tylko amunicję.

Bukalski zaczął się śmiać, ale postanowił powiedzieć przyjacielowi prawdę.

– Wiesz stary, że ja o mały włos nie zostałem esbekiem?

Adama zamurowało.

– I byłąs teraz generałem UOP-u? Przecież ty nie znosisz tych pierdolonych komuchów.

– Widzisz, kolego, kiedyś, jakieś dwadzieścia pięć lat temu, miałem chęć iść do szkoły SB i ostatecznie nie poszedłem. A wiesz, kto wybił mi to z głowy?

– Kto?

– Mój wujek, emerytowany generał. Wziął mnie na wódkę. Poszliśmy do podrzędnej knajpy i powiedział mniej więcej tak: możesz być, synu, milicjantem, łapać złodziei albo kierować ruchem na drodze, nawet cieciem, ale ani się waż być esbekiem.

– I to ci wystarczyło?

– Nie. Ale wujek jako młody żołnierz WUBK widział rozstrzeliwanie żołnierzy podziemia niepodległościowego przez zbrodniarzy z UB. Powiedział, żebym trzymał się z dala od tej instytucji, bo inaczej przesiąknę gównem, a ludzie do końca życia

będą omijać mnie z daleka, tak jak jego.

– I co? – spytał Adam. – Nie żałujesz, że nie wstąpiłeś do SB?

– Gdy patrzę na generała Kamińskiego i to całe bagno, to jestem cholernie wdzięczny wujowi. Wolę być szarym, prostym gliną, a nie skurwielem, który całe życie pływa w gównie po szyję, a udaje, że to paryska perfuma.

Zapadła cisza. Adam nie dziwił się szefowi.

Zatrzymali się przed jednym z bloków na Mokotowie. Bukalski spojrzął w lusterko, czy nikt nie parkuje za nim.

– Zostań tutaj. Wuj teraz jest u swojej córki. Bawi się z wnuczkami – rzucił do kolegi i wysiadł z samochodu, zabierając zdjęcia.

Adam rozłożył fotel w służbowym polonezie i uciął sobie krótką drzemkę.

Bukalski wjechał na czwarte piętro i ruszył do mieszkania. Zadzwoił i po chwili zauważył, że ktoś wygląda przez wizjer. Szczęknęły zamki i w drzwiach stanął starszy mężczyzna.

– Cześć, wujku, możemy chwilę porozmawiać? – zapytał nadkomisarz.

– Cześć, Zdzychu – odparł generał, zapraszając gestem Bukalskiego do środka. – Chodź, chodź! Właśnie malujemy z dziewczynkami. Zobaczysz, jakie mam zdolne wnuczki.

Wkrótce nadkomisarz siedział w fotelu, a dwie wnuczki generała – dziesięcioletnia Weronika i pięcioletnia Antosia – pokazywały swoje prace malarskie. Z uznaniem chwalił dziewczynki.

– Kawa czy herbata? – spytał generał.

– Kwadrans szczerzej rozmowy – poprosił Bukalski, patrząc wymownie na wuja.

– Dziewczynki, idźcie do salonu i pooglądajcie sobie bajki. Dziadek z wujkiem Zdlichem musi porozmawiać.

Gdy dzieci wyszły do pokoju obok, Bukalski podał wujowi zdjęcie.

– Znasz tego gościa? – spytał bez zbędnych wstępów.

– Tak – starszy pan pokiwał w zamyśleniu głową.

– Kto to taki?

– Ktoś niedawno już pytał o tego człowieka – poinformował generał.

– Kto? – Bukalski był szczerze zdziwiony.

– Ktoś z dawnych służb. Obecnie na emeryturze – odpowiedział gospodarz. Nadkomisarz jednak zauważył na jego twarzy zmieszanie. Czegoś mu wuj nie mówił, tego był pewny.

– To kto to jest? – dopytywał jednak, udając, że nic nie zauważył.

– Piotr Mróz. To emerytowany pułkownik WSW.

– Czy ten gość mógłby kogoś kropnąć?

Generał popatrzył na niego uważnie.

– Zdzychu, to, co usłyszysz, musi zostać między nami. Z tymi ludźmi – wskazał na zdjęcie – nie ma żartów. Rozumiesz?

– Tak, wujku. Nikt się nie dowie, że rozmawialiśmy.

– Ten gość mógłby kogoś kropnąć bez problemów, z zimną krwią. Może gdyby musiał, mógłby kropnąć cały wasz wydział. Kapujesz?

– Czym się zajmował?

– Zdzychu – generał niemal szepnął – wszystkie służby, niezależnie od ustroju państwa mają takich ludzi.

– Gość od mokrej roboty?

Starszy pan przytaknął.

– Półtora roku temu wysłano go na emeryturę, bo zaczął się interesować rzeczami, którymi nie powinien się interesować.

– A co to za rzeczy? – ciągnął Bukalski.

Bukalski dostrzegł strach w oczach wuja. Widać było, że bije się z myślami.

– Zdzychu, jak puścisz parę z gęby, to twoja i moja rodzina może nie dożyć jutra – powiedział po chwili milczenia cicho. – Ci ludzie, którzy się tym zajmują, to wiatr ze wschodu, rozumiesz?

– Rozumiem, ale czym konkretnie?

Generał potarł skronie, jakby rozboleła go głowa i wyjaśnił:

– To międzynarodowy handel bronią, w tym także bronią chemiczną, a może i materiałami rozszczepialnymi. Nie ciągnij mnie dalej za język.

– Rozumiem – nadkomisarz pokiwał głową ze zrozumieniem. Wuj nie był z natury tchórzem i jeśli się bał, to znaczyło, że jego rodzinie mogło naprawdę grozić niebezpieczeństwo. – A gdzie pomieszkuje nasz pułkownik?

– Niedaleko stąd, na Ursynowie.

Bukalski podziękował, schował zdjęcia i ruszył do wyjścia. Gdy był już w korytarzu, wuj dogonił go.

– Przypomniało mi się, Zdzychu – cicho powiedział starszy pan – że Mróz stracił żonę i wnuczkę dwa lata temu w wypadku samochodowym w Piasecznie. Jakiś wariat rozjechał sportowym porsche ludzi stojących na przystanku. Wśród ofiar była jego rodzina.

– Sportowe porsche... Jakiś zagranicznik?

– Nie, jechał nim ponoć synalek tego bandziora z Piaseczna. No jak on się nazywa? – generał potarł dłonią szyję, jakby usilnie chciał sobie przypomnieć.

– Bandzior z Piaseczna? – Nadkomisarz nagle znieruchomiał. Wszystko stawało się jasne.

– No ten, no mam na końcu języka – pstryknął palcami generał.

– Badylarz. Syn starego Badylarza – rzucił Bukalski, wybiegając na korytarz. – Wuju, jesteś genialny – wykrzyknął i ruszył pędem na dół.

Bukalski przypomniał sobie głośną sprawę sprzed kilku lat. Sportowe porsche, którym rozbijał się po Warszawie Sebastian, zwracało uwagę wszystkich. O wypadku mówiło się bardzo długo i wyrok w sprawie wskazywał, że jakaś niewidzialna ręka pomogła uniknąć młodemu kary. Mówiło się wtedy, że w układ ze starszym Badylarzem wszedł sam Kamiński i pomógł synalkowi za kasę wybrnąć z tego. Do więzienia poszedł wtedy siedzieć chłopak, który był jedynie pasażerem. Zgodził się

wziąć całą winę na siebie. Też pewnie za dużą kasę. Dostał chyba sześć lat.

\*\*\*

Tymczasem generał Kamiński kończył w gabinecie jeść gorący obiad przyniesiony ze stołówki. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął.

W drzwiach stanął kapitan Malec.

– Siadajcie i mówcie. Mam mało czasu – powiedział Kamiński, nie przerywając posiłku.

– Panie generale, z informacji, które udało się nam zebrać w Centrum Zdrowia Dziecka, za operacją w rzymskiej klinice Gemelli, stoi ojciec święty...

Generał o mało się nie zakrztusił z wrażenia. Zaczął kaszleć i wypluł na talerz kęs jedzenia.

– Kto stoi?

– Ojciec święty, papież Jan Paweł II – powiedział Malec i zerknął niepewnie na drzwi, jakby zaczął planować trasę ucieczki.

– Wiem, kim jest ojciec święty, debilu! – wrzasnął Kamiński. – Chcecie mi powiedzieć, że nasz świętej pamięci pułkownik Mróz miał chody w Watykanie u samego papieża?

– Panie generale, cała klinika jest święcie przekonana, że transport i operacja wnuczki Mroza to dzieło papieża – szybko zapewnił Malec. – Jutro z Włoch wróci doktor Kazanowski, który uczestniczył w transporcie i operacji w Rzymie. – Wiem też, że w organizacji transportu pomagał jakiś ksiądz z Krakowa. – Oficer wyjął notes i zerknął do niego. – Zdaje się, że miał na imię Michał. Ksiądz Michał, tak zwracała się do niego córka Mroza.

Generał wstał od stołu i ruszył do biurka, otworzył dossier Piotra Mroza i zaczął przeglądać zdjęcia.

– Gdzie się podziało zdjęcie z pogrzebu żony Mroza?! – wrzasnął nagle, wprawiając niemal w drżenie Malca. Kapitan rozłożył bezradnie ręce. Kamiński zacisnął zęby i usiadł w fotelu. Musiał przeanalizować sytuację. Nagle doznał olśnienia.

– To ten gnój! Stał przy biurku!

Skołowany kapitan szybko dodał:

– Kazałem sprawdzić, gdzie dzwoniła ze szpitala córka Mroza. Zaraz powinienem mieć połączenie i odpowiedź.

W tym momencie do gabinetu ktoś zapukał. Kamiński wrzasnął:

– Wejść!

W drzwiach, z uśmiechem na ustach i zdjęciem w ręku, stanął porucznik Krzemiński.

– Co się tak cieszyacie, kurwa? Też macie wejścia w Watykanie? – warknął generał. Porucznik nie zareagował, stał jedynie, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. – No co? Macie coś dla mnie? Czy przyszliscie pokazać wasze wspaniałe

uzębienie i reklamować zalety nowej pasty do zębów.

Krzemiński nieco oprzytomniał. Szef był znany z wyżywiania się na podwładnych.

– Panie generale, melduję, że przesłuchiwana kobieta rozpoznała na fotografii mężczyznę, który prowadził jakieś tajemnicze transakcje z Kulawym Mareczkiem – zameldował porucznik i położył na biurku fotografię.

Generał spojrzął na zdjęcie i z wrażenia niemal pobladł. Wyjął z biurka koniak i lampkę, nalał sobie pokaźną porcję i wychylił jednym haustem. Następnie wziął fotografię do ręki i polecił:

– Ty, Malec, masz stanąć na głowie i ustalić, jak nazywa się ten ksiądz oraz wszystko na temat operacji w Rzymie i córki Mroza. Gdzie jest, kto się nią opiekuje... wszystko! Uruchomić ambasadę w Rzymie. Masz dwie godziny, aby to zrobić. Krzemiński, bierz ludzi i jedziemy do mieszkania Mroza, a potem do mieszkania jego córki. Ustalcie, gdzie Mróz miał domek letniskowy i wyślijcie tam ekipę.

Gdy obaj oficerowie wyszli, Kamiński podniósł słuchawkę i wykręcił numer generała Kwaśniaka. Po chwili usłyszał w słuchawce:

– Tak, słucham.

– To ja, towarzyszu generale. Chyba wiem, kto może za tym stać. Jadę do jego mieszkania. Potem przyjadę do towarzysza generała.

– Dobrze, tylko pamiętajcie, że o osiemnastej mamy być w rosyjskiej ambasadzie. Do tego czasu musicie złożyć mi raport, abym nie wyszedł przed Rosjanami na kretyna, któremu złodziej wszedł do domu przez otwarte okno, a on dowiaduje się o tym fakcie właśnie od nich. Zrozumieliście? – spytał groźnie Kwaśniak.

– Zrozumiałem, przed spotkaniem opracuję ustny raport, który panu przekażę. Do szesnastej będę miał potwierdzenie tożsamości czterech ofiar. Ze wstępnych oględzin patologa wynika, że wszyscy zginęli od strzałów z broni palnej.

– A więc zawodowcy? – stwierdził generał Kwaśniak.

– Albo zawodowiec – zasugerował Kamiński.

– Myślicie, że jeden człowiek mógłby... – w głosie Kwaśniaka pobrzmięwało niedowierzenie.

– Mógłby. I chyba domyślam się, kto to mógł zrobić.

## ROZDZIAŁ XLI

Piotr wsiadł do mercedesa i zapalił silnik. Zerknął w lusterko. John właśnie pakował się do samochodu, w którym było już trzech agentów. Byli obstawą dla auta do przewozu mebli, w którym umieszczono cenny ładunek. Wyjechali z parkingu. Do granicy było około pięciuset kilometrów. Piotr zdawał sobie sprawę, że dość szybko wyprzedzi wolniejszy konwój z bagażówką z dokumentami. Na granicy powinni być w okolicach piątej rano, może nieco później. Zmęczenie zaczynało dawać o sobie znać. Piotr przed wyjściem z motelu, kiedy oddawał klucze od pokoju, kupił kilkanaście szklanych butelek coli. Trochę kofeiny z cukrem powinno pomóc w chwilach senności. Myślni był przy swojej wnuczce i córce. Analizował każde słowo, które usłyszał przez telefon. Wiedział, że z minuty na minutę rosła szansa na podjęcie normalnej pracy przez maleńkie serduszko. Zaczął zastanawiać się, czy mógł zrobić coś więcej, inaczej, by pomóc swojej wnuczce. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

Kiedy ujechał około stu kilometrów, uświadomił sobie, że w lusterku zniknęły światła samochodów należących do CIA. Został sam. Z ich ochroną mógłby opuścić kraj bezpieczniej, ale tam, w Niemczech, została do załatwienia jeszcze jedna ważna sprawa. Sprawa, która nie dawała mu spokoju od blisko pięćdziesięciu lat. Piotr wiedział, że jeżeli teraz tego nie zrobi, to już nigdy nie będzie miał powtórnej okazji.

Był coraz bliżej granicy i mimowolnie wracał pamięcią do jesieni 1973 roku i swojej pierwszej służbowej wyprawy do Niemiec. Jechał do Bonn jako attaché kulturalny, ale tak naprawdę cel jego wizyty nie miał nic wspólnego z krzewieniem kultury. W końcówce lat sześćdziesiątych stosunki między Wschodem i Zachodem zdawały się nieco normalizować, dzięki czemu przed prominentnymi przybyszami zza żelaznej kurtyny stanęły otworem ulice zachodnich miast. Nagle też okazało się, że szare wystawy polskich sklepów nie wystarczały już establishmentowi PRL-u. Nie mogły się równać z wypełnionymi barwnymi towarami domami towarowymi Paryża czy Bonn. Ścisłe grono ówczesnych ludzi rządzących służbami PRL, w porozumieniu z niektórymi członkami biura politycznego, wpadło więc na pomysł dorobienia się lewej kasy na, opłacane oczywiście w dewizach, przyjemności, prezenty oraz wizyty małżonek u paryskich fryzjerów i kreatorów mody. W umyśle jednego z najważniejszych ludzi służb specjalnych – generała Dylewskiego, narodził się wyrafinowany plan wysyłania kryminalistów do państw Europy Zachodniej w celu prowadzenia działalności kryminalnej, a następnie powrotu do Polski bez jakichkolwiek konsekwencji prawnych, w zamian za oddanie połowy łupów. Interes zaczął się wspaniale rozwijać i cztery ekipy dokonujące napadów na banki, jubilerów

i bogatych przemysłowców stały się zmorą krajów zachodnich. Przestępcy dokonywali zuchwałych i bezwzględnych napadów w Niemczech, Austrii, Francji i Holandii. W razie zagrożenia mogli liczyć na ambasadę PRL-u i schronienie w Polsce. Trzy z ekip okazały się lojalne wobec aparatu władzy ze Wschodu, jednak czwarta, po napadzie na bogatego Niemca, nie zamierzała wracać do kraju. Łup okazał się tak cenny, że rabusie postanowili sami go spieniężyć i spróbować ukryć się gdzieś w świecie pod fałszywymi personaliami. Niestety jeden z trzech członków gangu, Hieronim Borówka, zakochał się w pewnej Niemce i miał odmienne plany niż dwóch pozostałych kompanów, braci Helmuta i Frantza Fikusów.

Całą trójkę łączyła kryminalna przeszłość i pochodzenie. Wszyscy zamieszkiwali w okolicach Opolą, które przed wojną należało do Niemiec. Kiedy w 1945 roku ziemie te zostały opanowane przez Armię Czerwoną, część mieszkańców pozostała, próbując zostać Polakami. Często bywało tak, że ich dziadkowie, ojcowie czy wujowie walczyli w powstaniach śląskich po stronie polskiej, dlatego wiele rodzin było powiązanych więzami krwi polskiej i niemieckiej.

Bracia Fikusowie i Borówka od najmłodszych lat, zamiast myśleć o nauce i pracy, myśleli jedynie o łatwym zarobku, co w praktyce wiązało się z rozlicznymi dywagacjami na temat tego, kogo by tu okraść. Na rozmyślaniu się nie kończyło – i tak w połowie lat sześćdziesiątych cała trójka rozpoczęła odbywać karę pobytu w zakładzie karnym za napady i włamania. Tam zostali wypatrzeni przez ludzi generała Dylewskiego, który zaproponował złagodzenie kary w zamian za udział w operacji „Żelazo”. Cała trójka nie zastanawiała się długo i szybko wyraziła zgodę. Plan był sprytny, gdyż w owym czasie, w końcu lat sześćdziesiątych, zaczęto wypuszczać z Polski ludzi zamieszkujących tereny dawnej Trzeciej Rzeszy z uwagi na brak możliwości ich spolonizowania. Wykorzystując falę wyjeżdżających, służbom PRL udało się wyekspediować na Zachód wielu agentów i przestępców, w tym ową trójkę.

Bracia Fikusowie otworzyli małą knajpkę w Monachium i za przywiezione z Polski pieniądze rozkręcili interes, który był wspaniałą przykrywką dla ich prawdziwej przestępczej działalności. Jeszcze w więzieniu, po podpisaniu odpowiednich dokumentów, przeszkolono trójkę wspólników z obchodzenia się z bronią, otwierania kas pancernych oraz rozpracowywania i unieszkodliwiania systemów alarmowych. Ale bracia opracowali własną metodę włamań. Polegała ona w głównej mierze na szybkości, zaskoczeniu i bezwzględności. Ludzie z ambasady i wywiadu dostarczali im dane osób do obrabowania. Z reguły byli to jubilerzy, przedsiębiorcy, arystokraci lub bogaci przestępcy posiadający majątek bez udokumentowanych źródeł pochodzenia. Herman Borówka, najspokojniejszy z całej trójki, był świetnym kierowcą i złodziejem samochodów. Nie było auta i zabezpieczenia, z którym by sobie nie poradził. Z powodu wrodzonego talentu otrzymał od braci pseudonim „Pan Samochodzik”.

Po czterech latach bandyckiego procederu szajka miała na koncie dziesięć poważnych skoków. Najbardziej brawurowej akcji dokonali, napadając w Kolonii na jubilera w biały dzień. Skradzionym samochodem staranowali pancerną szybę

wystawy i wyskoczyli z rozbitego auta w pończochach na głowach. Jeden z braci Fikusów potężnym młotem rozbijał szklane witryny, pełne drogocennej biżuterii. Drugi pilnował, aby klienci i obsługa leżeli na podłodze. Borówka pakował wszystko pieczołowicie do toreb. I kiedy wydawało się, że wszystko pójdzie jak z płatka, zjawiał się przypadkiem patrol policji. Frantz, który trzymał pistolet, stanął w rozbitym oknie wystawowym. Policjanci chwycili za kabury, ale bandyta był szybszy i świetnie strzelał. Wkrótce obaj stróże prawa leżeli martwi na chodniku. Bandyci wyskoczyli ze sklepu jubilera i odjechali policyjnym radiowozem, który porzucili na obrzeżach miasta. Tam też rozdzielili się i każdy odjechał w swoją stronę ukrytym wcześniej w pobliżu samochodem. Po tym napadzie opinia publiczna zaczęła domagać się ujęcia zuchwałych przestępców.

Gang lojalnie dzielił się łupami z opiekunami ze służb specjalnych aż do momentu wykonania napadu na pewnego zacnego obywatela Kasel, niejakiego Lothara Hanawalda. Otóż ów zacny obywatel był synem oficera SS, niejakiego Otto Hanawalda, który w czasie wojny z ramienia samego Reichsführera Himmlera zajmował się pewnym intratnym procederem. Przed zajęciem przez wermacht państw zachodnich SS i gestapo sporządzało listy proskrypcyjne osób pochodzenia żydowskiego, które za odpowiednią, oczywiście wysoką, opłatą mogły otrzymać możliwość opuszczenia miejsc zamieszkania i tym samym uniknięcia ewentualnych represji. I tak, po zajęciu kolejno Belgii, Holandii, Francji i Danii, SS-Standartenführer Otto Hanawald pojawiał się u nieszczęśliwów i składał im propozycję nie do odrzucenia: albo dobrowolnie oddadzą swój spory majątek, albo czeka ich niechybna śmierć. Nieszczęśliwcy oddawali esesmanowi wszelkie akty własności i inne dobra, ten wręczał im paszport neutralnego państwa i eskortował do samej granicy szwajcarskiej. Proceder przynosił ogromne zyski, gdyż SS wybierało tylko najbardziej zamożnych obywateli, podczas gdy na całą resztę czekały już getta i obozy koncentracyjne.

Na liście Hanawalda znajdowała się też rodzina Blumensteinów, znanych szlifierzy diamentów. Gdy Standartenführer pojawił się w elegancko urządzonej amsterdamskiej kamienicy Blumensteinów, senior rodu, Szymon, okazał jako dowody tożsamości amerykańskie paszporty, w które przezornie zabezpieczył się wcześniej i oznajmił:

– Jesteśmy obywatelami Stanów Zjednoczonych, które nie prowadzą wojny z Niemcami, więc pana żądania są bezpodstawne. Nie zapłacę ani centa za pańskie gwarancje. Jeżeli pan skrzywdzi moją rodzinę, dowie się o tym jutro ambasada, a pojutrze prezydent USA.

Rozwścieczony Standartenführer pokiwał głową, wyjął swoje osobiste parabellum, odbezpieczył i strzelił w brzuch najstarszego syna Blumensteina, Arona. Chłopak zawył z bólu i złapał rękoma za miejsce postrzału. Tymczasem esesman przystawił pistolet do głowy średniego z synów, Szewacha.

– Albo zaczniesz mnie słuchać, ty żydowska świnię, albo twój drugi syn przeniesie się za niecałą minutę na łono Abrahama. Wybieraj! Zaczynam odliczać! – ryknął wściekle.



Towarzyszący mu gestapowcy wymierzyli pistolety w Szymona i zwijającego się z bólu Arona.

– Czego pan chce? – spytał przerażony senior Blumenstein.

– Chcę zaoferować życie panu i pana rodzinie, o ile będzie pan z nami współpracował – stanowczo oświadczył Otto. Spojrzał wymownie na rannego. – To rana postrzałowa żołądka i ranny może jeszcze przeżyć – orzekł i zwrócił się do jednego z towarzyszących mu gestapowców: – Fritz, zawieź to ścierwo do szpitala i każ zoperować. Oczywiście zadzwoń ze szpitala i powiedz naszemu szanownemu, drogiemu panu Blumensteinowi, czy jego syn jeszcze żyje.

Nikt już nie oponował i syna jubilera wyprowadzono i zapakowano do jednego z samochodów, którym przyjechali nieproszeni goście.

Hanawald spojrzał wymownie na głowę rodu.

– Proszę zaprowadzić mnie do sejfu i skrytek, w których przechowuje pan drogocenne kamienie – polecił.

Szymon Blumenstein, blady niczym ściana, wskazał sejf. Po otwarciu go oczom esesmana ukazała się pokaźna kolekcja brylantów i nieoszlifowanych jeszcze diamentów.

– Ile to jest warte? – spytał Hanawald.

– W dolarach?

– Może być w dolarach – przytaknął esesman.

– Około stu tysięcy dolarów.

– Wiem, że masz skrytki w banku – oznajmił esesman.

Wyraźnie poruszony Blumenstein pokiwał głową. Wkrótce wraz ze Standartenführerem udali się do banku.

Po jakichś dwudziestu minutach pochyłali się obaj nad przyniesioną przez pracownika skrytką. W metalowym, podłużnym pudle leżało pięć niewielkich woreczków. Do każdego przyczepiono specyfikację, a w ich wnętrzu kryły się brylanty i cenne kamienie. Resztę pudełka wypełniały równo poukładane dolary amerykańskie, funty angielskie i holenderskie guldeny.

– Ile tego jest?

– Każdy z woreczków jest wart dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich. W gotówce jest tutaj dwadzieścia tysięcy dolarów, dziesięć tysięcy funtów szterlingów i dziesięć tysięcy guldenów – odpowiedział zgodnie z prawdą jubiler.

– Świetnie – ucieszył się Hanawald, wyjmując worek przypominający te, jakich dzieci używały do noszenia obuwia do szkoły. Po opróżnieniu skrytki esesman pociągnął jubilera za łokieć, dając mu do zrozumienia, że wracają.

W kamienicy Otto przystanął obok jednego z gestapowców pozostawionych na miejscu, by pilnowali rodziny jubilera.

– Fritz dzwonił? – rzucił pytanie niby mimochodem.

Gestapowiec zasalutował i zameldował:

– Dzwonił. Żydek jeszcze żyje. Operują go.

– Musimy, panie Blumenstein, bardzo poważnie porozmawiać – oznajmił

z powagą w głosie Standartenführer, wskazując palcem na okazały salon. Gdy znaleźli się sam na sam, esesman podszedł do jubilera i wręczył mu czyste paszporty szwajcarskie. – Wystarczy wkleić zdjęcia. Moi ludzie zrobią to w ciągu godziny i jutro rano będzie pan z rodziną Szwajcarii.

Stary Żyd wziął drżącą ręką paszporty i zaczął sprawdzać zgodność personaliów.

– Widzę, że pan się nieźle przygotował – oznajmił, kiwając z niedowierzaniem głową.

– A do tego te paszporty są coś warte, konkretnie życie pana i pana bliskich. A tymi, które kupił pan od ambasadora USA, może pan podetrzeć sobie dupę – powiedział dobitnie esesman.

Jubiler westchnął i odliczył siedem paszportów, a pozostałe dwa oddał.

– O co chodzi? – spytał zdumiony Otto.

– Przewiezie pan moją rodzinę do Szwajcarii, a ja poczekam na Arona tutaj. Jeżeli przeżyje, to również mnie i syna dostarczy pan do granicy. Na przejściu granicznym za pana wywiązanie się z umowy dostanie pan kolekcję oszlifowanych diamentów, które na rynku warte są około pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Oczywiście, jeśli wywiąże się pan z umowy i mój syn nie umrze.

– A jeżeli umrze?

– Jeżeli umrze, to mnie też może pan zabić – odparł spokojnie jubiler, zdejmując okulary i patrząc przenikliwym wzrokiem na esesmana.

– Widzę, że łeb masz nie od parady. A jeżeli będziesz chciał mnie wykiwać?

– Cóż, pana wybór – jubiler rozłożył bezradnie ręce. – Widzi pan, przewidywałem, że możecie tu przyjść, tylko nie sądziłem, że możecie posunąć się do tego, by mordować niewinnych ludzi.

Hanawald przez moment zastanawiał się, co ma zrobić. Oferta była jednak zdecydowanie zbyt kusząca.

– Dobrze, umowa stoi – odpowiedział. – Ale o tych diamentach ze Szwajcarii wiemy tylko my, jasne?

Stary Żyd nie odpowiedział, pokiwał jedynie przytakująco głową.

I tak rodzina Blumesteinów uniknęła śmierci. Co prawda ojciec z synem opuścili Holandię dopiero po dwóch miesiącach, ale Aron przeżył. Umowa została sfinalizowana na przejściu granicznym i Standartenführer Otto Hanawald wzbogacił się o unikatową, wartą fortunę kolekcję brylantów. Nie wiedział jednak, że przez te cacka straci kiedyś jedyne syna, Lothara.

Kiedy bracia Fikusowie i Borówka dostali zlecenie okradzenia Lothara Hanawalda, nie przypuszczali, że włamując się do willi, trafią na takie skarby. Spodziewali się kosztowności, ale woreczek ze spisem kamieni szlachetnych przeszedł ich najśmielsze oczekiwania.

Lothara nie cechowała zbyt duża przezorność. Wszystkie swoje precjoza trzymał w tym samym sejfie. Kiedy w sobotni wieczór wrócił z kolacji ze swoją partnerką Elzą, przy wejściu do domu czekali na niego Fikusowie. Ubrojeni w pistolety bracia wyskoczyli zza rogu ganku, gdy Lothar otwierał drzwi domu. Sterroryzowali parę

i wciągnęli ją do budynku. Po związaniu Lothara i Elzy przystąpili do przeszukiwania willi. Sejf był ukryty w garderobie, za rzędem garniturów. Gdy Frantz Fikus, po przyprowadzeniu więźniów do pomieszczenia, nie uzyskał odpowiedzi na pytanie o klucze i szyfr, związanego Lothara położył na podłodze, a z jego partnerki Elzy zerwał sukienkę i zaczął ją gwałcić na jego oczach. Gdy i to nie przyniosło rezultatu, rzucił okiem na stojące na desce do prasowania żelazko. Podłączył je i kazał Helmutowi przytrzymać kobietę, po czym rozgrzane żelazko przyłożył do jednego z policzków Elzy. Śwąd palonego ciała i ból nie do opisania sprawił, że kobieta straciła przytomność. Wtedy starszy z braci wpadł na kolejny szatański pomysł. Ściągnął spodnie Lotharowi i przyłożył żelazko do pośladka.

– Albo powiesz, gdzie jest klucz, i otworzysz ten pieprzony sejf, albo zaraz żelazko wyląduje na twoim fiucie! – wrzeszczał Frantz.

Więzień wiał się z bólu i dawał znaki, że powie, gdzie jest klucz.

Wskazał na zabytkową chińską wazę. Helmut podszedł do niej i odwrócił do góry nogami. Z wazy wypadły sztuczne kwiaty i klucz. Postawił na nogi udręczonego mężczyznę.

– Otwieraj! – krzyknął. – Tylko pamiętaj, nie mam czasu!

Lothar spojrział na nieprzytomną przyjaciółkę. Wiedział, że nie ma wyboru. Włożył klucz do sejfu, przekręcił, a następnie ustawił cyfrowe pokrętko. Po chwili przekręcił rączkę i coś szcęknęło. Zamki puściły. Zadowolony Helmut puścił oko do Frantza, który ponownie chciał powalić Lothara na ziemię, ale mężczyzna gwałtownie otworzył sejf i wyciągnął z niego pistolet. W pierwszej chwili bracia Fikusowie stali osłupiali, widząc broń. Frantz otrzeźwiał pierwszy i postanowił zaryzykować. Gdy rzucił się na Niemca, ten odruchowo przymierzył i wystrzelił. Kula trafiła w prawą rękę Frantza. Ale na drugi strzał było już za późno. Frantz zaczął szarpać się z Lotharem. Złapał go za rękę z pistoletem, a drugi z braci ciosem w twarz powalił mężczyznę na ziemię. Po chwili ponownie związali mu ręce.

– Bardzo jesteś ranny? – spytał brata Helmut.

– Kula przeszła na wylot, ale strasznie boli – powiedział Frantz, chwytając się za rękę powyżej łokcia.

Mężczyźni pochylili się nad sejfem. Na półkach leżała duża ilość dolarów, marek, funtów oraz woreczek z diamentami.

– Nieźle. – Helmut gwizdnął cicho zadowolony z łupu.

– Całkiem, całkiem – rzucił Frantz, oglądając brylanty w woreczku.

Po opróżnieniu sejfu mężczyźni przetrzasnęli garderobę i resztę domu. Gdy postanowili opuścić willę, Frantz poprosił brata, by na niego poczekał, i wrócił do garderoby. Po chwili dało się słyszeć głuchy trzask strzału, a po paru sekundach drugi.

Helmut stanął na progu do garderoby. Lothar leżał w kałuży krwi. Na jego głowie leżała poduszka, która miała zapewne stłumić dźwięk wystrzału.

– Nie musiałeś tego robić – Helmut z westchnieniem pokręcił głową.

– Nie musiałem, ale chciałem. – Frantz splunął i chwycił się za bolącą rękę.

Wartość brylantów przeszła najśmielsze oczekiwania braci. Mogli sprzedać je na

czarnym rynku i spokojnie żyć w jakimś odległym kraju. Tak też chcieli zrobić, ale na przeszkodzie stanęli im Hieronim Borówka, który koniecznie chciał zostać w Niemczech, oraz pewien wścibski staruszek. Otóż ów dziadunio często przesiadywał na swoim balkonie, uważnie obserwując okolicę. Nie umknęło jego uwagi trzech podejrzanych typów kręcących się przez parę dni przed napadem nieopodal willi bogatego sąsiada, Lothara Hanawalda. Staruszek miał, mimo wieku, świetną pamięć i potrafił pomóc policji w stworzeniu rysopisów owych osobników. Bracia zdawali sobie sprawę z sytuacji i wiedzieli, że trzeba brać nogi za pas. Postanowili rozpocząć nowe życie. Jednak ich anioł stróż z ambasady, oficer o pseudonimie Roland, również nie próżnował i domyślał się, że bracia zamierzają zwać. Wyprowadzili się przecież z dotychczasowego mieszkania, nie pojawiali się w skrzynce kontaktowej, nie odbierali też ukrytych przesyłek. Roland postanowił więc śledzić ich najbardziej zaufanego pracownika restauracji w Monachium, niejakiego Waltera. Ten doprowadził go do małej zaniedbanej farmy położonej dwadzieścia kilometrów od Monachium, w miejscowości Pocking. Przez podstawioną osobę ustalono, że Fikusowie chcą uciekać, ale Hieronim Borówka pragnie zostać na miejscu. Wraz z przełożonymi z Warszawy postanowiono całe towarzystwo zlikwidować, tak aby odzyskać resztę łupu i zatrzeć ewentualne ślady prowadzące do służb specjalnych z PRL. Do tego zadania został wyznaczony Piotr Mróz. Roland miał doprowadzić go do gangu, sam pozostając jednak z dala, aby nie przstraszyć skazańców. Postanowiono, że to Piotr będzie egzekutorem.

Gdy Piotr spotkał się pierwszy raz z Rolandem, odniósł wrażenie, że ten dobrze ubrany i wysportowany mężczyzna nie pasuje do roli bezwzględnego agenta wywiadu, gotowego bez zmużenia oka zabić człowieka. Piotr nie wiedział, jak bardzo się myli. Roland nie tylko był zabójcą, ale miał też szczególne powody, aby nienawidzić Niemców.

Kiedy pierwszy dzień spędzili na obserwacji farmy, ukryci na skraju lasu, lustrując teren przez lornetki, doszli do wniosku, że bracia praktycznie nie wychodzą z budynku. Jedynie poprzez uchylone okno lub drzwi wyrzucali czasami pokarm dwóm dobermanom, które strzegły ogrodzonej posesji. W ciągu dnia po nieodległej drodze jeździły samochody ciężarowe do pobliskiej żwirowni i cementowni, ale po godzinie siedemnastej ruch zamierał.

– Wczoraj i przedwczoraj, między osiemnastą a dziewiętnastą, był u nich Walter z zaopatrzeniem, bo oni nie wychylają nosa z domu – wyjaśnił Roland.

– Uważasz, że po tym ostatnim skoku czegoś się boją? – spytał Piotr.

– Na pewno! Policja ma dokładne rysopisy jednego z braci. Wszystkie gazety i telewizje pokazały jego portret – potwierdził przypuszczenia Mroza Roland. – Na ich miejscu albo dałbym drapak z Niemiec, albo zrobił operację plastyczną.

– Myślisz, że mają tyle kasy?

– Kolego, nie wiem, czym się zajmujesz w kraju, ale nie przysłano cię tutaj, abyś wylegitymował tych bandziorów – zauważył nieprzyjemnym tonem Roland.

– Przyjechałem tu, bo dostałem rozkaz ich zabicia, a ty masz mi w tym pomóc – odparł spokojnie Piotr. – Wiesz, nie interesuje mnie, co ci goście zrobili, ale z tego,

co wiem, to bezwzględni mordercy.

– A wiesz kolego, na czyje rozkazy ci panowie mordują i napadają na jubilerów, bankierów i bogatych ludzi w całej Europie?

– Nie interesuje mnie to – głos Piotra był lodowaty. – Dostałem zadanie i mam je wykonać.

Po chwili milczenia Roland wyjął papierosa i poczęstował Piotra.

– Mówili ci, z kim będziesz pracował? – spytał.

– Mówili mi, że jesteś skryty, małomówny i nie lubisz Niemców, chociaż na pierwszy rzut oka, po twoim zachowaniu i języku, wywnioskowałem, że masz chyba w żyłach trochę aryjskiej krwi – zażartował Piotr.

Roland pobladł, wyrzucił gwałtownie papierosa i uderzył Piotra pięścią prosto w brzuch. Ten z wrażenia zgiął się w pół, wtedy otrzymał kolejny cios kolanem w twarz, po którym runął na ziemię. Gdy próbował się ruszyć, Roland błyskawicznie wykręcił mu rękę do tyłu i przygniótł kolanem plecy, po czym pochylił się nisko nad uchem Piotra i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Tylko nie mów mi, że wyglądam jak Niemiec. Czasami muszę ich udawać, ale tak naprawdę to ich nienawidzę! Jeżeli jeszcze raz porównasz mnie do Niemca, to cię zabiję, rozumiesz?

– Odpuść – poprosił Piotr.

Kiedy Roland go puścił, Piotr zdał sobie sprawę, że pomylił się w ocenie tego człowieka. Już wiedział, że za ujmującą i miłą aparycją kryje się bezwzględny morderca. Piotr otarł krew z nosa i bez słowa sięgnął po lornetkę. W milczeniu dalej obserwowali miejscówkę. Nagle, od strony drogi, ujrzeni bagażowego volkswagena, który stanął pod bramą, kilkakrotnie trąbiąc klaksonem. W drzwiach budynku ukazał się brodaty mężczyzna, lat około trzydziestu paru, zagwizdał na psy i zamknął je w jednej z komórek. Następnie otworzył bramę i wpuścił samochód na podwórko, zamykając ją za nim. Kiedy kierowca znalazł się w mieszkaniu, na posesję ponownie wypuścił dobermany.

– Nie musiałeś tego robić – stwierdził nagle Piotr, nie odrywając wzroku od budynku. – Wystarczyło powiedzieć mi, że ich nie lubisz i wszystko.

– Może i mogłem ci to powiedzieć, ale wydawało mi się, że robisz sobie ze mnie jaja.

– Nie wiem, za co ich nie lubisz, ale ja też mam powody, aby nie kochać tego narodu.

– Dobra, jak zrobi się trochę ciemniej, pojedziemy pod tamto ogrodzenie przy lesie – Roland wskazał drzewa po prawej, które niemal dotykały płotu posesji. – Zobaczymy, jak dostać się na farmę.

– A jak zaczną szczekać psy?

– Jak psy zaczną szczekać, to zobaczymy, jak szybko zareagują domownicy – odparł Roland.

– Czyli co, próbujemy dzisiaj to zrobić? – chciał upewnić się Piotr.

– Dzisiaj nie, ale jutro po przyjeździe Waltera. Wtedy po swoją część łupu

przyjechać ma Borówka. Musimy zrobić rozpoznanie terenu i opracować plan akcji na jutro.

Po kwadransie byli w lesie obok ogrodzenia. Po chwili psy zaczęły ujadać, a z domu wyszedł mężczyzna, którego widzieli już wcześniej. Mimo że oświetlił teren latarką, nie mógł zobaczyć ukrytych za drzewami intruzów. Po pół godzinie dostawczy volkswagen opuścili posesję. Była dziewiętnasta.

– Jeżeli jutro będą mieć taki sam rozkład jazdy, to najpierw musimy załatwić tę trójkę, a później poczekać na pana Borówkę – oznajmił Roland.

Po godzinie byli już w domu należącym do Rolanda. Piotr wszedł do łazienki, obmył resztki zaschniętej krwi z twarzy i zdjął ubrudzoną wiatrówkę. Kiedy wyszedł z łazienki, zobaczył na stoliku butelkę whisky i dwie szklanki.

– Przepraszam, nie powinienem tak zareagować – powiedział Roland i wyciągnął dłoń do Piotra, ten jednak zignorował pojedynczy gest. Za to gdy Roland opuszczał dłoń, błyskawicznie rzucił się na jego nogi i przewrócił go na plecy. Następnie wykręcił mu nogę w kolanie zapaśniczą dźwignią i unieruchomił zaskoczonego mężczyznę. Roland zawył z bólu i po chwili krzyknął:

– Puść, kurwa! Bo jutro będę nadawał się do gipsu, a nie na robotę.

– Puszczę, ale pamiętaj, że nie lubię, jak ktoś, kogo uważam za swojego, leje mnie znienacka w mordę. Jasne?

– Jasne! – odkrzyknął Roland, na którym zapaśnicze chwytły Piotra zrobiły wrażenie. – Gdzie się tego nauczyłeś? – spytał, rozmasowując bolące kolano.

– Od jednego gościa, mistrza Polski w zapasach – odparł Piotr, siadając na kanapie. – A ciebie tego walenia w bebechy też pewnie ktoś nauczył?

– Życie – odparł, krzywiąc się, Roland.

– No to co? Wódka się nie potłukła, to napijmy się na zgodę i omówmy plan na jutro – tym razem to Piotr wyciągnął rękę na zgodę.

Następnego dnia, już od godziny siedemnastej Piotr obserwował bramę wjazdową prowadzącą do farmy zajmowanej przez Fikusów. Wcześniej założył zielone, maskujące ubranie, w kolorze zeschniętej trawy. Uzbrojony był w owinięty siatką maskującą amerykański karabin snajperski M-21 z lunetą. Uzgodnił z Rolandem, że zaatakują farmę w czasie przyjazdu Waltera. Piotr miał zdjąć jednego z braci Fikusów i Waltera, a Roland najpierw spróbuje otruć psy, a następnie, po wyeliminowaniu przez Piotra obu mężczyzn, wejdzie do środka i spróbuje obezwładnić drugiego z braci, o którym gazety i telewizja informowały, że jest najprawdopodobniej ranny. Później, już wewnątrz budynku, mieli poczekać, aż przyjedzie Borówka i spróbować odzyskać zrabowane rzeczy, a następnie pozbyć się całej ferajny. Pakując broń do samochodu, Roland pieczołowicie umieścił w jednej z kieszeni torby małe pudełko.

– Dzięki temu małemu wynalazkowi dowiemy się całej prawdy o drogocennych łupach tej zgrai – rzucił do Piotra.

Mród nie dociekał, o co chodzi, ale domyślał się, że jest to jakiś narkotyk. Roland spakował również dwa duże kawałki mięsa naszpikowane środkiem nasennym.

– Tylko pamiętaj – poinstruował Piotra już na miejscu – zaczynamy, jak pojawi

się Walter. Jeżeli przyjechałby równo z Borówką, musisz zdjąć ich obu. Wtedy ja biorę jednego z braci i wbiegam do domu.

Kiedy się rozdzielili, Piotr zaczął się czołgać po łące pełnej nierówności i zeschniętej trawy. Kiedy był w odległości około stu metrów od bramy wjazdowej, zajął pozycję naprzeciwko niej. Ustawił karabin na podpórcę, przeładował go i zlustrował okolicę. W pewnym momencie psy gwałtownie zaczęły szczekać w kierunku lasu. Piotr domyślił się, że to Roland zwałił je, rzucając zatrute mięso. Zwierzaki dość szybko ucichły, wszystko więc zapewne szło zgodnie z planem. Punktualnie o godzinie osiemnastej pod farmę podjechał Walter swym volkswagenem. Parokrotnie nacisnął klakson. Drzwi się uchyliły i stanął w nich jeden z braci Fikusów. Zaczął gwizdać na psy, a kiedy ich nie zauważył, podszedł do bramy i wpuścił samochód na posesję, po czym dokładnie zamknął bramę. Jeszcze przez chwilę nawoływał psy, a gdy te nadal się nie pojawiały, otworzył drzwi samochodu i zaczął zachęcać kierowcę, by ten wysiadł. Widać było, że kierowca bał się psów, ponieważ ociągał się z wysiadaniem. Po chwili jednak uległ namowom Helmuta, wyskoczył z samochodu i raźnie ruszył w kierunku drzwi domu. Piotr wziął na celownik Fikusa, przymierzył na wysokość wątroby i strzelił. Mężczyzna trafiony pociskiem upadł na ziemię, a Walter, który nie wiedział, co się stało, ruszył z pomocą Helmutowi. Piotr przeładował karabin i wziął go na cel. Kiedy krzyżyk lunety znalazł się na jego klatce piersiowej, strzelił. Mężczyzna trafiony w okolicę serca zwałił się tuż obok rannego Helmuta. W tym czasie zza rogu wychylił się uzbrojony w pistolet Roland. Schylił się pod oknem, a następnie wciąż pochylony dotarł do drzwi. Nacisnął klamkę i kiedy drzwi ustąpiły, wskoczył do środka. Po chwili z budynku dobiegły odgłosy wymiany ognia. To leżący na łóżku ranny Frantz na widok Rolanda chwycił za leżący pod poduszką pistolet. Pierwszy strzał Rolanda trafił w klatkę piersiową starszego z braci Fikusów, ale nie zabił go. Mimo postrzału Frantz wziął na muszkę Rolanda i wystrzelił. Kula trafiła agenta w podbrzusze, ale mimo to zdołał on jeszcze wycelować w głowę Frantza i strzelić drugi raz. Tym razem kula trafiła prosto w czoło i martwy Fikus znieruchomiał na łóżku.

Piotr podniósł się ze swej pozycji strzeleckiej i błyskawicznie ruszył w stronę bramy. Przerzucił karabin przez ogrodzenie, sforsował furtkę i stanął przed leżącymi na podwórzu mężczyznami. Wydobył pistolet i podszedł do Helmuta, który trzymał się za bok i przeraźliwie charczał. Widać było, że postrzał jest śmiertelny i dużo czasu mu nie pozostało. Piotr zerknął na kelnera, który nie dawał oznak życia, i obszukał Helmuta. Z tyłu, zza paska do spodni wyciągnął mu pistolet, wskoczył do domu i krzyknął:

- Roland! Jak poszło? Żyjesz?
- Żyję – usłyszał głos dochodzący z głębi budynku.

Kiedy wszedł do środka, jego oczom ukazał się obraz niczym z filmów gangsterskich o Ameryce lat dwudziestych. Na łóżku z kulą w czole leżał martwy Fikus, a na fotelu siedział, trzymając się za brzuch, Roland.

- Co jest?! – zapytał, podchodząc do kolegi, Piotr.
- Dostałem w bebechy – Roland wskazał zakrwawioną ręką ranę.

– Musimy jechać do szpitala.

– Nie, i tak to mi nic nie pomoże – wydyszał Roland. Słabł w oczach. – Został mi może jakiś kwadrans. Rób swoje.

– Ale jest szansa! W czasie wojny ludzie przeżywali nie takie postrzały – nalegał Piotr.

– Rób, co masz robić! – warknął Roland.

Piotr wyszedł przed budynek. Z dworu wciągnął do środka rannego Helmuta i nieżyjącego Waltera. Kiedy upewnił się, że na zewnątrz nic niepokojącego się nie dzieje, wrócił do Rolanda. Ten wyjął małe pudełko ze strzykawką oraz ampułkę i podał ją Piotrowi.

– Wstrzyknij to tamtemu rannemu. Za parę minut powie ci, co chcesz.

Piotr ruszył ku umierającemu Helmutowi, którego prawy bok koszuli przesiąknięty był ciemną krwią. Mężczyzna był przytomny i gdy Piotr wbił strzykawkę w jego rękę, warknął przez zaciśnięte zęby ze śląskim akcentem:

– I tak, ciulu, pierdolony Poloku, nic się nie dowiesz!

– Daj mu pięć minut – szepnął Roland.

– Zawiozę cię do szpitala – ponowił propozycję Piotr, wracając do kolegi.

– Tam, w środku, jest jeszcze jedna ampułka. To morfina. Daj mi zastrzyk...

Piotr szybko spełnił jego życzenie. Ból powoli mijał, bo twarz rannego jakby się nieco rozluźniła.

– Coś ci powiem... Nie powinienem, ale teraz mam to gdzieś – niemal wycharczał Roland. Piotr pochylił się nad agentem tak, aby móc usłyszeć jego słabnący głos: –

Nie lubię skurwieli. Mam powody. Zatlukli mi rodziców w czterdziestym trzecim. Byli w AK. Miałem dwa lata. Mnie wysłali na zniemczenie. Bili, kazali mówić tylko po niemiecku. W czterdziestym piątym rodzinka zastępcza wyrzuciła jak psa na ulicę i trafiłbym znowu do domu dziecka, ale Polka, która pracowała u nich na przymusowych robotach, mnie przygarnęła. Przywiozła do Warszawy i to dzięki niej jestem na powrót Polakiem.

Roland pobladł, morfina być może działała, ale widać było, że mężczyzna słabnie.

Piotr chwycił go za rękę i ponownie zaproponował:

– Pieprzyć to zadanie, odwiozę cię do szpitala.

– Nie, dzięki – odparł Roland. – Ale zrobisz coś dla mnie?

– Mów.

– Daj mi papierosa. I obiecaj, że nie zabijesz Borówki.

– Jak to nie zabiję Borówki? – spytał zdziwiony Piotr.

– Nie mam żadnego cudownego informatora. To Heinz Borówka mi wszystko mówił. Zwykły chłopak, który wszedł w złe towarzystwo. Owszem, skubnął brykę, ale nigdy nikogo nie zabił. Nie tak, jak ci – Roland pokazał brodą braci Fikusów i zaciągnął się papierosem.

– Co powiedzieć szefom?

– Że nie przyjechał.



– Uwierzą? – Piotr też zapalił. Miał spore wątpliwości.

Roland przypatrywał mu się przez chwilę, po czym powiedział:

– Wydaje mi się, że mamy coś wspólnego. Nie wiem co, ale mamy...

– Mam – potwierdził Mróz – z tą różnicą, że ty wiesz, że twoi rodzice nie żyją, i wiesz, jak zginęli, a ja śmierć swoich widziałem jako piętnastolatek na własne oczy.

– Jak?

– Spalili ich żywcem wraz z moją pięcioletnią siostrą.

– Ta, więc mamy coś ze sobą wspólnego – stwierdził Roland i wskazał brodą na leżącego. – Zobacz, może specyfik już działa.

Piotr podszedł do Helmuta, pochylił się nad nim i zapytał:

– Gdzie są fanty z rabunków i pieniądze?

– Pić, daj mi pić... – wyjęczał mężczyzna, jakby był na skraju utraty przytomności. Widać narkotyk zaczynał działać.

– Dobra – stwierdził Piotr, po czym poszedł do kuchni, gdzie na stole stały butelki z niedopitymi płynami. Wziął jedną z nich i po chwili przyłożył ją do ust mającego bandyty. Pozwolił mu jednak na upicie zaledwie łyka.

– Jeszcze raz. Gdzie są fanty? Powiesz mi i zaraz się znowu napijesz – obiecał Piotr.

– W komórce, gdzie psy. Buda ma podwójne dno – wykrztusił z siebie Helmut.

– I gdzie jeszcze? – dopytywał Piotr, przytykając butelkę z piciem do ust Fikusa.

– W lesie, tuż za ogrodzeniem, obok kapliczki na drzewie...

– Dokładnie!

– Dziesięć kroków od kapliczki, w głąb lasu, jest takie duże pochylone drzewo. Pod nim trzeba kopać na metr. Tam jest słoik... – wymamrotał resztką sił Helmut i stracił przytomność

– Idź, znajdź to – rozkazał słabnącym głosem Roland. – Masz latarkę!

– Ile czasu będzie działał środek usypiający psy? – spytał Piotr.

– Spokojnie, długo nie dojdą do siebie. Dostały podwójną porcję.

Krople potu na czole agenta wskazywały, że zbliża się koniec. Piotr wziął latarkę. Wiedział, że jeżeli wyjdzie szukać zakopanych w lesie łupów, może po powrocie zastać nieżyjącego już partnera. Podszedł i chwycił zakrwawioną rękę Rolanda.

– Szkoda, że wcześniej nie poznaliśmy się bliżej. Myślę, że po ciężkim początku zostalibyśmy przyjaciółmi – powiedział spokojnym głosem.

– Ale na pięści dałbym ci radę – zażartował Roland z grymasem bólu na twarzy.

– Na pewno nie byłoby ci łatwo – odparł Piotr. – Widziałem Borówkę na zdjęciach. Na pewno będzie sam?

– Będzie sam. Dałem mu słowo, że puszczę go wolno.

– Bez pytania mnie o zgodę – stwierdził Piotr, ściskając zakrwawioną rękę mężczyzny.

– Musiałbym cię zabić – odrzekł Roland. Na potwierdzenie, że mówi prawdę, ścisnął dłoń Piotra. Mróz spojrział mu w oczy. Nie musiał pytać.

– Tak. Taki miałem plan – odparł szczerze umierający Roland. – Kropnąć ich, a potem z ich spluwy zabić ciebie.

– Dlaczego?

– Dlatego, mój przyjacielu, żeby te dolary, marki i złote cacka nie wspomagały naszej kochanej socjalistycznej ojczyzny. – Roland nabrał powietrza w płuca. – To złoto dla żon, córek i kochanek tych partyjnych bonzów. One tu potem przyjeżdżają na zakupy, do fryzjera i po perfumy... a my, kurwa, odpieralamy za nich czarną robotę, rozumiesz?

– Skąd ta pewność? – spytał zaniepokojony Piotr.

– Jedna z ekip, która już wróciła, rąbnęła kolię z diamentami u jubilera w Wiedniu. I wiesz, gdzie się odnalazła? Żona naszego kochanego premiera miała ją na sobie w Bonn, w czasie oficjalnej wizyty. O mało nie wybuchł skandal międzynarodowy – zaśmiał się z goryczą resztką sił Roland.

– Chciałeś to rąbnąć i samemu dać stąd nogę?

– Trafiałeś w dychę, bystry jesteś – Roland z uznaniem pokiwał głową.

– I co ja mam zrobić? Ja mam rodzinę, córkę w Polsce... nie mogę zwiać.

– Dogadaj się z Borówką, niech część łupów zainwestuje w jakiś interes. Część schowaj i przyjeźdź tu za parę lat. Jak zobaczysz, że cię nie wykiwał, daj mu resztę. Ściągnij tu rodzinę i daj dyla z naszej kochanej ojczyzny. Jak będziesz chciał, aby wszedł do środka, zapal i zgaś światło w pokoju pięć razy.

Piotr wyjął jeszcze jednego papierosa, zapalił i podał Rolandowi. Ten zaciągnął się, ale dym spowodował, że mężczyzna zaczął się krztusić. Piotr chciał zadać mu jeszcze jedno pytanie, ale ranny gwałtownie zaczął blednąć i wyszeptał:

– Idź już. Chcę być sam.

– Chcesz, żebym komuś powiedział? – spytał cicho Piotr.

– Tak. W Warszawie, moja przybrana matka, Krystyna Wolniakowska. Pracuje jako siostra w szpitalu Dzieciątka Jezus. Wszyscy ją tam znają – wyszeptał Roland. Głowa opadła mu na pierś. Piotr sprawdził koledze puls. Nic nie wyczuł. Założył rękawiczki, zamknął oczy Rolanda, a zwłoki przykrył kocem zgarniętym z jednego z łóżek.

Spojrzał na zegarek, była dziewiętnasta dwadzieścia. Do przyjazdu Borówki pozostało jakieś czterdzieści minut. O ile nadgorliwiec nie postanowi przyjechać wcześniej. Piotr przeładował colta, przeszedł do sąsiedniego pokoju i otworzył okno. Na zewnątrz było zupełnie ciemno. Począł chwilę, aż wzrok przyzwyczał się do mroku, i upewniwszy się, że w pobliżu, na podwórzu nikogo nie ma, wyskoczył kocim ruchem przez okno. Kiedy znalazł się na trawie, przykucnął i niemal przeczołgał się wzdłuż domu, starając się nie robić żadnego hałasu. Wyrzął zza rogu budynku. Parę metrów dalej stał samochód terenowy. Pod jednym z jego sporych kół zamajaczyła sylwetka skulonej, kłęzącej postaci.

Piotr zawrócił i postanowił obejść Borówkę z drugiej strony zabudowań gospodarczych. Obiegł budynki. Teraz mężczyznę miał tuż przed sobą. Podczołgał się do samochodu i odbezpieczył pistolet. Borówka schowany za lewym, przednim kołem

obserwował drzwi. Zapewne czekał na umówiony sygnał. Piotr podczołgał się jeszcze bliżej i gdy był już około pięciu metrów od Borówki, postanowił zaryzykować. Wstał, zapalił małą latarkę i błyskawicznie ruszył z wycelowanym w mężczyznę pistoletem. Gdy Borówka się odwrócił, Piotr krzyknął po niemiecku:

– Policja, ręce do góry!

Zaskoczony i oślepiiony nagłym światłem mężczyzna, myśląc, że to niemieccy stróże prawa, błyskawicznie odrzucił trzymaną w ręku broń i posłusznie podniósł ręce. Piotr szybko znalazł się obok niego i kopnął go w brzuch, wcześniej odsuwając już nogą pistolet. Gdy Borówka zwijał się z bólu, uderzył go w kark ręką pistoletu, a następnie chwycił za szyję i wciągnął do domu. Kiedy byli już w środku, rzucił go obok zwłok Rolanda.

– Zadam ci pytanie. Jeżeli mnie okłamiesz, to cię zabiję – ostrzegł nienaganną polszczyzną Piotr. Przyłożył pistolet do skroni Borówki i zapytał ostro: – Jesteś sam?

Gangster dostrzegł martwego Rolanda i trupy braci Fikusów. W jego oczach pojawiło się przerażenie.

– Tak, tak – zapewnił skwapliwie. – Zabijecie mnie?

– To zależy. Jeżeli będziesz gadać, to może poudaję twojego martwego kumpla – Piotr wskazał ruchem głowy Rolanda.

– Mogę sięść na stołku? – z wyraźnym śląskim akcentem błagalnie wydusił z siebie Borówka. Piotr pokiwał głową, wciąż trzymając go na muszce, sięgnął po jedno z najbliższych stojących krzesel i ustawił je przed mężczyzną. Ten usiadł powoli, wciąż oglądając się niepewnie na Piotra.

– Jaki mieliście plan? – rzucił Mróz ostro. – Tylko pamiętaj, jedno kłamstwo i idziesz do piachu.

Borówka przetaił zmęczoną twarz. Chyba musiał być szczery, nie miał wyjścia.

– Wy jesteście ten chłop z Polski, który miał pomóc Rolandowi wykończyć braci Fikusów i mnie?

– Zgadza się.

– Plan był taki, żebyście z Rolandem wykończyli braci i Waltera. Jednego mieliście tylko zranić i dać mu jakieś prochy, by wygadał wszystko.

– A ty wiesz, gdzie jest kasa?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową. Piotr podniósł rękę, tak jakby miał za chwilę wystrzelić z pistoletu. Borówka pobladł.

– Przysięgam! Nic nie wiem. Dzisiaj miałem dostać dolę i każdy miał iść w swoją stronę. Oni chcieli się bujać po Meksyku – tłumaczył śmiertelnie wystraszony.

– A co miało się stać po zabiciu braci i kelnera? – spytał Piotr i zrobił krok do przodu.

W pomieszczeniu nastała grobowa cisza, tak że słychać było komary uwijające się przy zapalonym świetle. Borówka ważył swoją odpowiedź. Nie chciał skończyć z kulką w głowie.

– Roland miał cię kropnąć ze spluwy któregoś z Fikusów i mieliśmy podzielić się łupem – odparł i zmrużył oczy, oczekując na strzał.

– Brawo, brawo. Świetny plan. Tylko że Frantz... – wskazał na martwego z braci leżącego pod kołdrą na łóżku.

– Ta, to ten – potwierdził Borówka.

– No właśnie. Frantz miał paskudny zwyczaj trzymania spluwy pod poduszką, a mój świętej pamięci kolega, Roland, był marnym strzelcem. Powinien zabić go jednym strzałem, a zrobił to dopiero za drugim razem. – Piotr wymownie spojrzął na zwłoki agenta. – Na twoje szczęście przed śmiercią zdradził mi wasz doskonały plan i poprosił mnie o coś. – Borówka patrzył pytająco na Mroza, nie miał jednak odwagi zadawać pytań. – Zaraz się dowiesz, tylko musisz mi odpowiedzieć na jeszcze parę pytań.

– Powiem wszystko, jak na spowiedzi – zapewnił przestraszony Borówka.

– Ile kasy odłożyliście i co wynieśliście z domu Hanawalda?

– U Hanawalda, oprócz dużej kasy, był jeszcze woreczek z brylantami. Coś na oko dwa miliony marek – wyrzucił Borówka. – Ale te brylanty trefne były, więc dawali za nie tylko pół miliona.

– A ile macie jeszcze w biżuterii i gotówce?

Borówka podrapał się po głowie, jakby chciał sobie coś dokładnie policzyć lub przypomnieć.

– Powinno być sto tysięcy marek, pięćdziesiąt tysięcy dolarów, sto tysięcy franków szwajcarskich i w biżuterii do puszczenia przez pasera jakieś sto tysięcy – wyrecytował w końcu.

– Nieźle. I co zamierzałeś zrobić z forszą?

– Wziąć dziewczuchę i prysnąć do Australii – odrzekł, wzruszając ramionami.

– Następny dobry plan – stwierdził Piotr, uśmiechając się pod nosem – ale na moje szczęście Roland fatalnie strzelał.

– Co będzie ze mną? – zapytał Borówka, z niepokojem obserwując Mroza.

– Powinienem zrobić z tobą to, co planowaliście zrobić ze mną, ale... – chwilę się zastanawiał – twój kolega przed śmiercią wyznał mi prawdę i poprosił, abym ci go zastąpił.

Borówka osłupiały wytrzeszczył oczy.

– Co mam robić? – spytał z odrobiną nadziei w głosie.

– Zostaniesz w Niemczech, ale gdy wyjdiesz z tego pomieszczenia, zerwiesz wszelkie kontakty. Nie wrócisz też do narzeczonej.

– Ale Hania... Dlaczego? – spytał niemal płaczliwym głosem Borówka.

– Bo to kretynka, podobnie jak całe twoje towarzystwo. Sami kapusie! Nasi ludzie bez trudu cię namierzą i to, czego ja nie zrobiłem, zrobią inni. Kapujesz?

– Kapuję, kapuję – odparł podłamany chłopak.

– Masz jakąś rodzinę w Niemczech?

– Tak. Siostrę mojej matki, która prowadzi interes pod Hamburgiem.

– Jak się nazywa siostra matki? Tylko bez kombinacji – Piotr skinął głową w kierunku martwych ciał.

– Gerda Hepner.

– Numer telefonu.

Borówka wyrecytował posłusznie cyfry, a Piotr zapisał je na pudełku od zapalek, które wyjął z kieszeni.

– Dobra! – rzucił nagle. – Idę sprawdzić skrytkę. Jeżeli jest tak, jak mówisz, będziesz żył, ale jeśli mnie okłamałeś, to już jesteś martwy.

– Jasne, jasne – pokornie odpowiedział Borówka.

Piotr skuł mu ręce z tyłu, a nogi związał paskiem. Następnie ręcznikiem przyniesionym z łazienki zakneblował usta.

– Musisz się trochę pomęczyć – oznajmił. – Lepiej, żeby numer do ciotki był prawdziwy. Pojadę na stację benzynową i to sprawdzę. Jesteś pewien, że podałeś mi prawdziwe nazwisko?

Zakneblowany Borówka pokiwał przytakująco głową.

– I pamiętaj, jeżeli ruszysz się choćby na dziesięć centymetrów, to nasza umowa stanie się nieaktualna. Rozumiesz?

Borówka ponownie pokiwał głową, a Piotr wyszedł z domu i ruszył w kierunku lasu. Wziął ze sobą torbę turystyczną i łopatę. Odnalazł kapliczkę na skraju lasu przylegającego do ogrodzenia. Przeskoczył płot, odliczył dziesięć kroków w stronę lasu i ruszył dalej, trzymając w ręku latarkę. Bez trudu zauważył sporych rozmiarów konar. Odrzucił go na bok. Ziemia w jednym miejscu wyraźnie się zapadła, więc tutaj zaczął kopać. Na głębokości około metra szpadel uderzył w coś twardszego. Piotr pieczołowicie usunął resztki ziemi i wyjął dużych rozmiarów słoik. W środku dostrzegł pełno biżuterii i czarny jedwabny woreczek. Odkręcił wieczko i wyjął woreczek. Delikatnie go rozchylił. Wewnątrz rzeczywiście były drogocenne kamienie. Naćpany Fikus nie kłamał.

Piotr przesypał biżuterię do torby podróżnej, ale same brylanty ponownie włożył do słoika i zakręcił wieczko. Odmierzył pięćdziesiąt kroków od kapliczki w głąb lasu i ponownie zaczął kopać. Tym razem dół był głębszy niż jedynie metr. Włożył do niego słoik, zasypał go ziemią, po czym wszystko dobrze udeptał i przykrył igliwem. Na wierzch położył kamień. Wrócił na poprzednie miejsce i zakopał wyrwę w ziemi. Przeskoczył przez ogrodzenie i pobiegł z kosztownościami do domu. Otworzył drzwi i stwierdził, że Borówka siedzi w tej samej pozycji, w jakiej go zostawił. Widocznie wziął sobie do serca słowa Piotra. Mróz zostawił go i ruszył do komórki, w której bandyci zamykali psy. Poszukał przełącznika elektrycznego, przyświecając sobie latarką. Znalazł. Zapalił światło i zamknął drzwi. Przed nim, na końcu pomieszczenia, stała duża buda. Piotr chwycił stojący obok szpadel i uniósł nim budę, a potem ostrożnie położył ją na boku. Na jednej ze ścian wisiały różnorodne narzędzia. Znalazł małą siekierkę i zaczął rąbać dno budy. Po paru uderzeniach deski popękały, a pod nimi i zobaczył reklamówkę zaklejoną folią. Piotr wydobył pakunek i rozerwał go. W środku były zrolowane banknoty. Wrzucił znalezisko do torby i wrócił do domu. Kiedy wszedł, zapalił światło i wyjął knebel z ust Borówki, który łapczywie zaczął łykać powietrze.

– Wszystko się zgadza poza numerem, który mi podałeś. Nikt nie podnosi słuchawki – skłamał Piotr.

– Przysięgam, jeszcze raz podam – zaczął skamleć Borówka i wyrecytował numer telefonu ciotki, po czym dodał: – Firmę mają, przetwórstwo ryb. Może ludzi na zmianę wypuszczają.

Piotr posadził go na podłodze, zluzował pasek na nogach, wyjął nóż sprężynowy i zapytał:

– Wolisz nożem w serce czy pistolet?

– Przecież powiedzieliście – zajęczał chłopak – że jeżeli powiem prawdę, to mnie nie ukatrupicie.

Piotr spojrzał mu w oczy.

– A czy mam pewność, że mnie nie wykiwasz i to, co zostanie ustalone w tym pokoju, pozostanie między nami? – spytał.

– Słowo! Przecież w każdej chwili może pan zadzwonić na policję i jestem tu spalony. Za to, co ci kretyni zrobili, dostanę dożywocie!

– Masz rację, ale muszę mieć jeszcze dowód – stwierdził Piotr.

Rozkuł Borówce kajdanki, po czym rozładował pistolet Rolanda i na jego rękojeści zacisnął dłoń Borówki. Następnie schował go do torby z kosztownościami.

– Jeżeli mnie wykiwasz, to ten gnat z twoimi odciskami trafi na policję, a wtedy pójdziesz siedzieć. Kapujesz?

– Tak, tak – Borówka pokiwał głową.

Piotr złapał torbę, paczkę z pieniędzmi i poszedł do kuchni. Tam na stole podzielił kasę na pół. Jedną połówkę wrzucił do torby z biżuterią, a drugą do reklamówki, którą znalazł w jednej z szuflad. Z reklamówką wrócił do Borówki.

– Masz połowę kasy. To inwestycja w przyszłość, jasne? – rzucił.

– Jasne, jasne!

– Za rok, dwa odwiedzę cię. Jeżeli zamierzasz robić interesy i zastosujesz się do tego, co powiedziałem, dostaniesz następne pieniądze. O wiele większe. Tylko pamiętaj, jeden zły ruch, próba wykiwania mnie i albo cię zabiję, albo dożywocie w więzieniu.

– Rozumiem – skwapliwie zapewnił Borówka. – Nie wykiwam pana.

– Od dziś numer twojej ciotki to kontakt. Jeżeli na drugi, najdalej trzeci dzień po moim telefonie nie postarasz się siedzieć przy aparacie i czekać na kontakt, przestajesz być współnikiem, a stajesz się celem.

Piotr uwolnił Borówkę, a następnie wspólnie z nim załadowali ciała Fikusów, Waltera i Rolanda do bagażowego volkswagena. Do auta trafił też karabin snajperski. Piotr odpalił samochód i przejechał przez las w kierunku żwirowni, zatrzymując się na brzegu głębokiego wyrobiska. Kiedy upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo, wyrzucił tam karabin, a następnie wraz z Borówką ciała zabitych mężczyzn. Kiedy skończyli, Piotr odprowadził wóz na farmę, pozamykał drzwi i bramę, po czym wziął torbę z kosztownościami, a reklamówkę z pieniędzmi wręczył Borówce.

– Tylko nie zmarnuj szansy. Możesz stać się bogatym człowiekiem, tylko zerwij

z towarzystwem i z bandytami, rozumiesz?

– Tak, tak – odparł chłopak.

– Powiem, że cię kropnąłem. Żwirownia jest głęboka, więc twoje ciało nie zostanie na razie wydobyte. Zmień nazwisko na nazwisko ciotki.

– Dobrze, dobrze.

– Gdzie masz samochód?

– W tamtych krzakach – Borówka wskazał na zarośla odległe od farmy o jakieś pięćset metrów.

– Dobrze, ruszaj – polecił Piotr, a sam skierował się do samochodu należącego do Rolanda.

Gdy dotarł do auta w lesie, zdjął kurtkę oraz rękawiczki i schował je do bagażnika. Ujechał około kilometra, zatrzymał się i do pobliskiej rzeczki wyrzucił reklamówkę z zakrwawionym ubraniem i pistolety – swój oraz Rolanda, na którym były odciski Borówki.

Po trzech godzinach dotarł do Bonn. Samochód zostawił na podmiejskim parkingu, a sam złapał taksówkę i pojechał do ambasady. Przed wejściem do budynku znalazł automat telefoniczny, wydobył pudełko zapalek i wykręcił numer podany przez Borówkę. Po chwili w słuchawce usłyszał głos dojrzałej kobiety.

– Halo.

– Dzień dobry, pani Gerda Hepner? – spytał Piotr.

– Tak. Kto dzwoni?

– Przyjaciel Heinza Borówki – odparł Piotr, czekając na reakcję kobiety.

– Coś się stało? – zapytała zatroskana kobieta.

– Nie, nie. Wkrótce Heinz przyjedzie do pani. Proszę mu przekazać, że dzwonił przyjaciel Rolanda i że się odezwie być może za następne parę lat, ale na pewno się odezwie. Proszę, aby pani przekazała, by oczekiwał cierpliwie na telefon ode mnie. – Piotr odłożył słuchawkę, nie czekając na komentarz kobiety.

Kiedy zjawił się w ambasadzie i przed szefem wywiadu rozłożył reklamówkę, ten zaniemówił. Dopiero po paru chwilach skomentował:

– Nieźle oprychy się obłowily. – Wziął do ręki paczkę pieniędzy i ważył ją w dłoni. – A gdzie Roland?

– Nie żyje – odparł Piotr.

– Jak to? On?

– Roland może i był zabijaką, ale strzelcem to był raczej marnym.

– To znaczy?

– To znaczy, że potrzebował dwóch strzałów, by zabić jednego z braci Fikusów. To o jeden za dużo. – Piotr zapalił papierosa.

Po misji w Niemczech pozycja Piotra w resorcie znacznie się poprawiła. Najwyżej postawieni w państwie towarzysze byli przekonani, że mogą mu zlecać najbardziej niebezpieczne zadania. Uznali, że mają bezgranicznie oddanego żołnierza i towarzysza, który unieszkodliwi każdego wroga komunizmu. Nie wiedzieli jednak,

jak bardzo się mylą. Piotr słusznie przypuszczał, że zarówno on sam, jak i jego rzeczy będą podlegać drobiazgowej kontroli, dlatego nie miał przy sobie ani w bagażu nic, co zostało zrabowane przez braci Fikusów. Po dwóch latach ponownie został wysłany do RFN z misją. Tym razem jego zadanie polegało na zabiciu człowieka, który był funkcjonariuszem UB oraz SB i uciekł na Zachód. Teraz za pośrednictwem Radia Wolna Europa ujawniał niewygodną prawdę o sytuacji panującej w socjalistycznej Polsce. Agenci z ambasady namierzyli owego człowieka, który mieszkał pod ochroną w jednym z małych miasteczek niedaleko Bonn. Piotr dostał zadanie zlikwidowania go. Kiedy przybył na miejsce, okazało się, że cel zniknął. W ambasadzie PRL w Bonn domyślano się, że ktoś z pracowników zdradził plany. Za parę lat miało wyjść na jaw, że to wysoko postawiony oficer wywiadu przeszedł na stronę wroga. Piotr i ludzie z ambasady postanowili spróbować znaleźć tego człowieka. Do tego czasu Piotr miał okazję, aby trochę pozwiedzać RFN i spotkać się z Borówką. Poprosił szefa o trzydniowy urlop. Zapewnił go, że codziennie rano będzie dzwonił do ambasady, by spytać o ewentualne pojawienie się celu. Major wyraził zgodę.

Piotr postanowił odwiedzić las nieopodal farmy w Pocking. Gdy przejeżdżał obok farmy, zauważył resztki taśmy policyjnej, jaką okleja się miejsca zbrodni, chroniąc je przed wścibskimi. Musieli odkryć zwłoki w żwirowni i powiązać je z farmą, pomyślał. Budynki sprawiały jednak wrażenie opuszczonych. Nikt tam zapewne nie zamieszkał. Piotr zaparkował na skraju lasu, wyjął małą saperkę i torbę turystyczną, po czym dokładnie zlustrował okolicę. Oprócz przejeżdżających samochodów ciężarowych nie zauważył niczego podejrzanego, więc ruszył wzdłuż ogrodzenia farmy. Bez trudu odnalazł małą kapliczkę i odmierzył od niej sześćdziesiąt kroków w głąb lasu. Zauważył kamień, który położył ponad dwa lata temu. Odrzucił go i zaczął kopać. Po wykopaniu sporego dołu natrafił na słoik. Delikatnie podważył go saperką i wyjął z ziemi. Zawartość pozostała nienaruszona. Piotr schował znalezisko do torby, zasypał dziurę w ziemi i po kilku minutach ruszył w drogę powrotną.

Po godzinie jazdy zatrzymał się na stacji benzynowej. Z kieszeni wyjął pudełko zapalek. Wykręcił numer i po chwili w słuchawce telefonu odezwała się młoda kobieta:

– Tak, słucham.

– Dzień dobry, czy zastałem panią Gerde Hepner? – spytał uprzejmie Piotr.

– Tak, już proszę szefową.

Po chwili odezwała się kobieta o zdecydowanie starszym głosie:

– Tak, tu Gerda Hepner.

– Dzień dobry. Nie wiem, czy pani pamięta, ale ponad dwa lata temu dzwoniłem. Jestem przyjacielem Heinza. Zastałem go? – W słuchawce zapanowała cisza. Kobieta wyraźnie zastanawiała się nad odpowiedzią. Piotr postanowił przypomnieć jej swoją osobę: – Jestem przyjacielem Rolanda. Mówiłem pani, że zadzwonię, tylko nie znałem terminu mojego przyjazdu.

– A tak, tak, przypominam sobie. Jeżeli pan chwilę zaczeka, to poproszę siostrzeńca do telefonu – odrzekła kobieta zmieszonym głosem.

Po upływie kilku minut w słuchawce odezwał się Borówka.



– Słucham.

– To ja, następca Rolanda. I co tam słyhać? Wszystko tak, jak się umówiliśmy? – spytał Piotr.

– Tak, w stu procentach. Zrobiłem tak, jak pan radził – odparł Borówka dyplomatycznie, tak aby nie wystraszyć ciotki.

– To dobrze. Musimy się spotkać. Mam jeszcze parę godzin jazdy do Hamburga. Proponuję, żebyśmy spotkali się jutro około dwunastej gdzieś w centrum miasta, w jakiejś kawiarni.

– Dobrze. Ile mam przynieść pieniędzy?

– A ile ich dokładnie było?

– Po przeliczeniu na marki, jakieś dwieście tysięcy – oznajmił Borówka.

– Przynieś mi dziesięć tysięcy marek, tylko w jak największych nominałach – polecił Piotr.

– A co z resztą?

– To ustalimy, jak się spotykamy. Gdzie będziemy mogli spokojnie pogadać?

– Na Wilhelmstrasse jest mała kawiarnia. Nazywa się „Brasil”.

– Dobra, to do zobaczenia jutro. Będę sam, ty także bądź sam.

– Jasne, jasne – potwierdził Borówka trochę wystraszonym głosem.

Nazajutrz, w południe w kawiarni „Brasil” Piotr pił wyśmienity, gorący i aromatyczny napój. Cała kawiarnia wypełniona była zapachem kawy, której przeróżne gatunki widniały w drewnianych, przeszklonych gablotach. Klienci mogli do woli degustować różne jej smaki. Piotr właśnie zamierzał zamówić kolejną kawę wraz z nieodzowną szklanką wody, gdy stanął przed nim młodzieniec z długimi włosami, w przeciwsłonecznych okularach, dzinsach i modnej koszulce.

– Brawo – pogratulował Piotr – nie poznałem cię.

Borówka rozejrzał się po kawiarni i zapytał:

– Mogę usiąść?

– Siadaj – odparł Piotr. – Zamówić ci kawę?

– Chętnie – chłopak uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony. Cieszył się, że zastał agenta w dobrym nastroju.

– Co u ciebie słyhać? Wykorzystałeś szansę, którą ci dałem? – zapytał Piotr po zamówieniu kawy.

– Tak jak pan kazał, wyjechałem z Monachium i zatarłem za sobą wszelkie ślady.

– Nikt cię nie szukał i nie wydzwaniał za tobą?

– Szukała mnie moja dziewczyna, ale ciotka powiedziała jej, że nie ma mnie u niej, i dała sobie spokój.

– A dawni kumple?

– Wypłynęli w żwirowni. Policja całą sprawę nagłośniła, robili przeszukanie na farmie, ale mnie nikt nie poszukiwał, żadnym listem gończym – nieco ściszym głosem odparł Borówka.

– Zmieniłeś nazwisko?

– Tak. Nazywam się Heinz Hepner. To nazwisko ciotki.

– To dobrze. A co zrobiłeś z kasą?

– Zainwestowałem w interes ciotki. Teraz połowa firmy należy do mnie.

– Nieźle, ale nie pytałeś mnie o zgodę – stwierdził niespodziewanie Piotr.

– Przecież powiedział pan, żebym zainwestował – odparł wyraźnie zmieszany chłopak.

– Dobra, dobra – Piotr machnął lekceważąco ręką. – Najważniejsze, że dałeś sobie spokój z bandytyzmem. Co to za interes?

– Przetwórstwo rybne. Sałatki, przekąski, konserwy rybne.

– I jak to idzie?

– Gdyby nie ta kasa, to ciotka dalej zatrudniałaby dwadzieścia osób. Przekonałem ją i dzisiaj mamy dwustu ludzi. Zainwestowałem w maszyny i zakup ryb bez pośredników – oznajmił Borówka.

– Czyli dalsze inwestycje w tej branży mają sens?

– Myślę, że gdybym miał własne kutry do połowu i kasę na zakup większych partii ryb, takich jak tuńczyk czy łosoś, to bym firmę rozbudował, że ho, ho. Może i starczyłoby na sieć sprzedaży w całych Niemczech.

Piotr napił się kawy i spokojnie powiedział:

– Dostaniesz ode mnie jeszcze jedną szansę – podał Heinzowi torbę.

Ten rzucił okiem na zawartość, włożył rękę i wyjął woreczek.

– Lepiej tego tutaj nie oglądaj – ostrzegł Piotr.

Borówka pokiwał ze zrozumieniem głową i zapytał jedynie:

– To są te cacka od Hanawalda?

– Tak. Ile to może być warte na czarnym rynku?

– Z pół miliona marek – odpowiedział Borówka.

– Więc weź to i zainwestuj w interes rybny.

– A jak będziemy dzielić się zyskami? – zapytał Borówka.

– To proste. Do tej pory zainwestowałem z tobą dwieście tysięcy marek, teraz kolejne pół miliona, więc kiedyś, za dziesięć, piętnaście czy dwadzieścia lat, może przyjadę do ciebie i oddasz mi połowę z tej kasy, plus dziesięć procent wartości twojej firmy. Uczciwie?

Borówka z niedowierzaniem pokiwał głową.

– A jeżeli interes nie pójdzie i zbankrutuję?

– To myśl i inwestuj z głową – wyjaśnił z naciskiem Piotr – bo bankructwo będzie oznaczać dla ciebie więzienie. Pamiętasz odciski na pistolecie? Krótko, wchodzisz?

Borówka chwilę się wahał, ale w końcu odparł zdecydowanym tonem:

– Wchodzę.

– Masz te dziesięć tysięcy marek? – spytał Piotr.

– Tak. – Heinz wyjął kopertę z banknotami.

– Co jakiś czas będę przyjeżdżał po małą wypłatę – oznajmił Piotr, podając Borówce rękę na pożegnanie.

\*\*\*

Piotr dojechał do granicy, rozmyślając o przeszłości. Była dokładnie piąta rano, gdy podjechał na przejście graniczne w Słubicach. Kolejka o tej porze była krótka. Polski celnik kazał otworzyć bagażnik i walizkę, po czym zapytał o papierosy. Piotr odrzekł, iż właśnie rzuca palenie. Pogranicznik i celnik po niemieckiej stronie na widok ekskluzywnego samochodu i dobrze ubranego mężczyzny nawet nie fatygowali się z kontrolą i ręką dali znak do przejazdu. Po przejechaniu dwudziestu kilometrów Piotr zobaczył nowo wybudowaną stację benzynową. Podjechał pod dystrybutor, napełnił zbiornik, zapłacił w kasie za paliwo i wykonał telefon z automatu znajdującego się na stacji. Po chwili usłyszał głos Teresy – mamy swego zięcia mieszkającej z ojcem we Francji.

– Dzień dobry, tu Piotr – przywitał się.

– Co tak wcześniej? – spytała zasnana kobieta.

– Dzwoniłaś do Zuzanny i Jarka?

– Tak, rozmawiałam z nimi późnym wieczorem. Marysia żyje, choć jej stan lekarze nadal określają jako ciężki – wyjaśniła kobieta.

– Posłuchaj mnie. Obudź swojego ojca, spakujcie się i wyjedźcie gdzieś do kurortu, do Paryża, do znajomych... Gdziekolwiek. Tylko nikomu nie mów, gdzie jedziecie.

– Ale dlaczego? – kobieta była przerażona.

– Musiałem coś ujawnić obcym służbom w zamian za operację i opiekę nad Marysią, Zuzanną i Jarkiem. Grozi mi niebezpieczeństwo, dlatego uciekłem z kraju. Nasze dzieci są objęte specjalną ochroną CIA i wyjadą do USA. Ty także wyjedź jak najszybciej. Spotkamy się za tydzień. Zwrócę ci koszty wyjazdu i pokryję koszty urlopu, tylko weź ojca i opuść jak najszybciej swój dom.

– Czy to konieczne? Przecież ja o niczym nie mam pojęcia. Nic nie wiem o twojej przeszłości – oponowała.

– Dla tych ludzi to bez znaczenia. Oni was zabiją, uciekajcie – rozkazał Piotr.

– Dobrze, już budzę ojca. Gdzie się spotkamy? – zapytała Teresa.

– Gdzieś w Paryżu, tam gdzie obecność Polaków nie budzi zainteresowania.

– Może w polskim kościele przy rue Saint-Honoré?

– Dobrze. Równy za tydzień o siedemnastej.

– Dobrze.

– Nikomu ani słowa o tym, gdzie się mamy spotkać. Nawet Zuzannie! Telefony mogą być na podsłuchu. I sprawdzaj, czy ktoś cię nie śledzi. Nie patrz na koszty hoteli i pensjonatów, wszystko ci zwrócę, jak się zobaczymy. – Kobieta chciała jeszcze o coś zapytać, ale Piotr jej przerwał: – Nie mam czasu. Jestem już w Niemczech. Muszę ruszać dalej – powiedział i zakończył rozmowę.

## ROZDZIAŁ XLII

Nadkomisarz Bukalski, korzystając z radia, przekazał dyżurnemu na komendzie personalia i przybliżony wiek Piotra. Po paru minutach znał już ursynowski adres Mroza.

– No to złożymy wizytę pułkownikowi.

– Wsparcie? – zasugerował Adam.

– Dobra! Radiowóz. Tylko poproś, aby nie włączali syren, żeby go nie wypłoszyć – rozkazał Bukalski.

Wolf wykonał polecenie. Po dwudziestu minutach byli pod podanym przez dyżurnego adresem. Na miejscu pojawił się już jeden, ubrany po cywilnemu, patrol. Bukalski nakazał policjantom założenie kamizelek kuloodpornych i ruszyli. Nazwisko Mróz widniało w spisie lokatorów na klatce schodowej pod numerem czternastym, na trzecim piętrze czteropiętrowego bloku. Po chwili stali przed drzwiami mieszkania. Bukalski dał sygnał do przygotowania się do wejścia i wszyscy odbezpieczyli broń. Bukalski nacisnął przycisk dzwonka, ale nikt nie odpowiadał. Zadzwoił ponownie, ale zamiast dźwięku otwieranych drzwi usłyszeli tupot nóg kilku ludzi wbiegających po schodach. Bukalski i Adam pomyśleli, że to wsparcie, ale przecież nikt oprócz nich nie znał adresu Mroza. Adama coś jednak tknęło. Odwrócił się w kierunku schodów. Nie wiadomo, kto był bardziej zaskoczony – on czy zasapany, truchtający po schodach generał Kamiński.

– Skąd wiedzieliście, że to on? – rzucił po chwili konsternacji generał.

Bukalski odpowiedział pytaniem:

– A skąd pan generał wiedział, że to on był w Piasecznie?

Zapanowała chwila niezręcznej ciszy. Milczenie przerwał Kamiński.

– Nie czas na spowiedź, wchodzimy! – rozkazał.

Adam wziął rozmach i z całej siły kopnął w drzwi, ale te widać posiadały solidne zamki i nie zamierzały ustąpić, mimo śladów solidnego wgniecenia. Kamiński dał znak swojemu człowiekowi i wkrótce przed drzwiami pojawili się ludzie z policyjnym taranem. Po trzech uderzeniach udało się. Adam był już na progu mieszkania, gdy usłyszał ostry niczym brzytwa głos Kamińskiego:

– Przykro mi panowie, ale przejmujemy śledztwo i nie macie prawa tam wchodzić!

Bukalski spojrzał porozumiewawczo na Adama, który z wściekłości przygryzł wargi.

– Czyli jutro przekazanie okupu będą osłaniać pana ludzie? – spytał nadkomisarz.

– Nie! Nie mam tylu ludzi, ale dla pana i komisarza Wolfa miejsce w naszym samochodzie czeka. Do zobaczenia jutro – oznajmił szyderczo generał.

Jego ludzie właśnie skończyli sprawdzanie mieszkania.

– Panie generale! Czysto! Żywego ducha.

– Tak jak przypuszczałem. Jedziemy do jego dachy, może tam coś znajdziemy. Tutaj zostają trzej ludzie i trzej przed blokiem. Może próbować coś stąd zabrać, trzeba uważać – rozkazał Kamiński i ruszył po schodach w dół.

Bukalski, Adam i dwóch towarzyszących im policjantów podążyli za nim. W trakcie schodzenia po schodach jeden z policjantów, około czterdziestki, zrównał się z Bukalskim i cicho powiedział, wskazując brodą na generała:

– Panie nadkomisarzu, kiedyś ten gość był w SB i traktował nas jak śmieci. Teraz jest w UOP i dalej traktuje nas jak śmieci. Czy w tym kraju nic się nie zmieni?

– Nie wiem! Może za dwadzieścia pięć lat, jak ci pierdoleni „wielcy” wyzdychają – rzucił głośno nadkomisarz.

– Albo jak ktoś w końcu odważy się zrobić z nimi porządek – dorzucił Adam.

– Porządek? – dopytywał policjant.

Nikt mu nie odpowiedział. Adam jedynie wzruszył ramionami.

Kiedy znaleźli się już koło samochodu, Bukalski nie krył jednak irytacji.

– Wiesz co, ta menda mnie wkurzyła. Masz ochotę się dowiedzieć, co się stało w Piasecznie?

Adam spojrział na zegarek. Zapowiadała się kolejna bezsenna noc.

– No dobrze, zadzwonię do mamy, żeby nie czekała z kolacją.

Po godzinie stania w korkach i przeciskania się bocznymi ulicami, wyjechali z Warszawy w kierunku Mazur. Po trzech godzinach byli pod komisariatem policji w Piszcu. Bukalski wszedł do środka sam. Szybko wrócił.

– Nie uwierzysz! – rzucił wściekły. – Kamiński nakazał tym geniuszom milczenie. Nie chcieli mi powiedzieć, co tam się stało. Obiecał im awans za trzymanie gęby na kłódkę.

– Widzisz, jak niewiele trzeba ludziom do szczęścia – sarkastycznie skomentował Adam.

Zawracali już spod komisariatu, gdy Wolf zauważył nieco dalej grupkę młodzieży przy remizie ochotniczej straży pożarnej.

– Tam jest sklep – rzucił. – Podjedź. Jeżeli niżsi rangą policjanci mieli cię, szanowny nadkomisarzu w dupie, to może członkowie straży pożarnej, w zamian za coś na gardło, sobie przypomną? Chyba szykują się na imprezę.

Bukalski, wyraźnie poirytowany, nie skomentował. Podjechał pod sam sklep, a po chwili Adam, uzbrojony w dwie półlitrowki, ruszył w kierunku grupy młodzieży. Bukalski ujrzał scenę tak szokującą, a zarazem zabawną, że musiał się w duchu roześmiać. Oto jego podwładny, jakby nigdy nic, podszedł do grupy tubylców. Przywitał się z każdym, pokazał butelkę wódki, po czym za chwilę uderzył ręką w dno butelki, odkręcił ją i podał stojącym. Ci po kolei, nie zważając na płeć i wiek, rażno pociągnęli z gwinta. Na końcu komisarz Wolf również wypił swoją działkę. Po

krótkiej konwersacji pokazał drugą butelkę. Grupa młodzieży wyraźnie zaczęła się rozglądać, po czym jeden z mężczyzn wziął Adama pod ramię i stając parę metrów od pozostałych, zaczął coś wyjaśniać, gestykulując przy tym rękoma. Po chwili Adam udał się raz jeszcze do sklepu i wyszedł z następnymi dwiema butelkami, wskazując ręką na samochód. Tubylec po chwili wahania ruszył w kierunku wozu.

– Wsiadaj do tyłu! Będziesz pokazywał drogę – rozkazał Adam.

Gdy młody człowiek wsiadł do auta, Adam pokazał mu butelki.

– Dostaniesz je, jak nas zaprowadzisz na miejsce i opowiesz, co wiesz – rzucił.

– Panowie! Ale jak komendant się dowie, to mi jaja urwie – wybełkotał miejscowy.

– Jak masz na imię? – spytał Bukalski.

– Waldek Wiewióra jestem – odparł dziarsko mężczyzna.

– Jesteś strażakiem?

– Jestem! – potwierdził z dumą w głosie Waldek, cały czas siedząc na tylnym siedzeniu samochodu i wpatrując się intensywnie w dwie butelki wódki leżące spokojnie obok siedzenia Adama.

– A więc Waldek, nas twój komendant obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg. Mówisz, co wiesz, pokażesz drogę i masz z towarzystwem imprezę. My nie puścimy pary z gęby – zaproponował Bukalski.

Widocznie urok żytniej wziął górę nad obietnicą zachowania tajemnicy, bo Waldek Wiewióra zaprowadził Adama i Bukalskiego do spalonej willi Wątroby i opowiedział o przebiegu całej akcji ratunkowej, której sam był uczestnikiem. Nie pominął nawet wizyty tajemniczego agenta z Warszawy, do którego podwładni i komendant posterunku zwracali się „panie generale”. Opis gościa wskazywał dość jednoznacznie na dobrze znanego obu policjantom irytującego osobnika. Po wysłuchaniu relacji wręczyli Waldkowi dwie butelki, a ten szybko i rażnym krokiem powędrował w stronę miasteczka, stwierdzając, że nie potrzebuje podwózki.

– A więc to jest to tajemnicze miejsce, o którym mówiła twoja była. – Bukalski uważnie rozejrzał się po pobojowisku już po odejściu Wiewióry.

– Widzisz, nadkomisarzu! Nie stopień, funkcja, stanowisko służbowe, a cztery butelki naszej kochanej wódeczki pozwoliły na uzyskanie informacji, dzięki której wszystko wiemy – odparł Adam wyraźnie rozbawiony.

– Taki jesteś cwany? To patrz! – rzucił Bukalski, dostrzegając grupkę ludzi, wciąż pracujących wśród ruin w świetle lamp strażackiego agregatu. – Myślę, że nawet za skrzynkę wódki tutaj byś nic nie załatwił.

Wyciągając z kieszeni legitymację, ruszył w stronę pracujących ludzi.

Podszedł do pierwszego z brzegu, który po chwil wskazał mu ręką człowieka przeglądającego w świetle latarki pozostałości po spalonej willi. Po przywitaniu i krótkiej rozmowie obaj ruszyli w kierunku samochodu. Kiedy byli już blisko, Adam zorientował się, że muszą się znać. Rozmawiali swobodnie, poklepując się po ramionach jak kumple. Gdy podeszli do wozu, Bukalski rzucił do Adama:

– Poodychaj trochę tym wspaniałym mazurskim powietrzem!

Wolf bez słowa ruszył obejrzeć okolicę, jednak ze względu na panujące ciemności postanowił odejść na bezpieczną odległość i poczekać.

Po około półgodzinnej rozmowie mężczyzna wysiadł z samochodu Bukalskiego.

– Co tak dumasz? Zostaniesz myślicielem albo filozofem – zażartował Adam, gdy wsiadł i zauważył zamyśloną twarz szefa.

– Tam, kilometr stąd, jest restauracja. Musimy coś zjeść – zaproponował Bukalski.

Kiedy znaleźli się w restauracji i zamówili smażonego sandacza, Bukalski stwierdził bez ogródek:

– To, co usłyszysz, musi pozostać między nami!

– Jak zwykle – odparł Adam.

– Ten gość, który ze mną rozmawiał, to Tomasz Oziński, prokurator krajowy. Jego ojciec był przez piętnaście lat moim szefem, znamy się kopę lat.

– Czego się dowiedziałeś?

– Wiesz, czyje auto stoi zniszczone pod tą spaloną willą? – Adam spojrzał pytająco na szefa. – To samochód Piotra Mroza. W willi znaleziono cztery trupy. Spalone i porozrywane wskutek wybuchu czterech butli gazowych. Ich tożsamość lada chwila będzie znana generałowi Kamińskiemu.

– Nieźle – Wolf aż gwizdnął przez zęby. – To co tu się naprawdę wydarzyło?

– Oficjalnie?

– Oficjalnie.

– Oficjalnie to wybuchła butla gazowa i zginęło czworo ludzi.

– A nieoficjalnie?

– Nieoficjalnie to ktoś kropnął tych czterech gości i dla zatarcia śladów zrobił fajerwerki – wyjaśnił Bukalski.

– Podejrzewają, kim są ci goście?

– Dwóch tajniaków od Kamińskiego, jakiś Wątroba, były esbek, i nasz pan pułkownik.

– Ciekawe, co tu robiła ta wspaniała „kamanda” – zastanawiał się Adam.

– Tego nie wiem. Najwyraźniej Kamiński czegoś tu szukał, ale nikt nie wie czego. Pewne jest to, że tłumaczył się intensywnie przed samym Kwaśniakiem.

– Och! To niezłe gówno musiało się tutaj rozlać, skoro sam towarzysz Kwaśniak tym się interesuje.

– No właśnie, ale jest jeszcze jedna ważna informacja. Otóż wcale nie ma pewności, że trupy z tej willi należą do tych osób. Musisz zadzwonić do swojej koleżanki – zaproponował Bukalski.

– Dobra. – Adam wyjął notes i odnalazł numer, który dostał od Alicji w siedzibie WSI. Podszedł do baru i poprosił barmankę o możliwość zadzwonienia do Warszawy. Po półgodzinnym oczekiwaniu poproszono go do telefonu. W słuchawce usłyszał zaspany kobiecy głos Alicji.

– Halo...

– Cześć! Tu Adam, nie przeszkadzam?

– Nie – oznajmiła wyraźnie rozbudzona kobieta. – Może wpadniesz na coś mocniejszego?

– Dzięki, nie dzisiaj – odparł Adam. – Jesteśmy z twoim szefem w Piszku. Wiesz, współpraca. Tylko jak zwykle nie chce nam za wiele powiedzieć, a przydałoby się. Może jakiś awans by wpadł – kłamał jak z nut Wolf.

– Hm, ale właściwie w czym mam ci pomóc?

– Mam propozycję. Wtorek i środę mam wolne. Może dasz się zaprosić na kolację, a potem napijemy się czegoś u ciebie?

Alicja roześmiała się. Za dobrze go znała.

– Dobra, dobra, ty glino, czego chcesz? – zapytała wprost.

– Zginęło tu czterech mężczyzn. Ponoć twój guru zna już nazwiska. Mogłabyś mi je podać?

Alicja wyraźnie spoważniała. Po chwili wahania i ciszy w słuchawce odpowiedziała:

– Sorry. Ale za to wyleją mnie z roboty. Za wiele wymagasz.

– No to sprawdź mi chociaż, czy wśród nieboszczyków jest niejaki Piotr Mróz. Proszę, to bardzo ważne.

– Daj mi pół godziny. Spróbuję się czegoś dowiedzieć – oznajmiła kobieta i rozłączyła się.

Adam wrócił do stolika i zdał relację Bukalskiemu. Dochodziła dwudziesta druga.

– Musimy zaraz po telefonie jechać, żeby jutro przypilnować Heleny i odzyskania przez nią ukochanego męża – stwierdził Bukalski.

– Myślisz, że w ogóle dojdzie do wymiany? – spytał z powątpiewaniem w głosie Adam.

– Myślę, że bandyci będą obserwować żonę Badylarza i jutro na pewno do niczego nie dojdzie. Chyba że to kretyni.

Pół godziny później Adam ponownie został poproszony do telefonu przy barze. W słuchawce usłyszał głos Alicji:

– To bardzo śmierdząca sprawa. Mogę ci jedynie powiedzieć, że gościa, o którego pytałeś, raczej nie było wśród tych spalonych zwłok.

– To pewne?

– Raczej tak, ale na dokładne badania trzeba będzie poczekać. Pozostałych trzech zidentyfikowano na podstawie uzębienia.

– Dzięki! To w środę się spotykamy – ponowił propozycję Adam.

– Trzymam cię za słowo – stwierdziła Alicja. – I pamiętaj, po kolacji musimy przypomnieć sobie trochę wspaniałych chwil.

– Masz to jak w banku – odparł Adam, nie mając pojęcia, jak wkrótce jego plany zostaną gruntownie zweryfikowane.



## ROZDZIAŁ XLIII

Kamiński przeglądał właśnie wyniki sekcji zwłok i porównanie uzębienia denatów, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Jeszcze nie zdążył krzyknąć „wejść”, gdy na progu stanął generał Kwaśniak w eleganckim, szarym prochowcu i z kapeluszem w ręku. Kamiński wstał, wyciągnął rękę na powitanie i wskazał na skórzane fotele.

Ubrał się jak na pogrzeb albo stypę – pomyślał Kamiński, gdy Kwaśniak zdjął płaszcz, pod którym krył się czarny, gustowny garnitur z idealnie dobranym krawatem.

– Kawę, herbatę, koniak? – zaproponował gościowi.

Kwaśniak powiesił prochowiec wraz z kapeluszem na wieszaku i usiadł w fotelu.

– Proszę kieliszek koniaku i analizę zebranych materiałów – rzucił ponuro.

Kamiński wyjął butelkę francuskiego koniaku, nalał dwa kieliszki i zaczął objaśniać:

– Panie generale, wszystko wskazuje na to, że za sprawą napadu na Badylarza i obrabowaniem naszego archiwum stoi jedna osoba. – Podał Kwaśniakowi teczkę i zdjęcie Piotra.

– Mróz – wycodził przez zęby Kwaśniak, szybko przerzucając strony akt. – Nigdy nie darzyłem go sympatią. Ale dowody, mój drogi, gdzie dowody?

– Cóż, dowody to nasze cztery trupy. Po wstępnych oględzinach i sekcji wiadomo, że dwaj zostali zabici z jednego rodzaju broni, a dwaj następni z innego, a następnie ktoś strzelił do wszystkich czterech raz jeszcze, w te same miejsca, korzystając z jeszcze innej broni. Uzębienie żadnej z czterech czaszek nie pasuje do kartoteki dentystycznej Piotra Mroza. Konkubina drobnego złodzieja, Kulawego Marczałka, rozpoznała w Mrozie mężczyznę, który za pośrednictwem jej nieżyjącego partnera proponował Badylarzowi dużą transakcję, wartą wiele tysięcy dolarów.

– Czego miała dotyczyć ta transakcja? – spytał Kwaśniak, pocierając skroń, jakby się głęboko nad czymś zastanawiał.

– Brylantów.

– Brylantów? A skąd Mróz mógłby mieć brylanty?

– W tym cały problem, panie generale, że żadnych brylantów nie było.

– Jak to nie było? – zdziwił się Kwaśniak.

– Ano nie było! To mogła być, a raczej na pewno była, ściema. Dwa lata temu syn Badylarza zabił w wypadku samochodowym żonę i wnuczkę Mroza. Według mnie była to zaplanowana zemsta.

– No dobra, ale po co Mróz obrobił nasze archiwum i zabił tych czterech ludzi? –

Kwaśniak starał się mówić spokojnie, ale Kamiński znał go bardzo dobrze i zauważył drobne, nerwowe przeplatanie palcami, które świadczyło o irytacji.

– Jego paromiesięczna wnuczka ma poważną wadę serca. Była właśnie operowana w klinice Gemelli w Rzymie – wyjaśnił Kamiński. – Uważam, że Mróz mógł potrzebować gotówki na operację i postanowił komuś sprzedać nasze archiwum.

– Skąd znalazł dojście do kliniki Gemelli?

– I tu niech pan się przypnie do fotela, panie generale – oznajmił z dumą w głosie Kamiński, chcąc podkreślić sprawne i szybkie działanie podległych mu służb.

– Mam zgadnąć? CIA? – wypalił Kwaśniak.

– Przed godziną jeden z moich oficerów przesłuchał profesora Kazanowicza, który leczył wnuczkę Mroza, a następnie przewoził ją z Polski do kliniki w Rzymie. Uczestniczył też w operacji w klinice Gemelli. Profesor twierdzi, że za przewozem i operacją we włoskiej klinice stoi nie kto inny, jak sam papież.

– Skąd Mróz miał dojście do papieża? – w głosie Kwaśniaka pobrzmiwało niedowierzenie.

– Otóż osobą, która mu to umożliwiła, jest najprawdopodobniej ten ksiądz – odpowiedział Kamiński, wskazując na jedną z osób na zdjęciu z pogrzebu żony i wnuczki Piotra.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał Kwaśniak, biorąc do ręki fotografię.

– Osoba ta opiekuje się na miejscu w Rzymie bliskimi Mroza, jego córką i zięciem – odpowiedział Kamiński. – To Michał Żyła. Pracuje na KUL-u i wydał kilka książek na temat męczeństwa kleru w czasie drugiej wojny światowej. Obecnie zajmuje się niesieniem pomocy głodującym w Afryce.

– Jakiś krewny Mroza?

– Profesor Kazanowski twierdzi, że zauważył, jak córka Mroza zwracała się do niego „wuju”. Obaj urodzili się w tej samej kieleckiej wsi, Piotrowym Polu – wyjaśnił Kamiński.

– Mogą być więc rodziną – wydedukował Kwaśniak.

– Mogą – potwierdził Kamiński. – Te zdjęcia zrobiono po oficjalnym, świeckim pogrzebie. Po odejściu od grobu delegacji z resortu i Mroza jego córka i zięć wyprawili pogrzeb kościelny. Osobą, która celebrowała pochówek, był właśnie ksiądz Żyła.

– To może tłumaczyć jego zachowanie w osiemdziesiątym czwartym – powiedział, jakby do siebie, zamyślony Kwaśniak.

Kamiński spojrzał na generała pytająco.

– Nieważne, to nie pańska sprawa – uciął dalsze dywagacje na ten temat Kwaśniak.

Kamiński domyślał się, o jakie wydarzenia z 1984 roku może chodzić, doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań.

Kwaśniak zerknął wymownie na zegarek, wstał i sięgnął po prochowiec.

– Musimy jechać – oznajmił. – Mamy spotkanie za czterdzieści pięć minut.

Kamiński podszedł szybko do wieszaka i zdejmując swój płaszcz, zapytał nieco

ściszym głosem:

– Ile powiedziec Rosjanom?

– Wszystko! Nie mamy wyboru. I tak się wszystkiego dowiedzą – rzucił ostro jego szef.

Wychodzili już z pokoju, gdy wyrósł przed nimi kapitan Malec. Widząc Kwaśniaka, stanął na baczność i zameldował:

– Melduję, panie generale, że domek myśliwski Mroza przeszukany.

– Jakie wyniki? – spytał Kamiński.

– Znaleźliśmy skrytkę. Tak jakby coś w niej przechowywał, nawet nietrudno było ją wyniuchać – oznajmił dumny z siebie kapitan.

– Skoro tam nic nie było, to skąd wiecie, że to była skrytka? – dopytywał Kamiński.

– Nie była całkiem pusta. Był tam zaklejony list. Do pana generała – Malec wyciągnął kopertę i podał ją Kwaśniakowi.

Ten obejrzał ją i zapytał groźnie:

– Zaglądaliście?

– Nie, towarzyszu generale! Jak bym śmiał – szybko zapewnił Malec.

Kwaśniak wrócił do gabinetu i z niecierpliwością rozdarł kopertę. Po zapoznaniu się z zawartością z wrażenia aż usiadł w fotelu.

– Co się stało, towarzyszu generale? – zapytał Kamiński, który szybko wszedł za szefem i zamknął drzwi.

Kwaśniak z grobową miną wstał z fotela i wyrzucił z siebie, cedząc przez zęby każde słowo:

– Ten skurwiel mnie straszy! Powinienem w osiemdziesiątym czwartym go sprzątnąć. Teraz mi odpłacił. – Schował kopertę do kieszeni płaszcza i wyszedł z pokoju. – Jedziemy! Ani słowa Rosjanom i nikomu o tym liście! Rozumiemy się? – warknął.

Kamiński i Malec bez słowa skinęli głowami. Mieli świadomość, że poszukiwany Mróz ma asa w rękawie. Kwaśniak się najwyraźniej czegoś bał. Pędził do auta, jakby ktoś go poganiał. Gdy Kamiński z Malcem wychodzili do garażu WSI, siedział już w samochodzie. Kamiński skorzystał z okazji i zatrzymał na chwilę kapitana.

– Co było w kopercie? – zapytał cicho.

Malec rozejrzał się niepewnie i wyszeptał:

– Krótkie ostrzeżenie. Mróz pisał, że skoro znaleźli list, to generał wie, że to on, ale jeśli tknie jego rodzinę, to on ujawni zachodniej prasie jakieś zdjęcia, które dowiodą, że ma krew na rękach. Było tam też zdjęcie.

– Czyje? – spytał Kamiński. Malec pochylił się nad jego uchem i szeptał mu coś. Po chwili Kamiński z niedowierzaniem pokręcił głową i szepnął bardziej do siebie niż podwładnego: – Myślałem, że to bajki.

Odesłał kapitana i szybkim krokiem udał się do samochodu w ślad za Kwaśniakiem.

Po dwudziestu minutach znaleźli się na jednym z parkingów w centrum Warszawy. Minęło może z pół minuty, gdy tuż obok podjechała limuzyna należąca do ambasady Rosji. Mężczyźni przesiadli się do niej i po następnych piętnastu minutach byli w podziemiach rosyjskiej placówki. Dwóch rosłych pracowników ochrony zaprowadziło ich do jednego z gabinetów. Tam czekał już major, który obrzucił ich lodowatym spojrzeniem i wskazał na fotele. Nie bawił się w serdeczne powitania. Od razu przystąpił do ataku.

– Widzę, panowie, że nie ma takiej rzeczy, której byście nie spieszyli.

Kamiński odwrócił się gwałtownie i już miał odpowiedzieć, ale Kwaśniak powstrzymał go ruchem ręki.

– Panie majorze, nie tym tonem! Czy wasi ludzie nie przechodzą na stronę wroga? – zapytał równie ostro.

– Ostrzegaliśmy. Nalegaliśmy nawet, by dokumenty dotyczące akcji „Koł trajański” znajdowały się w Moskwie – odparł major, nieco łagodząc ton.

– Doskonale pan wie, że ludzie, którzy mają odegrać kluczowe role w tej operacji, są powiązani w pewne, zależne od siebie, konfiguracje. Musimy mieć pewność, że będą chcieli współpracować i podejmować działania, na których nam zależy. Do tego potrzebne były nam te dokumenty – próbował wyjaśniać Kwaśniak.

– Do rzeczy! – przerwał mu major. – Jakie wnioski?

– Pan generał zreferuje całą sprawę – oznajmił Kwaśniak, chcąc włączyć do rozmowy Kamińskiego. Ten omówił przebieg zdarzeń w Willi Wątroby i przeszedł do ustaleń dotyczących roli Mroza, gdy major mu przerwał.

– Nasze niemieckie źródło informacji przekazało nam dzisiaj, że wczoraj udał się do Polski zespół agentów w celu przejęcia jakichś ważnych dokumentów. Dokumenty te zostały wysłane z bazy w Ramstein do siedziby CIA w Stanach. Całą akcją dowodził niejaki John McDowell. – Kwaśniak i Kamiński spojrzeli wymownie na siebie. Zrozumieli, że popełnili błąd w doborze ludzi mających wiedzę o archiwum. Major kontynuował ponuro: – To nie koniec złych wieści. Nasze źródła wywiadowcze w Watykanie dostały informację, że pewien wysoko postawiony wasz urzędnik – major sięgnął do jednej z teczek leżących na biurku i wyciągnął zdjęcie, po czym podał je Kwaśniakowi – ma się spotkać z waszym papieżem, aby przekazać mu informacje na temat środków wytransferowanych przez was na konta zagraniczne przed rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym.

– Co możemy z tym zrobić? – spytał Kamiński.

– Musimy przeciwdziałać – stwierdził kategorycznie major. – Jak mogliście na takie stanowisko wstawić człowieka, który nie jest przez was kontrolowany? U nas to jest niedopuszczalne. – Kwaśniak i Kamiński nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Zostali zagonieni przez majora do narożnika. Zapanowała krępująca cisza. Major postanowił jednak atakować dalej: – I kolejne złe informacje. W waszym kraju niektóre koła widzą już bazy wojsk amerykańskich i wasz kraj w samym NATO.

Major zamilkł, wstał i podszedł do okna. Wydawało się, że uciekł gdzieś myślami. Było jednak oczywiste, że oczekuje na jakąś reakcję.

Ciszę przerwał Kwaśniak.

– Jeżeli chodzi o NATO, to zdusimy to w zarodku – zapewnił – a co do tego człowieka, to nie doceniliśmy go. Wkrótce to naprawimy.

– No to naprawcie to, póki jeszcze pewne informacje nie wyszły na zewnątrz.

– A co z Mrozem? – spytał Kamiński.

– Ten człowiek jest wasz, a jego rodziną zajmą się nasi ludzie. Otoczą ją opieką i będą obserwować. Spróbujemy wykorzystać jego kontakt z córką. Nie wyobrażam sobie, aby nie chciał osobiście odwiedzić wnuczki i córki – odparł major. – Na razie będziecie musieli wstrzymać i spowolnić łączenie się w grupy kapitałowe. Zobaczymy, czy Amerykanie będą próbować nam przeszkadzać.

– A co z dokumentacją i z McDowellem? – spytał Kamiński.

– A tego pana proszę zostawić nam. Już za bardzo rozhulał się pod waszymi skrzydłami – wycedził major i dał ręką znak, że uważa rozmowę za skończoną. Ustalili jeszcze, że wszystkie informacje dotyczące całej sprawy będą przekazywane w trybie pilnym do samego majora.

W sąsiednim pokoju, w słuchawkach na uszach, całej rozmowie przysłuchiwał się kapitan Kuzniecowa. Kiedy major pożegnał polskich towarzyszy, wszedł do gabinetu.

– I co sądzicie na temat tego całego bałaganu? – spytał kolegę major.

– Sądzę, towarzyszu majorze, że naszym polskim przyjaciółom pozostawiliście za dużo swobody.

– Wiecie, że rozluźnienie przyszło od nas z góry – bronił się major.

– Dlatego może już czas zmienić górę i przestać się dać okładać Amerykanom po gębie – stwierdził kapitan.

– Jeżeli CIA ma te dokumenty, to musimy dać im wyraźny sygnał, że się ich nie boimy. Trzeba wyczyścić zagrożone konta i spróbować wprowadzić pieniądze przez nowych ludzi.

– A ma pan jakiś pomysł na McDowella? – spytał major.

– Musimy uspić jego czujność i potem zdecydowanie robić swoje.

Tymczasem Kamiński i Kwaśniak przesiedli się do samochodu WSI. Przez całą drogę z ambasady Rosji na parking nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Dopiero gdy wysiedli z auta przed domem Kwaśniaka, Kamiński zapytał:

– Czy pan generał chce omówić jakieś sprawy?

– Nie – generał machnął zniechęcony ręką – mam dość dobrych wiadomości na dzisiaj. Spotkamy się u pana w poniedziałek o dziesiątej. Niech pan przygotuje wszystkie wiadomości. Zreferuje mi je pan osobiście!

Pożegnali się, lecz Kamiński nie miał zamiaru jeszcze wracać do siebie. Kazał zawieźć się na Stare Miasto. Wysiadł i ruszył spacerem. Wkrótce przystanął przy restauracji mieszczącej się w jednej z barwnych kamieniczek. Za szybą dostrzegł znajomą postać Chyrego Wiesława. Dał mu znak, Wiesław wstał od stolika i ruszył śladem generała. Stanęli na rogu. Kamiński rozejrzał się uważnie. Mimo że minęła już dwudziesta pierwsza, Stare Miasto było pełne ludzi. Kawiarnie i knajpki były zatłoczone, a uliczki wypełniały grupki turystów i młodych ludzi. Nikt podejrzany

jednak nie rzucił się w oczy generałowi.

– Za godzinę przyjedź do mnie do willi, tylko bez swoich ludzi. Czeka cię pracowita noc, ale jeśli ruszysz głową i nie spieprzysz tego, to może zarobimy trochę kasy – wyjaśnił Kamiński.

Chytry Wiesław, gdy usłyszał o kasie, nie mógł się powstrzymać i zapytał wprost:

– A konkretnie ile?

– A konkretnie milion dolców! – odparł Kamiński, wyrzucił papierosa i odszedł w kierunku czekającego samochodu służbowego.

Wiesław stał przez chwilę, nie mogąc uwierzyć, że to, co usłyszał, jest prawdą.

## ROZDZIAŁ XLIV

Adam siedział od godziny w lancii należącej do WSI. Na przednim siedzeniu, obok kierowcy, rozgościł się generał Kamiński. Dyrygował przez krótkofalówkę swoimi agentami, którzy pochowani po krzakach, z oddali obserwowali zabudowania Badylarza. Było wpół do drugiej, gdy jeden z ludzi generała zgłosił:

– Szefie, wyjechali! W „beczce” koloru zielonego jedzie Helena ze swoim bratem. Kierują się w waszą stronę.

– Pozostać na miejscach. Dom może być obserwowany. My przejmujemy obserwację, pozostali siedzą dalej pod domem Badylarza – polecił Kamiński.

– Tak jest! Odmeldowuję się.

– Przepuścisz ich – rzucił generał do kierowcy – i poczekasz, aż się oddalą na odległość wzroku. Droga jest prosta, więc staraj się, aby było to jakieś pięćset metrów.

Po chwili Kamiński znowu sięgnął po krótkofalówkę i zarządził:

– Drugi samochód rusza za mną w odległości jakichś dwustu metrów. Wiemy, gdzie jadą, więc odległość wzrokowa i nie zbliżamy się do siebie. Wyprzedzacie mnie i przejmujecie śledzenie tylko na mój rozkaz, rozumiano?

– Tak jest! – potwierdził funkcjonariusz z drugiego samochodu.

Po chwili minął ich zielony mercedes, w którym siedziała żona Badylarza. Prowadził jej brat. Gdy samochód oddalił się na ustaloną odległość pięciuset metrów, generał Kamiński wydał następane polecenie:

– My ruszamy. Poczekajcie, aż przejedziemy dwieście metrów, i ruszajcie, tylko z zachowaniem odległości, żeby się nikt nie zorientował, że mamy ze sobą coś wspólnego.

W Garwolinie teren obok restauracji był już obsadzony przez Bukalskiego i jego ludzi. Jeden z policjantów usadowił się z lornetką i krótkofalówką na dachu i lustrował okolicę. W barze założono podsłuch telefoniczny i czekano na rozwój wydarzeń.

Helenie wyraźnie się nie spieszyło. Jej brat zapewne nie był zbyt dobrym kierowcą i mimo pustej drogi jechał co najwyżej siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Adam ziewnął.

– Co kolego, nie wypaliście się? – spytał Kamiński z ironią w głosie.

– Melduję, panie generale, że miałem sobie dzisiaj pospać, ale służba nie drużba... Choć i tak uważam, że dzisiejszy wyjazd to dopiero próba przed właściwym przedstawieniem.

– Dlaczego uważacie, że dzisiaj nie dojdzie do przekazania okupu? – dopytywał Kamiński.

– Bo napad na Badylarza i jego syna to była robota profesjonalisty, więc musiały być głupcem, aby przypuszczać, że nie pojedziemy za Badylarzową – odparł Adam.

– Może ma plan zapasowy.

– Na pewno ma, ale dzisiaj chce się upewnić, czy Helena ma kasę na okup – odpowiedział Adam i oparł głowę na zagłówek siedzenia.

Minęli Górę Kalwarię i skierowali się w kierunku mostu na Wiśle. Po przejechaniu jakichś dziesięciu kilometrów od rzeki w oddali przed samochodem ukazała się ściana lasu. Kamiński zarządził przez radio:

– Drugi samochód na skraj drogi. Wjedziemy do lasu odlać się i wypalić papierosa. Macie przystanąć za nami. Przez ten las spokojnie ich dogonimy. Potem już przez kilka godzin możecie nie mieć okazji na takie przyjemności.

Adam nie zaprotestował, bo rzeczywiście samochód Badylarzowej włókł się niemiłosiernie. Kiedy stanęli na poboczu, weszli do lasu za potrzebą. Wkrótce drugi samochód również przystanął. Kamiński, który wyszedł zza kępy drzew, wyjął papierosa i zbliżył się do Adama.

– Zapalicie, komisarzu? – zapytał, częstując Wolfa marlboro.

– Dzięki, właśnie się odzwyczajam – odparł Adam.

– Pan mnie nie lubi – stwierdził Kamiński, zapalając papierosa.

– Chyba zna pan powody – rzucił bez ogródek Adam.

– Przesadza pan! Chodzi panu o tego księdza? – zapytał Kamiński z drwiącym uśmiechem na ustach. – Wie pan, że był to okres zmian w naszym kraju i komuś zależało na zrobieniu zadymy i skłóceniu narodu.

– Chyba raczej na wystraszeniu narodu i tych wszystkich, którzy chcieli prawdziwej wolności i rozliczenia.

Kamiński nie odpowiedział. Zaciągnął się jedynie papierosem. Adam postanowił zmienić temat.

– Może wysłać choć jeden samochód za nimi?

– Spokojnie, w tym tempie nawet na osle byśmy ich dogonili – zażartował Kamiński i rzucił głośniej w stronę podwładnych: – Panowie, kto jeszcze musi, to w krzaki.

Generał sam ruszył raz jeszcze w las. Albo ma problemy z prostatą, albo też uważa, że dzisiaj do niczego nie dojdzie – pomyślał Adam. Po paru minutach ruszyli. Wolf zerknął na zegarek. Postój zajął im prawie dziesięć minut. Po wjechaniu w las i przejechaniu około czterech kilometrów, zauważyli stojący na poboczu pojazd Badylarza i zawracający w stronę Góry Kalwarii radiowóz polonez.

– Co za cymbał ich kontrolował? – zdenerwował się Kamiński.

Mijali auto Heleny, gdy Adam dostrzegł nienaturalnie wygięte, oparte na kierownicy mercedesa ciało brata Badylarzowej.

– Stój! – krzyknął do kierowcy.

Wyhamowali i po chwili byli przy mercedesie. W samochodzie dostrzegli ślady



krwi. Helena i jej brat nosili ślady postrzałów. Oboje sprawiali wrażenie martwych.

– Zawracaj, to ci policjanci! – krzyknął Adam.

– Zawracaj, kurwa! – wrzasnął Kamiński.

– Proszę polecieć, by tym drugim samochodem zajęchali im drogę.

– Dwójka, słyszysz mnie? Zablokuj drogę polonezowi drogówki. To bandyci. To nie policjanci – krzyczał jak oszalały Kamiński.

– No i jak? Dalej pan generał uważa, że na osłe damy radę? – rzucił poirytowany Adam, odbezpieczając broń.

Przed nimi, w odległości jakichś pięciuset metrów, gnał policyjny radiowóz. Polonez należący do WSI zdołał jednak zablokować mu drogę. Fałszywi policjanci mieli jeszcze dwieście metrów do blokady, gdy gwałtownie wyhamowali i skręcili w prawo do lasu. Lancia z Kamińskim i Adamem ruszyła ich śladem. Kamiński przez radio wezwał pogotowie na miejsce postoju samochodu Badylarza, potem prosił o wsparcie wszystkie jednostki w pobliżu. Bandyci mknęli przez las, nie zważając na nierówności terenu. Lancia, mimo że szybsza, miała zbyt niskie zawieszenie na takie wycieczki i co rusz, na każdej większej dziurze zawadzała podwoziem o nierówności terenu. Adam przypomniał sobie, że obok Kamińskiego znajduje się policyjna strzelba.

– Otwórz szyberdach i zbliż się do nich – krzyknął do kierowcy. – Spróbuję strzelić im w opony. Strzelba! – rozkazał generałowi.

Po chwili pędzące samochody zbliżyły się do siebie. Adam wychylił się przez szyberdach, przeładował strzelbę i zaczął mierzyć, ale odległość między wozami cały czas była zbyt duża, aby oddać celny strzał. W sukurs przyszedł mu teren. Leśna droga coraz bardziej przypominała grząską i upstrzoną kamieniami ścieżkę. Kierowca poloneza musiał zwolnić. Gdy oba samochody dzieliło nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, Adam wycelował w tylne koło auta uciekinierów i wystrzelił. Pierwszy strzał był niecelny. Przez boczne okno poloneza, od strony pasażera, ktoś się wychylił i również zaczął strzelać w ich stronę. Adam ponownie przymierzył, ale tym razem za cel obrał pasażera. Po oddaniu strzału zauważył, że bandyta chowa się do środka, a lusterko boczne rozsypuje się w drobny mak. Adam przeładował mossberga i wystrzelił, znowu celując w oponę. Po sekundzie polonez zabuksował, obróciło go i uderzył w drzewo. Oszołomieni bandyci wyskoczyli z samochodu. Jeden z nich trzymał się za prawą rękę, drugi pod pachą dźwigał torbę.

Adam bez chwili wahania wymierzył do rannego bandyty i strzelił. Mężczyzna, widocznie trafiony w plecy, runął jak kłoda. Wolf wyskoczył z samochodu. Za nim podążyli Kamiński wraz z kierowcą. Adam przeładował strzelbę. To był ostatni nabój. Ten pojedynek musiał rozegrać bardzo umiejętnie i rozważnie. Mężczyzna był o około sto metrów przed nim, ale Wolf kiedyś był mistrzem juniorów w biegach przełajowych. Wiedział, że musi równo rozkładać siły i nie spieszyć się zbytnio, a wkrótce zziąjany bandyta sam zacznie opadać z sił. Istotnie, po przebiegnięciu kilometra bandyta zaczął wyraźnie słabnąć i oglądać się.

Wkrótce dystans zmalał do pięćdziesięciu metrów. Adam kątem oka zauważył, że Kamiński i kierowca zostali już dość daleko w tyle. Bandyta odwrócił się i Adam

mógł dostrzec jego czerwoną od wysiłku twarz. Spuchłeś draniu – pomyślał i już wiedział, że wkrótce dopadnie uciekiniera. Po przebiegnięciu niecałego kolejnego kilometra dystans dzielący go od bandyty zmniejszył się do dwudziestu metrów. Adam postanowił zaryzykować i krzyknął:

– Stój, bo strzelam!

W odpowiedzi padł tylko strzał z pistoletu. Kula minęła Adama dosłownie o centymetry. Stanął, złożył się do strzału i mierząc w plecy, nacisnął spust. Mossberg i tym razem okazał się skuteczny – po chwili bandzior zwałił się bezwładnie na ziemię. Kiedy Adam dobiegł, mężczyzna charczał. Usta miał pełne krwi. Wolf wyjął z jego prawej ręki pistolet, a z lewej wyszarpnął torbę, którą tamten cały czas ścisnął. Kiedy próbował odsunąć zamek, dobiegł do niego zdyszany Kamiński, a zaraz po nim kierowca.

– No to nie udało się skurwielom – rzucił Adam do Kamińskiego, który przystanął cztery metry od niego. Generał ścisnął w dłoni pistolet. – Tylko skąd mieli samochód i mundury?

Adam pochylił się nad torbą Badylarzowej, rozsunął ją i zobaczył banknoty dolarowe spięte gumkami oraz biżuterię w woreczkach. Między tymi dobrami leżały jakby nigdy nic dwa granaty obronne. Helena – kobieta, która nie umiała posługiwać się bronią, wzięła ze sobą coś, co dawało jej choć odrobinę złudnego poczucia bezpieczeństwa. Adam przypomniał sobie scenę z filmu *Sami swoi*, wyjął granat z torby i odwrócił się do Kamińskiego. Nagle huknął strzał i policjant, trafiony w lewy obojczyk, runął na ziemię. Kiedy oszołomiony leżał na plecach, zauważył generała z pistoletem w ręku. Kamiński uśmiechał się cynicznie.

– Widzisz, przyjacielu, będziesz miał pogrzeb z honorami. Zabiłeś dwóch bandytów, ale tu był jeszcze trzeci i to on cię sprzątnął... I sprzątnął przy okazji czarodziejski kuferek Badylarza z milionem dolarów. – Generał wycelował w Adama. Zamierzał dokończyć dzieło, ale Wolf już oprzytomniał, podniósł prawą rękę z granatem i wycedził:

– To zginiemy razem! Granat poszatkuje wszystkich w promieniu dwudziestu metrów. – Chwycił zawleczkę granatu zębami.

Kamiński stał niczym skamieniały. Zastanawiał się, czy jeśli strzeli, to Adam zdąży wyciągnąć zawleczkę. Wolf tymczasem zdołał się podnieść. Nie mógł poruszać lewą ręką, po której ściekała krew, a straszliwy ból obojczyka paraliżował myśli, ale powoli, z nadludzkim niemal wysiłkiem zbliżał się do Kamińskiego.

Ten, nie wiedząc, co zrobić, stał nadal jak wryty.

– Dogadajmy się! W tej torbie jest tyle, że starczy dla nas obu – zaproponował wreszcie.

– Dobra – odpowiedział przez zaciśnięte zęby Adam. – Niech on spływa. – Kiwnął głową w stronę kierowcy. – Ja wezmę swoją działkę, resztę zostawię.

– Idź – rozkazał Kamiński swojemu agentowi. – On mnie nie zabije! Dobrze wie, co by czekało jego i jego matkę.

Kiedy kierowca WSI odszedł na bezpieczną odległość, Adam, stojąc już obok

Kamińskiego, rozkazał:

– Rzuć pistolet przed siebie. Wezmę torbę i wyjmę swoją działkę.

Kamiński po chwili namysłu odrzucił pistolet i wycofał się nieco. Adam podszedł do torby, chwycił ją i przewiesił sobie przez ramię, cały czas obserwując generała i ściskając granat w zębach. Powoli zaczął się cofać.

– Miałeś wziąć swoją dolę. Zostaw torbę – warknął wściekły generał.

Wolf zawiesił torbę na zdrowej ręce, dłonią wyjął granat z ust i oznajmił:

– W torbie jest drugi granat. Nie ruszaj się. Trochę dalej zostawię resztę w torbie.

– Co ty, kurwa, kombinujesz?! – krzyknął Kamiński i ruszył w kierunku pistoletu.

Adam, którego dzieliło od generała jakieś piętnaście metrów, wyszarpnął zawleczkę i rzucił granat. Sam skoczył w kierunku dużego drzewa, chowając się za nie. Kamiński rzucił się w przeciwną stronę i padł na ziemię, zakrywając uszy i głowę. Powietrzem wstrząsnął wybuch. Odłamki granatu uderzyły w drzewo, za którym skrył się Adam. Po chwili oszołomienia, wstał i ruszył w kierunku zbawczych drzew, nie oglądając się za siebie.

Generał Kamiński, który znajdował się jakieś pięć metrów od granatu, trafiony odłamkami związał się z bólu. Po paru chwilach dopadł do niego kierowca wraz z dwójką innych agentów.

– Za nim! – wrzasnął Kamiński. – Zabijcie tego skurwysyna, tylko uważajcie, on ma drugi granat.

Ostrzeżenie generała odniosło skutek odwrotny od zamierzonego. Agenci, widząc, co potrafi zdziałać polski przedwojenny granat obronny, nie zamierzali zbytnio ryzykować swego życia oraz zdrowia za szefa i jego lewe interesy.

## ROZDZIAŁ XLV

Po przejechaniu dawnej granicy między RFN i NRD Piotr zjechał z autostrady. Zatrzymał się przy małym motelu ze strzeżonym parkingiem. Ze schowka dyskretnie wyjął pieniądze i broń. Zmęczenie zaczynało dawać o sobie znać. Musiał odpocząć. Wynajął pokój i wziął prysznic. Zamierzał jeszcze zjeść kolację, ale przeżycia ostatnich dwu dni zrobiły swoje i gdy tylko na chwilę położył się na łóżku, zasnął kamiennym snem.

Ze snu wyrwał go telefon. W pierwszej chwili chciał zapytać po polsku, kto dzwoni, ale w porę oprzytomniał i odezwał się po niemiecku. Okazało się, że jest niedziela, godzina dwunasta, i właśnie kończy się doba hotelowa. Piotr przedłużył pobyt o kolejny dzień i zamówił budzenie telefonem za trzy godziny. Przyłożył głowę do miękkiej poduszki i zalała go fala niepokoju. Tak bardzo chciał skontaktować się z Zuzanną, zapytać o jej samopoczucie, a przede wszystkim o zdrowie małej. Nie mógł. Nie powinien ich narażać na niebezpieczeństwo. Po chwili zmęczenie wzięło górę i zapadł w niespokojny, czujny sen.

Obsługa motelu nie zawiodła i obudzono go po trzech godzinach. Wziął jeszcze raz prysznic, założył garnitur, który znalazł w bagażu, i zszedł do restauracji. Po zjedzeniu podwójnego steka zamówił taksówkę i pojechał do Wolfsburga. Na dworcu kolejowym odnalazł budkę telefoniczną. Wyjął zmiętą kartkę papieru i wykręcił numer. Po drugiej stronie słuchawki odezwała się młoda, może dwudziestoletnia kobieta.

- Zastąłem Heinza Hopnera? – zapytał Piotr.
- Tak, tata ogląda mecz. Zaraz go poproszę – odparła.
- Tak, słucham – usłyszał głos Borówki.
- Witam, tu dawno niewidziany przyjaciel z Polski.

W słuchawce zapanowała cisza. Dopiero po paru sekundach Borówka przywitał niespodziewanego rozmówcę:

- Witaj! Przyjechałeś na trochę czy na dłużej?
- Na stałe – odparł Piotr. – Musimy się spotkać.
- Jasne, jasne! Ile pieniędzy mam przywieźć?
- Żadnych, ale chcę porozmawiać na temat ostatecznego rozliczenia między nami.
- Rozumiem! Gdzie i kiedy się spotkamy?
- Jutro przyjadę do Hamburga. Będę około szesnastej, może siedemnastej. Znasz jakiś cichy hotel z restauracją w tej okolicy?
- Może „Volksschultz”? – zaproponował Borówka. – To bardzo dobry hotel

w centrum miasta.

– Dobrze, jutro o dziewiętnastej, w restauracji.

– Do zobaczenia – odparł spokojniejszy już Borówka i chciał odłożyć słuchawkę, gdy usłyszał:

– Czekaj! Ustaliłeś aktualny adres zamieszkania mojego znajomego?

– Tak, wiem, gdzie mieszka. Jutro podam ci ten adres.

Piotr po skończonej rozmowie wrócił do motelu. W recepcji poprosił o zarezerwowanie hotelu w Hamburgu na następny dzień i poszedł do pokoju. Z torby z pieniędzmi wydobył poskładaną kopertę, którą dostał od Michała w Kalwarii. Otworzył lodówkę, wyjął zimne piwo i zaczął przeglądać materiały dotyczące SS-Standartenführera Schultz. Z wycinków gazet wynikało, że Schulz po wojnie ukrywał się w Bawarii, w Augsburgu. Tam przyjął nazwisko panieńskie swojej matki – Geier, zmienił imię na Fabian i został szanowanym urzędnikiem miejskim. Kilka lat później został posłem landu i jego kariera zaczęła nabierać prawdziwego rozmachu. W 1985 roku udał się na zjazd organizowany przez byłych członków dywizji „Das Rauch”, w której służył pod koniec wojny. Imprezę obserwował, jako kelner, austriacki dziennikarz śledczy, współpracujący z Centrum Szymona Wiesenthala, niejaki Anton Prochaska. Mężczyzna ten w czasie imprezy rozpoznał Geiera i ku swojemu zdumieniu usłyszał, jak zasłużony członek parlamentu landu przedstawiany jest jako SS-Standartenführer Schultz. Na wszelki wypadek Prochaska spisał numer samochodu domniemanego esesmana. Po sprawdzeniu okazało się, że auto było zarejestrowane na Fabiana Geiera. Po publikacji prasowej przedstawiającej niechlubną przeszłość szanowanego posła wybuchł skandal. Zdemaskowany oczywiście zaczął wszystkiemu zaprzeczać. Dziennikarz z Austrii dotarł jednak do listu gończego wydanego przez Komisję do spraw Ścigania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, która poszukiwała Schultz w związku z masowymi morderstwami popełnionymi na ludności polskiej i żydowskiej. Wtedy koledzy pana posła, wysoko postawieni politycy, rozpostarli nad nim parasol ochronny i wkrótce Fabian Geier alias Erwin Schultz zaczął leczyć się psychiatrycznie w jednej z renomowanych klinik w Niemczech, co oczywiście nie przeszkadzało mu w dalszym piastowaniu wysokich stanowisk urzędowych. Gwoli ścisłości, zabrakło również determinacji polskim urzędnikom, ale Piotra ten fakt akurat nie przerażał. Postanowił poczekać na ustalenia Borówki.

Nazajutrz Mróz wstał o ósmej rano. Obudziły go myśli o córce i wnuczce. Spojrzał na telefon, ale szybko zganił się za ten pomysł. Zjadł śniadanie i wyruszył w podróż do Hamburga. Do hotelu dotarł o piętnastej i odebrał klucze do pokoju. Poprosił o pokój z sejfem i schował w nim zawartość torby. Postanowił zrobić zakupy, gdyż ubrania kupione mu przez McDowella były zwyczajnie za małe. Po dwóch godzinach wrócił do hotelu w nowym garniturze, z torbą nowych ubrań i butów. Wziął prysznic i zszedł do restauracji. Zamówił stolik i poprosił o przystawkę oraz piwo. Zaczął zastanawiać się, jak zachowa się Borówka. Czy wywiąże się z danego słowa, czy może będzie chciał go oszukać?

Gdy wszedł do lokalu, Piotr ledwie go rozpoznał. Wyraźnie przytył, a jego długie,

kręcone włosy były siwe. Był nienagannie ubrany w wieczorowy garnitur z krawatem. Rozglądał się po restauracji. Piotr wstał. Borówka poznał go, podszedł i wyciągając rękę, dla upewnienia się zapytał:

– Przyjaciół Rolanda?

– Tak – odpowiedział Piotr, ściskając jego dłoń. – Zjesz kolację? – zaproponował.

– Dlaczego nie, może trzeci raz w życiu pogadamy dłużej – zaśmiał się Borówka.

Po złożeniu zamówienia podał Piotrowi gazetę.

– Przepraszam, możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz? – spytał.

– Oczywiście! Widzimy się dzisiaj przedostatni raz. Mam na imię Arnold. Po prostu Arnold Schmidt – odpowiedział Piotr.

– Cały czas wydawało mi się, że twój akcent wskazuje, że mieszkasz na stałe w Polsce – powiedział Borówka. – W gazecie znajdziesz adres tego jegomościa. Przeprowadził się na prowincję i teraz mieszka w małej, górskiej miejscowości Fuchstal, za Monachium.

– Dzięki – odparł Piotr – To stary znajomy, muszę go odwiedzić.

– Zapewne się ucieszy.

– Zapewne tak, ale nigdy nikomu nie mów, że dawałeś mi adres tego człowieka – przestrzegł Piotr.

– Jasne, jasne – odparł Borówka. Przez te wszystkie lata nie zapomniał o trupach na farmie. Wiedział, z kim ma do czynienia.

– Przejdźmy do rzeczy – zaproponował Piotr. – Chciałbym otrzymać dywidendę od zainwestowanych u ciebie pieniędzy.

– Po tej transakcji więcej się nie spotkamy? – spytał z nadzieją w głosie Borówka.

– Oczywiście. Nawet oddam ci spluwę z odciskami palców.

– O jakiej sumie mówimy?

– A ile wzięłeś za kamienie?

– Wiesz, że towar był trefny. Dlatego dostałem za nie pół miliona, w markach rzecz jasna, plus dwieście tysięcy, które dałeś mi wcześniej. Razem...

– Ile teraz jest warta twoja firma? – przerwał mu Piotr.

– Jakies trzydzieści milionów marek – odparł Borówka.

– Cóż, przedwczoraj od jednego z dyrektorów banku prowadzącego twoje finanse usłyszałem o stu milionach marek – zaryzykował Piotr.

Borówka, wyraźnie zmieszany, zaczął rozglądać się po sali i negocjatorskim tonem powiedział:

– Dogadajmy się. Mam rodzinę, wspierała żonę i dwójkę dzieci. Udało mi się... – zamierzał kontynuować swój wywód, ale Piotr raz jeszcze mu przerwał.

– A dzięki komu było to możliwe?

– Dzięki tobie – niechętnie przyznał Borówka.

– Dzięki mnie i Rolandowi.

Borówka westchnął, stuknął palcami w blat stołu i zapytał:

– To jak ma być?

– Zaproponuj kwotę, którą jesteś w stanie mi wypłacić.

Borówka potarł grzbiet nosa, jakby się intensywnie zastanawiał. Piotr go ponaglił:

– No śmiało!

– Ale nie chcę cię urazić.

– Ile proponujesz? – naciskał Piotr.

Borówka ponownie zamyślił się, napił się piwa i odpowiedział:

– Za to, co dla mnie zrobiłeś, proponuję trzy miliony marek, płatne od razu na konto.

– Dobrze – bez wahania odparł Piotr. – Jutro o dwunastej spotkamy się u notariusza. Przelejesz trzy miliony marek na moje konto. Zgoda?

– Zgoda, zgoda! – wykrzyknął z ulgą Borówka i wyciągnął rękę. Gdy uścisnęli sobie dłonie na znak zawartej umowy, były złodziej spytał ponownie, jakby chciał uzyskać potwierdzenie: – Ale to już nasze ostateczne rozliczenie i ostatnie spotkanie?

– Tak. Masz tu na kartce moje dane z dowodu. I jeszcze raz proszę, żebyś nikomu się nie chwalił, że zamierzam odwiedzić tego staruszka. Rozumiesz?

– Rozumiem i już zapomniałem! Niedaleko stąd jest kancelaria notarialna. Jutro rano umówię wizytę i podpiszemy stosowną umowę darowizny. Potem udamy się do banku zrealizować przelew.

– Świetnie, u notariusza podam ci numer konta.

Po chwili kelnerzy podali kolację. Borówka i Piotr zjedli ją prawie w milczeniu. Widocznie obaj nie mieli ochoty na rozmowy i zwierzenia. Po posiłku niemal od razu się pożegnali.

## ROZDZIAŁ XLVI

Kilka sekund po wybuchu i chwili oszołomienia Adam zerwał się i pobiegł, zaciskając zęby, w kierunku kępy drzew. Dopiero po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów obejrzał się za siebie. Ludzie generała nie kwapili się zbytnio do pogoni. Gdzieś dalej słychać było jedynie jęki i przekleństwa. Na szczęście bydlę żyje – pomyślał Adam i ruszył dalej, klucząc między drzewami, w stronę wysokiego lasu. W prawej ręce wciąż ścisnął torbę z okupem za Mariana. Przebiegł z pięćset metrów, aż dotarł do sporego jeziora. Przypomniawszy sobie, że w dzieciństwie był tu z ojcem na rybach. Odwrócił się i w odległości może trzystu metrów zauważył dwie sylwetki. Pogoń ruszyła.

Nie spieszycie się, chłopaki – pomyślał i zaczął biec wzdłuż linii brzegowej. Jezioro porośnięte było wysokimi szuwarami i tylko gdzieniegdzie znajdowały się prześwity służące do zarzucania wędek. Adam pokonał około dwustu metrów, gdy pomiędzy zaroślami a lasem, na małej polance, ujrzał młodą parę leżącą na kocu. Niedaleko stał maluch. Na widok zakrwawionego mężczyzny młodzi ludzie zerwali się na równe nogi. Adam, dysząc, opadł na kolana. Po chwili złapał oddech.

– Albo mi pomożecie, albo tych dwóch gości najpierw zabije mnie, a później was – rzucił stanowczo, pokazując im ranę postrzałową.

– Kto to? – spytał chłopak, wskazując na dwie sylwetki.

– To bandyci! Jeśli mnie podwieziecie, dostaniecie pięć tysięcy dolców – zaproponował Adam. Położył torbę na ziemi i zdrową ręką odsunął zamek, pokazując paczki banknotów pięćdziesięciodolarowych. Chłopak nie wahał się na szczęście zbyt długo.

– Gdzie mam pana zawieźć? – spytał.

– Zawieziesz mnie do Józefowa. Tylko szybko! Bo jak nie, to karawan pogrzebowy nas zawiezie, ale na cmentarz.

Chłopak błyskawicznie zwinął koc i odpalił malucha. Jego dziewczyna wsiadła do tyłu, a Adam wgramolił się na siedzenie obok kierowcy.

Agenci, których dzieliło od uciekinierów jakieś sto metrów, zauważyli samochód. Zaczęli strzelać w powietrze, wykrzykując:

– Stać! Stój, zatrzymaj się!

Podziałało to jednak odwrotnie, niż się spodziewali. Chłopak nacisnął pedał gazu, ruszając ostro połą drogą w kierunku lasu. Po przejechaniu około kilometra trochę zwolnił.

– Nie wykiwa nas pan ani nie zabije? – zapytał z niepokojem w głosie.



Adam wyjął paczkę dolarów, zębami zerwał gumkę i połowę banknotów podał do tyłu dziewczynie.

– Reszta po dowiezieniu mnie do Józefowa. I pamiętajcie, im mniej wiecie, tym dłużej będziecie żyć.

– Może zawieźć pana na policję. Albo do szpitala? – rzucił chłopak, widząc, że Adam nagle zbladł.

– Nie! – stanowczo rzucił Adam. Tam nie przeżyłby nawet doby, tego był pewien. – Znasz jakąś boczną drogę do Józefowa?

– Znam – odparł chłopak i dodał gazu.

Po godzinie kluczenia leśnymi drogami, dotarli wreszcie na miejsce.

– Podwieź mnie pod tamten lasek, który dochodzi do zabudowań – poprosił Adam, podając dziewczynie resztę kasy. – Pięć tysięcy dolarów to kupa forsy, ale gdy pójdziecie na policję, to wszystko wam zabiorą. A jeśli dorwie was tamtych dwóch, to wywiozą do lasu i spuszczą takie lanie, że oddacie wszystko, a później i tak was zabiją.

– To co mamy robić? – zapytał przerażony chłopak.

– Wracać do domu i siedzieć na dupie! Wyrzuć pokrowce. Jest na nich moja krew. Umyj auto i nie przyznawaj się, że gdziekolwiek byłeś. Kasę na razie dobrze ukryj. Na kogo masz zarejestrowany samochód?

– Na mamę.

– Matka wie, gdzie pojechałeś?

– Nie, matka jest dziś w pracy, w szpitalu.

– No to z samochodem do garażu! I nie pokazujcie się w tamtym miejscu przez jakiś czas. Jak będziesz wracał do domu, to sam! Ty jedź PKS-em albo pociągiem – polecił dziewczynie i wysiadł. Zanim zamknął drzwi auta, dodał: – Jeżeli chcecie żyć, to zapomnijcie o całej historii. Tamci byli za daleko, aby widzieć waszą rejestrację, a takich maluchów jest w okolicy parę tysięcy. Teraz rozdzielamy się i nie widzieliśmy się nigdy w życiu. Rozumiecie?

Potwierdzili zgodnie.

Adam ruszył drogą w kierunku zabudowań. Wysiadł o własnych siłach, ale wiedział, że wkrótce może zemdleć z powodu upływu krwi. Ból narastał, a do pokonania zostało mu około kilometra.

Była siedemnasta, gdy dotarł do dzielnicy willowej. Zbliżał się wieczór i wszystko powoli szarzało. Na szczęście zaczęło lekko kroić i ludzie zrezygnowali z popołudniowych, niedzielnych spacerów. Po około dwudziestu minutach zobaczył to, czego szukał, okazała willę rodziny Dobrowolskich. Miał nadzieję, że senior, Krzysztof, jest w domu.

Willa, a właściwie odrestaurowany przedwojenny pałacyk, z obu stron otoczona była okazałymi i starymi drzewami. Od frontu można było podziwiać elegancki i zadbane ogród kwiatowy. Z boku, tak by nie zaburzać piękna otoczenia, umieszczono szeroką bramę z wjazdem dla samochodów. Adam stanął przed furtką i nacisnął przycisk domofonu. Po chwili odezwał się kobiecy głos:

– Tak, słucham...

– Ja do pana Krzysztofa, Adam Wolf – odpowiedział w miarę spokojnym głosem.

– Chwileczkę, teść jest na tyłach domu, w altanie. Zaraz go poproszę – odpowiedziała kobieta.

Adam oparł się zdrową ręką o płot, kładąc torbę pod nogami. Świat zaczął wirować mu przed oczami. Wkrótce usłyszał kroki zbliżającego się człowieka, a właściwie ludzi, bo wyraźnie słyszał rozmowę dwóch mężczyzn. Jednym z nich był na pewno Krzysztof Dobrowolski. Gdy furka się otworzyła, Adam runął jak długi pod nogi gospodarza. Po chwili ocknął się na kanapie. Ktoś podał mu szklankę wody, ktoś inny mówił coś o wzywaniu karetki. Adam zasyczał z bólu, ale zebrał resztki silnej woli i wykrztusił:

– Błagam, nie dzwońcie na pogotowie ani na policję. Zabiją mnie!

– Ależ Adaś, co ty mówisz? Przecież ty jesteś policjantem – próbował tłumaczyć mu pochylony nad nim pan Krzysztof.

– Panie mecenasie, torba! Wziął pan torbę? – zapytał Adam.

– Tak, chłopcze, jest obok ciebie – odpowiedział gospodarz.

– Chcieli mnie zabić! Oni nie cofną się przed niczym.

– Ale kto? – dopytywał drugi ze starszych mężczyzn.

– Dawni ubecy, którzy przeszli weryfikację. Jeśli trafię do szpitala, to mnie zabiją – odpowiedział Adam i zemdlął.

Syn Krzysztofa, Kamil, który właśnie wrócił do domu i wszedł do salonu, zaskoczony widokiem zakrwawionego mężczyzny, spojrzał zaniepokojony na ojca.

– Co się stało? – spytał.

– Sam chciałbym wiedzieć – odpowiedział senior. – Chłopak powiedział tylko, że chcieli go zabić byli esbecy i jeśli wezwiemy pogotowie, to wykończą go w szpitalu. Trzeba go opatrzyć. Dzwonź po Mateusza, niech natychmiast bierze instrumenty i przyjeżdża.

– Ależ tato! Przecież to poważna sprawa – zaczął oponować syn mecenasa.

– Jego babka za życie jego ojca i moje oddała gestapowcom wszystko, co miała. Inaczej nie byłoby na tym świecie ani mnie, ani ciebie. Dwa razy nie będę powtarzał – ostrzegł pan Krzysztof.

Gdy starszy syn dzwonił do swego brata – lekarza, z prośbą o natychmiastowe przybycie, mecenas odwrócił się do starszego od siebie mężczyzny.

– Pan komendant zapewne nie spodziewał się tak dramatycznego zakończenia dzisiejszej partyjki szachów.

– Cóż, mój drogi... To mi przypomina nie tak odległą przecież przeszłość. Ale to może być poważna sprawa – odpowiedział tamten i dodał, przyglądając się twarzy Adama: – Cały ojciec, tylko ten jest trochę grubszy. Stary był chudziutki jak... – szukał w myślach porównania.

– Tato, Mateusz już jedzie – przerwał im Kamil.

– Przenieśmy go do bocznego, gościnnego pokoju – zaproponował stary Dobrowolski.

Pół godziny później w domu zjawił się młodszy syn mecenasa. Mateusz, który był chirurgiem, od razu przystąpił do badania rannego. Po upływie kwadransa oznajmił:

– Trzeba natychmiast do szpitala. Stracił dużo krwi, trzeba operować, inaczej nie przeżyje.

– On za żadne skarby nie zgodzi się na szpital – tłumaczył sędziwy mecenas.

Mężczyzna, którego gospodarz nazwał komendantem, nagle pstryknął palcami, jakby wpadł na jakiś pomysł.

– Wiem! Wiem, kto go przyjmie do szpitala i przechowa w razie rewizji. Mogę zatelefonować? – spytał, wyciągając podręczny notes.

Wkrótce komendant rozmawiał z ordynatorem szpitala imienia Dzieciątka Jezus.

– Trzeba będzie go zawieźć! – poinformował po zakończeniu krótkiej rozmowy. – Zespół operacyjny będzie czekał. Przyjmą go pod innym, obcym nazwiskiem.

– Jak pan zdołał to załatwić? – zapytał Kamil, który podobnie jak senior rodu, również był adwokatem.

– Widzisz, synu, gdybyś przesiedział parę lat w celi z wyrokiem kary śmierci i poznał wielu ludzi oraz ich życiowe dramaty, zrozumiałbyś istotę komunizmu. Wiedziałbyś, że temu człowiekowi przydarzyło się coś bardzo złego, co w normalnym kraju nie miałyby prawa się wydarzyć. Tylko cały sęk w tym, że my nadal nie żyjemy w normalnym kraju.

Wkrótce w samochodzie mecenasa seniora, na tylnym siedzeniu, jechał Adam w towarzystwie Mateusza Dobrowolskiego. Miejsce z przodu zajmował komendant, który najwyraźniej modlił się o to, by zdążyli dojechać na czas, co chwila zerkając na nieprzytomnego Adama. Około dwudziestej znaleźli się w szpitalu. Pacjent od razu trafił na stół operacyjny.

Gdy Adam był już w dobrych rękach, komendant postanowił zajrzeć do swojego starego znajomego, ordynatora. Po pięciu minutach wyszedł na korytarz, kiwając do mecenasa z uśmiechem głową na znak, że wszystko załatwione.

– Skąd znasz ordynatora, komendancie? – zapytał Krzysztof.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku odbiłem z więzienia w Starachowicach jego ojca z łap gestapo. Niestety w czterdziestym dziewiątym dostał kulę w łeb w więzieniu na Mokotowie. To był dzielny i prawy człowiek. Zanim trafił w kieleckie, walczył na wschodzie w Wachlarzu i to przesądziło o jego losie po wojnie.

– A co na wypadek wizyty policji? – zapytał mecenas.

– Wystawili mu kartę na lewe nazwisko i napisali, że miał wypadek na budowie. Lekarz kazał obciąć mu włosy i zabandażować głowę, by trudniej go było poznać. Będzie leżał na oddziale intensywnej terapii, a tam nie tak łatwo się dostać – wyjaśnił komendant.

– Musimy skontaktować się z kimś, kto może mu pomóc.

– Kogo masz na myśli?

– Wiem, że przyjaźnił się bardzo ze swoim szefem. Tamten traktował go jak syna.

– A torba?

- Torbę schowałem do szafy pancernej ze sztucerami. Jest bezpieczna – zapewnił mecenas.
- Tylko jak zdobyć adres tego szefa? – zastanawiał się komendant.
- To proste. Jutro służbowo udam się na komendę.

## ROZDZIAŁ XLVII

Piotr z samego rana poszedł do mieszczącej się w centrum Hamburga filii jednego ze szwajcarskich banków. Miał pewne obawy dotyczące dokumentów, ale skoro McDowell zapewnił go, że problemów nie będzie, to jako agentowi CIA chyba można było mu zaufać. W jednym z okienek Piotr dostrzegł ładną, młodą blondynkę. Zapytał ją o możliwość założenia konta. Dziewczyna wskazała mu boczne drzwi, poprosiła, by chwilę poczekał, i telefonicznie przekazała odpowiednim osobom informację, że pojawił się nowy potencjalny klient. Po chwili z bocznych drzwi wyszedł mężczyzna w świetnie skrojonym, granatowym garniturze, lat około czterdziestu, i zaprosił zainteresowanego do gabinetu. Tam Piotr poinformował o chęci założenia rachunku, gdyż, jak uprzedził, otrzyma dzisiaj dużą darowiznę pieniężną i w niedalekiej przyszłości zamierza zamieszkać na terenie Szwajcarii. Urzędnik z wyszkoloną elegancją przedstawił zalety swojego banku i jego dwustuletnią tradycję. Zapytał również o sumę, która wchodziła w grę. Trzy miliony marek wyraźnie zachęciły go do wzmożonych działań i zapewnień, że wszystko zostanie załatwione szybko i sprawnie. Zaproponował nawet kawę, by klientowi umilić czas oczekiwania na dopełnienie niezbędnych formalności. Piotr wyciągnął niezbędne dokumenty i czekał cierpliwie na ich ocenę. Po sprawdzeniu danych urzędnik z zadowoleniem oświadczył, że pan Arnold Schmidt został właśnie nowym klientem banku. Po wypełnieniu odpowiednich formularzy i złożeniu wzoru podpisu Piotr otrzymał książeczkę czekową i hasła do swojego rachunku. Po godzinie wyszedł bogatszy o numer konta i pewność, że dokumenty z CIA nie budzą podejrzeń i może z nimi podróżować po Europie.

Punktualnie o dwunastej w południe Piotr wszedł do biura notariusza. Borówka już czekał. Ubrany w jasny, markowy garnitur, ze złotym zegarkiem na ręce i z elegancką walizeczką robił wrażenie bardzo zamożnego człowieka. Piotr przywitał się z nim i z notariuszem, podał dokument oraz kartę bankową z numerem konta. Notariusz wpisał dane, odczytał akt notarialny i zapytał, kto zapłaci podatek od darowizny.

- Ile wynosi podatek? – spytał Piotr.
- Dziesięć procent od kwoty darowizny – wyjaśnił notariusz.
- Mój szanowny kolega zapłaci podatek i pokryje koszty notarialne. Nieprawdaż?
- Piotr wymownie spojrzał na Borówkę.
- Tak, oczywiście – zapewnił szybko Borówka, zadowolony, że nie musi zbyt wiele dokładać do już wydanych trzech milionów.

Akt został podpisany, po czym, po umówieniu się z notariuszem na dzień

następny, obaj udali się do mieszczącego się niedaleko banku. Borówka wypisał dyspozycję przelewu na konto Piotra. Musieli poczekać blisko pół godziny, aż pracownik banku poinformował ich o zaksięgowaniu przelewu. Pozostało oczekiwanie na dotarcie pieniędzy na rachunek w szwajcarskim banku Mroza.

Następnego dnia Piotr zadzwonił z hotelu do swojego nowego banku. Podał numer i hasło dostępu, a po chwili pracownica poinformowała go o wpłynięciu na jego konto sporej sumy pieniędzy. Borówka już czekał na niego u notariusza. Po oświadczeniu o wpływie gotówki jego darczyńca wypłacił notariuszowi wynagrodzenie z tytułu sporządzenia aktu notarialnego i mogli się wreszcie pożegnać.

Piotr wyszedł z kancelarii, trzymając w ręku teczkę z odpisem aktu, dzięki któremu mógł legalnie nabyć wymarzony dawno temu dom w Szwajcarii. Gdy był już jakieś sto metrów od kancelarii, dogonił go Borówka.

– O czymś zapomniałeś – powiedział z naciskiem.

– Tak? – spytał Piotr, przekładając teczkę do lewej ręki.

– O pistolecie z moimi odciskami palców – wycedził cicho Borówka.

Piotr pociągnął go za rękaw marynarki w jedną z bocznych uliczek i rozejrzał się dookoła. Była pora lunchu i przed biurami było niemal pusto. Nagle Mróz wyprowadził cios pięścią w brzuch. Borówka zgiął się w pasie. Piotr chwycił go za włosy i przycisnął twarzą do muru.

– Posłuchaj no! – warknął. – Jeśli myślisz, że założysz złoty zegarek i garnitur za tysiąc marek i od razu zrobisz z siebie nienaganego obywatela Niemiec, to się grubo mylisz.

– Ale mieliśmy umowę – zaczął się tłumaczyć Borówka, ciężko sapiąc, bo trudno mu było złapać oddech po ciosie.

– Myślisz, że jestem idiotą i nie wiem, że po tym, jak ci darowałem życie, zacząłeś pracować dla BND? – rzucił mu w twarz Piotr. – Spluwa jest nadal u mnie. Zrobisz jakiś ruch, coś mi się stanie albo policja niemiecka czy służby się mną zainteresują i pistolet wylądjuje w ich łapach. A wtedy zamiast pić piwo i oglądać mecze, trafisz do pierdła. Zrozumiałeś?

– Tak, tak – odparł przeproszającym tonem Borówka.

– Nie zamierzam się więcej wtrącać w twoje życie, ale ty masz trzymać gębę na kłódkę. Chyba że nie zależy ci na życiu i na życiu twoich bliskich. – Piotr puścił Borówkę, który niczym uczeń zbity przez starszego kolegę bał się ruszyć i wciąż opierał się o ścianę, ściskając w ręce swą elegancką walizeczkę.

– Przysięgam, że nikt nie wiedział. I nikt się nie dowie – zapewniał płaczliwym głosem.

– O tym starym dziadku z Fuchstal też zapomnij – dorzucił Piotr.

– Już zapomniałem.

Piotr ruszył do samochodu. I tak już zbyt długo tu zabawił. Chciał jak najszybciej odnaleźć mordercę swojej rodziny i wyjechać do Szwajcarii, a później do Paryża.

Borówka jeszcze chwilę stał przy ścianie, jakby bał się od niej odkleić, i spoglądał na szkiełko złotego zegarka, które pękło w czasie szamotaniny.

## ROZDZIAŁ XLVIII

Farelli skończył właśnie kolejny pracowity dzień w swojej klinice. Od operacji małej Marii minęły cztery doby i jej serduszko z dnia na dzień biło coraz pewniej. Profesor podziwiał determinację rodziców i krewnego – księdza, którzy cały czas spędzali w klinice, oczekując nowych wieści. Co prawda widok rosnących agentów CIA nie był codziennością na oddziale dziecięcym i budził pewne obawy, ale komendant rzymskich karabinierów wyjaśnił dyrekcji szpitala, że rodzina małej pacjentki to ważni świadkowie dla Amerykanów i dlatego ich ochrona jest konieczna.

Profesor właśnie zamierzał wyjść z gabinetu, gdy zadzwonił telefon stojący na biurku.

– Słucham, Farelli.

– Dzień dobry. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odezwał się w słuchawce twardy, męski głos.

– Dzień dobry.

– Moje nazwisko zapewne nic panu profesorowi nie powie. Ojciec Luca Moreno. Dzwonię z polecenia ojca świętego.

– A, tak! Jego świątobliwość wspominał mi o ojcu.

– Jestem aktualnie w Rzymie. Gdzie moglibyśmy porozmawiać? – zapytał ojciec Moreno.

– Zapraszam do mnie do domu – odpowiedział profesor i podał adres, umawiając się z gościem za dwie godziny.

Ksiądz Moreno był niezwykle punktualny. Profesor ledwie zdołał wrócić do domu, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. W drzwiach stał silnie zbudowany, prawie dwumetrowy, trzydziestopięcioletni mężczyzna o twarzy pełnej blizn, skrzywionym niczym u boksera nosie i długich kręconych włosach. Gdyby nie wcześniejszy telefon, czarny skromny garnitur i koloratka, profesor mógłby śmiało zaryzykować stwierdzenie, że stoi przed nim groźny gangster, który przybył do niego w niecznych zamiarach. W istocie ksiądz Moreno był swego czasu członkiem mafii i to nie byle jakiej, bo neapolitańskiej Camorry. Ten syn jednego z lokalnych przywódców mafijnych swą młodość spędzał na ściąganiu haraczu z handlu narkotykami, rozwijaniu sieci domów publicznych i rywalizacji z konkurencyjnymi grupami przestępczymi. Niewątpliwie w swoim fachu wspiąłby się wysoko lub stracił życie w jednej z niezliczonych wojen międzymafijnych, gdyby nie wydarzenia, jakie miały miejsce w kwietniu 1981 roku.

W jednym z doków przeładunkowych portu w Neapolu Luca wraz z trzema

gangsterami odebrał partię narkotyków, które przyplęły w jednym z tysięcy kontenerów, przeładowywanych tu każdego dnia, z Ameryki Środkowej. Skorumpowani urzędnicy celni przekazali stukilogramowy ładunek kokainy i otrzymali za to sowitą zapłatę. Luca ukrył pakunek w schowku małej bagażówki, przykrywając go świeżo złowionymi rybami. Z towarem jechało dwóch uzbrojonych ludzi, on z trzecim z gangsterów podążał drugim samochodem za nimi. Już na przedmieściach Neapolu, na jednym z zakrętów, natknęli się na stojącą ciężarówkę z pękniętą oponą. Dwóch ludzi usiłowało zmienić koło. Kiedy bagażówka należąca do klanu Morenów zwolniła, aby wyminąć uszkodzony pojazd, mężczyźni zmieniający koło wyciągnęli nagle pistolety maszynowe i zabili kierowcę wraz z ochroniarzem. Luca gwałtownie zahamował i wyskoczył z drugim członkiem gangu, by bronić transportu kokainy, lecz w tym momencie otworzyły się tylne drzwi ciężarówki i dwaj mafiosi otworzyli ogień z pistoletów maszynowych. Zaskoczony Luca Moreno padł trafiony serią w klatkę piersiową. Dostał czterema pociskami, ale żył. Jego kompan nie miał tyle szczęścia i zginął na miejscu, trafiony w głowę. Ładunek dostał się w ręce konkurencyjnego gangu. Kiedy na miejsce przybyła policja i karetki pogotowia, stwierdzono zgon trzech gangsterów. Czwarty, Luca Moreno, dawał jeszcze oznaki życia, ale z każdą chwilą to życie w nim gasło.

– Co z tym? – zwrócił się z pytaniem do załogi ambulansu jeden z karabinierów, wskazując na Lucę.

– Weźmiemy go, ale dostał cztery kule i nie ma wielkich szans na przeżycie – odparł ratownik, ładując rannego do karetki.

Umierający chłopak trafił do szpitala w Neapolu. Gdy rozpoczęto operację, serce przestało pracować i przystąpiono do reanimacji. Po pół godzinie udało się przywrócić akcję serca, co nie oznaczało jednak końca walki o jego życie. Operacja trwała pięć godzin, a po niej nastąpiły długie godziny oczekiwania. Jak później mówił Luca, najwyraźniej czuwał nad nim jakiś anioł. Luca odzyskał przytomność 13 maja 1981 roku. Był to dzień szczególny, Włochy i cały świat żyły bowiem tylko jedną, przerażającą wiadomością – zamachem na Jana Pawła II na Placu Świętego Piotra. Luca, który, choć już przytomny, wciąż znajdował się w ciężkim stanie, mógł na bieżąco śledzić rozwój sytuacji i stan zdrowia papieża. I to wtedy nastąpił pierwszy zwrot w jego życiu. Oto telewizja pokazała rannego Jana Pawła II, który w pierwszych słowach po zamachu przebaczył swemu niedoszłemu zabójcy – tureckiemu terrorystyście. Dla Luki Moreno przebaczenie człowiekowi, który chciał go zamordować, było czymś tak abstrakcyjnym, iż w ogóle nie mieściło się w głowie. Żył w brutalnym, pełnym porachunków i wojenek świecie, w którym każdego można było kupić lub sprzedać. Ciosu w plecy można było się spodziewać nawet od własnego brata. Na miłosierdzie i odruchy serca nie było tu miejsca.

Gest papieża utkwiał jednak Luce w pamięci i gdy nad jego łóżkiem stanął szpitalny ksiądz – ojciec Massimo, pytając o chęć spowiedzi, wyszeptał niemal z niechęcią:

– Ja im nie wybaczę, tak jak on temu Turkowi.

Ojciec Massimo usiadł na szpitalnym taborecie i spojrzął z wyrozumiałością na



rannego gangstera.

– Wiesz – powiedział cicho – że kiedy cię przywieźli, kończyłem posługę i wychodziłem do naszego domu zakonnego? Przystanąłem przy małej kapliczce znajdującej się przy wyjściu. Oprócz naszego ukrzyżowanego Pana jest tam figurka Przenajświętszej Panienki i ojca Pio. I wtedy ktoś jakby szepnął mi do ucha, może nasz ojciec Pio. Nakazał mi powrót do szpitala. W chwili gdy wróciłem, z karetki wyciągano ciebie. Uświadomiłem sobie, że ktoś mnie prosi o modlitwę za ciebie i za twoje zdrowie.

Luca zmarszczył brwi. Tak naprawdę to oprócz świętych obrazków w domu z Kościołem nic go nie łączyło. Nawet nie potrafił określić, czy jest wierzący, czy też nie.

– Ile mam ci zapłacić? – zapytał w końcu.

– Zapłacić? – spytał ojciec Massimo, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Pomyśl lepiej, chłopcze, jak odpłacić Bogu za to, że dał ci drugą szansę.

Ksiądz westchnął i odszedł, wciąż kiwając głową, jakby nie mógł się nadziwić, jakim to ignorantem jest ów człowiek, który chce kupować szczerą modlitwę.

Przez parę następnych dni ojciec Massimo unikał kontaktu z młodym Moreno. Dopytywał się cały czas o jego zdrowie, modlił się za niego, ale z nim nie rozmawiał.

Luce jednak słowa kapłana nie dawały spokoju. Coś w nim pękało, zmieniało się. Wśród bólu i ponurych myśli pojawiały się isierki nadziei. Przecież jeśli ksiądz miał rację, to życie nabierało całkowicie nowego sensu, to on, Luca Moreno, naprawdę otrzymał drugą szansę. Ktoś nad nim czuwał i to mimo całego zła, które wyrządził do tej pory innym. Pewnego dnia, widząc księdza chodzącego po sali, zwrócił się do pielęgniarki, aby poprosiła go o rozmowę. Kiedy Massimo stanął przy jego łóżku, Luca wyszeptał:

– Możemy szczerze porozmawiać?

– Tak, ale pod warunkiem, że zamiast proponować mi pieniądze, zrobisz rachunek sumienia i zastanowisz się nad dalszym swoim życiem – odparł ojciec Massimo.

– Możemy porozmawiać? – poprosił raz jeszcze błagalnym tonem Luca.

Ksiądz przysiadł przy łóżku rannego gangstera i zapytał:

– Chcesz zrobić rachunek sumienia i wyspowiadać się?

– Tak, ale pod warunkiem, że ojciec nikomu nie powie tego, co usłyszy – wyszeptał ranny.

– Nie mogę nikomu ujawnić tajemnicy spowiedzi – oznajmił ojciec Massimo i pochylił się nad rannym.

Po spowiedzi i przyjęciu komunii Luca zaczął zastanawiać się, co dalej. Doszedł do wniosku, że jeżeli wróci na Piazza Garibaldi, to sytuacja może się powtórzyć, a Bóg nie da mu kolejnej szansy.

Od tego dnia Luca często rozmawiał z ojcem Massimo. Powoli odkrywał nowy, duchowy świat, pełen radości i miłości do Boga i bliźnich. Pierwszy raz od tak wielu lat poczuł spokój i szczęście.

Po czterech miesiącach po strzelaniu Luca opuścił szpital z postanowieniem, że

pojedzie na pielgrzymkę do San Giovanni Rotundo. Marzył o tym od chwili, gdy ojciec Massimo podarował mu niewielką książeczkę o ojcu Pio. Gdy stał przed grobem błogosławionego, jakiś wewnętrzny głos powiedział mu, aby pozostał w tym miejscu, więc poprosił przeora o umożliwienie mu zamieszkania na terenie klasztoru. Każdy następny dzień wzmacniał jego powołanie, by wkroczyć na nową drogę życia.

Po sześciu latach pobytu w klasztorze otrzymał świece kapłańskie, cały czas szukając swojego miejsca na ziemi i możliwości pomocy innym. Wkrótce okazja nadarzyła się sama.

Do San Giovanni Rotundo przybyła kobieta, która podczas spowiedzi żaliła się na uzależnienie syna od narkotyków. Poprosiła o pomoc. Luca zgodził się na rozmowę z młodym człowiekiem. Gdy wyszedł przed bazylikę, dostrzegł trzęsącego się mężczyznę z błędnym wzrokiem charakterystycznym dla narkomanów. Chłopak był wyraźnie na głodzie. Gdy Luca zaczął tłumaczyć mu zgubne skutki narkomanii, chłopak odpowiedział:

– Jak wrócę do mojego miasta, to spotkam kumpli, którzy też biorą, i zacznę od początku brać to świństwo!

I wtedy ojciec Luca doznał olśnienia. Udał się do przeora klasztoru i przedstawił mu swój pomysł na stworzenie ośrodka dla młodzieży uzależnionej. Na początku pomysł nie spotkał się z poparciem, ale Moreno był upartym człowiekiem. Skoro jego bezpośredni przełożeni nie chcieli mu pomóc, postanowił udać się po wsparcie do najważniejszej osoby w Kościele katolickim. Rozpoczął od napisania listu do ojca świętego. Po dwóch tygodniach, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu i radości, dostał odpowiedź z zaproszeniem do Watykanu na audiencję prywatną. I tak oto Luca Moreno rozpoczął nowy etap w swoim życiu. Osoba bezwzględного gangstera odeszła w zapomnienie i przeistoczyła się w księdza niosącego pomoc ludziom pogrążonym w narkomanii.

Podczas audiencji ksiądz Luca nie ukrywał żadnego szczegółu ze swojego burzliwego życia, łącznie z wydarzeniami z 13 maja 1981 oraz trudnymi rozmowami z ojcem Massimo. Jan Paweł II słuchał go z uwagą i w pewnym momencie rzekł:

– W ocaleniu ojca dostrzegam wolę bożą. Być może Nasz Pan postanowił dać szansę ojcu na odkupienie win już za życia.

Wkrótce śmiałe plany, tkwiące do tej pory tylko w sferze marzeń, nabrały realnych kształtów. Ojciec Luca otrzymał w ramach darowizny farmę znajdującą się trzydzieści kilometrów od Florencji. Tam założył ośrodek pomocy dla młodzieży uzależnionej od narkotyków. Reguły w ośrodku miały być proste – praca, modlitwa i rozmowa, mająca na celu podniesienie na duchu i utwierdzenie w wierze, że straszna choroba można pokonać wspólnie. Zaniedbane budynki farmy powoli zapełniały się młodymi ludźmi chcącymi walczyć z nałogiem. Praca z uzależnioną młodzieżą nie była oczywiście ani łatwa, ani prosta. Nie wszyscy pozostawali na farmie. Część młodych osób przegrywała ten trudny bój i wracała na ulicę. Byli jednak i tacy, a nie było ich mało, którzy podejmowali walkę i ją wygrywali.

Po trzech latach ojciec Luca i jego ośrodek znani byli w całych Włoszech. Czasem podopiecznymi ośrodka stawały się dzieci znanych polityków i biznesmenów. Na

farmie byli traktowani na równi z innymi, ale ich rodzice w podzięcie fundowali ośrodkowi wyposażenie, maszyny rolnicze, ubrania i żywność. Ojciec Moreno miał jednak jedną zasadę: zawsze wyciągał rękę do potrzebujących, ale jeżeli podopieczny sięgnął ponownie po narkotyki, był wyrzucany z ośrodka. Sytuacje na farmie bywały różne. Zdarzali się i tacy, którzy próbowali fizycznie przeciwstawić się ojcu – nieuchronnie jednak trafiali na twardą rękę, a raczej pięść byłego gangstera. A była to pięść zaprawiona w bojach na Piazza Garibaldi w Neapolu i każdy, kto wiedział, w jakim środowisku wychował się ojciec Luca, wołał z nim nie zadzierać.

Popularność ośrodka sięgnęła zenitu, kiedy włoska telewizja nakręciła film o działalności, jaką prowadził ojciec Moreno. Do ośrodka zaczęła płynąć rzeka chętnych, pragnących poddać leczeniu swoich bliskich. Jednym z takich ludzi był profesor Farelli, z którym właśnie Luca rozmawiał.

– Czy widzi ksiądz możliwość pomocy dla mojego syna?

– Gdybym nie widział takiej szansy, nie zajmowałbym się tym, co robię – odparł stanowczo ojciec Moreno.

Siedzieli w ulubionym gabinecie profesora. Farelli sięgnął do jednej z szuflad swego biurka.

– Proszę – podał księdzu plik zdjęć. – Oto mój syn Gennaro. Tu są zdjęcia wykonane ostatnio przez wynajętego detektywa. Niestety, mój syn nie zgodzi się dobrowolnie na leczenie w ośrodku ojca – powiedział wyraźnie zasmucony profesor.

– Gdy ojciec święty zadzwonił do mnie i podał nazwisko pana syna, pozwoliłem sobie poczynić pewne kroki – odpowiedział ojciec Luca, przyglądając się z uwagą fotografiom. – Wiem, gdzie jest pański syn i co aktualnie robi.

– Co ojciec wie? – ponaglił z nadzieją w głosie Farelli.

– Pana syn wpadł w niedobre towarzystwo. Mieszka w jednej z kamienic w dzielnicy Trantevere i sprzedaje przygodnym klientom narkotyki w miejscowych kawiarniach.

Poruszony do żywego profesor wstał z fotela i nerwowo zaczął chodzić po pomieszczeniu. Podszedł do jednej z półek i wziął do ręki stojące na niej zdjęcie syna.

– Widzi ksiądz jakąkolwiek możliwość pomocy mojemu synowi? – zapytał, głaszcząc fotografię.

– Tak – odparł pewnie ojciec Luca. – Jeżeli pan się zgodzi, zmuszę chłopaka do wizyty na mojej farmie. Następnie przez miesiąc pozostanie pod ścisłą kontrolą. Tam na własne oczy zobaczy, że z nałogiem może wygrać, ale pod warunkiem, że będzie tego chciał. O pozostaniu u nas musi jednak zdecydować sam. Inaczej nie będzie to miało sensu.

– Ilu księdz podopiecznych wychodzi z nałogu? – zapytał profesor.

– Na dziesięć trafiających do mnie osób siedem zostaje w ośrodku, a trzy wracają do poprzedniego życia.

– Jak zamierza ksiądz wyrwać go w ogóle spod wpływu tego szemranego towarzystwa?

– To proszę zostawić już mnie. Potrzebuję tylko pańskiej zgody – skwitował

ojciec Luca.

Farelli przytakująco pokiwał głową.

– Jest ojciec naszą ostatnią deską ratunku. Na wszelkie działania ojca wyrażam oczywiście zgodę. Proszę zwrócić nam syna.

Ojciec Moreno pożegnał się z profesorem i udał się do rzymskiej dzielnicy Trastevere, słynącej z całonocnych uciech. Czekał tam na niego Giovanni, jego były podopieczny, który dzięki pobytowi na farmie uwolnił się od narkotyków. Kiedy ojciec Luca poprosił go o pomoc, ten poruszył cały Rzym w celu odszukania Gennaro i wkrótce dostał informację, że chłopak diluje w zamian za dostęp do towaru. Przez dwa dni Giovanni obserwował młodego Farellego i trasę, którą codziennie pokonywał, proponując turystom narkotyki.

Gdy ojciec Luca pojawił się w umówionej kawiarni, Giovanni wskazał mu palcem kogoś siedzącego przy pobliskim barze. Moreno zobaczył dwóch Afroamerykanów, którzy dyskutowali zażarcie z młodym, niechlujnie wyglądającym chłopakiem.

– Chcesz brać lepszy towar, to więcej sprzedawaj. Inaczej zamiast towaru dostaniesz ołów – usłyszał ksiądz, gdy podszedł nieco bliżej mężczyzn.

Chłopak odszedł od baru i ruszył szybkim krokiem w kierunku wyjścia. Ojciec zlustrował go wzrokiem – tak, to był Gennaro. Wychudzony i wyraźnie na głodzie.

Luca kiwnął palcem na Giovanniego.

– Zaproponuj mu transakcję zakupu kokainy – powiedział cicho do byłego podopiecznego, gdy już wyszli na zewnątrz, podążając za Farellim. – Potem idź tam, w prawo. Mam tam samochód.

Giovanni ruszył za Gennaro. Kiedy chłopak rozglądał się po ulicy, szukając potencjalnego klienta, stanął obok i zaczął coś mówić, pokazując plik pieniędzy. Wkrótce obaj ruszyli w boczną, pustą uliczkę. Ich śladem podążył ojciec Luca. Gdy weszli do bramy kamieniczki, Giovanni wyjął pieniądze, a Gennaro działkę. Zadowolony z transakcji młody Farelli chciał już wracać do knajpki, gdy nagle wyrósł przed nim ojciec Luca.

– Masz dla mnie działkę?

– A co chcesz? – zapytał trochę zdziwiony chłopak.

Nagle ojciec Luca chwycił Gennaro za kołnierz kurtki. Gdy syn profesora Farellego zaczął się wyrwać, Moreno wymierzył mu niezbyt mocny cios w brzuch. Chłopak był tak osłabiony, że zemdlał.

– Idziemy – rzucił ksiądz do Giovanniego. Wzięli chłopaka pod rękę.

Gdy znaleźli się na ulicy, ktoś zaczepił ich, pytając, czy nie potrzebują pomocy. Ojciec Luca odpowiedział, że chłopak przedawkował i zawożą go do szpitala. Skręcali już w bramę, w której stał zaparkowany samochód księdza, gdy usłyszeli za sobą krzyki i stukot nóg. Ktoś ich gonił.

– Nie reaguj – rozkazał duchowny.

Byli już przy samochodzie, gdy otoczyła ich grupka Afroamerykanów. Było ich czterech. Dwóch widzieli wcześniej przy barze. Jeden z nich, najwyraźniej szef, syknął łamanym włoskim:

– Co jemu?

Ojciec Luca odwrócił się, podszedł do Murzyna i powiedział, wskazując palcem na Gennaro:

– Ten chłopak przedawkował narkotyki, bierzemy go do szpitala.

– On ma mój towar i pieniądze – warknął Afroamerykanin.

– Giovanni, przeszukaj jego kieszenie i oddaj im prochy oraz kasę.

Wkrótce czarnoskóry trzymał w ręce pieniądze i narkotyki.

– On nigdzie nie jedzie, wisi mi forszę – krzyknął przywódca gangsterów i ruszył w kierunku Gennaro.

Giovanni szybko otworzył drzwi samochodu i wpakował na wpół przytomnego syna profesora do środka. Ojciec Luca założył tymczasem na rękę kastet i gdy bandzior próbował go odepchnąć, wyprowadził cios na szczękę, po którym Murzyn zwałił się na ziemię. Pozostali rzucili się w kierunku księdza, ale doświadczenie z ulicznych bójek w Neapolu nie poszło na marne. Ojciec wiedział, że musi unieszkodliwić napastników jak najszybciej. Gdy drugi z Afroamerykanów próbował zaatakować duchownego rękami, ten rzucił się na jego nogi, po czym napastnik runął na plecy. Luca natychmiast był przy jego brodzie i dwoma ciosami ręki uzbrojonej w kastet dokończył dzieła i unieszkodliwił bandytę. Pozostali dwaj rzucili się na księdza, próbując chwycić go za ręce i przycisnąć do ziemi. Luca, wijąc się niczym wąż, wyrwał lewą rękę i wyprowadził cios łokciem w brzuch jednego z napastników. Drugi jednak trzymał mocno prawą rękę księdza. Ojciec Moreno próbował się wyrwać, ale Murzyn był silny i nie zamierzał go puścić. Wtedy Luca lewą ręką chwycił napastnika za włosy i próbował przerzucić go przez ramię. Tu w sukurs przyszedł mu Giovanni, który wyrwał drewnianą część balustrady balkonu i z całej siły wyrzucił w głowę Murzyna trzymającego duchownego. Po drugim ciosie napastnik runął na ziemię, a ojciec Luca błyskawicznie stanął na nogi. Afroamerykanin, który otrzymał cios łokciem w żołądek, doszedł do siebie i widząc trzech leżących kompanów, zrozumiał, że nie ma w tej walce dużych szans. Zdrowy rozsądek podpowiadał ucieczkę, ale strach przed reakcją pozostałych kompanów był silniejszy. Murzyn sięgnął do kieszeni i wyjął z niej nóż sprężynowy. Ojciec Moreno nie przestraszył się jednak. Chwycił trzymaną przez Giovanniego część drewnianej balustrady, mającą około metra długości, i krzyknął:

– Zostaw nas w spokoju, inaczej będę musiał cię skrzywdzić wbrew mojej woli!

Strach przed kompanami albo brak znajomości włoskiego wzięły jednak górę nad rozumem i Murzyn zaczął wymachiwać nożem. Robił to dość nieudolnie i chaotycznie. Ksiądz, nie chcąc przedłużać walki w obawie przed ocknięciem się reszty przeciwników, ruszył błyskawicznie do ataku i drewnianą pałką z całych sił uderzył w rękę trzymającą nóż. Murzyn chwycił się za bolącą dłoń, nie wypuszczając z niej noża. Chwila ta wystarczyła, aby duchowny wyprowadził kopnięcie w krocz przeciwnika. Czarnoskóry zgiął się wpół i w tym momencie otrzymał jeszcze cios w kark drewnianym kawałkiem balustrady. Zawył i runął nieprzytomny pod nogi swego pogromcy.

– Wsiadaj – polecił ksiądz Giovanniemu. – Usiądź z nim i przyciśnij ciałem.

Musimy odjechać, zanim te przyjemniaczki dojdą do siebie.

Po pięciu godzinach znaleźli się na farmie. Gennaro po drodze otrzymał zastrzyk na odtrucie organizmu i zahamowanie głodu narkotykowego. Po dotarciu na miejsce nowo przybyłym zajął się specjalny zespół złożony z czterech uwolnionych od nałogu pensjonariuszy farmy oraz młodego lekarza, który pełnił dyżur jako wolontariusz. Gennaro został umyty, ostrzyżony i umieszczony w specjalnym pokoju, gdzie podano mu lekarstwa i kroplówkę. Zapewniono mu też stały nadzór, gdyż pierwsze godziny i dni są najgorsze dla człowieka, który przestaje brać narkotyki. Głód narkotykowy wywołuje depresję połączoną z agresją. Ojciec Luca od momentu przyjazdu był cały czas przy Gennaro i dopiero gdy chłopak zasnął, udał się do kaplicy ośrodka, aby podziękować za udaną akcję i przeprosić za przemoc, którą musiał zastosować wobec bandytów. Przysiągł przed Bogiem, że będzie używał siły tylko w przypadku wyższej konieczności, a dzisiejszą akcją śmiało można było za taką uznać.

Następnego dnia, tuż po godzinie szóstej rano, wykręcił numer telefonu do rzymskiego mieszkania profesora Farellego i po chwili usłyszał zaspany głos:

– Słucham, Farelli.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, profesorze – przywitał się ksiądz.

– Niech będzie pochwalony. Co z Gennaro? – spytał całkowicie wybudzony już profesor.

Ojciec Luca westchnął.

– Udało nam się go wyrwać z tego towarzystwa, ale nie było łatwo. Jest poważnie uzależniony i trzeba natychmiast przystąpić do terapii.

– Dziękuję ojcu, dziękuję.

– Proszę podziękować Bogu i ojcu świętemu. Jeszcze parę tygodni, a może dni, i pański syn zaćpałby się na śmierć.

– Mimo wszystko bardzo ojcu dziękuję. Przecież ratuje ojciec życie mojemu synowi – odparł, prawie płacząc, profesor Farelli.

– Tak jak pan ratuje setki, a może tysiące istnień ludzkich, profesorze – odparł ksiądz.

– Kiedy mogę go odwiedzić?

– Zadzwońię za parę dni, gdy organizm zostanie odtruty i nieco dojdzie do siebie – wyjaśnił duchowny.

– Dziękuję! I czekam na telefon.

– Z Panem Bogiem, profesorze. Proszę się pomodlić za zdrowie swojego syna – odrzekł ojciec Luca i odłożył słuchawkę. Czuł, że musi już iść spać, gdyż przeżycia ostatniej doby wyczerpały go całkowicie.

## ROZDZIAŁ LXIX

W klinice MSWiA kończono właśnie obchód lekarski, gdy do sali, w której leżał ranny generał Kamiński, weszło dwóch mężczyzn.

– Jak się czujecie, generale? – zapytał oschłym tonem Kwaśniak, bo to on był jednym z dwóch odwiedzających.

Kamiński, leżący na brzuchu z racji odniesionych ran, odwrócił szybko głowę i na widok przełożonego oraz drugiego gościa, którym był znenawidzony kolega generała – Ziemowit Gadacz, poczerwieniał i wycedził przez zęby:

– Towarzyszu generale, melduję, że wkrótce będę gotowy do służby.

Kwaśniak złapał szpitalny taboret, usiadł tak, by Kamiński dobrze go widział, i warknął:

– Co wy mi tu będziecie pierdolić! Taki kit to możecie wciskać swoim podwładnym, ale nie mnie.

– Ale... – próbował oponować Kamiński.

– Dość! – wrzasnął Kwaśniak. – Jak tak na was patrzę, to wydaje mi się, że bardzo się pomyliłem, powierzając wam to stanowisko. Od dnia dzisiejszego wasze obowiązki przejmuje generał Gadacz. Zrozumiano?

– Tak jest – krótko odparł Kamiński.

– Wy tego miejsca nie opuście, póki na to nie pozwolę! – krzyczał Kwaśniak.

– Tak jest! Ale – Kamiński się zawahał, po chwili jednak dokończył pytanie: – ale dlaczego?

– Kurwa, za to, że chciałeś sam podpierdolić forszę za okup Badylarza.

– Ale panie generale... – Kamiński zamierzał coś tłumaczyć, podnosząc się na łokciach.

Kwaśniak jednak szybko mu przerwał.

– Co?! – ryknął. – Myślałeś, że nie przesłucham twoich ludzi? Myślisz, że masz do czynienia z kretynami? Patrzyłem przez palce na twoje lewe interesy z gangsterami, ale dość tego. Kasa ci rozum odebrała!

Generał leżał potulnie na łóżku. To był koniec. Kariery, wpływów i stałego, pewnego strumyka forsy. Teraz to wszystko przejął Gadacz. Kiedyś w przeszłości Kamiński doprowadził do jego dymisji. Wiedział doskonale, że konkurent mu tego nie daruje i lepsza okazja do zemsty nie mogła mu się przytrafić.

– Proszę zapamiętać – powiedział z naciskiem Gadacz – oficjalna wersja jest taka, że ten gliniarz... Jak on się tam nazywa?

– Wolf – wymamrotał Kamiński.

– Wolf był w zмовie z gangsterami, którzy porwali Badylarza, i próbował ukraść torbę z milionem dolarów. Rozumiemy się?

– Rozumiemy – przytaknął Kamiński. – Tylko co, jak komisarz się odnajdzie?

– Jak się znajdzie... – Kwaśniak na chwilę się zamyślił. – To zamkniemy go do więzienia, a tam się powiesi. Prawda, panie generale? – zapytał, pochylając się nad rannym.

– Tak jest! – potulnie odpowiedział Kamiński.

– Chyba że przyjmemy drugą wersję. Jeśli komisarz Wolf się znajdzie, uwierzemy w jego zeznania i wówczas... – Kwaśniak przerwał, czekając na reakcję Kamińskiego, który, wyraźnie przerażony, milczał.

– Wówczas co, panie generale? – zapytał Gadacz, choć doskonale znał odpowiedź.

– Wówczas generał Kamiński musi odejść, definitywnie odejść. Zator płucny często się zdarza po operacji – wyjaśnił Kwaśniak.

– Co mam zrobić, aby pierwsza wersja była bardziej prawdopodobna? – zapytał błagalnie Kamiński.

– Zostawcie nas samych, generale – rozkazał Kwaśniak Gadaczowi. – Ile dorobiliście się na lewych interesach z Chytrym Wiesławem i Badylarzem? – zapytał, gdy podwładny wyszedł z sali.

– Milion dolarów – rzucił po dłuższej chwili milczenia Kamiński.

– Według moich obliczeń i mojej wiedzy dorobiliście się ponad pięciu milionów – oznajmił Kwaśniak. – Proponuję układ. Za pierwszą wersję milion dolarów, które dostarczy mi wasza żona.

– Panie generale, ale nie mam gotówki, zainwestowałem w działki, nieruchomości, dzieła sztuki.

– Dobra! Milion w gotówce lub dziełach sztuki – zaproponował, krzywiąc się, Kwaśniak.

– Oczywiście – bez wahania odparł Kamiński, by nie dać szefowi czasu na zmianę zdania.

– Macie na to tydzień. Mogę nabyć również jakąś nieruchomość. Chyba warte jest tego wasze życie?

– Zapewniam, że dotrzymam umowy – Kamiński o własne życie nie miał zamiaru się targować.

– Na korytarzu czeka wasza żona. Nie traćcie więc czasu – dodał jeszcze generał i wyszedł z sali.

Na korytarzu był jeszcze Gadacz.

– Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziecie – powiedział Kwaśniak. – Przystąpcie do realizacji zadań, które generał Kamiński zbagatelizował, a były priorytetowe. Chodzi szczególnie o sprawę skradzionego archiwum i kontaktów Mroza z CIA. Oni musieli mu w tym pomagać. Zrozumiano?

– Zrozumiano, towarzyszu generale. Rozmawiałem już z towarzyszami z KGB. Przystępujemy do kontruderzenia.



– Tylko uważajcie! Nie możemy powrócić do czasów zimnej wojny – ostrzegł Kwaśniak. – A swoją drogą szkoda, że ten granat nie urwał łba temu kretynowi. Przynajmniej jeden problem mielibyśmy z głowy – rzucił, kierując się do wyjścia.

## ROZDZIAŁ I

Adam po tygodniu od operacji został przeniesiony do willi Dobrowolskich w Józefowie. Mimo iż powinien jeszcze przebywać w szpitalu, mecenas nie chciał narażać ordynatora na ewentualne konsekwencje. Młodszy syn pana Krzysztofa zaglądał do pacjenta codziennie, by sprawdzić jego stan i zmienić opatrunki.

Gdy tylko Adam nabrał nieco sił, poprosił o prasę z kilku ostatnich dni oraz możliwość korzystania z radia i telewizji. Miał nadzieję, że gdzieś pojawią się informacje na temat wypadków z niedzieli, ale media zgodnie milczały. Również zdarzenia, które miały miejsce w willi Remigiusza Wątroby, pozostały bez echa.

– Czy mógłby pan zorganizować spotkanie z moim szefem? – zapytał Adam pana Krzysztofa przy jednym z lekkich posiłków, które o regularnych porach, zgodnie z zaleceniami lekarzy, przygotowywała sama żona mecenasa.

– Byłem już u niego. Dzień po odwiezieniu cię do szpitala – odpowiedział mecenas.

– Dlaczego pan mi nic nie powiedział?

– Widzisz, mój drogi, otóż twój szef, gdy tylko usłyszał, co ci się przydarzyło, o mało mnie nie aresztował.

– Mówił pan o torbie?

– Mówiłem, ale on najwyraźniej się boi.

– Muszę zaryzykować. Musi pan go poprosić o spotkanie – nalegał Adam.

– Mój drogi, twój szef wyraźnie sugerował, abys stawił się na policję i wszystko wyjaśnił sam – odparł mecenas.

Adam westchnął. Myślał, że może liczyć na Bukalskiego. Teraz już nie był tego taki pewny.

– A co u mojej mamy? – spytał po chwili milczenia.

– Wysłałem jej kartkę pocztą i kazałem zniszczyć ją zaraz po przeczytaniu. Twój dom jest obserwowany, a telefon na podsłuchu – wyjaśnił pan Krzysztof, z troską przyglądając się młodemu policjantowi. – Mamy jednak z moim komendantem pewien pomysł. Nie wiem jedynie, czy się na niego zgodzisz.

\*\*\*

Nadkomisarz Bukalski skończył właśnie pracę. Od pamiętnej niedzieli, kiedy to zniknął Wolf, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Bił się wciąż z myślami. Nie wiedział, czy dobrze zrobił, odmawiając spotkania z Adamem. Jego wersja wydarzeń, przedstawiona w skrócie przez starszego mecenasa, który pojawił się na komendzie,

była tak nieprawdopodobna, że żaden sąd w tym kraju nie dałby jej wiary.

Bukalski otworzył drzwi swojego fiata 125p. Gdy usiadł za kierownicą, usłyszał pukanie w boczną szybę od strony pasażera. Poznał mecenasa, który z drugim starszym jegomościem dreptał obok samochodu. Nadkomisarz podniósł guzik blokujący drzwi i obaj mężczyźni wsiedli do samochodu, witając się.

– To mój dowódca z czasów partyzanckich – przedstawił mecenas komendanta.

Bukalski podał rękę nowo poznanemu mężczyźnie.

– Czego panowie sobie życzą?

– Życzymy sobie, aby pan pojechał z nami i wysłuchał relacji swojego podwładnego, który panu ufa. Potem może pan zrobić, co będzie pan uważał za stosowne. Łącznie z zamknięciem nas wszystkich – wyjaśnił komendant.

– Mają panowie charakter! Ale w pana wieku to raczej sanatorium, a nie więzienie

– Bukalski uśmiechnął się pod nosem, podziwiając determinację obu starszych panów.

– Myli się pan. Władza ludowa dziesięć lat temu uznała mnie za bardzo groźnego człowieka i zamknęła. Byłem internowany.

– Pan? Niemożliwe. W pana wieku? – nadkomisarz nie krył zdziwienia.

– Tak, w moim wieku. A co do więzienia, to widzi pan, ja się go nie boję.

– Myślę, że każdy z nas trochę się boi.

– Gdyby pan, drogi panie, siedział osiem lat z czterokrotnym wyrokiem śmierci, to może też by się pan już nie bał – rzekł hardo komendant.

– Mam przed sobą odważnych ludzi – stwierdził bez cienia ironii Bukalski.

– Ma pan przed sobą ludzi, którzy nigdy nie zawahali się oddać życia za ojczyznę i słuszną sprawę. Byliśmy gotowi na śmierć i cierpienie. I nigdy nie zostawialiśmy swoich podkomendnych na pastwę losu – z naciskiem odparł komendant.

– Panie nadkomisarzu, człowiek, który siedzi w pana samochodzie, w czterdziestym trzecim rozbił więzienie w Starachowicach i uwolnił siedemdziesięciu ludzi, w czterdziestym czwartym w Końskich osiemdziesięciu ludzi, a w czterdziestym piątym w Kielcach aż sześćuset. Niemcy, gdy słyszeli jego pseudonim, dostawali gęsiej skóry i srali w gacie – wtrącił się mecenas Dobrowolski.

– Pan wybaczy. Niech pan nie porównuje czasów wojny do obecnej sytuacji – próbował się tłumaczyć nadkomisarz. – Prosiłem go, aby się ujawnił i złożył zeznania. Żyjemy przecież w wolnym kraju.

– Pan raczy żartować! – oburzył się pan Krzysztof. – Zeznania Adama przeciwko zeznaniom generała SB i jego dwóch ludzi. O jakiej wolności i jakich szansach pan mówi? Adam natychmiast zostanie zatrzymany na trzy miesiące. A co będzie dalej, Bóg raczy wiedzieć.

Bukalski westchnął. Zdawał sobie sprawę, że starsi panowie mogą mieć po prostu rację.

– Czego panowie ode mnie oczekujecie? – spytał.

– Tego, że ruszy pan swoją szanowną dupę i posłucha tego, co ma do powiedzenia pana podwładny, oraz zastanowi się, jak mu pomóc – stanowczo wyrecytował

komendant. – Skoro jednak pan oficer nie chce narażać tyłka, to nie. Zawiódł pan Adama, który uważał pana przede wszystkim za przyjaciela, a nie tylko za przełożonego.

Komendant otworzył drzwi i już miał wysiąść, gdy Bukalski przeklął siarczyście i walnął dłonią w kierownicę.

– Jedziemy! – rzucił ostro. – Ale zostaje to między nami. Nikt o tym na razie się nie dowie?

Mecenas z komendantem zgodnie potwierdzili.

Po godzinie znaleźli się w Józefowie. Gospodarz zaprowadził komendanta i nadkomisarza do pokoju gościnnego na piętrze, gdzie umieszczono Adama.

Gdy Bukalski stanął w drzwiach, na twarzy Wolfa pojawiło się niedowierzanie.

– Przyszedłeś mnie wysłuchać czy zamknąć, niewierny Tomaszu? – spytał przełożonego z ironią.

– Przepraszam – odrzekł Bukalski, wyciągając rękę na powitanie. – Przyznaję, bałem się. Cała Warszawa huczy od plotek, że gliniarz rąbnął bańkę dolarów, wystrzelał innych gliniarzy i dał nogę.

Adam dał znak mecenasowi. Ten wyszedł, a po chwil wrócił, trzymając w rękę sporą torbę.

– Nie brakuje ani dolara. Na deser mamy jeszcze jeden granat obronny – wyjaśnił Wolf.

Bukalski usiadł na fotelu i przysłuchiwał się opowieści kolegi. Z minuty na minutę coraz wyraźniej na jego twarzy odmalowywało się niedowierzania wymieszane z podziwem. Po zakończeniu relacji założył rękawiczkę, której używał syn mecenasa przy zmianie opatrunku, i otworzył torbę. Wszystko się zgadzało. Pieniądze, biżuteria i granat były na miejscu.

– Prawdę mówiąc, brakuje pięciu tysięcy dolców, które odpaliłem młodej parze za kurs znad jeziora do Józefowa, ale z innego środka lokomocji nie mogłem skorzystać – wyjaśnił Adam.

– Kurwa, jak ci pomóc? – zastanawiał się nadkomisarz. Wstał z fotela i zaczął krążyć po pokoju. W pewnym momencie zatrzymał się i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągnął kopertę. – Zdążyłem schować, zanim ci ważniacy zrobili rewizję w twoim biurku – mówiąc to, Bukalski wyjął zgięte zdjęcia, które Wolf wykradł z teczki Mroza leżącej na biurku Kamińskiego.

– Oto nasz główny bohater – oznajmił Adam, podając fotografie mecenasowi.

Ten zaczął je przeglądać i zdziwiony pokazał je komendantowi, który na jednym, tym z pogrzebu żony Mroza, wskazał palcem na księdza i zapytał:

– Jego też o coś podejrzewacie?

– Nie, to zdjęcia wykradzione przeze mnie z teczki tego gościa, którego podejrzewamy o napaść na miejscowego gangstera. Ksiądz celebrował pogrzeb żony i wnuczki tego pułkownika.

– A możecie wyjaśnić, co się stało u tego gangstera? – spytał mecenas.

– Uważam, że niejaki Piotr Mróz, emerytowany pułkownik SB, napadł i zabił

kilku gangsterów. Motywem mogło być to, że trzy lata temu syn szefa gangu, Badylarza, zabił mu żonę i wnuczkę. W strzelaninie zginął ten syn, Sebastian, który spowodował wypadek, a nigdy nie trafił do więzienia, i trzech innych członków bandy. Badylarz został uprowadzony lub upozorowano jego porwanie, aby wymusić okup za niego – wyjaśnił Bukalski.

– Nie do końca – wszedł mu w słowo Adam.

– To znaczy? – Bukalski zmarszczył brwi.

– Pamiętaj, że w willi na Mazurach nie zidentyfikowano ciała Mroza?

– O czym panowie mówią? Co ma Mróz do willi na Mazurach? – zapytał zdezorientowany mecenas.

– Tego nie wiemy. Albo wybuchł tam gaz, albo ktoś wykończył czterech gości i coś ukradł – odparł nadkomisarz.

– Albo to kolega Mróz załatwił całą rodzinę Badylarza, wziął ze sobą trupa Mariana, a następnie rąbnął kolegów na Mazurach i podrzucił ciało gangstera jako swoje zwłoki. Zostawił też swój samochód – objaśnił Adam.

– Ty masz rację! – wykrzyknął Bukalski. – Tylko po co telefony z żądaniem okupu?

– Dla odwrócenia uwagi, żeby ludzie, którzy odkryją bajzel na Mazurach, nie domyślili się, że zwłoki mogą należeć do Badylarza.

– No dobra, to po co cała heca z okupem? – spytał nadkomisarz niepewnie.

– Także po to, by odwrócić uwagę. Dzwoniący nie był głupi i wiedział, że będziemy podsłuchiwać rozmowy. A kim byli ludzie, których zabiłem w czasie pościgu w lesie?

– Gangsterzy Chytręgo Wiesława.

– No to generał Kamiński wspólnie z Chytrym Wiesławem postanowili obrabować Badylarza, tylko przeszkodziłem im ja i ten granat. Helena nie umiała posługiwać się bronią, więc wzięła do torby dwa granaty obronne. Tego generał Kamiński nie przewidział.

– Tego by nie wymyślił nawet Alfred Hitchcock – oznajmił Bukalski.

– A ja miałem mieć taki piękny pogrzeb z honorami – z sarkazmem stwierdził Adam.

– Czy ten ksiądz jest jakoś powiązany z tymi wydarzeniami? – zapytał z niepokojem komendant.

– Nie, raczej nie – Bukalski pokręcił głową i przyjrzał się uważnie starszemu panu. – Czy może mi pan powiedzieć, kto to jest?

– Nie, drogi panie. Póki mi ta osoba na to nie pozwoli, nie mogę. Powiem panu tylko tyle, że to najmłodszy żołnierz mojego ugrupowania. To człowiek, który widział jako ostatni moich dwóch braci i szwagra.

– A co się z nimi stało? – spytał Bukalski.

– UB zakatowało ich na śmierć, żeby wydali miejsce, gdzie się ukrywałem – wyjaśnił komendant.

– Jutro pójdę z tym do znajomego z prokuratury. Poproszę o rozmowę z ministrem

sprawiedliwości – zdecydował Bukalski. – Przepraszam cię, Adam, i przepraszam was, panowie. Zachowałem się jak dupek!

– Każdy w życiu ma chwile słabości i zwątpienia – stwierdził ze stoickim spokojem komendant – ale nigdy nie wolno zwątpić w drugiego człowieka, bo inaczej nasze życie nie miałoby sensu.

Gdy nadkomisarz wyszedł z willi mecenasa Dobrowolskiego, komendant zamyślił się, usiadł w fotelu i przyglądając się Adamowi uważnie, stwierdził:

– Będziemy musieli zmienić panu lokal i posprzątać wszystkie dowody pana obecności tutaj. Od jutra za nadkomisarzem może chodzić ogon. Po jego wizycie u ważnych ludzi nie będziemy znać ich prawdziwych intencji. Ostrożności nigdy nie za wiele.

## ROZDZIAŁ LI

Piotr postanowił, że przed przyjazdem do Fuchstal zatrzyma się na jeden dzień w Monachium, aby odpocząć i kupić parę rekwizytów, które mogły być potrzebne podczas składania wizyty SS-Standartenführerowi Schultzowi. Wynajął pokój hotelowy i zjadł kolację w restauracji mieszczącej się w centrum miasta. Gdy przeistoczył się w turystę, trudno było się domyślić, że ten sześćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w charakterystyczne skórzane spodnie na szelkach, długie skarpety i kapelusz z piórkiem, może mieć jakiegokolwiek nieczne zamiary.

Właśnie zaczynał się Oktoberfest i stolica Bawarii zamieniała się w prawdziwą stolicę piwa. Zewsząd słychać było gwar rozmów w przeróżnych językach, a turyści tłumnie wypełniali piwiarnie i restauracje, kosztując tradycyjnych złocistych trunków. Piotr przyglądał się z zazdrością rozbawionym ludziom, którzy przybyli tu z różnych zakątków świata. Bez trudu wczuwali się w klimat bawarskiego święta. W restauracji, w której jadł wcześniej kolację, a teraz siedział z kuflem smacznego piwa, nagle zrobiło się jeszcze gwarniej za sprawą grupy turystów z Japonii uzbrojonych w aparaty fotograficzne. Roześmiani Japończycy robili zdjęcia wszystkiego i wszystkich, wydając przy tym okrzyki zachwytu. Piotr pomyślał, że dobrze byłoby przyjechać tu kiedyś na kilka dni i beztrudno przyłączyć się do świętowania.

Z rozmyślań wyrwał go głos starszego mężczyzny, który zapytał, czy może się przysiąc. Gdy Piotr wyraził zgodę, starszek spytał go, czy jest Niemcem. Piotr odpowiedział, że jest turystą z Polski, co na twarzy mężczyzny wywołało ironiczny uśmiech. Po chwili nieco zmieszany, przeprosił, wstał i przysiadł się do sąsiedniego stolika zajmowanego w części przez turystów z Japonii. Nigdy nas nie polubicie – pomyślał Piotr, ruszając do hotelu.

Gdy znalazł się w pokoju hotelowym, sięgnął do jednej z kieszeni torby podróźnej. Wyjął z niej kopertę z artykułami prasowymi na temat Schultza. Rozsiadł się w wygodnym fotelu i zaczął przeglądać materiały. Z uwagą przyglądał się zdjęciom. Przez całe lata marzył o chwili, gdy spojrzy w twarz tego bezlitosnego człowieka, przypomni o wszelkich dokonanych zbrodniach i krzywdach, wyrządzonych nie tylko jego rodzinie, i wreszcie wymierzy sprawiedliwą karę. Nie był pewny, czy kiedykolwiek to mu się uda, a teraz był tak blisko.

Odłożył kopertę do bocznej kieszeni torby, nastawił budzik na szóstą, zgasił lampkę i położył się. Próbował zasnąć, ale jego myśli biegły ku córce i wnuczce. Nie wiedział, czy mała Maria nadal żyje, czy agenci CIA należycie chronią jego bliskich, czy Michałowi udaje się pomagać im w Rzymie. Nagle z Wiecznego Miasta przeniósł się na skraj lasu, w pobliże rodzinnego domu. We śnie, a może dziwnym letargu,

zalały go przeżycia sprzed blisko pięćdziesięciu lat. Zza drzew dostrzega uciekających przed esesmanami dwóch nastolatków i ojca katowanego przez zwyrodnialca w mundurze. Słyszy szloch matki i krzyk siostry wpychanych do płonącej stodoły i ujadanie olbrzymiego psa, który ściga nastolatków po lesie. Płacz postrzelonego przez esesmanów ojca, który umierając, wyciąga dłoń w stronę żony i córki, tulących się pośród płomieni. Pies staje się coraz większy i wkrótce dorwie uciekających. Piotr widzi wyraźnie jego wielkie kły i Niemców biegnących tuż za nim. Niebawem ich złapią i nie będzie już ratunku...

Piotr zerwał się złany potem. Setki razy prześladował go ten sam sen. Sen, który odszedł dopiero po śmierci żony i wnuczki. Teraz powrócił jeszcze wyrazistszy i mroczniejszy. Usiadł na łóżku i przetarł zmęczoną twarz. W głowie huczały mu słowa Michała: „Przebacz mu! Niech sprawiedliwość wymierzy mu Bóg”.

Zerwał się z łóżka, zapalił światło, poszedł do łazienki i przemył oczy zimną wodą. Spojrzał w lustro i powiedział głośno, wpatrując się w swoje odbicie:

– Nie! Nigdy ci nie wybaczę. Jutro cię znajdę.

Do samego rana już nie zmrużył oka. Starał się myśleć o córce i wnuczce. W głębi serca zazdrościł Michałowi. Wiary w Boga, w coś ponad to ludzkie piekło, którego tak często Piotr musiał dotykać, umiejętności przebaczenia i zapominania krzywd. Teraz zazdrościł mu nawet możliwości zwykłej modlitwy. Gdyby był wierzący, to mógłby się choć pomodlić. Ale on wierzył tylko w siebie.

Tuż po śniadaniu przebrany niczym turysta i uzbrojony w aparat fotograficzny wyruszył do Fuchstal. Po godzinie jazdy znalazł się w urokliwej bawarskiej miejscowości. Niewielkie miasteczko, o charakterystycznej architekturze domów sklepionych wiązarami z ciemnego drewna, leżało nad wijącą się malowniczo rzeką Lech. Nad jej brzegami okoliczni miłośnicy wędkarstwa oddawali się swojej ulubionej rozrywce. Piotr pomyślał, że Schultz, przenosząc się tu, chciał ostatnie lata życia spędzić w przepięknej okolicy, z dala od miejskiego hałasu i zgiełku. Nie przypuszczał zapewne, że mimo zmiany miejsca zamieszkania i upływu lat, przyjdzie mu się jednak zmierzyć z mroczną przeszłością.

Zostawił samochód na małym parkingu w pobliżu kościoła. W sklepie z gazetami i pamiątkami kupił mapę. Bez trudu znalazł ulicę, przy której znajdował się dom Schultza, obecnie znanego jako Fabian Geier. Wydobył z kieszeni przygotowany wcześniej wycinek z gazety ze zdjęciem domu i ruszył przed siebie. Przeszedł już około stu metrów, gdy zauważył budynek bardzo podobny do tego z fotografii. Rozejrzał się po ulicy. Przechodniów prawie tu nie było. Po drugiej stronie ulicy szedł powoli z plecakiem chłopiec. Piotr podszedł do niego.

– Przepraszam cię, chłopcze – zapytał uprzejmie z uśmiechem na twarzy – czy wiesz może, gdzie mieszka mój stary przyjaciel Fabian Geier?

Chłopiec wskazał dom, który Mróz przed chwilą minął, i bez słowa pomaszerował dalej.

Piotr rozejrzał się po okolicy. Dość rzadko stojące zabudowania umożliwiały swobodną obserwację. Wybrał kępę drzew nieopodal siedziby Geiera. Czekał. Punktualnie o czternastej z budynku wyszła kobieta w średnim wieku. Za nią, na



progu domu, pojawił się starszy mężczyzna, który trzymając w ręku gazetę i laskę, zamknął drzwi na klucz i ruszył różnym krokiem w kierunku centrum miasteczka. Piotr wiedział, kim jest. Zaczekał, aż Geier oddali się na odległość około stu metrów, i ruszył za nim, udając, że podziwia okolicę. Tymczasem śledzony wstąpił do małej restauracji, a po około godzinie udał się do niewielkiego parku. Tutaj, na małych ławeczkach i przy stolikach, siedzieli przeważnie emeryci, grający w szachy, oddający się dyskusjom oraz czytający gazety. Po kolejnych dwóch godzinach spędzonych w towarzystwie kilku starszych mężczyzn Geier udał się do miejscowej gospody. Piotr usiadł przy jednym z drewnianych stolików i zamówił piwo oraz kiełbasę z różną. Widok turysty z aparatem nikogo tu nie dziwił, więc mógł swobodnie obserwować Geiera, który wraz z kompanami rozgrywał partię brydża, delektując się przy tym piwem. Piotr postanowił dłużej nie czekać. Po zjedzeniu posiłku zapłacił rachunek i ruszył w kierunku jego domu. Po drodze zatrzymał się przy samochodzie i z bagażnika wyjął plecak z kanistrem oraz pistolet, który schował do futerału od aparatu fotograficznego.

Po kilku minutach stał przed domem Geiera. Zapadł już zmrok, a w domu nie paliło się światło i nie było widać żadnych oznak życia. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma żadnego wścibskiego sąsiada ani przechodnia, Piotr wszedł na podwórze i dla pewności zapukał do drzwi. Zobaczył przycisk dzwonka, więc nacisnął go, ale nadal nikt nie odpowiadał. Piotr obszedł budynek. Miał szczęście. Zauważył otwarte okno balkonowe na piętrze. Okolica była zapewne tak bezpieczna, że gospodarzowi nie przyszło do głowy, by je zamknąć w ciepły wieczór. Piotr znalazł mały stół ogrodowy, założył rękawiczki i podstawił go pod balkon. Aparat włożył do plecaka, który zarzucił na plecy. Stał na stoliku, chwycił się poręczy i odbił nogami od blatu. Wkrótce stał na balkonie.

Wszedł przez otwarte okno do środka. W domu było cicho. Delikatnie otwierał drzwi pokoi. Na górze mieściły się dwie, wyglądające na nieużywane, sypialnie i łazienka. Zamknął okno na balkon i zszedł na dół. Parter budynku składał się z obszernego, stylizowanego na myśliwski, salonu z kominkiem oraz kuchni, jadalni, ubikacji i gabinetu gospodarza, gdzie na ścianie wisiał portret Geiera ubranego w jakieś insygnia urzędnika landu. Umeblowanie gabinetu stanowiło obszerne biurko z ciemnego drewna, skórzany fotel, sporych rozmiarów biblioteczka, stylowe łóżko oraz duża lampa nocna, wokół której zalegał stos książek. Widać gospodarz przed snem lubił oddawać się czytaniu. Piotr zajrzał do małego przedśionka. Drzwi były zamknięte na zamek. Postanowił poczekać, aż Geier wejdzie do środka i zamknie za sobą drzwi. Stał w kuchni za zasłonką, tak by widzieć ulicę przed domem. W razie niespodziewanej wizyty mógł otworzyć okno w salonie i uciec na tyły posesji, za którą rozciągał się mały park.

Usiadł na krześle kuchennym. Serce waliło mu jak oszałałe. W myślach już wielokrotnie uśmiercał Schultza, ale nigdy nie przypuszczał, że będzie czekać na niego w jego własnym domu. Spojrzał na zegarek, była dziewiąta. Po paru minutach usłyszał trzask zamykanej furtki. Gospodarz rażno podążył do domu na spotkanie ze sprawiedliwością, której unikał od pięćdziesięciu lat. Kiedy drzwi domu otworzyły

się, Piotr usłyszał, jak były esesman mamrocze coś do siebie. Być może wciąż przeżywał dzisiejszą partię brydża rozegraną w gospodzie.

Piotr ukrył się za drzwiami gabinetu, czekając, aż gospodarz zamknie drzwi i wejdzie do środka. Po chwili w korytarzu zapaliło się światło i dało się słyszeć charakterystyczne szuranie, jakby Geier zdjął buty i założył kapcie. Człapanie zbliżało się do gabinetu. Starszy człowiek otworzył uchylone drzwi, wszedł do środka i rzucił plik gazet na biurko. Piotr błyskawicznie wyskoczył zza drzwi i przystawił mu pistolet do głowy, rozkazując:

– Cicho albo rozwalę ci łeb.

Złapał przerażonego Geiera i ułożył go na łóżku. Wyciągnął przygotowaną wcześniej ścierkę i zakneblował mu usta. Następnie wydobył sznur i z tyłu związał mu ręce. Obrócił go na plecy, podszedł do drzwi wejściowych i upewniwszy się, że są zamknięte, zaciągnął zasłony w gabinecie i zapalił światło. Jego oczom ukazał się siwy staruszek, który ze strachem patrzył w jego stronę. Piotr wziął krzesło i ustawił je blisko łóżka.

– Teraz, panie SS-Standartenführer, porozmawiamy sobie i powspominamy – powiedział Piotr, wyciągając szmatę z ust gospodarza. – Zacznesz się drzeć, to od razu dostaniesz kulkę, rozumiesz? – Starzec potrząsnął głową na znak, że doskonale wie, co mu grozi. – Jak się nazywasz?

– Kim pan jest? – spytał drżącym głosem Schultz.

– Sądem, którego przez pięćdziesiąt lat unikałeś – odrzekł Piotr i ponowił pytanie: – Stopień i nazwisko?

– Pan mnie z kimś pomylił, jestem szanowanym obywatelem, członkiem landtagu – próbował bronić się Schultz.

Piotr rozpiął mu koszulę i odchylił lewą rękę. Pod pachą zobaczył bliznę.

– Miałeś wytatuowaną grupę krwi, przyjacielu – stwierdził Piotr. Podniósł się i stanął przed portretem szanowanego pana Geiera. – Masz dzieci?

– Mam dwie córki – wymamrotał przerażony starzec.

– A wnuki?

– Tak, mam troje wnuków.

– A wiesz, dlaczego moi rodzice nie mogli dożyć i doczekać wnuków? – zapytał Piotr, stając nad łóżkiem i patrząc prosto w oczy Schultza. W pomieszczeniu zapanowała cisza i tylko przerażony wzrok Geiera zdawał się odpowiadać na pytanie. – No, domyślasz się, kto pewnego lipcowego poranka w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku wpełchnął do palącej się stodoły moją matkę z małą siostrą, a ojcu przestrzelił kolana i kazał na to patrzeć, a następnie go dobił? Kto wymordował leśną osadę, pałac i zabijając wszystkich jej mieszkańców? – W pokoju panowała grobowa cisza, słychać było tylko ciężki oddech starca. – Cóż, skoro nie chcesz się przyznać sam, to coś ci powiem – stwierdził spokojnie Piotr, patrząc lodowatym wzrokiem zabójcy na starca i kneblując go raz jeszcze. – Najpierw zaznasz cierpienia, tak jak moi bliscy. Później, jeśli twierdzisz, że się pomyliłem, zapytam o to samo twoich bliskich.

Piotr wydobyl z plecaka pojemnik z benzyną i oblał nią starca oraz łóżko. Odsunął nieco krzesło i usiadł, a na stoliku obok położył pistolet. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Powoli wyciągnął rękę, jakby miał zamiar rzucić rozżarzony papieros wprost na łóżko.

– Po raz ostatni pytam, jak naprawdę się nazywasz?

Mężczyzna zaczął dawać znak, że chce mówić, więc Piotr zgasił papierosa i wyjął Geierowi knebel z ust.

– Błagam, niech pan nie krzywdzi moich bliskich. Niech pan mnie zabije, ale niech pan nie robi krzywdy moim dzieciom – błagał starzec, który widział nieraz u swoich podwładnych i w lustrze wzrok ludzi zdolnych do wszystkiego.

– Nazwisko i stopień – rzucił Piotr.

– Schultz, Erwin Schultz, skończyłem wojnę w stopniu pułkownika SS.

– Zabiłeś mi rodziców i siostrę. Zabiłeś moją młodość i wiarę w życie. Przez ciebie całe życie byłem sierotą – stwierdził chłodno Piotr.

Po policzkach dawnego esesmana płynęły łzy.

– Zasłużyłem na to. Niech pan mnie zabije, tylko nie krzywdzi moich bliskich – błagał.

Piotr wstał, przyjrzał się leżącemu mężczyźnie, po czym zdjął kurtkę i podwinął rękaw koszuli na lewej ręce. Podsunął rękę pod oczy Schultza.

– Wiesz, po czym są te blizny? – zapytał.

– Nie – wyszeptał starzec.

– Przypomnę ci. Mój młodszy brat, gdy uciekaliśmy, płakał. Płakał też w krzakach, w których byliśmy ukryci. Usłyszałeś coś wraz ze swoimi kamratami i kazałeś spuścić na nas psa. Pamiętasz? – Starzec milczał i usiłował przypomnieć sobie przeszłość. – Za często spuszczałeś swojego psa na ofiary. Przypomnę ci. To ja zabiłem twojego ukochanego wilczura, przed którym drżały setki ludzi. Zdążył mi poharatać rękę, ale myśliwskim nożem ojca zabiłem to bydlę, a teraz przyszedłem zabić jego pana. Przypomniałeś sobie tamten lipcowy poranek?

Starzec patrzył przestraszonymi oczyma, usiłując przypomnieć sobie odległe wydarzenia.

– Pamiętam. Ta osada nazywała się Piotrowe Pole, a twój ojciec był leśniczym – wyszeptał.

Piotr wpatrywał się wciąż w prerażone oczy Schultza, z których nadal płynęły łzy.

– W jakim wieku są twoje wnuki? – spytał Piotr.

– Otto ma dwadzieścia jeden lat, Swen osiemnaście, a Ingrid piętnaście.

– Jak myślisz, czy będą tak samo cierpieć, jak moja pięcioletnia siostra i moi rodzice?

– Błagam! Zabij mnie, bo na to zasłużyłem, ale ich oszczędź – wyszeptał staruszek.

– Mój ojciec prosił o to samo. Byś zabił jego, a matce i siostrze darował – przypomniał mu Piotr. Schultz milczał. Oddychał ciężko, jakby brakowało mu tchu. –

Twoje wnuki i przyjaciele, z którymi miło spędzasz popołudnia i wieczory, wiedzą, co robiłeś w czasie wojny? – zapytał Piotr, pochylając się nad Schultzem i patrząc mu w oczy. Czuł jego starczy oddech, widział kropelki potu na czole, niemal sam odczuwał jego strach.

– Nie – odpowiedział, trzęsąc się, starzec.

– Wiesz – rzucił Piotr, siadając znowu na krzesło – ten drugi chłopiec, który widział, jak mordujesz mu rodziców i siostrę, prosił mnie, abym ci wybaczył.

– Kim jest ten człowiek? – spytał Schultz.

– Jest księdzem, dobrym człowiekiem, ale ja taki dobry nie jestem.

Schultz błagalnie patrzył w oczy Piotra. Miał wzrok skazańca, którego prowadzą właśnie na szubienicę. Wiedział, że sprawiedliwość wreszcie go dopadła. Pragnął tylko jednego – ocalić przed gniewem Polaka swoich bliskich.

– Niech pan nie robi krzywdy mojej rodzinie, niech pan zabije mnie w najokrutniejszy sposób. Zasłużyłem na to – wyszeptał.

Piotr wstał i podszedł do biblioteczki. Obok książek stały tam zdjęcia rodzinne Schultza. Roześmiane młode i starsze twarze.

– Miałeś szansę przyznać się do wszystkiego, kiedy znalazł cię dziennikarz z Austrii, ale stchórzyłeś – zauważył Piotr.

– Tak, powinienem wtedy wyznać całą prawdę.

Piotr wrócił na swoje krzesło i wpatrywał się w twarz starca. Wiedział, że Michał miał rację. Śmierć tego staruszka nic by nie zmieniła. Dałaby mu chwilowe poczucie satysfakcji z wypełnienia życiowej misji, z dopełnienia zemsty. Nikomu nie przywróciłaby życia, nie zadośćuczyniła za żadną z krzywd. Przeszłaby niezauważona. Za tydzień czy dwa nikt prócz rodziny nie będzie pamiętał ani o szanowanym obywatelu Geierze, ani o losie, który go spotkał. Wciąż dźwięczały mu w głowie słowa Michała: „Odpuść mu. Niech Bóg go osądzi”.

– Co byś zrobił za życie swoich córek i wnuków? – spytał po minucie bicia się z myślami Piotr.

– Wszystko.

– Słuchaj uważnie! Wyjdę stąd i za godzinę zadzwonię na pogotowie. Masz trzy dni, aby zadzwonić do tego austriackiego dziennikarza i powiedzieć mu prawdę. Z detalami wszystkich swych zbrodni, a nie tylko tej na mojej rodzinie i mieszkańcach Piotrowego Pola. Masz zrobić rachunek sumienia i opowiedzieć o wszystkich, których skrzywdziłeś i zabiłeś. Masz się postarać, by dziennikarz opublikował wywiad z tobą, gdzie tylko zdoła. Jeśli tego nie zrobisz, to zabiję wszystkich twoich bliskich. Przysięgam na moich zabitych rodziców i siostrę, że nic mnie nie powstrzyma. Rozumiesz?

Schultz pokiwał głową i wyszeptał:

– Przysięgam, że to zrobię, tylko oszczędź moich bliskich.

– Jeżeli dotrzymasz warunków umowy, to zostawię ich w spokoju. Masz moje słowo, a ja zawsze dotrzymuję słowa.

– A co powiedzieć policji? – zapytał starzec.

– Powiedz, że nie wiesz, kto cię napadł i dlaczego, bo był zamaskowany, ale zginęło nieco kasy. Był to napad rabunkowy, rozumiesz?

– Rozumiem – odparł Schultz.

– Masz tylko trzy dni i pamiętaj: drugiej szansy nie dostaniesz – podkreślił Piotr i wyszedł głównymi drzwiami.

Kiedy był już na ulicy, zdjął rękawiczki i rozejrzał się, by upewnić się, że nikt go nie widział, gdy wychodził z domu Schultza. Ruszył do samochodu. Na parkingu przebrał się w czyste rzeczy. Brudne wraz z rękawiczkami i pistoletem schował do plecaka. Kiedy przejeżdżał koło rzeki, zatrzymał się. Plecak z całą jego zawartością obciążył dodatkowo kamieniami i wrzucił do wody.

Skierował się w stronę granicy szwajcarskiej. Po godzinie jazdy zatrzymał się w jednym z mijanych miasteczek. Odnalazł automat telefoniczny. Założył rękawiczki, podniósł słuchawkę i wybrał numer pogotowia. Położył chusteczkę na mikrofon i po chwili podał adres domu Geiera vel Schultza, prosząc o natychmiastowe przybycie pogotowia ratunkowego i policji, po czym wytarł dokładnie aparat i wrócił do samochodu. Postanowił jak najszybciej opuścić terytorium Niemiec. Do granicy pozostała mu jeszcze godzina.

## ROZDZIAŁ LII

Nadkomisarz Bukalski wszedł do budynku prokuratury w Warszawie, ściskając w rękę okazałych rozmiarów torbę. Umówił się tutaj z szefem prokuratury okręgowej nadzorującej śledztwo w sprawie zabójstwa żony Badylarza i jej brata oraz rzekomego rabunku i próby pozbawienia życia generała Kamińskiego przez Adama. Zatrzymał się przed biurkiem sekretarki, która weszła do gabinetu szefa, prokuratora Odyńca. Po chwili poprosiła Bukalskiego do środka. Za biurkiem siedział pięćdziesięcioletni, szczupły mężczyzna o przerzedzonej fryzurze, ubrany w granatowy garnitur i muszkę, która nadawała mu wygląd bardziej antykwariusza niż przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości.

– Witam – powiedział prokurator i wskazał krzesło przed biurkiem. – Co pana nadkomisarza do nas sprowadza?

– Witam pana. Chciałbym porozmawiać na temat mojego podwładnego, Adama Wolfa – wyjaśnił Bukalski.

– Słucham pana – odparł sucho Odyniec.

– Czy już wiadomo, co wydarzyło się po zabiciu żony Badylarza i jej brata?

– Wszystko wskazuje na to, że pana podwładnemu pieniądze pomieszały w głowie – oświadczył prokurator.

– To znaczy?

– Pana podwładny rąbnął gangsterów, zobaczył torbę kasy i Pan Bóg odebrał mu rozum. O mało nie zabił generała Kamińskiego.

Bukalski pokręcił głową sceptycznie.

– Wie pan – stwierdził – też tak uważałem po tym, co usłyszałem od ludzi generała Kamińskiego, choć nie mogłem w to uwierzyć.

– Człowiekowi się wydaje, że kogoś zna, a tu masz babo placek. Niezły pasztet zrobił panu pański człowiek. W torbie było milion dolarów i omamiło go.

– To młody, zdolny i uczciwy gliniarz. Nigdy nie wątpiłem w jego uczciwość. Pochodzi z porządnej rodziny – bronił podwładnego Bukalski.

– Z porządnej rodziny, pan powiada? – ironicznie spytał prokurator – A tatuś z wyrokiem śmierci siedział do pięćdziesiątego szóstego.

– Siedział, ale nie za kryminalną przeszłość, tylko za działalność w organizacji „NIE”.

– To, czy on był w „NIE”, czy w AK, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Za ciche chodzenie po ulicy tej kary śmierci nie dostał – zauważył nieprzyjemnym tonem prokurator.

– Panu może to obojętne, mnie nie – odrzekł Bukalski i postanowił przejść do ataku: – Mój człowiek został postrzelony przez generała Kamińskiego i od śmierci uchronił go granat, który w torbie schowała żona Badylarza. Tylko dzięki swojej inteligencji, wyszkoleniu i przysłowiowemu łutowi szczęścia zawdzięcza to, że żyje.

Prokurator Odyniec poczerwieniał i niemal zasyczał:

– Czyli rozmawiał pan z podejrzanym o usiłowanie zabójstwa generała Kamińskiego oraz rabunek miliona dolarów i nie aresztował go pan?

– Mój człowiek nikogo nie chciał zabić i nikogo nie obrabował – stwierdził chłodno nadkomisarz. Sięgnął do torby i wyjął z niej granat obronny, po czym wysypał na biurko Odyńca całą jej zawartość. Zaskoczony prokurator wstał i z otwartymi ustami podziwiał rozrzucone przed nim dolary, marki i biżuterię. – Proszę o spotkanie z ministrem sprawiedliwości i protokół spisu tych rzeczy – rzucił ostro Bukalski.

Odyniec dopiero po chwili wymamrotał:

– Ale przecież w szpitalu przesłuchałem osobiście generała Kamińskiego, a tutaj dwóch jego ludzi, którzy byli naocznymi świadkami tych wydarzeń...

– Proszę umówić nas z ministrem sprawiedliwości – powtórzył żądanie policjant.

– Dobrze, proszę dać mi parę godzin. Spróbuję jutro nas umówić – powiedział oszołomiony Odyniec, który z wrazenia zdjął muszkę i rozpiął koszulę pod szyją. Na jego czole pojawiły się krople potu.

– Niech pan się nie boi. Jeżeli coś nam się stanie, to prasa dostanie oświadczenie Wolfa i moje – starał się uspokoić go Bukalski.

Odyniec podszedł do okna, otworzył je szeroko i wziął głęboki oddech.

– Zaraz przyjdzie dwójka prokuratorów – stwierdził – którzy dokonają oględzin i spisu tych rzeczy.

Wrócił do biurka, podniósł słuchawkę telefonu i wezwał swoich ludzi, którzy przez dwie godziny dokonali inwentaryzacji zawartości torby, a protokół podpisali razem z Bukalskim.

W międzyczasie prokurator Odyniec próbował połączyć się z gabinetem ministra sprawiedliwości. W końcu udało mu się umówić na rozmowę z ministrem na następny dzień o dziewiątej rano. Bukalski miał się spotkać z prokuratorem w ministerstwie kwadrans wcześniej.

Gdy nadkomisarz wyszedł, Odyniec bez chwili wahania wykręcił numer telefonu.

– Panie generale, musimy się natychmiast spotkać – oznajmił wystraszone głosem.

– Proszę przyjechać do byłego gabinetu generała Kamińskiego – usłyszał odpowiedź. – Pozna pan jego następcę.

Po czterdziestu pięciu minutach prokurator Odyniec referował sprawę generałom Kwaśniakowi i Gadaczowi.

– Minister nie wie, po co pan ma się z nim spotkać? – spytał Kwaśniak, spoglądając porozumiewawczo na Gadacza.

– Nie, nie wie – odparł zgodnie z prawdą Odyniec.

– Rano o ósmej odwoła pan spotkanie, przeprosi ministra i powie, że zaszła pomyłka.

– A co mam zrobić z Bukalskim? – spytał niepewnie prokurator.

– Bukalskiego proszę zostawić nam. Jutro ma pan wezwać tych prokuratorów i nakazać im całkowite milczenie w zamian za awans. Protokół wraz z torbą proszę dostarczyć do tego gabinetu jutro o godzinie dwunastej – poinstruował Kwaśniak.

– Oczywiście – skwapliwie odparł wystraszony Odyniec.

– Myślę, generale Gadacz – oznajmił Kwaśniak – że właśnie poznaliście nowego prokuratora krajowego.

– Niech pan się uśmiechnie. – Gadacz podszedł do Odyńca i poklepał go po ramieniu. – Myślę, że oprócz awansu dostanie pan nagrodę ministra w wysokości rocznej pensji. Prawda, panie generale?

Kwaśniak pokiwał przytakująco głową i wyciągnął rękę, dając do zrozumienia, że pora się pożegnać. Odyniec posłusznie uścisnął dłonie obu generałom i wyszedł z gabinetu.

Kwaśniak rozsiadł się wygodnie w fotelu i spojrzał wymownie na swojego kolegę.

– Przed panem pierwsze ważne zadanie – stwierdził. – Nadkomisarz nie może dotrzeć jutro do ministerstwa.

– Moi ludzie już rozpoczęli śledzenie Bukalskiego. Od wczoraj nie spuszczają go z oczu. Mam pewien pomysł – odparł Gadacz. Wydawał się bardzo pewny siebie.

– To niech pan go realizuje, tylko szybko. Nie mamy czasu na pomyłki. Później musi pan znaleźć tego Wolfa.

– Spokojnie. Mamy już pewne podejrzenia. Na razie jednak sprawą priorytetową jest jego szef.

– Tak, to prawda – powiedział Kwaśniak i wstał, udając się do wyjścia.

Gadacz podszedł do niego szybko i zapytał:

– A co z generałem Kamińskim? W sumie Wolf może się nam wywinąć, kiedy Kamiński wyjdzie ze szpitala...

– Co pan proponuje?

– Zawał, zator... – odparł Gadacz.

– Widzę, że nadal ma pan do niego żal, że wysadził pana ze stołka – stwierdził Kwaśniak.

– Tak, panie generale. Zablokował mi karierę, a ja nie tylko udowodnię panu, że mnie skrzywdził, ale pokażę również, że zdecydowanie lepiej nadaję się na to stanowisko niż on.

– W porządku, ale dopiero po dwudziestej telefonicznie przekażę panu moją decyzję w tej sprawie.

– Tak jest, towarzyszu generale! – Gadacz stanął niemal na baczność. – Przystępuję do działania w sprawie Bukalskiego.

\*\*\*



Bukalski po wyjściu z budynku prokuratury pojechał wprost do komendy stołecznej. Wszedł do swojego gabinetu, wyciągnął dokumenty dotyczące sprawy Badylarza i zaczął przygotowywać się do zreferowania ich jutro ministrowi. Przerwał mu dźwięk telefonu. To był generał Malczewski.

– Wiem, kto stał za napadem na Badylarza – poinformował.

– To świetnie – ucieszył się Bukalski. – Chce pan zeznawać?

– Niech pan nie będzie śmieszny. Mogę przekazać panu to, co wiem, ale pod warunkiem utrzymania w tajemnicy mojego nazwiska. Chcę po prostu dożyć spokojnej starości.

– Rozumiem. Gdzie możemy się spotkać?

– Piętnaście kilometrów od Warszawy, w Nadarzynie znajdzie pan „Zajazd Napoleoński”. Niech pan czeka tam dzisiaj, o dwudziestą, na parking. Będę sam. Tylko żadnych kolegów z pana pracy, żadnych nagrywań czy zdjęć. Zrozumiał pan? Dostanie pan Kamińskiego na talerzu.

Nadkomisarz potwierdził i Malczewski rozłączył się.

Dochodziła osiemnasta. Bukalski założył kamizelkę kuloodporną, wziął dwa pistolety i ruszył do Nadarzyna szukać „Zajazdu Napoleońskiego”. Nie było to trudne. Restauracja mieściła się przy ruchliwej drodze i była chyba najpopularniejszym lokalem w okolicy. Nadkomisarz zauważył, że na jej parkingu panuje duży ruch, a samochody klientów zajazdu stale wjeżdżają i wyjeżdżają. To zapewniało pewną dozę bezpieczeństwa, jednak na wszelki wypadek zaparkował swego fiata tuż przy wyjeździe parkingu, aby w razie nieprzewidzianych okoliczności móc wydostać się szybko na główną drogę.

Tuż przed dwudziestą na parking wjechała mała ciężarówka na austriackich numerach. Z jej kabiny wysiadło trzech mężczyzn, którzy, paląc papierosy, głośno dyskutowali po niemiecku. Wyszli na wjazd na parking i wyraźnie oczekiwali na czyjś przyjazd. Kilka minut później na parking wjechało czarne audi 100. Za kierownicą siedział Malczewski, który zaparkował o dwa samochody dalej. Generał wysiadł z samochodu, rozglądając się uważnie, i skierował się w stronę fiata 125p. Bukalski odblokował drzwi pasażera, oczekując, że generał wsiądzie do samochodu, ale ten nadal lustrował teren i podszedł do auta od strony kierowcy. Bukalski uchylił szybę.

– Niech pan siada – rzucił przez otwarte okno.

– Spokojnie, niech przejadą samochody. Zobaczmy, czy ktoś nie zaparkuje za mną. – Generał stanął obok samochodu i nadal obserwował przejeżdżające auta.

W pewnym momencie jeden z mężczyzn wyglądających na obcokrajowców ruszył do Malczewskiego i nienaganną Niemczyzną zapytał, czy nie mógłby odpalić mu papierosa. Generał zaczął szukać zapalniczki po kieszeniach, ale po chwili pokręcił przecząco głową, odpowiadając, że niestety jej nie ma. Mężczyzna zobaczył Bukalskiego i uprzejmie ponowił prośbę. Nadkomisarz wyjął zapalniczkę i uchylił bardziej szybę, wyciągając prawą rękę, aby podać ogień. Mężczyzna pochylił się z papierosem w ustach i w momencie, gdy w zapalniczce rozblęsnął płomień,

błyskawicznie chwycił Bukalskiego za rękę i pociągnął przez uchyloną szybę. Natychmiast podbiegli pozostali mężczyźni. Nadkomisarz starał się wyszarpnąć dłoń, ale napastnik kurczowo trzymał jego rękę. Drugi metalową rurką uderzył w boczną szybę, która natychmiast rozpadła się na drobne kawałki, a trzeci skierował gaz łzawiący na twarz Bukalskiego. Po chwili jego nos i oczy wypełnił żrący gaz – nadkomisarz stracił przytomność. Malczewski, jak gdyby nic się nie stało, odszedł od samochodu nadkomisarza, wszedł do swego audi i odjechał w stronę Warszawy. Kątem oka zobaczył, jak trzech mężczyzn wkładają na kontener oszołomionego gazem Bukalskiego, któremu uprzednio skuli ręce kajdankami.

\*\*\*

Tego samego dnia, również nieco po dwudziestej pod willą generała Kwaśniaka pojawiła się żona Kamińskiego. W ręku trzymała okazałych rozmiarów torbę. Generał zaprosił ją do środka.

– Mąż kazał to panu przekazać – powiedziała, otwierając swój bagaż.

Kwaśniak popatrzył na zawartość i spytał:

– Milion?

– Milion w dolarach i markach po kursie kantorowym – odpowiedziała kobieta.

– Dziękuję pani. Musi pani teraz zająć się mężem, aby jak najszybciej wrócił do służby – powiedział Kwaśniak i zasunął torbę.

– Nie przeliczy pan, generale? – zapytała zdziwiona kobieta.

– Droga pani, my, ludzie honoru, musimy sobie ufać. Życzę miłego wieczoru – odparł generał i pożegnał żonę Kamińskiego.

Po chwili wykręcił numer generała Gadacza i powiedział:

– Może pan aplikować pacjentowi lekarstwa według własnego uznania...

## ROZDZIAŁ LIII

Adam zmienił miejsce pobytu. Z willi mecenasa Dobrowolskiego został przewieziony pod kocem, na tylnym siedzeniu samochodu przez młodszego syna pana Krzysztofa. Obok kierowcy usiadł komendant, który cały czas lustrował okolicę. Najpierw nakazał synowi mecenasa udać się pod swój dom i tam rozpoczął obserwację. Kiedy przez dziesięć minut badania terenu nie zauważył żadnych oznak śledzenia, dał znak Mateuszowi i obaj pomogli przejść osłabionemu Adamowi do domu komendanta.

W środku Wolfa powitała żona starszego pana.

– Zje pan rosół?

– Droga pani, zjem wszystko, ale skąd pani wiedziała, że lubię rosół? – zapytał Adam.

Niska, drobna kobieta, sprawiająca wrażenie bardzo ciepłej i sympatycznej osoby, uśmiechnęła się życzliwie.

– Myślę, że każdy Polak lubi rosół domowy – odpowiedziała. – Będę panu zmieniać opatrunki.

– Dziękuję pani bardzo i pani mężowi również – odpowiedział Adam ze szczerą wdzięcznością.

Pierwszy dzień pobytu u komendanta dobiegał końca. Adam otrzymał pokój gościnny. Miał tu wygodne łóżko, stolik, a nawet telewizor i radio. Gospodarz przyniósł mu też okazały stos książek. Wszystkie dotyczyły drugiej wojny światowej. Ale Adam myślni był przy Bukalskim. Zastanawiał się, jak zareagował prokurator na torbę Badylarzowej i czy udało się wymóc na nim spotkanie z ministrem sprawiedliwości. Wieczorem zjadł smaczną kolację. Włączył telewizor, ale nie mógł się skupić. Nie wiedział, co dalej, co uda się załatwić jego szefowi, co będzie z mamą, o którą bardzo się martwił. Jak to wszystko przeżywa, co jej powiedziano? Czy jakoś sobie radzi? Tak bardzo chciał z nią porozmawiać, uspokoić, pocieszyć, ale nie wolno mu było. Wreszcie zmęczenie dało o sobie znać, więc wyłączył telewizor i zasnął niespokojnym, ciężkim snem.

Obudziło go szarpanie za zdrową rękę. Gdy otworzył oczy, zobaczył nachylającego się nad sobą komendanta.

– Musimy pana ewakuować. Obszedłem dom i zauważyłem, że jesteśmy obserwowani przez tajniaków. Chyba śledzili nas kilkoma samochodami – poinformował smętnym głosem gospodarz.

– Ma pan jakiś pomysł? – zapytał Adam.

– Mam – odparł komendant. – Zadzwoń do Krzysztofa i podałę mu szyfr

ustalony na wypadek zagrożenia. Już jadą dwa samochody. Jeden zablokuje im drogę, a drugi spróbuje pana ewakuować do mojego przyjaciela.

– Kto to taki? Ktoś pewny?

– To emerytowany leśniczy. Mieszka we własnym domu, w lesie, nikt tam pana nie znajdzie, a kiedy pana szef wszystko załatwi, to wróci pan w glorii chwały.

Po niespełna godzinie pod posesję podjechał samochód mecenasa Dobrowolskiego. Komendant wyszedł i wszedł do auta, witając się z przyjacielem.

– Jak Eugeniusz podjedzie pod dom, wjedziesz w tamtą uliczkę i ją zablokujesz – polecił, wskazując odpowiedni kierunek.

Po chwili na posesję wjechał drugi samochód. Jego kierowca nie wysiadł – czekał na coś, nie gasząc silnika. Komendant dał znak i Adam wszedł do będącego cały czas na chodzie poloneza.

– Gienek, jedź! My zablokujemy ulicę – polecił kierowcy komendant. Sam po chwili wszedł do samochodu mecenasa. – Do dzieła. Blokujemy – nakazał.

Mecenas wyjechał z posesji i skierował auto na sąsiednią ulicę, by po chwili ustawić je w poprzek. Wąska ulica była całkowicie zablokowana.

Kilka chwil później leśniczy już gnał w kierunku swojego domu, zerkając w lusterka i sprawdzając co rusz, czy nikt go nie śledzi. Na szczęście generał Gadacz do obserwacji tego domu wyznaczył tylko jeden samochód, nie przewidział bowiem, że komendant – stary partyzant – będzie w nocy robił regularny obchód wokół swojej posesji, sprawdzając, czy nie jest inwigilowany.

\*\*\*

Tymczasem w klinice MSW Kamiński, pomimo zaaplikowanych środków przeciwbólowych i nasennych, spędzał kolejną, bezseną noc. Rany po odłamkach granatu dokuczały mu niemiłosiernie. Generał, leżąc na boku, wpatrywał się w mrok za oknem i rozmyślał o sytuacji, w której się znalazł. Nie było mu do śmiechu. Wiedział, że Gadacz zrobi wszystko, aby odsunąć go z zajmowanego stanowiska. Brak w szpitalu podwładnych Kamińskiego był sygnałem, że albo zostali pozbawieni stanowisk, albo poszli na współpracę z nowym szefem. Jediną deską ratunku wydawał się Kwaśniak i pieniądze, które miała przekazać mu żona. Milion dolarów powinien zaspokoić apetyt przełożonego i jego rodziny, ale nie wiadomo, co knuje Gadacz i do czego będzie zdolny się posunąć.

Z ponurych rozważań wyrwało go ciche wejście pielęgniarki, która niosła niewielką tacę z igłą i strzykawką.

– Pan generał życzy sobie czegoś? – zapytała uprzejmie siostra, gdy zauważyła, że generał nie śpi.

– Tak, poproszę szklanek wody i środek nasenny, bo nie mogę zasnąć – wymamrotał Kamiński.

– Dobrze, podam tylko panu zastrzyk przeciwwzkrzepowy – odparła pielęgniarka.

Kamiński przyzwyczał się do zastrzyków, więc wydawało mu się to naturalne. Kiedy pielęgniarka napełniała strzykawkę, rzucił na nią kątem oka. Była atrakcyjną,

trzydziestoparoletnią blondynką. W świetle nocnej lampki wydawało się generałowi, że widzi ją pierwszy raz w swoim pokoju.

– Pani pierwszy raz mną się zajmuje? – zapytał.

– Tak, byłam na urlopie i dzisiaj pierwszy dzień w pracy – wyjaśniła kobieta i zapaliła światło.

Kamiński ułożył się do zaaplikowania zastrzyku. Najbardziej poranioną częścią jego ciała były pośladki i dlatego każdy zastrzyk był niezwykle bolesny, pomimo że starano się dawać je w podbrzusze. Siostra pochyliła się nad Kamińskim i zaaplikowała lek. Generał z bliska przyjrzał się kobiecie. Wydawało mu się, że zna tę twarz. Starał się usilnie przypomnieć sobie skąd, gdy wtem doznał olśnienia. Przecież to jest...! Nie zdążył jednak nawet sformułować jasnej myśli. Poczł straszny ból w klatce piersiowej. Ostatkiem sił chwycił pielęgniarkę za rękę i wycharczał:

– Kto cię przysłał?!

Stracił przytomność. Pielęgniarka schowała medykamenty do małej walizeczki i wyszła, gasząc światło. Generał Kamiński właśnie wyzionął ducha.

\*\*\*

Adam tymczasem dotarł z leśniczym do małego domku. Leśniczówka zbudowana była z drewnianych bali, a za nią znajdowały się pomieszczenia gospodarcze i wiata na samochód. Po drodze Wolf prawie nie rozmawiał z leśniczym, który całą uwagę skupił na prowadzeniu samochodu. Po dotarciu na miejsce gospodarz pomógł Adamowi wysiąść z auta i ulokował go w pokoju należącym do jego córki, która, jak objaśnił, mieszkała w Warszawie i przyjeżdżała w odwiedziny tylko w wakacje i na święta.

– Dziękuję za to, co pan dla mnie zrobił – powiedział Adam, gdy gospodarz pomógł mu usiąść w jednym z foteli naprzeciw kominka.

– Nie zrobiłem tego dla pana. To dla komendanta – odparł nieco oschle leśniczy.

– Jak pan ma na imię? – zapytał Adam, z pokorą przyjmując odpowiedź.

– Proszę mówić mi Eugeniusz. Jest pan głodny? Zje pan coś?

– Nie, dziękuję – odrzekł Adam i wyciągając dłoń, przedstawił się: – Jestem Adam.

Leśnik podał mu rękę i oznajmił:

– Nie mamy tu takich wygód, jak w mieście, ale przynajmniej nikt nie będzie pana tutaj szukał.

Adam dopiero teraz spokojnie rozejrzał się po leśniczówce. Zadbane, skromna, przypominała nieco domek myśliwski. Ściany zdobiły poroża jeleni, łeb dzika oraz wypchane zwierzęta i ptaki.

– Niezłe muzeum przyrodnicze – zauważył Adam.

– Niech pan się kładzie spać. Jutro będziemy mieli czas na rozmowy – powiedział leśnik, spoglądając na zegarek.

Dochodziła piąta rano, a on już o siódmej musiał być przy wyrębie lasu.

## ROZDZIAŁ LIV

Komendant z mecenasem Dobrowolskim zostali przesłuchani przez ludzi generała Gadacza, ale zgodnie twierdzili, że nie znają Adama i nigdy nie udzielali mu żadnej pomocy. Nie było żadnych podstaw, by obu starszych panów zatrzymać, więc zostali zwolnieni i poddani obserwacji.

Komendant i pan Krzysztof musieli się zastanowić, co dalej, i postanowili naradzić się w domu mecenasa.

Właśnie omawiali możliwe sposoby pomocy dla Wolfa, gdy do pokoju wszedł starszy z synów mecenasa Dobrowolskiego. Był bladym niczym ściana.

– Co się stało? – zapytał pan Krzysztof, z niepokojem patrząc na syna.

– Mam niedobre wieści – oznajmił Kamil.

– Co się stało? Mów, chłopcze – domagał się wyjaśnień komendant.

– Człowiek, który miał pomóc waszemu podopiecznemu, nie żyje – wyjaśnił młody Dobrowolski. Podszedł do barku, nalał sobie drinka i usiadł na kanapie, naprzeciw ojca i komendanta.

– Jak to nie żyje? – spytał z niedowierzaniem komendant.

– Kiedy byłem w prokuraturze, dowiedziałem się, że został znaleziony powieszony w lesie w Kampinosie.

– Boże, przecież miał się spotkać z ministrem sprawiedliwości – niemal wyszeptał wyraźnie podłamany komendant.

– Niestety! Ludzie, z którymi zadarliście, mają dużą władzę i są bezwzględni – stwierdził dobitnie syn mecenasa.

– Co się stanie z Adamem, gdy się ujawni?

– Jeśli się ujawni, to dostanie zarzut zabójstwa generała Kamińskiego i trzymiesięczny areszt.

– Zabójstwa? Przecież Kamiński był tylko ranny – zauważył pan Krzysztof.

– Tak. Ale to jest ta druga niedobra wiadomość, którą muszę wam przekazać. Generał Kamiński zmarł dzisiaj na zawał.

– No to masz babo płacek – podsumował komendant.

– No i co mamy robić? Pozostawiając tego chłopaka samemu sobie, skazujemy go na pewną śmierć albo długie więzienie – powiedział senior rodu Dobrowolskich.

– Myślę, że jeżeli ktoś zamordował nadkomisarza Bukalskiego i generała Kamińskiego, nie cofnie się przed zabiciem Adama. To tylko policjant, więc może popełnić samobójstwo w areszcie – stwierdził stanowczo Kamil.

Stary Dobrowolski wstał, podszedł do okna i w zamyśleniu wpatrywał się w ogrodowe rabaty, chwilę patrzył na podwórze, by w końcu się odezwać:

– Jest jeden człowiek, który może być naszą ostatnią deską ratunku – stwierdził po dłuższej chwili.

– Kto? – zapytał komendant, w którym odżyła nieco nadzieja.

– W czasie powstania na Starówce walczyli z nami dwaj piloci amerykańscy. Zbiegli z obozu jenieckiego w Niemczech. W czasie ewakuacji naszego batalionu kanałami jednego z nich, rannego, dźwigałem na plecach do Śródmieścia. Ocaliłem temu człowiekowi życie. Po zajęciu Starówki przez Niemców w szpitalu, gdzie wcześniej leżał Amerykanin, wszyscy zostali wymordowani – opowiedział pan Krzysztof.

– Ale co to ma wspólnego z naszą sytuacją? – zapytał jego syn.

Mecenas podszedł do komody, odsunął szufladę i wyjął kilka listów.

– Ten człowiek jest senatorem z ramienia Partii Republikańskiej. Nie mamy obecnie prywatnego kontaktu, ale otrzymuję zawsze przy okazji świąt oficjalne życzenia z jego biura. Jego syn jest jednym z dyrektorów CIA – wyjaśnił.

– Ale tu trzeba by porozmawiać bezpośrednio i najlepiej bez żadnych wścibskich uszu wokół. Jak zamierzasz się z nim skontaktować? – zapytał komendant.

– Pójdę jutro rano do ambasady i poproszę o rozmowę telefoniczną. Zapewnił mnie, że jeżeli będę kiedykolwiek potrzebował pomocy, to chętnie mi jej udzieli. Jest mi coś winien, jak sam stwierdził, i chciałby się odwdziżyć.

– Wiesz, z tego, co wiem, to jest osiem godzin różnicy czasowej. Jeśli u nas jest siedemnasta, to w sam raz, aby zadzwonić tam dzisiaj – zauważył syn mecenasa.

– W takim razie bierz te listy uwierzytelniające i jedziemy do ambasady.

Półtorej godziny później stali przed wejściem do ambasady amerykańskiej i objaśniali strażnikowi cel swojej wizyty. Po chwili pojawił się sekretarz ambasady. Pan Krzysztof wyjaśnił jeszcze raz, o co chodzi, i poprosił o natychmiastową rozmowę telefoniczną z senatorem. Sekretarz zaprosił mężczyznę do swojego gabinetu, a sam udał się do swojego szefa. Po dziesięciu minutach zjawiał się, wraz z tłumaczem, ambasador, który uważnie wysłuchał wyjaśnień dwójga rzeńskich starszków i młodszego mężczyzny.

– Panowie pozwolą, znam osobiście senatora Lukasa i wiem, że jest przyjacielem waszej ojczyzny. Słyszałem też jego opowieść o ocaleniu życia przez powstańca, który niósł go na własnych plecach w kanale. Nigdy nie sądziłem, że będę mógł pana poznać. Wystąpię osobiście o przyznanie medalu Kongresu Stanów Zjednoczonych – powiedział ambasador.

– Dziękuję panu ambasadorowi za przyjęcie i uznanie, ale bardzo proszę o wykonanie telefonu do senatora Lukasa. Muszę porozmawiać z nim osobiście i to korzystając z bezpiecznego łącza ambasady – powiedział uprzejmie, ale stanowczo starszy z Dobrowolskich.

– Ależ naturalnie! Spróbuję znaleźć senatora, ale może to potrwać – wyjaśnił ambasador i stojąc już w drzwiach, rzucił do sekretarza: – Mark, zajmij się naszymi

gośćmi. Zaproponuj moją najlepszą whisky.

Pojawił się ponownie po dwóch godzinach.

– Miałem szczęście, senator jest w Londynie z delegacją do spraw bezpieczeństwa narodowego. Proszę za mną, jest na łączach w moim gabinecie – poinformował oczekujących mężczyzn.

Po chwili tłumaczka nałożyła słuchawki i zaczęła tłumaczyć prowadzoną rozmowę.

– Dzień dobry, senatorze – rozpoczął pan Krzysztof.

– Dzień dobry, przyjacielu – odpowiedział Frank Lukas. – Kogo jak kogo, ale ciebie o tej porze bym się nie spodziewał! Co się stało, Krzysztofie?

– Ja też dzisiaj rano nie przypuszczałem, że będę musiał zadzwonić do ciebie z prośbą o pomoc.

– Czy możesz mi zreferować sprawę przez telefon? – zapytał senator.

– Nie, nie mogę i nie pytaj mnie, dlaczego potrzebuję twojej pomocy i obecności w Warszawie. Po prostu, jeśli mnie szanujesz i jeżeli prawdą jest to, co pisałeś onegdaj w listach, to powinieneś zjawić się tu osobiście i to jak najszybciej. Proszę, byś mi zaufał.

Senator milczał przez parę sekund, jakby zastanawiał się, co powinien zrobić.

– Czy możesz opowiedzieć o twoim problemie naszemu człowiekowi w ambasadzie? – poprosił w końcu. – Mogę przylecieć jutro i zapewniam cię, że do tego czasu wszelkie informacje pozostaną poufne, a nasz człowiek zastanowi się, jak ci pomóc, przyjacielu.

– Dobrze, zrobię to – postanowił Dobrowolski.

Po chwili senator Lukas poprosił do telefonu ambasadora, który już po zakończonej rozmowie przekazał dalsze instrukcje:

– Zaraz przyjdzie nasz człowiek. To John McDowell. Macie panowie szczęście, bo właśnie przed chwilą wrócił z podróży. Senator najprawdopodobniej spotka się z panem jutro po siedemnastej czasu polskiego. Ja panów przeproszę. Obowiązki mnie wzywają.

Wyszedł, a trzech mężczyzn zostali poproszeni do następnego gabinetu. Po piętnastu minutach zjawił się John McDowell, który miał za sobą długą podróż przez ocean. Wracał w glorii chwały, gdyż dokumenty, które przejął od Piotra, były wręcz bezcenne. Wiedza z nich pozyskana pozwalała na kontrolę i śledzenie przepływów finansowych organizacji powołanej przez służby specjalne ZSRR i PRL. John mógł za tydzień rozpocząć wymarzony urlop z Joanną, choć wiedział, że nie odpocznie. W głowie układał już plan pozyskania jej jako agenta. Wszystko zależało od szczerości i prawdziwych intencji dziewczyny. Ich związek mogła uratować tylko jej skrucha, bo inaczej wspólne życie nie miałoby najmniejszego sensu. Zdawał sobie sprawę, ile ryzykuje, ale chciał jej dać przynajmniej szansę.

Gdy John przedstawił się trzem oczekującym na niego mężczyznom, najstarszy z nich, komendant, zapytał ze zdziwieniem:

– My nie chcemy rozmawiać z attaché gospodarczym, tylko z kimś, kto zajmuje



się wywiadem.

– Panowie, pan ambasador nakazał mi wysłuchanie państwa problemów i w miarę możliwości udzielenie pomocy. Wiem, że jutro osobiście przylatuje w panów sprawie senator Lukas, i moim zadaniem jest zreferowanie mu całości zagadnienia. Od waszej szczerości zależy, czy będziemy mogli wam pomóc czy nie – stwierdził stanowczo John, który myślał jedynie o tym, by jak najszybciej zadzwonić do Joanny i powiadomić ją o swoim powrocie. Trzej dziwni protegowani senatora zdecydowanie nie pasowali do jego planu dnia.

– Pana oficjalne stanowisko to tylko przykrywka? – spytał mecenas Dobrowolski.

John nie odpowiedział, uśmiechnął się jedynie i powiedział z lekką nutą niecierpliwości w głosie:

– Myślę, że jestem jedynym człowiekiem, który może wam pomóc. Zdecydujecie się na szczerą rozmowę?

– Dobrze, zaryzykujemy – odparł senior Dobrowolski i kontynuował: – Zwróciłem się o pomoc do senatora Lukasa, bo kiedyś w czasie wojny uratowałem mu życie. Pisał do mnie przez wiele lat, że chciałby się ze mną spotkać i spłacić dług. Tak więc jutro ma okazję, aby to zrobić. Tu nie chodzi o moje życie, tylko o życie młodego policjanta, który został postrzelony przez generała służb specjalnych, byłego esbeka, w czasie akcji przekazania okupu za porwanego bandytę.

– To sprawa kryminalna, a my nie możemy wtrącać się w działania policji i innych służb w tego typu sprawach – wyjaśnił John.

– Może ja panu wytłumaczę prościej – odezwał się siedzący do tej pory spokojnie komendant. – Generał Kamiński chciał zabić komisarza policji w czasie przekazania okupu, aby ukraść milion dolarów. Nie udało mu się to, ale w momencie próby zdemaskowania przestępczej działalności tego generała i jego ludzi bezpośredni przełożony tego komisarza, nadkomisarz Bukalski, próbował spotkać się z ministrem sprawiedliwości. Dziś rano Bukalskiego znaleziono powieszzonego w Puszczy Kampinoskiej. Generał Kamiński również opuścił ziemski padół w nader tajemniczych okolicznościach. Zmarł w klinice MSW na zawał, mimo że na skutek wybuchu został ranny w dupę.

– Dalej nie widzę podstaw do angażowania się naszej ambasady w tę sprawę – odrzekł John i spojrzął na zegarek. Niecierpliwił się coraz bardziej.

– Niech pan posłucha – włączył się milczący dotychczas syn mecenasa Dobrowolskiego. – Policjant, który jest ranny, i jego przełożony, dzisiaj powieszony, prowadzili dochodzenie dotyczące zabójstwa gangstera i jego ludzi oraz porwania innego bandyty. Podejrzany o ten czyn był emerytowany funkcjonariusz służb specjalnych. Śledztwo doprowadziło do następnego odkrycia. Okazało się, że niedługo potem zginęło kolejnych kilku pracowników naszych służb specjalnych. Dziwnym trafem Bukalskiego i jego człowieka odsunięto od śledztwa, tak jakby służby specjalne chroniły swoich obecnych oraz byłych funkcjonariuszy. Główny podejrzany o napad na gangsterów w Piasecznie zginął rzekomo w willi na Mazurach wraz z trzema innymi ludźmi ze służb. Ale ten postrzelony przez generała komisarz, Adam Wolf, odkrył, że ten człowiek wcale nie musiał zginąć. Mógł dokonać dwóch

dobrze zorganizowanych napadów na bandytów oraz ludzi ze specsłużb i upozorować swoją śmierć. Komisarz Wolf nie wiedział tylko, czy nasze służby kryją tego człowieka, czy też go poszukują. Ten człowiek nazywa się Piotr Mróz. To były pułkownik tajnych służb PRL, obecnie na emeryturze...

– Jak nazywał się ten człowiek? – przerwał mu nagle McDowell.

– Piotr Mróz – powtórzył adwokat.

John wstał od stołu, wziął głęboki oddech, oparł się o blat biurka i stwierdził:

– Panowie, musicie mi zaufać, bez pytań i oczekiwania wyjaśnień. To, co teraz powiem, też musi pozostać tajemnicą. Jestem pewien, że jeśli wasze służby specjalne odnajdą tego policjanta, to go zabiją. Nie będzie żadnego procesu. Ten człowiek będzie martwy.

– Czyli jeżeli my tu jesteśmy, to oni o tym wiedzą. Na pewno nas śledzili – odparł z przerażeniem komendant.

– Spokojnie – odparł John – mamy swoje sposoby. Który z panów mógłby doprowadzić do jak najszybszego spotkania z tym człowiekiem?

– Ja – odparł komendant.

– Wsadzimy do waszego samochodu mojego człowieka, którego ucharakteryzujemy na pana – John wskazał palcem na komendanta. – Niech pan idzie po samochód i wjedzie na teren ambasady. Mój człowiek będzie musiał przenocować u panów, aby ogon myślał, że wróciliście wszyscy trzej do domu, OK?

Dobrowolscy i komendant zgodnie pokiwali głowami na znak, że rozumieją.

Po godzinie rodzina Dobrowolskich wracała do domu. Z tyłu miejsce zajął agent ucharakteryzowany na komendanta. John w myślach dziękował Billy'emu, odpowiedzialnemu za kamuflaż jego agentów. Ogon dał się nabrać. Po kwadransie z ambasady wyjechała limuzyna ambasadora, który wraz z małżonką udawał się do kina. Komendant i John leżeli na podłodze, za przednimi siedzeniami samochodu. Gdy kierowca zawrócił spod kina, sprawdził, czy nie jest śledzony, i wysadził pasażerów w centrum, obok postoju taksówek.

– Proszę pod Stadion Dziesięciolecia – poprosił John, wsiadając z komendantem do taksówki.

Tam już czekał na nich Tom, który wyjechał przed ambasadorem i upewniwszy się, że limuzyna nie jest śledzona, ruszył pod stadion, gdzie umówił się z Johnem. Wkrótce cała trójka zmierzała do leśniczówki. Po dwóch godzinach jazdy dotarli na miejsce. Było już późno i w oknach leśniczówki paliło się światło. Gdy komendant wysiadł z samochodu, do ogrodzenia podbiegły dwa myśliwskie wyżły i zaczęły ujadać. Wkrótce w środku zgasły wszystkie światła, a gospodarz wyszedł na próg uzbrojony w sztucer.

– To ja, Gieniu! – krzyknął komendant.

– Już zamykam psy – odparł leśniczy.

Po chwili amerykański agent siedział w fotelu naprzeciwko komisarza Wolfa i z zapartym tchem słuchał jego relacji. Po godzinie wyjaśnień przedstawianych przez Adama John zadał mu pytanie:

– Czy pana zdaniem wasze służby specjalne, zacierając ślady, pomagają Mrozowi czy raczej starają się go dopaść?

– Według mnie chcą go dorwać, tylko nie wiem, dlaczego go szukają. Myślę, że może to mieć związek z tym domkiem na Mazurach. Pewien prokurator, znajomy mojego szefa... – Adam na chwilę przerwał, nadal było mu trudno pogodzić się ze śmiercią przyjaciela – ...świętej pamięci nadkomisarza Bukalskiego, dokonując oględzin na miejscu, stwierdził, że generał Kamiński szukał czegoś w piwnicy, ale nic tam nie znalazł.

– Musimy jak najszybciej wywieźć pana z kraju. Jeżeli pan tu zostanie i zgłosi się na policję, to może pan zbyt długo nie pożyć. Powiesi się pan w areszcie albo dostanie nożem na spacerunku w więzieniu – wyjaśnił spokojnie John.

– Może pan mi pomóc? – spytał Adam, przyglądając się uważnie Amerykaninowi.

– Myślę, że przekonam moich szefów, aby pana wywieźć z Polski.

Ustalono, że McDowell spróbuje przekonać swoich przełożonych, korzystając z pomocy senatora Lucasa i jego syna, który w CIA był jednym z dyrektorów odpowiedzialnych za walkę z terroryzmem. John poznał go kiedyś i uważał za inteligentnego gościa. Nie zlekceważył sytuacji, tego agent był pewien. Adam na razie miał pozostać w leśniczówce i oczekiwać na rozwój wypadków.

John opuszczał leśniczówkę w środku nocy, odprowadzany przez komendanta, który postanowił pozostać na miejscu. Stali już przy samochodzie, gdy McDowell zapytał z zaciekawieniem, pełen podziwu dla akcji starszych panów:

– Co pan robił w przeszłości?

– Wiele niebezpiecznych rzeczy, ale to opowieść na kilka dni – odparł sędziwy staruszek i podał mu rękę na pożegnanie.

## ROZDZIAŁ LV

Piotr po przekroczeniu granicy ze Szwajcarią znalazł przydrożny motel i zaparkował przy nim. Wszedł do środka i odnalazł bar. Zamówił szklanekę wody, wypił duszkiem i poprosił barmana, by rozmienił mu jeden banknot na drobne monety, których można było użyć w automacie telefonicznym. Wszedł na zewnątrz. Obok hoteliku zauważył budkę telefoniczną. Stanął przy aparacie i z kieszeni wyjął kartkę z numerem telefonu komórkowego agenta ochraniającego jego córkę. Serce waliło mu niczym młot. Wybrał odpowiednie cyfry. Po chwili w słuchawce usłyszał głos mężczyzny.

– Witam pana – powiedział Piotr słabą angielszczyzną. – Jestem ojcem Zuzanny. Czy mógłbym porozmawiać z córką?

– Tak, jest obok mnie, tylko proszę o krótką rozmowę.

– Halo, tak? – to była Zuzanna. Piotr aż się uśmiechnął na dźwięk jej kochanego głosu.

– Witaj córeczko, co z Marysią? – zapytał.

– Tato, mała żyje, a jej serce z każdą godziną pracuje lepiej – wyszeptała Zuzanna i zapytała: – Co z tobą? Dlaczego nie odzywałeś się do nas?

– Nie mogłem ze względu na wasze bezpieczeństwo.

– Wszystko jest w porządku? Kiedy się spotkamy? – dopytywała córka.

– Wkrótce, ale dla waszego dobra musi to nastąpić za jakiś czas – odparł Piotr. – Czy jesteście należycie chronieni? Niczego wam nie brakuje?

– Nie, wszystko jest w porządku. Nawet nie wiesz, jakim troskliwym i opiekuńczym człowiekiem jest ksiądz Michał. Nie odstępuje nas na krok. Jak tylko zdrowie małej się poprawi, mamy być stąd zabrani.

– Na razie niech was nie opuszczają agenci – poprosił Piotr i dodał z bólem serca: – Trzymaj się, córeczko! Jak tylko będę mógł się odezwać, to zadzwonię.

Po zakończeniu rozmowy Piotr wszedł do samochodu i ruszył. Nie mógł zatrzymać się na dłużej. Wiedział, że telefon może być podsłuchiwany lub namierzany. Najważniejsze, że jego wnuczka żyje i czuje się coraz lepiej. Cały trud związany z operacją nie poszedł na marne i teraz procentował. Piotr dziękował w duchu Michałowi. Wiedział, że tylko dzięki jego zaangażowaniu i pomocy jego mała wnuczka żyje. Ale Piotr zawdzięczał mu jeszcze jedną ważną rzecz. Oto dzisiaj nie zabił człowieka, którego w myślach zabijał tysiąckrotnie. Człowieka, którego ścigał przez pięćdziesiąt lat i marzył o wymierzeniu mu sprawiedliwości. Dzisiaj z chęcią zemsty zwyciężyły słowa Michała i jego wiara w inną, przekraczającą ludzkie poczynania i małości, sprawiedliwość.

Piotr skierował się w stronę Lozanny. Po przejechaniu stu kilometrów zatrzymał się w małym hotelu. Wynajął pokój na dobę i postanowił zregenerować siły. Do spotkania w Paryżu pozostały jeszcze dwa dni...

## ROZDZIAŁ LVI

John wstał o dziesiątej rano. Wciąż nie mógł się przystosować do różnicy czasu między Polską a Stanami. Wziął prysznic, ubrał się i szedł do stołówki. Zastanawiał się nad raportem dla senatora Lukasa i organizacją pomocy dla młodego policjanta, który znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Musiał znaleźć ważny powód, który skłoniłby jego przełożonych i samego senatora do wyciągnięcia pomocnej dłoni do Adama. Zjadł śniadanie w stołówce ambasady i zaczął pić poranną kawę, gdy do jego stolika przysiadł się Fred Moran – pracownik odpowiedzialny za wydawanie wiz do USA.

– Cześć, byłeś w domu? – spytał Fred.

– Tak, lecz większość czasu spędziłem w centrali – odparł John.

Moran wiedział, czym zajmuje się McDowell, dlatego nie wypytywał go o szczegóły.

– Ale za tydzień wyjeżdżam z narzeczoną do Stanów na miesięczny urlop – poinformował kolegę John.

– Szczęśliwy człowiek. Ja nie mogę się doczekać, kiedy wyskoczę do domu. Obiecałem dzieciom, że w zimie wyjedziemy na narty do Aspen.

– Ja szczęśliwy? Przecież to pierwszy urlop od pięciu lat – zachnął się John. – Mam przedstawić Joannę mojej rodzinie.

– To jednak szczęśliwy! Każdy chciałby mieć taką kobietę. Jesteś szczęściarzem – podsumował Fred, który miał okazję poznać narzeczoną Johna.

– Szczęściarzem... – powtórzył John i zamyślił się. Tak, czuł się szczęśliwy jeszcze niedawno, przed odkryciem prawdziwej twarzy Joanny. Teraz już nic nie było tak proste i oczywiste.

Z zadumy wyrwał go głos lekko podekscytowanego Freda, który na szczęście zmienił temat.

– Dwa lata temu, kiedy byłem na urlopie, udało mi się zobaczyć na żywo pojedynek Mike’a Tysona.

– I jakie wrażenia? – zapytał John, popijając kawę.

– Niezapomniane. Patrząc na „Bestię” z bliska, jak pierwszy rzuca się na rywala i zasypuje go gradem ciosów – podniecał się Fred.

– Słyszałem, że ty też trochę boksowałeś? – spytał John.

– Tak, w college’u, ale to tak dla zabawy – odparł z uśmiechem Fred. – Tyson to prawdziwy fighter, ale wiesz, żeby zejść daleko, tak w sporcie, jak i w życiu, trzeba umieć zadać pierwszy cios. Takie uderzenie wyprzedzające. Ty, przyjacielu, chyba

wiesz z własnej praktyki, że lepiej być pierwszym niż ostatnim – zaśmiał się Moran z nutą ironii.

John pokiwał przytakująco głową i odparł:

– Masz rację Fred. Lepiej pierwszemu przyłożyć niż być bitym...

I właśnie w tym momencie doznał olśnienia. Jeśli John sam rozpracowałby i ujawnił działającego u swego boku agenta obcego wywiadu, to odsunąłby od siebie wszelkie podejrzenia. Musiał jedynie znaleźć kogoś, kto chciałby odegrać rolę informatora demaskującego tego niebezpiecznego kreta. Tylko kogo znaleźć do odegrania tej roli, zastanawiał się John. Mroza poprosił o milczenie w tej sprawie. Nie wiedział, kiedy się z nim spotka, natomiast dobrze by było, gdyby notatka i informator pojawiły się przed wyjazdem do Stanów. Nagle Johnowi zaświtał w głowie pewien pomysł. Musiał jak najszybciej spotkać się z Adamem i zasiać w Joannie choćby cień podejrzenia, iż jej narzeczony domyśla się, kim ona jest.

– Na razie, Fred, muszę wyskoczyć na miasto – pożegnał kolegę i ruszył do wyjścia.

Po godzinie stał w MSZ z naręczem czerwonych róż. Kiedy wszedł do gabinetu Joanny, ta przepisywała jakieś stenogramy na maszynie. Na widok Johna gwałtownie wstała, podeszła do niego i rzuciła mu się w ramiona. Dwie pozostałe pracownice uśmiechnęły się znacząco, przyglądając się parze.

– Nareszcie, dlaczego się nie odzywałeś? – zapytała z nutką pretensji w głosie Joanna.

– Procedury! Byłem w Londynie i zostałem do jutra, ale jakiś senator postanowił spotkać się z dawno niewidzianym przyjacielem. Muszę przygotować to spotkanie, łącznie z kolacją, dzisiaj o dziewiętnastej. Ale od jutra jestem do twojej dyspozycji. Za tydzień porywam cię do Ameryki i już nie wypuszczę – zaśmiał się John i pocałował namiętnie dziewczynę.

Jedna z koleżanek Joanny zażartowała, że mogą zostawić ich samych, tylko nie wiadomo, co na to powie ich szef. Pokój wypełnił głośny śmiech.

– Jeżeli spotkanie skończy się o przyzwoitej porze, to wpadnę do ciebie dzisiaj późnym wieczorem – poinformował John.

– Przyjdź, choćby waliło się i paliło – odpowiedziała dziewczyna, nachylając się do ucha Johna. – Przyjdź, a nie będziesz żałował... – wyszeptała.

John uśmiechnął się, podał dziewczynie kwiaty, pocałował ją i rzucił na odchodne:

– Do zobaczenia!

Po chwili gnał swym fordem Scorpio przez Warszawę w stronę Pragi. Wkrótce w lusterku wstecznym zauważył samochód, który zdawał się go śledzić. Kiedy John był tuż za mostem na Wiśle, gwałtownie zawrócił i skierował się z powrotem w kierunku lewobrzeżnej Warszawy. Spojrzał w lusterko i spostrzegł, że czwarty z jadących za nim samochodów również gwałtownie skręca w lewo przez podwójną ciągłą linię.

A więc to ty, przyjacielu, a raczej wy w zielonym volvo – rzekł do siebie John,

odbijając gwałtownie w prawo i wciskając pedał gazu.

Wąskie uliczki Saskiej Kępy nie pozwalały rozwinąć dużej prędkości, ale liczne zakręty między blokami dawały szansę zniknięcia z pola widzenia śledzących. John znów dodał gazu i kiedy był pewien, że jadący za nim stracili go z oczu, gwałtownie skręcił w prawo. Za blokiem, w wewnętrznej uliczce, zobaczył miejsce na parkingu. Wjechał na nie, zgasił silnik i położył się na siedzeniu, tak aby nie być widocznym. Po upływie kilku minut podniósł głowę i zlustrował teren. Nie widział nigdzie zielonego volvo. Uruchomił silnik, powrócił na główną drogę i znowu skierował się na most.

Po pół godzinie był już na Pradze i obrał kierunek w stronę leśniczówki. Po drodze dwukrotnie stawał na leśnych parkingach, aby upewnić się, że nie jest śledzony. Kiedy dotarł na miejsce, była czternasta. Wiedział, że o osiemnastej musi spotkać się z senatorem Lukaszem, aby zreferować mu sprawę Adama. Na rozmowę z Wolfem zostało mu więc niewiele czasu, a od jej wyniku zależała przyszłość młodego policjanta, a być może i jego dalszej kariery. Kiedy zjawił się pod leśniczówką, drzwi otworzył mu starszy człowiek, którego tytułowano komendantem.

– Tak szybko udało się panu załatwić pomoc? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Niestety nie, ale o osiemnastej mam ważne spotkanie w tej sprawie i w związku z tym muszę porozmawiać z waszym podopiecznym – oznajmił John.

– Proszę! – Komendant zaprowadził gościa do pokoju córki leśniczego, gdzie leżał Adam. Na widok Johna poderwał się z łóżka.

– Jak zdrowie? – zapytał John, witając się z nim.

– Z raną coraz lepiej, ale psychicznie jestem wykończony. Udało się panu coś załatwić?

– Tak, ale musimy szczerze porozmawiać w cztery oczy – odpowiedział John, zerkając znacząco na komendanta.

Ten zrozumiał aluzję i wyszedł z pokoju, zamykając drzwi. John usiadł na fotelu, stojącym obok biurka, które niegdyś służyło córce leśniczego do odrabiania lekcji. Adam przysiadł na skraju łóżka, oczekując na to, co gość miał mu do powiedzenia.

– Panie Adamie, jako goście w waszym kraju nie możemy wikłać się w wewnętrzne rozgrywki między służbami specjalnymi a policją – stwierdził John.

Przez chwilę w pokoju zapanowała cisza. Słychać było jedynie ciężki oddech Adama.

– Czyli nie pomożecie mi? – spytał w końcu Wolf.

John założył nogę na nogę i spojrzał uważnie na policjanta.

– Z prawnego punktu widzenia i interesów naszej ambasady nie mam prawa panu pomagać – stwierdził – ale...

– Ale?

– Ale z punktu widzenia i interesów senatora Lukasa i CIA mam obowiązek zrobić wszystko, aby pana wydostać z tego gówna, w które pan przypadkiem wdepnął. Mam jednak warunek. To, co pan usłyszysz, musi na zawsze pozostać między nami.



– Co mam zrobić?

– To, co panu powiem, musi pan powtórzyć ludziom z CIA. Musi pan, jeżeli chce pan dalej żyć. Rozumie pan?

– Tak, jestem podatny na wiedzę – odparł Adam.

– To dobrze. Tylko proszę pamiętać, że dla ludzi z CIA nie mogę być pana informatorem. To nie ja mam być źródłem – powiedział z naciskiem John.

– Ale kto by mógł przekazać mi takie informacje? – spytał Adam.

– Pana tragicznie zmarły szef – zaproponował McDowell. Adam bacznie obserwował Johna, czekając na dalsze wskazówki. – Powiem wprost. Senator Lukas i jego syn, który jest jednym z dyrektorów w CIA, nakazali mi zrobić wszystko, aby pana uratować. Ale musi pan nauczyć się swojej roli, aby nikt nie zarzucił im, że dzięki swym wpływom załatwiają swoje prywatne interesy. Udzielę panu tylko jednej lekcji i albo pan to opanuje, albo podzieli los swego przełożonego. Zrozumiał pan? – zapytał John.

– Zrozumiałem. Mam opowiedzieć historię, dzięki której będę potrzebny waszym służbom – odparł Adam.

– Brawo! Ale o tej lekcji wiemy tylko my i nikt nie może się dowiedzieć, że ja jej panu udzielałem.

– Zamieniam się w słuch.

– W czasie naszej wcześniejszej rozmowy wspomniał pan, że pana szef dopytywał się o Mroza, pokazywał też jego zdjęcie pewnemu emerytowanemu generałowi SB.

– Byłem pod blokiem, gdzie mieszka jego córka. Ten gość pilnował wnuczka – odparł Adam.

– Adres?

– Mokotów, Powstańców Warszawy czterdzieści jeden. Numeru mieszkania nie znam, ale wiem, która to była klatka.

John westchnął głęboko. Doskonale wiedział, kto mieszka pod tym adresem. Wszystko układało się w pewną spójną i, co ważne, korzystną całość.

– Niech pan słucha – McDowell mówił powoli, jakby rozważnie chciał dobrać każde słowo. – Pana szef dowiedział się od tego tajemniczego generała, że Kamiński i jego ludzie zajmują się handlem bronią z byłego ZSRR i że to oni najprawdopodobniej napadli na tego bandytę. Potrzebowali pieniędzy na zakup broni, którą mieli sprzedać do Libii, Syrii lub Sudanu. Chodziło o radzieckie rakiety przeciwlotnicze i przeciwpancerne. Pana szef zginął dlatego, że pojechał z panem do tej tajemniczej willi na Mazurach i dowiedzieliście się, że było tam tajne archiwum służb specjalnych PRL. Rozumie pan?

– Myśli pan myśli, że faktycznie tam było archiwum? – spytał, marszcząc brwi, Adam.

John uśmiechnął się znacząco i kontynuował:

– Było archiwum. I właśnie wiedza o tym plus pieniądze z okupu za tego gangstera były przyczyną morderstwa pana szefa i próby zamordowania również pana. Czy to jasne? – Adam pokiwał głową na znak, że rozumie. – No widzi pan.

Teraz wie pan bardzo dużo i należy pana chronić – stwierdził John. – I jeszcze jedno. Aby uwiarygodnić swoją wiedzę, musi pan powiedzieć, że w czasie pobytu w gabinecie u Kamińskiego, przybył do niego jakiś ważniak, mówiący po polsku z rosyjskim akcentem, i generał wyszedł z nim do sąsiedniego pokoju. – John wyjął zdjęcie majora Zinowiewa i podał je Adamowi. – Załóżmy, że chodzi mi o tego mężczyznę. Ma pan powiedzieć, że po rozmowie z nim Kamiński wyglądał jak zbity pies i widać było, że bał się tego człowieka. Jego akcent wzbudził w panu podejrzenia, że jest to Rosjanin. A zachowanie Kamińskiego wskazywało, że to ktoś ważny. Zdecydowanie ważniejszy od niego. To powinno pana uwiarygodnić w oczach moich kolegów oraz pomóc pana ochronić i wywieźć z Polski.

Adam przyjrzał się uważnie zdjęciu i oddał je.

– Dlaczego pan mi pomaga? – zapytał Johna wprost.

– Być może to panu kiedyś opowiem, ale na razie nie mogę – wyjaśnił John.

Adam pokiwał jedynie głową ze zrozumieniem. Wiedział, że nie powinien naciskać.

– A co potem, po wyjeździe? – spytał.

– Spróbuję pana wiedzę wykorzystać. Zresztą niech pan porozmawia z mecenasem Dobrowolskim. Wydaje mi się, że senator Lukas ma wobec niego spory dług. Tylko raz jeszcze proszę o zachowanie tajemnicy. Nigdy nie udzielałem panu żadnych informacji.

– Oczywiście. Ile wzrostu ma ten gość ze zdjęcia? – zapytał Adam.

– Około metra osiemdziesiąt, może odrobinę więcej – odpowiedział John.

– W porządku. Dziękuję panu – odparł Adam.

– Niech pan podziękuje senatorowi i mecenasowi, inaczej byłoby z panem marnie – rzucił John, wstając i kierując się ku drzwiom.

– Kiedy się znowu spotkamy?

– Gdy wszystko pozałatwiam. Myślę, że za dwa dni – odpowiedział John i pożegnał się z mieszkańcami i gośćmi leśniczówki.

Ruszył do Warszawy. Musiał pilnie odwiedzić pewnego generała z Mokotowa. Po dwóch godzinach jazdy parkował pod blokiem córki generała i w myślach modlił się, aby go zastać. Kiedy wjechał na czwarte piętro i zapukał do drzwi, usłyszał głosy dzieci. Za chwilę drzwi się otworzyły i John ujrzał posmutniałą twarz generała.

– Dzień dobry, musimy pilnie porozmawiać – poprosił John.

Generał spojrzał na niego i łamiącym się głosem powiedział:

– Pan wybaczy, ale nie mogę teraz. Mamy w rodzinie tragedię. Syn mojej siostry... – wyjąkał.

– Tak, wiem, pana siostrzeniec, nadkomisarz Bukalski, został zamordowany – powiedział John.

– A skąd pan wie, że... że został zamordowany? Nie znamy wyników sekcji – powiedział generał, przyglądając się Johnowi uważnie.

– Obawiam się, że nigdy prawdziwych wyników pan nie pozna. Poświęci mi pan pięć minut?

– Pan coś wie? – naciskał generał.

– Wiem, ale musimy porozmawiać.

Generał wpuścił go do środka i poprosił, aby wnuczki zamknęły się w swoim pokoju.

– Pana siostrzeniec zginął, bo dowiedział się o pewnym tajnym archiwum służb specjalnych oraz o handlu bronią przez funkcjonariuszy tych służb na skalę międzynarodową – wyjaśnił John, gdy już zostali sami.

– Skąd pan to wie? – zapytał generał.

– Od pewnego informatora. Czy mogę liczyć na pańską pomoc?

– Nie! – szybko rzucił generał. – Chcę pożyć, chcę nacieszyć się wnuczkami. Proszę więcej nie przychodzić i nie wzywać mnie na spotkanie. Chcę dożyć starości.

John przyjrzał się pochylonej sylwetce i smutnej twarzy. Tak wyglądał człowiek złamany. McDowell nie naciskał, podał generałowi rękę i wyszedł.

Zbiegając po schodach, w myślach układał już notatkę dla przełożonych, w której wskaże, że głównym powodem zerwania współpracy był lęk pana X o życie swoje i swoich bliskich w związku z zabójstwem siostrzeńca. Generał obawiał się również działań ze strony pracującego dla Rosjan w ambasadzie USA agenta, o którego istnieniu dowiedział się od wysoko postawionego funkcjonariusza polskich służb specjalnych. Szpiegiem tym miała być oczywiście Joanna. Jeśli ktoś ujawni prawdę o jego narzeczonej, zanim on sam ją zwerbuje, miał przynajmniej zabezpieczone tyły.

## ROZDZIAŁ LVII

Spotkanie po czterdziestu siedmiu latach było dla mecenasa Dobrowolskiego i senatora Lukasa niezwykłym przeżyciem. Obaj ze łzami w oczach uściskali się serdecznie. Mecenasowi towarzyszyła małżonka i synowie, dla których przypominany wielokrotnie w trakcie spotkań rodzinnych epizod z czasów powstania warszawskiego był jednym z wielu bohaterskich czynów seniora z okresu drugiej wojny światowej. Ambasador, który pełnił rolę gospodarza, w krótkim wystąpieniu przypomniał wojenne losy obu bohaterów uroczystości i poinformował, że ambasada USA w Warszawie wystąpiła z wnioskiem o przyznanie mecenasowi Dobrowolskiemu Medalu Kongresu za bohaterski czyn uratowania życia rannemu lotnikowi amerykańskiemu. Z racji piastowanej przez senatora funkcji większość przemówienia dotyczyła jednak oczywiście jego osoby. Wzruszony pan Krzysztof podziękował ambasadorowi za nominację do odznaczenia i przypomniał, że senator Lukas walczył jako żołnierz z dala od swojej ojczyzny i również zasługuje na polskie odznaczenie za udział w powstaniu warszawskim. Na koniec przemówił senator Lukas, który w krótkich słowach podziękował mecenasowi Dobrowolskiemu za uratowanie życia i za możliwość spotkania po tylu latach. Jego czyn z czasów wojny nazwał dowodem heroizmu i bohaterstwa, jakie cechowało naród polski w czasie drugiej wojny światowej.

Po oficjalnym spotkaniu, które zakończyło się kolacją wydaną na cześć mecenasa i senatora, nastąpiła część nieoficjalna, której nie mógł doczekać się bohater wieczoru. W gabinecie ambasadora, przy doskonałej whisky zasiedli: mecenas Dobrowolski, senator Lukas i John, który do tej pory nie zabierał głosu. Ponieważ samolot z Londynu się opóźnił, John nie miał możliwości zamienienia z Lukaszem wcześniej choćby paru słów, ale z doświadczenia wiedział, że senator będzie chciał się z nim skonsultować w czasie rozmowy w cztery oczy oraz skorzystać z wiedzy swego syna, który z racji piastowanego stanowiska mógł w agencji bardzo wiele.

John przedstawił sytuację w sposób możliwie najkorzystniejszy dla Adama, przykładając wiele uwagi do faktu powiązania śmierci nadkomisarza Bukalskiego i generała Kamińskiego z udziałem w handlu bronią funkcjonariuszy polskich służb specjalnych z krajami obłożonymi embargiem. Na koniec swojego wystąpienia McDowell porównał położenie Wolfa do sytuacji, w której znajdował się senator w czasie powstania warszawskiego.

– Jeżeli mu nie pomożemy, to nie ma on szans w starciu z tymi ludźmi – stwierdził dobitnie John.

– Uważa pan, że najlepsza kancelaria adwokacka nie miałaby szans na obronę

tego człowieka? – spytał, kręcąc głową z niedowierzaniem, senator.

– Przykro mi, panie senatorze, ale Polska to na razie dziki kraj, a ludzie, którym wszedł w drogę przyjaciel mecenasa – mówiąc to, McDowell z szacunkiem pochylił głowę w stronę Dobrowolskiego – nie dopuszczą do nagłośnienia tej sprawy. Raczej zrobią wszystko, aby prawda nie wyszła na jaw i nie będą przebierać w środkach. Dowodem tego jest śmierć nadkomisarza Bukalskiego i generała Kamińskiego, którzy z racji piastowanych stanowisk nie byli pionkami, a mimo to nie zawahano się ich zamordować.

– Czy można, przyjacielu – senator zwrócił się do mecenasa – prosić cię, abys chwilę na nas poczekał?

Senator dał znak Johnowi gestem, aby wyszedł z nim do sąsiedniego pomieszczenia. Gdy byli już sami, zapytał McDowella:

– Czy według pana wiedza tego człowieka może nam się przydać?

– Panie senatorze, a czy pan chce pomóc temu człowiekowi? – odpowiedział pytaniem na pytanie John.

– Jestem to winien mojemu polskiemu przyjacielowi – odpowiedział senator, przechadzając się po pomieszczeniu – ale nie mogę ze względu na moją pozycję i pozycję mojego syna narażać się na zarzut załatwiania prywatnych spraw i wykorzystywanie do tego mojego stanowiska.

– Czyli, jeśli dobrze rozumiem, chce pan udzielić mu pomocy, ale w granicach zminimalizowanego ryzyka z naszej strony.

– Bardziej trafnie nie mógł pan tego ująć. Myślę, że na emeryturze powinien pan zająć się polityką – odrzekł senator, uśmiechając się i siadając w fotelu za biurkiem. – Co pan proponuje?

– Jeżeli pan senator pozwoli, to przekażę temu człowiekowi fałszywe dokumenty na nazwisko obywatela Wielkiej Brytanii. Słyszałem, że mecenas ma bliskiego znajomego w Londynie. My wywieziemy go z Polski, ale dalej będzie musiał radzić sobie sam. Powiem mu, że jeżeli zostanie zdemaskowany, nie może pod żadnym pozorem zdradzić, skąd ma te dokumenty – objaśnił McDowell.

– Myślę, że to rozsądne rozwiązanie – stwierdził senator. Przez chwilę stukał opuszkami palców w blat biurka, jakby się nad czymś zastanawiał. Dopiero po paru sekundach dodał: – Mam prośbę ze względu na to, co zawdzięczam mojemu polskiemu przyjacielowi. Czy pan z racji piastowanego stanowiska mógłby spróbować rozwiązać tę sytuację, aby w przyszłości ten człowiek mógł wrócić do swego kraju?

John podszedł do biurka i spojrzał z troską na senatora.

– Niestety, mogę przyglądać się tej sprawie, ale znając nieco realia tego kraju, wiem, że wiele musi się zmienić, aby taki powrót był możliwy – powiedział.

– Będę miał jednak jedną prośbę – powiedział senator.

John usiadł naprzeciw biurka. Delektował się tą chwilą, bo dobrze wiedział, że od tej rozmowy może zależeć jego kariera. Lukas zdjął okulary, przetaił je chusteczką wyciągniętą z kieszeni i ważąc słowa, wyjaśnił, o co mu chodzi:

– Proszę pomóc wywieźć tego człowieka z Polski i obiecać mecenasowi Dobrowolskiemu, że spróbuje pan pomóc mu w powrocie do kraju. Oczywiście w bliżej nieokreślonym terminie. Proszę jednocześnie o całkowitą dyskrecję. Odwdzięczę się panu. Zapewne doskonale pan wie, kim jest mój syn.

– Wiem, panie senatorze, i nie ukrywam, że chętnie odpocząłbym w centrali na jakimś dyrektorskim fotelu. Tym bardziej że osiągnąłem ostatnio duży sukces – odparł nieskromnie John.

– To świetnie! – na twarzy senatora odmalowała się wyraźna ulga. – Niech pan wleje w serce mojego przyjaciela trochę nadziei. Wiem, że dużo zawdzięcza rodzinie tego policjanta.

Gdy wrócili do pokoju gościnnego ambasadora, John poinformował zebranych, że zaplanowali wywiezienie Adama do Londynu. Tam miał przeczekać u przyjaciela mecenasa, do czasu aż CIA rozwiąże sprawę.

– Zatrudnimy najlepszą kancelarię adwokacką, która spróbuje wywalczyć list żelazny dla Adama – zapewniał John.

Mecenas bez słowa wysłuchał Johna. Był zbyt doświadczonym człowiekiem, by uwierzyć McDowellowi. Wiedział, że Amerykanie wybrali najbardziej dogodne dla siebie rozwiązanie, pozbywając się problemu.

Uzgodnili, że Adam wraz z Tomem Brigsem pojutrze wyjadą z Polski samochodem dyplomatycznym z dokumentami pracownika ambasady. Po przekroczeniu granicy dostanie papiery na nazwisko obywatela Wielkiej Brytanii. Mecenas nazajutrz miał polecieć samolotem do Londynu, aby poprosić przyjaciela o możliwość przechowania na jakiś czas Adama. Wiedział, że jest to rozwiązanie tymczasowe, lecz nie przypuszczał, że życie wkrótce samo przyniesie rozwiązanie i że to Amerykanie będą potrzebowali pomocy Adama.

## ROZDZIAŁ LVIII

Zbliżała się północ, gdy John zadzwonił do drzwi Joanny. Po chwili zapaliło się światło w przedpokoju i zgrzytnął zamek. Na progu stanęła narzeczona McDowella ubrana w jedwabną nocną koszulkę. Wyciągnęła rękę, zapraszając go do środka. John chwycił rękę dziewczyny, przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował. Potem wziął ją na ręce i wniósł do mieszkania. Po chwili byli już w łóżku. Stęsknieni, spragnieni siebie, chcieli się jak najszybciej sobą nacieszyć. John odsuwał gdzieś na dalszy plan myśli o nieuchronnie zbliżającej się rozmowie. W tym momencie była tylko jego Joanna, ciepłą i kochającą. Gdy tylko nasycili się sobą, myśli jednak powróciły ze zdwojoną siłą. Leżąc na plecach, wpatrywał się w sufit i zastanawiał, jak ma przebiegać ta nieunikniona konfrontacja. Z rozważań wyrwała go Joanna. Położyła głowę na jego piersi i uważnie mu się przypatrując, zauważyła:

– Mam dziwne wrażenie, że od czasu powrotu z Berlina, gdzie pojechałeś na badania, zachowujesz się, jakby cię coś trapiło. Wyraźnie unikasz mojego wzroku.

John spojrzął na dziewczynę, pogłodził ją po policzku i pomyślał, że może to właśnie ten moment. Trzeba zasiać ziarno niepokoju i zobaczyć, co się z niego wykluje.

– Wiesz, mam mały problem i nie wiem, jak to się skończy – oznajmił poważnym tonem.

– Czy to coś związanego z nami? – zapytała z niepokojem Joanna, siadając na łóżku.

– Nie, nie! – Pogłodził uspokajająco jej plecy. – To moja praca. Być może będę musiał zostać w USA.

– Ale dlaczego? Co się stało? – dopytywała się dziewczyna.

John usiadł i delikatnie przytulił się do jej pleców.

– Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, taką mam pracę. Ale zapraszam cię jutro na uroczystą kolację do „Victorii” – Pogłodził i pocałował jej gładką szyję.

Odwróciła się i pogłaskała go troskliwie po policzku.

– Ale możesz mi choć nieco opowiedzieć o problemie, który cię trapi. Może rozmowa na ten temat przyniesie ci psychiczną ulgę.

John wziął głęboki oddech i powiedział cicho:

– W Stanach dowiedzieli się, że w moim otoczeniu pracuje agent rosyjskiego wywiadu. Jeżeli okaże się to prawdą, to moja kariera może dobiec końca.

Joanna wpatrywała się w niego z przerażeniem w oczach. Chciała zadać pytanie, ale John położył jej rękę na ustach.

– Spokojnie, jeśli uda mi się zidentyfikować tę osobę lub sama się przyzna, to wszystko będzie dobrze – wyjaśnił podnieconym głosem. Serce waliło mu jak oszalałe. – Natomiast jeżeli nasi ludzie ustalą tożsamość tego agenta przede mną, będzie to oznaczać koniec mojej pracy. Zostanę posadzony za biurkiem gdzieś w Waszyngtonie na podrzędnym stanowisku.

Dziewczyna zaniemówiła. W jej głowie kłębiły się myśli. Nie wiedziała, co robić. Powiedzieć Johnowi prawdę czy nadal się ukrywać? Jeśli przyzna się, to jak jej ukochany zareaguje, czy nie będzie to koniec ich związku? Nie przypuszczała przecież, że zakocha się w tym człowieku.

– Ale przecież pracujesz tyle lat w ambasadzie. Nikt do tej pory nie miał żadnych uwag do twojej pracy – powiedziała w końcu, próbując go pocieszyć.

– Muszę ci coś powiedzieć. Nie zajmuję się gospodarką tylko czymś zupełnie innym – wyznał John.

– Domyślałam się, że twoje częste wyjazdy i szkolenia to coś tajnego.

– Nie rozmawiajmy już na ten temat. Chcę spać – odparł John, przytulając się do kobiety.

Nazajutrz udał się do ambasady i wysłał po Adama Toma. Należało zrobić zdjęcia i jak najszybciej przystąpić do sporządzenia fałszywych dokumentów. McDowell chciał też porozmawiać z młodym policjantem. Miał wyrzuty sumienia, że nie potrafił przekonać senatora do głębszego zaangażowania w sprawę. Politycy i ich gierki... – pomyślał. Większość sprzedałaby własną matkę za stanowisko i przywileje. Z drugiej strony jednak sam miał świadomość, że jeżeli pomoże Wolfowi, będzie mógł liczyć na syna Lukasa i jego wpływy w centrali CIA. Te rozważania zakłócały jednak wciąż powracające myśli o kolacji z Joanną. Ostatnia rozłąka uświadomiła mu raz jeszcze, jak bardzo mu zależy na tej dziewczynie, która przecież prowadziła podwójne życie i której uczuć nie mógł być już pewny. Może był tylko jej „obiektem”, następnym zadaniem?

\*\*\*

Dochodziła jedenasta, gdy Joanna szykowała się do wyjścia z domu. Wzięła dzień urlopu, aby przygotować się do wyjazdu z Johnem do Stanów. Wciąż jednak zastanawiała się, jak wybrnąć z całej tej sytuacji. Bała się. Postanowiła, że przyzna się do swojej podwójnej roli, a najlepszą do tego okazją będzie wspólna podróż. Nie wiedziała jedynie, czy John jej wybaczy, czy zrozumie. Jeśli przyzna się do pracy dla polskiego kontrwywiadu, czy będzie to dla niego okolicznością łagodzącą? Czy nie zerwie z nią kontaktów? Chciała mieć to wszystko już za sobą. Już niedługo. Dziś jeszcze odwiedziny u rodziców. Już miała wyjść z mieszkania, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi. Joanna spojrzała przez wizjer. Zobaczyła listonosza i otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, poczta. Polecony do pani – powiedział mężczyzna, podając jej list. – Proszę pokwitować mi odbiór. Czytelny podpis i data – podsunął jej formularz do pokwitowań przesyłek.



Joanna rzuciła okiem na list. Wysłany był z Krakowa, a nazwisko nadawcy nic jej nie mówiło. Odwróciła się tyłem do listonosza, położyła formularz na szafce w przedpokoju i zaczęła rozglądać się za czymś do pisania. Uprzejmy listonosz wszedł do przedpokoju i podał jej długopis. Dziewczyna pochyliła się i podpisała czytelnie odbiór. Kiedy zamierzała oddać formularz wraz z długopisem, listonosz nagle rzucił się na nią, prawą ręką chwycił ją za szyję i mocnym uściskiem przyciągnął do siebie. Joanna instynktownie próbowała chwycić się szafki, ale napastnik był bardzo silny i trzymał ją w żelaznym uścisku. Gdy popchnięta przez Joannę szafka zakołysała się, stojący na niej wazonik upadł na podłogę i roztrzaskał się. Dziewczyna zaczęła krzyczeć, ale listonosz lewą ręką zakneblował jej usta, a pod nos podsunął szmatę nasączoną środkiem usypiającym. Lewą nogą kopnął drzwi, które zamknęły się z hukiem. Po chwili Joanna straciła przytomność i osunęła się bezwładnie na podłogę. Napastnik zamknął drzwi na zamek, upewniwszy się, że nikt nie zareagował na odgłosy szamotaniny. Na korytarzu panował spokój. O tej porze większość lokatorów była poza domem.

\*\*\*

John kończył raport dla swoich przełożonych, w którym opisał całą sytuację związaną z Adamem Wolfem oraz śmiercią Kamińskiego i zabójstwem Bukalskiego. Sprawozdanie zawierało opis spotkania z generałem, który ze względu na śmierć siostrzeńca i uzyskanie rzekomej informacji o pracy rosyjskiego agenta w ambasadzie USA w Warszawie zażądał zakończenia współpracy. McDowell sporo miejsca poświęcił opisowi wiedzy Adama i przyczyn zagrożenia jego życia oraz możliwości wykorzystania jego osoby w celu identyfikacji współpracownika polskich i rosyjskich służb specjalnych. Co do wniosków z zachowania pana X, postanowił zostawić sobie furtkę, stwierdzając, że informacja o rzekomym agencie działającym w ambasadzie Stanów Zjednoczonych może nie być prawdziwa, a ma tylko stanowić pretekst do zerwania współpracy. Właśnie miał kończyć raport, gdy do drzwi zapukał Tom Brigs.

– W pokoju obok czeka gość – poinformował. – Trochę zmęczony niewygodną podróżą w bagażniku, ale ustaliliśmy wspólnie, że tak będzie najbezpieczniej.

John odłożył do szuflady papiery i ruszył przywitać gościa. Wiedział, że musi tchnąć w niego choć odrobinę nadziei.

– Witam – rzucił na przywitanie i wyciągnął rękę.

Adam przywitał się prawą, zdrową ręką. Był nadal blady i osłabiony, miał podkrążone oczy, a wiadomość o wyjeździe z Polski wpłynęła na niego negatywnie.

– Nie ma innego wyjścia? – spytał zmęczonym głosem.

– Jest. Może pan zaufać waszemu wymiarowi sprawiedliwości – odparł prowokacyjnie John.

– Czyli założyć sobie samemu pętlę na szyję – stwierdził policjant z sarkastycznym uśmiechem.

– To pan to powiedział – zauważył McDowell. – Ale skoro ci ludzie bez skrupułów zamordowali pańskiego szefa, to nie sądzę, żeby się zawahali przed

zabiciem pana. Myślę, że jeśli chodzi o duże pieniądze i porządek, a raczej jego brak, to w waszym kraju odpaliliby nawet szefa policji.

– Zapomina pan, że w waszym kraju demokracji i porządku, za jaki uważają się USA, ktoś odpalił prezydenta Kennedy’ego. Chyba też za dużą kasę – odgryzł się Adam.

John uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Jest pan nie tylko inteligentny, ale i pyskaty – skwitował.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się i do pomieszczenia wbiegła sekretarka Sonia.

– Pilny telefon do ciebie! Jakaś roztrzęsiona kobieta chce z tobą rozmawiać. Mówi, że coś strasznego stało się twojej narzeczonej! – wykrzyczała zdenerwowana.

John ruszył do centrali telefonicznej.

– Halo, tu John McDowell – rzucił po podniesieniu słuchawki.

– John, to ja, Krystyna Nawrot. Joanna nie żyje, wypadła z okna – poinformowała, szlochając, matka jego narzeczonej.

– Jak to wypadła? Przecież rano zostawiłem ją śpiącą – wykrztusił z siebie John. Chciał upewnić się, czy to nie żart, ale płacz i przerażony głos kobiety był jasną odpowiedzią na jego wątpliwości. – Gdzie pani jest, pani Krystyno? – spytał. Wydawało mu się, że to jakiś zły sen.

– Przed mieszkaniem Joanny. Ona tu leży... – Kobieta nie mogła powstrzymać płaczu.

– Za chwilę przyjadę – rzucił John i wybiegł z centrali.

– Moja narzeczona nie żyje – powiedział John drżącym głosem, gdy otworzył drzwi gabinetu, w którym czekali na niego Adam z Tomem.

Na twarzach mężczyzn odmalowało się zdumienie. Nie mogli uwierzyć w to, co usłyszeli.

– Jak to nie żyje, co się stało? – spytał Tom po chwili.

– Nie wiem, przed chwilą wypadła z okna swojego mieszkania – odpowiedział John i usiadł na krześle przy biurku. Nie wiedział, co się dzieje, co robić, to wszystko przecież nie mogło być prawdą.

– Niech pan weźmie kolegę i jedzie zobaczyć, co się stało – z letargu wyrwał go trzeźwy głos Adama. – Śledztwo na pewno będzie prowadzić Komenda Stołeczna. Niech pan się dowie, jak się nazywa policjant nadzorujący miejsce wypadku i kto będzie nadzorował śledztwo.

Tom pociągnął kolegę do drzwi. Po paru minutach jechali już na miejsce wypadku. Towarzyszył im Alister Hamill – radca prawny ambasady. Spodziewano się, że McDowell będzie przesłuchiwany jako ten, który ostatni widział Joannę żywą.

Kiedy dotarli na miejsce tragedii, na podwórzu trwały czynności śledcze. Tłum gapiów zgromadził się wokół podwórza, ale policjanci kategorycznie zabraniali wchodzenia osób postronnych i dziennikarzy. Dokonywano oględzin. John poinformował policjanta pilnującego wejścia na podwórze, że jest narzeczoną ofiary, ale ten nie chciał go przepuścić. Pomogła dopiero interwencja matki Joanny.

Gdy McDowell znalazł się na podwórzu, jego oczom ukazał się przerażający

widok. Ciało Joanny leżało na chodniku. Upadek z czwartego piętra spowodował natychmiastową śmierć. Z jej ust, nosa i uszu wypłynęła kałuża krwi. Dziewczyna wyglądała tak, jakby postanowiła położyć się na chwilę i odpocząć. Tylko krew przy jej ciele zaburzała ten obraz, przypominała o tragedii, jaka się tu rozegrała.

John spojrzął na dziewczynę i nie potrafił powstrzymać łez. Nie mógł uwierzyć, że ta młoda i piękna kobieta, z którą jeszcze niedawno rozmawiał, nigdy już się do niego nie uśmiechnie, nie przytuli do niego. Objął ramieniem szlochającą matkę Joanny. Kobieta co rusz powtarzała: „To niemożliwe, to niemożliwe”. Po chwili na podwórzu pojawił się też ojciec dziewczyny – pan Władysław. Na widok ciała córki zaczął krzyczeć, że przecież ona nie mogła sama wypaść z balkonu. John, który otrząsnął się już z pierwszego szoku, musiał przyznać rację ojcu Joanny. Zmarszczył brwi i przyjrzał się uważnie ciału, odkładając na bok własny ból. Dziewczyna ubrana była w kremową spódniczkę i białą bluzkę. Jej usta pomalowane były ulubioną, czerwoną szminką, a włosy starannie uczesane i spięte w kucyk. Wyglądała, jakby za chwilę miała wyjść z mieszkania.

– Miała przyjechać do mnie, umówiła się ze mną przez telefon, że przyjedzie – oznajmiła, wciąż szlochając, matka Joanny.

John podszedł do mężczyzny, który wydawał polecenia policjantom i technikom robiącym zdjęcie miejsca tragedii.

– Pan tu dowodzi? – zapytał.

– Tak, komisarz Borkowski – przedstawił się policjant. – W czym mogę pomóc?

– John McDowell. Jestem narzeczonym ofiary. Jak to się stało? Jak to się mogło stać? – cedząc powoli słowa, zapytał John. – Rozstaliśmy się rano, Joanna dobrze się czuła. Balustrada tego balkonu ma sporo ponad metr wysokości. Trudno samemu z niego wypaść...

– Czy to pan ostatni widział ofiarę? – Policjant nie miał zamiaru odpowiadać na pytania.

– Chyba tak – odrzekł John.

– Będziemy musieli pana przesłuchać – poinformował służbowym tonem Borkowski.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł John.

\*\*\*

Po dwóch godzinach John i radca prawny ambasady wyszli z komendy policji. McDowell złożył wyczerpujące wyjaśnienia. Miał alibi potwierdzone przez osoby, które mogły poświadczyć, że w przybliżonej godzinie tragedii nie opuszczał budynku ambasady. Szedł do samochodu, gdy usłyszał z tyłu odgłos nawoływania. Odwrócił się i zobaczył komisarza Borkowskiego niosącego płaszcz, o którym John zupełnie zapomniał.

– Proszę! To ciężki dzień dla pana – powiedział uprzejmie policjant, wręczając mu zapomniane okrycie.

McDowell podziękował. Komisarz odwrócił się i miał już wracać na komendę,

gdy John położył mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam, czy mogę z panem zamienić parę słów? – zapytał.

Borkowski, który był wysokim i barczystym mężczyzną, odwrócił się i spojrzał badawczo na Johna.

– Słucham pana, czego pan chce? – zapytał.

– Czy pan uważa, że mogło to być zabójstwo? – rzucił John, podchodząc blisko do policjanta.

Komisarz spojrzał na niego z grymasem na twarzy.

– Nie mogę teraz odpowiedzieć – odparł dyplomatycznie – ale ja i prokurator prowadzący nie wykluczamy takiej wersji zdarzeń.

– Widział pan, jak ona była ubrana? Czy ktoś, kto ma depresję, ubrałby się tak, aby wyskoczyć z okna? – dopytywał John.

– Trwają oględziny mieszkania. Sekcja zwłok też odpowie na wiele pytań – odparł chłodno policjant.

John zrezygnowany zwiesił ręce, westchnął i zauważył:

– Coś u was ostatnio dużo dziwnych zgonów.

– Dużo, mówi pan? A kogo ma pan na myśli? – zapytał komisarz.

– A choćby ten nadkomisarz, niejaki Bukalski – rzucił John.

Borkowski przytakująco pokiwał głową i dopiero po chwili odpowiedział prawie szeptem:

– Jedno panu powiem. Mój świętej pamięci szef był ostatnim gościem, który by się powiesił.

– A pana kolega, ten Adam Wolf, to uczciwy gliniarz czy bandyta? – spytał John.

Borkowski spojrzał w stronę komendy i upewniwszy się, że nikt się nie zbliża, oznajmił:

– Adam to uczciwy gość. Nikt w tym budynku nie wierzy, że chciał kropnąć tego generała. Ale co panu do tego? To nasze sprawy – rzucił ostrzej nieco komisarz. Przyjrzał się raz jeszcze uważnie Johnowi i postanowił wprost powiedzieć mu o swoich przypuszczeniach: – Wie pan, jak tak na pana patrzę, panie McDowell, i analizuję pana zeznania, to coraz bardziej jestem przekonany, że gospodarką w ambasadzie to zajmuje się pan tyle o ile. Ot tak, dla kamuflażu.

John spojrzał badawczo na komisarza.

– Może i ma pan rację – odparł nieco lakonicznie. – Tym bardziej kusi mnie zadanie pewnego pytania. Gdyby mógł pan pomóc swemu koledze, Adamowi Wolfowi, to zrobiłby to pan?

Borkowski patrzył prosto w oczy McDowella, jakby chciał go przeświecić na wylot. Dopiero po paru sekundach odpowiedział:

– Jeżeli nikt by o tym nie wiedział. Ale rozumie pan, mam rodzinę, dzieci i nie chcę skończyć jak Bukalski. Jednak wierzę, że Adam jest kozłem ofiarnym, a pieniądze z okupu rąbnęli byli esbocy.

– Czy mogę wieczorem umówić się z panem gdzieś za miastem? – spytał cicho

John.

Komisarz wciągnął powietrze i powoli je wypuścił, jakby chciał się uspokoić.

– Wie pan, gdzie jest cmentarz w Palmirach? – zapytał po chwili.

– Wiem.

– To o dwudziestej. Tylko niech pan patrzy za siebie – ostrzegł Johna komisarz.

– Pan także – odparł McDowell, który zdawał sobie sprawę, że podejmuje spore ryzyko. Borkowski budził jego zaufanie, ale to Adam musi o wszystkim zdecydować.

## ROZDZIAŁ LIX

W Rzymie mijał kolejny dzień walki o życie małej Marii. Małe serduszko pracowało coraz lepiej. Profesor Farelli, który przez pierwsze dwa dni zachowywał spokój i podkreślał, że stan nadal jest ciężki, po trzech dniach od operacji i analizie wyników badań i danych z elektrokardiogramów stanął przed Zuzanną, Jarkiem oraz księdzem Michałem.

– Mogę państwu powiedzieć – powiedział profesor z uśmiechem na twarzy – że serce waszej córki zaczyna pracować coraz pewniej. Nie możemy jeszcze powiedzieć, że to koniec bitwy, ale jest spora szansa, że mała wygrała walkę o życie.

Rodzice po raz pierwszy od wielu dni odetchnęli z ulgą. Pojawił się promyk nadziei.

Ksiądz Michał wychodził z kliniki Gemelli w świetnym nastroju. Udawał się na nocleg do Domu Polskiego, w którym zatrzymywali się pielgrzymi. Mógł skorzystać oczywiście z propozycji zatrzymania się w apartamentach papieskich, ale nie chciał nadużywać gościnności gospodarza. Wiedział, że to dzięki szybkiemu działaniu jego świętobliwości mała Marysia żyje.

Po blisko czterdziestominutowej podróży autobusem stanął przed domem przy Via Cassia. Otoczony ogrodem skromny budynek o łososiowej barwie, uroczyście poświęcony przez Jana Pawła II 8 listopada 1981 roku, sprawiał wrażenie otwartego dla wszelkich potrzebujących wypoczynku i spokoju gości. Michał cieszył się, że tu trafił. Mógł tu nie tylko odpocząć po trudach i stresach pobytu w szpitalu, ale też pomodlić się w ciszy w kaplicy. Udał się do pomieszczenia będącego jadłodajnią, gdzie podróżni i pielgrzymi za stosunkowo niewielkie pieniądze mogli zjeść posiłek. Podszedł do bufetu i poprosił siostrę o nałożenie porcji makaronu z serem. Zawsze kiedy bywał we Włoszech, delectował się wszelkimi odmianami makaronu z wszelakimi możliwymi dodatkami. Jadalnia była obszerna, zastawiona drewnianymi stołami i ławami. Jedną ze ścian wypełniały okna wychodzące na ogród. Michał usiadł przy jednym ze stołów, odmówił krótką modlitwę i zaczął jeść.

Dochodziła dwudziesta i sala o tej porze była prawie pusta. Tak późno posilali się tylko spóźnieni pielgrzymi. Ksiądz Michał wyjął notatki po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni. Nosił się z zamiarem ponownego przystąpienia do pracy nad pisaną właśnie książką na temat głodującej i biednej Afryki, która wymagała pomocy bogatego świata Zachodu. W pewnej chwili zwrócił uwagę, że zakonnik siedzący trzy stoły dalej bacznie mu się przygląda. Zaczął zastanawiać się, skąd zna tego człowieka. Wydawało mu się, że dzisiaj już gdzieś widział jego twarz. Tak, doznał olśnienia, przecież, chodząc dziś po klinice Gemelli, spotkał go na korytarzu. Pomyślał, że może

i on ma tam kogoś bliskiego lub wspomaga modlitwą chorych i cierpiących. Ksiądz Michał uśmiechnął się do tajemniczego nieznajomego, ale mężczyzna, który zapewne dostrzegł gest księdza, odwrócił wzrok w drugą stronę, tak jakby nie zamierzał nawiązywać znajomości.

Po skończonej kolacji ksiądz udał się do kaplicy, gdzie punktualnie o dziewiątej wieczorem rozpoczynał się apel jasnogórski. Tu był już tłok. Ławy wypełnili pielgrzymi przybyli z Polski, jak również z innych zakątków kuli ziemskiej. Łączyła ich wspólna religia i pochodzenie przodków. Na co dzień mówili różnymi językami – po angielsku, niemiecku czy francusku, ale msza odprawiana w języku polskim dawała możliwość powrotu do zapominanego języka ojczystego. Ksiądz Michał skończył apel, prosząc Przenajświętszą Trójcę i Matkę Boską o opiekę i zdrowie dla małej Marii. Nie zapomniał też podziękować za dotychczasowe łaski. Kiedy skończył, wyszedł z kaplicy i udał się do swojego jednoosobowego pokoju mieszczącego się na piętrze budynku, w południowym skrzydle. Gdy otworzył drzwi i wszedł do środka, uderzyła w niego fala zaduchu i ciepła. Mimo spuszczonej rolet, pokój był niemiłosiernie rozgrzany i konieczne stało się jego przewietrzenie.

Michał otworzył okno i postanowił przespacerować się po ogrodzie domu papieskiego. Królowała tu zieleń różnorodnych roślin, kwiatów i drzew, które za dnia były nawadniane, a po zapadnięciu zmroku zapewniały przyjemny chłód. Wzdłuż oświetlonych alejek tu i ówdzie pojawiały się posągi i ławeczki. Tutaj można było znaleźć ukojenie i docenić uroki przyrody słonecznej Italii. Ksiądz, jak niemalże co dzień od początku swej bytności w Rzymie, przechadzał się po ogrodzie, podziwiając jego piękno i rozkoszując się dźwiękami cykad. Nagle usłyszał na asfaltowej drodze odgłos kroków zbliżającej się osoby. Kiedy się odwrócił, zobaczył tuż za sobą postać tajemniczego zakonnika widzianego wcześniej w jadalni i klinice Gemelli. Człowiek ten szedł powoli w stronę księdza Michała, rozglądając się po ogrodzie. Sprawiał wrażenie człowieka, który jest pierwszy raz w tym miejscu. Michał postanowił zatrzymać się i zaczekać na nieznajomego w celu nawiązania rozmowy. Gdy zakonnik znalazł się obok Michała, odwrócił głowę w przeciwną stronę, tak jakby unikał wzroku księdza lub nie widział go. Michał stał na alejce, nie odrywając oczu od zakonnika, i kiedy ten mijał go, odezwał się po polsku:

– Niech będzie pochwalony, skąd czcigodny brat przybył do stolicy Piotrowej?

Zakonnik nie odpowiedział, ale odwrócił się w stronę księdza Michała, zatrzymał się i rozglądał niepewnie. Gdy spojrzał na księdza, na jego twarzy ukazał się dziwny uśmiech, przypominający grymas bólu. Michał powtórzył pytanie po włosku, sądząc, że zakonnik może nie rozumie jego słów, ale zamiast odpowiedzieć, ten szybko zbliżył się do niego, a w jego ręku błysnęło coś srebrnego. Nóż, nóż sprężynowy – dotarło do świadomości Michała. Było jednak za późno, by uciec. Zakonnik pchnął księdza Michała w okolicę wątroby. Ksiądz spojrzał w jego oczy, jakby chciał zapytać, co było powodem jego ataku. Nie doczekał się odpowiedzi, a jedynie ujrzał jego nienawistne spojrzenie. Zakonnik szybko schował nóż pod habit i przemówił po włosku z wyraźnym greckim akcentem:

– Masz przekazać Mrozowi, że albo odda to, co ukradł, albo następna będzie jego

córka i wnuczka.

Odwrócił się szybko i zaczął biec w stronę bramy wyjściowej z ośrodka.

Ksiądz Michał chwycił się za prawy bok. Poczł ogromny ból i mdłości. Na sutannie i dłoni pojawiła się czarna krew. Wątroba... – pomyślał i ostatkiem sił począł iść w kierunku głównego wejścia do domu. Kiedy był tuż przed drzwiami prowadzącymi wprost do recepcji, świat zawirował mu przed oczami. Przewrócił się, tracąc przytomność.



## ROZDZIAŁ LX

John wrócił do ambasady. Wszedł do swego gabinetu i usiadł w fotelu. Nie potrafił uwolnić się od natłoku myśli wymieszanych z rozpaczą. Na biurku stała fotografia Joanny. Postawił ją tutaj tuż po ich zaręczynach. Piękna kobieta uśmiechała się do niego ciepło i nieco figlarnie, tak jak tylko ona potrafiła. Dlaczego ją zamordowano? – zastanawiał się John, bo nie miał żadnych wątpliwości, że jego narzeczoną po prostu zabito. W głowie motały się dwie myśli – albo Joanna zginęła z powodu ich dzisiejszej nocnej rozmowy, albo była to kara i ostrzeżenie dla McDowella za przejście tajnego archiwum. Pogłaskał delikatnie zdjęcie. W oczach Johna pojawiły się łzy. Z zadumy wyrwało go pukanie do drzwi.

W drzwiach pojawił się ambasador z żoną. Za nim stało kilku najbliższych współpracowników.

– Przyjmij moje najszczerze kondolencje, John – zaczął ambasador. – To ogromna tragedia i czuję się w obowiązku udzielić ci natychmiastowego urlopu. Powinieneś wyjechać do Stanów i odpocząć.

– Dziękuję, panie ambasadorze, ale do pogrzebu mojej narzeczonej pozostanę na miejscu. W następnym tygodniu miałem i tak wziąć urlop. Mieliśmy wyjechać do mojego domu rodzinnego, aby moi najbliżsi poznali Joannę – powiedział łamiącym się głosem John. Przerwał, aby wziąć głęboki oddech i powstrzymać napływające mimowolnie do oczu łzy. Dopiero po chwili kontynuował: – Dziękuję wam wszystkim za wsparcie, ale moim obowiązkiem jest być tu na miejscu i pożegnać Joannę oraz wesprzeć jej rodzinę.

– Czy wiadomo, jak to się stało? – zapytał ambasador. John spojrzał głęboko w oczy staremu dyplomacie. – Zostawcie nas samych – poprosił ambasador. Gdy zostali sami, zapytał już wprost: – Czy to przez twoją pracę ta dziewczyna straciła życie?

– Tak – oparł bez chwili wahania John, patrząc prosto w oczy ambasadora. – Uważam, że to odpowiedź na przejście przez nas archiwum. Teraz wie pan, że jeżeli nie pomożemy temu młodemu policjantowi, to skazemy go na pewną śmierć.

– Rozumiem. – Ambasador pokiwał w zamyśleniu głową.

– Proszę mi pozwolić pozostać w Warszawie do pogrzebu Joanny – McDowell niemal błagał.

– Dobrze! Ale nie ruszasz się nigdzie bez obstawy dwóch agentów. Jasne? – oświadczył ambasador.

John pokiwał głową na znak zgody.

Po wyjściu ambasadora zajrzał do łazienki. Gdy mył ręce, spojrzął na siebie w lustrze. Wyglądał na potwornie zmęczonego. Obmył twarz. Musiał myśleć trzeźwo i logicznie. Nie potrafił przywrócić jej życia, ale mógł choć pokrzyżować wszelkie plany jej zabójcom. Odruchowo zacisnął pięści. Trzeba działać i to szybko.

Niemal biegł do pokoju swojego zastępcy i partnera. Gdy wszedł, Adam wraz z Tomem ustalali właśnie zasady przerzutu młodego Polaka poza granice kraju. Obaj mężczyźni poderwali się z krzeseł i złożyli Johnowi kondolencje. John postanowił opowiedzieć im o śmierci Joanny i o swoich podejrzeniach, że ktoś ją zamordował. Na pytanie Toma, czy domyśla się, co było powodem zabójstwa, John dał mu znak, że nie chce rozmawiać o tym przy Adamie.

– Czy komisarz Borkowski, który prowadzi tę sprawę, to pański kolega? – John zwrócił się z zapytaniem do polskiego policjanta.

– Tak – odparł Adam – porządny facet. Może trochę boi się przełożonych, ale na pewno nikogo nie sprzedałby za kasę. Ma swój honor i jest uczciwy.

John opowiedział mu o rozmowie w cztery oczy i propozycji wieczornego spotkania w Palmirach. W oczach Adama błysnęły iskierki nadziei.

– Weźmie mnie pan z sobą? – spytał błagalnym głosem.

John spojrział wymownie na Toma, po czym zwrócił się do Wolfa:

– Czy temu człowiekowi na pewno można zaufać? Czy nie sprzedaje pana i nas waszym zwierzchnikom?

– Myślę, że jest godny zaufania – stanowczo odparł Adam, choć wciąż kołatała mu w głowie myśl o Bukalskim, który swoim życiem przypłacił chęć spotkania się z ministrem sprawiedliwości w jego sprawie.

– Pojadę ze Stevenem – stwierdził John. – Ty, Tom, weźmiesz do drugiego samochodu, a raczej do bagażnika, Adama. Kiedy upewnimy się, że teren jest czysty, zadzwonię na telefon komórkowy i pojedziesz pod ten cementarz.

– Jasne, tylko ambasadę musimy opuścić w większej eskorcie, aby ci, którzy nas pilnują, nie wiedzieli, za kim jechać – zauważył Tom.

– Oni głównie jeżdżą za mną, a więc dzisiaj ja również opuszczę ambasadę w bagażniku – smętnie stwierdził John i poprosił kolegę: – Możesz, Tom, zostawić nas na chwilę samych?

– Jasne! Idę po Stevena, aby uprzedzić go o dzisiejszej wycieczce – odrzekł Tom i wyszedł.

John spojrzął na Adama i powiedział:

– Musimy szczerze porozmawiać. Tylko przejdziemy do specjalnego pomieszczenia.

Wskazał Adamowi drogę i po chwili znaleźli się w specjalnej szklanej klatce, która uniemożliwiała podsłuchiwanie rozmów.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że jeśli opuści pan swój kraj, to może pan już nigdy nie mieć możliwości legalnie tu wrócić i już nigdy nie zobaczy pan swojej matki? – zapytał wprost McDowell.

Adam spojrzął na niego przybitym wzrokiem i pokiwał głową.

– Czyli jednak nie chcecie mi pomóc? Mam się ujawnić – odparł.

John postawił krzesło i wskazał je ręką Adamowi. Sam usiadł naprzeciwko niego.

– Nie, ja jedynie próbuję panu uświadomić, że jeżeli pozostawię pana w tej sytuacji, to zostanie pan wygnańcem, który będzie skazany na ukrywanie się pod fałszywym nazwiskiem i może minąć wiele lat, zanim będzie pan mógł wrócić.

– To co ja mam właściwie zrobić? – spytał bezradnie Adam.

John wciągnął głęboko powietrze i oznajmił dobitnie:

– Zmienić tożsamość, przejść przeszkolenie w CIA i zostać naszym człowiekiem – przerwał i po chwili dodał: – Moim człowiekiem.

– Ma pan aż takie plecy?

– Ja nie, ale znajomość ludzi, pana wrodzona inteligencja plus moje informacje i plecy senatora oraz jego syna dają na to nadzieję – odparł McDowell.

– Czego pan tak naprawdę ode mnie oczekuje? – zapytał z rozbijającą szczerością Adam.

– Tego, że przeszkolimy pana i wróci pan do Polski pod zmienionym nazwiskiem, z nową tożsamością. Będzie pan pracował dla mnie i CIA – oznajmił John. – Dodatkowo pomoże mi pan rozwikłać zagadkę śmierci mojej narzeczonej i spróbuje oczyścić się z zarzutu zabicia Kamińskiego.

– Ja agentem CIA? – Adam pokiwał głową z niedowierzaniem. – Jeżeli tu wrócę, to oni przecież natychmiast mnie zapuszczają.

– Chyba że przejdzie pan operację plastyczną i specjalne szkolenie z zakresu pracy wywiadowczej. Ale to zależy tylko od pana – wyjaśnił John. – No i matka... Będzie pan ją mógł widywać co jakiś czas, ale nie za często niestety.

– Ile czasu mam na podjęcie decyzji? – zapytał Adam.

– Nie ma pan czasu. Musi pan podjąć decyzję natychmiast.

Adam schował twarz w dłoniach, jakby chciał ukryć napięcie, które mu towarzyszyło. Wiedział, że jeśli wyjedzie z kraju, będzie musiał ukrywać się za granicą. Co najgorsze, wiedział, że nie będzie mógł spotkać się z matką. Wysyłając listy z Europy, da jej oczywiście znak, że żyje, ale czy jego matka wytrzyma rozłąkę? Do końca życia musiałby uciekać i liczyć tylko na przedawnienie wyroku. Wyroku, na który przecież nie zasłużył.

– Wchodzę w to – odparł z westchnieniem Wolf. – Ale mam jeden warunek.

– Jaki?

– Musimy znaleźć winnych śmierci mojego szefa.

– Przecież to są ci sami ludzie – odparł, marszcząc brwi, McDowell.

– OK. To co dalej? – spytał Adam.

– Przedstawiłem w moim raporcie pańską osobę jako potencjalnego kandydata na agenta CIA ze względu na pana zasób informacji – odparł John. – Najważniejszą rzeczą jest fakt, że wszedł pan w drogę ludziom z waszych służb specjalnych, którzy dokonali napadu na tego bandytę, a następnie postanowili przejść okup. I pan im te plany pokrzyżował. Pana szef, świętej pamięci nadkomisarz Bukalski, dowiedział się, że pieniądze z tego napadu przeznaczone miały być na handel bronią na

międzynarodową skalę i dlatego musiał zginąć, a panu w każdej chwili grozi śmierć.

– Skąd mój szef się o tym dowiedział? – zapytał rzeczowo Adam.

– Od wuja, który jest emerytowanym generałem SB. Był pan przecież pod jego blokiem – odparł McDowell. Adam pokiwał głową. – I jeszcze jedno. Nie może pan nikomu powiedzieć, że podejrzewa pan Mroza o napad na tego szefa mafii z Piaseczna.

– Dlaczego chroni pan Mroza? – zapytał tonem rasowego śledczego Adam. Nie wiedział, czy może ufać temu Amerykaninowi. Był jednak na niego skazany.

– Wszystko w swoim czasie. Na razie powiem tylko tyle, ile mogę. Ten człowiek jest zwierzyną łowną, na którą polują tak samo, jak na pana.

– Jasne – odparł Adam.

McDowell spojrział na zegarek.

– Niech pan napisze list do matki. Tylko żadnych szczegółów. Ani gdzie pan jedzie, ani po co oczywiście. Pana kolega po pańskim wyjeździe przekaże ten list adresatce – oznajmił McDowell.

Wstał i otworzył klatkę. Gdy wyszli z pomieszczenia, w gabinecie czekali już Tom ze Stevenem.

– Weźcie do każdego samochodu telefon komórkowy, noktowizory i urządzenia pozwalające wykryć podsłuch w mieszkaniu – rozkazał im McDowell.

## ROZDZIAŁ LXI

Piotr zregenerował siły w małym, ale uroczym hotelu. Do Genewy pozostało mu jeszcze sto kilometrów. Postanowił, że do Paryża uda się pociągiem, więc swego mercedesa pozostawił na strzeżonym genewskim parkingu. Torbę z pieniędzmi zdeponował w skrytce zabezpieczonej hasłem, w jednym z miejscowych banków. Do Francji wziął ze sobą sto tysięcy dolarów, z myślą zapewnienia schronienia matce swego zięcia i jej wiekowemu ojcu.

Pociąg wyruszył z Genewy o ósmej rano, a w samo południe wjeżdżał już na peron malowniczego dworca Paris Gare de Lyon. Piotr uzbrojony w aparat fotograficzny sprawiał wrażenie turysty, który przybył do Paryża napawać się widokiem pięknej francuskiej architektury skąpanej w barwach jesieni. Pogoda dopisywała. Charakterystyczna wieża dworca tonęła w słońcu, a na peronach było niezwykle tłoczno. Obok rodowitych Francuzów przewijały się tłumy turystów przybywających z całego świata.

Do spotkania z matką Jarka pozostało mu jeszcze pięć godzin, więc postanowił wziąć taryfę i zobaczyć z bliska wieżę Eiffla. Spacerując po placu Trocadero, nad którym górowała kontrowersyjna, żelazna dama Paryża, postanowił, że po spotkaniu w polskim kościele pozostanie tu kilka dni i zwiedzi miasto.

Wyminął handlarzy, którzy oferowali głównie miniaturki słynnej wieży, i ruszył w stronę Pól Marsowych. Jasne kamienice, ozdobione balkonami i zielenią, kusiły turystów kawiarnianymi ogródkami. Zatrzymał się w jednej z niewielkich restauracji, gdzie postanowił skosztować wspaniałego wina i słynnych ślimaków oraz delikatnego kremu z borowików. Po zjedzeniu posiłku pospacerował po Polach Marsowych, z zazdrością zerkając na paryżan i rozbawionych turystów siedzących na kocach, popijających wino i jedzących bagietki oraz sery. W jednym z kiosków kupił folder w języku niemieckim i w głowie układał sobie plan dalszego zwiedzania Paryża.

Spojrzał na zegarek, dochodziła szesnasta. Najwyższy czas udać się na miejsce spotkania. Przywołał palcem nadjeżdżającą taksówkę i poprosił kierowcę o kurs pod Notre Dame de l'Assomption. Świątynia pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Wniebowziętej została przekazana w 1844 roku przez arcybiskupa Paryża Denisa Auguste'a Affre Polskiej Misji Katolickiej we Francji. Od tego czasu stała się jednym z miejsc spotkań licznej już wtedy polskiej emigracji i zarazem najważniejszym „kościółem polskim” w Paryżu.

Mimo że Notre Dame de l'Assomption znajdowała się w centrum Paryża i oddalona była od wieży Eiffla o niecałe dwa kilometry, to jednak popołudniowe korki w metropolii sprawiły, że podróż trwała prawie pół godziny. Taksówkarz

podwiózł jednak Piotra pod samo wsparte na kolumnach korynckich wejście. Bazylika ze swoją charakterystyczną kopułą i płaskorzeźbami z motywami roślinnymi przypominała nieco antyczne świątynie.

Piotr przez chwilę stał przed bazyliką, podziwiając jej architekturę i jednocześnie rozglądając się za Teresą i jej ojcem. Do spotkania pozostał kwadrans, a do świątyni zaczęli schodzić się wierni na popołudniową mszę. Gdy Mróz zbliżył się do wejścia i usłyszał ojczytą mowę, niemal się wzruszył. Język polski i atmosfera kościoła sprawiły, iż poczuł się, jakby wrócił do Polski, do siebie. Wszedł do świątyni, rozglądając się za znajomymi osobami. W kościele szykowano się do nabożeństwa, o czym świadczyła krzątająca zakonnic przy ołtarzu i zapalane przez nie świece. Przybywało też wiernych. Piotr dostrzegł w jednej z pierwszych ławek modlących się Teresę i jej ojca. Rozejrzał się uważnie wokół, sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje. Postanowił usiąść w jednej z tylnych ławek i poczekać do końca mszy, aby upewnić się, że nie kręci się w pobliżu nikt podejrzany. Znalazł wolne miejsce i nie zdążył nawet usiąść, gdy odezwał się dzwonek i wszyscy wierni powstali z miejsc. Do ołtarza podeszli dwaj księża. Jeden z nich był starszym, wyraźnie po siedemdziesiątce, drugi miał najwyżej trzydzieści lat. Wiekowy kapłan rozpoczął odprawianie mszy i po powitaniu wiernych przemówił wyraźnie drżącym głosem:

– Drodzy parafianie, szanowni goście i turyści. Dzisiejszą mszę będę odprawiał w intencji mojego przyjaciela, księdza Żyto, którego wczoraj w Rzymie jakiś zły człowiek ranił nożem.

Piotr zamarł. Poczuł, jak po plecach przebiega lodowaty dreszcz. Odruchowo otarł czoło. Było mokre od potu. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. W pierwszej chwili chciał ruszyć w stronę ołtarza, aby spytać się księdza o to, co zdarzyło się w Rzymie, ale zdał sobie sprawę, że przecież trwa liturgia, a do tego jeżeli Teresa jest przez kogoś obserwowana, to zdekonspiruje i siebie, i ją, narażając wszystkich zgromadzonych w świątyni. Po chwili ksiądz dodał:

– Tak się złożyło, drodzy przyjaciele, że walczący o życie nasz rodak to wybitny człowiek, niosący pomoc potrzebującym pisarz i historyk, badacz martyrologii duchowieństwa polskiego w czasie drugiej wojny światowej. Spotkałem go ostatni raz pięć dni temu w czasie mojej wizyty w Watykanie. Tym razem ksiądz Michał w rzymskiej klinice Gemelli niósł pomoc duchową rodzicom małej, trzymiesięcznej Marii, która przeszła skomplikowaną operację serca i walczyła o życie.

Serce Piotra waliło niczym oszalałe. Jego wzrok przyciągał niczym magnes stojący nad ołtarzem krzyż. Mimowolnie wracał pamięcią do dzieciństwa, kiedy to co niedziela jeździł z rodzicami i rodzeństwem do kościoła na mszę. Kto by wtedy przypuszczał, że drogi dwóch braci tak bardzo się rozejdą. Usiłował przypomnieć sobie chwilę, w której stwierdził, że Boga nie ma, chwilę, w której wymazał w swoim umyśle wartości wiary. Zdał sobie sprawę, że stało się to, gdy stracił najbliższych i utracił kontakt z bratem. W umysł powoli zaczęło wwiercać się poczucie winy. Wiedział, że Michał może umrzeć przez niego, a może i dla niego. Ludzie, którym ukradł dokumenty, nie mogli dosięgnąć Piotra, więc postanowili zemścić się na jego bracie. Tylko skąd wiedzieli, co ich łączy, że cokolwiek jeszcze w ogóle ich łączy. Za

dużo pytań bez odpowiedzi czaiło się w głowie Piotra.

Msza dobiegła końca, a zwieńczyło ją odmówienie dziesiątki różańca w intencji zdrowia księdza Michała i małej Marii, o co poprosił sędziwy ksiądz. Kiedy wierni zaczęli opuszczać świątynię, Piotr, nie zważając już na nic, ruszył w kierunku księdza, który po skończonej mszy rozmawiał z grupką wiernych nieopodal ołtarza. Mijając Teresę i jej ojca, rzucił jedynie szybko:

– Poczekajcie na mnie. Muszę porozmawiać z księdzem i dowiedzieć się, co stało się z Michałem w Rzymie.

Po chwili przecisnął się przez grupkę rozmawiającą z wiekowym duchownym i stanął przed nim.

– W czym mogę pomóc? – zapytał ksiądz, dostrzegając jego niepokojąco bladą twarz.

– Musimy porozmawiać na osobności, to bardzo ważne – poprosił Piotr.

Kapłan przeprosił swych rozmówców i zaprosił go do zakrystii. Po chwili siedzieli w małym pomieszczeniu, gdzie stało zabytkowe biurko i komoda z niezliczoną ilością dokumentów.

– To mój gabinet – wyjaśnił duchowny. – Proszę mówić. Wygląda pan na strapionego – zauważył, wskazując tajemniczemu mężczyźnie krzesło.

– Co stało się księdzu Michałowi w Rzymie? W jakim jest stanie? – głos Piotra drżał.

– Kim pan jest dla Michała? – spytał sędziwy ksiądz, lustrując badawczym wzrokiem gościa.

Piotr usiadł, spojrzał na księdza i odparł:

– Bliską osobą, ale proszę mi uwierzyć, lepiej dla księdza, by ksiądz nie dociekał, kim jestem.

Staruszek nie okazał zdziwienia. Pewnie w swoim długim życiu na obczyźnie widział już niejedno.

– Czyli ten nożownik, który zaatakował Michała, nie był przypadkowy – stwierdził, kiwając głową w zadumie.

– Dlaczego ksiądz tak sądzi? – spytał Piotr.

– Widziałem w Rzymie obstawę agentów CIA chroniących rodziców małej Marii, więc skojarzyłem atak na Michała z tym faktem.

Piotr pokiwał głową, cieszył się w głębi duszy, że nie musi zbyt wiele tłumaczyć. Ponowił pytanie:

– W jakim stanie jest Michał?

– Stan jest ciężki, ale stabilny. Wierzę, że wyjdzie z tego – odpowiedział ksiądz.

– Dziękuję księdzu – powiedział Piotr i wstał, kierując się do wyjścia.

– Proszę zaczekać – poprosił niespodziewanie ksiądz. Piotr zatrzymał się i po chwili wahania ponownie usiadł na krześle. – Nie musi pan podawać mi swojego nazwiska, domyślam się, kim pan jest.

Piotr spojrzał przenikliwie na staruszkę i zapytał:

– Skąd ksiądz to wie?

Kapłan uśmiechnął się, wstał, podszedł do jednej z licznych szuflad, odsunął ją i wyjął kopertę, z której wydobyl pozółkłe zdjęcia. Następnie podszedł do stołu i położył je przed Piotrem. Zdjęcia były stare, przedwojenne i przedstawiały widok wiejskiego kościółka, mieszkańców wsi i uroczystości religijne. Nagle, trzymające w ręce jedno z nich, Piotr doznał olśnienia – przecież to jest ich parafialny kościół, ich własny, w leśnej osadzie Piotrowe Pole. Na innej fotografii zobaczył chłopców i dziewczynki w strojach komunijnych. Odwrócił zdjęcie i dostrzegł, że widniała na nim data: „maj 1939 rok”.

– Skąd ksiądz to ma? – zapytał zaskoczony Piotr.

– Od pańskiego brata. A ten chłopak drugi od lewej w ostatnim rzędzie to pan, nieprawdaż? – odpowiedział staruszek.

Piotr potwierdził skinieniem głowy.

– Dlaczego Michał dał to księdzu?

– Wie pan, kim jest ten człowiek? – zapytał kapłan, wskazując palcem na młodego księdza siedzącego wraz ze starszym proboszczem pośród dzieci.

– Nie przypominam sobie – odpowiedział Piotr.

– To ja, byłem wikarym do sierpnia trzydziestego dziewiątego roku w waszej parafii, zanim wojna i los rzuciły mnie na front.

Piotr popatrzył z niedowierzaniem na staruszkę i zapytał:

– Jak to możliwe, że Michał odnalazł księdza?

– Nie odnalazł! To przeznaczenie sprawiło, że jako młody ksiądz, zbierający materiały do swojej książki, trafił do mnie, żyjącego świadka historii. I tak od słowa do słowa okazało się, że nasze drogi życiowe już kiedyś się splotły.

– Czy Michał opowiadał księdzu o naszym... – Piotr przez chwilę usiłował znaleźć bardziej odpowiednie słowo – o moim życiu?

Ksiądz spojrział badawczo na Piotra i odpowiedział ściszym głosem:

– Pana brat całe życie modlił się za pana i pana bliskich. Jego marzeniem było dożycie chwili, kiedy się pan pojedna z Bogiem i zejdzie z drogi, która przynosi tylko łzy i cierpienie.

Piotr poczerwieniał, w pierwszej chwili chciał wstać i jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Coś jednak kazało mu pozostać, a może jednak oczekiwał takiej oczyszczającej, choć bolesnej jednocześnie rozmowy. Chciał wreszcie zrzucić z siebie ciężar, który nosił w sobie przez tak wiele lat. Wiedział, że pierwszy krok ku temu już uczynił, nie zabijając Schulza.

– Niech się pan nie obawia. Wszystko, o czym tu rozmawiamy, uważam za pewien rodzaj pańskiej spowiedzi, a przecież obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi świętej – wyjaśnił wyprzedzająco ksiądz.

Piotr popatrzył na staruszkę, nabrał powietrza i oznajmił stanowczo:

– Jestem osobą niewierzącą, proszę księdza, i uważam, że jeżeli Bóg by istniał, to nie dopuściłby do tylu okropności. Wierzę, a przynajmniej dotychczas wierzyłem, w siłę i spryt, w to, że tylko my decydujemy o naszym życiu.



– A zastanawiał się pan, dlaczego żona i córka się nawróciły? Przecież pana świętej pamięci małżonka pochodziła z rodziny niewierzącej, a mimo to otaczający ją świat i jego problemy spowodowały chęć zmiany swojego życia i pojednania z Bogiem – odpowiedział ksiądz.

Piotr pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie wiedziałem o tym, proszę księdza. Zwierzyłem się mojej żonie z tego, iż mam brata, brata, który jest księdzem. Opowiedziałem jej też, dlaczego nasze drogi się rozeszły. Nie miałem pojęcia, że ona sama bez mojej wiedzy nawiąże z nim kontakt.

– Czy wie pan, co skłoniło pańską żonę i córkę do przyjęcia chrztu i komunii?

– Nie mam pojęcia, może córka odpowie mi na to pytanie, gdy wreszcie się spotkamy – odparł Piotr.

– Nie mogę oczywiście wypowiadać się w imieniu pana córki – zastrzegł staruszek – ale domyślam się, co ją skłoniło do nawrócenia. Otaczające zło i zakłamanie, a z drugiej strony on – kapłan wskazał palcem na zdjęcie Jana Pawła II wiszące na ścianie.

– Chce ksiądz powiedzieć, że moja żona nawróciła się pod wpływem nauki ojca świętego? – zapytał z niedowierzaniem Piotr.

Ksiądz pokiwał głową przytakująco.

– Michał opowiadał mi o fascynacji pana żony zanurzonej głęboko w Ewangelii nauką Jana Pawła II. „Zło dobrem zwyciężaj”, powtarza nasz papież, idąc Chrystusową drogą. Pana małżonka też pragnęła iść tą ścieżką – odpowiedział sędziwy ksiądz.

– Czy... – zaczął pytanie Piotr, ale zawahał się. Dopiero po chwili zdobył się na odwagę i zapytał: – Czy wie ksiądz, czym się zajmowałem? Kim byłem?

Staruszek głęboko westchnął, złożył ręce na piersi i odpowiedział:

– Pana brat modlił się, by pan zaprzestał krzywdzenia ludzi i nawrócił się.

– Wy, księża, żyjecie złudzeniami – rzucił z goryczą Piotr – gdy tymczasem światem rządzą siła i pieniądze, a nie sentymenty.

Ksiądz uśmiechnął się i zaczął grzebać w stosie gazet, które leżały przed nim na biurku.

– Jakim językiem pan dobrze włada? Angielskim, niemieckim, francuskim? – zapytał.

– Niemieckim.

– O, proszę, jest – powiedział ksiądz, podając mu gazetę. – Od wczoraj wszystkie gazety europejskie o tym piszą. Były wysoko postawiony niemiecki urzędnik wyjawiał swoją tajemnicę z przeszłości. Był esesmanem mordującym Polaków i Żydów. Spalił niejedną polską wieś wraz z mieszkańcami. Słyszał pan o nim?

Piotr spojrział na gazetę i zerknął na tekst. Schultz dotrzymał warunków umowy.

– Od wczoraj zachodzę w głowę, co lub kto – ksiądz podniósł znacząco do góry palec – zmusiło tego zbrodniarza, ukrywającego się przez tak wiele lat, do wyznania prawdy o swojej przeszłości.

– Ten człowiek zabił moich rodziców i siostrę. Wymordował z zimną krwią całą wioskę, pałac żywcem ludzi – powiedział Piotr, patrząc księdzu w oczy.

Ksiądz pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Wiem, co zrobił panu i Michałowi ten człowiek. Czy ma pan z tym coś wspólnego? – spytał kapłan, stukając palcem w tekst artykułu.

Piotr westchnął.

– Nie zabiłem go... – wyszeptał.

– A chciał pan to zrobić?

– Tak – potwierdził szczerze Piotr. Nie chciał już niczego ukrywać.

– Dlaczego pan tego nie zrobił? Co, a może kto wpłynął na pana decyzję?

– Myślę, że ksiądz doskonale się domyśla, kto wpłynął na moją decyzję.

– Ksiądz Michał – staruszek uśmiechnął się życzliwie. – Może jest więc dla pana nadzieja. Może pan jeszcze zmienić swoje życie.

– Uważa ksiądz, że darowanie życia jednemu zbrodniarzowi spowoduje, że zaczną wierzyć? Że się nawrócą? – zapytał, nie kryjąc ironii Piotr.

– Uważam, że nawet najgorszy morderca i zbir może pojednać się z Bogiem. Nieraz na łożu śmierci ludzie się nawracali na moich oczach, ale pan musi sam tego chcieć. Nie wystarczą do tego tylko chęci pańskiego brata i córki – odpowiedział ksiądz.

– Skąd ksiądz wie, że moja córka też by tego chciała?

– Poznałem pana córkę w kaplicy kliniki Gemelli. Powiedziała mi, że modli się o życie dla swojej małej córeczki i za swojego ojca, by stał się dobrym i szczęśliwym człowiekiem. Aby przestał krzywdzić ludzi i zamiast wierzyć w ideologię oraz słuchać poleceń wydawanych przez przełożonych, zaczął słuchać własnego sumienia i by to sumienie oczyścił z grzechów. Z grzechów, które uczyniły z niego robota pozbawionego uczuć, który usycha za życia, trawiony od środka przez swoje nieczne uczynki.

Piotra na chwilę niemal zamroczyło, poczerwieniał i zaczął nierówno, niespokojnie oddychać.

– Czy dostałbym szklankę wody? – zapytał, ledwo łapiąc oddech.

Ksiądz wstał, podszedł do karafki stojącej na stoliku i nalał wody, po czym postawił szklankę przed Piotrem, który sięgnął do kieszeni i wyciągnął plastikowe opakowanie z tabletkami. Wyciągnął jedną z pastylek i popił ją wodą. Po chwili namysłu odezwał się:

– Wie ksiądz, że ten Niemiec nie przyznał się od razu do tego, co ukrywał? Dopiero obawa o życie swoich bliskich spowodowała, że to zrobił.

– Ale go pan nie zabił – podkreślił kapłan. – Posłuchał pan rady Michała i swojego sumienia.

– Nie – odparł Piotr – po prostu większą satysfakcję sprawiło mi to, że przyznał się do swoich win.

– A ja myślę, że odezwało się pana sumienie. Przecież całe życie marzył pan zapewne o zemście na tym człowieku.

– A co ksiądz może wiedzieć o zabijaniu i śmierci? – zachnął się Piotr.

– Jako więzień Pawiaka, Majdanka, Oświęcimia i Gross-Rosen chyba jednak wiem co nieco o śmierci i zabijaniu – odparł spokojnie, choć ze smutkiem, sędziwy ksiądz.

Piotr przyjrzał mu się raz jeszcze z uwagą.

– Proszę o wybaczenie, nie wiedziałem o księdza przeszłości.

– Nic nie szkodzi – ksiądz machnął lekceważąco ręką. – A zna pan życie swojego brata?

– Do połowy tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, później straciliśmy kontakt.

– Wie pan, co zdarzyło się w Lublinie trzynastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku?

– Nie, nie wiem – odparł zaciekawiony Piotr.

– Otóż w tym dniu, po wprowadzeniu stanu wojennego, internowano w Polsce tysiące ludzi. Jednym z nich był działacz „Solidarności” z MPK w Lublinie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że rano w siedzibie SB zjawił się pewien człowiek, który poprosił o zwolnienie owego działacza w zamian za internowanie jego osoby. Powodem tej niezwyklej prośby był fakt, że ten działacz miał umierające na białaczkę kilkuletnie dziecko. Lekarze dawali dzieciątku jedynie godziny życia. Człowiek, który postanowił interweniować w sprawie działacza, poprosił o spotkanie z szefem SB w Lublinie – ciągnął opowieść staruszek – i kiedy stanął przed nim i oznajmił, o co chodzi, tamten wpadł w szal i zaczął grozić mu śmiercią. Krzyczał, że nie chce żadnych nowych męczenników. W końcu chwycił pałkę i uderzył. Zalany krwią petent zaczął krzyczeć, żeby go zabił, bo w przeciwnym razie jego przełożeni w Warszawie dowiedzą się o tym, że szef SB w Lublinie posłał swoje dziecko do pierwszej komunii świętej w jednej z podlubelskich wsi. Esbek zaczął na przemian grozić i prosić owego człowieka o milczenie. Wreszcie wykonał telefon do Warszawy i złożył swojemu przełożonemu meldunek z zaistniałej sytuacji, pomijając oczywiście fakt posłania syna do komunii. Po kwadransie dostał zgodę na zwolnienie działacza. Na pytanie, czy ma zatrzymać tego człowieka, który ośmielił się interweniować w sprawie działacza „Solidarności” w MPK, usłyszał, żeby nawet się nie ważył, bo następnego dnia „Wolna Europa” ogłosi go nowym Kolbe. Rok temu ten sam człowiek przebywał w Afryce w Ruandzie, gdzie zwalczają się dwa plemiona, mordując się nawzajem. Kiedy przebywał na pewnej misji katolickiej opiekującej się sierotami po poległych w walkach, dowiedział się, że odległej o pięćdziesiąt kilometrów bliźniaczej misji grozi pacyfikacja ze strony jednego z plemion. Wsiadł do samochodu i z jednym z przewodników ruszył do sierocińca. Przybył dosłownie w ostatniej chwili. Właśnie dowódca oddziału zamierzał wydać rozkaz, by wymordować wszystkich mieszkańców sierocińca. Gdy ujrzał egzotycznego przybysza, nie mógł uwierzyć, że ten pojawił się, aby zapobiec masakrze. Już miał zamiar osobiście go zastrzelić, ale dostrzegł w jego ręku butelkę whisky. Kiedy dowiedział się od tłumacza, że to podarunek dla niego, zgodził się go wysłuchać. Przybysz poprosił przywódcę napastników, by odstąpił od swych planów rzezi. Ten,

śmiejąc się i mierząc weń z pistoletu, kazał mu podać choć jeden powód, dla którego ma odejść. Przybysz odpowiedział, że są co najmniej dwa powody. Jeden to ten, że w podarunku przywiózł dwa kartony wspaniałego trunku, a drugi to taki, że oprócz whisky ma też lekarstwa dla dzieci. Podkreślił, że sieroty pochodzą również z plemienia oprawcy i jeżeli on je zabije, to ktoś inny, z obozu przeciwnego plemienia wymorduje inny sierociniec. Utkwiło mi w pamięci pytanie, które zadał miejscowemu watażce: „Jak chcecie budować swoją siłę, mordując własne dzieci?” – zapytał ten człowiek i w zamian za życie dzieci ofiarował swoje. Murzyn chwycił butelkę, spojrzał na nią i ze śmiechem oświadczył, że nikogo dziś nie zabije, bo, uwaga, bardzo lubi whisky. I tak dzięki odwadze i fortelowi przybysz ocalił podopiecznych misji. Domyśla się pan, kto był tym odważnym człowiekiem? – zapytał ksiądz.

– Chyba tak – odparł zadumany Piotr.

– Tak, to pana brat – potwierdził jego domysły ksiądz. – Muszę dodać, że w ciągu dwudziestu czterech godzin załatwił operację pańskiej wnuczki. A wie pan, jaki termin otrzymał na taką operację szef CIA? – spytał ksiądz.

– Miesiąc – odparł Piotr.

– Skąd pan wiedział? – zapytał zaskoczony kapłan.

– Nieważne – wykręcił się od odpowiedzi Piotr. – Nie znałem Michała z tej strony.

– Najważniejsze, że wszystkich tych rzeczy dokonał dzięki swej wierze i odwadze, a nie dzięki przemocy i pieniądzom, w które tak pan wierzy.

Piotr westchnął i spojrzał przenikliwie na księdza.

– Czy wie ksiądz, że zabijałem ludzi? – rzucił nagle prawie szeptem.

– Bóg nie rozróżnia grzeszników, nie dzieli ich na tych małych i dużych. Konając na krzyżu, Jezus Chrystus zabrał do nieba złoczyńcę, który wyznał mu własne grzechy i poprosił o przebaczenie – wyjaśnił ksiądz.

Piotr schował na chwilę twarz w dłoniach. Tysiące myśli przebiegało mu przez głowę, niespokojnych, nieskładnych. Ale pierwszy raz od wielu lat, nie pamiętał nawet ilu, poczuł coś na kształt ulgi. Wiedział już, co ma robić, co powinien i co chce zrobić.

– Muszę zobaczyć się z Michałem! Jadę do Rzymu! – rzucił stanowczo, podrywając się z krzesła.

Ksiądz spojrzał badawczo na Piotra.

– Czy nie naraża się pan tym wyjazdem na śmierć? – spytał.

– Jest mi to obojętne! – odparł Piotr. – Myślę, że Michał na moim miejscu zrobiłby to samo. Dziękuję księdzu, szczerze dziękuję – dodał, kierując się w stronę drzwi.

– Niech pan zaczeka – zatrzymał go kapłan.

Piotr odwrócił się i spojrzał w stronę siedzącego za biurkiem staruszka. Ten wydobył z jednej z szuflad małe pudełeczko i położył je przed sobą.

– To różaniec poświęcony przez ojca świętego. Jeżeli będzie pan w niebezpieczeństwie, niech pan zacznie... spróbuje się choć pomodlić. Myślę, że

mimo upływu lat nie zapomniał pan modlitwy – powiedział z uśmiechem staruszek.

Piotr stanął, zawahał się, ale po chwili podszedł do biurka. Wziął pudełeczko do ręki, otworzył, szybko zamknął i schował do kieszeni.

– Dziękuję księdzu – powtórzył raz jeszcze. – Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

– Z Panem Bogiem i niech pan pozdrowi ode mnie Michała. Będę się za niego modlił.

## ROZDZIAŁ LXII

Wyjechali z ambasady o siedemnastej. Musieli kluczyć po mieście z kilkoma innymi samochodami, aby zgubić ogon. Adam znajdował się w aucie wraz z agentem Stevenem. Przed nimi jechał Tom, któremu drogę wskazywał wyposażony w mapę John. McDowell był już myślami w mieszkaniu Joanny i zastanawiał się, czy uda mu się odnaleźć podsłuch.

O dziewiętnastej znaleźli się na parkingu pod cmentarzem wojennym w Palmirach. John znał historię tego miejsca. To tu, całkiem niedaleko, znajdowały się groby ofiar egzekucji, których dopuszczali się niemieccy okupanci na patriotycznych elitach narodu polskiego w czasie drugiej wojny światowej. Powoli zapadał zmrok i pewnie gdyby przeszli się na słynną „polanę śmierci”, dostrzegliby światła zniczy, które zwykle pojawiały się tu i ówdzie wśród prostych, kamiennych krzyży. Nie po to tu jednak dziś przyjechali.

Samochód z Adamem i Stevenem zatrzymał się jakieś pół kilometra przed cmentarzem w oczekiwaniu na rozwój wypadków. Tom, na polecenie Johna, zaparkował pośrodku parkingu, aby mieć dobre warunki do obserwacji terenu z każdej strony. Minęło około dziesięciu minut, gdy McDowell spostrzegł wyłaniającą się z gęstwiny leśnej sylwetkę mężczyzny ubranego w wiatrówkę z kapturem na głowie. John i Tom przeładowali pistolety i czekali, aż podejdzie. Po chwili tajemniczy człowiek stanął przed drzwiami kierowcy i zapalił latarkę, oświetlając sobie twarz. John poznał Borkowskiego i otworzył zabezpieczenie tylnych drzwi. Komisarz wsiadł do samochodu, skierował latarkę w stronę lasu i trzykrotnie zapalał ją i gasił.

– Komu daje pan znaki? – zapytał, marszcząc brwi, McDowell.

– Ojcu – odpowiedział policjant. – Wziąłem go z sobą na wszelki wypadek.

– Czemu tutaj? – zapytał John.

– Wychowałem się w pobliskiej wsi, znam tu każdą ścieżkę w lesie – wyjaśnił komisarz.

– Mam prośbę do pana – zaczął John. Borkowski kiwnął głową i przyglądał mu się, oczekując na dalszy ciąg. – Czy może pan powiedzieć, co było przyczyną śmierci Joanny?

Komisarz zdjął kaptur i zamyślił się.

– Mogę zapalić? – spytał.

– Jasne – odpowiedział John.

Tom poczęstował policjanta papierosem i podał zapalniczkę. Borkowski zaciągnął

się i dopiero gdy wypuścił dym z płuc, powiedział:

– To, co powiem, musi pozostać tajemnicą. Nie chcę skończyć tak, jak mój szef. Mam dwójkę dzieci do wychowania.

– To oczywiste – odparł McDowell. – Chce pan rozmawiać w cztery oczy?

– Nie, możemy rozmawiać przy koledze – odrzekł komisarz.

– Wypadek? – rzucił lakoniczne pytanie John. Znał odpowiedź, chciał się jedynie upewnić, czy może ufać temu człowiekowi.

– Do dzisiejszego popołudnia brałem to pod uwagę, choć nie ukrywam, że pewien szczegół od razu wskazywał na zabójstwo – odparł Borkowski.

– Jaki szczegół? – drążył McDowell.

– Zacznę od tego, że na miejscu zdarzenia, w mieszkaniu pana narzeczonej, przy drzwiach wejściowych, pod komodą znaleźliśmy fragment wazonu. Matka pana narzeczonej powiedziała nam, że ten wazon jeszcze tydzień temu stał na komodzie. Uważam, że pańska narzeczona wpuściła mordercę do środka, zaczęła się z nim szamotać i któregoś z nich, ona lub on, potrzaskało ten wazon. Sprawca nie zdążył posprzątać dokładnie potłuczonych resztek. Spieszył się zapewne. Na podłodze znaleźliśmy ślady obuwia męskiego w rozmiarze czterdzieści cztery. Pana narzeczona była umalowana tak, jakby miała wychodzić do miasta, a nie popełniać samobójstwo. A poza tym... – policjant zamilkł nagle, jakby się zamyślił lub nad czymś usilnie zastanawiał.

– Co poza tym? – niecierpliwił się John, któremu serce waliło jak oszalałe.

Borkowski znowu wypuścił kłąb dymu i dopiero po chwili odpowiedział:

– Poza tym dzisiaj po pana wizycie rozmawiałem z patologiem. Okazało się, że ofiara miała poparzone nozdrza od środka odurzającego. A jakby tego było mało, to śledztwo z niewyjaśnionych przyczyn odebrał nam UOP.

– Czyli próbują ukrećić łeb sprawie? – zapytał McDowell.

– Być może... – powoli, jakby ważył każde słowo odparł komisarz. – Dla mnie sprawa jest oczywista. Ktoś wtargnął do mieszkania pana narzeczonej, odurzył ją, a następnie wyrzucił przez okno, zacierając ślady i pozorując samobójstwo. Jeszcze jedno. Pewna staruszka widziała tuż przed zdarzeniem listonosza wchodzącego do klatki schodowej pańskiej narzeczonej. Twierdzi, że widziała go pierwszy raz. Sprawdziliśmy na poczcie i okazuje się, że nie wysyłali żadnego nowego listonosza, a jedyny obsługujący ten rejon twierdzi, że był w kamienicy godzinę wcześniej.

John uderzył pięścią w kierownicę samochodu. Narastała w nim wściekłość.

– Skurwysyny – zasyczał przez zaciśnięte zęby. – Znajdzie go pan?

Komisarz pokręcił przecząco głową.

– Przecież wie pan, że pana narzeczona została zamordowana przez zawodowca. Mogę panu dostarczać informacji, ale nigdy otwarcie nie zaangażuję się w to śledztwo. Nie chcę podzielić losu mojego szefa.

John przetarł twarz i zapatrzył się w mrok pobliskiego lasu. Znał realia równie dobrze jak Borkowski. Miał tu jednak jeszcze jedną rzecz do załatwienia.

– Jeszcze jedno – rzucił. – Czy może się pan spotkać ze swoim byłym kolegą?

Oczywiście tylko raz i w tajemnicy. Nikt nie będzie o tym wiedział.

Komisarz wyrzucił przez okno niedopałek papierosa.

– Domyślam się, o kogo panu chodzi – stwierdził.

– Adam Wolf – powiedział John, by rozwiązać wszelkie wątpliwości. – Czy mogę poprosić kolegę, aby go podwiózł? – zapytał.

Borkowski wziął głęboki oddech i rzucił:

– OK! Niech go pan daje.

Po czym ponownie wystawił latarkę przez okno i trzykrotnie zapalił ją i zgasił.

John przez telefon komórkowy poprosił Stevena o podwiezienie Adama. Po chwili z forda Scorpio wysiadł Wolf. Usiadł w aucie McDowella, tuż obok Borkowskiego, który z niedowierzaniem kręcił głową.

– Wiesz – rzucił komisarz – w komendzie wszyscy uważali, że te skurwysyny cię wykończyły. A tu proszę!

– Jestem ranny, ale żyję i na dodatek mam do ciebie prośbę – odparł Adam i wyciągnął z kieszeni płaszcz zaklejoną kopertę, którą podał koledze z komendy. –

Oddaj ten list mojej mamie, ale dopiero za trzy dni. Wymyśl jakąś bajkę. Że ktoś ci go podrzucił do domu czy coś w tym stylu. Ale pamiętaj, dopiero za trzy dni. Mogę na ciebie liczyć?

– Jasne, ale co z tobą? – zapytał Borkowski, chowając list za pazuchę wiatrówki.

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Odezwę się za jakiś czas. Czy coś wiadomo na temat śmierci Bukalskiego? – dopytywał Adam.

– Tylko tyle, że miał się spotkać w twojej sprawie z ministrem sprawiedliwości. Umówił się wieczorem z byłym generałem SB, niejakim Malczewskim, ale ten twierdzi, że kiedy przyjechał na miejsce spotkania, nie zastał go tam. Znalazł tylko jego samochód. Następnego dnia rano jakiś biegacz zauważył powieszzonego szefa w Lesie Kabackim. Był skatowany, miał połamane żebra i zgruchotaną szczękę.

– Malczewski mógł być z nimi w zмовie? – wtrącił się John.

– Tak, bo dziwnym trafem gość, którego niby wyrzucili na wcześniejszą emeryturę, ma teraz agencję ochrony i koncesję na sprzedaż broni. Robi jakieś grube interesy – odpowiedział Borkowski. – Myślę, że był tylko przynętą.

– Dziękuję panu – powiedział John. – Dzisiaj musimy jeszcze coś sprawdzić, ale czy możemy spotkać się za tydzień w tym samym miejscu i o tej samej porze?

– Nie! Na razie nie. Mogę być obserwowany – odpowiedział Borkowski, otwierając drzwi.

Pożegnał się z McDowellem, a Adamowi uściśnął rękę, życząc szybkiego wyjaśnienia całej sprawy i możliwości powrotu do normalnego życia.

John odprowadził Wolfa do drugiego auta.

– Jedziemy do mieszkania Joanny – polecił Stevenowi. – Jedziecie za nami i ubezpieczacie wejście na dole. Gdyby się działo coś niepokojącego, dzwońcie na telefon komórkowy. Jasne?

Steven pokiwał głową przytakująco. Po półtoragodzinnej jeździe zaparkowali samochody na podwórzu sąsiedniej kamienicy. John wraz z Tomem ruszyli na górę do



mieszkania. Steven wysiadł z auta i stanął przy wjeździe na podwórko, obserwując okolicę. Adam pozostał w samochodzie.

## ROZDZIAŁ LXIII

Piotr opuścił zakrystię kościoła i wyszedł do nawy bazyliki. W pierwszej ławie siedziała Teresa ze swym sędziwym ojcem. Przywitał się z obojgiem i poprosił, by z nim wyszli przed bazylikę.

– Co z księdzem Michałem? – spytała Teresa, gdy stali już na placu przed kościołem.

– Jest w stanie ciężkim, ale stabilnym. Musimy chwilę porozmawiać w spokoju – zaznaczył Piotr.

– A kiedy będziemy mogli wrócić do domu? – dopytywał gorączkowo ojciec Teresy.

– Właśnie dlatego musimy porozmawiać – odpowiedział Piotr.

– Może u nas w hotelu? To dosłownie dwa kroki stąd – zaproponowała Teresa.

Po chwili szli we troje spacerowym krokiem uliczkami miasta, podziwiając zabytkowe kamienice i barwne witryny sklepów oraz restauracji. Powoli zapadał zmrok, a Paryż rozpoczynał swe nocne życie. Wszędzie było tłoczno. Piotr jednak uciekał gdzieś myślami. Układał scenariusz rozmowy. Musiał przekonać ojca Teresy o konieczności dalszego ukrywania się. Wiedział, że ze starszym mężczyzną nie pójdzie mu łatwo. Z zamyślenia wyrwał go jakiś turysta, który z wyraźnie południowym akcentem próbował dopytać się po angielsku o drogę. Teresa po francusku próbowała wytłumaczyć mu, że nie są mieszkańcami Paryża, ale ten, jakby nie rozumiejąc, nadal rozkładał mapę i usiłował uzyskać od nich informacje. Człowiek w średnim wieku, w okularach i czapce, podobnej do tej, jakiej używają golfiści, był wyjątkowo natrętny. Zniecierpliwiony Piotr już miał podejść do natręta, gdy nagle, tuż przy nich, z piskiem opon zahamowała czarna furgonetka z reklamą wyrobów cukierniczych. Gdy Piotr odwrócił się w stronę samochodu, poczuł silne uderzenie w głowę. Świat zawirował mu przed oczyma, upadł na jezdnię. Zanim stracił przytomność, zdążył jedynie zauważyć, że turysta zamiast folderu z mapką Paryża trzyma w ręku gumową pałkę.

Ocknął się polany zimną wodą z wiadra. Ból głowy był nie do zniesienia, ręce miał skute z tyłu krzesła. Po lewej stronie stały jeszcze dwa krzesła, na których siedzieli Teresa i jej ojciec. Pomieszczenie przypominało piwnicę jakiegoś starego budynku. Pod sufitem świeciła blado jedna, stara żarówka. Nie słyszał odgłosów ulicy, musieli być więc w jakimś ustronnym miejscu. Piotr dopiero teraz dostrzegł swoich prześladowców – wysokiego, chudego blondyna o kręconej czuprynie i śniadego osiłka przypominającego zapaśnika. Ten ostatni trzymał w ręku drewniany

kij bejsbolowy. Nagle drzwi prowadzące do pomieszczenia uchyliły się i stanął w nich turysta, tyle tylko, że bez okularów i czapki. Dopiero teraz można było dostrzec, że jest łyśawy, a swym wyglądem idealnie przypomina urzędnika średniego szczebla. Turysta odezwał się po rosyjsku:

– Witam, witam, panie Mróz! Jakże się cieszę, że w dobrym zdrowiu pana widzę – paplał jowialnie. – Pana przełożeni myśleli, że zginął pan w tej spalonej willi. A tu proszę. Pan ma się dobrze i nawet stał się pan bogatym człowiekiem – mówiąc to, wskazał na plik pieniędzy leżący na skrzynce pod ścianą.

– Pan mnie z kimś myli – powiedział Piotr po niemiecku, udając przerażenie.

– A to dziwne – zaśmiał się turysta. – Toż ta pani obok, Teresa, jeśli się nie mylę, i jej ojczulek rozpoznali pana.

Piotr kątem oka już wcześniej zauważył, że twarze Teresy i jej ojca noszą ślady bicia. Przeklął w duchu. Nie powinien ich narażać. Musiał czegoś nie dopilnować, nie zauważyć.

– To jeszcze raz, ostatni – ton, jakim mówił łyśawy jegomość, nagle stał się ostry niczym brzytwa. – Nazywasz się Mróz, Piotr Mróz?

Piotr wiedział, że dalsze udawanie Niemca nie ma najmniejszego sensu. Teresa z ojcem mogli na dodatek za to zapłacić podwójnie.

– Tak, to ja – rzucił, starając się nie okazywać żadnych emocji.

– Świetnie – fałszywy turysta z satysfakcją pokiwał głową. – Zaczynasz myśleć, więc dam ci szansę na uratowanie życia tych tutaj. Zadam tylko jedno pytanie, od niego zależy ich życie. Gdzie jest archiwum?

– Nie wiem, o czym pan mówi – próbował Piotr.

Łysy gość powoli, z namaszczeniem wyjął pistolet, przykręcił tłumik i strzelił między oczy ojcu Teresy. Kobieta miała zakneblowane usta, ale zaczęła szlochać i krztusić się.

– No, panie pułkowniku, gdzie jest archiwum? – ponowił pytanie łyśol, celując tym razem w oczy przerażonej kobiety.

– Dobrze, powiem wszystko, tylko nie zabijajcie jej – poprosił Piotr, wiedząc, że jedyną szansą jest gra na czas, choć nie liczył, że porywacze wypuszczą kogokolwiek z swoich łap. Musiał znaleźć jakieś wyjście, gorączkowo myślał, a głośno powiedział: – Archiwum jest schowane w lesie, pięćset metrów od mojego domu letniskowego.

– Kłamiesz, sukinsynu! – warknął łyśy oprawca i strzelił w kolano Teresie. Ta zawyła z bólu i zaczęła przeraźliwie szlochać. – Komu sprzedałeś archiwum?

– Nie sprzedałem jeszcze archiwum. Mam dostać pieniądze na konto, to jest dopiero zaliczka, którą dostałem – kombinował Piotr.

Z zewnątrz nagle dobiegł odgłos podjeżdżającego samochodu. Łysawy dał głową znak blondynowi, a ten ruszył schodami na górę. Po chwili na stopniach słychać było stukot butów dwóch osób i do pomieszczenia wszedł blondyn i mężczyzna około pięćdziesiątki. Piotr oniemiał z wrażenia, bo oto przed nim stał pułkownik Albin Śmietana – człowiek, który od pół roku miał nie żyć, utonąwszy w Egipcie podczas nurkowania.

- Pan? – zdołał jedynie wykrztusić Piotr.
- Tak, to ja – odparł uśmiechnięty pułkownik.

Ubrany w elegancki garnitur, białą koszulę i krawat sprawiał wrażenie biznesmena i zupełnie nie pasował do tego miejsca, otoczenia i sytuacji.

- Mam dla ciebie propozycję – powiedział Śmietana, stając przed krzesłem.
- Czekam – odparł Piotr, biorąc głęboki oddech, by się uspokoić.
- Archiwum za życie twoich bliskich. Twojej córki i wnuczki.
- Archiwum jest w Polsce. W lesie, pięćset metrów za moją działką – upierał się

Piotr.

- Kłamiesz! Komu sprzedałeś archiwum? – zasyczał Śmietana.
- Jeszcze nie sprzedałem, to jest zadatek!
- CIA? – zasugerował łysawy jegomość.
- CIA – potwierdził Piotr – ale archiwum jeszcze jest w Polsce.
- Rozkuj go – nakazał Śmietana.

Blondyn rozpiął kajdanki na rękach Piotra.

– Narysuj na kartce plan i zaznacz, gdzie jest zakopane archiwum. Jeżeli nas oszukałeś, to jutro będziesz martwy, a za tobą pójdzie do piachu twoja córka. Nasi ludzie w Rzymie już ją mają. CIA to partacze – zaśmiał się pułkownik Śmietana.

Piotr wziął kartkę i długopis od osiłka i narysował na niej leśną daczę. Z pamięci odwzorował szkic terenu lasu za willą. Zazaczył kępę drzew, którą sobie przypomniał. Wskazał ją i poinformował oprawców, że dwadzieścia kroków od niej zakopał archiwum, przykrywając je leśną ściółką.

- Oby to była prawda – z niemiłym uśmiechem powiedział pułkownik.

Śmietana już miał wychodzić z pomieszczenia, gdy jego wzrok padł na skrzynię, na której leżały pieniądze i wyjęty z pudełka różaniec. Pułkownik schował pieniądze do torby i wziął do ręki łańcuszek z paciorkami.

- Twój? – zapytał kpiąco.
- Tak, mój – cicho odparł Piotr.

– Nawróciłeś się? Ty, morderca, nawróciłeś się? – rechotał Śmietana z niedowierzaniem. Po chwili rzucił różaniec pod nogi Piotra, podszedł i ostentacyjnie nadepnął go obcasem buta, jakby chciał go zmiażdżyć. – Co? Pomoże ci? – zaśmiał się szyderczo i odwrócił się, dając łysawemu jegomościowi znak głową, aby wyszedł razem z nim.

Kiedy byli na górze wynajętej farmy, Śmietana rzucił po rosyjsku:

– Nasi ludzie sprawdzą ten las, ale zdaję sobie sprawę, że ten gnój sprzedał archiwum Amerykanom. Po naszym wyjeździe wykończ ich i zakop.

Łysy bez słowa pokiwał głową, odprowadził pułkownika i poczekał, aż jego samochód wyjedzie z podwórka. Westchnął, wyjął papierosa i postanowił zapalić. Nie lubił egzekucji, ale cóż, taka robota.

Na dole, w piwnicy Piotr zastanawiał się, ile czasu jeszcze zostało. Jemu i Teresie, która nic nikomu przecież nie zrobiła. Wiedział, że sprawdzenie lasu za domem może

zając najwyżej dobę. Zrezygnowany spuścił wzrok na ziemię i zauważył zdeptany wcześniej różaniec. Przypomniawszy sobie słowa sędziwego księdza i zaczął szukać słów modlitwy. Modlitwy, której nie odmawiał od pół wieku. Słowa pojawiły się same, błagalne, proszące o przebaczenie, ale gdzieś między nimi pojawiały się dręczące myśli o córce. Czy Śmietana mówił prawdę, czy tylko blefował? – zastanawiał się. Jeszcze raz instynktownie napiął ręce, sprawdzając, czy kajdanki są zapięte, ale te były solidne i nie chciały puścić. Zerknął przeproszająco na Teresę, ale ta na skutek postrzału, bólu i upływu krwi straciła przytomność. Nieco dalej na krześle leżały zwłoki jej ojca. Naprawdę pozostała mu jedynie modlitwa. Przymknął oczy i zaczął prosić Boga, aby jego córka była bezpieczna.

Łysawy Rosjanin skończył palić papierosa i właśnie zamierzał zawołać strażnika pilnującego bramy farmy, gdy poczuł uderzenie w skroń i zwałił się na ziemię niczym rażony piorunem. Pocisk rozerwał mózg, zanim zdążył choćby zareagować. Podobna kula wystrzelona przez drugiego snajpera trafiła też w głowę strażnika pilnującego farmy. Po chwili dwa cienie podbiegły bezszelestnie pod wejście do piwnicy. Jeden z nich zerknął przez małe okienko, a drugi stanął na schodach i rzucił kawałek metalu, tak aby wywołany hałas wzbudził zaniepokojenie na dole. Po sekundzie śniady osiłek ruszył po schodach do góry, robiąc dokładnie to, czego oczekiwali agenci. Gdy był już na górze, jeden z przyczajonych mężczyzn błyskawicznie wyskoczył zza futryny, chwycił go od tyłu jedną ręką, kneblując mu usta, a drugą zadał śmiertelny cios nożem w plecy. Blondyn, który pozostał na dole, usłyszał szamotaninę. Odbezpieczył pistolet i wymierzył w Piotra. Piotr zastygł na moment, niczym zwierzę przygotowujące się do ataku. Zdał sobie sprawę, że na górze coś się dzieje. Nie wiedział co, ale instynkt podpowiadał mu, że trzeba zacząć działać. Kiedy blondyn odwrócił wzrok w stronę schodów, Piotr zebrał siły i błyskawicznie wraz z krzesłem ruszył na Rosjanina, uderzając go głową w brzuch. Ten padł na ziemię, ale zdążył wystrzelić w kierunku Mroza, raniąc go w lewą rękę. Po chwili padł kolejny strzał. Blondyn został trafiony w głowę przez agenta znajdującego się na zewnątrz, przy jednym z okienek.

Do piwnicy wszedł jakiś mężczyzna, lustrujący teren i mierzący z pistoletu. Piotr spojrział na niego i powiedział po angielsku:

– Tutaj to wszyscy, ale na górze był jeszcze co najmniej jeden.

– Spokojnie, tamci są już nieszkodliwi – uspokoił go mężczyzna i zapytał: – Piotr Mróz?

– Tak, to ja. Skąd wiedzieliście, że tu jestem?

– Dowie się pan w odpowiednim czasie, a teraz musimy pana stąd ewakuować – stwierdził agent, podnosząc Piotra z kolan.

– Moja córka, trzeba ją ostrzec – rzucił gorączkowo Mróz.

– Kazano mi panu przekazać, że jest bezpieczna w Rzymie – odparł spokojnie mężczyzna, rozkuwając ręce Piotra.

– Najpierw ją! Jest ranna, straciła dużo krwi – powiedział Piotr, wskazując głową na Teresę. Gdy uwolniono mu ręce, podbiegł do niej.

Na szczęście żyła. Piotr odwrócił się i spojrział na podłogę, gdzie leżał

opuszczony, zdeptany różaniec. Podniósł go z ziemi, ucałował i schował do kieszeni. Wciąż nie mogąc uwierzyć, że żyje.

– Jesteście od McDowella? – spytał nadal oszołomiony Piotr.

Agent tylko przytakująco pokiwał głową.

## ROZDZIAŁ LXIV

John przystanął przed wejściem do mieszkania Joanny. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk dochodzący ze środka. Przywarł uchem do drzwi i nasłuchiwał. Po dłuższej chwili stwierdził, że w mieszkaniu jednak panuje cisza. Dał znak głową Tomowi i obaj odbezpieczyli pistolety, po czym John wyjął z kieszeni płaszcz klucze. Ostrożnie, niemal delikatnie przekreślił zamek i naciskając klamkę, powoli otworzył drzwi. Ciemność przedpokoju rozjaśniało jedynie światło wpadające z klatki schodowej. Obaj mężczyźni weszli do środka, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi. Tom zapalił latarkę i wyjął z kieszeni urządzenie elektroniczne do wykrywania instalacji podsłuchowych.

– Zaczniemy od sypialni – szepnęła John i ruszył w kierunku dobrze mu znanego pokoju. Skrzywił się mimowolnie w bolesnym grymasie. Nie mógł się uwolnić od obrazu zwłok Joanny leżących na podwórku kamienicy. Widział wciąż jej rozrzucone włosy i usta starannie umalowane czerwoną szminką. Podeszedł do drzwi pokoju i otworzył je. To tutaj kochali się, rozmawiali, cieszyli każdą chwilą spędzoną ze sobą. Nadal nie mógł uwierzyć, że już nigdy jej nie dotknie, nie pocałuje, nie przytuli. Omiótł światłem latarki pomieszczenie. Snop światła zatrzymał na kontakcie znajdującym się tuż obok łóżka, do którego podłączona była nocna lampka. Ruszył w tę stronę. Tom, który właśnie wszedł do sypialni, również podeszedł do gniazdka i skierował na nie urządzenie. Kiedy uruchomił swój sprzęt, dioda sygnalizująca obecność podsłuchu gwałtownie zaczęła migać. John i Tom pokiwali głowami na znak, że mają to, czego szukali. John wydobył mały zestaw wkrętek i zaczął wykręcać kontakt. Po chwili ujrzał podłączoną do systemu gniazdka instalację podsłuchową z małym mikrofonem.

Teraz śmierć jego narzeczonej nabierała sensu. Jeśli jej mocodawcy usłyszeli ich nocną rozmowę i jego próbę wystraszenia dziewczyny, mogli uznać, że może ich zdradzić. Nie ufali jej – pomyślał John, mocując z powrotem gniazdko do ściany. W pierwszej chwili ta myśl wydała mu się pocieszająca, wkrótce jednak przypomniał sobie, że już nigdy nie będzie mógł dowiedzieć się, czy Joanna kochała go na tyle, by przyznać się i stanąć po jego stronie barykady.

Tom odwrócił się i ruszył w stronę kuchni, by sprawdzić, czy również w innych pomieszczeniach zainstalowano podsłuch. Gdy przekroczył próg kuchni, zza uchylonych drzwi otrzymał cios twardym narzędziem i z rozbitą głową zwałił się nieprzytomny na podłogę. John, słysząc dziwne odgłosy z kuchni, instynktownie sięgnął po pistolet. Podnosił się właśnie z podłogi, kiedy otrzymał cios pięścią uzbrojoną w kastet. Poczul silne uderzenie w żebra i zasyczał z bólu. Próbował oprzeć

się ręką o stolik, na którym stała nocna lampka, ale napastnik wyprowadził kolejny cios – tym razem trafił w szczękę McDowella. Ten, niczym rażony piorunem, upadł tuż przy łóżku. Poczul silny uścisk. Ktoś wykręcał mu prawą dłoń, w której trzymał pistolet. Świat wirował mu przed oczami, a z rozbitego nosa i warg obficie lała się krew. Ktoś złapał go za ramiona i rzucił na łóżko. Napastników musiało być dwóch, bo jednocześnie ktoś inny przeszukiwał kieszenie jego płaszcza i marynarki.

Po chwili półprzytomny McDowell został oblany zimną wodą i zaczął dochodzić do siebie po wcześniejszym nokaucie. Już parę razy w życiu zdarzyło mu się porządnie oberwać, ale nigdy dotąd nie miał do czynienia z kastetem. Bolały go wargi i nos, wyraźnie też czuł, że cios spowodował naruszenie kilku zębów, które pod wpływem dotykania językiem sprawiały wrażenie, jakby za chwilę miały wypaść. Jeszcze raz poczul zimną wodę na twarzy. Tym razem oprzytomniał na tyle, że mimo zawrotów głowy ujrzał w półmroku trzy postacie. Jedna z nich nachyliła się nad Johnem i wyszeptala łamaną angielszczyzną:

– I co, panie McDowell, czas pana służby dobiegł końca.

– Kim jesteś? – wybełkotał John, wypluwając kolejną stróżkę krwi z ust.

– Przeznaczeniem, które dzisiaj zakończy twoją karierę w CIA – wycedził szyderczo napastnik z rosyjskim akcentem.

John pomimo panującego półmroku dostrzegł twarz napastnika, jego krótkie blond włosy i muskularną sylwetkę. Zawodowiec, ocenił.

– Przyniesiecie tego drugiego – blondyn wydał rozkaz dwóm pozostałym, a pochylając się nad Johnem, dodał: – A teraz się wystrzelacie. Twój kolega odkrył, że pracowałeś dla nas i dlatego musiałeś go zabić. Ale on też zdążył strzelić. Nie będzie żadnego świadka, a twoi szefowie zostaną poinformowani, że narzeczona zwerbowała cię do pracy dla nas i postanowiłeś się jej pozbyć. Twój kolega jednak zorientował się, że zdradziłeś i przyszedłeś tu zatrzeć ślady. I tak to się skończy.

Dwójka pozostałych napastników przytaszczyła do sypialni nieprzytomnego Toma. Jeden z nich trzymał w ręce pistolet, który podał blondynowi. Ten przeładował berettę i zapytał McDowella:

– To który z was chce pierwszy przejść na wcześniejszą emeryturę?

– Mam do ciebie jedną prośbę – powiedział cicho John.

– No? – ponaglił go Rosjanin.

– Powiedz mi, dlaczego zabiliście Joannę – głos McDowella zadrżał.

– Co ci do tego, sukinsynu? – zjadliwie rzucił blondyn i miał już przeładować pistolet, gdy spojrzał raz jeszcze na Johna. Może odezwały się w nim resztki sumienia, bo nagle stwierdził: – Mogła nas zdradzić! Ona naprawdę się w tobie kochała.

John westchnął. Nie było ratunku, nie mógł uciec, ale poczul coś na kształt ulgi. Za plecami jednego z napastników zauważył wiszące na ścianie zdjęcie, na którym on i Joanna roześmiani cieszyli się plażą i słońcem podczas wczasów nad Bałtykiem. Pamiętał tę chwilę i jej uśmiech. Przymknął oczy, starając się przywołać tę radość z tamtych dni. Pragnął ostatnią chwilę życia poświęcić kobiecie, która naprawdę go



kochała.

Blondyn przeładował pistolet Toma i wymierzył w McDowella. Nagle rozległ się huk wystrzału, a po sekundzie drugi, ale John nie odczuł żadnego bólu.

Tom miał załadowane ślepaki? – zastanawiał się. Otworzył oczy i spojrzał na blondyna.

To, co ujrzał przed sobą, było tak niewiarygodne i nieprawdopodobne, że McDowell przez chwilę miał wrażenie, iż całe to zajście to jakiś pokręcony sen.

Oto blondyn stał przy łóżku, a obok Toma leżały ciała dwóch jego pomocników. Kiedy oszołomiony John zamierzał zapytać, co się stało, blondyn błyskawicznie pochylił się nad nim i palcem przyłożonym do ust nakazał milczenie, wskazując na gniazdko z urządzeniem podsłuchowym. Następnie przyłożył pistolet do swojej ręki powyżej łokcia i wystrzelił. Zajęczał niczym poważnie ranny człowiek, po czym krwawiącą rękę wytarł w pościel i firankę. McDowell, nadal oszołomiony całym przedstawieniem, zaczął podnosić się z łóżka. Blondyn pomógł mu wstać i wskazał na Toma. Obaj podnieśli nieprzytomnego nadal agenta. Blondyn podał pistolet Johnowi i brodą wskazał na drzwi wejściowe.

Kiedy wyszli na klatkę schodową, John nie potrafił się już dłużej powstrzymać i spytał wprost:

– Co jest grane?

– Jeżeli wywiezie mnie pan z Polski na Zachód, to w zamian za azyl polityczny i ochronę pana szefowie mogą dowiedzieć się o planowanym ataku terrorystycznym w Europie – wyrzucił z siebie blondyn.

– O jakim zamachu mowa, czym, gdzie? – dopytywał gorączkowo John.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw pomoc, a później możecie ocalić dziesięć milionów ludzi w Europie – odrzekł blondyn, taszcząc po schodach nieprzytomnego Toma.

– Ty zabiłeś Joannę? – spytał John, przystając na chwilę.

Rosjanin spojrzał mu głęboko w oczy.

– Tak, ale nie miałem wyjścia.

## ROZDZIAŁ LXV

Kiedy John wszedł do gabinetu narad w niemieckiej siedzibie CIA, pierwsze kroki skierował do butli z wodą. Spał czternaście godzin, ale był to jego pierwszy sen po dwu nieprzespanych dniach i nocach. Tempo wydarzeń, które rozegrały się w Warszawie, wyczerpało go całkowicie, lecz chęć poznania prawdy, jaką miał przekazać Rosjanin, zmuszała do działania.

Drzwi gabinetu otworzyły się i do środka weszli dwaj mężczyźni. Jednym z nich był szef Johna – Murphy, a drugim człowiek znany do tej pory McDowellowi jedynie z opowieści. Był to dyrektor biura do walki z terroryzmem – Mark Lukas, syn senatora. McDowell przerwał nalewanie wody do plastikowego kubka i ruszył na przywitanie ze zwierzchnikami. Gdy stanął przed szefostwem, Lukas spojrzął na niego, podrapał się pod brodą i rzekł:

– Nie lubię pieprzyć frazesów, ale powiem ci, McDowell, że twoje ostatnie osiągnięcia i szczęście, które ci dopisuje, zaniosą cię wysoko w naszej kochanej CIA.  
– Wyciągnął dłoń i wskazał ręką na krzesło.

John bez słowa usiadł przy stole. Gdy wszyscy już zajęli miejsca, Murphy przyjrzał się uważnie podwładnemu i zapytał:

– Czy jesteś gotowy wrócić do Warszawy?

– Jestem – odpowiedział szybko McDowell.

– Czy psychicznie poradzisz sobie po śmierci twojej narzeczonej? Wiesz, że nie był to wypadek? – uściślił pytanie Murphy.

– Poradzę sobie – odparł John bez chwili wahania.

– No więc tak... – Mark Lukas przerwał na chwilę i zerknął do jakiejś teczki. –

Jeżeli wierzyć temu Rosjaninowi, to w Polsce znajduje się dwadzieścia przemyconych pojemników z wirusem czarnej ospy. Były one przygotowane w latach siedemdziesiątych do ataku na stolicy państw Europy Zachodniej i największe aglomeracje w celu wywołania paniki i doprowadzenia do chaosu.

– Czyli naprawdę może zginąć dziesięć milionów ludzi? – z niepokojem w głosie spytał John.

– To zależy oczywiście od zjadliwości i świeżości przechowywanych wirusów – odpowiedział Murphy.

– Czyli Rosjanin nie kłamał – podsumował McDowell.

– Niestety nie – potwierdził Lukas. – To, co powiem, stanowi największą tajemnicę państwową.

McDowell bez słowa kiwnął głową, na znak, że rozumie powagę sytuacji.

– W Rosji grupa generałów chce odzyskać władzę. Potrzebne im jest odwrócenie uwagi od swoich działań i w tym celu dogadali się z działaczami muzułmańskich organizacji terrorystycznych i zaproponowali im sprzedaż wirusów za pięćset milionów dolarów.

– Zamach w Europie ma odwrócić uwagę od zamachu stanu w Rosji – dedukował John.

– W rzeczy samej – odparł Lukas. – Jeśli dojdzie do zamachu, to pogrążona w chaosie Europa nie będzie zwracać uwagi na to, co stanie się w Rosji.

– Sprytne – rzucił John.

– Nie tylko sprytne, ale i bezwzględne. Atak terrorystyczny na taką skalę to katastrofa, która może wywołać światową epidemię, której opanowanie może zająć lata. Skutki mogą być nieodwracalne dla całej ludzkości, także dla Rosji. Ale żądza władzy dla tych idiotów jest ważniejsza – wyjaśnił ponuro Murphy.

– Czy temu Rosjaninowi można zaufać? – dopytywał McDowell.

– Tego do końca nie wiemy – odpowiedział Lukas i pytająco spojrzął na Murphy’ego, a ten dał mu znak głową. Dopiero wtedy syn senatora ciągnął: – Nie mamy jednak wyjścia. Jeżeli zdecydowałeś się na wyprawę do Warszawy, to musisz wiedzieć coś jeszcze.

– Zamieniam się w słuch – zapewnił John.

– To, co powiedział Rosjanin, jest prawdą. Nasze najlepsze źródło wywiadowcze na Bliskim Wschodzie potwierdziło te informacje. Gdzieś w okolicach Neapolu pływa jacht jednego z szejków, który ma zapłacić za dostarczoną broń bakteriologiczną.

– Nie możemy zlikwidować jachtu i sponsora? – zaproponował McDowell.

– Nie możemy, bo nie ma to większego sensu. Zabijemy jednego miliardera, to w jego miejsce pojawi się dziesięciu innych gotowych zasponsorować terrorystów. Musimy przejąć te niebezpieczne zabawki na terenie Polski – odparł stanowczo Lukas. – W otoczeniu tego szejka mamy naszego informatora, który przekazuje wszystkie wiadomości. Jeżeli pojawi się inny fanatyczny arabski miliarder, to już możemy nie mieć możliwości kontrolowania go.

– W takim razie, czego panowie oczekujecie ode mnie? – zapytał wprost John.

Murphy po raz kolejny wymienił pytające spojrzenia z Lukaszem.

– Zagram z tobą w otwarte karty – zaczął powoli, jakby ważył każde słowo. – Razem z dyrektorem Lukaszem wydaje nam się, że Rosjanin mówi prawdę. Mamy pewność co do niektórych faktów. Nie wierzymy jednak w jego legendę o nienawiści do muzułmanów, którą ponoć żywi od czasów wojny w Afganistanie, gdzie stracił wielu przyjaciół. Ponoć boi się, że w przyszłości takie zamachy mogą spotkać Rosję i jego rodaków.

John stuknął palcami po stole. Myślał intensywnie, analizując to, co usłyszał przed chwilą.

– A więc cała sprawa ma drugie dno – stwierdził stanowczo.

– Tak uważamy – potwierdził jego podejrzenia Murphy.

– Tylko czego ono dotyczy? – zastanawiał się McDowell.

– Wydaje nam się, że jakiś ważny gość w Rosji nie chce dopuścić do puczu i chce nas ostrzec. Dlatego wysłał tego człowieka z informacją – powiedział Murphy.

– Ten Rosjanin ma stopień majora. To bezwzględny zabójca. Typ robota, dlatego nie wierzę, aby działał samodzielnie. On jest doskonale zaprogramowaną maszyną – wyjaśnił Lukas.

– Czego panowie oczekujecie ode mnie? – ponowił pytanie John.

– Oczekujemy, że pojedziesz do Polski, odszukasz ukryte pojemniki z ospą, przejmiesz je i wyeliminujesz zagrożenie – objaśnił Murphy.

– Wyeliminuję zagrożenie, czyli? Nie licząc oczywiście samych pojemników.

– Zabijesz ludzi, którzy brali w tym udział – powiedział bez cienia emocji w głosie Lukas.

– Wiadomo, co to za ludzie? – pytał dalej John.

– Częściowo – odparł Murphy i zaczął objaśniać, rozkładając zdjęcia z teczki: – Ten gość to polski pułkownik służb specjalnych. Oficjalnie utonął rok temu w czasie wakacji w Egipcie, a tak naprawdę ma się świetnie i z tym gościem – wskazał palcem na kolejne zdjęcie człowieka na wielkim, morskim jachcie – generałem KGB, Zajcewem, rozpoczęli handel bronią na dużą skalę. To oni zaproponowali sprzedaż terrorystom z Hezbollahu, a konkretnie temu człowiekowi – Murphy wyciągnął jeszcze jedną fotografię, tym razem Araba.

– Co to za przyjemniaczek? – zapytał McDowell.

– To Hazer, terrorysta szkolony przez służby specjalne Polski i Rosji w latach osiemdziesiątych – wyjaśnił Lukas.

– Czyli sami znajomi – rzucił John.

– Bardzo dobrzy znajomi – dodał syn senatora.

– Wiemy, gdzie znajduje się to paskudztwo?

– Nie, ale wiemy, kto posiada tę wiedzę i jak znaleźć tego człowieka – odpowiedział McDowellowi Lukas.

Lukas postukał palcem w zdjęcie polskiego pułkownika. John wziął do ręki fotografię i zapytał:

– Co to za człowiek i jak go znajdę, skoro oficjalnie utonął?

– Pułkownik Albin Śmietana – odparł Lukas. – W jego otoczeniu mamy agenta, który poinformuje nas, kiedy ten cudownie ocalony gość zjawi się w Polsce.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną ciekawą informację – zauważył z pewną dozą satysfakcji w głosie Murphy. Lubił popisywać się swoją wiedzą.

– Zamieniam się w słuch – powiedział John.

– Wiesz, kto wydał rozkaz zabicia twojego źródła pozyskania dokumentów z Polski, pana pułkownika Mroza, na farmie pod Paryżem?

John pokręcił przecząco głową. Murphy wskazał palcem na zdjęcie pułkownika Śmietany.

– To dlaczego nie został wyeliminowany tam na farmie?

– Bo musi doprowadzić nas do schowanych pojemników w Polsce. Rozumiesz? –

zapytał Lukas.

– Rozumiem – odparł John, kiwając w zamyśleniu głową.

– I jeszcze jeden ważny gość! – Murphy pokazał zdjęcie człowieka w polskim mundurze wojskowym i objaśnił: – To podpułkownik Filipowski, specjalista bakteriolog z tytułem doktora. Został przez swoich kolegów zaangażowany do zorganizowania i przechowania w Polsce pojemników z bakteriami.

– Dlaczego on?

– Widzisz, w puczu Janajewa nie brało udziału jedynie dziewięciu oficerów. Było ich znacznie więcej i widocznie generał Zajcew, organizujący całe przedsięwzięcie, zmuszony był wywieźć pojemniki z Rosji. Być może ludzie przygotowujący nowy pucz chcą najważniejszą broń ulokować poza Rosją. Nie wiedzą do końca, kto jest z nimi, a kto przeciw nim. Ktoś zdradził puczystów Janajewa, więc być może ich też ktoś zdradzi, a nikt nie chce umierać przedwcześnie – wyjaśnił Lukas.

John zmarszczył brwi. Wszystko było jasne.

– Potrzebują katastrofy i chaosu, aby ponownie wskrzesić ZSRR – stwierdził.

– Właśnie dlatego musimy przystąpić do działania – powiedział Murphy.

– Ile mamy czasu? – zapytał John.

– Próbką wirusa trafiła do ukrytego laboratorium terrorystów w Afganistanie. Potrzebują około miesiąca na jej sprawdzenie – objaśnił Lukas.

– Czyli po śladach tych dwu ludzi – John wskazał na zdjęcia polskich oficerów – muszą trafić do miejsca przechowywania tego świństwa?

– Tak! – potwierdził Lukas. – Dostaniesz do pomocy naszego najlepszego specjalistę. To pułkownik Mathew Louis. Także oddział „Delta”, który pod przykrywką firmy poszukującej ropy dla Polski, jest już na miejscu.

John wstał od stołu. W głowie zaświtała mu pewna myśl.

– Mam jeszcze jedną prośbę. Czy mogę do Polski zabrać dwóch ludzi, o ile ci panowie się na to zgodzą – zaproponował.

– Kogo masz na myśli? – zapytał Lukas.

– Pułkownika Mroza i tego policjanta, Wolfa – odpowiedział McDowell.

– A po co ci oni, do diabła? – Murphy był co najmniej zaskoczony propozycją.

– Po pierwsze, ten eksnieboszczyk to znajomy, choć niezbyt dobry, pana Mroza. Ostatnim człowiekiem, który widział pułkownika Śmietanę, był właśnie Mróz. A ten policjant to niezwykle inteligentny gość. Myślę, że zrobiłby karierę w każdej policji kryminalnej na świecie.

– Myślisz, że się zgodzą? – zapytał nieco sceptycznie Lukas.

– Jeżeli zagwarantuje pan rodzinie Mroza i jemu samemu dożywotnią ochronę w USA, to się zgodzi. A co do policjanta – tu John się zawahał. Nie wiedział, czy nie wymaga zbyt wiele – to musiałoby to dotyczyć nie tylko jego osoby, ale także jego matki.

Murphy kolejny raz wymienił spojrzenia z Lukasem. Tym razem inicjatywę z racji zajmowanego stanowiska przejął syn senatora.

– Myślę, że życie dziesięciu milionów ludzi jest tego warte. Porozmawiaj z nimi.

Są tutaj w naszej klinice wojskowej.

John wziął ze stołu zdjęcie pułkownika Śmietany i ruszył do pomieszczeń szpitalnych, gdzie przebywali Piotr i Adam.

## ROZDZIAŁ LXVI

Piotr leżał na łóżku szpitalnym. Rozmowy toczące się niekiedy między członkami personelu kliniki upewniły go, że jest w Niemczech. Był tu bezpieczny, ale ostatnie wydarzenia we Francji napawały go nadal niepokojem. Rana ręki okazała się niegroźna, stan postrzelonej Teresy był jednak ciężki. Ponadto jego prośby o kontakt z córką lub Johnem zbywano milczeniem. Pielęgniarki i lekarze opiekujący się nim byli personelem wojskowym, nauczonym niewdawania się w zbędne rozmowy z pacjentami. Sprawiali wrażenie robotów zaprogramowanych do wykonywania tylko określonych zadań.

Piotr usiadł na łóżku i sięgnął do stolika po gazetę. Za oknem panowała jesienna aura. Deszcz zacinał, dudniąc o szyby, a zachmurzone, szare niebo nie wróżyło poprawy pogody. Nagle ktoś zastukał. Piotr z niepokojem zerknął w stronę drzwi. Na progu stanął jednak człowiek, którego na szczęście znał.

– Witam! Jak się pan czuje? – zapytał McDowell, wyciągając dłoń na przywitanie.

Piotr usiadł na łóżku, podał mu rękę i zapytał:

– Co z moją córką? Jest bezpieczna?

John pokiwał głową przytakująco i spokojnie odpowiedział:

– Pana rodzina jest pod ochroną naszych ludzi przez dzień i noc. Nic nie grozi zarówno im, jak i księdzu Michałowi. O jego bezpieczeństwo dbamy nie tylko my, ale i włoscy karabinierzy. Leży także w klinice Gemelli, niedaleko pana wnuczki.

– Jak się czują? Moja wnuczka i Michał?

– Stan zdrowia pana wnuczki poprawia się z dnia na dzień. Serce pracuje coraz lepiej. Ten lekarz, który ją operował, to prawdziwy wirtuoz. Jak pan zdołał znaleźć do niego dojsście? – spytał John z lekkim podziwem w głosie.

– To nie ja, tylko ksiądz Michał – odparł Piotr i ponowił pytanie: – Co z nim?

– Żyje, jest pod dobrą opieką i w stabilnym stanie – odparł John. Przerwał, jakby się zastanawiając nad czymś, i dopiero po chwili dodał: – Człowiek, który go zaatakował, to zabójca pracujący na zlecenie KGB.

– Dlaczego nie zabił Michała?

– Nie miał rozkazu go zabić. Miał go tylko zranić, aby pana zwabić do niego – wyjaśnił McDowell. – W klinice Gemelli w Rzymie aż roi się od ludzi KGB. Czekają na pana.

Piotr westchnął i położył się na łóżku. Oddychał ciężko, z wysiłkiem. Dopiero teraz John dostrzegł, jak bardzo Mróz jest zmęczony.

– Niech pan się nie martwi. Zapewnimy bezpieczeństwo pana bliskim, a gdy tylko

lekarze zezwolą, wywieziemy ich do USA. Tam zostaną objęci ochroną świadków – starał się go uspokoić.

– A co będzie z Michałem? – spytał Piotr.

John rozłożył bezradnie ręce.

– To ktoś ważny dla pana? – zapytał.

Piotr skinął głową i odparł:

– To mój brat.

– Rodzony?

– Tak – odparł zrezygnowanym głosem Piotr.

– Dlaczego nosi inne nazwisko?

– To długa historia, z czasów wojny.

– Wiem, że panu ciężko – powiedział McDowell. Wziął krzesło, postawił obok łóżka Mroza i siadając, stwierdził ze współczuciem: – Ostatnie dni nie były dla pana łatwe.

– Zgadza się.

– Dla mnie też – powiedział John niemal szeptem. Nie wiedział dlaczego, ale czuł coś na kształt więzi z tym dziwnym Polakiem, który miał tak bardzo powikłany i dramatyczny życiorys.

Piotr przyjrzał mu się badawczo i spytał:

– Co się stało?

– Zabili Joannę – cicho odparł John. Nastąpiła niemal grobowa cisza. Zza szyby dobiegał jedynie miarowy szmer deszczu.

– Dlaczego? – zapytał Piotr, przerywając milczenie.

– Zemsta. – John wzruszył ramionami. – Wyrzucili ją przez okno z czwartego piętra.

– Przykro mi – powiedział Piotr. Nie dodał nic więcej. Zdawał sobie doskonale sprawę, że to na nic. Znał ten przejmujący ból aż nazbyt dobrze. Nic go nie było w stanie ukoić, żadne słowa pocieszenia.

John schował twarz w dłoniach, jakby chciał coś ukryć. Po chwili jednak oprzytomniał.

– Czy ktoś pytał pana o moją narzeczoną? – zapytał.

– Nie – krótko odparł Mróz i dopiero po paru sekundach milczenia zapytał: – Czy pan chce, aby to, co powiedziałem panu na jej temat, pozostało między nami?

John przytaknął.

– Musi pan o czymś wiedzieć – stwierdził.

– Słucham – odrzekł Mróz, znowu siadając na łóżku.

– Zagrożenie nie minęło. Ani dla pana, ani dla pana bliskich.

– Wiem o tym. Mnie mogą zabić, ale obiecał mi pan bezpieczeństwo moich bliskich – przypomniał Mróz z nutą zdenerwowania w głosie.

– Jeżeli nie dorwą pańskiej córki, to zabiją pana, pańskiego brata i tę postrzeloną kobietę. Oni nie darują tego sprzedanego archiwum. Joanna też dlatego zginęła –



stwierdził szczerze John. Wstał z krzesła, podszedł do okna i przyglądał się bez słowa smutnym, szarym smugom za oknem.

– Co mam robić? – zapytał Mróz, padając bezradnie na poduszkę.

McDowell wyciągnął z kieszeni zdjęcie i podał je Piotrowi, który stwierdził bez wahania:

– On był na farmie, w ostatniej chwili udało mu się wyjść przed atakiem waszych ludzi. Miał skurwiel szczęście.

– Nie miał szczęścia. Miał wyjść z tej farmy – odparł John.

– Jak to miał wyjść?

John wrócił do krzesła i odwrócił je oparciem w stronę łóżka. Usiadł naprzeciw Mroza.

– Złożę panu kolejną ofertę – poinformował.

– Słucham.

– Wróci pan ze mną do Polski i pomoże mi znaleźć tego gościa – John wskazał na zdjęcie Śmietany.

– Po co?

W pokoju znowu nastąpiła cisza, a John patrzył Piotrowi prosto w oczy.

– Po to, by go zabić – odparł po chwili.

– Ale... – Piotr chciał odpowiedzieć, lecz McDowell przerwał mu:

– Ten gość był ostatnim żyjącym człowiekiem, który pana widział. Nasi ludzie posprzątali farmę z trupów i nikt nie ma pojęcia o tym, że pan żyje. Dla nich jest pan martwy.

– To po co mam tam wracać? – zapytał Piotr, nie kryjąc irytacji.

– Po to, aby uratować od śmierci dziesięć milionów ludzi. Może to będzie pańska córka i wnuczka, może Jan Paweł II i pana brat – rzucił John.

– Dziesięć milionów? – Mróz był zdezorientowany.

– Grupa rosyjskich generałów planuje zamach stanu w Rosji. W tym celu, aby odwrócić uwagę Europy i świata, planują zamachy w najważniejszych stolicach świata. Ma to wywołać zamęt i w następstwie kryzys światowy – wyjaśnił spokojnie John. Piotr zerwał się z łóżka i przyglądał się McDowellowi zszokowany, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. – Pana znajomy, pułkownik Śmietana, wraz z generałem KGB pośredniczą w sprzedaży bomb biologicznych, które mogą spowodować skażenie w dwudziestu różnych miejscach na świecie, wywołując wybuch epidemii zapomnianej już dawno czarnej ospy.

– Ale w czym ja mógłbym pomóc? – Piotr odzyskał głos. Nadal jednak nie miał pojęcia, co ma myśleć o tym, co usłyszał.

– Jadę do Polski – wyjaśnił McDowell. – Muszę znaleźć te pojemniki, odzyskać je za wszelką cenę i wyeliminować ludzi związanych z tą operacją.

– Nadal nie wiem, w czym mogę panu pomóc.

– Słyszał pan o pułkowniku Filipowskim? – zapytał McDowell.

– Tak, to specjalista od broni bakteriologicznej.

– No właśnie, specjalista i wspólnik Śmietany.

– Ale dlaczego mu pomaga? Przecież zdaje sobie sprawę ze skali zagrożenia i konsekwencji.

– Nie wiem, co kieruje tym człowiekiem, ale wiem, co kieruje pułkownikiem Śmietaną i generałem Zajcewem – stwierdził John.

– Co? – zadał pytanie Piotr, choć domyślał się, co może usłyszeć.

– Pięćset milionów dolarów – odparł McDowell.

Piotr zagwizdał ze zdziwienia i zapytał:

– Kto jest gotów tyle zapłacić za to świństwo?

– Terrorysty muzułmańscy, a ściślej pewien szejk.

– Niech pan poda jeszcze jakiś powód, dla którego miałbym wrócić do kraju, gdzie grozi mi... – Piotr w porę urwał. Nie miał zamiaru chwalić się swymi ostatnimi dokonaniem w Polsce.

– Gdzie grozi panu dożywocie. Za to, co zrobił pan pewnemu gangsterowi, jego synowi i kolegom w domku letniskowym na Mazurach – lekkim tonem dokończył John. Piotr spojrzął z podziwem na agenta i już miał się odezwać, ale McDowell uprzedził go, dodając niemal z uznaniem: – Osiem trupów! Nieźle, panie pułkowniku, jak na pański wiek. Całkiem nieźle.

– Nie pisali o tym w gazetach, ale jest pan nieźle poinformowany.

– W tej bazie, a nawet w tym budynku jest pewien człowiek, który ścigał pana w pańskim kraju. To komisarz policji kryminalnej z Warszawy, nazywa się Adam Wolf – wyjaśnił John.

– Zamierza pan mnie nim straszyć, żebym się zgodził pomóc? – kpiąco rzucił Mróz.

– Spokojnie. Zamierzam go jedynie przekonać, że była to zaplanowana operacja naszych służb, a pan wykonywał tylko rozkazy CIA, a ściślej USA – wyjaśnił McDowell.

– I myśli pan, że uwierzy?

– Uwierzy, bo z myśliwego polującego na pana sam stał się zwierzyną. Wymyślił pan okup za porwanie gangstera, którego tak naprawdę upiekł pan w willi na Mazurach – wyjaśnił spokojnie John. – Żona tego gangstera zebrała żadaną kasę, ale okup przejęli podstawieni gangsterzy, którzy o mało nie zabili komisarza Wolfa. On cudem ocalał, ale ranił niejakiego generała Kamińskiego, który potem zmarł w tajemniczych okolicznościach w szpitalu. Tak więc teraz, tak samo jak panu, grozi mu w kraju długa odsiadka.

Piotr przez chwilę chłonał jeszcze potok wiadomości przekazanych przez Johna, po czym zapytał:

– Kto objął schedę po Kamińskim?

– Niejaki generał Gadacz.

– Człowiek GRU. Kamiński to była menda, ale Gadacz to całe stado mend – westchnął zrezygnowany Piotr.

– Zrobi wszystko, co każą mu Ruscy? – zapytał McDowell.

– Bez zmruczenia oka.

– Reasumując. Pana córka może być w USA lub w Rzymie, a gdy ci fanatycy dostaną to świństwo, to uderzą. I wtedy nikt i nigdzie na świecie nie będzie bezpieczny.

– Myśli pan, że tego użyją? – zapytał Mróz, nadal nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

– Niech pan nie będzie naiwny. Przecież zna pan to towarzystwo. Nie tylko użyją, ale jeszcze wybiorą do tego najlepsze miejsca. Gdyby pan był na ich miejscu, jakie państwo, miasto zaatakowałyby pan jako symbol chrześcijańskiej Europy?

Mróz zerknął w stronę szarego okna. Dopiero po paru sekundach odpowiedział cicho:

– Watykan, Rzym...

John pokiwał głową.

– Pomoże mi pan? – zapytał John równie cicho.

Mróz kiwnął głową.

– Pomogę – stwierdził i zapytał chłodnym tonem profesjonalisty: – Jako kto mam pojawić się w Polsce?

– Stworzymy panu legendę. Zostanie pan pracownikiem firmy poszukującej ropy w Polsce. Mówi pan biegle po niemiecku, więc fachowiec oddelegowany z firmy niemieckiej nie będzie budził podejrzeń. Ogoli się pan na łyso i przybierze parę kilogramów – wyjaśnił John.

– A co z tym gliniarzem?

– Zaraz go pan pozna – odparł John i wstał z krzesła.

Kiedy już kierował się do wyjścia, nagle przystanął, odwrócił się do Piotra i powiedział:

– Muszę pana jeszcze o coś zapytać.

– Słucham.

– Dlaczego nie zabił pan tego Niemca?

Piotr spojrzał przenikliwie na McDowella.

– Niech pan zdradzi mi, skąd pan wiedział, gdzie się znajduję i co robiłem po opuszczeniu Polski – poprosił.

John uśmiechnął się, spoglądając na stół i leżące na nim kartki papieru oraz pióro. Podszedł do stolika, wziął do ręki pióro i podał je Piotrowi. Ten spojrzał na Amerykanina pytająco.

– Nie rozumiem – wyjąkał, zbity z tropu.

– Pamięta pan, jak pożyczył mi pan na chwilę pióro? – zapytał McDowell, nadal się uśmiechając.

Piotr, patrząc na pióro, przytaknął.

– Pamiętam. – Nagle wszystko stało się jasne. Nieco rozbawionym tonem Mróz zapytał: – Podmienił je pan?

– Tak, jest identyczne jak pana poprzednie – mówiąc to, McDowell wyjął

z kieszeni drugie pióro i podał je Piotrowi.

– Pan wybaczy, ale to prezent od mojej nieżyjącej żony – powiedział Piotr, oddając pióro z nadajnikiem. – Ale dziękuję za uratowanie życia. A co do Niemca i tego, że nadal żyje, to zasługa mojego brata. To on zasiał we mnie ziarno przebaczenia, które spowodowało to, iż nie zabiłem tego człowieka.

– Myślę, że postąpił pan słusznie. Cała europejska prasa, wszystkie liczące się dzienniki piszą o spowiedzi tego esesmana i o jego przeszłości. To dla niego chyba kara gorsza od śmierci – powiedział McDowell i wyszedł z pokoju.

## ROZDZIAŁ LXVII

Adam Wolf po przybyciu do bazy Ramstein nie mógł znaleźć sobie miejsca. Prawie nie opuszczał swojego pokoju. Prócz łóżka miał tu do dyspozycji również fotel, telewizor i radio z magnetofonem, mimo to godziny dłużyły się niemiłosiernie. Nie wiedział, co dalej. Z nim samym i z matką pozostawioną w kraju. Kilka spotkań z McDowellem uświadomiło mu, że wokół dzieją się niezrozumiałe rzeczy, które dotyczą tajemniczych działań wywiadowczych. Żeby zabić czas i nie pograć się do reszty w narastającym poczuciu niepewności, poprosił McDowella o podręczniki do nauki angielskiego i zaczął przypominać sobie podstawy języka, z którym zetknął się w czasie nauki w liceum i na studiach.

Studiował właśnie jedną ze stron książki, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Nawet nie zdążył powiedzieć „proszę”, kiedy drzwi otworzyły się i stanął w nich John.

– Czy możemy pogadać? – zapytał.

– Proszę – odparł Adam, odkładając na biurko podręcznik. Westchnął i postanowił wreszcie wyrzucić z siebie to, co mu ciążyło: – Mam już dość siedzenia, chodzenia na stołówkę, spacerów i na powrót siedzenia w tych czterech ścianach.

– Niech pan nie narzeka! W więzieniu w Polsce nie miałyby pan tak komfortowych warunków – odpowiedział z sarkazmem John i usiadł na krześle naprzeciw Wolfa.

– O czym chce pan pogadać? – spytał Adam.

– O przyszłości – odparł John, odsuwając się nieco od stołu i zakładając nogę na nogę. – O przyszłości pana i pańskiej matki.

Adam zmarszczył brwi i spojrzał badawczo na swojego rozmówcę, który po krótkiej pauzie dodał:

– Mam dla pana pewną propozycję.

– Zamieniam się w słuch.

– Proszę słuchać uważnie, bo to jednorazowa oferta. Nie mam też czasu, aby czekać na pana decyzję, dlatego oczekuję odpowiedzi natychmiastowej. Jeśli się pan zdecyduje, to nie będzie się pan mógł wycofać – zakomunikował John.

Adam wstał i przeszedł się po pokoju. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że musi zaryzykować. Przystanął, oparł się plecami o ścianę i rzucił:

– Słucham.

– Proponuję panu pracę dla CIA. W zamian paszport amerykański dla pana i pańskiej matki oraz prawo stałego pobytu w USA.

– Rozumiem - odparł Adam.

– Ale... – McDowell przerwał na moment, jakby chciał podkreślić wagę swoich

słów. – Ale propozycja jest aktualna tylko pod warunkiem podjęcia się przez pana pewnej bardzo niebezpiecznej misji.

Wolf zmarszczył brwi, jakby intensywnie się zastanawiał, ponownie usiadł na krześle naprzeciwko Johna i zapytał:

– O jaką misję chodzi? I jaka byłaby moja rola?

John stuknął palcem w podręcznik, który leżał na blacie biurka.

– Najpierw pana decyzja, a później informacje, które są ściśle tajne – rzucił tonem, który nie zachęcał do podejmowania dyskusji.

– Nie podejmę decyzji, jeśli nie będę znał szczegółów – odpowiedział jednak równie twardo Wolf.

Amerykanin pochylił się w stronę Adama i patrząc mu prosto w oczy, z naciskiem powiedział:

– Nie mogę wprowadzić pana w tematykę operacji, dopóki nie będę miał pewności, że chce pan dla nas pracować.

Adam również przysunął się do swojego rozmówcy, taksując go wzrokiem.

– Niech pan mnie zrozumie – powiedział powoli, akcentując każde słowo. – Nie będę strzelał do moich rodaków ani wykonywał zadań szpiegowskich przeciwko mojemu krajowi.

– O ile mi wiadomo, to strzelał pan do oficera UOP...

– W obronie własnej.

– Mogę tylko zapewnić, że akcja, o której mówię, nie jest wymierzona w pana kraj. Niektórzy z pańskich rodaków stanęli jednak po złej stronie i zagrażają nie tylko naszym krajom, ale być może całej Europie. Ale strzelać nie będzie pan musiał – zapewnił John.

– A kto to zrobi? – zapytał Adam.

– My – odparł McDowell, cofnął się i wygodniej oparł o oparcie krzesła.

– Dlaczego więc pan chce, abym w tym uczestniczył? – zapytał Adam.

– Terenem operacji jest Polska. Pan zna ludzi, obyczaje i przede wszystkim jest pan bystry, a ta robota polega na znalezieniu pewnych osób i pewnego ładunku. Nie ukrywam, że w dużej mierze to policyjna robota.

– Oficjalnie nie mogę wjechać do Polski – zauważył Adam.

– Wjedzie pan jako pracownik amerykańskiego koncernu zajmującego się poszukiwaniami ropy i gazu na terenie waszego kraju – wyjaśnił John i rzucił twardo: – Krótka odpowiedź: tak czy nie?

W pokoju zapanowała cisza. Adam zerknął w okno, które znajdowało się tuż nad biurkiem. Myślał gorączkowo. Wiedział, że propozycja jest jedyną szansą na spotkanie z matką, którą tak bardzo kochał, a która potrzebowała jego pomocy.

– Dobra – rzucił po chwili. – Zgadzam się, ale nie będę strzelał do własnych rodaków.

– Tę decyzję pozostawiam panu. Czy w razie zagrożenia da się pan wykończyć, czy zacznie pan myśleć o życiu swoim i pana matki – odparł John.

– Czy może mnie pan wprowadzić w konkrety? – zapytał Adam, nie komentując ostatniego zdania.

– Mogę. Będę się streszczał, bo chciałbym panu przedstawić pewnego człowieka.

– A co to za gość?

– To właściwie pana znajomy, człowiek, którego w Polsce pan poszukiwał – rzucił jakby od niechcienia John.

Twarz Adama wykrzywił grymas zdziwienia.

– O kim pan mówi? – zapytał.

– No to może test na inteligencję? – zaśmiał się McDowell.

Adam przetarł twarz dłońmi. Na myśl przychodziło mu tylko jedno nazwisko.

– Pułkownik Mróz?

John pokiwał przytakująco głową i powiedział:

– Wykonywał zadanie zlecone przez nas, a tych pięciu bandytów, których zabił, nie stanowi komórki społecznej, nad której brakiem będzie pan przecież rozpaczał.

– Sześciu – poprawił go Adam – bo doliczyć trzeba Kulawego Marczka. Nie będę rozpaczał. To prawda. A tych czterech gości w willi?

– Trzech, bo czwarty to ten gangster. Jaką on miał ksywę?

– Badylarz.

– No właśnie, wasze służby oficjalnie poinformowały o wybuchu butli z gazem – wyjaśnił John.

– Czyli przestępstwa nie ma – oświadczył Adam.

– Nie ma już komisarza, ale jest dwóch ludzi, na których w Polsce i za granicą będzie się polować.

– Tak?

– Pan i Mróz – odpowiedział spokojnie McDowell.

## ROZDZIAŁ LXVIII

John z Adamem weszli do pokoju szpitalnego zajmowanego przez Piotra.

– Poznajcie się panowie – powiedział McDowell.

Adam stanął obok łóżka Piotra, chwilę mierzył go wzrokiem, po czym wyciągnął dłoń na przywitanie. Piotr uściśnął jego rękę.

– Nie tak sobie pana wyobrażałem – stwierdził Wolf.

– To znaczy? – zapytał Mróz.

– To znaczy, że myślałem, że jest pan znacznie młodszy – wyjaśnił Adam.

– Może i wyglądam nie najmłódziej, ale jeszcze pewne rzeczy potrafię. Młodzi są zwykle zbyt pewni siebie – odrzekł z lekceważeniem w głosie Piotr.

– Cóż, myślę, że nasze umiejętności zostaną poddane sprawdzianowi w akcji – spokojnie zaznaczył John. – Nie wprowadziłem pana komisarza w cel i zadania, jakie przed nami stoją. Warto to zrobić teraz, jak sądzę. Niech panowie siadają. –

McDowell wskazał im krzesła przy niewielkim stoliku w sali i zaproponował: – Mówmy sobie po imieniu, ułatwi to nam kontakt. – Piotr i Adam przytaknęli, kiwając głowami. – Celem naszej wyprawy do Polski jest znalezienie dwudziestu pojemników z wirusem czarnej ospy oraz ludzi, którzy planują sprzedaż tej niebezpiecznej substancji terrorystom muzułmańskim. Nie chcemy dopuścić do czegoś takiego. –

John otworzył teczkę, którą ze sobą przyniósł, i wyciągnął z niej zdjęcia jednych z ostatnich ofiar czarnej ospy. Adam i Piotr byli wstrząśnięci widokiem cierpiących dzieci i dorosłych pokrytych bolesną wysypką. McDowell wyjaśnił: – Choroba zniknęła, ale obecnie nikt już się na nią nie szczepi. Nie ma też świeżych zapasów szczepionek. Przenosi się nawet poprzez powietrze. Jeśli ktoś postanowi użyć wirusa jako broni biologicznej, umrze kilkadziesiąt procent zarażonych. Teraz rozumiecie skalę zagrożenia?

Obaj spojrzeli na siebie wymownie i po chwili pokiwali głowami na znak zgody.

– Kiedy wyruszamy? – zapytał Adam.

– Mamy trzy tygodnie, by się przygotować – stwierdził John. – Trzeba spreparować wasze papiery i inne drobne szczegóły. Nasi komandosi i człowiek, który dowodzi całą akcją z ramienia CIA, są już w Polsce. A to nasi bohaterowie. To ich będziemy szukać.

McDowell rzucił kolejny plik zdjęć na blat stolika. Każdą z postaci krótko scharakteryzował.

– Czy ktoś będzie nam tam pomagał? – zapytał Mróz, gdy przestudiowali już fotografie.



– Tak, wywiad Izraela. Ich człowiek przekazuje pewne wskazówki, ale nie mogę nic więcej powiedzieć. – John wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. – Zostawiam was samych. Pogadajcie sobie, poznajcie się lepiej. Tylko pamiętajcie, że gramy w jednej drużynie.

Kiedy McDowell wyszedł, Piotr i Adam milczeli przez dłuższą chwilę, przyglądając się sobie uważnie.

– Wiem – przerwał ciszę Mróz – że możesz uważać mnie za bandytę, ale zanim wydasz wyrok, musisz poznać pewne fakty.

– Wydaje mi się, panie Mróz...

– Piotr – przerwał mu Mróz.

Adam pokiwał głową i ciągnął swój wywód:

– Wydaje mi się, że wiele wiem na twój temat, ale cały czas intryguje mnie jedna postać.

– Kto?

– Ksiądz Michał Żyła. Kim dla ciebie jest ten gość? Kim jest człowiek, do którego wszyscy zwracają się komendantcie? On zna Żyłę, a mnie ocalił życie.

Po twarzy Piotra przebiegł grymas bólu. Ranna ręka bolała go coraz bardziej, gdyż odstawiono już leki znieczulające. Pomasaował ją, westchnął i wyjaśnił:

– Michał Żyła to mój rodzony brat.

– Dlaczego używa innego nazwiska? – zdziwił się Adam.

Piotr przybliżył krzesło do stolika, oparł się na nim łokciami i zaczął opowiadać:

– Pewnego lipcowego poranka w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku niemiecka ekspedycja karna otoczyła naszą osadę leśną, leżącą w Górach Świętokrzyskich. Mnie i bratu udało się uciec, ale moi rodzice i mała siostra zostali spaleni żywcem. Miała to być kara za pomoc udzielaną partyzantom. Niemcy spostrzegli nas i zaczęli gonić. Uciekając, musieliśmy się rozdzielić. Po udanej ucieczce ja trafiłem do rodziny mojej matki, a później do oddziału GL mojego wuja. Mój brat trafił do oddziału AK. Komendantem tego oddziału był człowiek, którego po dzień dzisiejszy wszyscy tak tytułują. Zawierucha wojenna sprawiła, że po wyzwoleniu ja wraz z wujem trafiłem do MO. Służyłem w więzieniu w Kielcach. Mój brat nadal pozostawał w konspiracji wraz z pozostałymi ludźmi oddziału komendanta. Pewnego dnia do więzienia w Kielcach przywieziono aresztowanych członków AK, a wśród nich znajdował się Michał oraz brat komendanta i jego szwagrowie – ciągnął swoją opowieść Piotr. – Cała grupa została poddana brutalnym przesłuchaniom przez NKWD, a nas, Polaków, do nich nie dopuszczano. Po tygodniu dowiedziałem się, że nazajutrz grupa, w której znajdował się Michał, zostanie rozstrzelana. Pamiętam, że była to sobota... Rusczy pili dużo, więc postanowiłem zaryzykować. Wziąłem parę butelek bimbru i zaniósłem im, mówiąc, że komendant MO przysłał to w podzięcie za schwytanie groźnych bandytów. Kiedy przechodziłem przez pokój przesłuchań, ujrzałem straszny widok, który pamiętam po dziś dzień. Wyglądał jak rzeźnia, wszędzie była krew. Zacisnąłem zęby i zaniósłem bimber i kiełbasę. Ruski major NKWD nalał z butelki do szklanki i kazał mi wypić. Jak dziś pamiętam, że ledwie

złapałem oddech, a świat zawirował mi w głowie. Ale im się podobało. Major poklepał mnie po plecach i powiedział: „Maładiec”. Po dwóch godzinach Ruscy ledwie stali na nogach, więc poprosiłem sierżanta, który nadzorował cele, o pokazanie mi tych groźnych bandytów. Po chwili stałem przed celą, a pijany Rusek nie mógł trafić kluczem do zamka w drzwiach. Gdy wreszcie otworzył celę, zobaczyłem więźniów leżących na słomie. Skatowani byli, ledwo żywi. Kilku leżało nieprzytomnych z rozbitymi głowami i zmasakrowanymi twarzami. Wśród nich był Michał, mój brat, też pobity, ale na szczęście przytomny. Rusek oczywiście zamknął celę i wybełkotał, że zostaną rozstrzelani, bo nie powiedzieli, gdzie ukrywa się ich komendant. Powiedziałem mu wtedy, że mam dobrą, polską wódkę w pokoju strażników. Dał się skusić i po drugiej butelce, bo sukinsyn miał twardy łeb, spał jak zabity na krześle. Odpiąłem klucze od jego paska i poszedłem najpierw do celi, gdzie siedzieli ci podlegający UB. Wywołałem folksdojczę, Bolkego, który w czasie wojny był tłumaczem w kieleckim gestapo, a oprócz tego torturował więźniów w czasie przesłuchań. Zaprowadziłem go pod celę, gdzie znajdował się Michał. Rosjanie na szczęście byli tak pijani, że żaden nic nie usłyszał. Zabranymi sierżantowi kluczami otworzyłem celę i wywołałem Michała, który po chwili na czworaka wygramolił się na zewnątrz. Wtedy z całych sił uderzyłem głową folksdojczę o ścianę. Waliłem nim tak długo, aż stracił przytomność. Kiedy osunął się po ścianie, zdjąłem z niego marynarkę. Z Michała ściągnąłem poszarpaną koszulę i wytarłem nią zakrwawioną ścianę. Następnie ponownie otworzyłem celę i wrzuciłem do niej nieprzytomnego folksdojczę. Założyłem na Michała marynarkę Niemca i powiedziałem mu, że od teraz nazywa się Paul Bolke i na to nazwisko ma reagować, gdy dyżurny będzie sprawdzał listę obecności w celi. Jutro lub pojutrze wywołam go z celi i pójdzie ze mną po chleb do piekarni naprzeciwko więzienia. Wtedy uciekniemy. Miał cały czas udawać prawie nieprzytomnego i nie odzywać się do nikogo. Otworzyłem celę, w której wcześniej znajdował się Bolke, i wepchnąłem Michała do środka. A potem wróciłem spokojnie do swojego pijanego sierżanta NKWD. Zawiesiłem pęk kluczy na jego pasku i zawlokłem go do pokoju zajmowanego przez Rosjan, gdzie całe towarzystwo spało pijane w sztok. W duchu modliłem się, aby egzekucja odbyła się nazajutrz i by folksdojcz nie zdążył odzyskać przytomności, a w jego celi nikt nie rozpoznał Michała.

Nagle Piotr zamilkł. Wstał od stołu i podszedł do okna. Oparł dłoń o framugę. Był błądy i ciężko oddychał.

– I co się stało? – zapytał Adam, by przerwać niepokojącą ciszę.

Piotr wrócił do stolika, złapał głębszy oddech i kontynuował opowieść:

– Do rana nie zmrużyłem oka. Nad ranem pijani Rosjanie wywlekli z celi towarzyszy Michała razem z folksdojczem. Załadowali ich na samochód i wywieźli do lasu, gdzie wszystkich rozstrzelali i pogrzebali w bezimiennej mogile. Cały dzień starałem się o przydział funkcyjny do celi, gdzie siedział Michał. Za paczkę papierosów załatwiłem to sobie z oficerem rozdzielającym funkcje. Na szczęście była niedziela i klawisze traktowali ten dzień jako wolny, a więźniów nie wzywano na przesłuchania. Potem nastąpiła noc. Najdłuższa noc w moim życiu. Nie mogłem zasnąć.

Było po północy, gdy więzienie się nagle zatrzęsło. Coś wybuchło. To oddział komendanta ruszył z pomocą więzionym partyzantom. Po krótkiej walce i wymianie strzałów partyzanci zdobyli więzienie, a jedyną jego niezdobytą częścią były pomieszczenia strażników, gdzie spałem także ja. Cela, w której znajdował się Michał, została oswobodzona, a koledzy wynieśli go na wpół przytomnego. Wolność odzyskali wszyscy więźniowie, a Rosjanie zostali wybici do nogi. Komendant spóźnił się ze szturmem o dobę. Nie wiedział, że jego brat, szwagrowie i inni towarzysze broni z oddziału zostali rozstrzelani. Ja sam, żeby uniknąć walki i strzelania do Polaków, później zaciągnąłem się do wojska jako ochotnik do walki z UPA. Po zakończeniu operacji w Bieszczadach poszedłem do szkoły oficerskiej, którą ukończyłem w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku. Już nie musiałem walczyć i strzelać do współbraci.

– A co się stało z Michałem? – zapytał Adam, gdy Piotr zakończył swoją opowieść.

– Ukrywał się jakiś czas u rodziny. Potem wyjechał do Lublina, gdzie wstąpił do seminarium duchownego. Przybrał nazwisko chłopca, jego rówieśnika, który był synem sąsiadów, a zginął wraz z rodziną w czasie pacyfikacji naszej osady.

– Kiedy spotkaliście się ponownie?

– Po dwudziestu latach, w rocznicę pacyfikacji naszej osady, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku postanowiłem jechać w Góry Świętokrzyskie. Kiedy tam przybyłem, odprawiano mszę w intencji pomordowanych. Wśród mieszkańców biorących udział w uroczystości rozpoznałem Michała – powiedział w zamyśleniu Piotr.

Wolf ze zrozumieniem pokiwał głową i po chwili namysłu zadał pytanie:

– A dlaczego załatwiłeś Badylarza i jego syna?

Piotr wstał i pochylił się nad Adamem.

– Gdyby ktoś tobie zabił wnuczkę oraz żonę i nie poniósł za to żadnej kary, to jak chciałbyś go ukarać? – zapytał. W jego głosie było coś zimnego, wręcz okrutnego.

– Nie mam wnuczki ani żony – odparł Adam, odruchowo się cofając.

– Ale masz matkę – stwierdził Piotr.

– Mam.

– No to co byś zrobił, gdyby ktoś zabił ci matkę i nie poniósł kary?

– Chciałbym, aby poniósł karę – odparł Adam.

– Ja zastąpiłem sąd, bo syn Badylarza zabił mi ukochaną wnuczkę i żonę, a w naszym pięknym kraju ktoś inny poszedł za niego siedzieć, rozumiesz? – zapytał.

Adam nie odpowiedział na pytanie. Spojrzał na Piotra, który usiadł zrezygnowany na krześle. W pokoju zapanowała cisza.

## ROZDZIAŁ LXIX

Mróz wraz z Wolfem przeszli trzytygodniowe, mordercze szkolenie, prowadzone przez agentów CIA. W bazie w Ramstein zapoznali się z najnowszymi metodami pracy Centralnej Agencji Wywiadowczej, a także zostali przeszkoleni z zakresu technik szpiegowskich oraz walki i eliminacji bezpośredniego zagrożenia. Dla Mroza, który był zawodowym zabójcą, był to jedynie następny etap doskonalenia umiejętności. Na początku obawiał się o to, czy podoła. Nie był młody i niepokoiły go wcześniejsze epizody duszności. Pobyt w szpitalu pozwolił mu jednak nie tylko dojść do siebie po przeżyciach na farmie, ale też wykluczył jakiegokolwiek problemy zdrowotne. Zaburzenia w oddychaniu zniknęły samoistnie, gdy tylko okazało się, że mała Maria dochodzi do zdrowia, a jej rodzice i ksiądz Michał są bezpieczni. Nie powróciły podczas prób wydolnościowych czy wymagających treningów. Oficerowie szkolący Mroza zauważyli, że mężczyzna jest świetnie wyszkolony pod względem fizycznym i psychicznym, a sam Piotr cieszył się niczym młodzieniaszek, mogąc na własne oczy zobaczyć i poczuć, na czym polega wyższość zachodnich agencji wywiadowczych. CIA miało ogromne zaplecze naukowe i techniczne, na jakie nie mogły sobie pozwolić komunistyczne służby. W czasie bezpośredniej reakcji o wszystkim jednak decydował zawsze człowiek, a długoletnie doświadczenie czyniło z Mroza cenny nabytek dla wszelkich służb.

Sytuacja Adama była bardziej skomplikowana. Młody policjant radził sobie świetnie we wszelkich testach, ale miał mentalność stróża prawa. Wolf nie mógł przyzwyczać się, że w służbach specjalnych nie pyta się grzecznie, nie czeka na rozkaz przełożonego i nakazy od prokuratora, ale po prostu robi to, co konieczne, by osiągnąć cel, często do tego balansując na krawędzi prawa. Biorąc jednak pod uwagę zaangażowanie i solidność Wolfa, dopuszczono go do operacji, którą planował McDowell.

Kiedy szkolenie dobiegło końca, przyszedł czas na zmianę wyglądu. Piotrowi zgolono włosy. Zaczął nosić szerokie ubrania, co miało dodać mu nieco wieku i zrobić z niego spokojnego pracownika firmy poszukującej ropy na terenie Polski. Adam został ucharakteryzowany na młodego, ambitnego europejskiego yuppie. W ciągu trzech tygodni opanował na poziomie podstawowym języki angielski i niemiecki. Został ambitnym geologiem i geodetą.

Kiedy mężczyźni zostali wezwani do budynku odpraw, zastali tam McDowella w towarzystwie szpakowatego czarnoskórego mężczyzny w średnim wieku. John przywitał się po polsku z obydwojma przybyłymi i przedstawił swojego towarzysza:

– Oto pułkownik Mark Schwarz. Specjalista od broni bakteriologicznej.

Pułkownik wskazał im krzesła przy sporych rozmiarów stole. Gdy usiedli, stwierdził wprost:

– Za dwa dni ruszacie panowie do Polski i nie ukrywam, że liczymy na to, iż pomożecie nam odnaleźć te pojemniki.

Dał znak głową, a McDowell włączył mały rzutnik. Na ścianie pojawiły się fotografie postaci obsypanych czarną ospą.

– To Związek Radziecki, lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte – wyjaśnił Schwarz. – Jak widzicie, nasi wschodni przyjaciele rozwinęli do perfekcji badanie nad tym świństwem. Niestety sami nawet nie przypuszczali, że wymknie im się to spod kontroli. Wyspę, na której prowadzili badania, musieli odciąć od reszty kraju i zbombardować z powietrza, a mimo to do tej pory bez specjalnych kombinezonów ich służby bakteriologiczne boją się tam wkroczyć. To, co przetrzucili do Polski, to tylko niewielki procent broni, którą ukryli. Wiemy, że pięć lat temu jeden z producentów leków został poproszony nieoficjalnymi kanałami przez niewielkie państwo z Afryki, na którego czele stoi dyktator powiązany z KGB, o sporządzenie nowej, unowocześnionej szczepionki na ospę prawdziwą. Firma, mimo iż interes był nielegalny, zgodziła się. Próbkę potrzebnego wirusa otrzymała oczywiście od zleceniodawcy, który po wytworzeniu próbnej serii i sprawdzeniu jej zamówił pięćdziesiąt milionów szczepionek, płacąc za nie astronomiczną sumę dwóch miliardów dolarów. Ale jak każda tajemnica, tak i ten biznes nie mógł pozostać niezauważony. Agenci FDA trafili na ślad nielegalnej szczepionki i dzięki temu dotarliśmy do kogoś, kto sprzedał nam informacje. W czasie śledztwa wyszło na jaw, że za zamówieniem stoją Rosjanie. Wydawało nam się podejrzane, że nie zaangażowali przy tym własnych tajnych laboratoriów, dziś jesteśmy jednak pewni, że całe przedsięwzięcie zorganizowali puczyści Janajewa. Zainwestowali w nie dwa miliardy dolarów, nie tylko po to, by się zabezpieczyć, ale też zarobić po przejęciu władzy na sprzedaży szczepionek. Wyobraźcie sobie, że nagle w Europie zaczynają chorować i umierać miliony ludzi, a życie pięciuset milionów jest zagrożone. Czy państwa nie zapłacą każdej ceny za gotową szczepionkę, aby zatrzymać nową „czarną dżumę”? – zapytał, kończąc swoje wprowadzenie, pułkownik.

Piotr z Adamem milczeli przez chwilę, przetrawiając to, co usłyszeli. Teraz dopiero zrozumieli, do czego zaangażował ich Amerykanin.

– W niezłe bagno nas pan wpakował – podsumował Adam.

– Taka praca – odparł McDowell. – Nie będzie pan do końca życia policjantem. Zostanie pan agentem tajnych służb. Musi pan wziąć pod uwagę, że to świństwo może być rozpylone również w Polsce.

– Za ile mogą sprzedać te szczepionki? – zapytał Mróz pułkownika po angielsku.

– Sądzymy, że mogą zarobić na tym nawet sto miliardów dolarów – odpowiedział Schwarz. – Stany mają niewielkie zapasy szczepionki, ale Europa jest praktycznie bezbronna. Jeżeli będzie miała przyłożony nóż do gardła, to nikt nie będzie pytał o cenę. Każdy dzień, każda godzina może być na wagę ludzkiego życia i rozprzestrzeniania się tego świństwa. Dlatego tak ważne jest, abyście spróbowali odnaleźć to na terenie waszego kraju i zneutralizować ludzi, którzy maczają w tym

palce.

Piotr pokiwał głową.

– Macie dwa dni na odpoczynek – oświadczył McDowell.

Piotr wstał i spojrział wymownie na Johna.

– Chciałbym porozmawiać na osobności – powiedział.

McDowell bez słowa sprzeciwu wstał i otworzył drzwi gabinetu obok.

– Słucham – rzucił, gdy zostali już sami.

– Mam prośbę – zaczął nieśmiało Piotr. – Mam jedną wielką prośbę. Wiem, że nie mogę spotkać się z bratem, by nie narażać go na niebezpieczeństwo. Wiem, że nie mogę spotkać się z moją córką i wnuczką, ale mam do pana jedną prośbę. Chciałbym, aby pan zawiózł mnie do Paryża, do pewnego starszego księdza, któremu chciałbym osobiście przekazać pewien list.

McDowell głęboko westchnął.

– Nie może pan napisać listu i przekazać go przeze mnie?

– Nie, nie mogę! Muszę porozmawiać z tym człowiekiem. Bardzo pana o to proszę.

John pokiwał głową.

– OK. Jeżeli pan tego bardzo chce, zrobię to dla pana. Ale chcę też coś w zamian.

– Czego pan oczekuje?

– Pamięta pan nasze pierwsze spotkanie w willi w Aninie?

Piotr potwierdził skinieniem głowy.

– Chciałbym, aby to, o co wtedy pana prosiłem, zostało tylko naszą tajemnicą. Chodzi mi o moją nieżyjącą narzeczoną – McDowell mówił cicho, z trudem.

– Oczywiście. To zostanie między nami – zapewnił Mróz i dodał, by nieco rozluźnić atmosferę: – Ma pan to jak w banku. W pewnym szwajcarskim banku.

\*\*\*

Nazajutrz rano, około dziesiątej Piotr w asyście czterech agentów CIA pojawił się w kościele polskim w Paryżu. Kiedy wszedł do środka i skierował się do zakrystii, zobaczył dwóch księży, którzy pomagali zdjąć szaty liturgiczne starszemu kapłanowi. Widząc przybysza, dwaj młodzi zrobili obojętne miny. Tylko starszy z nich uśmiechnął się przyjaźnie. Po chwili poprosił towarzyszących mu księży, aby zostawili go z mężczyzną samego. Podszedł do Piotra i wyciągnął dłoń na przywitanie.

– Cieszę się, że pan żyje. Proszę, niech pan siada – poprosił.

Piotr, zanim usiadł na krześle, sięgnął ręką do bocznej kieszeni i wy dobył z niej różaniec. Ułożył go pieczołowicie przed księdzem.

Sędziwy kapłan w zamyśleniu delikatnie pogłaskał zmiażdżone butem paciorki.

– Cieszę się, że ma go pan nadal – powiedział cicho.

Piotr spojrział mu głęboko w oczy i po chwili namysłu powiedział, niemal szepcząc:

– Widzi ksiądz, całe życie, od momentu utraty moich rodziców i siostry, nosiłem w sercu nienawiść. Dzisiaj wiem, że był to błąd. Bez Michała moja zemsta by się dopełniła. Zabiłbym kolejnego człowieka, ale tak naprawdę ta śmierć byłaby kolejnym triumfem zła. Wkrótce by o niej zapomniano, a dzięki spowiedzi tego złego człowieka cały świat dowiedział się o tym, co uczynił innym. Dzięki mojemu bratu i księdzu, słowom, które ksiądz do mnie skierował, przewartościowałem moje życie. Dzisiaj wiem, że siła nie zawsze zwycięża, a w życiu ważne są miłość i cel. Ja po raz pierwszy ten cel i sens życia straciłem, tracąc własnych rodziców. Drugi raz, tracąc żonę wraz z wnuczką. Wiem, że to mnie nie tłumaczy, nie usprawiedliwia zła, które czyniłem. Zawsze w głębi serca czułem, że istnieje Ktoś, kto patrzy na naszą szarpaninę z troską i miłosierdziem. Może to ten ból we mnie był tak silny, że się Go wyparłem. Ale On mimo to ocalił moją Marysię, dał mi szansę. I już nie chcę się przed nim ukrywać. Nadszedł czas mojej spowiedzi, mojego pojednania się z Bogiem. Chciałbym się wypowiadać przed księdzem i przyjąć komunię. Być może taki morderca jak ja będzie miał możliwość odpuszczenia mu grzechu, niczym człowiek ukrzyżowany z Chrystusem, wyznający grzechy przed śmiercią.

Ksiądz przyglądał się Piotrowi uważnie i z uśmiechem.

– „W niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”, mówi święty Łukasz. Nie spodziewałem się z pana ust takich słów, ale nie ukrywam, że pana brat i ja modliliśmy się za pana. Widzę, że nasze modlitwy zostały wysłuchane. To wielki dzień. Jeżeli chce się pan pojednać z Bogiem, to zapraszam do kościoła...

Po długiej spowiedzi, wyznaniu grzechów i przyjęciu komunii udali się z powrotem do zakrystii. Mróz wyjął kopertę i podał ją sędziwemu kapłanowi.

– To list do mojego brata i do mojej córki. Mam ogromną prośbę. Nie mogę osobiście im tego wręczyć, dlatego chciałbym prosić księdza, aby ksiądz jak najszybciej to uczynił i podziękował Michałowi za wszystko, co zrobił dla mnie i dla mojej rodziny. Proszę przekazać mu, że żyję i jestem nowym człowiekiem. Nie mogę księdzu powiedzieć, gdzie się udaję, ale mogę przysiąc, że już nigdy w życiu nie skrzywdzę niewinnej osoby. I jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Mówiąc to, Piotr ucisnął mocno rękę księdza. Ksiądz pokiwał głową.

– Dobrze, widzę, że to ważne, i jak najszybciej udam się do Rzymu.

\*\*\*

Nazajutrz po południu do kliniki Gemelli w Rzymie w asyście agentów ochrony CIA przybyła córka Piotra. Gdy zobaczyła uśmiechniętego księdza Michała, rzuciła mu się w ramiona. Mimo długo trwającej operacji i utraty dużej ilości krwi, ksiądz pomału powracał do zdrowia.

– Cieszę się, dziecko, że cię widzę. – Michał uśmiechnął się. – Zaraz będzie tu mój przyjaciel z Paryża. Twój tata wczoraj u niego był i zostawił dla nas list.

W oczach Zuzanny pojawił się niepokój wymieszany z nadzieją. Tak bardzo się

martwiła o ojca.

– Nie wiesz, co się z nim dzieje? – dopytywała gorączkowo. – Od paru tygodni nie mam od niego żadnych wieści. Wiem tylko, że matka Jarka jest w Stanach, ale nie wiemy, co się stało z jej ojcem?

– Spokojnie, dziecko. Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie...

Minął niespełna kwadrans, kiedy pojawił się sędziwy ksiądz z Paryża. Podpierał się laską i uśmiechał z daleka. Agenci wpuścili go do sali, a następnie opuścili pomieszczenie. Gdy starszek przywitał się z Michałem i z córką Piotra, rzekł:

– Dzięki Bogu. Widzę, że moje modlitwy już przynoszą efekty i z każdym dniem czujesz się coraz lepiej, Michale. A i pani córeczka też powraca do zdrowia – zwrócił się ksiądz do Zuzanny, która uśmiechnęła się, potwierdzając, że wszystko jest na dobrej drodze.

– Dziękuję za modlitwę i wsparcie – dodała. – Nawet nie wie ksiądz, co przeszliśmy i jak blisko byliśmy postradania zmysłów. Czy ksiądz ma jakieś wieści od ojca?

Sędziwy starszek pokiwał głową, wyjął kopertę i podał ją Michałowi. Ten otworzył ją, założył okulary i zaczął po cichu czytać. Kiedy skończył, oświadczył:

– Kochanie, muszę ci to przeczytać. Ojciec upoważnił mnie do tego.

Zuzanna podała sędziwemu księdzu krzesło i sama też usiadła obok. Ksiądz Michał powoli zaczął czytać treść listu:

*Kochani! Jeżeli czytacie te słowa, to znaczy, że mój posłaniec dotarł do Rzymu. Chciałbym Ci podziękować, Michale, a także Twojemu przyjacielowi, księdzu Witoldowi, za wsparcie i drogę, którą mi wskazał. Dziękuję też Tobie, Córeczko, za to, że byłaś tak dzielna i silna w te ciężkie dni. Wierzę, że teraz będzie już tylko lepiej. Chciałbym Wam oświadczyć, że dzięki Wam stałem się na powrót człowiekiem i że w moim sercu zamiast nienawiści, pychy i buty zagości teraz wiara i miłość. Byłem bezlitosnym mordercą, gotowym wykonać każde polecenie moich zwierzchników. Dziś wiem, że prowadziło to w otchłań zła. „Zło dobrem zwyciężaj” – powtarza Ojciec Święty Jan Paweł II i wreszcie rozumiem, co to znaczy. Wiem też, co znaczy modlitwa ukochanych osób za mnie. Gdyby nie Ty, Mój Kochany Bracie, zabiłbym tego znenawidzonego przeze mnie Niemca. Ale to dzięki Tobie moja droga mordercy została przerwana. Wczoraj wypowiadałem się i przyjąłem komunię świętą. Jestem innym człowiekiem i chcę jedynie odpokutować całe zło, które wyrządziłem.*

*Moja Córeczko! Po tylu latach nadeszła pora, abyś poznała prawdę o naszym życiu, moim i Michała. Ksiądz Michał to mój rodzony brat, a Twój wuj. W pewien lipcowy poranek okrutny los rozdzielił nas. To przez tego Niemca, który zamordował naszych rodziców i naszą małą siostrę oraz wszystkich mieszkańców naszej wsi, rozeszły się nasze drogi. Michał po wyzwoleniu Polski przez Rosjan dostał się do więzienia, a ja służyłem w milicji i byłem strażnikiem w tym więzieniu. Zbratałem się z ludźmi okrutnymi i pełnymi nienawiści, sam przesiąknięty bólem po stracie najbliższych. I choć wtedy brat zabijał brata, to ja nie chciałem, nie potrafiłem. Tyle człowieczeństwa choć we mnie zostało. Umożliwiłem mu ucieczkę w dniu egzekucji. Od tego czasu musiał zmienić nazwisko, aby przeżyć. Wybrał nazwisko chłopca*



*zamordowanego w czasie pacyfikacji naszej wsi. I nadal ja szedłem drogą nienawiści, a on ścieżką dobra. Na szczęście Ty z Matką poszłyście za Nim. Pomógł Wam odkryć to, co w życiu ważne, miłość i mądrość Boga. Wiem też, jak wytrwale dodawał Ci siłę, Córeczko, i bardzo Mu za to dziękuję. Mój brat to mądry, odważny i dobry człowiek. Dopiero wypadki ostatnich miesięcy uświadomiły mi to. Ty razem z Matką odkryłyście to już wcześniej. Ale może każdy musi podążać za swoim przeznaczeniem. Widocznie tak musiało być w moim przypadku. W Paryżu ksiądz Witold podarował mi różaniec i powiedział, abym się modlił w trudnych chwilach. I stało się tak. Śmierć wydawała się nieuchronna, a ja zacząłem się modlić. Mimo że zapomniałem już słowa wszelkich modlitw z dzieciństwa, to modlitwa przyszła sama, z głębi serca. I Bóg mnie ocalił. Widocznie po to, abym mógł odkupić własne grzechy.*

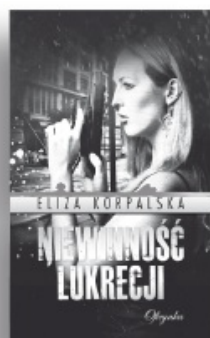
*Nie mogę wyznać Wam, gdzie się udaję, ale mogę Wam przysiąc i obiecać, że jestem osobą nawróconą. Odzyskałem wiarę i sens życia. Kocham Was i pozdrawiam! Ucałuj, Córeczko, moją małą Marysię. Dziękuję Wam za wsparcie i proszę o modlitwę za mnie. Od wczorajszego dnia również ja modlę się za Was. Do zobaczenia wkrótce.*

Piotr

## OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.

### POLECAMY



Księgarnia Oficynki [www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

e-mail: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

tel. 510 043 387



# Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)

[Rozdział XXVI](#)

[Rozdział XXVII](#)

[Rozdział XXVIII](#)

[Rozdział XXIX](#)

[Rozdział XXX](#)

[Rozdział XXXI](#)

[Rozdział XXXII](#)

[Rozdział XXXIII](#)

[Rozdział XXXIV](#)

[Rozdział XXXV](#)

[Rozdział XXXVI](#)

[Rozdział XXXVII](#)

[Rozdział XXXVIII](#)

[Rozdział XXXIX](#)

[Rozdział XL](#)  
[Rozdział XLI](#)  
[Rozdział XLII](#)  
[Rozdział XLIII](#)  
[Rozdział XLIV](#)  
[Rozdział XLV](#)  
[Rozdział XLVI](#)  
[Rozdział XLVII](#)  
[Rozdział XLVIII](#)  
[Rozdział LXIX](#)  
[Rozdział L](#)  
[Rozdział LI](#)  
[Rozdział LII](#)  
[Rozdział LIII](#)  
[Rozdział LIV](#)  
[Rozdział LV](#)  
[Rozdział LVI](#)  
[Rozdział LVII](#)  
[Rozdział LVIII](#)  
[Rozdział LIX](#)  
[Rozdział LX](#)  
[Rozdział LXI](#)  
[Rozdział LXII](#)  
[Rozdział LXIII](#)  
[Rozdział LXIV](#)  
[Rozdział LXV](#)  
[Rozdział LXVI](#)  
[Rozdział LXVII](#)  
[Rozdział LXVIII](#)  
[Rozdział LXIX](#)